R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

31/5-3 3285

HISTORYA DWÓCH LAT.

HISTORYA DWÓCH LAT.

1861 — 1862.

PRZEZ

Z. L. S.

CZĘŚĆ PIERWSZA.
Rok 1861.

TOM III.
Czerwiec — Grudzień.

W KRAKOWIE.
NAKŁAD I DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1894.

93/438/9

29587/2

„Łatwość poświęcania zasad lub przekonania dla mniemanej jednomyślności jest dość pospolitym a nieszczęsnym rysem naszego życia publicznego i służy za płaszczyk dla przykrycia słabości charakteru; zamiast prowadzić do prawdziwej zgody i skupionego działania, jest ona zwykle źródłem zamięszania i niemocy".

(L. Gadon: książe A. Czartoryski podczas powstania listopadowego.)

„Ze wszystkich przedsięwzięć ludzkich, niema większych nad spiski".

(Saint-Real: *„Spisek Hiszpanii przeciw Rzplitej weneckiej w r. 1618"*).

ROZDZIAŁ IX.

Sezostrys.

Suchozanet, jego przeszłość i charakterystyka. Przyjęcie duchowieństwa i kupców. Jego postępowanie. Choroba i śmierć Joachima Lelewela. Nabożeństwa za niego w kościołach warszawskich. Garliński w ogrodzie Saskim. Nabożeństwo w Wilnie i synagogach warszawskich. Pieśni, obrazki, emblemata. Odezwa Rozwadowskiego. Rozporządzenia szkolne. Organizacya Komisyi oświecenia i prace nad reformą szkół. Sprawa korespondentów i Wacław Szymanowski. Kazimierz Wł. Wójcicki i jego dymisya. „Książka zbiorowa". Obozowiska uliczne. Tuczkow odmawia przyjęcia namiestnictwa. Przegląd wojsk i Ilia Arseniew. Jego korespondencye. Komitety tajne. Aresztowania i policya. Wypadki w Suwałkach i Rudanowski. Obchód rocznicy bitwy Ostrołęckiej. Pogrzeb topielca w Płocku. Popłoch w Ratowie. Sprawa Mysłowskiego w Lublinie. Ruch w Białymstoku i przyjazd tam Zamoyskiego. Agitacya w Kownie i Wilnie. Straże na Wołyniu. Obawy rzezi chłopskiej na Ukrainie. Uroczystość wianków w Warszawie. Poświęcenie grobu poległych i reskrypt Wielopolskiego. Rozkaz do wojsk z d. 2 Lipca i okólnik z d. 9 Lipca. Ukaz Radzie stanu. Artykuł „Gazety Polskiej" i nominacye do Rady stanu. Mowy namiestnika przy otwarciu tejże. Burza przeciw Wielopolskiemu. Cenzura. Sprawa kolorów narodowych. Skarga Wielopolskiego w Radzie administracyjnej. Stan miasta. Zapowiedź manifestacyi. Adres angielski i odpowiedź nań Czartoryskiego. Rozprawy w izbie niższej o Polsce. Manifestacya przed konsulatem angielskim. Kocie muzyki w Radomiu i Kaliszu. Usposobienie ludu. Kometa i emisaryusze. Zakończenie.

Mikołaj Onufrowicz Suchozanet przybył do Warszawy d. 31 maja, to jest nazajutrz po śmierci Gorczakowa. Nominacya ministra wojny na śliskie stanowisko namiestnika w Polsce miała tylko charakter tymczasowy, podo-

bnie jak powierzenie władzy jenerał-gubernatorskiej po oddalonym Paniutynie, Merchelewiczowi — i nastąpiła na wyraźne żądanie samego Gorczakowa. Tak jak Merchelewicza miał ostatecznie zastąpić Lambert, którego wezwano z zagranicy, tak samo i Suchozanet miał rządzić Polską tylko dopóty, dopóki nie znajdzie się nowy kandydat na tron namiestnikowski w Warszawie. W Petersburgu zresztą początkowo nie spieszono się z tem wcale. Jakkolwiek bowiem cesarz postanowił ostatecznie usunąć Gorczakowa, dać mu urlop zagranicę, to przecież nie miało się to zaraz zrobić i czasu jeszcze było dosyć, by powoli wyszukać następcę. Nagły telegram Krzyżanowskiego z d. 26 Maja o chorobie namiestnika, wszystkie te kombinacye wywrócił. Trzeba było kogoś natychmiast wysłać, a że Gorczakow sam zażądał Suchozaneta, więc go wysłano [1]).

Względy, które kierowały chorym namiestnikiem, że żądał zastępstwa Suchozaneta, były i osobistej i publicznej natury. Suchozanet z fachu był artylerzystą, a zatem towarzyszem jednej broni z namiestnikiem, mieszkał za Paskiewicza długo w Warszawie jako naczelnik artyleryi, miał liczne stosunki z arystokracyą polską, prócz tego wiedziano powszechnie, że pochodził z krwi polskiej. Suchozaneci byli starą szlachtą polską z Witebszczyzny, i na prawosławie przeszli dopiero w końcu XVIII. czy na początku XIX. wieku [2]). Sam namiestnik tymczasowy znał

---

[1]) Nominacya Suchozaneta nastąpiła w Carskiem Siole d. 28 maja, a zatem na dwa dni przed śmiercią Gorczakowa. W ukazie odnośnym czytamy, że „minister wojny, jenerał-adjutant, jenerał artyleryi Suchozanet, objąć ma zarząd tymczasowy Król. Polskiego na prawach namiestnika naszego i w tym charakterze prezydować będzie w Radzie Administracyjnej i w Radzie Stanu tegoż królestwa, z pozostawieniem go (Suchozaneta nie królestwa) przy wszelkich godnościach i zajmowanych przezeń obowiązkach".

[2]) Suchozanet właściwie miał pochodzić z Mińszczyzny; ojciec jego był dzierżawcą w dobrach Radziwiłłowskich. Z tego powodu opowiadano autorowi anegdotę następującą: skoro Suchozanet został ministrem wojny, wziął do siebie za adjutanta księcia Witgenszteina, który, jak wiadomo, po matce Stefanii Radziwiłłównie, odziedziczył

język polski, którego się nauczył w dzieciństwie jeszcze od matki swej, Polki, Strumiłłówny z domu. W kołach szowinistów rosyjskich uważano go też za pół Polaka i nie bardzo lubiano.

Jeżeli atoli wszystkie te względy świadczyły zawsze o jak najlepszych chęciach dla Polski umierającego Gorczakowa, to nie świadczyły w żadnym razie o jego przenikliwości i znajomości ludzi. Gorczakow znał oddawna Suchozaneta z Warszawy i z czasów kampanii krymskiej, gdzie wyrobił sobie o nim pojęcie jak najlepsze. Uważał go za wybornego administratora, przepowiadał głośno, że Rosya będzie miała kiedyś w jego osobie nowego Barklaja de Tolli. Bodaj nawet czy jego rekomendacye nie przyczyniły się do nominacyi Suchozaneta na wysokie stanowisko ministra wojny. Stosunki zachowali ze sobą zawsze jak najserdeczniejsze i nawet w korespondencyi urzędowej pisali do siebie nie inaczej jak „mój czcigodny przyjacielu“ (moj uważajemyj drug). Suchozanet jednakże, liczący w dobie, gdy siadał w Zamku warszawskim na tron wielkorządcy Polski, około siedemdziesięciu lat, nie był już tym samym, jakim go znano w dawniejszych, paskiewiczowskich czasach. Był to człowiek w gruncie rzeczy tępy, z ciasnym, ograniczonym horyzontem. Natura nie obdarzyła go wyższemi zdolnościami, i brak mu było wykształcenia, a jak każdy człowiek umysłu miernego, który dzięki szczęśliwym okolicznościom wydobył się na wysokie stanowisko, był ufny w siebie, w swój rozum, w swą inteligencyą. Nosił się dumnie i groźnie, tak że go nazwano w Warszawie „Sezostrysem“, gdyż znajdowano w jego twarzy chudej i kościstej, w jego napuszonej śmiesznie postawie, podobieństwo do tego starożytnego zdobywcy egipskiego. Kiedy został ministrem, dał dymisyą przeszło stu jenera-

olbrzymie dobra tego rodu w Mińszczyznie. Otóż zdarzyło się raz, że na obiedzie u siebie, Suchozanet posadził swego adjutanta na pierwszem miejscu, a zdziwionym z tego powodu jenerałom odrzekł: „Sadzam go na pierwszem miejscu, bo to mój pan, a ja jego poddany. Suchozaneci zawsze byli sługami Radziwiłłów“.

łom; obiegała też wtedy po Petersburgu karykatura, na której Suchozanet przedstawiony był w postaci Saturna, koszącego jenerałów jak trawę.

Saturn petersburski był anachronizmem nie tylko w Polsce ale i w Rosyi. Wychowany i wyrobiony w tradycyach despotyzmu mikołajewskiego, uważający wojskowość za szczyt, za kopułę, wieńczącą gmach układu społecznego, żołdak surowy i ograniczony, w żadnym razie nie nadawał się na rządcę kraju, w którym wrzało, w którym wszystko, i ludzie i rzeczy pędziły z szybkością nadzwyczajną w straszną przyszłość dziejowych przeznaczeń. Ruchu polskiego nie pojmował i do poważnej, rozumnej walki z nim nie był zdolny. Otoczony w Petersburgu wojskowymi, którym nie podobały się ustępstwa czynione Polsce, pod wpływem zdradzieckiego pisma Kotzebuego, które czytał, jadąc do Warszawy *ad interium* (zamiast *ad interim)*, jak mówił w kiepskiej łacinie do swych podwładnych, głośno się odzywał, że chce Polskę *obołwanit,* co niby znaczy, obciosać [1]). Te jego zamysły znalazły poparcie szczere i gorące w kamarylli wojskowej w Warszawie, która głośno szemrała na rządy łagodne Gorczakowa, która mu zatruła ostatnie miesiące jego życia, która go popchnęła do strasznych, krwawych represalii, a która była przekonana, że teraz z przybyciem Suchozaneta nastały dawne, dobre czasy rządów i gwałtów militarnych. Do jadącego do Warszawy nowego namiestnika Kryżanowski wysłał w d. 26 maja do Rygi specyalnego feld-jegra z ważnymi papierami i kazał mu tam czekać na przybycie wielkorządcy. Ze swej strony Suchozanet polecał, by mu w Warszawie żadnego przyjęcia publicznego nie robiono.

Rządy swoje nowożytny Sezostrys moskiewski rozpoczął, jak wszyscy zresztą, od przyjęć. W d. 2 czerwca przyjmował dygnitarzy wojskowych, a nazajutrz duchowieństwo katolickie, urzędników i obywateli. Wyszedł do

---

[1]) *Obołwanit*, wyrażenie techniczne artyleryjskie, znaczące obrobienie, wygładzenie działa po jego odlaniu.

nich w śmiesznie groźnej postawie, z rozpuszczoną na pendencie szablą, która głośno dzwoniła, w okularach niebieskich na czoło podniesionych, chwiejąc się na swych cienkich nogach, usiłując sobie nadać powagę, której cała jego postać chuda i mizerna nie miała, przypominająca nie wielkiego wojownika egipskiego, ale osławionego rycerza z Manszy. Do arcybiskupa Fijałkowskiego, ubranego w purpurę, starca zgarbionego i szanownego w swym siwym włosie, przemówił Suchozanet kilka słów po francuzku. „Niech pan jenerał mówi ze mną po polsku, odrzekł arcybiskup, bo po francuzku nie rozumiem“. — „Trudno mi wyrażać się po polsku“, zauważył na to Suchozanet, i mówił dalej kiepską nieco, petersburską francuzczyzną. „Nie rozumiem“, powtarzał Fijałkowski, i na tem rozmowa się skończyła, wywołując u wszystkich obecnych uśmiech z wysoce komicznej sytuacyi wielkorządcy, w jakiej się znalazł. Ale było to jeszcze drobnostką w obec sceny, jaką w kilka dni później rozegrał Suchozanet na przyjęciu reprezentantów kupiectwa warszawskiego, które w d. 9 czerwca stawiło się dość licznie na Zamku. Między nimi znajdował się, znany całemu miastu, kupiec winny R*, dawny znajomy ministra, ubrany w mundur wązki, w piróg (tak zwano kapelusze stosowane) i szpadę, jako sędzia sądu handlowego. Stał on w pozycyi zabawnej, pocąc się w swym mundurze ciasnym, nie mogąc sobie dać rady z nieposłuszną szpadą, i wysłuchując dokoła szyderskich szeptów ze swej postawy i ubrania. Nakoniec ukazał się długo oczekiwany namiestnik, dzwoniąc według zwyczaju szablą, i spostrzegłszy kupca R*, stojącego z nogą nieco naprzód wysuniętą i rękami w tył założonemi, zawołał głosem donośnym: „a to co znaczy? ręce trzymać przy sobie!“ *eto czto znaczit? ruki po szwam!* Przestraszony biedak tak gwałtownie szarpnął rękami, że z głośnym trzaskiem pękł mu na plecach ciasny mundur, wywołując śmiech stłumiony w obecnych i zmieniając powagę przyjęcia urzędowego na jakąś krotochwilę, a Suchozaneta na króla operetkowego. Jeżeli atoli większość bezmyślna zebranych śmiała się ser-

decznie z zabawnej sytuacyi, to ludzie poważni szczerze boleli, patrząc na to i na człowieka, któremu oddano w ręce losy kraju, a który postępuje tak, jakby był komisarzem cyrkułu policyjnego. Prostując się i przybierając groźną postawę, wołał do zebranych Suchozanet: „panowie! starajcie się wszelkiemi siłami przyczyniać do spokoju, bo gdzie jest spokój, tam idzie interes, gdzie idzie interes, tam jest pieniądz, a gdzie pieniądz, tam swoboda prawdziwa!“ I taki człowiek, o którym, mówiąc za poetą rzymskim, trudno nie pisać satyry, miał być pacyfikatorem Polski, rządcą kraju, w którym wszystko wychodziło ze swych karbów, w którym huczały już odgłosy strasznej burzy, który potrzebował rozumu niepospolitego, energii wielkiej i wielkiego serca, by mógł być należycie pokierowanym.

Wieści o takiem wystąpieniu nowego namiestnika dochodziły oczywiście natychmiast do ogółu i dawały pole obszerne i podatne do łatwych tryumfów dowcipnisiom miejskim, do różnych żartów i szyderstw z Sezostrysa, w skórę jenerała moskiewskiego przybranego. W sferach wojskowych, wśród różnych dygnitarzy, przywykłych do głupich mów i czynów swoich zwierzchników, te wystąpienia Suchozaneta znalazły zupełną aprobatę, zwłaszcza na prowincyi. Wnioskowano tam powszechnie, że teraz nastąpi czas działań energicznych, że „kartacze rozstrzygną spór między Polską i Rosyą“. Sam Suchozanet ukazywał się miastu w postawie groźnej i chmurnej, przebiegający ulice wyciągniętym kłusem, otoczony czerkiesami, śmieszny ze swą miną surową, którą widocznie chciał postrach i poszanowanie dla siebie wywołać. Oberpolicmajstrowi Rozwadowskiemu nakazał, by ponowił ogłoszenie, że nie wolno nosić żadnych oznak politycznych i odzieży odróżniającej. Rozwadowski zrobił takie ogłoszenie d. 4 czerwca, dodając w formie niejako wyjaśnienia przyczyny, dla których poraz trzeci w ciągu dwóch miesięcy rzeczony zakaz publikuje; pisze więc: „z powodu wynikłej ze strony mieszkańców pod tym względem wątpliwości, p. o. Oberpolicmajstra zawiadamia, że władza miejscowa za odzież, odró-

żniającą się od zwyczajnej, uważa: czapki rogatywki (konfederatki) i tak nazwane czapki kościuszkowskie, dalej kontusze, żupany, jak niemniej kamizelki, halsztuki i krawaty koloru amarantowego, nakoniec buty kolorowe i inne stroje odznaczające się tak jaskrawością kolorów, jakoteż niezwykłością kroju. Za niestosowanie się do niniejszego winni pociągani będą do odpowiedzialności, jako nieulegli rozporządzeniom władzy".

Suchozanet pilnie teraz patrzał, przelatując przez ulice miasta, czy kto nie nosi zakazanego ubioru, i raz spostrzegłszy jakiegoś jegomościa w czamarce, zaczepił go i skrzyczał. Przechodniom kazał czapki przed sobą zdejmować, tak że weszło w zwyczaj, iż mężczyzni na widok pędzącego namiestnika, chowali się w bramy domów. Niekiedy pojawiał on się pieszo na ulicach, zwłaszcza wczesnym rankiem, oglądał rynsztoki, „srogie wygowory" czyniąc policyi, jeżeli gdzie znalazł zepsuty lub zapadający się mostek, spełniając to wszystko z miną, powagą i namaszczeniem tak wielkiem, jakby na czamarce lub mostku spoczywały już nie tylko losy Polski, ale całego caratu. Wszystko to nie uchodziło wzroku argusowego publiczności, pilnie przypatrującej się nowemu namiestnikowi, i ciekawemu dziwowisku, jakie on swem postępowaniem i zachowaniem się dawał. Śmiano się też z niego szczerze, szydzono i groźna jego postawa nikogo nastraszyć nie mogła; owszem z bystrością i przenikliwością, właściwą dzieciem i narodom, szybko dostrzeżono, że pod tą twarzą kościstą i marsową kryje się nicość i bezgraniczna głupota typowego jenerała rosyjskiego starej szkoły mikołajewskiej. Ucichłe też na chwilę manifestacye postanowiono znowu rozpocząć na wielką skalę, grać dalej w tę niebezpieczną grę, w której na stół dziejowy rzucano losy, nie już jednego pokolenia, ale całej przyszłości narodu.

Sposobności oczywiście potemu nie brakło. Właśnie w tę samą porę, w której w pałacu Belwederskim konał stary kniaź Gorczakow, śmiercią swoją przynosząc istotną szkodę interesom kraju, kraj ten poniósł stokroć większą,

stokroć boleśniejszą i niczem niestety! wynagrodzić się nie dającą stratę; z wieńca jego chwały polskiej, spadał w wieczność jeden z najpiękniejszych i najwspanialszych liści, jakie wykwitły na porozbiorowej glebie smutku i niedoli narodowej. Mówimy tu o Joachimie Lelewelu, największym historyku polskim, przepysznym typie tego pokolenia, które jak gwardya stara umierała, ale się nie poddawało, które po rozbiciu w 1831 r. unosiło na obczyznę, jak Eneasz swe bogi, nieskalaną, niezachwianą niczem wiarę w przyszłość, i idealną, doprowadzoną nieomal do obłędu miłość nieszczęśliwej swej ojczyzny. Jedząc chleb gorzki wygnania, trawiąc się w tęsknocie za krajem, chodząc w bluzie i sabotach robotnika, Lelewel pracował ciężko, szukał, badał i uczył nas wszystkich; pokoleniu żyjącemu wśród nocy niewoli ukazywał majestatyczne blaski potężnej przeszłości.

Wiadomość o chorobie Lelewela przyszła do Paryża d. 21 maja; zaraz też dr. Gałęzowski i Januszkiewicz, emigrant i wydawca dzieł Lelewela, udali się do Brukselli z zamiarem przewiezienia uczonego dziejopisa do Paryża, gdzie i lekarzy lepszych i troskliwszą opiekę mógł znaleść. Stanąwszy nazajutrz w stolicy Belgii [1]), z trudnością zdo-

[1]) „Zastaliśmy Joachima, opowiada nieznany autor (ostatnie chwile Joachima Lelewela p. I.), wspartego na łóżku i dobywającego mozolnie korek z butelki faru. Obok łóżka na piecu, od kilku dni stały szczątki ryby morskiej rei i czarka mleka, pożywienie mogące struć najzdrowszego człowieka. Przytem pościel w strasznem zaniedbaniu zdradzały brak wszelkiej ludzkiej pomocy, którą wyraźnie teraz nawet, jak w ciągu całego życia, Lelewel ze stoicką dumą odrzucał. „Jak się masz panie Joachimie!“ zawołali wchodzący goście, pokrywając bolesne wrażenie, jakie na nich widok chorego starca w takim opuszczeniu robił. „A tak, niedobrze, odrzekł zaledwie patrząc na przychodzących. Nie mogę oto odkorkować butelki, a pić się chce... słaby jestem...“ „A cóż ci to? spytał doktór, chwytając go za puls. To nic, dodał głośno, nachylając się do ucha chorego, który już był mocno ogłuchł, a p. Januszkiewiczowi szepnął: przyjechaliśmy na pogrzeb mój kochany, on ledwie parę godzin pożyje, puls słaby jak u konającego“. Przystąpiwszy do bliższej rewizyi, znalazł lekarz ciało na nogach opadające z braku starań, a łokcie,

łali oni namówić Lelewela, który nie lubiał Paryża, że zgodził się na opuszczenie Brukselli. „Pozwólcie mi umrzec tutaj“, powtarzał. Ustąpił przecie ich naleganiom, a młodzież polska i kilku uczonych cudzoziemców zaprosiło go na obiad pożegnalny [1]). Siedząc już w wagonie przyjmował pożegnania rodaków, tudzież deputacye uniwersytetów Brukselli, Gandawy, Lowanium i Leodyum. Świeże powietrze orzeźwiło go trochę, mówił, że jechać miło i wygodnie, a kiedy pociąg wsunął się w las strojny zielonością wiosny, popatrzywszy chwilę przez okno, rzekł: „trzynaście lat już nie widziałem lasu!“ W Paryżu pomieszczono go w nowym municypalnym domu zdrowia Dubois, na przedmieściu św. Dyonizego [2]), gdzie d. 29 maja, między

---

na których ciągle się opierał, odarte aż do kości, pościel całą przesiąkłą krwią i materyą, słowem stan najstraszniejszego zaniedbania, jakie sobie wyobrazić można“.

[1]) Wybornie charakteryzuje prawdziwie stoicki charakter tego bohatera nauki epizod następujący: „przyjaciele chcieli, żeby wystąpił na tę ucztę w staranniejszej niż zwykle odzieży. P. Januszkiewicz zaczął przeglądać garderobę. Najprzód pokazuje frak, zaledwie w kupie się trzymający, Lelewel woła, że dobry, „ledwie ma lat dwadzieścia kilka“. To go zabierzemy? A naturalnie! Drugi zadość czyniąc życzeniu, kładł niby w kufer, a w istocie zostawiał go pod łóżkiem. Los taki spotkał prawie całą garderobę; zabrano tylko trochę bielizny, która była w lepszym stanie, niż suknie. „Trzeba będzie co do ubrania sprawić“ rzekł p. Januszkiewicz, skończywszy przegląd ubiorów. „A to na co?“ krzyknął Lelewel. „Musisz mieć coś na drogę i w Paryżu do ubrania“, rzekł drugi. „Jeżeli już chcesz koniecznie, to pod św. Mikołajem stoi tandeciarz, co ma wyborne suknie“. Sprowadzono tandeciarza; p. Januszkiewicz wybrał co potrzeba. „Ruina!“ zawołał Lelewel, spojrzawszy na rzeczy. Ale cóż począć, kiedy trzeba! są w biurku pieniądze, weź i zapłać“. P. Januszkiewicz zajrzał do szufladki i naliczył w niej 1300 franków. Poznał niezmienione banknoty, które był świeżo posłał historykowi na rachunek jego książek. Skoro odszedł tandeciarz, chciano ubrać Lelewela, ale tego już żadną miarą dokonać nie było można. „Co? mam się ubierać w nowe rzeczy na drogę? Dajże pokój! a cóż za zbytek! zwala się, zniszczy. Schowaj to, pojadę w starych“. I tak też zrobił, był na obiedzie i pojechał w starych, a nowych nie wdział ani razu“.

[2]) „Żeby nie czynić niemiłego wrażenia choremu, słowo „szpital“ nie było wymówione. Powiedziano mu tylko, że to jest hotel,

godziną 6 i 7 rano, zasnął snem wiecznym cicho i spokojnie [1]). Ciało zabalsamowane złożono na cmentarzu Montmartre. Na pogrzeb zebrała się cała emigracya polska, bez różnicy stronnictw, składając hołd jednej z największych chwał narodowych, i szła od kościoła św. Wincentego aż do mogiły. Nabożeństwo w kościele było wystawne, bo poprzednio odbywało się za jakiegoś spanoszonego kupca, a służba nie zdążyła sprzątnąć przyboru. Obok trumny, niesionej na barkach polskich, szła szkoła polska z Batignolle. Nad mogiłą przemawiali: Ludwik Wołowski, członek instytutu; rabin paryzki Astruc, i rzemieślnik francuski, blacharz z przedmieścia św. Antoniego, Chabaud. „Ten znakomity i zasłużony mąż, kończył swą przemowę Wołowski, ten nieustraszony patryota, umarł; ale doznał przynajmniej najwyższej pociechy. Żył dość długo, aby widzieć, że nauki jego żyły w sercach nowego pokolenia...“ „aby ujrzeć otwierające się usamowolnionym włościanom posiadanie własności i żeby powitać ideę Polski większej i świetniejszej niż kiedykolwiek, wzmocnionej męczeństwem, jak opiewała natchniona niewiasta: „jeszcze Polska nie zginęła, póki za nią giną!“

„O Lelewelu! wołał rabin żydowski, w tych ostatnich chwilach, w momencie kiedy człowiek widzi przed sobą całe dzieje życia, twe serce czuć musiało słodkie i zasłu-

gdzie za pomierną cenę najwygodniej mieszkać można. Lelewel, obaczywszy machoniowe meble, dywany i dwa łóżka wspaniałe, począł krzyczeć na zbytek: „Wyrzucacie przez okno pieniądze!“, wołał stukając laską. Pan Januszkiewicz uspokajał go jak mógł, zapewniając że oni grosza na to nie dają z Gałęzowskim, ale płaci jego pieniędzmi, przytem wyrachował, że za dochód z wydanych książek swoich będzie mógł tu żyć przez lat dziesięć, nie potrzebując grosza od nikogo. Improwizowany ten rachunek i pewność, że z cudzej kieszeni nie żyje, uspokoiły nieco Lelewela, a znalazłszy się w wygodnem łóżku, o dziesiątej wieczorem, przyjaciele wychodząc, zostawili go śpiącego dość smacznie“.

[1]) „O szóstej rano przebudził się, i na zapytanie kobiety, czy chce bulionu, odpowiedział coś po polsku, poczem odwrócił się do ściany i zasnął, a kiedy kobieta przyniosła mu filiżankę rosołu o siódmej, przekonała się, że nie żyje“.

żone wynagrodzenie. Mogłeś sobie powiedzieć, że rady twe wysłuchanemi zostały, że współobywatele twoi zostali spadkobiercami twych wielkich myśli, a jako patryarcha biblijny, mogłeś na łożu śmierci przesłać ostatnie błogosławieństwo dzieciom twym w Warszawie, tym młodym ludziom chrześcijanom i żydom, wczoraj rozdzielonym przez nienawiść, a dziś już połączonym w bratnim i patryotycznym uścisku. Bądź więc i ty błogosławionym, a pamięć o tobie, święcie przez ziomków zachowywana, na wieki żyć będzie w sercach wszystkich Izraelitów świata i wszystkich przyjaciół ludzkości".

Najbardziej jednak polityczną, choć najkrótszą była mowa rzemieślnika. Czuć w niej było zaczątki tej platonicznej, niestety! sympatyi ludu francuskiego do Polaków, która z czasem łudząc nasz naród, jak miraż w pustyni wędrowca spragnionego, popchnąć nas miała do aktu istotnego samobójstwa. „Wielka to boleść dla Francuzów, mówił Chabaud, widzieć tylu polskich wygnańców, umierających na obcej ziemi, zanim wielka strata mogła być wynagrodzoną. Bo mamy do wypłacenia dług Polsce, tego nie zapomnieliśmy. Chcielibyśmy jak najprędzej być w możności oddania go wkrótce... jutro... im wcześniej, tem lepiej. Kiedy profesor Lelewel wyrzekł w wigilią rewolucyi Belwederskiej: „naprzód młodzieńcy, czyńcie waszą powinność", wszyscy byli bohaterami. Lecz my we Francyi, jeżeli nie wykonaliśmy wtedy naszej, to dla tego tylko, że ci, co nami rządzili, okuli w kajdany naszą odwagę. Jeżeli nie zostało dane patryarsze demokracyi polskiej wrócić do wolnej ojczyzny swojej, przynajmniej w godzinie ostatniej miał tyle pociechy, iż mógł dostrzedz zaranie powrotu. Tym razem nasze wspólne nadzieje nie będą zawiedzione; nie zdołamy wypowiedzieć wam, jak głęboko poruszeni zostali wszyscy robotnicy ostatnimi wypadkami warszawskimi. My nie znamy w naszych pracowniach trudności dyplomatycznych, to co wiemy i co możemy powiedzieć głośno i ze serca, jest, że w dniu, w którym Napoleon oświadczy się za niepodległością Polski, jak się już oświad-

czył za niepodległością Włoch, znajdzie wszystkich Francuzów gotowych do wszelkich poświęceń. Nie ma robotnika francuskiego, który nie oddałby z rozkoszą życia swego za Polskę, bo Polska to jeszcze Francya".

Zgon takiej osobistości, jak Lelewel, wróg nieprzejednany Rosyi, członek Rządu narodowego w roku 1831, wielki uczony i prawdziwy twórca dziejów polskich na skalę nowożytną, był wyborną sposobnością dla agitacyi. W uczczeniu pamięci Lelewela wszystkie stronnictwa polskie, i biali, i czerwoni, i bezbarwni, wszystkie warstwy wziąć udział musiały. Kiedy więc wieść o jego śmierci przyszła do Warszawy, postanowiono urządzić szereg nabożeństw po kościołach, z wyraźnym charakterem manifestacyjno-politycznym. Pierwsze takie nabożeństwo, ciche, skromne, będące rodzajem próby, jak rząd i policya na to zapatrywać się będzie, odbyło się dnia 7 czerwca, w kościele OO. Reformatów, zamówione jak się zdaje, przez sfery naukowe i literackie Warszawy. Osób stosunkowo było nie wiele i mów żadnych. Właściwe zaś uroczyste nabożeństwo, wyprawione przez wszystkie warstwy miejskie, miało się odbyć nazajutrz dnia 8 czerwca, w kościele św. Krzyża; gdy się jednak dowiedziano, że w dniu tym ma nastąpić eksportacya zwłok zmarłego namiestnika, zdecydowano odłożyć rzeczone nabożeństwo na dzień 10-go czerwca (dnia 9. przypadała niedziela). Tegoż jednak dnia 8. czerwca, ponieważ to był szabas żydowski, w synagodze na Daniłowiczowskiej ulicy, żydzi odprawili według swego obrządku uroczyste nabożeństwo, na którem mnóstwo Polaków się znajdowało. Znany nam już rabin żydowski, Jastrow, wygłosił mowę po polsku, w której podnosił zasługi zmarłego historyka, jako uczonego i naczelnika stronnictwa na emigracyi, jako obrońcę żydów i ich przyjaciela. W zapale porównał mówca zmarłego do Mojżesza, walczącego z Faraonem o wolność opuszczenia Egiptu i wiodącego swój lud przez pustynię smutku i niedoli do ziemi obiecanej; stawiał go za wzór mocy charakteru

i wytrwałości. Obecną chwilę kaznodzieja porównał do mroku nocnego, po którym zajaśnieje jutrzenka.

Tymczasem miasto gotowało się do wielkiej uroczystości poniedziałkowej. Zarządzono składki, które zbierały kwestujące po domach prywatnych kobiety; uczniowie gimnazyów dawali na ten cel po dwa złote z osoby. Miejsca w prezbiteryum i na chórze kościoła św. Krzyża sprzedawano wybitniejszym osobistościom po 10 rs. za każde, tak że w ogólności znaczna zebrała się suma. W kościele na środku ustawiono wspaniały katafalk, przed którym na odpowiedniem wzniesieniu umieszczono biały biust zmarłego historyka, który w czasie nabożeństwa uwieńczyli profesorowie Akademii medycznej, Janikowski i Prażmowski. Najznakomitsze damy kwestowały, przyczem miano zebrać około trzydziestu tysięcy złp. Pieniądze te przeznaczone zostały na cele oświaty narodowej [1]). W tymże samym dniu i czasie odbywały się takież nabożeństwa po innych kościołach warszawskich. U Dominikanów zamówili je robotnicy z fabryki poblizkiej Ewansa, na co zebrali między sobą rub. sr. 45. U Kapucynów celebrował biskup Dekert. Wszędzie rozdawano modlącym się cynkograficzne kartki z krótkim opisem życia Lelewela. W tonie niezwykle spokojnym, bez uniesień i patosu, tak pospolitego w tej epoce, nieznany autor opowiadał wielkie zasługi zmarłego dla ojczyzny i wolności. „Ciało, — woła w końcu — obca pokrywa ziamia, lecz duch jego żyje i żyć będzie śród rodaków, którzy łącząc się wspólną miłością ojczyzny, pracą, jednością, braterstwem, słowem cnotami, co błyszczały na każdym kroku życia Joachima, oddadzą najwyższą cześć dla nieśmiertelnych jego czynów. Pogarda zaś zbytku i prostota życia, jakich zmarły zostawił przykład, niech będą zewnętrzną oznaką przyjęcia jego zasad, które w ser-

[1]) Tak utrzymuje korespondent „Czasu“. *N. Berg* pisze („Zapiski“, 319), że poszły one „na sprawę ojczyzny“ (na dieło otczizny). *Chrulew* w swym „Dniewniku“ („Warszawskija manifestacii w 1861 godu“ — „Kołosia“ Nr. 11. z 1884 r., p. 91), nic nie mówi o celu tych składek.

cach Polaków uświęci smutny obrządek dzisiejszy. Światłość wiekuista, którą za życia tak umiłował, niechaj mu świeci na wieki".

Na nabożeństwie u OO. Kapucynów, wśród przepełnionego publicznością kościoła, uwagę powszechną na siebie zwrócił, swą postawą i strojem, niejaki Garliński, starzec ośmdziesięcioletni, obywatel z Płocka, który umyślnie przyjechał do Warszawy, żeby zobaczyć, co się też tu dzieje, i został przyprowadzony do kościoła przez uczniów szkoły sztuk pięknych. Jego pyszna, ozdobiona dużym, jak mleko białym wąsem, typowa twarz polska, pełna jeszcze czerstwości, wspaniały kontusz z wylotami, żupan złocisty pod spodem, pas lity i buty żółte, postawa wyniosła i w ręce biała konfederatka, stały się przyczyną tłumnego zbiegowiska, gdy Garliński, wyszedłszy z kościoła, ukazał się na ulicy. Otoczono go dokoła, przypatrywano mu się chciwie, unoszono nad jego strojem i miną. Agitatorzy skorzystali z tej okoliczności, wzięli go pod ręce i zawiódłszy do ogrodu Saskiego, oprowadzali po jego alejach, przyczem towarzyszył im ogromny tłum ciekawych [1]).

Na prowincyi także odbywały się wszędzie nabożeństwa żałobne po zmarłym wielkim historyku polskim. W Kijowie, gdzie studenci uniwersytetu się tem zajęli, zjawili się w miejscowym kościele katolickim nawet niechętni Polakom Rusini; w Wilnie ogromny kościół pouniwersytecki św. Jana był przepełniony publicznością, przeważnie warstw wyższych i młodzieżą szkolną. Nabożeństwo odbyło się dnia 9. czerwca, t. j. w niedzielę. Ksiądz Bułhak, Franciszkanin, miał mowę, przesiąkniętą tym gorącym, rewolucyjno-mistycznym patryotyzmem, jaki tę epokę cechuje. Wspomniał o przeszłych czasach Polski, o jej dniach świetnych, „pełnych nauki i sławy", chwalił „młódź cnotliwą", radził, żeby nie upadać na duchu, wierzyć stale i niewzruszenie w przy-

[1]) Zbiegowisko było tak znaczne, że Suchozanet telegrafował o tem do cesarza: dnia 29 maja (10 czerwca), w ogrodzie Saskim było dość dużo publiczności, przy zupełnem zachowaniu należytego porządku".

szłość lepszą i szczęśliwszą, że „każdy musi umrzeć, a więc lepiej umrzeć za ojczyznę, co wysoko jest cenione tam w niebiosach i tu na ziemi“ [1]).

W Warszawie nie poprzestano jednak na tych objawach czci dla zmarłego, zwłaszcza wśród żydów. W tydzień przeszło potem, bo dnia 17. czerwca, zarządzono nabożeństwa naraz w trzech bóżnicach: na Daniłowiczowskiej, gdzie pojawiła się w kostyumie polskim niejaka Wasińska, córka piekarza [2]); na Nalewkach i na Pradze. Na Nalewkach wygłoszono uroczystą mowę, chwalącą zasługi Lelewela, i odśpiewano z wielkiem namaszczeniem 80-ty psalm Dawida: „O! pasterzu Izraelski, posłuchaj... O Boże! przywróć nas, a rozjaśnij nad nami oblicze Twoje, a będziemy zbawieni. Panie, Boże zastępów! dokądże się będziesz gniewał na modlitwę ludu swego? Nakarmiłeś je chlebem płaczu i napoiłeś je łzami miarą wielką. Wystawiłeś nas na zwadę sąsiadom naszym a nieprzyjaciołom naszym, aby sobie z nas śmiech stroili“. Słowa tego psalmu, potężnego w swej wymowie, zwłaszcza skarga bolesna: „nakarmiłeś je chlebem płaczu i napoiłeś je łzami“, oraz trzykrotnie, przez chór śpiewaków, znakomicie dobrany, wygłoszone zakończenie: „O Panie, Boże zastępów, rozjaśnij nad nami oblicze Twoje, a będziemy zbawieni!“ sprawiły na obecnych wrażenie tak silne, że wielu głośno płakało...

To umiejętne stósowanie wszelkiego rodzaju efektów, te nabożeństwa, śpiewy, to rozmiłowanie się w obchodach żałobnych, modlitwy za ojczyznę, utrzymywały ciągle umy-

[1]) O kazaniu tem, z rozporządzenia Nazimowa, doniesiono biskupowi Krasińskiemu, żądając, by Bułhak został ukarany. Biskup tak na to odpowiedział: „ponieważ Bułhak przebywa w klasztorze Franciszkańskim jako nowicyusz, i do czasu ukończenia studyów nie ma prawa mówić kazań, więc wzbroniono mu tak w kościele OO. Franciszkanów, jak i w innych kościołach wileńskich wygłaszać kazań, dopóki zwierzchność dyecezyalna na to nie pozwoli“.

[2]) Wasińskiej, ponieważ była urodzoną w Krakowie, kazano wyjechać do tego miasta.

sły w stanie gorączki i wzburzenia. Co wieczór nieomal zgromadzały się tłumy przed figurą Matki Boskiej na Krakowskiem Przedmieściu, u Reformatów na ulicy Senatorskiej, przed św. Janem Nepomucenem na placu Bankowym, wszędzie jednem słowem, gdzie tylko można było, i padłszy na kolana, odśpiewywały: „Boże, coś Polskę“, „Z dymem pożarów“, lub tym podobne hymny patryotyczne. Zjawiła się nawet pieśń, zatytułowana „modlitwa Moskali“, w której ci ostatni skarżą się na to, że są „narzędziem tyrańskiwa“, na swą dzikość i barbarzyństwo i każdą strofkę kończą błaganiem: „lud nasz nieszczęsny racz oświecić Panie!“ [1]). Obok pieśni, sprzedawano publicznie po ulicach małe obrazki, pełne emblematów patryotycznych, krzyży złamanych, palm, wieńców cierniowych. Bardzo rozpowszechnioną np. była litografia, dość zresztą nieudatna, przedstawiająca dorożkarza, który wyprzągłszy konie z dorożki, prowadzi je ku armacie, przeznaczonej oczywiście na to, by służyła przeciw Moskalom [2]). Po sklepach i składach sprzedawano pasy z klamrami blaszanemi, na których od-

[1]) Pieśń ta, jeżeli wierzyć można autorowi książki p. t.: „Galicya czyli rok 1863 i 1864. (Lipsk. Kasprowicz. 1865), została napisaną przez pannę Henrykę Pustowojtów, córkę jenerała rosyjskiego, zamieszkałą w Lublinie. Pierwsza strofka tak brzmi:

„Boże, coś Rosyą przez tak długie wieki
Trzymał w ciemnościach na hańbę ludzkości,
Coś jej odmawiał dotąd swej opieki,
Robiąc narzędziem tyrańskiwa i złości.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Lud nasz nieszczęsny, racz oświecić Panie!“

[2]) Na litografii tej, obok armaty, znajduje się jaszczyk, na którym wyrysowany jest herb Polski i Litwy, (orzeł i pogoń). Na dole jest napis: „wolność, równość, niepodległość“, u góry zaś: „Boże błogosław naszym zamiarom“. W zbiorach naszych, niestety! niekompletnych, posiadamy kilkanaście tego rodzaju obrazków. Na jednym chłop, uzbrojony w kosę, ściska się ze szlachcicem w kontuszu, i z robotnikiem we fartuchu i młotem w ręku. Portrety Kościuszki, Kilińskiego, kilkakrotnie się pojawiają. Pod każdym takim obrazkiem jest napis stósowny.

ciśnięte było wyobrażenie krzyża złamanego i nieuniknionej korony cierniowej i palmy męczeńskiej; kobiety nosiły broszki, szpilki i medaliony, przeważnie z lawy wyrabiane, z takimiż emblematami; bransoletki w formie kajdan; pierścionki z orłami polskimi i pogonią litewską. Spekulacya, zwłaszcza żydowska, skorzystała z tego, i wyrabiając wszystkie te przedmioty w ogromnej ilości, rozsyłała je po całym kraju, zyskując grubo, a zarazem przyczyniając się do wzrostu tej strasznej gorączki, która opanowała głowy i serca polskie. W Warszawie, oprócz sklepów, wszystkie te przedmioty, osobliwszej zaiste mody, sprzedawano publicznie po ulicach, przy wejściu do kościołów, w ogrodach spacerowych, w hotelach i t. p. Nie było prawie dnia, żeby garść najostatniejszych uliczników, charakterystycznie zwanych w Warszawie „łobuzami“, nie obraziła kogoś na ulicy, a nawet czasem nie pobiła, czy to za noszenie na głowie cylindra, czy za niezachowanie przez kobietę żałoby, czy nakoniec za podejrzenie o szpiegostwo. Szpiegów ścigano zawzięcie, i biada temu, na kogo padło tego rodzaju podejrzenie ulicy.

Przeciw tym napaściom ulicznym oberpolicmajster Rozwadowski ogłosił w dniu 14-go czerwca odezwę, jak gdyby nie wiedział, że wśród rozhukanego motłochu, wszelkie odezwy i słowa rozsądku są grochem na ścianę, są głosem wołającego na puszczy. „Od niejakiego czasu, pisał, powtarzają się w mieście tutejszem czyny niesforności i gorszącej swawoli, jako to: wyrządzanie nieprzyjemności, obelg i czynnych pokrzywdzeń różnym osobom prywatnym, a nawet kobietom; nieposłuszeństwo urzędnikom i oficyalistom służby policyjno-wojskowej i policyjnej, w imieniu prawa działającym, oraz rozmyślne utrudnianie i tamowanie działań władz tych, występujących za (sic) utrzymaniem spokojności i należytego porządku; wreszcie zakazane manifestacyjne zbiegowiska, ubiory i śpiewy. Takie nadużycia ulegają przepisom kodeksu kar głównych i poprawczych. Ponieważ władza policyjna wedle takowych z wszelką ścisłością obowiązana postępować, przeto

dla wiadomości dokładnej każdego podaje się tutaj artykuły tegoż kodeksu, do wyż wzmiankowanych przypadków odnoszące się". Kary te, z których najwyższa groziła aresztem trzechmiesięcznym [1]), oczywiście nie przestraszały nikogo. Z odezwy nic sobie nie robiono, nie czytano jej wcale, zwłaszcza, że w parę godzin po jej pojawieniu się pozrywano ją prawie wszędzie.

Kocie muzyki wyprawiano ciągle [2]); ruch rewolucyjny przybierał obszerne rozmiary, grożące katastrofą, szalonym wywrotem społecznym. Do zwiększenia się tego ruchu przyczyniło się w tym czasie bardzo wiele rozpu-

---

[1]) „Kto jakim gwałtownym czynem, cytował Rozwadowski artykuł 302. K. K. G. i P., zobelży straż wojskową i policyjną, albo sługi władz sądowych i innych w czasie wykonania przez nich służby, ten ulegnie karze aresztu od trzech dni do trzech miesięcy, stósownie do okoliczności, winę jego zwiększających lub zmniejszających". Art. 665. „Ktoby na ulicy, placu, lub w innem miejscu publicznem, wobec mniej lub więcej licznego zgromadzenia osób, pobudzał jakimbądź sposobem do kłótni, bitwy lub innego rodzaju burzliwości, i wogóle do naruszenia porządku i spokojności, ten stosownie do rodzaju i ważności nieporządku, do którego pobudzał, w miarę innych zwiększających lub zmniejszających winę okoliczności, ulegnie aresztowi od dni 7 do miesięcy trzech. Art. 666. Jeżeli zgromadzony na ulicy, placu, lub innem publicznem miejscu tłum ludzi, dopuści się jakiegobądź nieporządku, choćby nie tak ważnego jak te, które w art. 274, 275, 276, 278 i 283 wymienione, jednakże takiego, jakimi są: hałas, krzyk, lub inne nieprzyzwoitości, i na wezwanie policyi natychmiast nie rozejdzie się, wówczas uporczywie rozkazom zwierzchności policyjnej nie ulegli ukarani zostaną aresztem od trzech do siedmiu dni, a ci, którzy hersztami zrządzonego nieporządku byli, lub do niego pobudzali, ulegną karze w poprzedzającym, 665 artykule oznaczonej".

[2]) *N. Berg* (Zapiski, 321), opowiada, że znalazł się nawet „dyrektor, czyli kapelmajster kocich muzyk", który za pewną, oznaczoną sumę, obowiązywał się wyprawić, komu trzeba, koncert piszczący. Za kocią muzykę z wybiciem szyb, płaciło się rs. 15, bez wybicia rs. 10, czasem taniej, stósownie do okoliczności. Ów dyrektor kocich muzyk kazał się nawet odfotografować ze wszystkimi emblematami swego rzemiosła. Fotografia ta przyczyniła się do tego, że go schwytano i wsadzono do cytadeli. Za autentyczność tej wiadomości, zresztą małego znaczenia, nie ręczymy.

szczenie młodzieży szkolnej na wakacye, o wiele wcześniejsze, niż zwykle. Wielopolski, jako dyrektor komisyi oświecenia, chcąc mieć czas swobodniejszy do reorganizacyi szkół oraz w chwalebnym zamiarze powołania do tej wielkiej pracy nauczycieli szkolnych, jeszcze w dniu 7-go maja polecił, ażeby rok szkolny wcześniej niż zwykle, bo w dniu 10-go czerwca się zakończył. Rozporządzenie to w kilka dni później (17. czerwca) uzupełnił tem, że czas wakacyi, zawsze „z powodu rozpoczętych prac nad organizacyą zakładów naukowych“, przedłużył do dnia 1. października, a jak obaczymy później, aż do Nowego roku. Polecił prócz tego jak najsurowiej, ażeby uczniowie, których rodzice nie zamieszkują stale w mieście, w którem dana szkoła istnieje, niezwłocznie oddalali się do domów rodzicielskich. Co do Warszawy, obostrzył to swoje polecenie tem, że pod żadnym pozorem nie pozwalał do niej młodzieży w czasie wakacyi przyjeżdżać, „jak tylko za szczególnem do każdego przypadku pozwoleniem dyrektora głównego prezydującego w komisyi oświecenia, które mianowicie udzielane będzie uczniom nienagannego dotąd prowadzenia się, o ile ich rodzice, lub opiekunowie udowodnią, że pozostawiają ich tutaj dla przygotowania się w naukach, pod kierunkiem nauczycieli tutejszych, do tego ukwalifikowanych, i którzy w razie takim za dalsze prowadzenie się tychże uczniów, zarówno z rodzicami i opiekunami, odpowiedzialni będą“. Od nakazu natychmiastowego opuszczenia Warszawy wyjęci zostali tylko uczniowie gimnazyum realnego, pod śledztwem sądowem zostający, z powodu wiadomego zburzenia sztachet. Wreszcie Wielopolski przemawiał do młodzieży, by „czasu wakacyi tym sposobem przedłużonych, użyła na pracę domową, tak w celu wynagrodzenia sobie czasu, przez wielu z nich na marnych i dla nich niewłaściwych zajęciach straconego, jako też i dla tego, że nowe programata zakładów, mianowicie filologicznych, oraz niektórych wydziałów Szkoły Głównej wyższego usposobienia w językach starożytnych od wstępujących do nich uczniów wymagać będą. Przy

przyjmowaniu uczniów do zakładów z nowej organizacyi dodatkowe egzamina będą miały miejsce jak w ogólności, tak mianowicie co do uczniów klas, w ciągu roku zamkniętych". Przez dodatkowe wreszcie rozporządzenie z dnia 24 czerwca, polecał, by uczniowie „według obowiązujących przepisów, odkrywali głowy przed osobami wyższej hierarchii duchownej, cywilnej i wojskowej, oraz własnymi zwierzchnikami; że nie wolno im jest nawet w czasie wakacyi używać innej odzieży, jak tylko przepisanych mundurów, ani nosić jakiegokolwiekbądź rodzaju lasek. O tem władza policyjna dla stósownego dopilnowania, mianowicie w ogrodach i innych miejscach publicznych, zawiadomioną zostaje, a uczniowie, uchybiający przeciwko tym przepisom karności, oprócz użycia przeciw nim środków policyjnych, narażą się na relegacyą ze szkół".

Jeżeli surowe polecenie wyjazdu młodzieży szkolnej z Warszawy i miast znajdowało swe słuszne powody w tem, by stolicę oswobodzić od gromad próżnującej, a zatem najpodatniejszej do ruchu rewolucyjnego młodzieży szkolnej, to miało ono tę złą stronę, że gorącym tym żywiołem napełniało prowincyą, która dotąd brała wprawdzie udział w ruchu, ale sporadycznie, bez ciągłości i bez systematu. Wyprawiwszy komu kocią muzykę, zaśpiewawszy na nabożeństwie „Boże, coś Polskę", miasta i miasteczka zapadały znowu w swój senny żywot, nadsłuchując wieści z Warszawy. Teraz atoli miało się inaczej dziać; teraz przybywała młodzież szkolna, niosąca na sobie pył wielkomiejskiej burzy, rozgorączkowana, rozkochana w zaburzeniach, w odgrywaniu roli patryotów i kierowników ruchu. Wsie, dwory wiejskie, plebanie, śpiące snem cichym, kiwające głowami nad tem, co się dzieje w Warszawie, miały teraz rozbrzmieć pieśniami; kościółki wiejskie nabożeństwami za „ludzi zasłużonych ojczyźnie", lub też „za pomyślność tej ojczyzny". Jednem słowem, jeżeli Czerwieńcy nie mieli dotąd ajentów, którzyby mogli kraj na wielką skalę zrewolucyonizować, to teraz tacy ajenci się

znaleźli, i jacy jeszcze ajenci! najgorliwsi, najczynniejsi, najbardziej niezmordowani.

Był to zatem błąd ze strony Wielopolskiego, błąd oczywiście taki, którego uniknąć nie można było, którego skutki widziało się doskonale, lecz zapobiedz im było niepodobieństwem. Wakacye, czy dłuższe, czy krótsze, młodzieży szkolnej z porządku rzeczy dane być musiały, a już lepiej było pozbyć się jak najprędzaj tej młodzieży z miast, rozpędzić ją po kraju, niż dozwalać jej na pozostawanie w skupieniu, wśród wartkiego prądu rewolucyi. Przedłużenie samych wakacyi było złem nieuniknionem wobec naglącej potrzeby reorganizacyi szkół. Zadanie takie nie improwizuje się, wymaga czasu i zastanowienia. Wielopolski pracował ciężko, ani chwili nie zostawiał sobie spoczynku, ale po trzydziestoletnich rządach destrukcyjnych trzeba było wszystko stwarzać, na nowo budować. Uskarżano się w kraju, że Wielopolski opóźnia wprowadzenie reform, jak gdyby tego rodzaju akta można było stwarzać jednem Bożem słowem: „stań się!“; że przygotowywał prawa w cichości, że okrywał siebie i swe plany tajemnicą. W tych zarzutach, które znajdowały echo w pismach zagranicznych, było nieco prawdy, ale takie postępowanie leżało najprzód w charakterze margrabiego, a potem w jego położeniu względem kraju i w samych zresztą ustawach krajowych. Rząd rosyjski nigdy się nie pytał ogółu o to, czy takie lub inne prawo będzie dobre, tylko je nadawał; zmiana nagła przyjętego postępowania dawałaby licznym nieprzyjaciołom margrabiego i intrygantom w kamarylli wojskowej, otaczającej namiestnika, oraz w jego kancelaryi, tej istnej stajni Augiasza, jedną więcej broń przeciw ministrowi polskiemu. Sytuacya jego była bardzo trudna i bardzo śliska, jaką jest zawsze każda sytuacya Polaka, chcącego dobra krajowego pod rządem rosyjskim, rządem złym, nieuczciwym, tyrańskim i podejrzliwym.

Mimo to Wielopolski, nie zważając na krzyki i skargi, swoje robił. Organizacya Komisyi wyznań i oświecenia publicznego powierzoną została przez niego urzędnikom

byłego kuratorstwa. W tej kwestyi zresztą nie chciał on nic nowego wprowadzać, i nawet trudno by było coś nowego uczynić. Właściwie dla sprężystości działania należałoby utworzyć istotne ministeryum w znaczeniu zachodniem, a nie wielogłową komisyą, w której dyrektor był tylko prezesem, a nie rządzącym ministrem. Wszystkie ministerya polskie były w ten sposób uorganizowane, zdaje się na stary wzór pruski[1]). Były to machiny ciężkie, ospałe, w których wszelkie sprawy decydowały się większością głosów. Organizacya była wadliwa i anarchiczna w gruncie rzeczy, jakkolwiek za Paskiewicza przynosiła ona, dzięki wyjątkowemu położeniu kraju, pewne korzyści. Ograniczając swobodę działania dyrektora głównego, ratowała ona wiele rzeczy i wiele instytucyi. Pod rządem złym, jakim był rosyjski, kraj w samej swej błędnej organizacyi znajdował ratunek. Wielopolski tego ustroju ministeryów polskich nie mógł zmieniać, choćby dla tego, że sam rząd krzywo by może na to patrzał, dzięki swej niechęci do wszelkich inowacyi; chociaż inowacye dla niego samego, dla jego idei zupełnej asymilacyi Polski, idei tkwiącej w głębi ostatecznych zamiarów rosyjskich, byłyby korzystne. Nie chciał więc pozwolić na to, by nowo powstająca Komisya oświecenia nosiła tytuł ministeryum, a jej dyrektor ministra, choć minister, według pojęć zachodnich, był samowładnym panem w swym wydziale i mógłby właśnie robić wszystko, nie odwołując się do członków Komisyi. Na szczęście kraju, w rządzie tego nie pojmowano i utworzono Komisyą, której organizacyą wewnętrzną powierzono Wielopolskiemu. Ten nie miał na tyle czasu, by się mógł wszystkiem zająć, może nie zastanawiał się bliżej nad tą sprawą, ani nad jej doniosłością, może wreszcie w chęci przywrócenia wszystkich form rządu z przed 1831 r. nie chciał żadnych zmian, dość, że polecił swym podwładnym, aby ściśle w organizacyi Komisyi trzymali się wzoru z doby Królestwa konstytucyjnego. Powstała więc

[1]) *Lisicki,* Le marquis II, 204.

Komisya, podobna do innych tego rodzaju instytucyi polskich, istny anachronizm, złożona ze stałych członków, z dyrektorów różnych wydziałów służby pod prezydencyą dyrektora głównego, oraz z rady ogólnej, prezydowanej przez tegoż dyrektora, który miał w niej taki sam głos, jak i jego podwładni. W wydziale wyznań religijnych mieli zasiadać, zawsze według dawnego wzoru, trzej duchowni katoliccy, delegat arcybiskupa unickiego i dwóch protestanckich (luterski i kalwiński). Ta prawdziwa wieża Babel, tworzyła w Komisyi „sekcyą duchowną“, z głosem doradczym. Wielopolski w sprawie unickiej miał z nieboszczykiem Gorczakowem konferencyą, który go zapewnił, że rząd niema wcale zamiaru przerabiania unitów na prawosławie, zastrzega sobie tylko, że nie będzie tolerował „propagandy łacińskiej“. To zastrzeżenie oczywiście wywołało konieczność istnienia osobnych delegatów unickich w sekcyi duchownej, czego Wielopolski, w dobrze zrozumianym interesie narodowym, chciał uniknąć, zlewając w reprezentacyi komisyjnej oba rytuały. Taką była organizacya wewnętrzna nowej Komisyi oświecenia, organizacya kulawa, ciężka, bezładna, nie odpowiadająca potrzebom kraju i czasu; organizacya powstała niejako poza Wielopolskim, który, powtarzamy, mało się nią zajmował, pozostawiając ją całkowicie swym podwładnym.

Za to gorliwie się zajął nakreśleniem programu przyszłego wychowania publicznego. W tym względzie znalazł szczere, serdeczne i umiejętne poparcie w resztkach tych sił nauczających polskich, jakich rządy Muchanowa nie zdołały jeszcze zupełnie zniszczyć. Głównym pomocnikiem margrabiego w tem zadaniu wielkiem był Józef Korzeniowski, znakomity powieściopisarz i dramaturg, niesłusznie przed paru laty za powieść p. t.: „Tadeusz bezimienny“ zaliczony przez Klaczkę do rzędu „odstępców“, wychowaniec liceum krzemienieckiego, pedagog wytrawny, umysł wyższy, za Muchanowa wizytator szkół i w tym charakterze jedyny może obrońca języka narodowego w szkołach. Chory, złamany przez wiek, co dzień o godzinie 5-tej rano

przybywał ze wsi, gdzie lato przepędzał, do biura, i kaszląc, stękając, siląc się mocą swego ducha podniosłego, pracował nad sprawą reorganizacyi naukowej kraju. Było to istotne, głębokie poświęcenie; patryotyzm za wzór mogący służyć, gdyż starcem, stojącym nad grobem, nic już powodować nie mogło, tylko szczera i bezinteresowna miłość ku ojczyźnie i ku obowiązkom względem niej. Tego jednak nie uznawano wtedy; opinia bezmyślna widziała patryotyzm nie w pracy cichej dla dobra ogólnego, ale w wybijaniu szyb zdrajcom mniemanym, w czamarkach i konfederatkach amarantowych.

Oprócz Korzeniowskiego dopomagali margrabiemu i inni, przeważnie szczątki dawnych ciał naukowych polskich. Święty ogień, pożerający Wielopolskiego, przenikał w ich serca i głowy; byli to ludzie wszyscy już nie młodzi, a zatem nie mogący się spodziewać wielkiej karyery urzędowej, a dobrą sławę swoją, za współpracownictwo z Wielopolskim, widzieli narażoną na włóczenie po błocie ulicznym przez patryotów improwizowanych. Mimo to nie cofnęli się, dopomagali swym rozumem i doświadczeniem olbrzymiemu zadaniu, jakie przedsięwziął margrabia. Jeszcze w maju wezwał on wszystkich zwierzchników zakładów naukowych i osoby, znane z nauki w kraju, aby nadesłały mu swe spostrzeżenia co do zamierzonej reformy szkół. W ciągu dwóch miesięcy (od d. 19 czerwca do 22 sierpnia) nadesłano mu z różnych stron 38 obszernych memoryałów, między którymi znalazła się także praca Romualda Hubego, który, jak wiadomo, mieszkał w Petersburgu, i oprócz prac w komisyi kodyfikacyjnej, miał także dane sobie w swoim czasie polecenie opracowania nowego programu wychowania publicznego. Znany nam już lekarz entuzyasta, Tytus Chałubiński, wygotował także memoryał w tej sprawie, i kładł w nim głośny nacisk na szerokie wprowadzenie do szkół wykładu nauk przyrodniczych. Ta ilość znaczna memoryałów świadczy, jak sprawa wychowania leżała na sercu wszystkim ludziom i jak gorliwie o niej myślano. Oczywiście między tymi projektami było

wiele przesiąkniętych obskurantyzmem, wiele niepraktycznych, wiele niemożliwych w wykonaniu, ale wszystkie nosiły na sobie gorącą chęć i pragnienie, by młodzież wychowywana była na podstawach narodowych [1]). Pracę podzielił Wielopolski w ten sposób, że redakcyą projektu ogólnej natury wychowania publicznego powierzył Korzeniowskiemu; zakładów zaś specyalnych, technicznych i agronomicznych Przystańskiemu, dyrektorowi instytutu agronomicznego w Marymoncie. Utworzono Radę wychowania, do której powołano wszystkie prawie znakomitości naukowe ówczesne, w liczbie 25 osób, których imiona, dobrze zasłużone krajowi, świadczyły aż nadto wymownie o podstawach czysto polskich, na jakich się oprze przyszłe wychowanie publiczne [2]).

Ta cicha, ale rzetelne mogąca krajowi przynieść korzyści praca, to odbudowywanie mocno wstrząśniętych fundamentów bytu narodowego, nieznane tłumowi, nie uderzające wyobraźni błyskotliwością, nic nie pomogło. Wielopolski był ciągle solą w oku agitatorów i szlachty, nie mogącej mu darować zniesienia Towarzystwa rolniczego. Prasa była mu wprost nieprzyjazna; „Gazeta Polska“ wychwalała i podnosiła pod niebo Cavoura, jako prawdziwego

[1]) O podanie projektu co do wychowania młodzieży żydowskiej, wezwany został przez Wielopolskiego znany nam już kaznodzieja, Izaak Kramsztyk. Projekt taki on wygotował. Można go czytać w całości w książce: „Kazania Izaaka Kramsztyka“ (Kraków, 1892) str. 321—330, dokąd odsyłamy ciekawych.

[2]) Do Rady tej weszli: Korzeniowski, dyrektor wydziału oświecenia; Solnicki, dyrektor wydziału wyznań; ks. Orzeszkowski, profesor Akademii duchownej; ks. Jakubowski, misyonarz; Leopold Otto, pastor luterski; Bejer Meizels, nadrabin; Wosiński, dyrektor wydziału w Komisyi Sprawiedliwości; Łuszczewski, radca stanu; Wacław Aleks. Maciejowski; Tomasz Dziekoński; August Frąckiewicz, b. prof. uniwersytetu; Justynian Karnicki; Henryk Markoni, b. prof. szkoły sztuk pięknych; Strończyński; Plewe, wizytator szkół; Krzyżanowski, wizytator szkół; Papłoński, profesor; Dr. Janikowski, prof. Ak. Med.; Tytus Chałubiński, prof. Akad. Med.; Lebrun, prof. Akad. Med.; Baranowski, Dyrek. Obser. Astron.; Przystański; Szmurło, Pankiewicz, inspektorzy szkolni, oraz Rogiński.

męża stanu, który umiał sobie zyskać miłość i zaufanie kraju, a zarazem potrafił dążyć do jego potęgi. Były to oczywiście lekkie strzały wymierzone przeciw Wielopolskiemu, który, że nie miał za sobą opinii, nie powinien był piąć się do roli kierownika nawą krajową. W prasie tej zachęcano do jedności, do spójni, do zgody, i pod różnemi obsłonkami, w których pod presyą cenzuralną niespolitej biegłości nabyli dziennikarze warszawscy, zapowiadano nieomal powstanie, łudzono się świetnemi nadziejami. W „Tygodniku illustrowanym“, w czerwcu, ukazała się bajka p. t.: „Ziemniak i pomidor“, w której autor, opowiedziawszy spór złocistego pomidora z ziemniakiem brudnym, obu posiekał przez kucharza, właśnie dla tego, że byli niezgodni, i taki morał na końcu umieścił:

„Nie gońmy próżnej chluby, lecz złączeni w jedno,
Starajmy się ratować naszą bracię biedną“ [1]).

Korespondenci do pism zagranicznych, po większej części literaci trzeciorzędnego znaczenia, początkujący pisarze lub dziennikarze pokątni, rozgłaszali fałszywe wieści, plotki zbierane na ulicy lub w kawiarniach, obrzucali błotem rząd i Wielopolskiego, Bóg wie jakie historye nieprawdopodobne nieraz tworzyli. Dla ich wyśledzenia, zwłaszcza korespondenta do „Czasu“, który nie przestał obelżywie odzywać się o margrabim, wyznaczono oddział osobny policyi, która jednak nic wykryć nie potrafiła. Przyszło do tego, że Wielopolski musiał publicznie przypominać piszącym, że „za przesyłanie dziennikom wiadomości kłamliwych i potwarczych o sprawach tutejszych,

[1]) Bajkę tę przytaczamy w całości:
„Ziemniaku, patrz jak na mnie jaśnieją szkarłaty,
Mówił z pychą pomidor, wskazując swe szaty,
„Piękniutkim jak panienka“. — „Nie bądź no tak hardy“,
Odpowie mu kartofel — „tyś piękny, ja twardy,
Ciebie lada wiatr zmiecie, ja się burz nie boję“.
Ten ci swoje przymioty wychwala, ten swoje.
Aż wreszcie kucharz nadszedł, gdy się spór przewlekał,
Wnet twardego oskrobał, pięknego posiekał“ i t. d. jak w tekście.

pociągani być mogą do odpowiedzialności, według art. 634 i następ. Kodeksu kar głównych i poprawczych". W kilka dni później, Wacława Szymanowskiego, literata przekonanego o pisanie takich korespondencyi, mechesa nie tyle utalentowanego ile zręcznego, współredaktora „Tygodnika Illustrowanego", wysłać był zmuszony na mieszkanie do Biały Podlaskiej. Odtąd Szymanowski począł uchodzić za męczennika sprawy ojczystej; w Warszawie rozkupiono wszystkie jego fotografie, a w Biały kobiety przyjeżdżającego literata przyjęły w białych sukniach i obrzuciły kwiatami i wieńcami.

Niemniej za męczennika, za ofiarę mściwości i samowoli Wielopolskiego, począł uchodzić inny autor, Kazimierz Władysław Wójcicki, zasłużony zbieracz podań narodowych i archeologicznych zabytków przeszłości, ale jako człowiek mający dość nizką wartość moralną. Przez wpływ kuzyna swego, Józefa Ornowskiego, naczelnika kancelaryi w Komisyi rządowej sprawiedliwości, Wójcicki otrzymał był posadę archiwisty czyli bibliotekarza Senatu, oraz zarządzającego drukarnią przy wzmiankowanej Komisyi, z pensyą 6.000 złp., co dla jego chudej kieszeni literackiej było zapomogą znakomitą. Nie umiał jednak cenić tej posady. Popełniał liczne nadużycia, znane w kołach odnośnych, gdy więc Wielopolski został dyrektorem Komisyi sprawiedliwości, dał dymisyą Wójcickiemu (d. 12 czerwca), „dla dobra służby", zupełnie słusznie. Dymisyę tę poprzedziła rewizya, dokonana przez policyą, poszukującą korespondenta do „Czasu", w mieszkaniu Wójcickiego. Znaleziono u niego portret Hiszpańskiego i kilka wycinków z rzeczonej gazety [1]).

[1]) Według „Dniewnika" (loc. cit. p. 92) *Chrulewa* znalezienie tych wycinków miało być niby powodem dymisyi Wójcickiego, jakkolwiek jeden z cenzorów wspaniałomyślnie przyjął na siebie winę, przyznając się, że to on dał Wójcickiemu te wycinki. Po zatem Chrulew twierdzi, zgodnie z panującą podówczas opinią, że głównym powodem dymisyi było to, że Wójcicki w sprawie zapisu Świdzińskiego występował przeciw Wielopolskiemu.

Fakt dymisyi, rozgłoszony przez wieść stugębną, popieraną umyślnie przez samego Wójcickiego, wywołał oburzenie powszechne. Ogromna większość publiczności polskiej nie wiedziała wcale o powodach dymisyi, których wbrew interesowi własnemu Wielopolski nie opublikował, a których ukrycie leżało zresztą w interesie tak Wójcickiego, jak i agitatorów, mających nową sposobność do wyzyskania przeciw Wielopolskiemu i do podburzenia przeciw niemu opinii publicznej. Mówiąc głośno i przesadnie o zasługach Wójcickiego dla literatury ojczystej, widziano w tym kroku margrabiego z jednej strony szkodzenia i dokuczania tym wszystkim, którzy przez czas trzydziestoletniej nocy paskiewiczowskiej utrzymywali ognisko polskiego słowa publicznego; z drugiej, zawiść i chęć pomsty na tym, który w sprawie zapisu Świdzińskiego stanął w rzędzie przeciwników margrabiego. Że Wielopolski rządził się nieraz osobistemi namiętnościami, że chętnie mścił się, gdy tylko mógł, wiemy o tem dobrze, ale w sprawie Wójcickiego słuszność była zupełnie po jego stronie; dymisya tego człowieka, czyniąc może zadość osobistej urazie margrabiego, w daleko wyższym stopniu czyniła zadość słuszności i sprawiedliwości, by człowiek, dopuszczający się najordynarniejszych nadużyć, nie był cierpianym na urzędzie publicznym. Owszem, Wielopolski, który zapewne przeczuwał i wiedział z doświadczenia, jaką nową burzę tym krokiem przeciw sobie wywoła, postąpił bardzo szlachetnie, nie ogłaszając powodów dymisyi Wójcickiego i nie oddając go pod sąd, jak to może powinien był uczynić.

O tem wszystkiem wiedzieć nie chciano, a jeśli wiedziano, to udano nieświadomość, i podniecając oburzenie powszechne, skorzystano ze sposobności, by dać margrabiemu wyraźne votum nieufności ogólnej. Ludwik Krasiński, zarządzający ordynacyą Opinogórską, zaofiarował ostentacyjnie Wójcickiemu posadę bibliotekarza w Opinogórze

(z pensyą 3.200 złp.) [1]). Niedługo potem (d. 19 września 1861 r.), miały się odbywać w Towarzystwie kredytowem ziemskiem wybory na prezesa Komitetu listów zastawnych. Wśród nadzwyczajnie licznego zebrania wyborców, synekurę tę, przynoszącą około 10 tysięcy złp., oddano Wójcickiemu, jako niby człowiekowi cieszącemu się zaufaniem powszechnem, zresztą wbrew ustawie, nakazującej, ażeby taki prezes sam był właścicielem pewnej oznaczonej liczby listów zastawnych. Obchodząc prawo, złożono mu listów za 9 milionów rubli i wybrano na prezesa, ogromną większością 1950 głosów. Nie poprzestano jednak na tem zamanifestowaniu się przeciw postępkowi margrabiego. Z inicyatywy niejakiego Adolfa Hennela, głośnego w tej dobie dziennikarza, o którym zresztą w dziejach literatury głucho zupełnie, najznamienitsi literaci ówcześni postanowili wydać książkę zbiorową na korzyść Wójcickiego, oddając hołd jego zasłudze, a zarazem potępiając głośno i wyraźnie krok margrabiego. Jakoż książka taka wyszła w kilka miesięcy później, a w niej obok panegirycznego i przepełnionego fałszami życiorysu Wójcickiego [2]), pięćdziesięciu głośnych pisarzy polskich pomieściło swe prace. Anczyc wydrukował tu swego sławnego „Tyrteusza“, poemat, który wstrząsał nerwami współczesnych, który deklamo-

[1] Według *Berga* (Zapiski, 347) miano mu dać także posadę bibliotekarza w Wilanowie, ale o ile wiemy, relacya ta jest błędną. Prawdopodobnie Berg pomięszał Opinogórę z Wilanowem. Obiecywano prócz tego Wójcickiemu jakąś posadę przy teatrach rządowych z pensyą 2000 złp. ale to nie przyszło do skutku i oczywiście przyjść nie mogło.

[2]) Życiorys ten jest pełen fałszów, które Wójcicki umyślnie o sobie rozpuszczał, i które przeszły do historyi literatury jako pewniki. Życiorys np. twierdzi, że jego ojciec Jan był człowiekiem ukształconym, lekarzem nadwornym Stanisława Augusta, z którym jeździł nawet do Petersburga. Wszystko to fałsz. Ojciec Wójcickiego był felczerem, człowiekiem prostym i bez wykształcenia, przy Stanisławie Auguście nie był i do Petersburga z nim nie jeździł. Autor wie o tem od osób albo spokrewnionych z rodziną Wójcickiego, albo też znających dobrze tak jego samego, jak i jego pochodzenie.

wano na wszystkih koncertach i zabawach publicznych; dali swe prace i Bartoszewicz, i Deotyma, i Kraszewski, i Giller, Przeździecki, i Bohdan Zaleski i wielu, wielu innych. Większość tych prac pełną jest napomknień do chwili ówczesnej, przesiąkniętych patryotyzmem czerwonym, o ile to możebne było pod cenzurą. Drukarze warszawscy za darmo wydrukowali całe dzieło, które rozeszło się w kilku tysiącach egzemplarzy i było, według słów Hennela, „nie tylko objawem umysłowego życia, lecz więcej jednym dowodem szlachetnych instynktów i uczucia sprawiedliwości, niezatraconego pomiędzy nami". Niestety! nie było to wcale uczucie sprawiedliwości, ale chęć zamanifestowania się, chęć dokuczenia Wielopolskiemu, objawienia mu głośno i publicznie, że nawet najlepsze głowy i serca polskie ogarnęła zaraza rewolucyjna, najuczciwsze oczy zasłoniło zaślepienie patryotyczne.

Wśród tego wszystkiego Suchozanet rządził niby w kraju, latał po mieście jak szalony z konwojem czerkiesów, straszył a nadewszystko śmieszył ludzi swą postawą karykaturalną Sezostrysa egipskiego. Miasto przedstawiało widok szczególny i jedyny w swoim rodzaju, z tym wielkorządcą komicznie nadętym, przelatującym ulice z eskortą kozaków, którzy nie zdejmujących czapki bili batami, z obozowiskami wojska na placach jeszcze od d. 8 kwietnia. Żołnierze, ludzie prości i nieucywilizowani, roztaczali w dzień biały przed oczami przechodniów wszystkie szczegóły swego bytu i tajemnic życia domowego. Obok namiotów spali w negliżu, rozwieszali na sznurach świeżo wypraną bieliznę, myli się, ubierali, a w przystępie wesołości przy dźwiękach dzikiej muzyki, tańczyli z ostatniemi ladacznicami byczka lub kozaka. W ogólności bezwiednie i nie widząc w tem nic złego, zachowywali się oni tak nieprzyzwoicie i swobodnie, że kobiety unikały przechodzenia przez place, na których znajdowały się obozowiska, i omijały je zdaleka. Na szczęście, d. 18 czerwca Suchozanet rozkazał zwinąć te obozy, do niczego nie pro-

wadzące, i żandarmów konnych cofnąć z rogów ulic. Miasto przybrało znowu swój wygląd dawny.

Suchozanet zresztą mało się zajmował sprawami ogólnemi, wiedział, że jest namiestnikiem tylko tymczasowym, siedział w Belwederze, nic nie robił, całemi godzinami spacerował po tarasie tego pięknego pałacyku i deklamował wiersze przez siebie skomponowane [1]). Wiedział on, że w Petersburgu usilnie starają się o wyszukanie kogoś, coby się podjął dźwigania ciężkiego berła wielkorządcy warszawskiego. Pisał wprawdzie do cesarza, prosząc go, aby się nie śpieszył z decyzyą ostateczną, że jakkolwiek on, Suchozanet, byłby może pożyteczniejszym na innem stanowisku, wszelako jako: „wierny poddany i oddany obowiązkom“, gotów jest pozostać w Polsce, gdyż nie chce cesarza narażać na kłopot, lub zły, w skutek pośpiechu, wybór [2]). W rzeczy samej w Petersburgu chciano jak najprędzej usunąć stan tymczasowości, który bądź co bądź

---

[1]) Autor artykułu p. t.: „Posledniaja polskaja smuta“, drukowanego w „Russkiej Starinie“ z r. 1874, przytacza jeden taki wiersz. Brzmi on w oryginale jak następuje:

„Ja sczitał dežurstwo wiekom,
A wot skoro i projdiet;
Tak bywajet z czełowiekom,
Otdežuryt i pójdiet“.

[2]) Takie zdaje się jest znaczenie telegramu, niezwykle mętnego i niejasnego, jaki w d. 8 czerwca wysłał Suchozanet do cesarza. Przytaczamy depeszę tę w całości i w oryginale („Russ. Starina“ z r. 1882, grudzień): „umoliaju nie spieszyt' okonczatielnym rieszeniem; prodołżenie wremiennago uprawlenia bez wreda dla dieł obnaružit' budu li ja wozmożen. Ostajus pri ubieždenii, czto w prieżniem miestie służenia ja byłby wam bolsze polecen, no kak wiernopoddannyj i predannyj dołgu, nie postawliu Gosudaria mojego w zatrudnienie, jesli w okonczatielnom naznaczenii mienia wynuždieny budietie krajnostiu. No Gosudar', dla uspiecha nieobchodima uwierennost' wsiech nas i każdago w nieograniczennoj wo wsiech słuczajach dowierennosti waszego wieliczestwa. Gen. adj. Suchozanet“. Czego właściwie chciał Suchozanet, o co mu szło w tej depeszy, trudno dociec. Zdaje się, że on sam nie umiał by odpowiedzieć, gdyby go o to zapytano.

nigdy i nigdzie dobrych skutków nie wywiera. Szukano namiestnika i wybór cesarza padł nakoniec na Pawła Aleksiejewicza Tuczkowa, jenerał-gubernatora moskiewskiego, jenerała-adjutanta i jenerała broni (generał od infanterii). Tuczkowie była to stara rodzina bojarska, datująca się podobno jeszcze z XIII wieku, skoligacona nawet z carami. Paweł, którego cesarz chciał posłać do Warszawy, liczył już blizko sześćdziesiąt lat wieku, brał udział niegdyś w kampaniach napoleońskich i w wojnie polskiej 1831 r. Odznaczył się nawet w potyczce pod Żółtkami i przy szturmie do Warszawy. Był to człowiek gładki, oczytany, ale jąkał się szkaradnie. Na propozycyą jechania do Polski, dał odpowiedź stanowczo odmowną, czem nawet osobiście obraził cesarza, który w skutek tego, jak sam mówił, znalazł się w położeniu „nadzwyczaj kłopotliwem“ [1]). Tuczkow tłomaczył się, że nie zna kraju i ludzi, którymi musiałby rządzić, że nie ma ani politycznych, ani dyplomatycznych wiadomości potrzebnych do tego, że nie zna języka i t. d., że zatem nie jest odpowiedni na to stanowisko i przyjąć go nie może [2]).

[1]) Telegram z d. 26 maja (7 czerwca): „Tuczkow stanowczo wyrzeka się Warszawy, i dla tego znajduję się w nadzwyczajnym kłopocie, kogo naznaczyć“.

[2]) Odmowę tę swoją wypowiedział Tuczkow w liście do szefa żandarmów Dołgorukiego. Pisał, że jakkolwiek ofiarowanie mu namiestnictwa w Warszawie jest dla niego bardzo zaszczytnem, ale on nie może przyjąć takiego stanowiska; że po długim namyśle, szczerze przyznaje się do tego, iż nie czuje się na siłach sprostania takiemu zadaniu, że na to potrzeba mieć „charakter niezależny i możność swobodnego działania, wolną od wszelkiego postronnego miejscowego wpływu. Czyż ja więc mogę posiąść te warunki, nie znając kraju zupełnie, jego administracyi skomplikowanej, nie znając ludzi, z którymi mam mieć do czynienia, nie mając żadnych wiadomości politycznych i dyplomatycznych, ani daru słowa, ani języka, tak niezbędnego przy ciągłych stosunkach z miejscowemi osobami urzędowemi?“ W skutek tego, pisze dalej, mogę pójść drogą błędną, „zwłaszcza w tej chwili, gdy okoliczności wymagają natychmiastowych rozporządzeń i czynów“. (Russ. Starina z r. 1881 listopad). Przytoczyliśmy umyślnie w streszczaniu ten list, świadczący

Nim więc w Petersburgu zdecydować się miano na człowieka najodpowiedniejszego, według wyobrażeń tamtejszych, do rządzenia Polską, Suchozanet w Warszawie siedział i coraz bardziej zdzierał te resztki uroku z władzy, jakie ona jeszcze posiadała w oczach ludności stołecznej. Cesarzowi donosił ciągle stereotypowemi słowami: „sława Bohu, w mieście spokojnie“; w niedzielę d. 9 czerwca kazał grać muzyce przed pałacem w Łazienkach i chciał koniecznie, żeby w teatrze rozpoczęto znowu przedstawienia. Ze swej strony dla okazania swej przewagi i mocy militarnej odbywał ciągle przeglądy wojsk na Saskim placu. Przy jednym z takich przeglądów rozegrała się znowu wysoce zabawna scena. Wśród znacznego zebrania się ciekawych próżniaków, zawsze licznych w wielkiem mieście i żądnych wszelkiego rodzaju widowisk, po długiem oczekiwaniu zjawił się namiestnik, powitał wojsko, przeszedł przed jego frontem, i nagle zwrócił się do jakiegoś mężczyzny średnich lat, ubranego po cywilnemu bardzo wykwintnie, w białym kapeluszu, i wezwał go do siebie. Był to, znany nam już z pisania projektu uniwersytetu wileńskiego, literat rosyjski, Ilia Arseniew, redaktor działu ekonomicznego w „Siewiernoj poczcie“. Arseniewa, dzięki zabiegom swego przyjaciela jenerała Chrulewa, sprowadził był do Warszawy Gorczakow w celu, by pisał artykuły o wypadkach warszawskich do gazet rosyjskich, a zarazem zbijał fałszywe wieści o nich, rozpuszczane przez prasę zakordonową polską i zagraniczną. Myśl była z wielu względów dobra, ale wybór wykonawcy tej myśli jak najnieszczęśliwszy. Arseniew, człowiek bez wybitnego talentu, dziennikarz średniej miary, nie cieszący się dobrą opinią wśród sfer literackich Petersburga, w żadnym razie nie odpowiadał zadaniu, jakie na niego włożyć chciano [1]). Namiestnik, zbliżywszy się do

o skromności Tuczkowa, przymiocie nadzwyczaj rzadkim śród jenerałów rosyjskich, którzy, jak wiadomo, wraz ze szlifami nabywają rozumu i zdolności do wszystkiego.

[1]) Chrulew, przybywszy z Sewastopola, siedział w Petersburgu bez zajęcia i kręcił się wśród różnych sfer, głównie literackich i złotej

niego, głosem donośnym, z miną rozkazującą i groźną, zawołał: „jesteś pan naszym obrońcą przed Europą i tłomaczem naszych czynów przed Rosyą; przypatruj się pan, uważaj na wszystko i pisz. Pióro pańskie będzie miało plon obfity. Broń nas pan, walcz, pokaż, że jesteś prawdziwie rosyjskim utalentowanym pisarzem!“ Rzekłszy to namiestnik, uścisnął za rękę „obrońcę przed Europą“, zawrócił się i poszedł dalej, wlokąc za sobą szablę. Śmieszna ta i w najwyższym stopniu niewłaściwa scena, to publiczne

młodzieży petersburskiej. Tam to poznał Arseniewa, który skorzystał z posłania Chrulewa do Warszawy, i napisał do niego list, prosząc, by mu „urządził literacką *komandyrowkę* do Warszawy“, za co żądał tylko 200 rs. na miesiąc, mieszkanie w Zamku i zwrot kosztów podróży. Chrulew chętnie się na to zgodził i przedstawił całą sprawę Gorczakowowi, który, mając bardzo słabe pojęcie o literaturze rosyjskiej i o stopniu uzdolnienia ówczesnych pisarzy, uwierzył słowom Chrulewa, że Arseniew jest wysoce utalentowanym człowiekiem, i w d. 23 maja, a więc na tydzień przed swoją śmiercią, napisał poufny list do niejakiego Prianisznikowa, który wówczas był jakimś zwierzchnikiem Arseniewa: „szanowny panie Fedorze Iwanowiczu, pisał Gorczakow, uważając za stosowne na jakiś czas mieć przy sobie redaktora do artykułów, mających być pomieszczanymi w różnych wydawnictwach peryodycznych w Rosyi i zagranicą, o wszystkich przedmiotach, odnoszących się do Królestwa Polskiego, i wiedząc, że będący przy waszem *wysokoprewschoditelstwie* urzędnikiem do szczególnych poruczeń p. Arseniew, biorący udział w licznych wydawnictwach peryodycznych, może z pożytkiem dla rządu zajmować się układaniem artykułów tego rodzaju, zwracam się do pana, szanowny panie, z prośbą jak najpokorniejszą, ażebyś raczył wykomenderować na czas jakiś p. Arseniewa do Warszawy, i żeby on tu był do mego rozporządzenia. Przyczem uważam za obowiązek dodać, że znajdujący się obecnie przy mnie jenerał-lejtnant Chrulew, znający dobrze p. Arseniewa, uwiadomił mnie, że ten ostatni ze swej strony oświadczył gotowość przybycia do Warszawy, jeśli wasze *wysokoprewschod.* nie będzie miało nic przeciw temu. Oczekując pod tym względem odpowiedzi, korzystam ze sposobności, by przesłać i t. d.“ Tymczasem Gorczakow umarł, Suchozanet zajął jego miejsce i w parę dni po przybyciu tego ostatniego do Warszawy zjawił się tam i Arseniew z listem Prianisznikowa do Suchozaneta. „Miłościwy panie Mikołaju Onufrowiczu, pisał Prianisznikow, były namiestnik Królestwa Polskiego, książę Michał Dymitrewicz Gorczakow, przez

oddawanie obrony interesów rosyjskich w ręce pisarza drugorzędnego, jeżeli z jednej strony oburzało rozumniejszych Moskali, to z drugiej w Polakach budziło śmiech szczery z namiestnika i obdzierało ze wszelkiego uroku tę straszną jeszcze niedawno władzę, oddaną teraz w ręce starca, pozbawionego rozumu.

Arseniew, ogłoszony tedy publicznie na placu Saskim obrońcą interesów rosyjskich w Polsce, zabrał się do swego zadania. Odwiedzał często namiestnika, jeździł z nim na wszystkie przeglądy wojsk i uroczystości pułkowe [1]). Z roz-

pismo z d. 11/23 maja za № 134, uwiadomił mnie, że on uważałby za rzecz pożyteczną dla zbijania fałszywych wiadomości, rozsiewanych przez gazety zagraniczne o wypadkach w Polsce, pomieszczać w dziennikach i pismach rosyjskich artykuły, w których każdy mógłby znaleść opis wierny i bezstronny istotnego stanu rzeczy, oraz wypadków, które się już spełniły w Królestwie Polskiem. W tym celu zmarły książę Gorczakow prosił mnie o wysłanie na jakiś czas do Warszawy urzędnika, będącego przy mnie do szczególnych poruczeń, p. Arseniewa, współpracownika większej części naszych wydawnictw peryodycznych, który na podstawie zebranych przez niego na miejscu danych, a również ze źródeł mu wskazanych, będzie redagował artykuły dziennikarskie, odnoszące się do Królestwa Polskiego. Za swą pracę w tym zakresie, zgodnie z warunkami, przedstawionymi przez p. Arseniewa, jak mnie uwiadomił zmarły książę Michał Dymitrewicz, wyznaczono mu pensyą 200 rs. na miesiąc i mieszkanie skarbowe. Rozkazawszy obecnie panu Arseniewowi udać się do Warszawy po to, by był do rozporządzenia waszego *wysokoprewoschoditelstwa,* i polecając go łaskawej pańskiej uwadze, uważam za obowiązek dodać, że pan Arseniew pod względem służbowym jest mi znany, jako człowiek bardzo czynny i zdolny, a jako współpracownik naszych wydawnictw peryodycznych zyskał sławę dobrego pisarza, którego prace cieszą się zawsze pochlebnemi wzmiankami prasy".

Taką była korespondencya urzędowa, dotycząca „komenderówki" Arseniewa do Warszawy. („Posledniaja polskaja smuta. Rasskazy oczewidca" — „Russkaja Starina" z r. 1874, T. XI, 125).

[1]) Suchozanet ciągle prawie odbywał przeglądy i odwiedzał obozowiska wojsk, znajdujące się pod Warszawą, pił tam wódką zdrowie szeregowców, wygłaszał mowy, a gdy mu kto chciał odpowiadać, krzyczał: „mołczat'" (milczeć) i swoje dalej prawił. Na obchodzie uroczystości pułku Bryańskiego piechoty, opowiada naoczny świadek znów o kilku zabawnych scenach, wybornie charakteryzu-

kazu Suchozaneta dostarczali mu materyałów: Sofiano, naczelnik kancelaryi dyplomatycznej namiestnika; Podwysockij, znany nam naczelnik policyi tajnej, wreszcie Chrulew, z którym widywał się codziennie. Korespondencye swoje miał posyłać Arseniew do gazety „Petersburgskija Wiedomosti“, z której redaktorem, Krajewskim, już się był poprzednio pod tym względem ułożył. W pierwszym swoim liście, jaki wygotował, opisał wrażenia swej podróży do Warszawy, pobyt w Kownie, gdzie był świadkiem śpiewów patryotycznych w kościele Bernardyńskim, manifestacyą w Ostrołęce z powodu rocznicy bitwy i t. p. Jakkolwiek korespondencya ta odczytana Suchozanetowi i przez niego polecona do druku, nie została jednak puszczona przez cenzurę petersburską. Takiż los spotkał i inne pisma Arseniewa. Wskutek tego przerwał pisanie artykułów do gazet rosyjskich, a zajął się natomiast zasilaniem dziennika „Independance Belge“ i „Nord“, będących na żołdzie rosyjskim. Działalność jego wogóle nie miała żadnego znaczenia; w niczem nie wpłynął na prasę, piszącą o sprawach polskich, a wieści przezeń podawane, jako pochodzące ze źródła urzędowego, nie budziły zaufania i pomijane były milczeniem [1]).

---

jących ministra i upadek władzy, której on był przedstawicielem. „Po licznych toastach, cytujemy opowiadanie świadka (Posliedniaja polskaja smuta. „Russ. Starina“ 1874), jenerał Wiesielitskij zaczął wygłaszać mowę, wychwalającą zasługi namiestnika. Jenerał Suchozanet zatkał uszy i, kiwając głową, wołał: „poszczadite, poszczadite!“ (oszczędź mnie pan), na co Wiesielitskij niezmięszany odpowiadał: „wasze wysokoprewoschoditelstwo, jasokraszczu, sokraszczu“ (skrócę). Taka rozmowa trwała dość długo“. — „Mówią, opowiada dalej tenże świadek, że podczas obiadu Suchozanet, zwracając się do gości i gospodarzy, rzekł: „panowie, proponujcie serdeczne (raduszewnyje) toasty“. Wówczas zbliżył się do niego młody oficer, dobrze pijany i rzekł: „Proponuję toast wasze wysokopr.“ — „Proponuj pan“. — „Za zdrowie tego, kto kogo lubi!“ — „Czy pan jesteś umocowany do wzniesienia tego zdrowia?“ — „Wcale nie“ (nikak niets) — „No, to idź pan na swoje miejsce!“ (Loc. cit. 129).

[1]) Arseniew bawił w Warszawie jeszcze podczas namiestnictwa Lamberta, w którym to czasie cofnięto mu pensyą. Porzucił więc

Takie rządy i postępki Suchozaneta, jeśli na sfery polskie wywierały wpływ jak najzgubniejszy, to wśród kamarylli wojskowej namiestnika wywoływały głębokie i niekłamane oburzenie. Członkowie tej kamarylli, choć między sobą wzajemnie się nienawidzili i gdzie tylko mogli nogę sobie podstawiali, i oczerniali się z godnym lepszej sprawy zapałem, zgodni przecież byli na jednym punkcie. Ilekroć szło o Polskę, zawsze i stanowczo domagali się rządów surowych i militarnych, gdyż te wysunąćby koniecznie musiały różnych karyerowiczów moskiewskich na pierwszy plan i wiecznie głodne ich kieszenie napełnić groszem polskim. Suchozanet w zasadzie zgadzał się na to, ale myśli tej przeprowadzić nie umiał. To też wśród jenerałów otaczających go naśmiewano się zeń pocichu, nazywano go „pozbawionym rozumu starcem“ (wyżiwszym iz uma starikom), albo powoli odsuwano się od niego, jak to uczynił Chrulew, Liprandi i Mielnikow, komendant placu. Wśród tego nieładu powszechnego, jaki koniecznie w takim stanie rzeczy zapanować musiał w rządzie, ruch rewolucyjny nie tamowany niczem, albo tamowany źle, przybierał coraz szersze, coraz gwałtowniejsze rozmiary. Nie było dnia, żeby nie wyprawiono przy lada sposobności jakiejś manifestacyi, nie naklejono jakiej odezwy, nie zerwano z rogu ulicy proklamacyi rządowej. W samym Zamku, w rezydencyi namiestnika, na wszystkich korytarzach znajdowały się poprzylepiane różne odezwy rewolucyjne, dając z jednej strony świadectwo niedołęztwa wygórowanego władzy, z drugiej zuchwalstwa rewolucyonistów. W ogrodzie pałacu Kazimierowskiego, gdzie rozegrała się opowiedziana już przez nas scena ze sztachetami Wielopolskiego,

---

Polskę i pojechał do Berlina, gdzie wydał broszurę p. t.: „Dla tych, którzy wiedzieć powinni“ (Dla tiech, komu wiedat' nadleżit). Opowiedział tu pobieżnie wypadki warszawskie, podniósł pod niebiosa zasługi krwawe Chrulewa i drwił sobie z rządów Suchozaneta. W r. 1886 wydrukował w „Istoriczeskim Wiestniku“ artykuł p. t.: „Warszawa w 1861 r.“ w którym powtórzył z małemi zmianami treść tej broszury.

teraz, podczas wakacyi młodzież szkolna i nieszkolna zbierała się tłumnie i ćwiczyła się w fechtunku; później nieco w różnych stronach miasta pourządzano formalne szkoły fechtowania, w których zwykle jakiś były wojskowy uczył młodzież robienia bronią i strzelania do celu. U studenta akademii Fochta, niegdyś członka komitetu zajmującego się wystawieniem pomnika dla poległych 27 lutego, był nawet karabin i pałasze, których używano do nauki. Tworzyło się też ciągle mnóstwo efemerycznych komitetów i kółek, które łudziły się nadzieją opanowania ruchu i scentralizowania go w swoich rękach. Po większej części istnienie ich było nieznane ogółowi zrewolucyonizowanej młodzieży; powstawały i ginęły po krótkiem, jednodniowem istnieniu; czasem trwały dłużej, ale w żadnym razie spełnić swego zadania nie mogły i umierały na bezsilność nieznane i nieuznawane przez nikogo. Wśród akademików, w tym czasie, niezmiernie żywa działalność Majewskiego obudziła pewnego rodzaju zawiść, zwłaszcza, iż zauważono jego oddalanie się powolne od reszty kolegów, a natomiast że poczyna wciskać się do innych sfer i koło akademickie pozostawia bez przewodnictwa. Niejaki Władysław Daniłowski, akademik, patryota gorący, czerwony i Mierosławczyk zapalony, oburzał się na „noszącego, jak mówił, płaszcz na dwóch ramionach“ Majewskiego, i znalazłszy między współkolegami zwolenników, zawiązał „Towarzystwo demokratyczne akademików“, do którego weszli Zdzisław Janczewski, syn rejenta z Płocka i Maksymilian Unszlicht. Towarzystwo to jednak, oprócz zorganizowania rozlicznych, drugorzędnego znaczenia manifestacyi, nie wywierało na ruch żadnego wpływu silniejszego.

Oprócz towarzystwa akademickiego istniało jeszcze ciało, noszące nazwę „Komitetu starszego“, który, o ile można wiedzieć, był w ciągłych stosunkach z emigracyą a właściwie z Mierosławskim i od niego odbierał natchnienia. Obok niego egzystował i najczynniejszym był „Komitet urządzający manifestacye“, którego zadanie sama nazwa maluje, i w skład którego wchodziła młodzież wszel-

kich stanów i zajęć. Działalność obu tych ciał okrywała się zresztą jak największą tajemnicą, tak że wskutek tego zarysowują się one w historyi bardzo mglisto i niejasno. Posiedzenia swe odbywały one po większej części w miejscach publicznych, jak np. w cukierni Contiego w hotelu Europejskim, lub w ogrodzie Saskim. Zwykle członkowie komitetu nie zbierali się odrazu wszyscy, przez co mogliby na siebie zwrócić uwagę policyi, ale tylko po kilku, których po niejakim czasie zamieniali inni, a prezydujący uwiadamiał nowo przybyłych o tem co dotąd mówiono. Takąż samą ostrożność zachowywano w korespondencyi krajowej i zagranicznej, używając do tego umówionego i trudnego do odgadnięcia klucza [1]).

Kiedy w ten sposób powstawały i umierały komitety i Koła relacyjne, kiedy każdy myślał o owładnięciu ruchem, ruch ten nikomu okiełznąć się nie dawał i rozwijał się coraz bardziej. Miasto było niejako w rękach garści najzuchwalszych agitatorów, przeważnie młodzieży, uczniów szkół i czeladzi rzemieślniczej. Policya, złożona w większej części z Polaków, przez palce patrzała na wszystko, a wielokrotnie się zdarzało, iż policyant umyślnie udawał, że czegoś nie widzi, co się prawie pod jego oczami działo. Jeżeli kogo aresztowano, to tylko wtedy, gdy już inaczej w żaden sposób postąpić nie można było. Zresztą, aresztowania te, wskutek chaosu panującego w samym rządzie, nie budziły najmniejszego postrachu i narażały tylko powagę władzy na szwank. Jeden naczelnik aresztował, drugi uwalniał, lub starał się u namiestnika o uwolnienie aresztowanego. Były także indywidua, które w ciągu jednego tygodnia trzy razy dostawały się do kozy i zawsze z niej

[1]) Klucz ten polegał na tem, że kładziono na papier rodzaj patronu czy transparentu, i w jego otworach wypisywano potrzebne wiadomości, poczem, po zdjęciu tegoż wolne przedziały zapełniano nic nie znaczącemi słowami, starając się jednak o to, by był jakiś sens w całości. Odbierający list posiadał takiż sam patron i, przyłożywszy go do papieru, z łatwością odczytywał zawartą w nim tajemnicę.

wydobyć się potrafiły. Nikt się więc aresztowania nie bał, owszem wielu dla uchodzenia za patryotów, za męczenników sprawy ojczystej, umyślnie starało się o dostanie się do kozy, która żadnego niebezpieczeństwa nie przedstawiała i złych konsekwencyi nie miała. Same więzienia nakoniec były bardzo źle urządzone, dozór prawie żaden nad aresztowanymi, tak że komunikowali się oni z miastem i swoimi przyjaciółmi. Władze wojskowe, patrole i placówki, otrzymywały mnóstwo rozporządzeń, sprzecznych jedne z drugiemi; wymagano od nich raportów o każdem, najdrobniejszem nawet zdarzeniu, tak że wielu nie chciało stawiać przeszkody manifestacyi, rozgrywającej się przed ich oczami, żeby nie ściągnąć potem na siebie odpowiedzialności za niewypełnienie lub przekroczenie takiego lub innego rozporządzenia. W razie zaś, jeżeli jaki gorliwy dowódca patrolu, zdał raport o danym wypadku, to śledztwo ciągnęło się długo, zapisywano mnóstwo papieru, by potem sprawę przerwać i w kąt ją rzucić [1]).

Gdy się to działo w Warszawie, gdy Suchozanet odbywał przeglądy, ucztował z żołnierzami lub drzemał na fotelu w Belwederze, przybyła dnia 12 czerwca do stolicy wiadomość telegraficzna o zaburzeniach w Suwałkach, które zdawały się mieć bardzo poważny i bardzo niebezpieczny

[1]) *N. Berg* (Zapiski, 323) przytacza taki przykład charakterystyczny, wyjęty z akt naczelnika I oddziału wojennego warszawskiego: „na kompanią pułku Symbirskiego piechoty, patrolującą pewnego wieczoru czerwcowego na ulicy Miodowej, rzucił ktoś kamieniem z furty klasztoru kapucyńskiego. Major Felkner, dowodzący kompanią, lękając się niedokładności w opisie tego zdarzenia, w raporcie swym do naczelnika I okręgu miasta tak przedstawia drogę, którą kamień przebiegł: „kamień przeleciał za mną, około podporucznika Szach-Nazarowa, wzdłuż pierwszego szeregu pierwszej sekcyi, drugiego plutonu rzeczonej kompanii, i trafił we drzwi domu, znajdującego się na przeciwnej stronie ulicy“. W końcu skrupulatny major Felkner dołączył długi spis nazwisk szeregowców 8-ej kompanii pułku Symbirskiego, koło których kamień przeleciał“.

charakter[1]). W mieście tem, ulegającem powoli, jak i wszystkie inne, ogólnemu prądowi rewolucyjnemu, strojono się w konfederatki, kontusze i czamarki, śpiewano po kościołach hymny rewolucyjne, jednem słowem objawiano publicznie wszystkie te oznaki zewnętrznego patryotyzmu, jakie widzieliśmy w innych miejscowościach kraju. Nakoniec na skutek rozporządzeń Suchozaneta, zabraniających noszenia strojów pseudo-polskich i oznak pseudo-patryotycznych, gubernator miejscowy Fersen ogłosił d. 10 czerwca przez plakaty, rozlepione na rogach ulic, że odtąd nie wolno jest ubierać się w konfederatki, w czamarki, w pasy z emblematami krzyża złamanego lub herbami Polski i Litwy. Gdy to ogłoszenie, jak się spodziewać należało, nie odniosło skutku, poczęto chwytać młodych ludzi, sprowadzać ich na odwach, gdzie z czyjegoś rozkazu po obcięciu rogów u czapek, lub po zdarciu pasów i czamarek, wypuszczano aresztowanych w negliżu na ulicę[2]). Widowisko takie poczęło gromadzić tłumy próżniaków, zawsze u nas liczne, zwłaszcza, że wprost domu, w którym się mieściła policya i odwach, znajdował się ogród publiczny, a raczej rodzaj skweru, jak zwykle przepełniony ludźmi, żądnymi świeżego powietrza w czasie skwaru letniego. Z początku widok obciętych konfederatek i negliżu, w jakim wychodzili aresztowani z odwachu, wzbudził śmiech powszechny, potem za czyimś przykładem, jak gdyby dla pokazania władzy, że ogół innego przykrycia na głowę nie uznaje, poczęto zrzucać cylindry, którymi ulica otaczająca ogród zasiana została. Nie obeszło się przytem bez wrzawy, krzyków i wymyślań na Moskali. Z ruchliwością, właściwą

[1]) Tak, zdaje się, zapatrywał się na nie sam Suchozanet, telegrafując do cesarza pod d. 12 czerwca, co następuje: „wczoraj w Suwałkach miały miejsce nieporządki z powodu aresztowania przez wojsko, bez użycia broni, kilku osób. Wysyłam jenerała-adjutanta Rudanowskiego dla przeprowadzenia śledztwa i przywrócenia porządku, ustanawiając i tam także naczelnika wojennego. J. A. Suchozanet“.

[2]) Opowiadanie niniejsze opieramy na relacyi rękopiśmiennej.

dzieciom, kobietom i masom, zbiegowisko z początkowych żartów i śmiechów przeszło do oburzenia, a tłumy ciągle rosły. Wobec tego nieliczna policya miejscowa wezwała zebranych w ogrodzie do rozejścia się, a gdy wezwania tego nie usłuchano, wystąpiły dwa oddziały wojska, otoczyły ogród i w oczach tłumu poczęły broń nabijać. Widok ten wywołał popłoch powszechny; kobiety i dzieci chciały wydostać się z ogrodu, i w przestrachu usiłowały przechodzić przez nizkie baryery, otaczające go dokoła, ale żołnierze zaczęli je spychać, bić kolbami i obrzucać obelgami, w które tak obfituje język rosyjski. Ponieważ w dniu tym był jarmark w Suwałkach, i na rynku, na którym znajduje się skwer, stały kramy i kręciły się tłumy ludności wiejskiej, łatwo pojąć, jaki popłoch wywołał widok wojska i nabijanych karabinów. Wszystko co żyło poczęło uciekać, tratując kramy, tłukąc nagromadzone góry garnków, gubiąc czapki i t. p. Wojsko poczęło mężczyzn aresztować, czego jednak niezbyt sumiennie dokonywano, gdyż zaledwie czterech odprowadzono na odwach. Ogród opustoszał, wojsko się cofnęło, ale tłum rozdrażniony z placu nie ustąpił. Część udała się ku odwachowi za aresztowanymi, większa zaś połowa ruszyła ze skargą do gubernatora Fersena. Ci, którzy znaleźli się przed odwachem, zachowywali się tam, jak zwykle zachowuje się tłum, przeważnie złożony z niższych warstw, zuchwale i nieprzyzwoicie. Podawano aresztowanym papierosy, usiłowano z nimi rozmawiać. Żołnierze, nie dopuszczając tego, potrącali, bili kolbami śmiałków, a jakąś damę żołnierz bezwstydnym gestem i słowem obraził. Energiczna kobieta, nie wiele myśląc, uderzyła grubijanina w twarz. Wywołało to naturalnie śród wojska oburzenie, i gdy owa kobieta się skryła, aresztowano pierwszą lepszą, mianowicie niejaką Staniszewską, żonę urzędnika miejscowego.

Gdy się to dzieje na odwachu, przed mieszkaniem gubernatora tymczasem zebrany tłum domaga się głośno i natarczywie o uwolnienie aresztowanych. Fersen, człowiek miękki, działając wreszcie w myśl instrukcyi, przez Gor-

czakowa jeszcze wydanych, i zalecających łagodność i ostrożność w postępowaniu z ludnością, wyszedł do zebranych, i przekładając potrzebę zachowania porządku, przyrzekł uwolnić aresztowanych. Jakoż zaraz osobiście udał się na odwach, osadzonych tam wypuścił, oprócz pani Staniszewskiej, która jako oskarżona o zobelżenie żołnierza, będącego na służbie, podpadała surowej odpowiedzialności karnej. O całem zaś zajściu, jak wiemy, doniósł natychmiast drogą telegraficzną Suchozanetowi. Ten wysłał zaraz, niedawno przybyłego z Petersburga jenerała adjutanta Rudanowskiego, dla „przeprowadzenia śledztwa i przywrócenia porządku“, mianując go zarazem naczelnikiem wojennym gubernii augustowskiej. Było to nadużycie, gdyż, według zapewnień Wielopolskiego i Gorczakowa, wszelkiego rodzaju sprawy przeciw porządkowi publicznemu winny być śledzone i sądzone przez zwyczajne sądy cywilne; wprawdzie sądy te, jak np. w sprawie modlińskiej i w innych, nie stały na wysokości swego zadania i oddanej im w ręce obrony spokojności publicznej bronić nie potrafiły, ale bądź co bądź była to jedyna droga legalna, jedyny sposób przekonania kraju, że czasy nadużyć i rządów militarnych minęły. Uczciwy, w gruncie rzeczy rozumny i jak najlepiej życzący krajowi Gorczakow, doskonale to pojmował; ale Suchozanet, typ ograniczonego żołdaka mikołajewskiego, nie pytając się wcale, co dotąd zrobiono dla uspokojenia kraju i co temu krajowi przyrzeczono, postępować chciał z Polską, jak z batalionem żołnierzy. W sprawie suwalskiej, nie odwołując się do nikogo, nie uwiadamiając nawet Wielopolskiego, jako Dyrektora Komisyi sprawiedliwości, wysłał natychmiast Rudanowskiego, zarozumiałego głupca i gbura, odpowiednie swemu widzeniu rzeczy narzędzie.

Rudanowski, przybywszy do Suwałk dnia 13 czerwca, natychmiast rozpoczął śledztwo w sposób właściwy jenerałom rosyjskim. Ściągał on w charakterze świadków kobiety i dzieci, zmuszał duchownych do odbierania przysięgi od świadków, wezwanych przez komisye śledcze, choć świadkom tym, wobec obowiązujących przepisów, nie wolno

było składać przysięgi. Asesora trybunału miejscowego Wierzchlejskiego, za to, że żona jego brała udział w kilku procesyach, i że ten odwoływał się do swej władzy sądowej, która jedna ma prawo go karać, kazał aresztować w nocy i drogą administracyjną zesłać do Petersburga [1]). Uwięziono przytem wiele innych osób, jak wikaryusza miejscowego, księdza Falkowskiego, kapucyna Juwenalisa; sam Rudanowski przy śledztwie zachowywał się w sposób oburzający, groził, krzyczał, wymyślał. Oskarżycielami byli żołnierze i oficer żandarmski Kramarenko [2]). Wobec takiego postępowania, miasto, kryjąc w sobie oburzenie, przycichło zupełnie, tak że Rudanowski już d. 15 czerwca mógł donieść Suchozanetowi, że „w Suwałkach spokojnie, jak nie można lepiej“ (wsio sowierszenno spokojno, kak nie lzia łuczsze).

Sprawa ta jednak nie miała się tak skończyć, owszem spowodowała ona szereg zawikłań i burz w sferach najwyższych, rządzących krajem, które we właściwem miejscu opowiemy, nie chcąc się odrywać od opisu położenia ówczesnego prowincyi. Jeżeli bowiem w Suwałkach proste obcinanie rogów u konfederatek wywołało zawieruchę, której rezultaty dotknęły się najżywotniejszych spraw krajowych, to w innych miastach i miasteczkach manifestacye wszelkiego rodzaju i charakteru tak się upowszechniły, że nikt już na nie uwagi nie zwracał. W Ostrołęce, w rocznicę krwawej bitwy, d. 26 maja 1831 r., wystąpiła uroczysta procesya z miasta ku pomnikowi, postawionemu przez Mikołaja na pamiątkę tej bitwy. Zebrał się przytem kilkutysięczny tłum, przeważnie z kobiet złożony, niesiono

[1]) Wierzchlejski, wrócony wkrótce potem, osiadł w Międzyrzecu.

[2]) Badanie świadków i zbieranie dowodów, opowiada cytowana relacya, odbywało się w ten sposób, że np. żołnierzowi, który dostał policzek, przedstawiona p. Staniszewska z zapytaniem: „czy ta barynia cię uderzyla?“ — ten odrzekł: „toczno tak“, gdy tymczasem całe miasto o tem wiedziało, że p. Staniszewska nic w tej sprawie nie była winna.

obrazy, krzyże, chorągwie, a na czele postępował ksiądz i oczywiście śpiewano nieuniknione „Boże, coś Polskę“. Pod pomnikiem ksiądz na zaimprowizowanej z prostych desek kazalnicy, wygłosił mowę, tętniącą zwykłym w tej dobie skrajnym patryotyzmem. „Rozejdźcie się bracia do swych chat, kończył, ale niech każdy z was opowie swej rodzinie i krewnym, że nastała chwila, w której Zbawiciel i Najświętsza Marya Panna, ulitowawszy się nad cierpieniami Polaków, pozwoliła im obudzić się i ponosić ofiary dla odzyskania utraconej przez ojców wolności. Szczęśliwi, zbawieni i święci będą ci z pomiędzy was, którzy dadzą życie za ojczyznę i wiarę“. Było to najwyraźniejsze wzywanie do powstania zbrojnego [1]).

W Płocku stan wzburzenia ani na chwilę nie ustawał. Bywało, podobnie jak w Suwałkach i Wilnie, że, gdy kogo aresztowano, kobiety tłumnie udawały się przed dom jenerała Szepielowa, domagając się uwolnienia uwięzionego. Miękki Szepielow zwykle na to przystawał i zadość czynił woli „krzykliwych bab“, jak się wyrażał. Kocie muzyki, wyprawiane nielubianym w mieście osobistościom, powtarzały się często; manifestowano się przy każdej sposobności. Zdarzyło się wśród tego, że d. 13 czerwca, rybacy płynący Wisłą spostrzegli na piasku, na lewym brzegu rzeki, od strony Radziwia, zwłoki jakiegoś mężczyzny [2]). Dano znać

[1]) Znany nam już Arseniew („Warszawa w 1861 godu“ — „Istoriczeskij Wiestnik“ z r. 1886, T. XXVI, 515), jadąc z Petersburga do Warszawy, był świadkiem tej manifestacyi w Ostrołęce i opowiada, że na wielkie swoje zdziwienie spostrzegł wśród procesyi czterech żołnierzy. Przypuszczając, że są to Polacy, poprosił swego towarzysza podróży, doskonale mówiącego po polsku, żeby ich zapytał, co oni tu robią? Pokazało się, że żołnierze są Rosyanami i prawosławnymi, że ani słowa nie umieją po polsku, że przyszli przez ciekawość zobaczyć, „jak Polacy chowają swoją Bogarodzicę, która według nich umarła wczoraj, a jutro zmartwychwstanie według wiary polskiej“.

[2]) Według relacyi współczesnej rękopiśmiennej, jaką posiadamy w naszych zbiorach, poprzednio jeszcze Wisła miała wyrzucić „dwa trupy kobiece, związane razem za włosy i młodzieńca w mundurze akademickim, z rękami przybitemi gwoździami do głowy. Wojsko trupy te pochwyciło“.

do Płocka, gdzie natychmiast, Bóg wie na czem oparta, rozbiegła się wieść, że to jedna z ofiar rzezi 8 kwietnia, wrzucona do Wisły przez Moskali. Nie zwrócono uwagi na to, że gdyby tak było, to trup, leżąc w wodzie przez dwa przeszło miesiące, musiałby uledz zupełnemu zepsuciu; sposobność była wyborna do urządzenia nowej, wielkiej manifestacyi, więc skorzystano z niej, wbrew logice najprostszej. Przewieziono zatem trupa do miasta i wezwano sąd do odbycia obdukcyi lekarskiej. Ogromne tłumy ludności, nieomal cały Płock wyległ na brzeg, by przypatrzyć się „nieszczęśliwej, jak mówiono, ofiarze barbarzyństwa Moskali“ [1]). Obdukcya lekarska pod presyą opinii i dążności rewolucyjnych, odbywająca się zresztą wobec tłumu na brzegu rzeki, skonstatowała, że topielec rany otrzymał za życia, że był dwa razy pchnięty bagnetem i że od dwóch miesięcy leżał w wodzie. Ciało owinięto w prześcieradło, złożono do białej trumny, na której umieszczono, konieczny w tej porze, wieniec cierniowy i palmę męczeńską.

Nazajutrz, dnia 14 czerwca, odbył się wspaniały, imponujący mnóstwem efektów teatralnych, pogrzeb. Wystąpiły wszystkie cechy z chorągwiami, krepą obwiniętemi, całe duchowieństwo płockie eksportowało topielca, młodzież zaś niosła trumnę na swych barkach. Nad mogiłą reformat z klasztoru miejscowego wygłosił mowę, zaczynającą się od słów: „powiedz rodaku, kto cię zamordował?“ Odśpiewawszy „Boże, coś Polskę“, cały tłum ruszył przed figurę Matki Boskiej, stojącą na cmentarzu przed farą, i do godziny 10-ej wieczorem odśpiewano cały nieomal reper-

[1]) Był to mężczyzna wzrostu średniego; ciało, oprócz twarzy, stosunkowo dobrze zachowane; zębów miał zaledwie parę, czaszkę bez włosów. Okryty był ranami, jak utrzymywano, od pchnięć bagnetem i uderzeń kolbą. Ponieważ nie miał na sobie spodni tylko szelki, więc wnioskowano, że topiący go żołnierze ściągnęli zeń ubranie; u kamizelki była oderwana gwałtownie kieszonka od zegarka; nowy zatem dowód rabunku. Koszula była cienka, webowa, chustka biała na szyi i medalik. Powszechnie mówiono, że miał także szyję okręconą sznurem.

tuar ówczesnych pieśni religijno-patryotycznych. Nie koniec jednak na tem. Nazajutrz bowiem, w kościele Reformatów odbyło się uroczyste nabożeństwo za poległych. Po nabożeństwie, kobiety, „zacne nasze rodaczki“, jak mówi opis tych wydarzeń, z panią Jackowską, żoną prezesa Dyrekcyi płockiej Tow. Kred. Ziem. na czele, poniosły ogromny krzyż czarny w procesyi, wraz z duchowieństwem na cmentarz. Na krzyżu tym były odpowiednie napisy: „ofiarom zamordowanym na ulicach Warszawy d. 8 kwietnia 1861 r.“; na drugiej stronie: „przez cierpienia i ofiary wybaw lud swój Panie“, a poniżej: „bratu Polakowi, poległemu w rzezi warszawskiej d. 8 kwietnia“. Krzyż ten umieszczono na mogile topielca. Epilogiem całej tej manifestacyi była wieść, jaka się w parę dni po pogrzebie rozeszła po mieście, że Moskale zamierzają krzyż rzeczony wykopać i mogiłę topielca rozrzucić. Wskutek tego uczniowie klasy VI i VII gimnazyum miejscowego co noc z kolei z pomiędzy siebie delegowali dwóch na cmentarz dla pilnowania krzyża i mogiły. Gdy jednak nikt nie myślał robić zamachu na spokój nieboszczyka, straż ta, wykonywana z wielkim zresztą strachem, przestała pełnić swe śmieszne obowiązki.

W Ratowie, wsi w Mławskiem leżącej, zaszły znowu innego rodzaju wypadki, które rewolucyonistom ówczesnym, opierającym całą swą nadzieję na chłopie, owym „spadkobiercy wielkiej ojczyzny“, winny były dać dużo do myślenia, gdyby ich oczów nie zaciemniała mgła teoryjek i doktryneryzmu rewolucyjnego. Zdarzyło się, że podczas odpustu na św. Antoniego Padewskiego, d. 13 czerwca, w miejscowym kościele Bernardynów, podczas kazania, powstał wśród licznie zgromadzonego ludu popłoch i krzyki, że „chłopi rzną szlachtę“, że „szlachta rznie chłopów“, że „Moskale idą!“ Popłoch był tak wielki, że się tłoczono, deptano i na gwałt uciekano z miasteczka. Chłopi dosiadali koni i wozów, i pędząc galopem biegli do domów, by ratować przed szlachtą swe rodziny i dobytek; szlachta to samo czyniła, chcąc znów przed chłopami ocalić swoich. Z wielką trudnością księża i ludzie rozsądniejsi zdołali

uspokoić wzburzone tłumy; fakt ten w każdym razie świadczył, że głębokiego antagonizmu dworu i chaty, wzajemnej ich nieufności i niewiary do siebie, nie zatarła dotychczasowa agitacya patryotyczno-rewolucyjna, owszem wywołała ona jakiś nastrój nerwowy u ludu, jakąś dziką trwogę przed czemś nieznanem, a groźnem. Wieści najgłupsze, najnieprawdopodobniejsze, znajdowały wiarę, i wstrząsały do głębi posępnym żywiołem chłopskim. Słusznie też ludzie chłodniejsi, rozumniejsi, pytali: czy na takim gruncie można co budować?

Ale na pytania takie, pytania, zdradzające straszną obawę przed następstwami ruchu, rewolucyoniści odpowiadali oskarżeniami o zdradę, o oziębianie ducha, i nie szczędzili niczego, ze wszystkiego korzystali, by zachwiany mocno porządek publiczny jeszcze bardziej wstrząsnąć. Jak dalece usposobienie rewolucyjne przesiąkało wszędzie, we wszystkie warstwy t. z. inteligencyi, świadczy sprawa niejakiego Antoniego Mysłowskiego, aplikanta Sądu kryminalnego w Lublinie, znanego nam już z tego, że przyaresztowanie go w marcu dało powód Delegacyi warszawskiej do interpelowania Paulucciego [1]). Sprawa ta prócz tego, podobnie jak sprawa modlińska, jest jednym więcej dowodem, że sądy ówczesne Królestwa nie rozumiały swego i kraju położenia, że w rzeczy samej ci, którzy chcieli rządów i sądów wojennych, mieli za sobą niestety! bardzo wiele słuszności.

Mysłowski przyaresztowany został w marcu za to, że namawiał do zbierania się na nabożeństwo za poległych w bitwie pod Grochowem; że rozdawał rzemieślnikom drukowane o tem ogłoszenia i nosił się ciągle z żelaznym kastetem, zaopatrzonym w ostre kolce, że wreszcie należał do wszystkich zaburzeń w Lublinie. Za czasów rządów Delegacyi uwolniony, nie zaprzestał, podobnie jak wielu innych, dalszej swej działalności rewolucyjnej i agitatorskiej, ubierał się w czamarkę i konfederatkę, i nakoniec w d. 3

[1]) Patrz, Tom II, p. 199.

maja, na nabożeństwie w kościele św. Ducha i katedralnym podżegał innych do śpiewania pieśni zabronionych. Wskutek tego wszystkiego, miejscowy naczelnik wojenny zażądał najprzód od Sądu kryminalnego, by Mysłowskiemu udzielił dymisyą, a następnie, zgodnie ze świeżemi, przez Wielopolskiego wyjednanemi postanowieniami, oddał agitatora pod sąd cywilny. Obowiązkiem świętym teraz sądu było okazanie, że potrafi utrzymać w silnej dłoni porządek publiczny, i wszelkie przeciw niemu przekroczenia ukarze, jak należy. Niestety! Sąd poprawczy lubelski, do którego z porządku rzeczy poszła najprzód sprawa Mysłowskiego, uznał w jednych oskarżeniach brak poszlak, w drugich niebyt przestępnego czynu, i wyrokiem z d. 18 maja od wszelkiej winy agitatora uwolnił. Od wyroku tego podprokurator założył apelacyą i sprawa przeszła w końcu czerwca do Sądu kryminalnego. Mysłowskiego bronił niejaki Stanisław Kasperski, patron, i obrona ta, wygłoszona publicznie, przy niezwykłem zbiegowisku publiczności, zwłaszcza kobiet, jest dowodem tej głębokiej i gwałtownej rewolucyjności, jaka przesiąknęła głowy i serca wszystkich; słowa, jakie z ust obrońcy rozbrzmiewały po sali sądu, zda się żywcem wzięte były z jakiej mowy Mierosławskiego, nosiły na sobie piętno czerwonego, skrajnego patryotyzmu. Mowa ta, odbita sposobem litograficznym w tysiącach egzemplarzy, rozbiegła się po całym kraju, znajdując wszędzie admiracyą i pochwałę, nigdzie potępienia [1]).

Obrońca, przebiegłszy pobieżnie historyą koncesyi udzielonych krajowi w marcu, co mu się wydawało koniecznem dla zrozumienia sprawy, zaznaczywszy, że proces ten ma charakter polityczny, jest więc, jak się wyraził, „szkołą ludową, nauką i życiem moralnem“, tak broni

[1]) W zbiorach naszych posiadamy jeden egzemplarz tej mowy, zatytułowanej: „Obrona za Antonim Mysłowskim o opór przeciw rozporządzeniom rządu obwinionym, przez Stanisława Kasperskiego, Patrona przy Trybunale Cywilnym w Lublinie napisana“. Zawiera ona dwa arkusze in folio bitego pisma; podpisana jest: „Lublin d. 26 czerwca 1861 r. Stanisław Kasperski“.

swego klijenta co do noszenia niezwykłych ubiorów: „według ogólnej definicyi prawa, wszystko, co nie jest prawem zakazane, jest dozwolone. Dotąd nie było prawa zakazującego pewne ubiory. Po raz pierwszy w d. 12 kwietnia r. b. pojawiło się rozporządzenie naczelnika wojennego m. Warszawy, zabraniające niezwykłych ubiorów; rozporządzenie to, nie obejmując dokładnego opisu zakazanych ubiorów, tłomaczone zostało powszechnie, że ubiory zakazane, a raczej niezwykłe mogą być uważane za ubiory nieznane w Europie, np. gdyby kto wziął czapkę Chińczyka z dzwonkami, lub przepaskę Indyanina; ale nigdy ubioru, który każdy zna, bo go oddawna ma przed oczyma. Że więc Mysłowski nosił rogatą czapkę, czamarkę i kamizelkę kolorową, to przecież nie stanowiło niezwykłego ubioru; a co do noszenia spodni w butach, Mysłowski sam wytłomaczył, że dla niezwykłego błota, w d. 3 maja, przez oszczędność nogawice w buty powkładał. A zatem nie nastręcza się najmniejszy pozór do winy; a przecież za ubiór ten skarga podaną została“, „nie twórzmy sobie fałszywych pojęć, żeby ubiory te były przyczyną do odpowiedzialności; wszystko, co nas otacza, nosi charakter narodowy... monarcha nam panujący nosi tytuł króla polskiego, herb Królestwa złączył się z herbem państwa; monarcha, pisząc do swego namiestnika, zapewnia reformy odpowiednie potrzebom Królestwa, namiestnik w odezwie do narodu mówi: „Polacy!“; wspomina o „naszej narodowości“; wszędzie jest charakter polszczyzny; tylko na jednym Mysłowskim czamarka, czapeczka rogata i żupan są zakazanym ubiorem, chociaż nie on jeden, lecz prawie wszyscy to nosili. Nie taką myśl wyciągnąć potrzeba z dobroci naszego monarchy względem narodu polskiego! Gdyby taka była wola jego, jużby dawno zniszczyć, zatrzeć kazał dotykalne pamiątki naszej narodowości i tylko w historycznych podaniach zostałyby ślady ich bytu; a przecież przed Zamkiem królewskim w Warszawie stoi Zygmunt; a dziś smutnego wspomnienia w Łazienkach Jan Sobieski; w Lublinie kolumna na pamiątkę połączenia Litwy z Koroną; moglibyśmy jeszcze dalej

wskazać pamiątki przeszłości, które nasz łaskawy monarcha nie tylko zacierać nie każe, lecz owszem kosztem własnym utrzymywać i przechowywać poleca, jak pomnik Kordeckiego w Częstochowie. Więc to jest zła myśl, na fałszywej oparta zasadzie, bo gdyby tak było, lud polski zamieniłby się w automatów i naród przedstawiałby ludzi bez przeszłości, bez wspomnienia, bez historyi, bez łez i pieśni, bez życia, któremu (narodowi nie życiu) monarcha nie chciałby panować. Takie było stanowisko prawa o ubiorach niezwykłych przed i po 12 kwietnia b. r. W d. 23 maja (4 czerwca) b. r. pojawiło się drugie rozporządzenie, określające literalnie co jest zabronione, czapki konfederatki, kościuszkowskie, kontusze i żupany. W rozporządzeniu tem widzimy dwa cele, jeden polityczny, a drugi estetyczny. Że kontusz, żupan, karabela, buty kolorowe, były ojców naszych ubiorem, nikt przeczyć nie może; lecz że ubiory te nie są znane od dzisiejszych generacyi, więc bardzo słusznie naczelnik wojenny zbronił ich, gdyż sama ciekawość wnuków widzenia ubioru praojców mogłaby być przyczyną zbiegowisk, które zabronione zostały rozporządzeniem Rady administracyjnej, co jest ze wszech miar sprawiedliwe i zbawienne, i to był cel polityczny prawa. Wszakże gdy zauważymy z punktu estetycznego, to spostrzegamy w niem zupełne pominięcie czamarek, i bardzo słusznie naczelnik wojenny uznał, że o ile kontusz i żupan był ubiorem, dla dzisiejszej generacyi ruchliwej, niedogodnym, o tyle czamarkę nie dotknął ostracyzmem, jako ubiór więcej harmonijny z duchem czasu i z potrzebami wieku, swobodny, niekrępujący, a który, Bogu dzięki, zastąpił cudzoziemskie fraki. Od tego więc czasu należy brać ściśle i prawnie zastosowywać zakaz noszenia ubiorów dawnych; gdy zaś żadne prawo nie może obowiązywać wstecz, a skarga obwinia Mysłowskiego o noszenie ubiorów zakazanych przed wydaniem prawa, nie można mu tego brać za winę. Sąd poprawczy w wyroku zaapelowanym znalazł niebyt przestępstwa; decyzya zgodna z logiką i prawem, a przecież podprokurator wyrok ten zaapelował i domaga się skaza-

nia Mysłowskiego; lecz gdy skutki tej apelacyi więcej w żądaniach, aniżeli na prawie są oparte, pozostać ona musi bez skutku. W kraju naszym stosunki socyalne urządza wola monarchy, zapomocą organów codziennych gazet; że tłomaczenie powyższe zgadza się z wolą władzy najwyższej, najlepszy dowód, że w dzienniku „Magazynie Mód“ w maju 1861 r., to jest już po zakazie noszenia konfederatek i butów oddzielnego kroju, dołączona jest rycina, nauczająca Polaków, jak się ubierać mają, a nawet ubiór ten należy do mody, a moda jest najstraszniejszą potęgą; chociaż i czamarka jest ubiorem pożyczanym od Węgrów, który przeszedł do nas. Jakżeż teraz pogodzić „Magazyn Mód“, okazujący nam ubiory, jakie nosić mamy, z innymi organami prasy, które wydrukowały rozporządzenia o zakazie ubiorów, a przecież wszystkie te pisma wychodzą z dewizą cenzury: „wolno drukować za pozwoleniem zwierzchności, (podpisano) cenzor“. Rząd, jako istota moralna i prawodawcza w sprzeczności z sobą być nie może, wszystkie jego kółka ruchu muszą być w harmonii, i dla tego, żeby tę harmonią upatrzyć, trzeba przyjąć, że zakaz dotyczy kontuszów i żupanów, lecz dozwala czamarek, co cała Polska z chęcią przyjmuje; a że proces Mysłowskiego jest głównie o noszenie czamarki, która prawem niezakazana, a zatem jest dozwolona“.

Wyrzekłszy te słowa, przechodzi obrońca do drugiego oskarżenia, do śpiewów zakazanych. Tu opowiedział Kasperski historyą powstania pieśni „Boże, coś Polskę“, tonem wysoko nastrojonego patosu wydeklamował przed sądem i przed audytoryum tę pieśń całkowicie, i tak swą obronę zakończył: „w tym przebiegu historycznym widzimy, że śpiew dla Polaków jest godłem wszystkich uczuć, jakie w sercu jego rodzić się mogą. Cóż dziwnego, że Mysłowski śpiewał to, co zabronionem nie jest; wprawdzie wyszło ogłoszenie Dyrektora głównego wyznań religijnych, że zabraniają się pieśni, które nie są przez Kościół aprobowane i rytuałem kościelnym objęte; do rzędu tego nie można policzyć pieśni, którą śpiewał Mysłowski, „Boże, coś Pol-

skę przez tak długie wieki“, albowiem nasze duchowieństwo polskie, któremu służy władza dyskrecyonalna co do rytuału, czyli uznania za właściwe śpiewów religijnych, duchowieństwo, które przy wystawieniu Sanctissimum pieśń tę śpiewa, zatem już ją uznaje; śpiew więc ten nie może być niezgodny z rytuałem, a to co Bogu jest przyjemne, co z rozrzewnieniem serca ku Niebu jest posyłane, nie może się ludziom niepodobać; dla tego w powołanym oznajmieniu władzy nie ma ani wzmianki o pieśni „Boże, coś Polskę przez tak długie wieki“. Zresztą pieśń tę codzień słyszymy, stała się ona prawie Ojcze nasz'em (sic) ludu; wszyscy ją śpiewamy, matka usypia i utula kwilące dziecię tą czułą harmonią; nie lękamy się wyznać tego przed Bogiem i ludźmi. Pieśń ta nie jest dzisiejszą, skomponowaną została w pierwszych latach po wskrzeszeniu Polski, na cześć Aleksandra I., króla Polskiego; będąc dziećmi, jako uczniowie, śpiewaliśmy ją; starzy, ojcowie rodzin, uczymy nasze dziatki śpiewać ją na cześć monarchy, którego ręka zdarła całun śmiertelny z grobu naszej ojczyzny. Dla tego to dotąd pieśń ta zabronioną nie została i zapewne zabronioną nie będzie. W ostatku skarga na Mysłowskiego wychodzi od pełniącego obowiązki naczelnika wojennego; pewnie ten znakomity mąż stanu nie miał tej pieśni na myśli; fałszywie doniesiono, że Mysłowski śpiewał zakazane pieśni, bo mamy tego świeży dowód, w Niedzielę po Bożem Ciele, d. 2 czerwca r. b. w nocy, gdy zebrany lud w kilka tysięcy, przed cudownym obrazem Boga Rodzicy, pieśń tę śpiewać zaczął, p. o. naczelnika wojennego, znalazłszy się przypadkiem między ludem, nie tylko że nie bronił tego śpiewu, lecz owszem dozwolił tak czułej i rozrzewniającej modlitwy. Jakże można przypuścić, aby przedmiotem skargi była owa pieśń, a śledztwo, w zarzucie Mysłowskiemu uczynionym przeprowadzone, niedostarczyło dowodów, aby inną jaką, prócz „Boże, coś Polskę przez tak długie wieki“ pieśń śpiewał. Mysłowski przyznał, że pieśń tę śpiewał, więc jest fakt pewny; zatem wy-

rok zaapelowany źle wyrokował, kiedy uznał brak poszlak; owszem, winien był wyrzec, że Mysłowski w zarzucie śpiewania pieśni: „Boże, coś Polskę“ jest niewinny“.

Wrażenie tej mowy było ogromne. Było to, rzec można, pierwsze publiczne zaakcentowanie w obliczu magistratury rządowej, jaką był sąd, usposobienia rewolucyjno-patryotycznego mas. Mowę tę, jak powiedzieliśmy już, rozrzucono po całym kraju w licznych litografowanych odbitkach, przepisywano ją sobie i przez chwilę, nieznaną dotąd osobistość patrona Kasperskiego uważano za bohatera narodowego. Jeżeli w rzeczy samej dał on dowody niezwykłej śmiałości wygłaszając taką obronę, to z drugiej strony był dosadnem świadectwem zarazy, która ogarniała wszystkich i przenikała wszędzie.

Na Litwie, gdzie dotąd ruch rewolucyjny objawiał się sporadycznie, teraz począł przybierać wielkie rozmiary, ogarniał sobą wszystkie nieomal miasta i miasteczka, zwłaszcza na pograniczu Królestwa. W Białostoku powód do rozpoczęcia się agitacyi dało przybycie w połowie maja trupy teatralnej polskiej, pod dyrekcyą niejakiego Hahna. Teatr był zawsze pełny, a sztuki takie, jak „Krakowiacy i Górale“, lub „Kacper Karliński“, wywoływały śród widzów gorący entuzyazm. Każde wyrażenie w sztuce, brzmiące albo o dawnej sławie polskiej, albo mające jakikolwiek związek z chwilą obecną, witane było oklaskami i wszelkiego rodzaju oznakami uniesienia. Młodzież szkolna dawała zawsze w tym względzie inicyatywę. Dnia 4 czerwca w kościele miejscowym, uczniowie przebrani po cywilnemu pierwszy raz zaśpiewali „Boże, coś Polskę“, które tu, jak i wszędzie, wywarło to potężne, wstrząsające duszą polską do głębi, wrażenie, które tylekrotnie już opisywaliśmy. Ksiądz Bąkowski, proboszcz, zwrócił się do agitatorów z prośbą, by przestali śpiewać i przedstawiał im, że użycie świątyni Bożej za miejsce agitacyi politycznej jest rzeczą nieprzyzwoitą i zdrożną. Gdy słowa te nie skutkowały, zagroził, że każe śpiewających wyprowadzić z kościoła. Śmiano się z tego, wołano, że „niema tyle służby, by mógł wszyst-

kich wypędzić“, i śpiewano dalej. Rozgniewany Bąkowski przerwał nabożeństwo, i opuścił z innymi księżmi kościół, za co potem posypał się nań istny potop listów bezimiennych, przepełnionych groźbami i obelgami.

Do wzrostu tego usposobienia rewolucyjnego przyczynił się bardzo wiele pobyt jednodniowy w Białostoku Andrzeja Zamoyskiego. Szlachta okoliczna zjechała się tłumnie i przyjmowała nieszczęsną ofiarę papularności szeregiem owacyi entuzyastycznych. Był to rodzaj tryumfu, trwającego cały dzień. Starzeński, marszałek gubernialny grodzieński, witał Zamoyskiego w imieniu obywatelstwa, i mówił, że „ty hrabio, przez twój charakter i twe czyny zasłużyłeś na szacunek i miłość swych współobywateli, i gdziekolwiekbyś się zjawił, wszędzie przyjęty będziesz kwiatami i okrzykiem: niech żyje pierwszy obywatel polski!“ Okrzyk ten podchwycono i zrobiono zeń niejako hasło dnia. Gdy bowiem nad wieczorem Zamoyski, opuszczając Białystok, jechał na stacyą kolei żelaznej, całe miasto wyległo na ulicę i towarzyszyło pojazdowi wśród głośnych okrzyków: „wiwat Zamoyski, pierwszy obywatel polski!“ Uniesienie przytem było tak wielkie, że mężczyzni machali kapeluszami i chustkami, kobiety zarzuciły drogę i powóz prawdziwą powodzią kwiatów. Tem przyjęciem zaiste! mógł się pocieszyć Zamoyski po ciosach, jakie ponosił w Warszawie z ciężkiej ręki Wielopolskiego; i zaprawdę, zapytać się należy przeznaczeń dziejowych, czemu temu bożkowi uniesień i aspiracyi narodowych nie dały rozumu i charakteru męża stanu?..

Odtąd agitacya w Białostoku, gorączkowy ruch umysłów, znamionujący tę epokę, stale zapanował, i coraz bardziej się rozwijał głównie za staraniem młodzieży szkolnej, kobiet i urzędników kolei petersburskiej, którzy, ponieważ byli na służbie kompanii francuzkiej, uważali się do pewnego stopnia za niepodległych i niezależnych od władz miejscowych. Kobiety stroiły się w żałobę, rozdawały odezwy, sprzedawały krzyże, wieńce cierniowe, szyły chorę-

gwie z emblematami temi i napisem dat lutowych i kwietniowych [1]).

W Kownie ruch rewolucyjny, a ściślej mówiąc śpiewanie pieśni patryotyczno-religijnych rozpoczęło się dopiero w końcu maja. Policya wskutek tego nakazała wyjechać z miasta wielu osobom, które brały czynny udział w propagandzie tych śpiewów. Między innemi, polecono opuścić miasto żydowi Landemu, komisantowi księgarskiemu. Ponieważ był to żyd, „Polak mojżeszowego wyznania“, jak to teraz mówiono, i ponieważ jako taki śpiewał „Boże, coś Polskę“, więc damy kowieńskie w chwili jego odjazdu tłumnie się zebrały i wyprawiły mu rodzaj owacyi. „Wiele wdzięku miała scena, opowiada źródło współczesne, gdy kobiety, pokonywując z pewną trudnością wrodzoną skromność, przychodziły do nieznajomego i pierwsze podawały mu rękę i prawiły mu komplementa“. Zachwycano się tem, admirowano „nasze dzielne Polki“, jak powszechnie mówiono, i czyniono z nich jakieś heroiny nienaturalne.

W Wilnie, które podobnie jak Warszawa Królestwu, nadawało ton całej Litwie, dnia 4 czerwca odbył się wspaniały pogrzeb studenta uniwersytetu petersburskiego, Barancewicza. Takiego pogrzebu Wilno nie widziało od śmierci Jędrzeja Śniadeckiego. „Nie chodziło tu, pisze współczesna relacya, o zasługi zmarłego, lecz miasto całe miało na celu złożenie hołdu młodzieży akademickiej, która w ostatnich czasach tak wielkie dała dowody swego poświęcenia dla sprawy narodowej“. Zebrało się przeszło 10.000 osób, zachowano się przyzwoicie i poważnie. W kilka dni potem znowu odbył się drugi pogrzeb Francuza, nazwiskiem Gasse, na który zgromadzono się licznie, „dla okazania sympatyi narodowi francuzkiemu, której ani czas, ani próżne zawody, dotąd nie zatarły w ludzie naszym“. Na procesyi w Boże Ciało, której z wielką obawą oczekiwał Nazimow i trzymał cały dzień pod bronią batalion piechoty pułku Sofij-

[1]) Odznaczały się w tym względzie żony urzędników i nauczycieli gimnazyum miejscowego.

skiego i dwa szwadrony ułanów, na zakończenie uroczystości zagrzmiało z tysiąca piersi tak w katedrze, jak i na placu „Boże, coś Polskę“, — „intonowane, jeżeli w niezupełnej harmonii tonów, to pewnie z harmonią dusz polskich“, jak mówi cytowana już przez nas relacya. Księża w śpiewie udziału nie brali, czem powszechne, wśród gorących głów ludu i młodzieży, wywołali na siebie oburzenie.

Na Wołyniu władze miejscowe starały się szeregiem wystąpień energicznych położyć kres wzmagającej się agitacyi. Od strony Królestwa i Galicyi po wszystkich traktach porozstawiano warty, z chłopów złożone, dla kontrolowania paszportów i dozorowania wszelkiego rodzaju podróżnych. Po oberżach, zajazdach, karczmach zaprowadzono księgi, w które podróżni winni się byli zapisywać [1]), porozsyłano je po dworach dla notowania gości, polecając surowo, by ściśle zapisywano godzinę ich przyjazdu i wyjazdu, oraz sprawę dla której przybyli. W samym Żytomierzu ruch patryotyczny oddawna się objawił. W teatrze, gdzie z rozporządzenia władzy dawano zawsze obok polskiej sztukę rosyjską, publiczność podczas ostatniej tłumnie i hałaśliwie opuszczała widowisko. W czerwcu gubernator miejscowy wyszukiwał i karał tych wszystkich, którzy pośredni lub bezpośredni brali udział w nabożeństwach żałobnych za poległych. Doktora Fortunata Nowickiego kazał wywieść do Tambowa za to, że znaleziono u niego fotografie poległych, liczne odezwy i plakaty z tej doby; dwóch braci Morzyckich wygnano do Wiatki za to, że konno jeździli na nabożeństwo za poległych do Berdyczowa; niejakiego Sabińskiego, Sybiraka, uwięziono za to, że córka

[1]) Zdarzyła się przytem zabawna historya. Jechało dwóch młodych pustaków, którzy wpisali się w podaną księgę, powierzoną chłopu, nie umiejącemu wcale czytać. W kilka dni potem nadjeżdża urzędnik kontrolujący księgi i z wielkiem swem przerażeniem wyczytał wpisane nazwiska; Józef Garibaldi, Ludwik Mierosławski. Biednemu, Bogu duszę winnemu chłopu zgodnie ze sprawiedliwością moskiewską wyliczono sto plag, a śledztwo, które rozpoczęto, naturalnie do niczego nie doprowadziło.

jego kwestowała w kościele na rodziny poległych. Jednem słowem rozpoczął się szereg prześladowań gwałtownych, nie zawsze słusznych i konsekwentnych, które jednak zamiast uspakajać mieszkańców, owszem wzbudzały w nich większą nienawiść i rzucały ich w ramiona rewolucyi. W tej surowości i ucisku, zrywającym się ni ztąd ni z owąd, nie było ani ciągłości, ani żadnego systematu, by jakikolwiek skutek dodatni mógł nastąpić.

Z drugiej strony władze rosyjskie patrzyły przez palce na objawy nawet groźne i niebezpieczne, jeżeli te przybierały charakter przeciwpolski. Na Ukrainie, w okolicach Kaniowa i Korsunia, w klasycznej ojczyźnie koliszczyzny, w końcu czerwca poczęły się rozchodzić głuche wieści, jakoby lud tamtejszy gotował się do nowej „nocy Tarasowej“, w której chce rznąć „panow, liachiw i żidiw“. Wieści te coraz bardziej się rozszerzały i stały się tak powszechnemi, że wśród szlachty miejscowej wzbudziły popłoch formalny. Głównem centrem agitacyi podziemnej wśród ludu była mogiła zmarłego w lutym poety ruskiego Szewczenki, którego pochowano w maju, w pobliżu Kaniowa, na prawym brzegu Dniepru, na wznoszącem się ostro-wzgórzu, i tam usypano mu, starym obyczajem słowiańskim, wysoką mogiłę. Niejaki Grzegorz Czestochowskij, urzędnik z petersburskiej kapituły orderów, który osiadł w Kaniowie w celu ostatecznego ukończenia mogiły poety, chłopoman zapalony z domieszką hajdamaczyzny, rozdawał między lud mnóstwo broszur z utworami Szewczenki, zbierał na mogile parobków i dziewki, i rozpowiadał im, że jest wnukiem sławnego hajdamaki, który rzezał Lachów i żydów. Wśród ludu nosił on nazwę Hrycia. Wkrótce poczęły obiegać wieści, że ciała Szewczenki w mogile wcale niema, że są tam tylko schowane noże, które we właściwym czasie będą chłopom rozdane. Mówiono, że na mogile pojawia się niekiedy wielki książe Konstanty, który w odpowiedniej porze rozkaże ludowi „świat oczyścić“, że na pomoc hajdamakom przybędzie 25 tysięcy kozaków z Zaporoża, z nad Morza Czarnego, z nad Dunaju,

i że Hryć Czestochowskij będzie nimi dowodził. Zapowiadano, że powstanie jednocześnie wybuchnie w Czechrynie, Humaniu, Czerkasach i Kaniowie, że jednem słowem zbliża się wielki dzień wyswobodzenia Ukrainy i odrodzenia się starej, pełnej chwały hetmańszczyzny... Tu i owdzie dawały się słyszeć pogróżki. W jednem miejscu chłop pogroził szlachcicowi i przypomniał mu Żeleźniaka i Gontę; w innem głosił, że Taraz Szewczenko nie umarł i jeno patrzeć, jak chłopów zrobi panami; gdzieindziej w karczmie wołał do żydówki szynkarki rozgniewany potomek „rezuniów“: „kolib nam daw Boch skorisz rizat was, bisowych żidiw, to togda ja pierwszyj budu rizat“!

Wieści te, dochodząc z jednej strony do szlachty polskiej, z drugiej do władz miejscowych, spowodowały, że doniesiono o widocznem wzburzeniu wśród ludu jenerał-gubernatorowi kijowskiemu, Wasilczykowi, domagając się od niego pomocy i obrony. Jakoż wysłano do Kaniowa na śledztwo pułkownika żandarmów Grabowskiego i gubernatora kijowskiego Hessego, a choć ci potwierdzili, że wieści te nie są pozbawione pewnych podstaw, jednakże Wasilczykow zachował się wobec całej sprawy z osobliwszą obojętnością. Ganiąc z jednej strony zbytnią gorliwość żandarma i gubernatora, którzy przyaresztowali Hryćka-Czestochowskiego i kilku mieszczan kaniowskich, z drugiej donosił do Petersburga, że „cała sprawa polega na próżnym strachu i pogłoskach na niczem nieopartych, zrodzonych przez zbyt trwożliwą wyobraźnię“ [1]). W ówczesnem jednak usposobieniu umysłów, przy tysiącznych prądach rewolucyjnych i socyalnych, przebiegających przez umysły, w ziemi takiej jak Ukraina, gdzie zdawały się brzmieć jeszcze ciągle stare echa hajdamaczyzny, tego rodzaju pogłoski i groźby, wydobywające się z ust chłopskich, nie były bardzo bezpieczne. Wasilczykow kazał Hryćkowi-

[1]) Później twierdzono w sferach *dżejatieli* rządowych, że całą tę historyą o przygotowującej się jakoby rzezi wymyśliły „polskie pany i księdzy“, w tym celu, by odwrócić uwagę władzy od siebie i od swej działalności rewolucyjnej.

Czestochowskiemu wyjechać do Petersburga, i na tem sprawę całą zakończył. Wyjazd ten zapewne przerwał wzrost nasion rzucanych przez potomka rezunia, ale nie zniszczył ich zupełnie. Wyrosły one krwawo w dwa lata później, i dały znać o sobie gromem Sołowijówki!...

Mimo to szlachta miejscowa, a raczej goręcej usposobiona młodzież szlachecka nie zrażała się tem wcale i w chęci służenia krajowi starała się wszelkiemi siłami o przywrócenie dobrych stosunków między chatą a dworem. W tym czasie mniej więcej obiegała po całym Wołyniu, Podolu i Ukrainie odezwa „obywateli wołyńskich“, zachęcająca do zakładania szkółek ludowych, domagająca się, by szlachta ziem ukrainnych przez akt publiczny upomniała się o swe prawa narodowe, o szkoły polskie i ludowe ruskie, o to, by urzędnicy byli Polakami, o poszanowanie języka i tradycyi ruskich i zaznaczała, „że wynaradawianie mieszkańców ziem ruskich uważamy za gwałt narodowy, gwałt przeciwko prawom Opatrzności, któremu z pobudek przyrodzonych, obywatelskich i nawet religijnych, opierać się będziem usiłowali“ [1]).

Gdy się to wszystko działo na prowincyi, w Warszawie też nie ustawano w urządzaniu tysiącznych, drobnych manifestacyi. Podczas kiedy Suchozanet odbywał wielkie przeglądy wojsk, jak np. dnia 15 czerwca na placu Wojennym, gdzie zgromadził 14 batalionów piechoty, cztery sotnie kozaków i pięć bateryi polowych, agitatorzy wcale się nie przerażali temi demonstracyami sił wojennych rosyjskich, i robili dalej swoje, kuli powoli straszny miecz na lepszą dolę Polski. W ogrodzie Saskim bitwy studenckie między „królem polskim i carem moskiewskim“ przybrały tak szerokie rozmiary, zgromadzały tak liczną publiczność, oklaskami witającą zwycięztwo króla, że nawet Suchozanet ocknął się ze swej drzemki apatycznej w Bel-

[1]) Odezwę tę, jako akt bardzo interesujący i wcale, o ile wiemy, dotąd drukiem nie ogłoszony, pomieszczamy w odpisie ze współczesnego manuskryptu, w zbiorze dokumentów na końcu tego tomu pod Nr. 1.

wederze, i kazał zamknąć ogród, zostawiwszy w nim tylko dwa przejścia boczne, przy których postawił silną placówkę wojskową, i policyi rozkazał ścisłą mieć baczność na to wszystko, co się dzieje w ogrodzie. Inne znowu koło agitatorów urządziło hałaśliwą owacyą uczennicom, przybywającym statkiem parowym z Puław po zamknięciu tam roku szkolnego za to, że zamawiały nabożeństwo żałobne za poległych i przeciw swej zwierzchności bezpośredniej rokosz podniosły. Zebrało się nad Wisłą mnóstwo młodzieży, i wśród okrzyków, zasypało rozpromienione tem dziewczęta kwiatami. Dnia 23 czerwca znowu, w wigilią św. Jana, zamiast według zwyczaju dorocznego zebrać się na moście i puszczać na Wisłę wianki, wskutek agitacyi i drukowanych wezwań, ogromne tłumy, przeszło 20.000 osób liczące, ruszyły na Powązki, na mogiłę poległych i zarzuciły ją kwiatami i wieńcami. Władza policyjna, dostawszy do rąk kilka takich wezwań, wiedziała o gotującej się manifestacyi, ale nie przeszkodziła jej wcale, „przedsięwziąwszy tylko niektóre środki ostrożności“, które polegały na tem, że obok cmentarza na drodze rozwinięto znaczne stosunkowo siły wojskowe [1]). Te, stojąc spokojnie, nie powstrzymywały manifestatorów od niczego, owszem przez swą obecność sam obchód uczyniły niejako uroczystszym. Do miasta wracano gromadnie, śpiewając „Boże, coś Polskę“, i inne pieśni. Zaimprowizowani na prędce konstablowie utrzymywali porządek. Na cmentarzu też rozdawano liczne kartki z patetyczną odezwą, zachęcającą do wytrwania i do utrzymania żałoby.

---

[1]) Suchozanet pod dniem 24 czerwca tak o tem donosi cesarzowi: „z powodu uroczystości Jana Chrzciciela, według zwyczaju krajowego, mieszkańcy winni byli zebrać się na moście dla rzucania wianków na Wisłę; zamiast tego wczoraj było zbiegowisko około 20.000 ludzi na cmentarzu Powązkowskim dla ozdobienia wieńcami mogiły zabitych dnia 27 lutego. Nie przeszkadzając temu, przedsięwzięto niektóre środki ostrożności; wszystko odbyło się spokojnie przy odśpiewaniu tylko hymnu patryotycznego. O czem mam szczęście (sic) donieść. Jen. adj. Suchozanet“.

Przy takich ciągłych manifestacyach o uspokojeniu ludności nie mogło być mowy. Na dzień pierwszy lipca zapowiadano poświęcenie uroczyste grobu poległych na Powązkach; w Lublinie usypano wysoką mogiłę na pamiątkę „ofiar“ lutowych, i sam biskup Baranowski w asystencyi licznego duchowieństwa ją poświęcił. Gdy wieść o tem przyszła do Warszawy i gdy coraz głośniej poczęto mówić o gotującej się uroczystości na Powązkach, Wielopolski, chcąc temu zapobiedz, wydał do arcybiskupa dnia 28. czerwca reskrypt, zabraniający jak najsurowiej stawiania pomników lub krzyżów na pamiątkę poległych. „Jeśliby który duchowny, pisał w tym reskrypcie, poważył się poświęcić na pamiątkę poległych w Warszawie pomnik, czy to w kształcie zwyczajnego pomnika, czy też w kształcie krzyża lub jakiembądź innem wyobrażeniu, lub uczestniczył przy wznoszeniu i stawianiu onegoż, uważany będzie jako sprzeciwiający się woli monarszej i pociągnięty zostanie jako taki do surowej odpowiedzialności“. Reskrypt ten, jak wszystkie reskrypta, nie został posłuchany. Do nowej manifestacyi gotowano się wyraźnie, głośno o niej mówiono. Właśnie w ostatnich dniach czerwca przypadły dwa z rzędu święta, uroczystość apostołów Piotra i Pawła w sobotę, a zaraz potem była niedziela. Piękne dni letnie sprzyjały tłumnemu włóczeniu się po ulicach, „spacerowaniu“, tak ulubionemu przez motłoch warszawski, który na każdym kroku okazywał policyi i władzom pogardę i zuchwalstwo. Mnóstwo pijanych dodawało tym wycieczkom przeciw reprezentantom zwierzchności pewną cechę gwałtowności. Suchozanet był tem tak przerażony, że donosił cesarzowi, iż „prawdopodobnie będzie zmuszony do użycia środków ostatecznych“ [1]). Do tego

[1]) „Jakkolwiek, pisał, nic szczególnego nie zaszło, wszelakc wzburzenie motłochu (czerni) wzmaga się, z wyraźnym zamiarem doprowadzenia rzeczy do ostateczności, dla poderwania dobrego usposobienia dobrze myślących. Prawdopodobnie będę zmuszony uciec się do środków ostatecznych. Za opór władzom policyjnym i strażom wojskowym oddaję pod sąd wojenny“.

jednak nie przyszło na szczęście. Samo uroczyste poświęcenie grobu poległych odbyło się stosunkowo dość spokojnie, choć zbiegowisko na Powązkach było ogromne. Jeszcze w maju koło rzeczonego grobu urządzono rodzaj ołtarza z darni, który obwieszono mnóstwem obrazków i emblematów, tak rozpowszechnionych w tej epoce. Przy ołtarzu tym zawsze znajdował się ktoś z młodzieży, przeważnie ze sfer rzemieślniczych i szkolnych, w charakterze straży, i jeżeli można wierzyć doniesieniom urzędowym, zbierał składki. Otóż, przed ołtarzem już od godziny 10. rano poczęły się gromadzić znaczne tłumy, ale powtarzamy, wszystko odbyło się spokojnie. Jak zwykle zarzucono grób wieńcami, kwiatami i gałęziami zielonemi. Tłumy cały dzień włóczyły się po cmentarzu i po mieście, dopuszczając się licznych drobnych nadużyć i zuchwalstw przeciw policyi.

Niemniej liczne zbiegowisko było na kierkucie żydowskim, gdzie nad mogiłami poległych w dniu 8. kwietnia Landaua i Goździana odśpiewano hymny patryotyczne, a niejaki Szmideberg, jakkolwiek nie rabin, odczytał modlitwy nad grobem po hebrajsku, a potem je obecnej tamże ludności chrześcijańskiej przetłomaczył na język polski.

Postawa duchowieństwa katolickiego, jaką ono wogóle przyjęło względem rządu i względem partyi rewolucyjnej, jeżeli z jednej strony miała źródło w fałszywie pojętym patryotyzmie, to z drugiej była ona niejako wynikiem pewnego rodzaju niemej zachęty, jaką otrzymywało z Rzymu. Właśnie w tym czasie, w czerwcu, wśród sfer kościelnych i rewolucyjnych obiegać poczęła głucha, niejasna wieść, że arcybiskup Fijałkowski otrzymał drogą tajną list od Papieża. O treści tego listu nie wiedziano wcale, gdyż Fijałkowski umiał co do tego zachować dyskretne milczenie [1]), przypuszczano tylko, że papież zachęca w nim

[1]) List ten ukazał się na widok publiczny dopiero w listopadzie 1861 r., a więc po śmierci Fijałkowskiego. Pierwszy wydruko-

duchowieństwo polskie do wytrwania dalej na drodze oporu biernego przeciw rządowi, na drodze walki za wiarę i ojczyznę. Wieści te, dochodząc drogą uboczną do ciemnych, zardzewiałych głów duchowieństwa prowincyonalnego i zakonnego, utrwalały ich w dążnościach rewolucyjnych, zachęcały do dalszych manifestacyi, jako niby przez najwyższą władzę kościelną zaaprobowanych. Inaczej jednak było.

W rzeczy bowiem samej, papież pod dniem 6 czerwca napisał do arcybiskupa warszawskiego list obszerny, który w końcu tego miesiąca dostał się do rąk adresata. W liście tym wszelako papież starannie i ze zręcznością, właściwą kuryi rzymskiej, unika wszelkich wzmianek o ruchu ogarniającym Polskę, i zajmuje się wyłącznie sprawami kościelnemi. Przedewszystkiem zaś stara się zbić powszechne w tej chwili w Polsce przekonanie, że papieże o tyle tylko zajmują się Polską, o ile to jest potrzebne do ich interesów politycznych rzymskich. Zdanie to, słuszne zresztą pod wielu względami, opierało się na postępowaniu, bezwarunkowo nieszlachetnem, jakiego co do Polski trzymał się Grzegorz XVI. Otóż Pius IX. przeciw temu usilnie protestuje w liście, o którym mowa. „Skorośmy, pisze papież, z wielką serca naszego boleścią się dowiedzieli o okropnych wypadkach, które w tem mieście Warszawie i innych stronach Królestwa Polskiego w ostatnich czasach się wydarzyły, wznieśliśmy oczy nasze do Pana, modląc się i błagając, ażeby lud swój od dalszych nieszczęść uwolnił, a szczególniej wyrwał z niebezpieczeństwa, w jakie jego wiara i religia, przez niegodziwe i podstępne niektórych wyrodnych synów zabiegi popaśćby mogła. Nie tajno nam bowiem było, jak ludzie skłonni do zamieszek publicznych i zdania przewrotne rozsiewający, od niejakiego czasu postanowili Polskę także wprowadzić na drogę błędu, aby godniejszą i rozsądniejszą część tego królestwa

---

wał go „Tygodnik katolicki“, wychodzący w Grodzisku w Ks. Poznańskiem, z przekładem polskim, poświadczonym jako zgodny z oryginałem, przez ks. Dzierzkowskiego, kanonika warszawskiego.

od tej prawdziwej wiary katolickiej i znakomitej, istnie synowskiej uległości i czci ku tej katedrze Piotra, któremi Polacy zawsze tak świetnie się odznaczali, całkiem oderwać. Wiedzieliśmy także, że ludzie takowi, między innymi podstępy, także potwarzy się dopuszczają, aby tak dopiąć celu sobie założonego i wiernych Polski, aczkolwiek niechętnych i opierających się, w te ciężkie pogrążyć nieszczęścia, które społeczność cywilną w tych nader krytycznych czasach tak boleśnie dotykają; albowiem tych wiernych przekonać usiłowali, żeśmy nietylko o ich duchowny pożytek nigdy się nie troszczyli, lecz także wcale nie dbali, by kościół katolicki w prowincyach Polski zupełną się cieszył wolnością. A nic zaprawdę fałszywszego, nic niesprawiedliwszego przeciwko nam wymyślić nie było można. Bo mocą Apostolskiego naszego urzędu wszystką trzodę Pańską, od samego Chrystusa, Pana naszego, nam powierzoną, mając w sercu i przed oczyma, o nic bardziej się nie staramy, jak ażebyśmy duchownej wszystkich wiernych całości najmiłościwiej i najgorliwiej strzegli, i interesu i praw kościoła katolickiego mężnie bronili. Tobie zaś dobrze wiadomo, wielebny bracie, że z równą chytrością usiłowano przekonać wiernych Polaków, że ś. p. Grzegorz XVI., poprzednik nasz, wcale nie troszczył się o ich duchowne potrzeby, i że od tego papieża całkiem byli opuszczeni. A gdy tak niesprawiedliwe i tak zgubne mniemanie u wiernych tego królestwa z każdym dniem coraz bardziej się rozszerzało, wtenczas tenże poprzednik nasz, słusznie i sprawiedliwie apostolski głos swój podnosząc, nietylko w konsystorskiej swej allokucyi przeciwko tak haniebnej potwarzy reklamował, lecz także jednocześnie objaśnienie wypadków, rozlicznymi opatrzone dokumentami, drukiem ogłosić kazał, aby świat cały poznał, jak gorliwie i nieustannie on o dobro i pożytek religii katolickiej w cesarstwie rosyjskiem i Królestwie Polskiem się starał. To uroczyste błogiej pamięci poprzednika naszego oświadczenie powinno było z umysłu tych wiernych całkiem oddalić wszelką wątpliwość i przekonać ich, jak troskliwie i pilnie

taż Stolica zawsze się zajmowała duchownem dobrem wszystkich wiernych w Cesarstwie rosyjskiem i Królestwie Polskiem. Ale zaledwo po kilku latach ciż ludzie, korzystający już to z trudności wstrzymujących wolne utrzymywanie stosunków tychże wiernych ze Stolicą apostolską, już też z opłakanego zaiste położenia, w jakiem się znajdujemy, toż samo fałszywe i niesprawiedliwe mniemanie na nowo wzbudzić w tych wiernych się nie wahali. Przeto sądzimy, wielebny bracie, że przyszedł czas, byśmy prawdę objawili tym wszystkim, którzy fałszywemi wieściami uwodzić, oszukiwać i w błąd wprowadzać się dają, a oraz, byśmy zdjęli maskę tym, którzy okryci płaszczem podstępu i kłamstwa, starają się dowieść, rzecz straszna, że ta Stolica apostolska więcej dba o korzyści panowania świeckiego, niż o duchowne zbawienie narodów".

Poza tą obroną własną papież stawia niejako program, czego właściwie kościół polski winien domagać się od rządu rosyjskiego. Chciał więc, by w Petersburgu lub w Warszawie stale znajdował się nuncyusz apostolski; aby od konsystorzy usunięty był prokurator cesarski i sekretarz świecki przez rząd mianowany, aby sprawy małżeńskie między katolikami i schizmatykami rozpatrywane były przez konsystorze katolickie, aby zniesione było prawo z r. 1832, nie uznające ważności małżeństw mięszanych, jeżeli ich pop schizmatycki nie pobłogosławił; aby zniesiono prawo, ograniczające swobodę nowicyatów klasztornych, oraz wolność komunikowania się zakonów z ich jenerałami w Rzymie; aby duchowieństwu oddano wszystkie jego dobra; aby dozwolono kościołowi propagandy religijnej; aby wszystkie dyecezye były obsadzone i miały swych sufraganów; aby klerycy uniccy mieli wolny wstęp do akademii duchownej w Warszawie; aby zmieniono przepisy w seminaryum unickiem w Chełmie; aby nakoniec Bazylianie mogli utrzymywać szkołę dla swych alumnów. Wyłożywszy to wszystko, list tak się kończy:

„Otóż więc wedle tego wszystkiego, cośmy pokrótce nadmienili i poruszyli i tobie podali do wiadomości, twoją

będzie rzeczą, wielebny bracie, przy pomocy także twych sufraganów, zbić i odeprzeć bezwstydną potwarz na nas i tę świętą Stolicę rzuconą, i tych wiernych zapewnić o wszystkich staraniach przez nas i tęż Stolicę dla duchownego ich dobra i pożytku ciągle podejmowanych i uprzejmemi słowy ich uwiadomić o szczególnej naszej ku nim miłości i przychylności. Nie przestawaj zaś nigdy pospołu z twymi sufraganami też wierne ludy, czy to słowem, czy zbawiennemi i stósownemi pismami zawsze przestrzegać, napominać, zachęcać, aby od drogi prawdy, honoru, cnoty i sprawiedliwości i od najświętszych boskiej naszej religii przepisów nigdy nie zbaczały, i z każdym dniem coraz bardziej w wierze, miłości i posłuszeństwie względem tej katedry Piotra, tego środka prawdy i jedności statecznie i niewzruszenie wytrwały. Tym sposobem, zaprawdę, od najłaskawszego Ojca mjłosierdzia uzyskają obfitość błogosławieństw niebieskich, które jedynie zdołają nietylko odwieść od nich owe zgubne zamieszki, któremi ludzie nieprzyjaźni niepokoić je usiłują, lecz także sprawić, aby ciż Polacy tradycyjnej swojej religii błogosławieństwem i wszelkiem prawdziwem szczęściem cieszyć się mogli. My z naszej strony w każdej modlitwie i błaganiu z dziękczynieniem najdobrotliwszego Pana pokornie i gorąco prosimy, aby bogactwa swej łaski Bożej na wierne ludy Polski łaskawie zawsze wylewać raczył".

Bądź co bądź, jakkolwiek list ten nie dotykał się spraw czysto politycznej natury, jakkolwiek nic nie mówił o tem, jak papież sądzi wypadki warszawskie i ruch polski, wszelako nazywanie tych wypadków „okropnymi", świadczyło, że Kurya sprzyja Polsce, a upomnienie się o wolności jej kościoła, dowodziło, że zajmuje się nią gorąco. List ten więc do pewnego stopnia budził w duchowieństwie poczucie, że ma się na kim oprzeć, i w ogólności zaszkodził wiele tak akcyi Wielopolskiego, jak i interesom krajowym. Margrabia, który znajdował się teraz właśnie w bardzo trudnej pozycyi, w jednem z tych przesileń, stanowiących nietylko o jego karyerze politycznej,

ale i o przyszłości kraju, z żywem oburzeniem patrzał na list, o którym wiedział, i który niezmiernie utrudniał mu położenie. Do walki, jaka między nim a Suchozanetem się teraz zawiązała, walki ciężkiej i pełnej niebezpieczeństw, list ten dorzucał nowy ciężar, zwiększał szanse niepowodzenia.

Dwaj tacy ludzie, jak Wielopolski i Suchozanet, tak różnych usposobień i poglądów, nie mogli być długo ze sobą w zgodzie, jak nie może być zgodną w porządku przyrodzonym woda z ogniem. Sezostrys nie egipski i w skórze jenerała moskiewskiego ukryty miał wszystkie dzikie instynkty despoty i żołdaka, który swoje „ja“ uważał za prawo; o jakichkolwiek przepisach i legalności ten umysł mały i ciasny wprost nie miał pojęcia. Stary był zresztą bardzo i wskutek tego ulegliwy tym, którzy umieli się do niego wziąć. Przybywszy do Warszawy, odrazu wpadł w ręce kamarylli wojskowej, i tak zwanej kancelaryi przybocznej namiestnika, której solą w oku był nowy porządek, wprowadzony przez Wielopolskiego. Przywykła za Paskiewicza do rządzenia krajem mocą bezpośredniego swego postanowienia, nie odwołując się częstokroć do władz cywilnych kraju, znajdowała się teraz usuniętą na plan drugi, strąconą z wyżyn, na których dotąd niepodzielne zajmowała stanowisko. Jej dążności zbiegły się z usposobieniem Suchozaneta, starego żołdaka mikołajewskiego. Potrafiono mu wytłomaczyć, że wzmagające się ciągle zaburzenia nigdy nie zostaną powstrzymane przez władze cywilne; że jedynie naczelnicy wojenni są do tego zdatni; że im trzeba oddać całą administracyą kraju w ręce, że administracya taka będzie sprawniejsza, posłuszniejsza i energiczniejsza, niż każda inna. Dzięki tym podszeptom, Suchozanet posłał Rudanowskiego do Suwałk na satrapę samowładnego, a Rożnowa do Płocka. Ale dotąd były to tylko sporadyczne czyny, mogące uchodzić za objaw tymczasowy; teraz jednak wypadki ostatnie warszawskie, szalejący przez dwa dni z rzędu, na pół pijany motłoch warszawski, wymyślający policyantom i patrolom wojskowym, zdecydował Suchozaneta do powierzenia rządów całego kraju jenera-

łom rosyjskim, do potworzenia kacyków i maleńkich prokonsulów z zaprawą tatarską, we wszystkich miastach i miasteczkach polskich. Prawie nazajutrz po uroczystem poświęceniu na Powązkach grobu poległych zajęto się w kamarylli namiestnika redagowaniem okólnika, mającego rzucić kraj na łaskę i niełaskę poruczników, zmienionych nagle w administratorów społeczeństwa ucywilizowanego. Pisząc o tem do cesarza pod dniem 3 lipca, Suchozanet usiłował swe postępowanie usprawiedliwić przez to, że zapowiedziana reforma policyi dotąd nie była wprowadzona, że opóźnienie to zmusza go do włożenia na wojsko obowiązku przywrócenia spokoju i porządku po miastach. „Wskutek tego, pisał, przypomniałem i uzupełniłem instrukcyą, wydaną do wojsk przez nieboszczyka ks. Gorczakowa, o zapobieganiu i rozpędzaniu zbiegowisk; odtąd winni przestępstw przeciw prawu, uznawanych przezemnie za polityczne, z mocy ukazu 1833 r., będą oddawani pod sąd wojenny". Cesarz nic nie miał przeciw temu; jego instynkta despotyczne, głęboko niestety! zakorzenione w rządzie rosyjskim, nie oburzały się na to wcale, że od woli i fantazyi takiego człowieka ograniczonego, jakim był Suchozanet, zależeć będzie uznanie danego przestępstwa za polityczne lub nie; że w ręku pierwszego lepszego porucznika leżeć będzie los człowieka i rodzin nieraz całych.

Instrukcya do wojsk, będąca powtórzeniem instrukcyi, wydanej przez Gorczakowa jeszcze w dniu 2. kwietnia, ukazała się zaraz dnia 3. lipca w rozkazie dziennym do armii. Rozkaz ten pierwotnie, wśród zrywającej się burzy kwietniowej, mającej się zakończyć katastrofą krwawą, niezauważony, wywołał teraz w sferach wojskowych głębokie i uzasadnione szemranie, i świadczył, jaki, obok innych niedostatków, brak logiki panował w głowach rządowych. Dozwalał on patrolom, przebiegającym miasto, w ostateczności strzelać do ludu, ale w końcu powiadał: „jeżeli w czasie patrolowania z któregokolwiek domu dane będą strzały do wojska, lub rzucone kamienie, to nie należy odpowiadać ogniem, ale tylko zauważyć dom, z któ-

rego nastąpił wystrzał". Czytając to, wojskowi słusznie zapytywali: jeżeli strzelanie do wojska nie jest ostatecznością, to czegóż potrzeba na to, by wojsko mogło dać ognia? Pytanie usprawiedliwione, zwłaszcza, że rozkaz rzeczony zdradzał wyraźną rękę Gorczakowa, chaos pojęć, brak decyzyi w czynach i zamiarach, będący dominującą cechą nieszczęśliwego tego wielkorządcy Polski. Ale jeżeli Gorczakow jest do pewnego stopnia usprawiedliwionym, to Suchozanet nim nie był, i powtarzając dosłownie niekonsekwentny rozkaz, dowodził tylko, jak lekkomyślnie i niedbale zajmował się sprawami.

Co się zaś tyczy oddania administracyi kraju w ręce naczelników wojennych, to dokonane to zostało z pogwałceniem wszelkich praw, obowiązujących w Królestwie. — Okólnik z dnia 9. lipca, dotyczący tego przedmiotu, wydany został przez Suchozaneta najprzód bez wiedzy Rady administracyjnej, co wyraźnie sprzeciwiało się cesarskiemu ukazowi o namiestnikach w Polsce, którzy wszelkie postanowienia winni byli wydawać za wiedzą i przy współudziale rzeczonej Rady. Prócz tego wzmiankowany okólnik, powołując się na ukaz z r. 1833 o stanie wojennym, polecał oddawać wszelkie wykroczenia przeciw porządkowi publicznemu pod rozpoznanie komisyi wojskowych, „aresztować nietylko osoby, na zasadzie świadectw zaprzysiężonych, o złe czyny przeciw rządowi przekonane, ale i takie, co do których zachodzi moralne przekonanie o ich czynach występnych", — nie zgadzał się wcale z duchem tego ukazu. Ten ostatni bowiem stosował się wyłącznie i jedynie do przestępstw stanu, jasno i wyraźnie określonych, inne wykroczenia oddając sądom zwyczajnym i kodeksowi obowiązującemu. W okólniku zaś ocenę danego przestępstwa zostawiano mądrości, a raczej samowoli naczelnika wojennego; oddawano im kraj, życie i mienie mieszkańców, z pogwałceniem najprostszego poczucia sprawiedliwości i praw krajowych. Okólnik bowiem uchylał ustawę o zbiegowiskach z d. 8 kwietnia, z której słusznie Wielopolski był dumnym; odbierał rozpoznawanie wszelkich tego

rodzaju spraw sądom cywilnym a oddawał je wojennym, które znały tylko deportacyą drogą administracyjną; przeciwny był nakoniec samym prawom wojennym, które orzekały wyraźnie, iż przestępstwa nawet przez wojskowych popełniane poza obrębem koszar, baraków, obozów, zwłaszcza, jeżeli mają styczność z osobami cywilnemi, dochodzone być winny przez komisye mięszane, z urzędników sądowych i wojskowych, a kary naznaczane ograniczały się do aresztu i grzywien. Jednem słowem okólnik z d. 9 lipca wywracał wszelki porządek do góry nogami, odbierał wszelką władzę i wszelką racyą bytu instytucyom krajowym, podkopywał legalność i prawo, oddawał kraj na pastwę samowoli maleńkich i tem przeto dokuczliwszych tyranów, noszących miano naczelników wojennych. Była to zaiste nowa woda na młyn tych, którzy wołali, że rządowi rosyjskiemu nigdy wierzyć i w niczem na nim polegać nie można, że nie rządzą w nim prawa i ustawy, ale osoby, że ze zmianą osób zmieniają się i najlepsze nawet prawa, padają w ruinę najwyborniejsze ustawy. Dodać należy, że większość naczelników wojennych zawdzięczała swoje nadzwyczaj ważne stanowisko prostemu wypadkowi. Z małym bowiem wyjątkiem nie wybierano na tę godność ludzi mających mniej lub więcej odpowiednie kwalifikacye, ale powierzano ją dowódcy oddziału, stojącego garnizonem w danej miejscowości. Ztąd zostawali naczelnikami pułkownicy, majorowie, porucznicy, którzy o administracyi kraju nie mieli najmniejszego pojęcia, którym się zdawało, że rządząc pułkiem, batalionem lub kompanią, należy tak samo rządzić miastem albo prowincyą. Instytucya więc, już sama przez się zła, stawała się jeszcze gorszą przez oddanie jej w ręce niewłaściwe, nabierała cech samowoli żołnierskiej i brutalstwa, zabarwionego specyficznie rosyjską tyranią.

Wielopolski przeciwko temu wywracaniu jego idei najulubieńszej protestował, ale protestował napróżno; jego usiłowania rozbijały się o ciasnotę pojęć Sezostrysa petersburskiego, o jego przyzwyczajenia despotyczne, o upór

wreszcie. Suchozanet popierany był pod tym względem przez kamaryllę wojskową, przez rady wojenne, które za każdą, choćby najmniejszą potrzebą zwoływał i zdawał się w nich szukać punktu oparcia. Starcie więc było nieuniknione i katastrofa wcześniej czy później nastąpić musiała. Powód do niej dał fakt, mający związek pośredni z wprowadzającą się właśnie w wykonanie ustawą o Radzie stanu, radach miejskich, gubernialnych i powiatowych.

Ukaz o tych instytucyach, podpisany w Moskwie d. 5 czerwca, ogłoszony został d. 18 t. m. Opóźnienie to, blizko dwutygodniowe, spowodowane było tem, że same ukazy miał powieść do Warszawy Płatonow, którego wszelako cesarz puścić nie chciał, dopókiby nie porozumiał się z mającym przybyć z zagranicy Lambertem, a którego, po odmowie Tuczkowa, przeznaczał już na namiestnika w Warszawie. Oczywiście ogłoszenie tych ukazów, wprowadzających w wykonanie zapowiedziane jeszcze w marcu reformy, a dotąd nie uskutecznione, było rzeczą naglącą, choćby z tego tylko względu, że zamykało usta różnym plotkarzom, uparcie twierdzącym, że reformy nigdy nie będą urzeczywistnione. Prócz tego Wielopolski, a z nim wielu innych zawsze jeszcze łudziło się tą słodką nadzieją, że najlepszym hamulcem na rozwijającą się agitacyą rewolucyjną będą reformy i ustępstwa. Nalegał on na możliwie szybkie ich urzeczywistnienie; sam pracując od świtu do nocy, pożerany gorączką czynu, usiłował tę gorączkę przelać we wszystkich, twierdził ciągle: „dajcie tylko reformy, a kraj się uspokoi“. Suchozanet też, pod wpływem Wielopolskiego, jeszcze w pierwszych miodowych dniach ich rządów wzajemnych, nalegał także o przyspieszenie wysyłki ukazu, twierdząc, że „nieogłaszanie go źle wpływa na umysły“. Jakoż nakoniec ukazy te przybyły do Warszawy i ogłoszone zostały d. 18 czerwca, i tegoż samego dnia, jakby dla dodania uroczystości i wagi temu aktowi, odradzającemu istotnie kraj, wojska usunięto z placów i Resursę kupiecką otwarto. Zdawało się nawet Suchozanetowi, że w mieście jest jakoś weselej.

Organizacya Rady stanu nosiła na sobie z wielu względów cechę biurokratycznej ograniczoności, pewnej obawy, tak pospolitej w rządzie rosyjskim, by nie zanadto popuścić cugli, i nakoniec staranne unikanie wszystkiego tego, co mogłoby obrady tego ciała uczynić głośnemi i znanemi ogółowi. Rząd rosyjski, podobnie jak wszystkie rządy oryentalne, na wzór których się kształtował, cały swój urok zasadza na tajemniczości swych czynów, na ukrywaniu przed ogółem wszelkich sprężyn swej działalności, całej maszyny rządowej. Nikt nie wie, co się tam dzieje, i dla czego się tak a nie inaczej dzieje. Wszystkie te znamiona nosi na sobie ustawa o Radzie stanu. Obrady jej (art. 35) odbywać się mają tak w ogólnem zebraniu, jak i w wydziałach przy drzwiach zamkniętych; protokóły posiedzeń i raport Rady (art. 48) może być w całości lub części drukiem ogłoszony tylko z upoważnienia cesarza; żadne akta (art. 51) i w ogólności żadne papiery, pod rozwagę Rady stanu przychodzące, nie powinny być za obrębem miejsca jej urzędowania nikomu komunikowane, lecz każdemu z członków służy prawo zażądania akt, dla odczytania ich w biurach Rady. Ta obawa jawności, w czasach, gdy właśnie wiele na tem zależało, by kraj dokładnie wiedział, co rząd robi i co zamyśla robić, jest jednym z błędów, którego rządcy rosyjscy nigdy pozbyć się nie mogą. Doświadczenie nauczyło Polaków, że w Rosyi między prawem a jego wykonaniem leży cała, częstokroć nigdy nie przebyta przepaść; dla tego też, dla zniszczenia tego przekonania należało usilnie starać się o to, by cała działalność najwyższej magistratury krajowej była jawną i widoczną dla wszystkich. Z uwagi jednak, jak tego historya zresztą uczy, że żaden rząd na świecie nie pozbywa się odrazu swych przyzwyczajeń, trzeba było przyjąć Radę stanu chętnie nawet w tej formie, w jakiej nadaną została, gdyż było to już postępem ogromnym i przynosiło krajowi korzyści nieobliczone, przyjąć ją z otwartemi ramionami, zamykając oczy na wszelkie jej niedostatki

i organizacyą wadliwą. Nakazywał to zdrowo pojęty interes ojczyzny.

Według ukazu Rada stanu składać się miała: z członków Rady administracyjnej, którzy w nowej instytucyi zasiadali z urzędu; z radców stanu, mianowanych przez cesarza; z członków, powołanych przez tegoż z grona biskupów lub duchowieństwa wyższego, niemniej z pomiędzy prezesów i członków Rad gubernialnych i władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego, oraz innych osób, według uznania monarchy. Rada stanu czynności swe odbywać ma: w wydziałach, w składzie sądzącym i w ogólnem zebraniu. Wydziałów jest cztery: prawodawczy, sporny, skarbowo-administracyjny, próśb i zażaleń. W wydziale prawodawczym przygotowuje się to wszystko, co z istoty swej stanowi przedmiot prawa, ustawy lub organizacyi. Wydział sporny przygotowuje relacyą spraw i sporów, rozpoznaniu składu sądzącego Rady stanu ulegających, oraz załatwia czynność byłej Heroldyi Królestwa. Skład sądzący rozpoznaje spory juryzdykcyjne, spory należące dotąd do departamentu warszawskiego senatu rządzącego, spory odnoszące się do sądownictwa administracyjnego, spory z przepisów ustawy celnej. Prócz tego Rada stanu w składzie sądzącym czyni wnioski co do oddawania pod sąd urzędników administracyjnych, przez cesarza mianowanych, jako to: członków Rady administracyjnej, członków Rady stanu, senatorów, sekretarzy stanów, naczelnych prokuratorów, członków Komisyi rządowych, gubernatorów cywilnych i t. p. W wydziale skarbowo-administracyjnym Rada stanu rozpoznaje budżet Królestwa, i w ogóle wszystko odnoszące się do zarządu skarbu i kontroli. Wydział próśb i zażaleń rozpatruje wszelkie skargi na nadużycia urzędników lub naruszenie przez nich ustaw.

Przy określaniu bliższem tego niezmiernie ważnego w kraju, rządzonym despotycznie przez obcy żywioł, atrybutu Rady stanu, wystąpiła znowu wyraźnie obawa, by nie popuścić zbytecznie wodzy i groźbą skargi nie ogra-

niczyć zanadto samowoli różnych kacyków urzędowych. W skutek tej obawy prawo zanoszenia skarg na nadużycia urzędników zostało skrępowane taką ilością ograniczeń i przepisów, że traciło ono nieomal całą wartość i stawało się próżnem mamidłem. Przedewszystkiem więc skargę może zanosić osoba prywatna lub stowarzyszenie prywatne („zbiór osób prywatnych“, jak się wyraża ukaz) prawnie uznane, ale tylko w imieniu własnem. Tym sposobem od dobrodziejstwa tej ustawy odsuwano całą klasę niższą, ludzi biednych i ciemnych, którzy najwięcej narażeni byli zawsze na wszelkiego rodzaju nadużycia, a którzy, nie znając prawa i nie umiejąc pisać, nie mogli występować ze skargą. Dalej, żadna prośba, którąby dotykała zmiany bytu politycznego Królestwa Polskiego lub zasad jego rządu, nie będzie pod rozpoznanie wziętą. Wszelkie wreszcie skargi na nadużycia urzędników winny być wprzódy podane do właściwej Komisyi rządowej, i dopiero potem wraz z rezolucyą tej ostatniej przesłane Radzie stanu. Ponieważ zaś zasadą jest w rządzie rosyjskim, ażeby w sporze wierzyć tylko temu, co pisze urząd, a nigdy temu, co mówi osoba prywatna, więc tym sposobem skarga, przeszedłszy przez ręce Komisyi, która z natury rzeczy bronić musiała swego urzędnika, nie mogła mieć powodzenia.

Ogólne zebranie Rady stanu rozpoznawać miało wszelkie projekta poprzednio w wydziałach rozpatrzone, wszystko wreszcie, co dotyczyło ogólnych, wewnętrznych interesów kraju. Mogło zatem zaprowadzać zmiany w kodeksach w Królestwie obowiązujących, urządzać stosunki rolnicze, przemysłowe i handlowe, ustanawiać nowe, lub zmieniać istniejące podatki, zaciągać pożyczki i t. p. Prócz tego Ogólne zebranie rozpoznawać miało sprawozdania zwierzchników różnych gałęzi administracyi krajowej, oraz sprawozdania Najwyższej izby obrachunkowej, raporta kontrolera jeneralnego względem obrotu funduszów Królestwa, niemniej sprawozdania komisyi umorzenia długu krajowego, przedstawienia Rad gubernialnych i Rady miejskiej warszawskiej co do potrzeb i dobra gubernii, powiatów

i Warszawy, wreszcie rozpoznawanie w ostatniej instancyi skarg na nadużycia urzędników.

Taką w głównych i zasadniczych zarysach była organizacya Rady stanu. Bądź co bądź wadliwe czy nie, ciało to, jakeśmy już powiedzieli, mogło wielkie korzyści przynieść społeczności uciśnietej, rozbitej, chorej i oddanej we wszystkich gałęziach administracyi, samowoli rządców złych i zepsutych. Zresztą każde prawo, choćby najgorsze, umiejętnie wyzyskane, może stać się pożytecznem; organizacya zaś Rady stanu miała swe wady, ale złą nie była, więc otwierało się pole obszerne dla ludzi dobrej woli i dla ich szczerej miłości ojczyzny. Zależało teraz wszystko od tego, jak szeroki i jak chętny udział weźmie inteligencya kraju, jego starszyzna, w otwierającej się instytucyi. Otóż co do tego spotkał Wielopolskiego zawód nowy. Ogół obojętnie przyjął wiadomość o Radzie stanu. W sferach Klemensowczyków wahano się, co z tym fantem zrobić, oglądano się na siebie, nie wiedziano na pewne jak się zachować i jaką postawę przyjąć; masy zaś, motłoch warszawski i niewarszawski nie pojmował ani znaczenia, ani doniosłości magistratury, która nie olśniewała go niczem, nie otaczała się żadnym urokiem władzy istotnej, radziła gdzieś tam cicho, przy drzwiach zamkniętych, o rzeczach, których tłumy nie rozumiały, i do których nie przywiązywały żadnego znaczenia. Rząd, zgodnie ze swą tradycyą i formami w całem państwie przyjętemi, nie dopuścił, by nowa magistratura obdarzona była pewnymi przywilejami, by świeciła blaskiem władzy istotnej, przez co dobrowolnie pozbył się jednego z potężnych środków wpływania na uspokojenie kraju. Tak zaś jak było, agitatorzy nie zwrócili uwagi na instytucyą tak doniosłą, masy nie myślały przerwać swych manifestacyi i rzeczy poszły koleją dotychczasową.

Mimo to jednak w sferach inteligencyi krajowej, w kołach prywatnych, w dziennikach polskich tak zakordonowych jak i warszawskich, o ile oczywiście cenzura na to pozwalała, zajęto się żywo kwestyą: czy wziąć udział

w Radzie stanu, czy nie? Kwestya ta, pomimo zabiegów stronnictwa ruchu, pomimo szkalowań, jakie ono rzucało na przyszłych „moskiewskich radców stanu“, została rozstrzygniętą twierdząco.

Powszechna jednak uwaga była zwrócona na Andrzeja Zamoyskiego, jak się zachowa w obec nowo powstającej instytucyi. W dniu 18 czerwca odbyła się u niego narada, w której wzięli udział wybitniejsi niegdyś członkowie stronnictwa Klemensowczyków, jak Aleksander Kurtz, Gruszecki, Ostrowski, Węgliński, Tomasz hr. Potocki, Krajewski i Garbiński. Na radzie tej jednomyślnie wypowiedziano zdanie, że pan Andrzej powinien wziąć udział w Radzie stanu, już dla tego samego, żeby swoim przykładem zachęcić obywateli na prowincyi do wzięcia udziału w mających wkrótce powstać radach powiatowych i gubernialnych. Utrzymywano bowiem, nie bez pewnej zresztą słuszności, że Rada stanu nie może i nie będzie miała wielkiego znaczenia w obec rządu, przywykłego do samowoli; ale za to rady powiatowe, pomimo zbyt ograniczonego zakresu ich działania, dadzą możność nabycia tak wyborcom jak i wybranym pewnego rodzaju praktyki politycznej, przyzwyczają ich do obycia się ze sprawami publicznemi, utworzą z nich jednem słowem prawdziwy zawiązek mężów stanu, na których w razie potrzeby oprzeć się będzie można.

Przywiązując zatem tak wielką wagę do rad powiatowych, chciano koniecznie, by pan Andrzej dał dobry przykład, wstępując do Rady stanu. Przedstawiano mu, że to go do niczego nie obowiązuje, gdyż, w razie jakichkolwiek nieporozumień z rządem, będzie mógł z Rady wystąpić. Pan Andrzej, zgadzając się w zasadzie na te wnioski, jak zwykle w życiu zgadzał się na to, co mu jego otoczenie podpowiedziało, zauważył tylko, że najtrudniej będzie rozróżnić małe nieporozumienia od wielkich; że z powodu pierwszych występowanie z Rady stanu nie będzie właściwem i politycznem, ale jednakże takich małych nieporozumień z czasem może się tyle nagromadzić, że

ani się spostrzeże, gdy będzie zupełnie przez nie skompromitowany. W rezultacie więc wahał się, rozmyślał, i szczerze mówiąc, sam zapewne nie wiedział, czego się chwycić, jakkolwiek obecni na tej naradzie rozeszli się w tem przekonaniu, że pan Andrzej wejdzie do nowej magistratury, pod warunkiem jednak, że będzie jej wiceprezesem [1]).

Tymczasem gazety nie przestawały zajmować się nową instytucyą. Wielopolski pomieścił od siebie we wszystkich dziennikach rodzaj komunikatu, wyjaśniającego atrybucye, znaczenie i doniosłość Rady stanu dla interesów krajowych. Największy jednak nacisk położył na artykuł, pozwalający na podawanie skarg „przez zbiory osób prywatnych, prawnie uznane“. — „Cóż to są za zbiory?“ pyta i tak odpowiada: „1) wszystkie stowarzyszenia przemysłowe i handlowe, 2) korporacye cechowe, 3) dozory kościelne, szpitalne, bożnicze i t. p. zdaje się nawet, że bractwa pobożne, resursy. Czyż te zbiory, po całym kraju rozrzucone, nie znajdą dość faktów lub powodów do podniesienia zażaleń przeciw urzędnikom? Dla tego stawiamy nacisk na art. 24, bo, przyznając zbiorom prawo skargi, przyznano im tem samem prawo naradzania się nad temi skargami. A choćby Rada stanu nie mogła zadość uczynić tym skargom, jako władza bez władzy wykonawczej, my w każdym razie odniesiemy zysk chociaż pośredni, ale ważny. Zysk ten leży w zbiorowem badaniu faktów przy układaniu skarg, w rozpoznawaniu gruntowniejszem, faktycznem, równie jak zasadowem przedmiotu zażaleń, w układaniu i spisywaniu owej koniecznej dyagnozy złego, której wynikiem czy objawem było nadużycie tego lub owego urzędnika, albo urzędniczego gremium. Oto sposób, w jaki Radę stanu spożytkować można, sposób od nas zależny i dla nas jedyny, bo na inne wpływu nie mamy“.

[1]) Jakkolwiek narada ta odbywała się w mieszkaniu prywatnem Zamoyskiego, przy drzwiach zamkniętych i w kole osób doskonale się nawzajem znających, jednakże w parę dni później policya tajna znała najdrobniejsze szczegóły tego posiedzenia. Czytaj „Dniewnik *Chrulewa* (loc. cit. p. 97).

„Gazeta polska“ także, o ile mogła, gorliwie popierała potrzebę wzięcia udziału w Radzie. „W ostatnich czasach, pisała ona, zyskaliśmy wiele nabyciem jednej zwłaszcza wielkiej prawdy, ważnej dla bytu społecznego; jest nią idea, że powolnym a stałym i wytrwałym chodem ku postępowi ludzkość i narody pojedyncze idą pewniej i bezpieczniej, niżeli nagłymi ruchy, czasem szczęśliwymi, często niebezpiecznymi, zawsze prawie okupywanymi drogo. Prawdę tę dziś uznaną po tylu gorączkowych, a krótkotrwałych wysiłkach w różnych kierunkach, jeśli kiedy to teraz winniśmy zastosować do siebie i praktyczny z niej zrobić użytek. Powinniśmy siły, jakie nam Bóg dał, nie używając ich na drobnostki, skierować całe do poważnej i stałej pracy; powinniśmy, nie wzdragając się żadnej, która użyteczną być może, przyjąć jaką nam daje czas i doba, i jąć się tego, co najpilniejsze. Zupełne usunięcie się od udziału w życiu czynnem byłoby grzechem przeciwko przyszłości, a ciężar zadania lub niestosowność jego do życzeń naszych zwiększa tylko zasługę, nie uwalniając od obowiązku. Największym byłoby błędem chcieć pozostać poza obrębem wszelkiej czynności i usuwać się dla wielkości ciężaru, lub dla zbyt małej jego wagi, bo gdzie idzie o dobro kraju, tam niema rzeczy drobnych, ani ofiar za ciężkich. Tylko wszystkiemi siłami naszemi, porządnie skierowanemi, pomyślność kraju, dalszy rozwój i postęp zapewnionymi być mogą; im więcej się ich rozprasza i usuwa, tem instytucye, nawet najprzyjaźniejsze dla rozwoju w przyszłości, w zarodzie samym prędzej spełzną na niczem. Idąc tylko dojść można, stojąc wprawdzie upaść trudniej, ale i celu doścignąć nie podobna“.

Wśród takiej to zawiłej, nieco mglistej frazeologii, owijającej, niby przędza poczwarkę, myśl zasadniczą, mówiła gazeta o nowej instytucyi. Zawiłość ta była wynikiem ucisku cenzuralnego, i w artykule znać luki liczne, spowodowane zapewne przez tęż cenzurę; mimo to jednak myśl główna była wyraźna. Ale jeżeli starszyzna, wszystko, co było chłodniejszego w kraju, stanowczo było zdecydowane

do wzięcia udziału w nowej magistraturze, to sam Suchozanet i jego kamarylla krzywem na to patrzała okiem, i podobnie jak czerwieńcy warszawscy, pragnęła szczerze, by Rada stanu nie weszła w wykonanie, by została czczą ustawą na papierze. Przed nominacyą na członków Rady, zwłaszcza z pośrodka obywatelstwa i znakomitości krajowych, należało wprzódy koniecznie wybadać, czy przyjmą ofiarowaną im godność. Jakoż Suchozanet zdawał się spełniać to zadanie, zapraszając do siebie niektóre wybitniejsze osobistości w mieście i badając je, czyby przyjęły udział w Radzie [1]). Ale robił to wszystko powoli, nie mówił z tymi, z którymi należało mówić, jednem słowem, nie mogąc przeszkodzić istnieniu samej Rady, starał się rzecz zwłóczyć, dając jak najgorsze opinie o niektórych osobach, w fałszywem świetle wystawiając ich wahanie się, lub namysł. Z porady swego otoczenia wojskowego, nie dopuścił, by w nowej magistraturze zasiadał arcybiskup Fijałkowski, najwyższy dygnitarz kościelny w kraju, niezmiernie popularny i wpływowy [2]); pod pozorem, że Fryderyk hr. Skarbek, ekonomista uczony i literat, niegdyś profesor uniwersytetu Aleksandryjskiego, były dyrektor Komisyi sprawiedliwości, osobistość zawsze lojalna, waha się z przy-

[1]) *Chrulew* w swym „Dniewniku“ pod d. 24 czerwca (loc. cit. p. 96) pisze: „porozumienie się osobiste ministra wojny z niektórymi znakomitszemi osobistościami wywarło wpływ należyty; wiele osób niejako oczekuje na takie porozumienie się, i chętnie, jak się zdaje, zgodziłoby się działać w widokach rządu. Do liczby takich osób należą nie tylko znaczniejsi obywatele i ziemianie, ale i bankierzy żydowscy tutejsi, którzy dla rządu tem są pożądańsi, że przy znacznym, jaki posiadają, wpływie, stali się w czasach ostatnich patryotami polskimi. Ludzie ci, pomimo tego wszystkiego, uważają sobie za wielki honor porozumiewanie się osobiste z ministrem, przynajmniej wiadomem jest na pewno, że Matyas Rozen powrócił z Belwederu w usposobieniu całkiem przeciwnem temu, jakie dotąd żywił“.

[2]) W depeszy z d. 25 (13) czerwca pisze: „po naradzie co do przedstawienia na członków Rady uznano jednogłośnie nie mianować w tej chwili biskupa (sic) Fijałkowskiego, o czem śpieszę donieść Waszej cesarskiej Mości“.

jęciem ofiarowanej mu godności, usunął go zupełnie z kandydatury. Podobnież z kilku innymi postąpił, tak że wybór wypadł dość kulawo, i w rezultacie nie wszyscy ci zasiedli w nowej instytucyi, którzy w niej zasiąść byli powinni i mogli [1]).

Bądź co bądź nominacye zostały podpisane przez cesarza w Krasnem Siole d. 3 lipca. Radcami stanu z urzędu mianowano senatorów: Drzewieckiego, Zaborowskiego, Kruzensterna; gubernatora warszawskiego, Łaszczyńskiego; prezesa Banku polskiego, Niepokojczyckiego; prezesa Dyrekcyi głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego, Białoskórskiego; kasztelana, Leona Dembowskiego, stary szczątek epoki konstytucyjnej; członków senatu: Hejlmana, Dutkiewicza, Bagniewskiego; członka Komisyi umorzenia długu krajowego, Lewińskiego, i nakoniec radcę Izby obrachunkowej, Dekucińskiego. Z pomiędzy notablów krajowych mianowano członkami stałymi Rady: Tomasza hr. Potockiego, „byłego oficera artyleryi b. wojsk polskich“; Jakóba Lewińskiego, „b. pułkownika b. wojsk polskich“, znanego nam dobrze członka Delegacyi warszawskiej; Aleksandra Ostrowskiego, radcę Komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego i Konrada hr. Walewskiego, szambelana dworu. Na członków czasowych na r. 1861, mianowano: ks. Józefa Juszyńskiego, biskupa sandomierskiego; ks. Jana Dekerta, biskupa halikarnaskiego, sufragana warszawskiego; ks. Macieja Majerczaka, administratora dyece-

[1]) Za to chciał Suchozanet, żeby mianowany był członkiem Rady niejaki ksiądz Naruszewicz, proboszcz parafii św. Aleksandra, prałat scholastyk metropolitalny, b. asesor duchowny w Komisyi spraw wewnętrznych za Muchanowa. Był to ksiądz tak płochych obyczajów, że, przedstawiony w r. 1857 przez Muchanowa na biskupstwo podlaskie, został przez Rzym stanowczo odrzucony. Nominacya jego na członka Rady nie mogła przyjść do skutku z tego powodu, że w tej porze uległ on ciężkiej chorobie, rodzajowi pomięszania zmysłów, będącego następstwem gróźb, jakie otrzymywał ze wszystkich stron wskutek tego, że w maju nie dozwolił w kościele św. Aleksandra śpiewać hymnów patryotycznych. We właściwem miejscu opowiemy o jego zgonie tragicznym.

zyi kieleckiej; Kazimierza hr. Starzeńskiego, szambelana dworu; prezesów dyrekcyi szczegółowych Towarzystwa kred. ziem., w Warszawie Piotra hr. Łubieńskiego, w Siedlcach Karola Kozłowskiego, w Kielcach Erazma Różyckiego, w Płocku Aleksandra Nostitz Jackowskiego, oraz radcę dyrekcyi głównej tegoż Towarzystwa, Władysława Gruszeckiego, i nakoniec Stanisława hr. Aleksandrowicza, osobistość w sferach ziemiańskich bardzo wybitną. Sekretarzem stanu został Juliusz Enoch [1]).

Tym więc sposobem ostatecznie Rada stanu została uorganizowana, wbrew woli Czerwonych. Dowodziło to, że nie są oni ani tak silni, ani tak wpływowi, jak się zdawać mogło, i przy odrobinie dobrych chęci i energii można ich było pokonać i przygotować tryumf zdrowemu i czerstwemu pojmowaniu zadań i interesów krajowych. Z nominacyi też i uorganizowania kancelaryi Rady ogół tych, których to interesowało, był dość zadowolony. Krzywiono się tylko trochę na wybór Enocha na sekretarza stanu, zwłaszcza wśród sfer rewolucyjnych, które przypisywały głównie jego zabiegom i namowom to, że Rada stanu została ukonstytuowana, i że tyle wybitnych osób wzięło w niej udział.

Otwarcie uroczyste posiedzeń Rady stanu nastąpiło nakoniec d. 16 lipca. Wszyscy jej członkowie, obecni

[1]) Rota przysięgi dla członków Rady stanu, zatwierdzona przez cesarza, brzmiała jak następuje: „ja niżej podpisany, przyrzekam i przysięgam Bogu wszechmogącemu, w Trójcy św. jedynemu jako obowiązki członka.... prawem oznaczone, wypełniać będę sumiennie, i tak zawsze we wszystkiem i wszędzie postępować będę, jak przystoi na wiernego poddanego J. C. Kr. Mości, Najjaśniejszego cesarza i króla Aleksandra II. i następcy tronu, Jego Ces. wysokości wielkiego księcia cesarzewicza Mikołaja Aleksandrowicza". Wyrażenia religijne według wyznania przysięgającego. Etat Rady stanu obciążał budżet Królestwa poważnym wydatkiem rocznym 87.272 rs. z czego dwunastu radców pobierało rs. 45.000 (po 3750 rs. każdy); sekretarz stanu rs. 3.750; reszta szła na kancelaryę. Członkowie Rady stanu nie pobierali żadnej pensyi, tylko, w razie stałego zasiadania w którymkolwiek z wydziałów, wypłacano im pensyą taką samą jak radcom stanu.

w Warszawie, przybyli do Zamku ubrani w mundury; nawet chory, na pół sparaliżowany Tomasz Potocki, kazał się przynieść z krzesłem, by być obecnym przy narodzinach nowej ery politycznej kraju. Suchozanet, ze swą miną Sozostrysa egipskiego, wystąpił z mową, która na ustach wielu obecnych wywołała uśmiech politowania. Prawiąc frazesy banalne o dobrodziejstwach, jakie ustanowienie nowej instytucyi sprowadzi na Polskę, zakończył wezwaniem do zebranych, ażeby użyli swego wpływu dla uspokojenia kraju, gdyż w razie przeciwnym „stać on się może pastwą oligarchii". Słuchacze spojrzeli na siebie zdziwieni, jakim sposobem i jaka oligarchia może zgubić Polskę. Pokazało się, że uczony Saturn petersburski, jeden z najwyższych dygnitarzy caratu, mając na myśli anarchią, pomięszał ją z oligarchią. Przy obiedzie, jaki wyprawił członkom namiestnik w pałacu Łazienkowskim, nie omieszkał także wygłosić mowy w języku francuzkim, i witał przyszłą Radę jako wyraz „potrzeb i interesów kraju" (besoins et intérêts du pays) [1]).

[1]) Donosząc o tem cesarzowi, Suchozanet utrzymywał, że „mowy przy otwarciu Rady i podczas obiadu przyjęte były sympatycznie (s soczustwiem)", i pocieszał cesarza, że „dzień dzisiejszy zupełnie zadawalnia oczekiwania Waszej cesarskiej mości (w połnie udowletworjajet ożidaniam Waszego imperatorskago weliczestwa)". Mowa przy obiedzie, w tłómaczeniu Wielopolskiego, była następująca: „instytucye, któremi Najjaśniejszy pan Królestwo Polskie łaskawie obdarzyć raczył, dają obywatelom powołanym poza obrębem hierarchii administracyjnej, znakomity udział w sprawach krajowych. Całość tych instytucyi, zapewniających krajowi wyraz rzetelny potrzeb jego, na każdym szczeblu administracyi, uwieńczoną jest ustanowieniem Rady stanu, przez której organ wiadomość o tych potrzebach i życzeniach ma być do stóp tronu niesioną. Lecz, panowie, godność i doniosłość każdej instytucyi zależy zarówno od nadanych jej atrybucyi, jak od sposobu ich pojmowania i wykonywania. Powodując się w nowem swem urzędowaniu duchem szczerego wykonania praw, mężowie, zaufaniem monarchy i kraju obdarzeni, wyświadczyć mogą znakomite usługi i otworzyć krajowi erę nowej pomyślności postępu moralnego i materyalnego. Obok tych wszystkich instytucyi, Pan nasz najmiłościwszy, ukazem swym z d. 14/26

Otóż ta ostatnia mowa stała się pośrednio kroplą, przepełniającą naczynie sporów wzajemnych między Wielopolskim a Suchozanetem. Przesyłając bowiem nazajutrz do dzienników opis otwarcia Rady stanu, oraz tekst mów namiestnika, słowa francuzkie „besoins et intêrets“, przetłómaczył Wielopolski na „potrzeby i życzenia kraju“. Przekład był istotnie niedokładny, ale ostatecznie rzecz sama bardzo małego znaczenia, i w innych okolicznościach nie zwróconoby zapewne na nią uwagi. Teraz jednak, gdy dla kamarylli wojskowej margrabia był solą w oku, gdy uważano go za jedną z głównych przeszkód do zaprowadzenia upragnionych rządów militarnych, czychano na każdą, choćby najmniejszą sposobność, by mu podstawić stołka. Schwycono więc niedokładność tłómaczenia, zrobiono z niej kwestyą stanu, podburzono starego i ograniczonego Suchozaneta, jednem słowem wywołano wielką burzę o nic. W tonie napomnienia surowego Sezostrys zapytał się Wielopolskiego, jako Dyrektora Komisyi oświecenia a zarazem prezesa Komitetu cenzury, dla czego ta ostatnia dozwoliła na przekręcenie słów namiestnika? Margrabia odrzekł na to, że w języku polskim nie ma innego wyrażenia, że zresztą w cyrkularzu ministra spraw zagranicznych z d. 2 kwietnia o koncesyach jest także mowa „o potrzebach i życzeniach kraju“. Obronę tę swoją zakończył temi dumnemi słowami: „ja sam od chwili mego wstąpienia do urzędu mam zwyczaj w ten sposób się wyrażać“ (depnis mon entrée en fonction, j'ai l'habitude, moi, de m'exprimer ainsi). Odpowiedź taka nie mogła, rzecz prosta, uspokoić oburzonej na Wielopolskiego kamarylli,

---

marca położył kamień węgielny reformy wychowania publicznego tak na niższych jego szczeblach, jakoteż w zakładzie szkół głównych. Wobec tych wielkich ustanowień, wobec przyjęcia rozległej i szczerej zasady wyborczej, której niezmierne korzyści dadzą się tylko osiągnąć w powrocie zupełnym umysłów do spokojności i w słusznem ocenieniu prawdziwych korzyści kraju, możemy powiedzieć z przekonaniem, że wspaniałomyślny nasz monarcha przyszłość Królestwa Polskiego w ręce Polaków złożył“.

a nie chcąc w dziennikach krajowych rozmazywać tej sprawy, może zresztą uważając je za niegodne tego, polecono „obrońcy Rosyi przed Europą“, panu Arseniewowi, ażeby w gazecie „Nord“ uroczyście zaprotestował przeciw takiemu wykładowi polskiemu słów ministra wojny. Jakoż ten to uczynił w odpowiedniej korespondencyi z Warszawy.

Była to więc pierwsza potyczka, jaką stoczyli ze sobą Wielopolski i Suchozanet, potyczka, w której magnat polski zachował się dumnie i pogardliwie. W ogóle nic bardziej nie drażniło kamarylli, jak ten ton nieporównanej wyższości i dumy, z jaką postępował szlachcic polski względem różnych dygnitarzy i jenerałów rosyjskich, przywykłych do tego, że w Warszawie wszyscy im się kłaniali i gięli przed nimi. To lekceważenie, jakie im okazywał, gniewało ich niesłychanie i dla tego wszelkiemi siłami starali mu się szkodzić. Czując instynktownie, że stroną najsłabszą Wielopolskiego, jego piętą Achillesową, w którą najdotkliwiej zranić go można, była cenzura, na tym punkcie atakowali go nieustannie. W rzeczy samej cenzura ta, odziedziczona po dawnym Okręgu naukowym, była niesłychanie wstrętną dla Wielopolskiego, jak wstrętną być musi dla każdego, kto ceni swobodę słowa i ma poszanowanie dla myśli ludzkiej. Margrabia szczerze pragnął uwolnić się od tej istotnej koszuli Nessusa, która go paliła jak ogniem, ale nie mógł. Między gabinetami, zwłaszcza trzech państw zaborczych, istniały konwencye sekretne względem prasy, tajone przed Dyrektorem Komisyi oświecenia, w skutek tego nie dość ściśle przestrzegane. Dawało to swobodne pole kamarylli zamkowej do ciągłych skarg, zażaleń i wyrzutów, z którego ona nie omieszkała korzystać. Stoczywszy walkę o „potrzeby i życzenia kraju“, poczęto gniewać się na Wielopolskiego, że cenzura przepuściła pewnego dnia numer gazety niemieckiej, „Augsburger Allgemeine Ztng.“, w którym był artykuł o stanie Warszawy, bardzo zresztą nieprzyjazny Polakom. Jak dalece szukano tylko okazyi, by zaczepić Wielopolskiego,

dowodzi to, że gazeta rzeczona miała zaledwie w całym kraju czterdziestu dwóch abonentów i to jeszcze przeważnie między wojskowymi i wyższymi dygnitarzami rosyjskimi. Innego dnia uskarżano się na artykuł w „Gazecie Polskiej“ o Radzie stanu, na własny margrabiego komunikat o tejże instytucyi, pomieszczony w dziennikach warszawskich. Zwłaszcza oburzano się na wykład artykułu o skargach na nadużycia urzędników; szeptano na ucho Suchozanetowi, że Wielopolski jest najczerwieńszym rewolucyonistą, że to nowy Wallenrod, że dopóty nie będzie dobrze w Polsce, dopóki ten człowiek nie zostanie usunięty. Margrabia na to wszystko odpowiadał, że jeżeli jego decyzye mają być sądzone i krytykowane przez władzę, stojącą poza hierarchią urzędową, (a mówił tu o kamarylli i kancelaryi przybocznej namiestnika), to lepiej będzie, gdy go uwolnią od zwierzchnictwa nad cenzurą.

Do tego naprężonego stanu rzeczy między obu dygnitarzami wypadki co chwila dodawały nowego pokarmu, dolewały oliwy do ognia. Nie wiadomo zkąd, ale przypuszczać należy, że pod wpływem Wielopolskiego, który zanadto miał potężną inteligencyą, by pomimo niechęci wzajemnej nie oddziaływał na ciasnogłowego Sezostrysa moskiewskiego, ten ostatni podniósł teraz sprawę kolorów narodowych, przegraną za Gorczakowa. Margrabia, mniemać należy, sądził, że szczęśliwie dokonana organizacya Rady stanu wywołała lepsze dla nas usposobienie w Petersburgu i zapewne postanowił z tego skorzystać.

Do kolorów narodowych, jak wiemy, przywiązywał on, i słusznie, wielką wagę, gdyż obok innych motywów, które wyłożył w swym memoryale wtedy [1]), najdonioślejszym był wpływ, jaki takie przywrócenie barw narodowych mieć może na masy. Dla tłumów, dla tego motłochu zrewolucyonizowanego, który włóczył się po ulicach Warszawy i wyprawiał tam różne awantury, większe znaczenie miały barwy polskie, błyszczące na mundurach, her-

[1]) Patrz Tom II, str. 467.

bach i słupach przydrożnych, niż wszystkie Rady stanu i inne ustępstwa. Z tego powodu, z rozumem głębokim statysty prawdziwego, Wielopolski powracał kilkakrotnie do tego przedmiotu. Otóż i teraz bezpośrednio, czy też pośrednio przez trzecie osoby, zdaje się, że musiał wpłynąć na Suchozaneta, i ten postanowił podnieść kwestyą mundurów w kolorach narodowych. Zdziecinniałemu namiestnikowi zapewne potrafiono wytłómaczyć ważność i znaczenie tej sprawy; powiedziano mu, że kiedy w r. 1833 deputacya polska przedstawiała się cesarzowi Mikołajowi, to miała na sobie mundury z kołnierzami i wyłogami koloru amarantowego; że cesarz kazał im taki mundur na zawsze zachować; że wówczas nosili go wszyscy urzędnicy, aż dopiero Paskiewicz samowolnie zamienił go na mundur z kołnierzem czerwonym. Suchozanet, nieświadom historyi, uwierzył temu, wziął sprawę całą gorąco do serca, i nie zwłócząc, d. 19 lipca przez depeszę telegraficzną przedstawił ją cesarzowi [1]). Tegoż samego jeszcze dnia otrzymał odpowiedź w formie napomnienia surowego. Cesarz pisał mu, że depeszy o mundurach nie należało pod żadnym pozorem przesyłać niecyfrowanej, że Suchozanet myli się, gdyż kolor amarantowy pozwolono zatrzymać tylko samym jednym deputatom, że mundur w barwach rosyjskich był nadany nie przez prosty kaprys Paskiewicza, ale z woli cesarskiej [2]). Ton tej depeszy surowy

[1]) Uważam za obowiązek, pisał, uwiadomić Waszą ces. mość że błogosławionej pamięci cesarz (Mikołaj) rozkazał w r. 1833 członkom byłej deputacyi polskiej, zatrzymać na zawsze mundur, w jakim mieli szczęście mu się przedstawić, to jest z wyłogami i kołnierzami amarantowymi, które następnie przyswojono dla wszystkich urzędników i szlachty, nie będącej w służbie; feldmarszałek (Paskiewicz) własnowolnie zmienił kolor amarantowy na czerwony, choć deputaci do śmierci zachowali mundur z przyborami amarantowymi. Jen. adj. Suchozanet".

[2]) Cesarz pisał: „depeszy o mundurach nie należało pod żadnym pozorem wysyłać niecyfrowanej, gdyż wola moja pod tym względem dawno znaną jest panu, za co surowe daję wam napomnienie (dżełaju wam strogoje zamieczanie). Przytem jest ona (de-

i karcący, jeżeli nie mógł dobrze usposobić namiestnika względem tych, którzy go na taką naganę narazili, to z drugiej strony świadczył, jak dalece wielką wagę przywiązywano w Petersburgu do takich drobiazgów, jak kwestya kołnierza u munduru. Dla czego tak czyniono? trudno odgadnąć, jak wreszcie trudno jest nieraz pojąć tajemnice głupoty ludzkiej.

Jeżeli jednak cała ta akcya rozegrała się wskutek inicyatywy margrabiego, to jej rezultatem bezpośrednim było zaostrzenie stosunku między nim a Suchozanetem. Przyszło już teraz do otwartej i z obu stron z zaciekłością prowadzonej wojny. Do nowego gwałtownego starcia dały powód rządy Rudanowskiego w Suwałkach. O aresztowaniu i wysyłce Wierzchlejskiego i innych, o pogwałceniu wszelkich przepisów obowiązujących, prezes miejscowego Trybunału zdał raport Wielopolskiemu, jako Dyrektorowi Komisyi sprawiedliwości [1]). Wielopolski, oparty na tym raporcie, wystąpił z silną protestacyą na posiedzeniu Rady administracyjnej przeciw takiemu postępowaniu. Przedstawiwszy skargę prezesa Trybunału, w tonie wyniosłym, sobie właściwym, który miał przywilej do najwyższego stopnia rozdrażniać dygnitarzy rosyjskich, zapytał: „jakiem prawem wysłano urzędnika bez wszelkiego śledztwa do jednej z fortec rosyjskich, i dlaczego jego, jako Dyrektora Komisyi sprawiedliwości, o tem nie uwiadomiono, ani żądano śledztwa sądowego? Jeżeli wszędzie, mówił,

---

pesza) nieprawdziwą. W r. 1832 kolor amarantowy został zachowany wyłącznie tylko dla samych deputowanych, którzy byli w Petersburgu. Dla wszystkich zaś innych urzędników i szlachty, nie będącej w służbie, nadano nie przez kaprys feldmarszałka, ale wolą najwyższą, ogólny mundur rosyjski wraz z nowo ustanowionym herbem dla Królestwa na guzikach. Aleksander“.

[1]) Korespondent z Warszawy do „Dziennika poznańskiego“ donosił, że przybyła do Wielopolskiego także deputacya z Suwałk, skarżąca się na postępowanie jenerała Rudanowskiego. Wiadomość ta jednak nie znajduje potwierdzenia w innych, jakie posiadamy, źródłach, a mianowicie w relacyi, spisanej dla nas na miejscu przez osoby świadome rzeczy.

gdzie wojsko stoi, prawo ustaje, natenczas nie wie, po coby się jeszcze znajdował na tym urzędzie". Przy tej sposobności uwiadomił Radę, że Balcera, uwięzionego jeszcze w początkach roku bieżącego i trzymanego dotąd w cytadeli, wysłano bez sądu do Kronsztadu. Suchozanet, pomijając milczeniem sprawę Balcera, odrzekł ze śmiesznie nadętą miną, że o aresztowaniu Wierzchlejskiego wiedział, że nakoniec on nakazał go deportować. Wysłuchawszy tego Wielopolski, jeszcze raz uroczyście zaprotestował przeciw temu pogwałceniu prawa i zażądał, by protest ten jego zamieszczono w protokóle. Z pomiędzy członków Rady większość w milczeniu przysłuchiwała się temu sporowi, dziwiąc się zapewne w duszy odwadze margrabiego, ale wcale nie mając ochoty go naśladować; jeden tylko Funduklej, nie Polak, dzielnie i wymownie poparł Wielopolskiego. Suchozanet był rozgniewany, nazwał wystąpienie margrabiego „niesubordynacyą", i groził, że o wszystkiem zawiadomi cesarza. Zakończono posiedzenie wśród wyraźnych oznak nieprzyjaźni i głębokiego rozdrażnienia [1]).

O tem wszystkiem, o całej tej walce, w której Wielopolski tak pięknie i szlachetnie reprezentował ideę prawa i dumę narodową, kraj nic a nic nie wiedział. Były to sprawy, rozgrywające się za kulisami, ale w interesie margrabiego leżało, by one doszły do wiadomości ogółu. W takim bowiem razie mógł zyskać za sobą opinią, zdobyć popularność, znaleść poparcie w masach, bez którego żaden mąż stanu, znajdujący się w takiem jak Wielopolski położeniu, ani istnieć, ani działać skutecznie nie może.

---

[1]) Wierzchlejski został wrócony do kraju dopiero za rządów Lamberta. Wielopolski starał się go wynagrodzić później, za to, że dzielnie stanął w obronie prawa. W r. 1862 wezwał go do Warszawy do udziału w pracach nad projektem do ułożenia kodeksu i procedury karnej, oraz zrobił go podprokuratorem przy Trybunale cywilnym w Warszawie i przy sądzie apelacyjnym, a w końcu wicereferendarzem Rady stanu. Po powstaniu i po zniesieniu sądów polskich, Wierzchlejski został adwokatem. Odebrał sobie życie w r. 1887.

Tymczasem margrabia tego nie czynił, rzecz całą trzymał w ukryciu i na zewnątrz starał się okazywać, że harmonia między nim a namiestnikiem zerwaną nie została. Powodów tego postępowania błędnego należy szukać najprzód w nieugiętym i pysznym charakterze Wielopolskiego, który nigdy nie ubiegał się o względy opinii, który nią gardził i szydził z niej zawsze; następnie w tej ambicyi dziwacznej, która kazała mu starać się usilnie o wlanie we wszystkich przekonania, że on jest rządem, że poza nim niema rządu, że inni mają tylko pozory władzy, jej reprezentacyą, a on jest właściwym i jedynym wielkorządcą Polski. Wskutek tego błędnego zapatrywania się na wymogi swego stanowiska, usiłował ukrywać wszelkie zatargi i spory, któreby mogły w oczach ogółu przedstawić go nie jako pana wszechmocnego kraju, ale jako jedno z kółek drugorzędnych machiny rządowej; gotów był przyjmować na siebie wszelkie występki i gwałty tej władzy, jak to wreszcie uczynił z krwawą katastrofą kwietniową. Było to wielkim i ciężkim błędem, błędem, którego następstwa, nie tyle ze względu na samego Wielopolskiego, (bo cóż znaczy pojedyńcza osobistość wobec ojczyzny?) ile na kraj cały, były opłakane [1]).

Kraj bowiem, nie wiedząc o niczem, i uważając zawsze Wielopolskiego za swego nieprzyjaciela, manifestował się po dawnemu nieustannie. Nienawiść ku margrabiemu wzrastała, po ścianach domu, w którym mieszkał, pisano wiersze, ubliżające jego czci [2]), dawano mu poznać na każdym

---

[1]) *Agaton Giller* (Al. Wielopolski, 74), czyniąc te same zarzuty, źródło tego postępowania margrabiego widzi w innej przyczynie. „Być może, powiada, iż wynikało to z planów jego polityki, że sądził, iż chwila, w której stanie się popularnym, obudzi nieufność cara ku niemu i spowoduje jego usunięcie“. Że tak nizkich i pospolitych motywów swego zachowania się margrabia nie miał, świadczy jego późniejsze podanie się do dymisyi. Jemu nie szło o utrzymanie się na swem stanowisku, ale o pozory wszechwładzy na niem.

[2]) Pewnego dnia przylepiono kartkę z takim napisem:

„W Polsce, Litwie czy na Rusi,
Wielopolski wisieć musi“.

kroku, że jest uważany za wroga największego ojczyzny. Miasto dawało oznaki coraz większego i silniejszego wzburzenia. W każde święto i niedzielę tłumy motłochu ostatniego włóczyły się po ulicach, wyprawiały awantury, okazywały tę niesforność i zuchwalstwo, które każdego człowieka rozumnego do głębi oburzać musiało. O niejakim Hartmanie, cukierniku, mającym swój zakład na Krakowskiem przedmieściu, rozeszła się wieść, Bóg wie, przez kogo rozpuszczona, że jest „złym Polakiem“ i nieprzyjacielem sprawy. Agitatorzy postanowili go ukarać i w tym celu ustawili przed drzwiami jego cukierni na ulicy kilku uczniów gimnazyum, którzy ostrzegali każdego, chcącego wejść do sklepu, że chodzić tam nie należy, gdyż właściciel jego jest zdrajcą ojczyzny. Rezultatem tej „pomsty narodowej“ było to, że Hartman zbankrutował i cukiernię musiał zamknąć. Oficerów i żołnierzy obrażano na ulicach, pluto na nich, potrącano. W nocy z d. 24 na 25 lipca gromada młodych ludzi napadła na wychodzącego na ulicy Miodowej z restauracyi porucznika żandarmów, Wrześniewskiego i pobiła go mocno. Śledztwo, surowo nakazane przez samego cesarza, do niczego nie doprowadziło. Winnych nie znaleziono, ale wszystko to wywołało w sferach wojskowych tak silne szemranie, głośno się nawet objawiające, że Suchozanet musiał się odwoływać do honoru i męztwa wojskowego, by rozdrażnienie to nie doprowadziło do jakiej katastrofy [1]), choć łatwo mu było zalecać

[1]) „Widzę, pisał w rozkazie do komendanta 2-go korpusu pod d. 4 sierpnia, że zniewagi, wyrządzane niekiedy przez mieszkańców wojskowym, wywołały między panami oficerami silne rozdrażnienie, poczynające się objawiać szemraniem głośnem. Okoliczność ta, zwiększając kłopoty rządu, pokazuje, że panowie oficerowie patrzą się na swe położenie tutaj nie z należytego punktu widzenia i błędnie pojmują swe obowiązki. Zniewagi, winni których zawsze liczą na możność usunięcia się od odpowiedzialności prawnej, nie przynoszą żadnej ujmy tym, którzy stają się wypadkowo ich ofiarami. Spodziewam się, że panowie oficerowie, pomyślawszy nad tem, zrozumieją, że w tego rodzaju okolicznościach znoszenie spokojne nieuniknionych nieprzyjemności jest cechą istotnego męztwa“.

spokojne znoszenie zniewag, kiedy sam od nich był wolny, jeżdżąc po Warszawie jak szalony ze swą eskortą kozaków uzbrojonych. Kogo zresztą schwytano z takich śmiałków, oddawano pod sąd wojenny wbrew ustawie z d. 9 kwietnia. Wzburzenie było tak wielkie i widoczne, atmosfera miasta była tak przepełniona elektrycznością, że Suchozanet spodziewał się lada chwila wielkiej jakiej manifestacyi, jakiego nowego „krwawego starcia“. Z początku liczono trochę na to, że wprowadzenie w życie Rady stanu wpłynie uspokajająco na masy; wkrótce przekonano się, że motłoch, różni kanceliści, kupczyki, czeladnicy, kantorowicze i t. p. szare pospólstwo społeczne, nie zwróciło najmniejszej uwagi na nową instytucyą. Co wieczór policya z trudnością rozpędzała zbiegowiska przed figurami świętych. Polowanie na tak zwanych szpiegów stało się pewnym rodzajem sportu, któremu młodzież i rozprózniaczone tłumy z namiętnością się oddawały. Ile przytem nadużyć się działo, ile najniewinniejszych ofiar padło wskutek nienawiści prywatnej lub zemsty! Wśród rozkiełznanych namiętności politycznych, wśród tego szału, jaki ogarnął wszystkich, dość było, by ktoś wskazał na ulicy pierwszego lepszego przechodnia i zawołał nań: „szpieg“, by się tłumnie rzucono na nieszczęśliwego, nie pytając, kto oskarża, o co i kogo. Weszło w szkaradny, ze wszech miar godny potępienia zwyczaj, że takiej ofiarze ktoś przylepiał nieznacznie na plecach kartkę z napisem fatalnym „szpieg“, oddając tym sposobem najniewinniejszego nieraz człowieka na pastwę tłumom rozbestwionym i, wśród próżniactwa i włóczęgi po ulicach, dziczejącym. W tym czasie w kościele św. Krzyża zbito nielitościwie z tego powodu jakiegoś starego człowieka; wyniesiono go na pół żywego na ulicę i odwieziono do szpitala, gdzie wkrótce umarł. Gdyby jednak zapytano tych wszystkich, którzy haniebnie mordowali bezbronnego, na czem opierają swe twierdzenie co do szpiegostwa owego starca, z pewnością żaden z nich nie umiałby odpowiedzieć. Okropne zaiste! czasy, w których życie i dobra cześć obywatela zależała od wi-

dzimisię, nienawiści lub zemsty pierwszej lepszej osobistości, zwykle nikomu nie znanej; straszny obraz rozszalałych namiętności motłochu i przykład straszny dla potomności!

Policya, jak zwykle, zachowywała się wobec tego z niedbalstwem i obojętnością naganną. Jej szef tajny, Podwysocki, człowiek głupi ale zły, niczemu nie był w stanie zapobiedz, za to rząd straszył doniesieniami o przygotowujących się jakoby nowych manifestacyach. Taka manifestacya miała się odbyć d. 7 lipca na Powązkach, Lesznie i na Placu zamkowym. Zamierzano wyruszyć procesyonalnie z obrazem Matki Boskiej na groby poległych. Tymczasem dzień ten przeszedł spokojnie, może dlatego, że w godzinach popołudniowych zerwała się silna burza z deszczem ulewnym. Prócz tego rano ukazały się plakaty, przylepione na niektórych kościołach, wzywające, ażeby nie brano udziału w procesyi. Ogół, nie wiedząc od kogo pierwszy zamiar wyszedł, nie wiedział także, kto obecnie zakazywał manifestacyi. Wszelako tej ostatniej rady, bardzo zresztą rozumnej, posłuchano, zwłaszcza, że po mieście akademicy biegali i ustnie wzywali o spokojność.

Wiadomość o tej manifestacyi mniemanej doszła aż do cesarza[1]). Odtąd Suchozanet przez kilka dni

---

[1]) Ciekawa z tego powodu korespondencya, malująca wybornie Suchozaneta i jego usposobienie, zawiązała się między nim i cesarzem. Pod d. 8 lipca (26 czerwca) Suchozanet telegrafuje: „pomimo zapowiadanej na dzień wczorajszy demonstracyi, wszędzie w mieście było zupełnie spokojnie, do czego się zapewne przyczynił deszcz ulewny od godz. 4-ej do 6-ej“. Na to, tego samego dnia, cesarz słusznie zapytuje: „na czem polegała zapowiedź nieporządków na dzień wczorajszy?“ Wyborna jest odpowiedź Suchozaneta: „zapowiedź polegała na bardzo silnej w różnych punktach manifestacyi ludowej“. — „Depesza pańska, pisze mu na to cesarz, nic nie wyjaśnia. Chcę wiedzieć, co było powodem silnej manifestacyi ludowej i jak się ona odbyła“. Teraz dopiero Suchozanet pisze: „zapowiadano demonstracye na Powązkach, Lesznie, a nawet przed Zamkiem, ale ponieważ one nie przyszły do skutku, zatem wyjaśnień

pocieszał siebie i Petersburg, że w mieście jest spokojnie. Tymczasem, w rzeczy samej, przygotowywała się nowa, niesmaczna, choć oryginalna manifestacya, której źródło tym razem leżało bardzo daleko, bo aż w Anglii.

Usilnym staraniom Czartoryskich, a właściwie jenerała Władysława Zamoyskiego, udało się nakoniec rozbudzić w Anglii, jaki taki, powierzchowny, bo w Anglii nigdy innego dla nas nie było, interes dla Polski. Powody zresztą tego interesu nie leżały wcale w sympatyi dla nas, w chęci szczerej dopomożenia nam, ale jedynie w położeniu politycznem Europy, które przezorna i egoistyczna polityka angielska chciała wyzyskać na swoją korzyść, i zaburzenia polskie wyborną jej potemu dawały sposobność. Serdeczne stosunki przyjaźni, jaka od niejakiego czasu zawiązała się między Rosyą i Francyą budziły w angielskich mężach stanu poważne obawy. Zdawało im się bowiem, że ta przyjaźń, choć w gruncie rzeczy raczej pozorna niż prawdziwa, zagraża nietylko pokojowi europejskiemu, ale wprost interesom angielskim, że zatem należy ją bądź co bądź rozerwać, do czego w sam raz nadawały się zaburzenia polskie [1]), z których też ministeryum angielskie nie omieszkało korzystać bardzo zręcznie i ostrożnie, a nadewszystko, powiedzmy otwarcie, nieuczciwie. Nic łatwiejszego bowiem nie było, jak obudzenie we Francuzach sympatyi dawnej ku narodowi polskiemu, a przez to postawienie rządu Napoleona, właśnie będącego w pełni swych stosunków kordyalnych z Rosyą, w kłopotliwem względem tejże położeniu. Wystąpienie zaś ga-

pozytywniejszych dać nie mogę. Przypuszczam, że innych powodów nie było, jak tylko chęć wywołania nieporządków i utrzymania rządu w ciągłym niepokoju".

[1]) Zaburzenia te wybuchły w chwili tak odpowiedniej, tak we właściwym pojawiły się czasie, iż wielu mniemało i mniema po dziś dzień, jakoby w nich Anglia bardzo głęboko maczała ręce, a nawet wprost wywołała rozruchy polskie. Oczywiście dowodów na to nie ma żadnych, są tylko przypuszczenia i mniej lub więcej prawdopodobne kombinacye, o których, jako nieopartych na żadnych pewnych podstawach, mówić tu nie możemy.

binetu angielskiego w sprawie zaburzeń warszawskich znajdowało usprawiedliwienie w żywym objawie opinii publicznej w Anglii na korzyść Polski. Liczne meetingi, do których zwoływania przyczyniała się wiele niezmordowana emigracya polska, jeszcze liczniejsze artykuły za Polską w najpoważniejszych dziennikach, zmuszały niejako rząd do wzięcia pod uwagę tej kwestyi, a nadewszystko usprawiedliwiały jego postępowanie w oczach Rosyi i Europy. To też już w maju 1861 r. lord Russel przepowiadał w izbie lordów „świetną i wolną przyszłość narodowi polskiemu, który wśród tylu klęsk i prześladowań umiał zachować nienaruszoną miłość ojczyzny“. Słowa te z natury rzeczy rozbrzmieć miały szeroko, znaleść odgłos sympatyczny we Francyi, podniecić tam opinią publiczną i rząd cesarski zmusić do liczenia się z tą opinią, a już przez to samo zerwania „serdecznych stosunków“ z Rosyą. Nie poprzestano jednak na tem.

W Londynie istniało oddawna „Towarzystwo przyjaciół Polski“, które obecnie, w końcu czerwca, przesłało księciu Czartoryskiemu adres. W adresie tym mieściły się gorące życzenia dla nieszczęśliwej ojczyzny starego księcia, zwykła moneta zdawkowa sentymentów, jakimi Zachód nam płacił; wreszcie podający adres wypowiadali nadzieję, że Opatrzność, przedłużając mu (Czartoryskiemu) życie nad zwykły kres żywota ludzkiego, tyle mu jeszcze dni użyczy, aby mógł być świadkiem wolności i pomyślności na rodzinnej ziemi“. Sędziwy reprezentant legitymizmu polskiego, odbierając adres z rąk deputacyi, wypowiedział mowę, która, jak wszystko, co z ust jego wychodziło, rozbiegła się po dziennikach europejskich i nabrała tem większego znaczenia, że była ostatniem wystąpieniem publicznem Czartoryskiego, niejako jego testamentem politycznym. „Lordowie i mości panowie, rzekł on do deputacyi, winienem szczerze i serdecznie podziękować wam za to przywiązanie do naszej sprawy. Usiłowania Polski były długie, a wierność przyjaciół jej dochowywała się statecznie. Wierzcie mi, w kraju naszym umieją cenić ta-

kie uczucia i odpłacać za nie wdzięcznością. Cieszy mię nie pomału, gdy widzę, jak trafnie odgadliście cechę dzisiejszego ruchu w Polsce. Wybornie umiecie oceniać ducha porządku i umiarkowania, dającego się tam postrzegać. Ruch ten spokojny i silny uczuciem sprawiedliwości nie splamił się najmniejszym gwałtem; nie widać tam ani wyobrażeń burzących, ani namiętności rewolucyjnych, ani cudzoziemskich wpływów. Walka toczy się wyłącznie na gruncie prawym, walka spokojna i moralna. Czego dopomina się Polska, czego oczekuje? Oto poparcia w tym samym duchu. Moralność wolnomyślnej Europy dziś jest rękojmią wygranej. Godność, honor, interes Anglii łączą się z tem zadaniem. Gdyby przyczyniła się do przywrócenia tych praw, nietylko zaspokoiłaby Polskę, ale i całą ucywilizowaną Europę. Pośród ważnych przemian, zachodzących w interesach międzynarodowych, w obec ustawnych zawikłań kwestyi wschodniej, rzeczą jest wielkiej wagi, prawie żywotną dla świata, a głównie dla Anglii, przyłożyć się do przywrócenia narodu, którego rozbicie, dopełnione z pogardą praw boskich i ludzkich, zrodziło ten niesłychany zamęt w moralnem i materyalnem istnieniu Europy. Kraj mój ojczysty, mówię to z uczuciem dumy, w ciągu kilkusetletniego udzielnego bytu, zawsze był użyteczny, a nigdy szkodliwy dla Europy. Bronił Chrześcijaństwa od najazdu barbarzyńskiego, i światło Ewanielii niósł między pogany. Kierował nim zawsze duch miłości, a nie duch zdobyczy. Polska podzielona nawet i rozczłonkowana nie przestała być wiernym sprzymierzeńcem Europy; członki jej rozdarte i drgające zawsze stawiły się przeciw intrygującej ambicyi i przeciw niebezpiecznym zamachom na zabicie wolności świata. W chwilach powodzeń użyteczna dla innych, w chwilach niedoli poświęcająca się za nich. Wtedy dopiero Polska upadkiem swoim nieszczęście światu przyniesie, kiedy runie na zawsze; lecz nim to nastąpi, można być pewnym, że świat cywilizowany straci wszelkie pojęcie sprawiedliwości, wszelkie uczucie własnej konserwacyi i niepodległości".

Słowa te, pełne ulubionego w tej dobie patosu, rozpływające się we frazeologii zużytej o przedmurzu Europy, o konieczności Polski dla świata i t. p. powitane zostały przez deputatów oznakami aprobacyi, a przez kraj powszechnym okrzykiem uznania, i wywołały nakoniec pośrednio interpelacyą niejakiego Pope Hennessy w izbie niższej parlamentu angielskiego co do wypadków w Warszawie i wogóle sprawy polskiej. Interpelacya ta, jak wszystkie tego rodzaju próby nadania kwestyi polskiej znaczenia europejskiego, nie miała skutku, i po krótkiej dyskusyi izba przeszła do porządku dziennego, a pan Hennessy naraził się tylko na liczne napaści gazet [1]).

[1]) „Times“ wprost szydził z jego wystąpienia: „wszystkiemi rękami, pisał, brać się nam trzeba do roboty, aby posiedzenia zakończyć, a tu tymczasem dobywamy chustkę z kieszeni i dalejże szlochać nad losami Polski. Czy już nic więcej nie potrafimy? Jesteśmy wielkim narodem, mocarstwem pierwszego rzędu, wydajemy rocznie 15 milionów funtów szter. na wojsko lądowe i tyleż na flotę, i dziwnem się też wydaje, że dla Polski nie robimy nic, tylko jęczymy nad nią. Czemuż Anglia nie podejmie za nią krzyżowej wojny przeciw mocarstwom? Otóż za radą jednego ze zmarłych mężów stanu, poślijmy flotę pod Warszawę, albo, gdyby się to nie powiodło, do Petersburga. Polska niesłychanie dogodne ma położenie dla floty! tylko obłudnicy zważają na trudności jeograficzne! kto chce, ten może, a jeżeli parlament Wielkiej Brytanii istotnie pragnie przyjść Polsce z pomocą, to niech tylko pożyczy 500 milionów funtów szter. i pod kierunkiem pana Pope Hennessy wyruszy, jak nowy rycerz, na wyzwolenie Warszawy. Zdaje się wszakże, iż lord John Russel wcale się nie spodziewa podobnej wyprawy krzyżowej. Uczynił wczoraj uwagę, że nawet Napoleon I nie mógł nic zrobić dla Polski, choć był panem połowy Europy, a wreszcie i Castlereagh sam w tej sferze nic podołać nie mógł, lubo w 1815 r. nowe państwa wydobywał z tygla. Lord John Russel był dotąd zdolnym politykiem, nigdy nie tykał tego, co Anglii nie obchodzi szczegółowo, a w radzie zawsze powściągliwy i ostrożny. Co to wszystko pomoże, kiedy dziś pan Hennessy najoczywiściej dowodzi, żeśmy przed 30 jeszcze laty mieli w kieszeni potężne *casus belli* przeciwko Rosyi za naruszenie traktatu wiedeńskiego. Niesłychanie ponętnem byłoby widzieć go koronowanym na króla polskiego, a w tej porze nie często przytrafia się wieczór bardziej nauczający, jak to jego histeryczne rozczulanie się nad nieszczęściami Polski“.

Ciekawszemi i bardziej pouczającemi dla tych wszystkich, którzy wierzą w odbudowanie naszej ojczyzny przez mocarstwa zachodnie, były rozprawy o kwestyi polskiej w izbie lordów, w d. 19 lipca. Rozprawy te były o wiele chłodniejsze niż w izbie gmin, jak zresztą przystało poważnym lordom angielskim, ale miały one zarazem donioślejsze znaczenie.

Po licznych mówcach, wygłaszających dość zimne ubolewania nad losem Polski, roniących łzy krokodyle nad jej dolą, zabrał głos earl Ellenborough, uproszony umyślnie przez jenerała Zamoyskiego, by bronił Polski. W tonie chłodnym i ostrożnym mówca wskazywał Rosyi, że źle robi uciemiężając Polskę, i tak zakończył:

„Spodziewam się, że przyjdzie czas, w którym Rosya będzie się starała postępować w odmiennym duchu, i że, postępując tak, jej zbliżenie znajdzie serdeczne przyjęcie u Polaków. Wiemy, że Rzymianie zawsze liczyli na to, że ich najpotężniejsi nieprzyjaciele staną się najlepszymi ich sprzymierzeńcami, a to dlatego, że nieprzyjaciół tych swoich po zawojowaniu zawsze dobrze traktowali. Bardzo byłoby dobrze, gdyby Rosya pamiętała o tem przy swem postępowaniu z Polakami. Niech nie sądzi, że lud biedny, dla tego, że jest biednym, może być łatwo utrzymany w spokojności. Rzecz się ma przeciwnie. Ubóstwo jest zawsze niebezpieczne, ubóstwo zawsze pragnie zmiany, ubóstwo spiskuje. Zamożność jest spokojną, bogactwo nigdy nie spiskuje, bogactwo tylko żąda, ażeby rzeczy tak dalej pozostały jak są, i ażeby utrzymać te korzyści, jakie posiada; i jeżeli Rosya da Polakom bogactwo i samorząd, to spodziewać się może, iż zupełna spokojność śród nich zapanuje. Moi lordowie! powiedziałem, że spodziewam się, iż cesarz rosyjski ze swej strony zaofiaruje szczerą przyjaźń narodowi polskiemu. Pewny jestem, że na innej drodze nie będzie mógł odzyskać swej władzy nad Polakami. Zawsze byłem zdania, że żaden czynnik nie może być skuteczniejszym od wspaniałomyślności rządu dla podupadłego narodu, i pewny jestem, iż wspaniałomyślność otrzyma naj-

większy skutek, jeżeli okazaną będzie temu najwaleczniejszemu i najszlachetniejszemu narodowi. W razie, jeżeli będą zrobione propozycye pojednawcze narodowi polskiemu, ufam, że będą przyjęte w duchu, w jakim były zrobione. Polacy muszą pamiętać, że to, czego sobie życzą i czego mybyśmy sobie życzyli, t. j. przywrócenia monarchii polskiej, jest celem, którego niepodobna inaczej osiągnąć, jeno przez rozbicie wszystkich państw europejskich. Rozbicie tego rodzaju sprowadziło Napoleona I nad Wisłę. Obiecywał on wiele Polakom, używał ich, wysysał z nich najdroższą krew i oszukał ich. Czyliż mogą się spodziewać, że wśród jakichbądź okoliczności, które mogą wstrząsnąć Europą, Francya dzisiejsza postąpi sobie z większą rzetelnością i wiarą, jak Napoleon, który obszedł się z nimi tak wiarołomnie? Gdybym miał sposobność mówienia z cesarzem Rosyi, doradzałbym mu jak najgorliwiej, aby przyjął względem Polaków politykę łagodną i wspaniałomyślną. Z równą gorliwością zaklinałbym naród polski, ażeby chęć cesarza zbliżenia się do nich przyjęli szczerze i uprzejmie. I ostrzegłbym obydwie strony, ażeby we wszelkich zobowiązaniach, jakie mogą pomiędzy nimi nastąpić, zachowali wzajemną, zupełną wiarę. Nieszczerość w monarsze jest zbrodnią, która nigdy przebaczoną być nie może, a niewdzięczność narodu jest zbrodnią niemniej wielką, którą, gdyby Polacy popełnili, pozbyliby się współczucia, jakie obecnie posiadają w Europie“.

Słowa te, przyjęte oklaskami przez izbę, wyraźnie mówiły, że Polska nie może marzyć o niepodległości i niezależności politycznej; że Anglia zamiaru takiego nigdy nie poprze i owszem przeszkadzać mu będzie; że, co najwyżej, Polsce, zacieśnionej w granice Królestwa Kongresowego należy się samorząd pod berłem carów rosyjskich. Było to jasne i proste. To też wywołały one głębokie oburzenie w sferach rewolucyjnych polskich, nie w Warszawie wprawdzie, gdzie dzięki cenzurze, jak zawsze, ciasnogłowej, nie pozwolono tej mowy przedrukować, ale za kordonem.

„Gazeta narodowa“, wychodząca we Lwowie, dała wyraz temu oburzeniu.

„Oto lordowie, woła ona, nie już za prawie niepodobne, jak izba gmin, ale za całkiem niepodobne ogłosili odzyskanie niepodległości Polski. Najwymowniejszy i umyślnie do przedstawienia naszej sprawy przez hr. Zamoyskiego uproszony, earl Ellenborough, okazał się gorętszym przyjacielem Rosyi jak Polski, i przysłuchujący się mu, zadawali sobie pytanie: czyjej sprawy on broni, Polski, czy Rosyi? Zdawało się, że mu obrona Rosyi była poruczona...“ „Szczęściem duch, jaki w ostatnich czasach obudził się w naszym kraju, jest tak silny, że może nie dbać o to, co tam jacy cudzoziemscy staruszkowie prawią o przyszłych losach Polski, i szczęściem nasza sprawa jest tak dobrze pojmowana przez ludy i publiczność europejską, że żadne krzywe sądy dyplomatów przestarzałych, co pamiętają 1812 r. jakby wczoraj, co przez pięćdziesiąt lat niczego się nie nauczyli i o niczem nie zapomnieli, jej zdania spaczyć nie mogą. Nie należy jednak Zachodu utrzymywać w tym szkodliwym błędzie, jakoby było liczne stronnictwo w Polsce, które nie chce oderwania Polski od Rosyi, i tylko pod berłem rosyjskiem spodziewa się ulepszenia bytu Polski. Chociaż dzisiejsze krzątanie się p. Zamoyskiego ni piecze ni boli, jednakże nie na zawsze Zachód odroczył rozważanie i podniesienie naszej kwestyi, i nie na zawsze kraj może być obojętnym, co o nim reprezentanci narodów myślą i mówią“ [1]).

[1]) Przy tej sposobności dostał surowe napomnienie i jenerał Zamoyski: „...potrzeba wiedzieć, że z wyjątkiem mężów stanu, którzy sprawowali wysokie posady dyplomatyczne, a zatem mieli sposobność wyrobić i utworzyć sobie własne zdanie o zagranicznych kwestyach, pospolici lordowie i członkowie parlamentu tak przemawiają, jak zostali objaśnieni i nauczeni przez tych, co, mieniąc się naczelnikami polskich stronnictw, powinni znać sprawę Polski na palcach. Zwykle te wynurzenia mniej znacznych angielskich przyjaciół sprawy Polski można uważać za tłomaczenia sposobu myślenia samych polskich naczelników. Otóż te tłomaczenia są dowodem, że mamy partyą rosyjską, która nie chce odłączenia Polski od Ro-

Pocieszano się więc tem i, choć z góry wiedziano, że interpelacya Hennessy'ego i rozprawy w izbie lordów nie będą miały rezultatu praktycznego, jednakże nie spodziewano się wyniku tak całkowicie, tak stanowczo sprzecznego z pragnieniami i dążeniami narodu. Bądź co bądź, cieszyć się nie było czego, a tem więcej dziękować Anglii; to jednak polityków domorosłych i agitatorów warszawskich nic nie obchodziło, oni tylko szukali sposobności do nowej demonstracyi. W niedzielę, dnia 21 lipca, między godziną 5 a 6 wieczorem, zebrał się w ogrodzie Saskim tłum kilkunastotysięczny, przeważnie młodzieży rzemieślniczej i szkolnej, i z gałązkami oraz bukietami w rękach, ruszył przed mieszkanie konsula angielskiego, p. Edwarda Stantona, na rogu ulicy Mazowieckiej i Świętokrzyzkiej, w celu podziękowania uroczystego, jak mówiono, narodowi angielskiemu za współczucie okazane Polsce. Deputacya kilku osób, składająca się, według wieści, ze szlachcica, rzemieślnika, chłopa i studenta, weszła do domu i ofiarowała konsulowi wieniec z napisem: „wdzięczność narodowi angielskiemu za przychylność okazaną w sprawie polskiej. Warszawa d. 21 lipca 1861 r.“ Prócz tego wręczono Stantonowi adres, napisany przez jakiegoś polityka pokątnego [1]),

syi, która do dziśdnia także niczego się nie nauczywszy, uważa traktat wiedeński za alfę i omegę praw, swobód, dążności i przeznaczeń Polski, że mamy stronnictwo, które wszelkie wystąpienie przeciw Rosyi będzie uważać jako smutny i niespodziewany wypadek, które przenosi zawisłość rosyjską nad Polskę wolną i niepodległą, i któremu więcej chodzi o denuncyowanie zamiarów stronnictwa narodowego, jak o przedstawienie szeregu gwałtów, dzień w dzień przez Rosyą popełnianych. Kto nie wierzy, niech odczyta uważnie głos earla Ellenborough, który stara się naród polski odstraszyć od upomnienia się stanowczego o wszystkie swoje prawa, przekonać go o łaskawości cara, a rzucenie się duszą i ciałem w objęcia Moskwy przedstawić jako jedyną nadzieję ratunku i jedyną przyszłość. Wiemy z pewnością, że lord Ellenborough specyalnie był przez hr. Zamoyskiego uproszony na obrońcę sprawy Polski. Pan Zamoyski jest więc odpowiedzialnym za słowa jego“.

[1]) Policya tajna utrzymywała, że w przygotowaniu adresu i manifestacyi brał czynny udział hr. Skarbek, syn Fryderyka, nie-

a najprawdopodobniej księdza, adres pełen frazesów górnolotnych, patetyczności niesmacznej, mglisty i po większej części pozbawiony sensu. Zatytułowany on był: „Anglii— Warszawa“, i brzmiał jak następuje:

„Ja matka, krwią męczeńską mych dzieci oblana, wdowa w szacie żałobnej, z kajdanami na rękach niewolnica, ja żywo trzymana w grobie, ślę słowa dziękczynne do ciebie narodzie angielski. Głos posła prześwietnej izby twej, głos pracowitych miast twoich, zdejmuje pieczęcie tajemnicze z mogiły, w której przemoc i obojętność Polskę pogrążyły. Na wołanie ze krwi i z łez moich do Boga, Bóg mi odpowiada ustami zacnego narodu. Chwała Jemu, a dzięki tobie, Anglio! Wszystkiem, co pozostało we mnie żywe i nieśmiertelne w długoletniem męczeństwie, błogosławię twe starce, niewiasty, syny i córy na wieczną wolność i szczęście. Niech święci patronowie twoi zawsze i wiecznie przemawiają za tobą do Boga, boś ty, szanowana, cała i szczęśliwa Anglio, przemówiła za opuszczoną, rozdartą i ukrzyżowaną Polską!“

Konsul angielski, postać chłodna i sztywna, przyjął w milczeniu ofiarowany sobie adres i wieniec, wyrażając w ruchach i obejściu pewne zdziwienie i jakby pytanie, czego właściwie ten tłum chce od niego? Na ulicy tymczasem krzyczano: „niech żyje naród angielski!“ Ktoś, prawdopodobnie jeden z deputatów zjawił się na balkonie mieszkania konsularnego i zawołał: „niech żyje Polska!“ Powitano ten okrzyk z uniesieniem i poczęto rzucać do mieszkania bukiety i gałązki zielone. Wszystko to odbyło się dość szybko i sprawnie; tłum, dokonawszy swego, rozszedł się zaraz, tak że gdy policya i wojsko nadbiegło na

gdyś dyrektora Komisyi sprawiedliwości i znanego w literaturze naszej pisarza. *Chrulew* (loc. cit. 198) pisze, że stary hr. Skarbek na dwa dni przed manifestacyą wiedział o tem, że ona się przygotowuje. Niemniej konsula angielskiego uprzedzono o zamiarach agitatorów, tak że on postanowił wyjechać na ten dzień z Warszawy. Omyliła się tylko policya donosząc, że manifestacya gotuje się na sobotę, tymczasem odbyła się ona w niedzielę.

miejsce manifestacyi, już tam nikogo nie było. Nazajutrz i tegoż jeszcze dnia zarzucono konsulat kartami wizytowemi najrozmaitszych osób z miasta [1]).

Konsul Stanton zachował się wobec całej tej sprawy ze zręcznością dyplomatyczną. Przyjąwszy w niemem milczeniu adres, odesłał go do Londynu wraz z ogromną ilością kart wizytowych, sam zaś udał się nazajutrz do namiestnika, z wyrazem nadzwyczajnego smutku na twarzy i ubolewaniem nad wczorajszym „krokiem szalonym“, jak mówił, mieszkańców Warszawy [2]). Suchozanet ze swej strony także zabawił się w dyplomacyą. Chcąc, jak się sam wyrażał, ośmieszyć (ridikiulizirowat) demonstracyą wczorajszą, a zarazem dać Stantonowi dowód swego szacunku za to, że się tak pięknie wczoraj znalazł, zaprosił go do siebie na obiad, o czem naturalnie konsul nie omieszkał także donieść swemu rządowi. Cesarz pochwalił postąpienie namiestnika i na tem cała ta sprawa się skończyła.

Na prowincyi nie ustawano także w manifestacyach i pod tym względem odznaczały się głównie większe miasta gubernialne. W Radomiu, w pierwszych dniach lipca (dnia 4), chciano wyprawić kocią muzykę gubernatorowi miejscowemu, Oppermanowi, człowiekowi nielubianemu powszechnie. Dowiedziawszy się o tem dość wcześnie, zapobiegł nieprzyjemnej dla siebie historyi, przez zażądanie pomocy wojskowej. Gęste patrole poczęły przebiegać miasto, rozpędzały wszelkie usiłowania zbiegowisk, biły kolbami

[1]) *N. Berg* (Zapiski, 327). opierając się na śledztwie urzędowem, powiada, że zapotrzebowanie biletów wizytowych było tak wielkie, iż ledwie zdołały nadążyć z ich wyrabianiem wszystkie litografie warszawskie.

[2]) Suchozanet tak o tem donosi cesarzowi: „22 (10) lipca. Wczoraj w mieście była manifestacya, złożona z młodzieży klas niższych, przed konsulem angielskim, z wyrażeniem wdzięczności narodowi angielskiemu za współczucie dla Polski. Zachowanie się konsula wyborne. Jest on nadzwyczajnie zasmucony, nazywając to krokiem szalonym. Tłum rozszedł się przed przybyciem wojska. Manifestacyi tej nie nadaję znaczenia narodowego“.

przechodniów i taki popłoch rzuciły, że kocia muzyka do skutku przyjść nie mogła.

W Kaliszu, mieście na wskróś zrewolucyonizowanem, dopuszczono się jeszcze śmielszej, zuchwalszej, że tak powiemy, awantury. Agitatorzy miejscowi dowiedzieli się, że d. 15 i 16 lipca, ma tam przybyć i stanąć garnizonem pułk nizowski piechoty, ten sam, który strzelał do ludu w Warszawie w d. 27 lutego. Ponieważ powszechnem było błędne mniemanie, które przeszło do wszystkich relacyi ówczesnych, że pułk ten brał udział w rzezi 8 kwietnia, więc nazwa jego była w obrzydzeniu w całym kraju. Postanowiono zatem pomścić się na nim i przy wejściu do Kalisza wyprawić mu kocią muzykę. Jakoż, kiedy pierwszy eszelon tego pułku pojawił się w mieście d. 15 lipca, powitano go niesłychanie wrzaskliwą serenadą. Władze miejscowe na razie straciły głowę, ale wreszcie zdobyły się na zwykłą rosyjską energię, polegającą na puszczeniu na miasto gromady kozaków, którzy batami rozpędzili zbiegowisko. Takaż sama scena odbyła się nazajutrz przy wejściu drugiego eszelonu tegoż pułku do Kalisza.

Lud wiejski w tych wszystkich manifestacyach, rozszerzających się powoli na wsie, błyszczących strojami polskimi i brzmiących hymnami religijnymi na licznych odpustach, udziału wcale nie brał. Przypatrywał on się wszystkiemu ciekawie, ale z pewną trwogą nerwową, objawiającą się podobnym popłochem, jaki opisywaliśmy w czasie nabożeństwa w Ratowie. Bardzo często się zdarzało, że chłopi, usłyszawszy pieśń zakazaną, wychodzili z kościoła i tłumnie uciekali, jakby ich straszyło widmo tej Polski szlacheckiej, o którą „panowie“ Boga prosili. Zaniepokojenie było wśród ludu powszechne, niczem nie wytłomaczone i przybierało cechę jakichś obaw, jakiejś zbliżającej się katastrofy straszliwej. Ukazanie się w końcu czerwca świetnej na niebie komety, której warkocz błyszczący przez parę tygodni jaśniał niezwykłym blaskiem, dodawało tym trwogom tajemniczym usprawiedliwienia, w wyobraźni zabobonnej chłopa polskiego było zapowiedzią klęsk, plag i nieszczęść, a na-

wet kary Bożej. Zdawało się, że zbliżają się wypadki, które zmienią postać rzeczy; ognisty palec przeznaczenia pisał na niebie biblijne Baltazarowe zgłoski. Zaszły przytem inne jeszcze okoliczności, które tym wierzeniom a może przeczuciom ludowym nadawały znamię prawdopodobieństwa.

Jeszcze w czerwcu rozbiegła się po kraju wiadomość, że w lasach w okolicach Łukowa, Radzynia i Siedlec, w wielkich borach Świętokrzyzkich i Suchedniowskich koło Kielc, w puszczy Kampinowskiej pod Warszawą, w ogromnych przestrzeniach leśnych powiatu Janowskiego (w Lubelskiem), a zapewne i w innych stronach, pojawiają się jacyś nieznani nikomu, obcy zupełnie w okolicy ludzie, ubrani biednie, w sukmany i koszule, wychylający się rzadko ze swych schronisk leśnych, ale zachowujący się spokojnie, rzecby można, świątobliwie. Tu i owdzie ukazywali się pojedynczo lub gromadką po kilku w chacie samotnej gajowego, owdzie spotkały ich dziewczęta wiejskie zbierające grzyby lub jagody, gdzieindziej zaczepili kobietę wiejską, idącą z nabiałem do miasta i cały jej towar zakupili, płacąc gotówką i bez targu, przemawiając łagodnie, tonem natchnienia mistycznego. Wkrótce zyskali oni wśród ludu wielkie poważanie przez swój wygląd skromny, poważny i świątobliwy. Zapytywani, kto są i czego chcą, odpowiadali alegoryami, mienili się być ludźmi, którzy przyszli przez własne cierpienia odkupić cierpienia bliźnich. Lud uważał ich za pustelników, kających się w ciszy i samotności leśnej dawnych grzechów, ale sfery wyższe i policya widziała w nich ajentów tajnych rewolucyi, Mierosławczyków, rozesłanych po kraju, by lud przygotowywali do wielkiej a blizkiej godziny powstania. Trudno dziś coś pewnego o tem powiedzieć, faktem jest w każdym razie, że ci tajemniczy emisaryusze, jak ich nazywano, przekradali się nocami tu i owdzie do plebanii, do dworów i wiedli tam narady. Policya prócz tego z pogłosek nabyła przeświadczenia, że emisaryusze zdejmują plany pewnych miejscowości, że są w stosunkach z jakąś skrytą władzą w Warszawie, rezydującą w jednym z domów na Tamce, że po-

średnikami w tych stosunkach są żydzi, przeważnie t. z. pachciarze wiejscy, że do nich przyjeżdżają młodzi ludzie z Warszawy i innych miast, że nakoniec kwity, wystawiane przez emisaryuszów, są wypłacane sumiennie w stolicy kraju [1]).

Bądź co bądź, czy to wszystko było prawdą, czy też tylko pogłoską, wszelako pojawienie się tych emisaryuszów w ciemnych, na pół dziewiczych borach niektórych okolic kraju, wywierało wpływ denerwujący na lud, natężało jeszcze bardziej i tak już mocno naprężone struny niepokoju

[1]) *Chrulew* (loc. cit. 116) widocznie na podstawie raportu tajnego policyi, o emisaryuszach tych podaje szczegóły następujące: „nie ulega wątpliwości, że istnieje komitet rewolucyjny. W Warszawie komitet ten odbywać ma swe czynności w jednym z domów na Tamce. Jest nadzieja, że dom ten wkrótce będzie wiadomy. Niemniej pewnem jest, że komitet rzeczony znajduje się w ciągłych stosunkach z t. z. Mierosławczykami, czyli emisaryuszami, ukrywającymi się w lasach powiatów: siedleckiego, bialskiego i radzyńskiego w gubernii lubelskiej, i że do tych emisaryuszów wysłany został w tych dniach jeden z członków komitetu z jakimś rozkazem. Podczas nabożeństwa w kościele Dominikańskim d. 24 (12) lipca zbieraniem składek pieniężnych zajmował się wiadomy Małachowski. Jest on członkiem komitetu rewolucyjnego, i stąd przypuszczać można, że pieniądze, zbierane w kościołach w czasie nabożeństw i na Powązkach, wpływają do komitetu. Przed dwoma tygodniami, emisaryusze zjawili się w nocy u żyda pachciarza w jednej z wiosek w pobliżu Kałuszyna, i zabrali mu 100 złp. gotówką, nieco chleba i znaczną ilość serów. Na wszystko to dali mu kwit, adresowany do jakiegoś domu w Warszawie, gdzie żyd otrzymał w całości przynależne mu pieniądze. Otrzymano nakoniec wiadomości, że żydzi, mieszkający w miastach w pobliżu tych miejscowości, w których ukrywają się emisaryusze, komunikują im wszelkie wiadomości i ostrzeżenia, jak to miało miejsce przed rewizyą, dokonaną niedawno z rozporządzenia władzy w gubernii lubelskiej". *A. Giller* znowu („Historya pow. nar. pol." II, 365—367) inne co do tych emisaryuszów tajemnych robi przypuszczenie. „Po lasach, jeszcze w 1861 i w 1862 r. — powiada on — na Podlasiu w Królestwie i w wielu okolicach Litwy, ukazali się jacyś, tajemnicą osłonięci agitatorowie socyalni, zwani *leśnikami*. Chowali się po lasach, tylko z chłopami wdawali się w rozmowy, unikali dworów i ludzi wykształconych; sami zaś mieli pozór ludzi światłych i znali, prócz polskiego, różne obce języki. Po wiele-

powszechnego. Natomiast nic takiego się nie pojawiało, coby ten niepokój ukołysać mogło, coby w kraju, grzmiącym już daleką jeszcze, ale zbliżającą się nieustannie burzą, ciszę zdołało przywrócić, na horyzont chmurny ojczyzny sprowadzić pogodę i jasnym blaskiem słońca oświecić nieszczęsną i zawsze czarną dolę polską. Zapuszczając się dalej w tę drogę Dantejską cierpień narodowych, zobaczymy z kolei rzeczy, jak Polska, w obłędzie jakimś, powoli sama, własnemi rękami kopała grób, w który ledz miały na długą noc niedoli całe jej przyszłe pokolenia".

---

kroć razy wydawano z Warszawy z grona patryotycznego polecenia do zbadania charakteru misyi i sposobów propagandy leśników. Jedna i druga pozostały tajemnicą". Przypuszcza dalej, że rząd rosyjski „w przewidywaniu powstania używał konspiracyjnych sposobów działania leśników do przygotowania kontrrewolucyi" — „że leśnicy byli ajentami najazdu, gotującymi przed powstaniem społeczne zaburzenie". Przypuszczenie to jednak nie zdaje się być uzasadnionem.

ROZDZIAŁ X.

Mój Hamlet.

Reforma policyi. Śmierć Czartoryskiego. Nabożeństwo żałobne. Scena z arcybiskupem. Oburzenie kamarylli na Wielopolskiego, który podaje się do dymisyi. Zygmunt Wielopolski jedzie do Petersburga. Rozkaz cesarski. Spokój pozorny. Nabożeństwo w kirsze luterskiej. Stanowisko Prus wobec kwestyi polskiej. Usposobienie miasta. Procesya do Częstochowy. Zjazd w Zamku na imieniny cesarzowej. Manifestacya w kościele. Wybijanie szyb wieczorem. Mniemane zabójstwo Antoniego Polaczka. Awantura w ogrodzie Saskim. Szkółki elementarne. Braterstwo z żydami. Pojawienie się „Jutrzenki“ i „Strażnicy“. Nadużycia i gwałty na prowincyi. Podróż Nazimowa po Grodzieńskiem. Ruch w Galicyi. Wypadki w Mławie i Białymstoku. Obchody unii litewskiej w d. 12 sierpnia. Odezwa. Zamiary agitatorów. Ogłoszenie Suchozaneta. Obchód unii w Warszawie. Piotrkowie, Kaliszu, Łodzi, Płocku, Mławie, Lublinie, Kielcach, Biały podlaskiej, Grodnie, Druskienikach i Wilnie. Zabawa w lasku Belmonckim. Program obchodu w Kownie. Przygotowania ze strony rosyjskiej. Wystąpienie procesyi. Atak kozaków Popowa. Połączenie się obu procesyi. Nabożeństwo w Piątku. Wrażenie tej manifestacyi i jej następstwa. Dzień 15 sierpnia. Napoleon III i Polska. Nota w „Monitorze“. Nieudanie się manifestacyi. Odezwa duchowieństwa. Woronow w Kaliszu. Wypadki w Tarnogórze. Obchód rocznicy bitwy pod Dubienką. Zaburzenia w Grodnie i Wilnie. Pogłoska o procesyi kowieńskiej. Dzień 18 sierpnia. Atak wojska. Znaczenie wypadków wileńskich. Zaprzeczenie Nazimowa. Hrabia Lambert, jego przeszłość i charakterystyka. Jego przejazd przez Warszawę. Pobyt w Petersburgu i nominacya na namiestnika. Gerstenzweig, jego przeszłość i stosunek do Lamberta. Zakończenie.

Wśród tak opłakanego położenia kraju, gdy zdawało się, że wszystkie podstawy porządku społecznego pękają i ze swych fug wychodzą, Suchozanet drzemał po-

dawnemu w pałacu Belwederskim, odbywał przeglądy wojsk, odwiedzał obozowiska, jadł kaszę z kotłów żołnierskich i pił wódkę, istotnym zaś rządem mało się zajmował, gdyż to go ani interesowało, ani tego nie rozumiał. Kiedy w kraju każdy dzień nieomal przynosił nowe fakta, świadczące o wzburzeniu powszechnem umysłów, gdy wszystko, i ludzie, i rzeczy pędziły szalonym biegiem ku strasznej i widocznej już teraz przyszłości, Sezostrys warszawski zajmował się drobiazgami i więcej go obchodziło zapadnięcie się jakiejś ulicy wskutek deszczów ulewnych [1]), niż najważniejsze fakta i objawy, zdradzające ten stan szalonej gorączki, ogarniającej Polskę i jej dolę. Rząd pozornie surowy, nawet srogi, przybierający powoli charakter despotyzmu i samowoli wojskowej, w gruncie rzeczy był słaby i niekonsekwentny. Chwytając tylko fakta powierzchowne, tłumiąc zewnętrzne, uliczne objawy, roztaczając przed oczami szydzących z tego Warszawian znaczne siły wojenne, nie sięgał nigdy i nigdzie do głębi, nie badał choroby i nie pojmował tego, że trzeba ją leczyć radykalnie, że trzeba złe ziele wykorzeniać, wyrwać je z gruntu, a nie przycinać mu tylko liści. Do tego jednak ani Suchozanet, ani jego doradcy, ciasnogłowi żołnierze i karyerowicze, nie byli zdolni.

Policya, jakeśmy to już kilkakrotnie zaznaczyli, nie odpowiadała swemu ważnemu zadaniu. Jakkolwiek na początku roku zwiększono ją znacznie, nie wystarczała jednak na dozór ścisły nad miastem, była źle uorganizowana i złożona w większej części z Polaków łatwo ulegała zarazie rewolucyjnej. Jeszcze za Gorczakowa powzięto myśl zreformowania zupełnego tego pierwszorzędnego narzędzia rządu. Ale jak zwykle w Petersburgu, nim projekt odnośny zredagowano, nim on przeszedł przez narady i krytykę

[1]) W d. 12 lipca telegrafuje do cesarza: „częste deszcze szkodzą zasiewom; wczoraj ulewa spowodowała znaczne zapadnięcie się na ulicy Długiej“. Nazajutrz to samo donosi: „przedwczoraj burza i ulewa w czterech miejscach w mieście wywołała znaczne zapadnięcia się na ulicach, zagrażające bezpieczeństwu domów“.

różnych komisyi, czas kosztowny zawsze, a teraz cenniejszy od złota, upływał i złe rosło. Powierzono nakoniec całą sprawę Potapowowi, który wybierał się do Warszawy dla przypatrzenia się rzeczom na miejscu, jakkolwiek w rysach zasadniczych projekt organizacyi był już gotowy. Przybył on wreszcie do stolicy polskiej w d. 3 lipca, i dla narady nad tym przedmiotem wezwał wybitniejszych w mieście obywateli, a mianowicie kupca Józefa Kwiatkowskiego, i właściciela domu Jana Grabowskiego, obu znanych nam już ze swego czynnego udziału w Delegacyi warszawskiej. Narady trwały blizko tydzień, były dość ożywione i dały wielokrotnie wyborną sposobność deputatom polskim wyszydzenia Potapowa, jego ciasnoty pojęć, i zdumiewającej nieznajomości przedmiotu, który miał reformować. Bądź co bądź projekt został ułożony; zamierzono znacznie zwiększyć policyą, miasto podzielić na liczne rewiry policyjne, na czele których stojący podoficer winien baczną zwracać uwagę na to, co się dzieje w jego rewirze, znać wszystkich w nim mieszkańców, sposób ich zajęcia, usposobienie i dążności. Na wszystkich ulicach miasta, na rogach, w ludniejszych okolicach, postanowiono, by nieustannie znajdowały się straże policyjne i czuwały nad porządkiem. Obostrzono przepisy i instrukcye dla komisarzy cyrkułowych; zadecydowano z Petersburga sprowadzić znaczną liczbę policyantów rosyjskich w celu podniesienia ducha w policyi warszawskiej i zniszczenia w niej zakradającej się zarazy rewolucyjnej. Wreszcie postanowiono zmienić umundorowanie, nie bez wpływu Wielopolskiego na tę część reformy, który chciał, by „milicya“ warszawska, jak ją zwać miano, nosiła mundur granatowy i białe guziki, przypominające mundury niegdyś polskie. Potapow z tem wszystkiem wyjechał z powrotem do Petersburga (d. 9 lipca) i cesarz chciał, by cały projekt przedstawiono mu do zatwierdzenia za pośrednictwem Rady stanu, zgodnie zresztą z prawem świeżo do Królestwa wprowadzonem. To się nie podobało Suchozanetowi, a raczej otaczającej go kamarylli wojskowej, która chciała w skrytości duszy, by Rada stanu była

czczym wyrazem, by była instytucyą bez władzy, wpływu i znaczenia, by rząd a raczej garść jenerałów ograniczonych umysłowo i złych, po dawnemu wydawała rozporządzenia prawomocne, znosiła lub ustanawiała nowe władze, zmieniała je wedle swego widzimisię, nie odnosząc się do nikogo i nie pytając o to nikogo. Pisał tedy Suchozanet do cesarza, że ta droga zatwierdzenia projektu reformy policyi napotka poważne trudności, że rzecz cała się zwlecze, co jak najszkodliwiej oddziała na stan porządku publicznego [1]). Na szczęście cesarz miał uczciwsze pod tym względem zasady, i przez szczególny zbieg okoliczności, przez usposobienie liberalne, któremu w tej porze jeszcze w zupełności hołdował, chciał on szczerze i stanowczo, by przyrzeczone i ogłoszone reformy weszły w całej swej rozciągłości w wykonanie. Nie cofnął więc rozkazu, by projekt o policyi przeszedł najprzód przez Radę stanu, która go w zupełności zatwierdziła. W kwestyi tylko umundurowania, cesarz rzecz odłożył do czasu przybycia do Warszawy jenerała Lamberta, który w tej porze, w pierwszych dniach lipca, stanowczo był uznany za namiestnika Królestwa.

Tymczasem, gdy nowa policya się organizuje, gdy Rada stanu odbywa swe posiedzenia, do Warszawy d. 16 lipca przyszła wiadomość, że w Montfermeille pod Paryżem, zmarł w d. 15 t. m. wieczorem samym, sędziwy Adam książę Czartoryski, w 93 roku życia. Śmierć ta w kraju nie zrobiła wielkiego wrażenia; dla młodzieży, wychowanej w szkole Muchanowa, Czartoryski był osobistością całkiem nieznaną i obojętną, i jeżeli o nim teraz w kołach tych mówiono, to tylko dla tego, że zdarzała się sposobność wyprawienia nowej manifestacyi. Zato wśród ludzi starszych, w sferach szlacheckich i arystokratycznych, wrażenie było wielkie i głębokie. Imię księcia Adama przypominało

[1]) „Rozkaz przedstawienia projektu reformy policyi przez Radę stanu napotka poważne trudności i zgubne opóźnienie. Uważając urzeczywistnienie niezwłoczne tej sprawy jako główny środek zabezpieczenia porządku, postanowiłem jutro wysłać kuryera z doniesieniem szczegółowem“. (Depesza z d. 12 lipca (30 czerwca).

świetną, błyskotliwą, pełną nadziei uroczych epokę napoleońską i aleksandryjską, dni chwały wojennej polskiej, dni pełni życia narodowego. Zawsze, czy to jako minister rosyjski, czy jako kurator okręgu naukowego wileńskiego, czy jako członek Rządu narodowego polskiego, czy nakoniec jako wygnaniec podnoszący przy każdej sposobności głos za Polską, zawsze widziano w nim człowieka zacnego i patryotę rzetelnego, ceniono wysoko jego długą, wytrwałą i ciągłą służbę dla ojczyzny. A choć lepiej świadomi rzeczy utrzymywali w cichości, że historya nie zawsze będzie widziała czyste i patryotyczne pobudki w działaniu Czartoryskiego, nie zawsze postępowanie jego uważać będzie za zgodne z ideą patryotyczną i zdrowem poczuciem potrzeb narodowych, to jednak nikt się z tem głośno odezwać nie śmiał, a jeśli się odzywał, uważany był za „wściekłego demagoga“, za rewolucyonistę skrajnego. Pogrzeb zmarłego odbył się w Paryżu z przepychem i wspaniałością; opowiadano sobie nawet, że za trumną, pokrytą płaszczem z purpury i gronostai królewskich, niesiono koronę, koronę polską, którą podobno zdziecinniały starzec dał sobie tajemnie włożyć na głowę...

Zaraz też po kraju obiegać począł w licznych odpisach testament polityczny zmarłego. Napisany w tonie pełnym rezygnacyi religijnej, zachęcał swych współtowarzyszy w emigracyi, by dalej prowadzili tę samą służbę, jaką książę Adam pełnił przez lat trzydzieści, jakkolwiek „kraj teraz wziął na siebie ster sprawy“; wszelako „do emigracyi należy dzisiaj opowiadać i tłómaczyć czynności kraju, bronić praw narodowych przed opinią i rządami Europy, oraz zawiązywać i rozwijać te z obcemi państwami stosunki, które Polsce dopomódz mogą i do jej wydobycia się z niewoli i do jej niepodległego w przyszłości życia i działania“. Oddając kierownictwo tej akcyi młodszemu synowi Władysławowi, tak kończy zgrzybiały dyplomata polski ostatnią swą wolę: „z głębokiem uczuciem pokory i rzewnego przejęcia, dziękuję Bogu, że mi pozwolił doczekać chwili, w której przyszłość mojego narodu już z większej niepewności

odsłaniać się zaczyna. W długiem mojem życiu przekonałem się, że ilekroć Pan Wszechmocny spuszczał na nas rękę karzącą, to nie dla naszej zaguby, ale dla naszej poprawy. Ufajmy przeto Jego miłosierdziu, ufajmy przyczynie naszej Niebieskiej Królowej, a w każdem działaniu raczej o to się troszczmy, co korzyść wiekuistą, niż to, co chwilową obiecywać się zdaje". [1]).

Jakkolwiek testament ten nie nosił na sobie piętna rewolucyjnego, wszelako pewność, z jaką stojący nad grobem starzec mówi o przyszłości narodu jakoby świetnej, złą przysługę czyniła krajowi, bo utwierdzała tych wszystkich, którzy mieli zwrócone oczy na pałac Lambert, w przekonaniu, że to co dotąd robiono było dobrem, że tak samo dalej postępować należy, nic nie czynić w kraju takiego, coby mogło spowodować jego uspokojenie, a zato liczyć wiele na zagranicę i ubiegać się o jej puste słowa ubolewania. Testament ów, powtarzamy, obiegał po kraju w tysiącznych odpisach i chciwie był czytany przez wszystkich, zachęcając niejako do wytrwania na raz obranej drodze.

Nie dziw więc, że śmierć osobistości tak wybitnej, nie mogła przeminąć bez manifestacyi głośnej i publicznej, do której w rzeczy samej gotowano się w Warszawie i kraju. Wielopolski widział to doskonale i postanowił osłabić doniosłość i znaczenie manifestacyi przez zezwolenie urzędowe na odbycie nabożeństwa żałobnego. Był to krok bardzo zręczny; wydzierał on inicyatywę obchodów żałobnych z rąk ruchu, zadawalniał arystokracyę i szlachtę, zadość wreszcie czynił potrzebie wewnętrznej Wielopolskiego, który chciał tym sposobem uczcić wielkiego obywatela polskiego i swego niegdyś zwierzchnika. W tym celu zawiadomił drogą urzędową arcybiskupa Fijałkowskiego, że władza nic nie ma przeciw odprawieniu nabożeństwa za spokój duszy zmarłego, prosił tylko, by nie

[1]) Testament ten pomieszczamy w całości z odpisu współczesnego, w zbiorze dokumentów, na końcu tego tomu wydrukowanych, pod № 2.

urządzano takich obchodów w całym kraju, „bo książę Adam Czartoryski nie znajdował się w czasie zgonu w rzędzie osób u steru rządu Królestwa naszego będących, lub wysokie godności w kraju posiadających, po śmierci których należałoby w całym kraju urządzić nabożeństwa publiczne“. Rzecz prosta, że zastrzeżenie to nie wiele pomogło, obchody żałobne odbyły się w całej Polsce, jak się tego zresztą spodziewać należało.

W Warszawie arcybiskup, korzystając z pozwolenia urzędowego, zapowiedział publicznie przez gazety, że „nabożeństwo za spokój duszy ś. p. Adama ks. Czartoryskiego“, odbędzie się w poniedziałek, d. 22 lipca, jako w oktawę śmierci. Miasto przybrało wygląd uroczysty; wszystkie sklepy podczas nabożeństwa były zamknięte i niezliczone tłumy pociągnęły do wspaniałej świątyni gotyckiej św. Jana, gdzie sam arcybiskup miał celebrować. Fijałkowski jednak był tylko obecnym siedząc na tronie arcybiskupim, a nabożeństwo odprawił biskup Plater. W kościele znajdowało się wielu żydów, licznie była reprezentowaną arystokracya, Klemensowczycy; widziano Andrzeja Zamoyskiego, widziano i Zygmunta Wielopolskiego, syna margrabiego. Nastrój obecnych był bardzo uroczysty; zdawało się wszystkim, że chowają ostatni szczątek lepszych, piękniejszych dni... Samo nabożeństwo odbyło się zresztą spokojnie, pieśni religijno-patryotycznych nie śpiewano wcale [1]). Ale jeżeli agitatorzy w kościele zachowali się poważnie, jeżeli powstrzymali się od odśpiewania nieuniknionego w ta-

[1]) Tak utrzymują wszystkie relacye polskie, co wreszcie potwierdza telegram Suchozaneta do cesarza z d. 23 lipca: „nabożeństwo żałobne za Czartoryskiego odbyło się w porządku (z błagoczinniem) bez kazania i hymnów narodowych“. *Mikołaj Berg* atoli (Zapiski, 327) inaczej twierdzi i jaskrawemi barwami maluje nabożeństwo: „Sam arcybiskup, pisze, świadek osobisty tego, co inni sobie przypominali, zalewając się łzami, nie czuł nawet, jak z ust jego wybiegło i uniosło się ku niebu: Boże, coś Polskę... Świątynia drgnęła, wszyscy upadli na kolana i zaśpiewali dalsze: „otaczał blaskiem potęgi i chwały“ — i jak grom Boży rozległy się pod ciemnem skle-

kich razach hymnu, to wynagrodzić to sobie postanowili poza kościołem. Gdy bowiem Fijałkowski ukazał się na ulicy, powitano go grzmiącym okrzykiem: „niech żyje nasz arcypasterz! niech żyje arcybiskup warszawski!“ Otoczono powóz i grupa młodych ludzi, ubrana żałobnie, wyprzęgła konie i wśród wrzawy głuszącej, mimo próżb arcybiskupa, poczęła go ciągnąć, w czem dopomagał im rosnący nieustannie tłum. Nakładając drogi, widocznie w celu nadania całej sprawie rozgłosu większego, ciągniono powóz przez ulicę Śto-Jańską, Stare miasto, Gołębią, Podwale, Kapitulną na Miodową do pałacu arcybiskupiego. Tu siwy, zgarbiony arcykapłan ukazał się na balkonie, pobłogosławił tłumy i prosił je rozejść się spokojnie, co też uskuteczniono.

Na tem skończyło się wszystko, i śmierć Czartoryskiego, wbrew oczekiwaniom wielu, nie dała powodu do żadnych innych zaburzeń. Nabożeństwa w innych kościołach warszawskich i w kraju odbywały się wszędzie cicho i spokojnie, niczem nie zwracając na siebie uwagi [1]). Ale zato w sferach wojskowych, w zjadliwej i złej kamarylli namiestnikowskiej, te nabożeństwa za człowieka skazanego na śmierć przez rząd rosyjski, za przestępcę politycznego, jak mówili, ta manifestacya z wyprzęganiem koni u powozu arcybiskupa, wywołała gniew gwałtowny. Poczęto powstawać na Wielopolskiego, że dał zezwolenie urzędowe na modły publiczne za zbrodniarza stanu, za człowieka pozbawionego wszelkich praw, za drajcę państwa. Suchozanet zrazu zdawał się przyznawać zupełną racyą Wielopolskiemu, pisał do cesarza: „jestem przekonany, że przez dozwolenie na nabożeństwo żałobne usunięto samowolne nabożeństwa we wszystkich kościołach, czemu sprzeciwiać

---

pieniem odwiecznem słowa końcowe strofy: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!“

Scena bardzo patetyczna, niezaprzeczenie pięknie opisana, ale nie prawdziwa. Nikt nie śpiewał i nabożeństwo nie miało w ogólności żadnego charakteru manifestacyjnego.

[1]) W Wiedniu odbyło się także nabożeństwo d. 21 lipca, w kościele św. Ruprechta.

się przy pomocy siły wojskowej wewnątrz kościołów byłoby niemożliwem". Cesarz ze swej strony uznał słuszność tego twierdzenia, nie gniewał się o nabożeństwo, byle tylko odtąd na żadne inne manifestacye nie pozwalano [1]). Zdawałoby się więc, że przynajmniej co do tej sprawy Wielopolski wolen być powinien od wszelkich skarg i wyrzutów; tymczasem inaczej się stało. Suchozanet, jakeśmy to już powiedzieli, był starcem zdziecinniałym, którego każdy mógł łatwo przekonać i zyskać na swą stronę. Chwaląc dziś Wielopolskiego za pozwolenie na nabożeństwo, nazajutrz, pod wpływem swego otoczenia, począł się na margrabiego oburzać i wyrzuty mu czynić tym tonem ostrym, surowym, gburowatym i karcącym, jaki zwykli przybierać w Polsce jenerałowie rosyjscy. Ale jeżeli kto, to Wielopolski nie był zdolny do znoszenia tego rodzaju napomnień i wyrzutów, zwłaszcza, że postąpił tak, jak nie można było lepiej w obecnych okolicznościach postąpić. Stosunek więc wzajemny przybierał coraz ostrzejszy, coraz nieznośniejszy charakter. Te ciągłe napaście Suchozaneta, to jego pomiatanie ustawami, ta samowola wojskowa, budziła wśród bliższego otoczenia margrabiego, które wiedziało o jego starciach z Sezostrysem, podejrzenie, że dzieje się to wszystko według pewnego, z góry nakreślonego planu. Mówiono, że taki zwykły „stupajka", jak jenerał Suchozanet, pozbawiony wszelkiej woli i inicyatywy, nie ośmieliłby się nigdy zaczepić tak wybitnej postaci jak Wielopolski, gdyby na to nie miał wyraźnych zleceń tajemnych [2]). Zdanie to, objawione margrabiemu, i w nim wzbudziło podejrzenia; twierdzono, że użyto go tylko chwilowo, że zresztą stało się to z woli Gorczakowa, ale że teraz nie chcą już magnata polskiego na urzędzie, magnata, który swą postacią olbrzymią zdaje się przeważać

[1]) Depesza z Peterhofu z dnia 11 (23) lipca.

[2]) Odgłos tej opinii, niczem jak dotąd nieusprawiedliwionej, przedarł się nawet do dzieł drukowanych. *K. Gregorowicz* w swym „Poglądzie krytycznym na wypadki z r. 1861/2 i 3" wyraźnie i tonem pewności zdanie to wypowiada.

wszystkich jenerałów i wszystkich Sezostrysów moskiewskich...

Jakkolwiekbądź, czy w istocie tak było czy nie, położenie stawało się bardzo drażliwem i śliskiem; nakoniec sprawa nabożeństwa za Czartoryskiego była tą kroplą, która przepełniła naczynie. Wielopolski zdecydował się na krok heroiczny, i w cztery dni po obchodzie żałobnym za księcia Adama, dnia 26 lipca, podał się do dymisyi. „Podobało się Waszej Ekscelencyi, mówił w piśmie wystósowanem do Suchozaneta, okazywać mi wielokrotnie swe niezadowolenie. Czyny, które wywołały naganę Waszej Ekscelencyi, są następujące: obchodzenie żałobnego nabożeństwa za księcia Czartoryskiego; użycie w przekładzie mowy W. E. wyrażenia „potrzeby i życzenia kraju", uświęconego przez depeszę księcia ministra spraw zagranicznych, donoszącą o reformach udzielonych przez Jego Cesarską Mość Królestwu Polskiemu; nakoniec zasady, bronione przezemnie odnośnie do nadużyć władzy jenerała Rudanowskiego, dowodzącego w gubernii Augustowskiej. Miałem już zaszczyt przedstawić W. E., że w chwili, gdy rząd Królestwa stara się o to, by kraj mógł korzystać z dobrodziejstw J. Ces. Mości, nie mogę zgadzać się na akta, których skutek odbierałby nam gwarancyą prawa i porządku sądowego; akta, które są przeciwne zastrzeżeniom, zrobionym przezemnie w chwili wejścia do rządu, a których stan kraju wcale nie usprawiedliwia. Nie mogąc dłużej w tych warunkach służyć pożytecznie cesarzowi i królowi, służyć mu tak, jak mi to nakazują moje uczucia wiernopoddańcze i dobro mego kraju, upraszam W. E. o przedstawienie mej dymisyi do podnóżka tronu". Przy tej sposobności, „spodziewając się opuścić Warszawę w ciągu kilku dni", przedstawiał namiestnikowi prace, jakie przygotował dla przedłożenia ich Radzie administracyjnej Królestwa, a mianowicie: raport o nadużyciach popełnionych przez jenerała Rudanowskiego; projekt do prawa o przypuszczeniu żydów do używania praw cywilnych; projekt organizacyi komisyi wyznań i oświecenia publi-

cznego; uwagi nad projektem komisyi skarbu o nowym rozkładzie podatku gruntowego wraz z propozycyą częściowych i natychmiastowych ulg w tej mierze.

Podając się do dymisyi, Wielopolski w gruncie rzeczy nie miał wcale ani zamiaru, ani chęci opuszczenia swego stanowiska. Byłoby to najprzód zbyt dotkliwem dla jego dumy, dla jego żądzy władzy, do której nakoniec po tylu latach się dostał, w której wreszcie był potrzebnym ze względu na dobro kraju. Krok ten poprostu obliczony był na silniejsze utwierdzenie się w tej władzy, gdyż pewnym był, że cesarz nie zgodzi się na jego ustąpienie; była to nakoniec próba wyjaśnienia podejrzeń, które wobec postawy Suchozaneta poczęły opanowywać umysł margrabiego, jakoby w Petersburgu chciano się go pozbyć, i uważają go za urzędnika niewygodnego i kompromitującego [1]). Suchozanet ze swej strony, mając w ręku pismo

[1]) *Lisicki* („Le marquis". II., 214) tak samo utrzymuje, że Wielopolski nie chciał wcale opuszczać swego stanowiska, i nazywa jego krok, według terminu teatralnego, „une fausse sortie". Zdaje nam się atoli, że się myli twierdząc, jakoby Wielopolski przez to miał na celu usunięcie z Warszawy Suchozaneta. Niepodobna przecież przypuszczać, by nie wiedział, że pobyt tego ostatniego w stolicy polskiej był tylko czasowy, i że właśnie w tej chwili miał się już stanowczo ku końcowi. Dnia 30 lipca cesarz donosił Sezostrysowi, że jego następca Lambert przybędzie do Warszawy za tydzień. Nie potrzeba więc było używać tak niepewnego środka jak dymisya, gdyż nikt nie mógł zaręczyć, że ona nie będzie przyjętą, ale lepiej i rozumniej by było czekać cierpliwie jeszcze tę parę tygodni, zwłaszcza, jeżeli się czekało dwa miesiące i znosiło kaprysy i nadużycia zdziecinniałego starca. Otóż, naszem zdaniem, Wielopolskiemu szło nie o Suchozaneta, ale o zbadanie opinii Petersburga, o przekonanie się, czy twierdzenia jego przyjaciół są uzasadnione lub nie. Że tak było, świadczy jego list, jaki wystósował do jednego z dygnitarzy urzędowych w Petersburgu w sprawie swej dymisyi. „Zrzekłem się mych obowiązków, pisze w tym liście, a zrobiłem to wtedy dopiero, gdy spostrzegłem, że me uwagi co do aktów nielegalnych pozostają bez skutku. Nie mogę przypuścić, ażeby nowy system (Suchozaneta), zastępujący porządek legalny rządem wojskowym, miał za sobą aprobacyą J. C. Mości; a nie mogąc brać na siebie odpowiedzialności za te czyny, codzień się powtarzające, zmuszony byłem zrzec się

Wielopolskiego, trzymał je u siebie przez pięć blizko dni bez decyzyi stanowczej i bez uwiadomienia o niem cesa-

---

mego stanowiska i czekać na rozkazy cesarza. Położenie kraju zresztą niczem nie usprawiedliwia wyjątkowego stanu, wprowadzonego do niektórych miast prowincyonalnych. Od chwili ogłoszenia prawa o skupie pańszczyzny, ludność wiejska uspokoiła się i okazuje usposobienie nieprzyjazne wszelkim usiłowaniom wywołania zaburzeń. Właściciele ziemscy, żywo zajęci kwestyą oczynszowania, w większej części zdecydowani są na przyjęcie poważnego udziału w radach powiatowych i gubernialnych. Klasa wyższa inteligencyi, zaspokojona przez reformy i przez wybór członków do Rady stanu, nabiera zaufania do rządu, i wywiera w tym względzie wpływ zbawienny na resztę kraju. Żywioł burzliwy ogranicza się na prowincyi na ludności miejskiej, podniecanej przez agitatorów i przez kilku księży egzaltowanych, jak również na pewnej liczbie urzędników niższych. Poważna część mieszkańców miast, żydzi, pozostali obcy ruchowi, a nowa ustawa o przypuszczeniu ich do używania praw cywilnych wywiera pod tym względem wpływ stanowczy. Otóż, wysyłanie do Rosyi wielu osób, uwięzionych pod zarzutem wywoływania nieporządków, między któremi znajdują się księża, wysyłanie wyrzekane bez sądu, na skutek prostego śledztwa komisyi wojennych, przekracza granice usprawiedliwionej represyi; nie mówiąc już nic o naruszeniu art. 8 prawa o zbiegowiskach. Te środki nadzwyczajne wywołują trwogę śród ludności spokojnej, trzymającej się ciągle zdala od wszelkich nieporządków. W dniu mej instalacyi w komisyi sprawiedliwości, położyłem nacisk na to prawo, zadecydowane w przeddzień przez radę, z mocy upoważnienia specyalnego J. C. Mości, jako reforma dobroczynna w prawodawstwie karnem; zaznaczyłem przytem, że, z mocy tego prawa, kary zasądzone cierpiane będą w twierdzach kraju. Sposób postępowania, przyjęty w ostatnich czasach, zadaje kłam prawu usankcyonowanemu przez monarchę, jak również mym zobowiązaniom publicznie wypowiedzianym. Nie zaniedbałem niczego, by zapobiedz temu postępowaniu, według mnie szkodzącemu interesom J. Ces. Mości, ale uwagi moje nie zostały uwzględnione, do czego ma prawo naczelnik wydziału. Takie postępowanie ze mną winienem w części przypisać temu, że dotąd jestem urzędnikiem pełniącym tylko obowiązki. (W komisyi sprawiedliwości Wielopolski był dotąd pełniącym obowiązki dyrektora). Upraszam Waszą ekscelencyą uwiadomić Jego C. Mość o mojem wyjaśnieniu. Rozkazy J. C. Mości, mam to przekonanie, będą zawsze takimi, że zdołam je pogodzić z mym honorem i powinnością". List ten więc w sposób niezaprzeczony potwierdza nasze przypuszczenie, wyżej wyłuszczone.

rza. Jakiemi pobudkami w tym względzie się kierował, trudno odgadnąć; może przerażała go stanowczość tego kroku, wstrętna zawsze starcom, może wreszcie zwykłe jego lenistwo wzięło tu górę, dość, że dopiero dnia 30-go lipca uwiadomił cesarza o piśmie margrabiego i przesłał je do Petersburga w kopii dosłownej. Zdaje się, że ostatecznie zmusiło go do tego nowe żądanie Wielopolskiego, w tym dniu właśnie przedstawione namiestnikowi. Margrabia chciał, aby syn jego Zygmunt mógł jechać do Petersburga. Ta okoliczność, oraz obawa, by cesarz nie dowiedział się wprzód z innych ust o całej sprawie, zmusiła Suchozaneta do uwiadomienia monarchy o wszystkiem. Pisał więc, że główną przyczyną postanowienia Wielopolskiego są decyzye jego, namiestnika, co do przestępców, bez uwagi na sądy miejscowe; że margrabia pragnie wysłać swego syna do stolicy caratu w tym celu, by przedłożył cesarzowi szczegóły całej sprawy; że nakoniec on, Suchozanet, przez osobnego kuryera, wyprawi jutro (dnia 31 lipca) odpowiedź na zarzuty Wielopolskiego co do legalności lub nielegalności swego postępowania, ażeby je rozpatrzono nie tutaj w Warszawie ale w cesarstwie.

Tymczasem margrabia nalegał na to, by syn jego jechał nad Newę. Więc Suchozanet dnia 31 lipca znowu co do tego cesarza zapytuje i sądzi, że lepiej decyzyą przyspieszyć, żeby młody Wielopolski mógł przybyć do stolicy przed wyjazdem ztamtąd Lamberta, „można przypuszczać, pisał w końcu, że Wielopolski przy tej sposobności wywnętrzy się zupełnie (wyskażetsia sonierszenno)". Na to wszystko przyszła odpowiedź cesarska dopiero dnia 1 sierpnia, ubolewająca nad postanowieniem margrabiego (wieśma sożaleju o namierenii Wielopolskago), żądająca objaśnień bliższych, dozwalająca na przybycie jego syna do Petersburga, ale nie odrzucająca wcale dymisyi [1]). Sytuacya przez to sta-

[1]) Myli się więc *Lisicki,* twierdząc („Aleksander Wielopolski" Tom I., 229), jakoby margrabia został „wezwany do pozostania na urzędzie", i że dopiero potem wysłał syna do Petersburga „w celu

wała się bardzo niebezpieczną i groźną, i podróż Zygmunta Wielopolskiego była tem konieczniejszą. Skoro więc pozwolenie cesarskie przyszło, ojciec wysłał go natychmiast do stolicy caratu, gdzie teraz miały się rozstrzygnąć nietylko losy margrabiego, ale i losy przyszłych kolei polskich. Pewnem było, że jeżeli młody Wielopolski nie zdoła zwyciężyć, nie zdoła przeważyć wpływów Suchozaneta, to, nie mówiąc już nic o upadku magnata polskiego, który ze stanowiska prostego szlachcica wyrósł nagle na ministra, należało się spodziewać całkiem innych rządów w Polsce, a może nawet jeżeli nie cofnięcia, to co najmniej nie wykonania zapowiedzianych reform. Sytuacya więc, powtarzamy, była bardzo niebezpieczna i wywołanie jej nie może być w żadnym razie uważane jako zasługa Wielopolskiemu. Mąż polityczny i statysta, mąż poświęcający swe osobiste widoki dobru publicznemu, nie stawia na jedną kartę lepszej doli swej ojczyzny, jak to Wielopolski teraz uczynił.

W instrukcyi, jaką dał swemu posłowi (a nie mógł lepszego i gorliwszego wybrać), kazał przedstawić cesarzowi, że nie może dłużej zajmować swego stanowiska, zwłaszcza dyrektorstwa sprawiedliwości, wobec wkraczania w jego atrybucye władz wojskowych; polecał położyć nacisk na niedogodność i szkody, jakie rząd ponosi z tego, że w jego łonie znajdują się dwie osoby, z których każda reprezentuje inny, wręcz sobie przeciwny kierunek. Prócz tego domagał się, aby kancelarya prywatna namiestnika była zniesiona, jako wkraczająca w atrybucye Rady stanu; żeby go uwolniono od cenzury dzienników, żeby utworzono gazetę urzędową, i żeby go mianowano ostatecznie dyrektorem komisyi sprawiedliwości, gdyż jak wiadomo, zwyczajem rosyjskim, dotąd był tylko „pełniącym obowią-

ustnego objaśnienia rzeczy“. Wezwanie do pozostania na urzędzie nastąpiło dopiero dnia 8 sierpnia, t. j. wtedy, kiedy Zygmunt Wielopolski już od pięciu dni bawił w Petersburgu (przyjechał tam dnia 3 sierpnia). Gdyby więc nie jego podróż, zdaje się, że dymisya ojca byłaby przyjętą.

zki dyrektora". Nakoniec proponował ustanowienie sądu najwyższego, któryby specyalnie sądził przestępstwa stanu.

Z taką instrukcyą młody Wielopolski stanął w Petersburgu dnia 3 sierpnia. O jego pobycie, o krokach, jakie czynił, nie wiemy nic, zdaje się wszelako, że, wobec postanowionego już usunięcia Suchozaneta i rychłego przybycia do Warszawy Lamberta, nie było tu nic do roboty [1]). Sprawa dymisyi zdecydowała się dopiero dnia 8 sierpnia, i to niezupełnie, gdyż cesarz chciał, by Wielopolski pozostał na swem stanowisku do czasu przyjazdu do Warszawy nowego namiestnika, który miał polecone osobiste rozmówienie się z margrabią, a zatem i ostateczną decyzyą, czy przyjąć dymisyą tegoż, czy też ją odrzucić [2]). Bądź co bądź, było to już zwycięztwo, zwycięztwo stronnictwa ustępstw dla Polski nad stronnictwem gwałtów militarnych, i Wielopolski mógł być zadowolonym z tego, gdyż co do Lamberta, o którym jak najlepsza obiegała opinia, jako o człowieku łagodnym i liberalnym, mógł być spokojny, że nie będzie chciał pozbyć się jedynego męża stanu, na którym rząd w Polsce mógł śmiało się oprzeć.

Tak się skończyła ta dziwna, jedyna w swoim rodzaju, walka między szlachcicem polskim a jenerałem rosyjskim, walka, w której ze strony pierwszego okazane było bardzo wiele zręczności i energii, walka ciągnąca się całe dwa miesiące, rozwijająca się stopniowo, dramatycznie, i kończąca się zwycięztwem finalnem, jak na teraz, śmiało rzec można, dobrej sprawy. Rzadki to przykład w historyi, w której nie zawsze dobre sprawy zwyciężają; jedyny

---

[1]) *Lisicki* w obu swych biografiach margrabiego mówi tylko ogólnikowo o pobycie jego syna w Petersburgu, co do pewnego stopnia potwierdza nasze przypuszczenie, wypowiedziane w tekście.

[2]) Depesza cesarska brzmi: „Dnia 8 sierpnia (27 lipca) o godzinie w pół do 6-tej po południu. Chcę, żeby Wielopolski pozostał przy zajmowanych obowiązkach do czasu przyjazdu hr. Lamberta. Co do dalszych kroków poleciłem mu (Lambertowi), żeby się rozmówił z nim osobiście. Wyjeżdża on (Lambert) we wtorek (dnia 13 sierpnia). Aleksander".

moment w tych smutnych dziejach, w którym Wielopolski mógł odzyskać dobrą w kraju opinią, byle się tylko o to chciał był postarać. Mówiliśmy, że tę, a powiedzmy, jedną z najważniejszych stron walki zaniedbał umyślnie czy przypadkowo, na swoją niestety! i kraju szkodę. Dramat odbywał się za kulisami, gdzieś, w oddalonej głębi obrazu, przysłoniony nieprzejrzaną mgłą, i widzowie nic o tem nie wiedzieli; aktorzy ukazywali się na scenie, jak zawsze, z uśmiechniętem obliczem i rolą dobrze wyuczoną. Głuche, niepewne, niejasne, a ztąd budzące w słuchaczach wątpliwość, wieści nie mogły nic zdziałać na korzyść Wielopolskiego.

Tymczasem, gdy się to wszystko odbywało w górnych sferach wielkich tego świata, gdy się tam toczyły niekrwawe, niemniej przeto pełne trupów i ruin walki, w szarych masach społeczności polskiej, wulkan namiętności politycznych wciąż dymił i huczał. Przez jakiś czas zdawało się, pozornie przynajmniej, że rozchodzące się coraz bardziej fale wzburzenia powszechnego kurczą się, i z braku nowej siły, któraby je pchnęła, nikną i rozpływają się wśród powszedniości życia codziennego. Warszawa widocznie cichła, śpiewy patryotyczne po kościołach coraz mniej dawały się słyszeć. Nawet w czasie nabożeństw uroczystych, przypadających w dniu 16 lipca, na Matkę Boską Szkaplerzną, nigdzie, w żadnym kościele nie rozległo się rozrzewniające zawsze: „Boże, coś Polskę“ [1]). Hymn ten, jak wiemy, nie dał się słyszeć także na nabożeństwie za Czartoryskiego, które było niejako najodpowiedniejszą i najwłaściwszą dla niego sceną. To też Suchozanet dono-

[1]) *Chrulew* w swym „Dniewniku“, dwie, dość zresztą racyonalne, podaje przyczyny tego nagłego uspokojenia się ulicy: najprzód ogólne wycieńczenie materyalne i fizyczne, a potem upadek nadziei w tej partyi, która usiłowała dokonać rewolucyi w kraju przy współudziale ludu. „Obecnie, mówi on, partya ta, jak się zdaje, rozczarowała się w swych nadziejach; przynajmniej wiadomo z jej własnych obliczeń, że zaledwie $^1/_8$ część ludności miejskiej może być pociągniętą do ruchu w kierunku narodowym; pozostała zaś

sił o tem z dumą cesarzowi. „Porządek, pisał, i spokojność widocznie utrwala się, i tuszę sobie, że to pochodzi z przekonania o jego potrzebie i korzyści“. Cesarz ze swej strony cieszył się z tego. „Depesze wasze radują mię, odpowiadał, oby Bóg dał, żeby to było początkiem lepszych dni“. Niestety! wszystko to były tylko złudzenia. Zdziecinniały Sezostrys nie umiał już patrzeć, i nie widział, jak pod powierzchnią spokojną wszystko drży, wre i kipi, że było to tylko chwilowe wstrzymanie oddechu, skupienie sił, by przy lada sposobności wybuchnąć z większą i potężniejszą mocą. Zresztą policya w tej dobie nie była już bez pewnych danych, dotyczących spisku. W ostatnich dniach lipca udało się ajentowi policyjnemu podejść niejakiego Małachowskiego, kancelistę sądu apelacyjnego i dziesiętnika w organizacyi rewolucyjnej. Od niego dowiedziano się w głównych zarysach o niektórych szczegółach tej organizacyi [1]), o czem był złożony raport namiestnikowi.

masa, nietylko że nie jest przesiąkniętą tym duchem, ale nawet daleką jest od wszelkiego zbliżenia się do szlachty, a w niektórych miejscach zauważono stanowczą wierność włościan dla cesarza, za którego zdrowie i powodzenie włościanie bardzo często dają pieniądze na msze święte“.

[1]) Oto jak o tej organizacyi mówi *Chrulew* w cytowanym „Dniewniku“. „Nie ulega wątpliwości, że: 1) istnieje w rzeczy samej, nie wiadomo tylko gdzie, towarzystwo, kierujące wszystkiemi teraźniejszemi działaniami podburzającemi. Towarzystwo to, ze względu na ogromną liczbę swych członków, nie jest żadnym komitetem, ale prostym spiskiem, uorganizowanym w sposób prawidłowy; 2) że towarzystwo rzeczone, zostające pod zarządem jednego naczelnika, dzieli się na trzy stopnie, a mianowicie: 1-szy stopień, stu ludzi, którzy są w stósunkach bezpośrednich z kierownikiem towarzystwa: 2-gi stopień, niższy, tysiąc osób, które otrzymują rozkazy od rzeczonych stu ludzi, z których każdy ma pod swym zarządem po dziesięciu spiskowców. Dziesiątki te nawzajem nie wiedzą o sobie, a tylko znają się między sobą członkowie jednego i tego samego dziesiątka; ale członkowie, należący do różnych dziesiątek, stanowczo nie znają ani onych wyżej wspomnianych stu ludzi, a tym więcej kierownika naczelnego. Stopień 3-ci, najniższy z kolei, liczy 10.000 ludzi, będących w takichże stósunkach i w takich samych warunkach względem stopnia 2-go, w jakich ten ostatni znajduje się

Wiedział on zatem doskonale, jakie tajne pioruny kują się gdzieś pod ziemią przeciw rządowi, i wobec tego słowa jego o „utrwaleniu się porządku i spokojności“ były wprost kłamstwem. Zaraz też miał się przekonać niefortunny zwiastun „lepszych dni“, które wcale nie miały już nastąpić, że jeżeli tłumy, motłoch, ulica jednem słowem, była spokojną, to za to zarzewie rewolucyjne nurtowało głęboko, nurtowało tam, gdzie go się najmniej było można spodziewać.

Z powodu dokonanego zamachu na życie króla pruskiego dnia 14 lipca w Baden-Baden, przez studenta Oskara Beckera, konsul pruski zamówił nabożeństwo dziękczynne w kirsze luterskiej na dzień 25-go lipca, i zaprosił na nie Suchozaneta. Z początku ten ostatni, nie uważając konsula za osobistość o „charakterze dyplomatycznym“, mnie-

---

do stopnia pierwszego. Tym sposobem, przy najusilniejszych nawet staraniach, niepodobna prawie wykryć odrazu całego stowarzyszenia, ale należy koniecznie poszukiwać każdą nieomal dziesiątkę. — Główną, za prawidło niejako przyjętą zasadą rzeczonego towarzystwa jest to, że na członków przyjmują tylko młodych ludzi. Rozkazy roznosi jeden członek wyższego dziesiątka, i wręcza je każdej z osobna dziesiątce niższego stopnia. Ile właściwie dziesiątek, setek i tysięcy, znajduje się w Warszawie, trudno wiedzieć; wiadomo tylko, że nawet jednej i tej samej dziesiątce rozkazy komunikują się w różnych punktach miasta, i tak np. w przeszły wtorek, dnia 23 lipca wręczono dziesiątce rozkaz (jaki, niewiadomo) w rozwalinach browaru za rogatką Wolską, na Czystem. Wszystkie te szczegóły otrzymałem za pośrednictwem jednego z ajentów od niejakiego Małachowskiego, który należy do stopnia 2-go spisku, a zatem ma pod swym zarządem dziesięciu ludzi. Członkowie stopnia trzeciego nic nie wiedzą o spisku, ani nawet o jego składzie, gdy tymczasem członkowie stopnia drugiego wtajemniczeni są w niektóre, jakkolwiek niewielkie szczegóły. Jak dalece zaś członkowie uparcie ukrywają swą tajemnicę, świadczy to, że ajent wydziału tajnego (sekretnago otdielenia), zaledwie po czteromiesięcznych, usilnych zabiegach, zdołał od Małachowskiego wydobyć powyższe, drobne wiadomości, zawiązawszy z nim stosunki bardzo blizkie, prawie przyjacielskie“.

Jak widzimy z tego, policya a za nią rząd, już w końcu lipca 1861 roku, miał mniej więcej dokładne wiadomości o organizującym się spisku.

mał, że nie ma on prawa czynienia takich zaprosin i postanowił sam nie znajdować się na tem nabożeństwie, a posłać tylko jenerał-gubernatora warszawskiego i swoich adjutantów. Wszelako wahał się i pytał cesarza, jak ma postąpić. Cesarz odpowiedział: „przyzwoiciej będzie, gdy pan sam pójdziesz". Wskutek tego namiestnik zawiadomił wszystkich dygnitarzy o mającem się odbyć nabożeństwie, tymczasem w kirsze nikogo z Polaków nie było, oprócz Enocha i Karnickiego, a z urzędników cywilnych tylko Funduklej i Masson, których w żadnym razie do Polaków zaliczyć nie można było. Namiestnik, otoczony sztabem licznym i błyszczącym, mnóstwo jenerałów i pułkowników zapełniało świątynię, a po nabożeństwie Suchozanet zaprosił na obiad konsula z jego pomocnikiem, oraz czterech wymienionych dygnitarzy cywilnych, pił zdrowie króla „jako przyjaciela i wuja naszego najmiłościwszego monarchy".

Jakkolwiek cesarz zganił nieobecność Polaków na nabożeństwie dnia 25-go lipca [1]), wszelako należało się tego spodziewać. Pominąwszy już, że były to czasy, w których każdy Polak uważałby za uchybienie swym uczuciom patryotycznym, gdyby modlił się za jednego ze swych wrogów, to stanowisko Prus i ich rządu, wobec wypadków, rozgrywających się w Królestwie, było tak nieprzyjazne, że oburzenie ogólne wywoływało przeciw temu sąsiadowi, zawsze zdradzieckiemu i zawsze nam szkodzącemu. Od początku bowiem zbudzenia się umysłów w Kongresówce, wobec polityki łagodności i zapomnienia uraz dawnych, zainaugurowanej przez Aleksandra II., Prusy nie przestawały ostrzegać przed niebezpieczeństwem, grożącem jakoby Rosyi z powodu stanu umysłów w Polsce, a przesadzając to niebezpieczeństwo rozmyślnie, utrzymywały jeszcze między rokiem 1856 a 1859, że w Królestwie istnieje spisek szeroko rozgałęziony, co oczywistym było fałszem, a czego

[1]) Depesza z dnia 26 lipca: „nieobecności Polaków na ceremonii dnia 13 (25) nie mogę pochwalić".

celem namacalnym było to, by między Polską i Rosyą nigdy nie przyszło do kompromisu, którego skutki mogłyby się z czasem okazać groźnymi dla Prus. Dla poparcia swych twierdzeń rząd pruski za pośrednictwem dyrektora policyi w Poznaniu, Baerensprunga, urządził znany nam już spisek, tak zwycięzko odsłonięty przez Niegolewskiego. A jakkolwiek intryga ta się nie udała, rząd pruski, znajdując niestety! usprawiedliwienie swych domagań się w zaburzeniach warszawskich, nie przestawał ani na chwilę brać żywego udziału, przejętego sztucznem współczuciem, w kłopotach rosyjskich z Polską, i nie szczędził w Petersburgu ostrzeżeń i rad. Wysyłając z jednej strony ajentów tajnych do Warszawy, którzy mieli podburzać ludność do wystąpień gwałtownych, a nawet do ujęcia za broń, z drugiej strony Prusacy nieustannie podmawiali gabinet petersburski do chwycenia się środków surowej represyi względem Polaków, do zgniecenia przemocą ruchu. Utrzymywali oni uparcie, że polityka ustępstw i łagodności do niczego nie doprowadzi, że w ruchu polskim najmniejszą gra rolę istotny patryotyzm polski, poczucie potrzeby życia na podstawach narodowych, ale raczej idee rewolucyjne wszecheuropejskie; że wreszcie ruch ten w większej części jest wynikiem wpływów obcych, jest owocem intrygi, niezmiernie zręcznie obmyślanej i prowadzonej przez Francyą, grającą głośno rolę przyjaciela Rosyi, a skrycie podburzającą Polaków przeciw temu przyjacielowi. Sam król Wilhelm, o wiele starszy od cesarza Aleksandra, którego był wujem, nie zawahał się użyć swego wpływu osobistego na miękki i wrażliwy umysł cara, by go zmusić do środków „surowości zbawiennej“. Na szczęście, to podburzanie, zaiste! niegodne wielkiego mocarstwa, za jakie Prusy wtedy już uchodzić chciały, nie miało teraz skutku. Oskarżanie Francyi, której „stosunek serdecznego porozumienia“ z Rosyą, widzieliśmy już, że przestraszał Anglią i zmuszał ją do wylewania łez krokodylich nad losem Polski, miało odnośnie do Prus to samo źródło. Prusom tak samo jak i Anglii szło o zerwanie tego „serdecznego

porozumienia"; nie mogąc jednak przyjąć postawy ubolewającej wobec nieszczęść Polski, bo temu by nikt nie uwierzył, słały denuncyacye tajne do Petersburga, twierdząc, że źródło rozruchów polskich leży w intrydze francuskiej. Był to pomysł dość niezgrabny i nie wywarł wrażenia w stolicy caratu; cesarz Aleksander był jeszcze w peryodzie usposobień liberalnych, jeszcze ulegał ich wpływom dobroczynnym, i pragnąc stłumienia ruchu, nie chciał jednak zmieniać swej polityki dotychczasowej względem Polski.

Cała ta działalność podziemna i nie zawsze zgodna z zasadami najprostszej moralności nie mogła być tak skrycie prowadzona, by z niej to i owo nie przenikało do wiadomości ogółu polskiego. Do starej nienawiści rasowej przeciw Niemcom w ogólności, a w szczególności przeciw Prusom, temu słudze wczorajszemu, który z Iwana urósł na pana kosztem polskim, przyłączyło się teraz słuszne oburzenie przeciw zdradzieckiej, niegodnej polityce pruskiej. Było to więc za wiele wymagać od Polaków, by w dobie podniecenia wszystkich uczuć patryotycznych do niezmiernie wysokiej temperatury, chodzili do kirchy luterskiej i dziękowali Bogu za to, że kula minęła króla pruskiego! Tego nawet ludzie, najnieprzyjaźniejsi rozruchom zrobićby nie mogli i nie chcieli. W każdym razie świadczyło to o stanie umysłów nawet sfer urzędniczych wyższych w kraju.

Zresztą Suchozanet przekonać się miał nietylko na sprawie nabożeństwa w kirsze luterskiej, że usposobienie rewolucyjne w kraju w niczem się nie zmieniło i temperatura jego wcale się nie obniżyła. Umysły były podniecone niesłychanie, ludność nerwowo podrażniona. W dniu 23 lipca, w jednej z uliczek nad Wisłą, z kłótni zwyczajnej między dwoma szewcami pijanymi wszczęło się zamięszanie tak wielkie, zbiegowisko było tak znaczne a policya przy tej sposobności uległa tak silnemu poturbowaniu, że musiano sprowadzić aż całą kompanią piechoty dla uspokojenia wzburzenia, rozpędzenia tłumu i przyaresztо-

wania nieposłusznych. Były to bądź co bądź symptomata bardzo złe, wskazujące, że lada wypadek, pierwsza lepsza niezręczność władzy może wywołać katastrofę, niemniej straszną i krwawą, jak w dniach kwietniowych. Porządek publiczny jednem słowem wisiał na włosku, i tak jak nad Wisłą kłótnia dwóch szewców groziła poważną przygodą, tak gdzieindziej spór jakiej przekupki krzykliwej z policyantem mógł sprowadzić następstwa jak najgorsze. Jeżeli w czasie opłakanych rządów Sezostrysa rosyjskiego nie przyszło do takich wypadków, jakie zakończyły dni władzy Gorczakowa, to należy to zawdzięczać nie Rosyanom, którym z pewnością chęci nie brakowało, by dać ludności warszawskiej nową naukę krwawą, ani też usposobieniu tej ludności, ale poprostu uczniom szkolnym i studentom. Była to epoka rządów studenckich, *studentokracya,* jak ją nazywano w tej porze nieco z szyderska. Wprowadzeni w życie czynne jeszcze za czasów Delegacyi, mając teraz z powodu feryi mnóstwo chwil swobodnych, włóczyli się po ulicach i rozporządzali się na nich jak władza samoistna, której nikt opierać się nie śmiał. Nie sterowani przez nikogo, albo przez różne koła, które jednolitego, wytkniętego celu przed sobą nie miały, kierowali się pozostałemi resztkami zasad, wytworzonych przez Delegacyą, chcieli, by w Warszawie był spokój, by nie narażano się niepotrzebnie rządowi, nie dozwalali na kłótnie, zbiegowiska, awantury uliczne. Gdziekolwiek zebrała się większa gromadka ludzi, zjawiał się zaraz studencik i rozkazywał: „panowie, proszę się rozejść!“ i rozchodzono się z posłuszeństwem, zaprawdę zdumiewającem. To też dla cudzoziemców, zwiedzających w tej porze Warszawę, dla tych wreszcie, którzy niewtajemniczeni byli w położenie istotne rzeczy, to posłuszeństwo skinieniom smarkaczy wydawało się czemś tak niepojętem, że przypuszczano, iż poza tą studentokracyą stoi w rzeczy samej jakaś władza potężna, uorganizowana i na tyle silna, że rozkazy swych ajentów poprzeć może siłą. Tymczasem wiemy dobrze, że tak nie było; że organizowały się dziesiątki, setki, tworzyły różne

koła, rodziły się próby owładnięcia ruchem, ale władzy naczelnej jeszcze nie było. Stan ten był podobny do owego chaosu, w którym, według słów biblijnych, „ciemności były nad głębokościami“. Nikt jeszcze nie mógł przewidzieć, jakie ciało, jaki świat wyłoni się z tej mięszaniny materyi, rzuconej w przestrzeń dziejowych kolei. Teraz było to szarpanie się, mocowanie z rozstrzelającemi się cząstkami, chaos nieskończony i niezgłębiony, bawienie się w politykę wobec niemocy czynu, co Jurgens w swym języku dosadnym i obrazowym nazywał „onanizmem politycznym“.

Suchozanet tego wszystkiego nie widział. Dla niego wystarczało, gdy gdzieś, na jakiemś nabożeństwie zebrane stare kupcowe lub dewotki, należące do bractwa różańcowego, nie zaśpiewały „Boże, coś Polskę“, i twierdził, że to jest „objawem poczucia potrzeby i korzyści pokoju“. Kiedy we wtorek, dnia 6 sierpnia, wyruszyła obyczajem dorocznym olbrzymia, bo blizko 20.000 pątników licząca, kompania do Częstochowy na odpust, przypadający tam w dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, z kościoła Paulinów przy ulicy Nowomiejskiej, Suchozanet zjawił się tam konno w towarzystwie czerkiesów, by się jej przypatrzyć [1]). Pisał później, że „osobiście przekonał się o zupełnym porządku i braku wszelkich objawów politycznych“. Tymczasem wśród procesyi, odprowadzającej pątników do rogatki Wolskiej, znajdowały się wszystkie cechy warszawskie, niesiono olbrzymią chorągiew z orłem białym i złamanym krzyżem, jak również śpiewano „Boże, coś Polskę“. Albo więc nie spostrzegał tych objawów politycznych, albo ich spostrzegać nie chciał, i łudził siebie i swego pana.

Owszem robiąc w tym kierunku niefortunne próby, jak niepotrzebnie domagał się, by na nabożeństwie w kir-

[1]) W depeszy do cesarza z pewnym tonem samochwalstwa powiada, że ruszył bez eskorty, tylko z pułkownikiem Jefimowiczem, i że wolnym krokiem przejechał przez ciasne szeregi dwukrocstotysięcznego tłumu. Z relacyi naocznych i niepodejrzanych świadków nabyliśmy pewności, że był otoczony zwykłą sobie eskortą czerkiesów, która za nim postępowała.

sze znajdowali się Polacy, i naraził ich i siebie na kompromitujące fiasko, tak teraz, z powodu zbliżającej się uroczystości dworskiej imienin cesarzowej, postanowił przywrócić zwyczaj dawny, zaniedbany od czasu wypadków, że w dni takie zjeżdżali się do Zamku wszyscy wyżsi urzędnicy, przedstawiciele różnych sfer i stanów, i składali w ręce namiestnika swe życzenia. Próba była ryzykowna i niebezpieczna, gdyż przytrafić się bardzo łatwo w tych czasach gorących mogło, że nikt w Zamku się nie stawi, i takich prób człowiek rozumny i znający sztukę rządzenia nie robi tak ze względu na siebie, jak i na rządzonych. Ale Suchozanet był tak dalekim od tego rodzaju pojęć, jak dalekiem jest niebo od ziemi. Wydał więc rozporządzenie, ażeby na d. 3 sierpnia, na który przypadały wzmiankowane imieniny, o godz. $10^1/_2$ rano zjechali się do Zamku tak wojskowi jak i cywilni dla złożenia swych życzeń, a potem wysłuchania nabożeństwa uroczystego. Na szczęście, czy w skutek prostej ciekawości, czy z obawy, dość że owego dnia zjazd w Zamku był niezwykle liczny. Człowiek zręczny byłby może umiał skorzystać z tak pomyślnego udania się próby, w każdym razie okazywało się, że rząd nie jest pozbawiony wszelkich podstaw w kraju, że owszem znaleść może poparcie, byle się umiano do tego mądrze wziąć. Suchozanet z pewnem, jak na teraz zupełnie słusznem i usprawiedliwionem uczuciem dumy, przesyłając cesarzowi swe życzenia, przesyłał je zarazem od „dobrze myślących klas kraju“.

Taki wynik próby Suchozaneta oburzył mocno agitatorów, całą tę rojną rzeszę „studentokracyi“, która wprawdzie nie chciała wywoływać rozruchów ulicznych, ale wszelki objaw legalności uważała za zdradę kraju, i w odpowiedzi na zjazd zamkowy zamierzyła urządzić dotkliwą dla władzy manifestacyą. W pięć dni po uroczystości imienin cesarzowej przypadała inna uroczystość, rocznica jej urodzin, obchodzona d. 8 sierpnia, i agitatorzy postanowili z tego skorzystać, by dać poznać rządowi, że ustępować w niczem nie myślą. Po licznym, jak i pierwszym razem,

zjeździe przedstawicieli różnych klas w Zamku, rozpoczęło się zwykłe w takim dniu nabożeństwo w katedrze św. Jana. Celebrował je prałat Białobrzeski w obecności wszelako arcybiskupa Fijałkowskiego. Ale jeżeli w Zamku tłoczyły się tłumy błyszczące różnych dygnitarzy polskich i niepolskich, to tutaj w kościele świeciły pustki uderzające. Zauważono tylko dyrektora Komisyi skarbu Laskiego, wiceprezesa Banku Szemiota i sześciu niższych urzędników, zresztą nikogo więcej. Olbrzymia świątynia była próżna. W chwili, gdy celebrujący skończył nabożeństwo i na organach zagrano hymn „Boże cesarza chroń“, nagle gromadka, złożona może z pięćdziesięciu ludzi młodych, zbliżyła się do kraty, oddzielającej prezbiteryum, i zaśpiewała „Boże, coś Polskę“, głusząc zupełnie organ, zwłaszcza, że rozrzuceni zrzadka po kościele ludzie wtórować poczęli. Garści dygnitarzy i duchowieństwu nic nie pozostało innego, jak szybko opuścić kościół, co też i uskuteczniono. Wieczorem liczne, pojedyncze gromady, przeważnie młodzieży rzemieślniczej, wybijały kamieniami szyby w domach rządowych, lub mieszkaniach urzędników rosyjskich, gdyż ci tylko oświetlili swe okna, chociaż rozporządzenie oberpolicmajstra zapowiadało, że „w dniu tym mieszkańcy mogą uilluminować swe domy“. Na ulicy Miodowej przyszło nawet do małej awantury. Wybito tam szyby w oknach mieszkania jenerała Szepielowa i Kuźmina, oraz gromada „łobuzów“ poczęła wywracać i gasić kagańce, gorejące przed Rządem gubernialnym, mieszczącym się w owe czasy w prześlicznym i oryginalnym pałacu Paca. Przechodzący patrol schwytał jednego z takich gasicieli, a gdy lud tłumnie zbiegający się chciał go odbić z rąk wojska, przyszło do żwawego starcia, w którem dostało się kilku głowom zbyt gorącym lub zapalczywym. Wojsko kolbami rozpędziło zbiegowisko i przytrzymało siedmiu zuchwalszych czy oporniejszych.

Awantura ta, bo inaczej nazwać jej niepodobna, stała się powodem najrozmaitszych i najnieprawdopodobniejszych wieści, które rozprzestrzeniły się po mieście z szybkością

nadzwyczajną. Opowiadano sobie tedy, że w bójce tej zabili żołnierze niejakiego Antoniego Polaczka, pomocnika jeometry z Płocka. Na bramie domu Zajdlera, przed którym ta scena krwawa miała się odbyć, umieszczono nazajutrz plakatę z napisem: „tu Moskale zamordowali Polaczka o godzinie 10-tej wieczorem“, — a gdy tę policya zerwała, ukazała się zaraz inna tej treści: „Antoni Polaczek, pomocnik jeometry z Płocka, zginął śmiercią męczeńską, zamordowany przez żołnierzy moskiewskich“ [1]). Rzecz prosta, że

[1]) Mówiono także, że to nie Polaczek zginął, ale Rzączyński, kancelista rządu gubernialnego radomskiego. Rzączyński, jak się później pokazało, dostał wprawdzie kolbą w głowę, ale żył sobie potem długo jak najspokojniej. W sprawie tej oberpolicmajster Rozwadowski wydał d. 10 sierpnia odezwę następującą: „Dnia 8 sierpnia nieporządki wynikłe w kościele katedralnym św. Jana, oraz wieczorem tegoż dnia na głównych ulicach miasta przez gaszenie illuminacyi i rzucanie kamieniami do oświetlonych okien, tudzież niejednokrotnie powtarzane w następnym dniu zbiegowiska na ulicy Miodowej, spowodowane niedorzeczną pogłoską, jakoby przed jednym z domów tejże ulicy, a mianowicie Nr. 482, zabity został w nocy, w wigilią tegoż dnia przez wojsko, niejaki Antoni Polaczek, jeometra, na dowód czego pokazywano ślady krwi na murze, i że następnie ciało jego miano przenieść do Zamku, zmusiły zwierzchność do postawienia wojska na placach i przedsięwzięcia innych środków policyjnych dla zapobieżenia wszelkiemu nieporządkowi i zasłonięcia mieszkańców przed niesfornością niespokojnych ludzi. Co się tyczy mniemanego zabójstwa, jakoby spełnionego na osobie tegoż Polaczka, podaję do wiadomości, że nikt w dniu tym zabity nie został, i że tem samem pogłoska o przeniesieniu jakiegoś ciała do Zamku jest mylną. Po bliższem sprawdzeniu i objaśnieniu przez osobę, należącą do familii Polaczków, okazało się, iż wspomniany Antoni Polaczek pracował dawniej przy jeometrze w gubernii płockiej, obecnie zaś od lat dwóch pozostaje przy budowie drogi żelaznej petersbursko-warszawskiej pod Wilnem, i że w tych czasach nawet do Warszawy nie przybywał. Ma on dwóch braci: Jana, który jest jeometrą przy Komisyi rządowej przychodów i skarbu, i wyjechał dla robót pomiarowych w dobrach rządowych w gubernii płockiej, i Aleksandra, będącego buchalterem w fabryce rządowej machin na Solcu, nateraz w mieście tutejszym przebywającego. W końcu, widzę potrzebę nadmienić, że ślady krwi, o których powyżej była mowa, powstały z następującej przyczyny: wieczorem tegoż dnia, przytrzy-

tłumy się zbiegały, pokazywano sobie nawet ślady krwi, roztkliwiano się, kobiety płakały, mężczyzni przeklinali Moskali, ale władza miała się na baczności, liczne patrole rozpędzały natychmiast zbiegowiska. Suchozanet zresztą zgniewany, a może przerażony wzrastającą falą wzburzenia, tegoż jeszcze d. 9 sierpnia, „dla stłumienia nieporządków ulicznych i zapobieżenia demonstracyom zapowiadanym“, rozkazał wojsku rozłożyć obozowiska na ulicach i placach. Znowu więc Warszawa przybrała ten wygląd dziwny, jakby szturmem była wzięta, znowu patrzyć musiano na sceny życia żołnierskiego, nie zawsze z przyzwoitością publiczną zgodne.

Ale agitatorzy, próżniacząca się młodzież szkolna i rzemieślnicza przywykła już do tego; ich to ani dziwiło, ani przerażało. Obecność wojsk na placach miejskich w niczem nie zmieniała zasadniczego sposobu rządzenia krajem. Tu i owdzie schwytano jakiegoś śmiałka na ulicy, nie dozwalano na zbiegowiska, ale nikomu z tych małych kacyków, siedzących na Zamku warszawskim nie przyszło do głowy zajrzeć do wnętrza i zbadać źródło choroby. Trąd więc rozchodził się powoli i toczył biedne, schorowane ciało polskie. Nieposzanowanie władzy i jej rozkazów przechodziło wszelkie granice. Dnia 5 sierpnia policyant zatrzymał w ogrodzie Saskim chłopca, który publicznie sprzedawał zeszyty litografowane hymnów kościelno-patryotycznych. Na krzyk aresztowanego, zbiegła się publiczność, rzuciła się na policyanta, pobiła go, poszarpała na nim ubranie i chłopca oswobodziła. Tego rodzaju fakta przytrafiały się nieomal codziennie i nawet przestano na nie zwracać uwagę.

W Lublinie w d. 8 sierpnia mnóstwo młodzieży szkol-

---

many został niejaki Maurycy Rzączyński, były kancelista rządu gubernialnego radomskiego, za usiłowanie odbicia aresztowanego, i tenże w szamotaniu się, przyparty będąc do bramy domu wyżej wskazanego, uderzony został kolbą w głowę, lecz stan jego nie zagraża najmniejszem niebezpieczeństwem i obecnie pozostaje w szpitalu Ujazdowskim na kuracyi. Warszawa d. 10 sierpnia 1861 r. Pułkownik Rozwadowski“.

nej i rzemieślniczej, podzieliwszy się na osobne partye, gasiły palącą się na ulicach illuminacyą i wybijały szyby w domach oświeconych. Kilkunastu z pomiędzy nich aresztowano, i zgodnie z nowymi przepisami oddano sądowi cywilnemu do ukarania. Sprawa się wlokła długo i dopiero w styczniu 1862 r. została rozstrzygniętą, dając jeden więcej dowód, że sądy polskie nie potrafiły ani na chwilę wznieść się na wysokość swego zadania. Oskarżeni wszyscy zostali uwolnieni z motywami, że gaszeniu palących się kagańców winne były patrole wojskowe, zbyt gwałtownie rozpędzające publiczność! Smutne czasy, gdy godność magistratur społecznych musi się poniżać do takich wybiegów dla zadośćuczynienia chwilowym namiętnościom politycznym! [1]).

Jednakże, w tem szarem monotonnem morzu wszelkiego rodzaju swawoli ulicznej, wstrząsającej porządek publiczny, pojawiały się od czasu do czasu fakta świadczące, że zdrowe, rzeźwe, lepsze myśli i idee się rodzą, i są niejako dowodem nieprzepartej żywotności narodu. Obudził się silny prąd w kraju całym zakładania szkółek wiejskich, jakkolwiek ruch ten był zbyt gwałtowny, zbyt gorączkowy, by w długotrwałość jego wierzyć można było. Prasa żarliwie popierała te dobre zamiary. „Gazeta polska“ nagląco nastawała na to, by uposażono lepiej nauczycieli wiejskich, którzy wśród pracy ciężkiej i mozolnej wiedli życie nędzne i pełne prywacyi wszelkiego rodzaju. Najwyższa pensya takiego nauczyciela nie przekraczała 2.000 złp. a były miejsca, w których wynosiła zaledwie 500 złp. [2]). Dla tego też

[1]) Rożnow w tym czasie w Płocku oddał do wojska, bez uciekania się do pomocy sądów cywilnych, niejakiego Wolskiego, kancelistę sądu poprawczego, za śpiewanie hymnów patryotycznych w dzień imienin cesarzowej. Było to nadużycie, ale czyż źródło tego nadużycia nie leżało w nas samych? Gdyby sądy krajowe zrozumiały były myśl Wielopolskiego, takie nadużycia nie mogłyby się przytrafiać, a przynajmniej wina ich nie leżałaby na ówczesnem społeczeństwie polskiem.

[2]) Szkółek elementarnych, tak rządowych jak i prywatnych w r. 1861 było w Królestwie polskiem w ogólności 1391. W Radzy-,

na nauczycieli wiejskich szli ludzie, którzy do niczego innego nie byli zdatni, istne odpadki społeczne, czego rezultatem był opłakany ze wszech miar stan ten jednej z najważniejszych instytucyi publicznych. Naglącą, pierwszorzędną nieomal potrzebą było zreformowanie i lepsze uposażenie tych najgłówniejszych rozsadników oświaty.

Niemniej silnie rozwijał się dalej prąd braterstwa z żydami, owa chęć gorąca a zwodnicza niestety! zrobienia z nich „Polaków wyznania mojżeszowego“. Prasa skrzętnie notowała wszelkie, choćby najdrobniejsze fakta, potwierdzające to mniemane zlanie się dwóch stanowczo różnych ras. Podnoszono, z właściwą tej opoce przesadą do wyżyn znaczenia pierwszorzędnego dla losów kraju, fakt tak drobny jak to, że w Łodzi zgromadzenie kupieckie, udzielające corocznie wsparcie podupadłym kupcom chrześcijańskim, w tym roku udzieliło je także kupcom żydowskim; że we Włocławku żydzi „na pamiątkę aktu pojednania z Chrześcijanami“, zebrali między sobą fundusz dla jednego studenta mającej się założyć Szkoły Głównej; że w Piotrkowie wybrano na jednego z dyrektorów resursy żyda Bonawenturę (sic) Toeplitza, na członków zaś pięciu żydów [1]); że wkrótce Kowno poszło za tym przykładem. W Warszawie obywatele chrześcijańscy, „wiedzeni szlachetną chę-

minie pod Warszawą, nauczyciel brał rocznie rs. 270 bez mieszkania; w Kaliszu rs. 195, a dwóch innych po rs. 150. Tyleż pobierali nauczyciele w Koninie, Pyzdrach, Brześciu kujawskim, Przedeczu, Wieluniu. W Częstochowie płaca jego wynosiła rs. 180. Wszyscy mieli maleńkie ordynarye i ogrody. W Lgocie Koziegłowskiej (w Radomskiem) brał 300 rs., tyleż w Radomiu, Szydłowcu. W Stopnicy nie brał nawet półtorasta rubli. W Hrubieszowie, Lublinie, Włostowicach, Elżbietonie, Siedlcach, Janowie Ordynackim od 140 do 200 rs. W Międzyrzeczu tylko 75 rs. z dodatkiem w naturze, wynoszącym może drugie tyle. W Kalwaryi (Augustowskie) rs. 130; w Suwałkach rs. 213, w Augustowie rs. 195; w Szczuczynie i Wyłkowyszkach po rs. 150. (Z urzędowych danych).

[1]) Nazwiska ich z entuzyazmem ogłosiły gazety warszawskie na wieczną rzeczy pamiątkę. Wybrano: Jakóba Rosenberga, Meszułem Horowicza, Michała Michelsona, D. L. Markowicza i Jakóba Luxa.

cią niesienia pomocy swoim współmieszkańcom żydowskim", przesłali dozorowi bożniczemu złp. 3.205 gr. 11, dla rozdania między ubogich żydów z okazyi zbliżających się świąt jesiennych. W Żychlinie, miasteczku w Kutnowskiem, w sierpniu założono kamień węgielny pod bożnicę, i była to dla miasta, jak opiewa relacya współczesna, „rzadka uroczystość, bo duch zgody i jedności, łączący nas tak silnie, nanowo podczas tej uroczystości się okazał". Wszyscy bowiem mieszkańcy miasteczka zebrali się na placu, pod przewodnictwem rabinów. Na uczcie, z powodu tego wydanej, zięć dziedziczki miejscowoj, literatki Seweryny z Żochowskich Prussakowej, wniósł toast za szczęśliwe ukończenie zaczętej świątyni, mającej być miejscem zgody i miłości i jaśnieć blaskiem sąsiednich świątyń chrześcijańskich". Żydzi w zamian urządzili między sobą składkę na założenie ochrony dla dzieci chrześcijańskich. I wszystko to, te zakładania bóżnic, te składki, te toasty, działy się zaledwie w parę lat potem, gdy w poblizkim Turku zburzono żydowską bóżnicę! Jakiż zwrot nagły i właśnie dla tego budzący wątpliwość w swą trwałość.

Ale nie poprzestano na tem. Opowiadano sobie, powtarzano chętnie mnóstwo historyi na temat owego braterstwa, historyi zawsze zabarwionych sentymentalizmem epoki, a dowodzących niby wyraźnie, jakie postępy robi idea wzajemnej miłości „dzieci jednej ziemi" [1]). Niejaka

[1]) „Na mokotowskiej szosie, donosi „Kuryer warszawski" z d. 16 września, posiwiały już nieco izraelita, tłukący ciągle pod skwarem słońca kamienie, zbliżył się w tych dniach do ks. Mikulskiego, przechodzącego tą drogą, i wyjąwszy hebanowy krzyżyk, na którym była korona cierniowa ze srebra, rzekł: „to wasza świętość, ktoś pewno z przejeżdżających zgubił, tobie ją jako kapłanowi oddaję". Ksiądz Mikulski chciał go wynagrodzić, ale uczciwy izraelita nie przyjął datku, dodając: „spełniony pobożnie obowiązek Bóg tylko wynagradza". Na tę odpowiedź kapłan z całem uniesieniem ścisnął spracowaną dłoń izraelity i wiadomość o tem udzielił redaktorowi „Jutrzenki", panu Neufeld, w liście, który tenże redaktor wydrukował. Ze względu przeto na ogłoszenie już o tem w „Jutrzence" moglibyśmy rzecz tę pominąć, lecz treść jej tak nam zdała się być

Rozalia z Felixów M., oczywiście żydówka, wydrukowała w tym czasie książkę p. t. „Modlitwy dla polek mojżeszowego wyznania“, a inny żyd, Daniel Neufeld, dla popierania tego braterstwa, począł od lipca wydawać tygodnik p. t. „Jutrzenka“, brzmiący ciągle aż do znudzenia tym ckliwym tonem nienaruszonej niczem miłości dwóch ras, miłości sztucznej i afektowanej. Pismo to, jakkolwiek nieosobliwie redagowane i niepoparte prawie wcale przez masy żydostwa, które nie myślały porzucać długich stroi i krzywo patrzały na owe umizgi żydów ucywilizowanych do chrześcijan, nie było jednak bez wpływu. Prasa polska z entuzyazmem witała pojawienie się „Jutrzenki“. Kraszewski pisał: „Jutrzenka jest pierwszem pismem redagowanem z tą myślą i w tym celu, by z ludzi wydzielonych, a często dobrowolnie wydzielających się ze społeczeństwa, uczynić obywateli kraju na równi z nami pracujących około jego dobra. Wiemy, że stan dotychczasowy w wielkiej części był spowodowanym przez samą naszą społeczność, że wiele było jej winy, ale, mówmy prawdę, wiele i z drugiej strony rzeczy przyczyniało się do tego. Różnice stroju, obyczaju, mowy, wyróżnianie się umyślne uwieczniało rozbrat nieszczęśliwy; potrzeba zwrócić naprzód na to usiłowanie i baczność całą, abyśmy jednym mówili językiem, nie różnili się ubiorem i powierzchownością, nie odstrychali tam, gdzie wspólne interesa ogółu powołują. Z obu stron potrzeba usiłowań ku temu, nie wątpimy o skutkach, wi-

ważną, że pragnęlibyśmy ją jak najbardziej upowszechnić. W tem bowiem poszanowaniu świętości naszej przez izraelitę, i to walczącego jeszcze z niedostatkiem, bo wykuwającego młotem kęs chleba z kamienia; w tem oddaniu tejże świętości kapłanowi naszemu, i w tem nakoniec zrzeczeniu się zysku dla dopełnienia cnoty chrześcijańskiej, widzimy cechę wielkiej moralności!“ Niemniej wysoko podniosła prasa warszawska fakt następujący: Niejaki Berek Złotkowski, żyd, kupiec z miasteczka Liwa, zgubił złp. 4.800, które znalazła kobieta wiejska i oddała mu. Ucieszony Złotkowski, oprócz wynagrodzenia znalazczyni, dał pewną kwotę na kościół w Liwie, za którą proboszcz kupił monstrancyą.

dząc jak szczere i gorące są chęci izraelitów naszych; tą drogą niezmordowanie iść dalej potrzeba i pracować".

Ale jeżeli „Jutrzenka" witana była z entuzyazmem i takie na niej pokładano nadzieje, jeżeli pojawienie się jej nie pozostało bez pewnego wrażenia, o ileż silniejsze, głębsze wrażenie wywarło ukazanie się tajnego pisma rewolucyjnego. Już oddawna niektóre grupy młodzieży nosiły się z myślą użycia do propagandy tak potężnego środka, jakim jest dziennik. Przedstawiało to jednak z początku niepokonane prawie trudności. Przy bardzo pilnym dozorze, jakiemu zawsze pod cenzurą ulegały drukarnie, które musiały składać wzory swych czcionek w zarządzie tejże cenzury, odbijanie gazety tajemnej w którejkolwiek z istniejących w Warszawie drukarni było niemożliwem, jeżeli tak samego zakładu, jak i jego właściciela nie chciano narazić na odpowiedzialność surową. Dla tego też trzeba było istotnie heroicznych wysiłków, istotnego poświęcenia na to, by drukować plakaty i odezwy. Potrafiono jednak to robić, dzięki temu wysoko nastrojonemu patryotyzmowi, jaki ogarniał wszystkie sfery mieszkańców Warszawy. Wszelako o wiele łatwiej było odbić jakąś ulotną, jednorazową odezwę lub wezwanie, niż drukować stale gazetę, która przez to samo, że mogła większy wpływ wywierać, baczniejszą też na siebie zwracać musiała uwagę władz rosyjskich i pobudzać je do wyszukania drukarni, która ośmieliła się ją odbijać. Mimo to wszystko jednak, dzięki inicyatywie i zabiegom znanego nam już Franciszka Godlewskiego i Sochaczewskiego, ucznia szkoły sztuk pięknych, rzecz ta teraz, w początkach sierpnia, przyszła do skutku. Urządzeniem drukarni osobnej zajęli się niezmordowani w spiskach bracia Frankowscy i Sochaczewski. Czcionki pozbierano z różnych drukarń, z „Gazety polskiej" i z drukarni Cottiego, później nawet, jak się zdaje, sprowadzono z zagranicy małą praskę ręczną. Tak urządzoną drukarnię umieszczono na ulicy Chmielnej, w domu nr. 1530, podówczas należącym do Maciejowskiego, i tam zecer Józef Szumań-

ski [1]) odbijał szczotką pierwsze numera gazety. Nosiła ona miano „Strażnicy“, że niby stała na straży prawidłowego rozwoju uczuć patryotycznych i strzedz je miała przeciw wszelkim skrzywieniom. W późniejszym czasie pisali głównie do niej Władysław Sabowski, Adolf Hennel (znany nam już z wydania „Książki zbiorowej“ dla Wójcickiego), Chmurzyński i inni. Wszystko to byli ludzie młodzi, dziennikarze trzeciorzędnego znaczenia, lub, jak Sabowski, początkujący dopiero pisarze. Frankowscy na koszta wydawnictwa łożyli, co mogli. Żyli lada czem, sami sobie obiady gotowali, by grosz oszczędzony w ten sposób obrócić na „Strażnicę“.

Samą gazetę stanowiła mała ćwiartka szarego papieru, zadrukowana na jednej stronie w dwie szpalty, z oznaczeniem na dole ceny za numer pojedynczy, która wynosiła gr. 15, i napisem: „w drukarni Strażnicy“. U góry, nad tytułem pomieszczony był herb Polski i Litwy, pod jedną wspólną koroną. Pierwszy numer ukazał się d. 6 sierpnia. Pojawienie się tej gazetki o żadnej prawie treści, drukowanej nędznie, bawiącej się w puste frazesa [2]), wywarło

---

[1]) O Szumańskim następujące szczegóły podaje *A. Giller* (Historya powst. nar. pol. II., 234): „Był to szlachetny wzór polskiego rzemieślnika: młody, utrzymywał swoją pracą kaleków rodziców. Narażał się na największe niebezpieczeństwo przez założenie pierwszej tajemnej drukarni w Warszawie, na której (drukarni oczywiście) szczotką odbijał „Strażnicę“. Bezinteresowny, oddany ojczyznie w zupełności“. W r. 1863 poszedł do powstania; ciężko ranny pod Budą Zaborowską, przewieziony do szpitala w Warszawie, umarł tamże. „Pamiątka dla rodzin polskich“ (Dodatek — 66) nie wie o tem wcale, że Szumański składał i drukował „Strażnicę“. Donosi tylko, że zmarłemu d. 19 marca 1863 sprawiono suty pogrzeb w Warszawie, na którym było przeszło 8.000 osób.

[2]) Artykuły w niej, zwłaszcza w numerach początkowych, zdradzały, że pisali je ludzie nie mający żadnego wyrobienia literackiego. Styl był dziadowski, po większej części brak wszelkiej myśli, a w dodatku ortografia (krew była stale przez jakiś czas pisana przez f, chrzczony przez sz) wołała o pomstę do Boga. To też wyższe słoje agitacyjne i spiskujące, taki Jurgens, Giller, Ruprecht, śmiali się z tej nędznej gazetki i nie przywiązywali do niej żadnej

wrażenie bardzo silne, już przez to samo, że w umysłach wielu ludzi, nieświadomych istotnego stanu rzeczy, budziło przekonanie, że istnieje jakaś władza tajna i dość potężna, kiedy ośmiela się na krok taki, jak wydawanie pod straszliwym uciskiem rosyjskim, gazety. A przytem, w naturze ludzkiej tkwi pociąg do wszystkiego, co jest tajemniczem; dość, że rzucono się skwapliwie do czytania tej gazetki, rozkupywano ją chciwie, i wywierała ona nader silny wpływ na rozwój dalszy tej gorączki, która wycieńczała i paliła organizm narodowy.

Podczas kiedy się to działo w Warszawie, kiedy z jednej strony bezrozumny wielkorządca pozorami surowości starał się stłumić ruch, a właściwie przyczyniał się tylko do jego wzrostu, na prowincyi, po dawnemu, raz rozkołysane fale wzburzenia powszechnego ani na chwilę się nie uspakajały. Kocie muzyki, śpiewy, stroje zakazane, żałoba, nabożeństwa, wloką się nieskończonym i jednostajnym łańcuchem zdarzeń. W Hrubieszowie, w początkach sierpnia, wyprawiono kocią muzykę naczelnikowi powiatu Bobakowskiemu, a jego samego pobito. Zwykle tego rodzaju awantury wywoływały śledztwo, prowadzone przez specyalnie na ten cel wydelegowanych z Warszawy jenerałów i kończące się zawsze na niczem. Do Hrubieszowa posłano jenerała Sewastyanowa, który zachowywał się dziko i samowolnie, podobnie jak Rudanowski w Suwałkach. W ogólności naczelnicy wojenni przybierali powoli ton satrapów, dopuszczali się wszelkiego rodzaju nadużyć i gwałtów, które zamiast tłumić ruch, owszem podsycały go mocniej. W Kielcach weszło w zwyczaj, że codzień wieczorem zbierano się licznie w kapliczce, zwanej „ogrójcem“, znajdującej się przy kolegiacie, i śpiewano hymny religijno-patryotyczne. Pewnego dnia, w Lipcu, dowódca garnizonu miej-

wagi, a jednak wywierała ona wpływ głęboki i silny mimo wszelkich swoich niedostatków i była chciwie czytaną. Dodać tu należy, że wiadomość podana przez K. Estreichera (Bibliografia polska XIX. stulecia, IV., 392), jakoby redaktorem „Strażnicy“ był Roman Zmorski, nie potwierdza się w żadnej z relacyi, jakie posiadamy.

scowego, pułkownik Zwierew, sprowadził na plac przed kościół muzykę, i podczas gdy tam śpiewano, ta grała skoczne tańce, a gdy to nie pomogło, kolbami rozpędził zbiegowisko. Żołnierze w ogólności byli mocno rozdrażnieni i przy każdej sposobności popuszczali wodze swym dzikim instynktom. Wszelkie ich nadużycia roznoszone natychmiast przez wieść stugębną, przesadzane i pomnażane dodatkami różnymi w barwach zawsze jaskrawych, wywoływały zgrozę i oburzenie nawet w ludziach najspokojniejszych i popychały ich niejako do wzięcia udziału w ruchu. W wielu razach przyczyniała się do tego zdumiewająca zaiste niekonsekwencya władz rosyjskich.

Jenerał-gubernator wileński, znany nam już Nazimow, równie ograniczony jak Suchozanet, wybrał się w lipcu na objazd Grodzieńskiego, gdzie z powodu sąsiedztwa z Królestwem ruch rewolucyjny się wzmagał. Przez Lidę, Słonim, po szosie Brzesko-Bobrujskiej, udał się najprzód do Brześcia Litewskiego, a z powrotem przez Wysokie Litewskie, Białystok i Grodno. We wszystkich miastach i stacyach pocztowych oczekiwali nań spędzeni z okolicy chłopi, do których jenerał rosyjski wszędzie przemawiał i wszędzie jednakowo, gdyż, jak się zdaje, wyuczył się na pamięć swej mowy i powtarzał ją stereotypowo. Mowy te miały charakter podburzający lud wiejski litewski i ruski przeciw szlachcie polskiej. Z każdego słowa widocznem było, że rząd chce groźbą rzezi zmusić poczynającą się burzyć szlachtę do spokoju i posłuszeństwa. Już na pierwszej od Wilna stacyi, w Jedlnie, mówił Nazimow, że chłopi byli przez 300 lat pod rządem, który ich gnębił, że dopiero panowanie rosyjskie ich uwolniło; że powinni być wdzięczni cesarzowi za udarowanie ich wolnością, której nie mieli za władzy królów polskich; że nawet teraz szlachta śpiewa pieśni nabożne, by Bóg jej raczył wrócić pańszczyznę. Chłopi wszędzie słuchali tego, i złe ziarno, rzucane w bujną glebę ciemnych umysłów, tu i owdzie wydawało swe opłakane owoce. Chłopi, zaraz prawie po tej podróży najwyższego naczelnika prowincyi,

w wielu miejscach odmówili dworom posłuszeństwa i nie chcieli robić. Szlachta swoim, godnym jak najsurowszego potępienia, zwyczajem, odwoływała się o pomoc do władz. Nazimow wysyłał wówczas kozaków, którzy biciem i rabunkiem przywracali porządek. Liczne, choć sporadyczne tego rodzaju „bunty“, jak je zwano w języku urzędowym, przytrafiały się teraz w brzeskiem, białostockiem i słonimskiem, i wszystkie ciężką dłonią kozacką były uśmierzone [1]). Była to oczywiście ze strony Nazimowa, a głównie rządu rosyjskiego, gruba niekonsekwencya; nie trzeba było jeździć i głosić chłopom mówek podburzających, a potem nie katować ich za to, że mówki te w czyn wprowadzali. Taką niekonsekwencyą, taką polityką chwiejną i zmieniającą się co chwila, odznaczał się wtedy cały rząd rosyjski, począwszy od głów najwyższych w Petersburgu, a skończywszy na pierwszym lepszym kacyku-poruczniku w Lututowie lub w Rypinie.

Pod tym względem władze rosyjskie winny były brać wzór z rządu austryjackiego. Ten umiał zawsze przez energiczne, odpowiednie i we właściwej chwili użyte wystąpienie, zapobiedz wszelkim wypadkom groźniejszym. Dlatego też ruch w Galicyi, choć nie brakło potemu usiłowań, był tylko sporadyczny, cząstkowy, sztuczny nieomal, i nie miał nigdy ciągłości i tego charakteru upartego, jakim się odznaczał w Królestwie. W Szczawnicy, w czasie pory kąpielowej w lipcu, gdy się zjechało wiele osób z Królestwa, poczęto w kaplicy miejscowej co dzień wieczór śpiewać „Boże, coś Polskę“. Władza tamtejsza, a mianowicie naczelnik obwodu Sandeckiego, nie wahając się ani chwili kazał zamknąć kaplicę, i w ogłoszeniu mówiąc o hymnie rzeczonym wyraził się, że „pieśń ta nie należy do pieśni kościelnych, a śpiewanie jej jedynie demonstracyą narodową ma na celu“. Za to wystąpienie energiczne

[1]) Smutną pod tym względem sławę ze swych okrucieństw, jakich się dopuszczał, na chłopach, zyskał sobie teraz adyutant Nazimowa, Michniew, który stale był wysyłany do „zbuntowanych“ wsi.

nikt mu jednak kociej muzyki nie sprawił. We Lwowie, w końcu lipca obchodzono manifestacyjnie rocznicę stracenia w r. 1846 Teofila Wiśniewskiego. Zebrano się w kościele Karmelitów, wysłuchano mszy żałobnej, odśpiewano „Boże, coś Polskę“ wśród rozwiniętego na środku kościoła sztandaru żałobnego. Miasto poprzednio uwiadomiono o tej uroczystości przez drukowane plakaty; to też wszystkie prawie sklepy były zamknięte. Wieczorem ogromne tłumy zeszły się na plac kaźni; chciano postawić tam krzyż, i odśpiewawszy hymny zasypać mogiłę kwiatami, których w rzeczy samej wielką ilość niesiono. Ale władza, dowiedziawszy się o zamierzonoj manifestacyi, rozwinęła na wzgórzach, na których tracono, znaczne siły wojskowe, które nie dopuściły tłumów. W koszarach skonsygnowano wojska, a namiestnik Galicyi hr. Mensdorff-Pouilly wszędzie, gdzie trzeba było, sam był obecny i nadawał kierunek. Wskutek tego wystąpienia energicznego, tłum cofnął się i doszedłszy do kościoła św. Anny, zatrzymał się, padł na kolana i począł śpiewać „Boże, coś Polskę“. Lecz nie pozwolono na to; zjawił się oddział wojska i siłą rozpędził zbiegowisko; o godz. 10-ej wieczór miasto było spokojne i ciche.

Tego, by przez postawę energiczną, pewną siebie i spokojną, zapobiedz wszelkiego rodzaju zaburzeniom i rozruchom, władze rosyjskie nigdy nie potrafiły. Liczni naczelnicy wojenni, istne kacyki z całą ich dzikością i niekonsekwencyą, jednego dnia byli łagodni i dozwalali na to, na co właśnie dozwolić nie byli powinni, by nazajutrz rozwinąć surowe, gwałtowne środki terroryzmu wojskowego z powodu rzeczy, na które nie warto było nawet zwracać uwagi. W Białymstoku, o którym kilkakrotnie już tu wspominaliśmy, w lipcu agitacya rewolucyjna i śpiewy stały się objawem codziennym. Dnia 19 lipca, kacyk miejscowy, pułkownik Szczurow, otoczył nagle wojskiem kościół, w którym śpiewano hymny, i aresztował pięć osób, między któremi była jedna kobieta i jeden chłop. Gdy aresztowanych poprowadzono do policyi, zebrał się znaczny

tłum, do tysiąca osób, który domagał się uparcie uwolnienia uwięzionych, a nawet poczęto szturmować do gmachu policyjnego kamieniami. Noc przerwała te awantury. Nazajutrz jednak tak samo zebrał się znaczny tłum na cmentarzu koło kościoła; horodniczy miejscowy wysunął oddział piechoty i setnię kozaków i począł spisywać obecnych. Na skutek tego z tłumu wysłano do horodniczego deputacyą, która prosiła, by wypuścił wszystkich bez spisywania ich nazwisk, grożąc w razie przeciwnym, jak utrzymuje raport urzędowy, że „o tych gwałtach cała Europa i gazeta „Kołokoł“ będzie uwiadomiona“. Horodniczy mimo to nie ustępował, czas biegł, noc zapadła. Koło północy zjawiło się kilku obywateli znaczniejszych i zapewniwszy horodniczego, że śpiewanie pieśni patryotycznych więcej się nie powtórzy, namówili go do wypuszczenia zebranych. Jednakże, pomimo tego przyrzeczenia, na drugi dzień d. 21 lipca, znowu na cmentarzu kościelnym zebrał się tłum około 400 osób, i gdy ukazała się setnia kozaków dońskich, rozpoczęto „Boże, coś Polskę“. Na żądanie tego samego horodniczego, by zgromadzeni się rozeszli, domagano się w odpowiedzi, żeby wojsko wprzód ustąpiło, oraz aby ich nazwisk nie spisywano. Wśród tych pertraktacyi, poza wojskiem począł się zbierać nowy tłum, który jednak wkrótce się rozszedł; zatrzymanych zaś na cmentarzu, w nocy, z rozporządzenia gubernatora miejscowego, uwolniono bez zapisywania nazwisk, dając tem dowód braku wszelkiej logiki w głowach rządców rosyjskich i uzuchwalając tą bezkarnością jeszcze bardziej agitatorów do prowadzenia dalszego swego, fatalnego dla kraju, rzemiosła.

W Mławie, miasteczku leżącem nad samą granicą pruską, weszło teraz, w miesiącach letnich, w zwyczaj zgromadzać się codzień pod figurą Matki Boskiej, stojącą na końcu miasta, na cmentarzu, i śpiewać tam hymny patryotyczne. Naczelnik wojenny, Runowski nazwiskiem, zarazem dowódzca konsystującego tamże garnizonu z pułku Estońskiego piechoty, kilkakrotnie upominał mieszkańców, a gdy to nie skutkowało, zdał raport do Warszawy, skąd

Suchozanet natychmiast wysłał na śledztwo niejakiego Ponomarewa, urzędnika do szczególnych poruczeń z biura namiestnikowskiego. Przybył on do Mławy d. 24 lipca, i gdy właśnie tego dnia poczęto także śpiewać, rozkazał otoczyć śpiewających kompanią piechoty i spisać nazwiska wszystkich obecnych. Zebrani, przestraszeni tem trochę, ruszyli ku bramie cmentarnej, gdzie już stał podpułkownik Runowski, podsędek miejscowego sądu pokoju i dobosz, wezwani umyślnie, zgodnie z prawem o zbiegowiskach z d. 8 kwietnia. Kiedy jednak reprezentant władzy sądowej zażądał, by się rozchodzono, odpowiedziano mu śmiechem, wreszcie oświadczono, że dopóty nie ustąpią, dopóki wojsko się nie cofnie. Gdy wreszcie Runowski oznajmił, że mogą sobie śpiewać ale w kościele, byle mu dano słowo honoru, że na cmentarzu więcej zbierać się nie będą, tłum powoli począł się rozchodzić.

Nie miało się jednak na tem skończyć. Nazajutrz d. 25 lipca, wieczorem, kilkadziesiąt osób, przeważnie kobiet, zebrało się, już zgodnie z danem słowem, nie przed figurą Matki Boskiej, ale na cmentarzu kościoła parafialnego, i postawiwszy na piedestale tam będącym figurę drewnianą Matki Boskiej, oświecono ją pięknie przy pomocy transparentów, orłów, krzyży złamanych i t. p. i zaczęły śpiewać hymny patryotyczne. Zebraniu temu przewodniczył wikaryusz miejscowy ks. Rząca. Runowski wobec tego wystąpił z całą kompanią piechoty, wszedł na cmentarz, a gdy zebrani schronili się do kościoła, otoczył go zupełnie i domagał się, by wszyscy stamtąd wyszli. Nikt wezwania tego nie usłuchał i po kościele rozlegały się dalej pieśni. Runowski chciał spisać nazwiska obecnych, co spowodowało, że postanowiono nie wychodzić wcale z kościoła, dopóki wojsko się nie cofnie. Stan ten trwał przez całą noc, przyczem wojsko w wysokim stopniu zachowywało się nieprzyzwoicie. Przedewszystkiem na cmentarzu zniszczono ów pusty piedestał, a statuetkę Matki Boskiej zabrano i zaniesiono do mieszkania Runowskiego. Żołnierze biwakowali na cmentarzu, paskudzili tam, oficerowie

pili herbatę, palili tytoń, i wchodząc od czasu do czasu do kościoła, szydzili i naigrawali się z kobiet. Kilku żołnierzy ustawiło się w kruchcie i chwytało tych wszystkich, którzy zmuszeni byli wyjść. W ten sposób przytrzymano księdza Rzącę [1]), i zamknięto go w jakiejś pustej stodole czy chlewie. Wreszcie o godz. 7 rano, gdy z miasta począł zbiegać się znaczny tłum, spisano wszystkich obecnych w kościele i wypuszczono. Cały dzień żołdactwo, chodząc gęstymi patrolami po mieście, biło ludzi i aresztowało [2]).

Wieść o tym niesłychanym dotąd gwałcie, o przetrzymywaniu przez całą noc w kościele kobiet, o nieposzanowaniu świątyni, lotem błyskawicy rozbiegła się po kraju i wywołała oburzenie powszechne. Rektor kościoła mławskiego, w którym się sceny powyższe odbywały, ks. Chybczyński, zdał o wszystkiem raport arcybiskupowi, skarżąc się na pogwałcenie kościoła. Naturalnie, gdy do zrewolucyonizowanego do szpiku kości, Fijałkowskiego, przyszła taka skarga, wywołać w nim musiała chęć niepohamowaną zamanifestowania się w sposób stanowczy i silny. W odezwie z d. 27 lipca do dyrektora Komisyi wyznań, żądał, ażeby ten wyjednał „przykładne ukaranie winnych i wydanie rozporządzenia, surowo wzbraniającego wojsku dopuszczania się podobnych zniewag osób duchownych, kościołów, cmentarzy, obrazów i przedmiotów poświęconych czci religijnej“. Wielopolski, otrzymawszy tę odezwę,

[1]) *Podwysocki* (Zapiski oczewidca, 70) twierdzi, że ks. Rząca w obawie odpowiedzialności za to, że kościół otworzył, przebrał się w kościele w suknie kobiece, i zdołał przemknąć się niepostrzeżenie, ale za miastem żołnierze go schwycili i przyaresztowali.

[2]) Tenże *Podwysocki* powiada, że „będące w kościele damy oznajmiły chęć pomówienia z naczelnikiem wojennym i dlatego prosiły go, by wszedł do kościoła; lecz zaledwie wstąpił tam, gdy damy, obstąpiwszy go dokoła, poczęły go szczypać i ciągnąć do ołtarza. Po kilku minutach tych tortur, naczelnik wojenny tak osłabł (sic), że nie mógł już mówić, i nie wiadomo, coby z nim zrobiły nabożne damy, gdyby mu na pomoc nie zjawił się jeden z oficerów jego batalionu“. Relacya ta, mocno co do swej autentyczności podejrzana, nie znajduje się nigdzie w źródłach polskich.

właściwie nic nie mógł już poradzić, gdyż w przeddzień jej przybycia, podał się był do dymisyi; zrobił jednak tyle, że wysłano na śledztwo do Mławy prezesa Sądu apelacyjnego, Strzeszewskiego. Śledztwo to, jak wszystkie śledztwa tej epoki, ciągnęło się długo, zapisano mnóstwo papieru i w rezultacie skończyło się na niczem [1]).

Wielopolski więc sprawą tą szczerze zająć się nie mógł, a uwaga kraju zwrócona nagle została na okoliczności o wiele ważniejsze, niż wypadki Mławskie, na wielką, imponującą rzec można manifestacyą, jaka właśnie rozgrywać się poczęła na olbrzymich przestrzeniach całej dawnej Polski, od Dniepru po Wartę, od Bałtyku po Karpaty. Z powodu zbliżającej się rocznicy sejmu unii w Lublinie, przypadającej w d. 12 sierpnia, agitatorzy i nieagitatorzy postanowili wyzyskać tę okoliczność na wielką skalę, dla pokazania Rosyi i światu, że związek zawarty przed trzystu laty między dwoma narodami, istnieje w całej swej mocy. Pod tym względem, myśl tego rodzaju demonstracyi nigdzie, w żadnej sferze i w żadnem stronnictwie nie napotkała oporu. Wszyscy, tak dobrze Czerwoni jak i Biali, czuli potrzebę publicznego, głośnego zadokumentowania swej jedności nierozerwalnej z Litwą. Manifestacya ta zatem przybierała przez to niezmiernie doniosły charakter polityczny, była jedną z najpoważniejszych co do swego znaczenia wewnętrznego i najdotkliwszych dla Rosyi. Rozmiarami swymi przeszła ona wszystko, co dotąd robiono; użyto bowiem wszelkich sił, by odbyła się jednocześnie na całej przestrzeni Polski starożytnej.

---

[1]) O wypadkach Mławskich ukazał się d. 1 sierpnia opis litografowany na ćwiartce papieru i obiegał po kraju. Autorem tego dokumentu, zdaje się, było duchowieństwo warszawskie, gdyż jest w nim mowa o raporcie do arcybiskupa proboszcza mławskiego, ks. Chybczyńskiego (opis zwie go „Hipczyńskim"), wiadomość nikomu jeszcze wówczas nieznana. Prawdopodobnie Fijałkowski wiedział o tej relacyi, skreślonej w tonie podburzającym i gwałtownym. Przytaczamy ją w całości na końcu tego tomu w zbiorze dokumentów pod Nr. 3.

Już w początkach sierpnia ukazała się odezwa litografowana, wzywająca do uroczystego obchodu dnia 12 sierpnia. Odezwa ta, jak się zdaje, zredagowana pod wpływem, a co najmniej za wiedzą arcybiskupa Fijałkowskiego[1]), brzmiała jak następuje: „Warszawa w sierpniu 1861 r. Bracia rodacy! Na dniu 12 sierpnia 1569 r. stało się, iż król Zygmunt August uroczyście zamknął Sejm unii w Lublinie. I to ostateczne zjednoczenie się Litwy z Polską mową walną zapieczętował, zalecając obu narodom wieczystą miłość braterską. Owóż, bracia rodacy, uczcijmy ten dzień świetny zrękowin braterstwa przodków naszych, a zgromadziwszy się po kościołach, zanieśmy wszyscy wspólnie gorące modły do Boga, aby nasz kraj, na szmaty poszarpany, raczył w jedną całość spoić i nas w duchu zjednoczyć. Wyznajmy publicznie wszyscy wespół z kapłanami w d. 12 sierpnia (31 lipca v. s.) 1861 r. żeśmy bracia jednej rodziny, białego orła i pogoni! Obchód tej jedności dwu narodów winien być uroczysty, spokojny, ogarniający sobą całą przestrzeń starożytnej Polski. Żałoba na ten jeden dzień, tak wielkiej wagi w dziejach, zdejmuje się".

Odezwa ta, nie podpisana przez nikogo, nieopatrzona żadnym znakiem, niewiadomo zkąd wyszła i od kogo, była jednak posłuchana, gdyż w kraju, we wszystkich sercach i umysłach tkwiło to głębokie przekonanie, że takiej manifestacyi trzeba dokonać, że ona jest istotnie potrzebną,

[1]) W broszurze „Krzyżowy charakter ruchu polskiego" p. 23 czytamy: „dodać tu jeszcze należy, że opinia publiczna przypisywała jemu (t. j. Fijałkowskiemu) ów okólnik, powołujący na dzień 12 sierpnia, jako w rocznicę unii lubelskiej, do uroczystego obchodu po kościołach tej jedynej w dziejach świata pamiątki i do modłów gorących, „aby Bóg nasz kraj na szmaty poszarpany raczył w jedną całość spoić i nas w duchu zjednoczyć". Pojmiemy więc, jak lgnęły serca narodu do sędziwego arcypasterza, który tak zaszczytnie przewodził duchowieństwu polskiemu na drodze narodowej". *A. Giller* (Historya powstania nar. pol. II, 109) nie wie wcale, kto napisał tę odezwę, ani „zkąd i od kogo wyszła". Według ustnych podań miał ją zredagować Apollo Korzeniowski.

że przedstawia cel wyraźny, że jest obowiązkiem patryotycznym. Przedewszystkiem jednak szło o to, by dla mas, dla tłumu nieświadomego dziejów, przedstawić w obrazie wyraźnym i plastycznym fakt unii; żeby jednem słowem miejsce głównej, zasadniczej, że tak powiemy, manifestacyi, znajdowało się gdzieś na granicy Polski i Litwy. Myśl ta powszechnie się podobała; w Warszawie po różnych kołach i kółkach bardzo gorąco nad tem radzono i ostatecznie zdecydowano się, żeby manifestacya główna odbyła się na moście na Niemnie, łączącym miasteczko Aleksotę z Kownem. Wszystkie szczegóły tego planu opracowano i jego wykonanie powierzono siłom miejscowym, głównie obywatelom wiejskim. Na demonstracyą tę położono nacisk wyłączny, wieść o niej rozpuszczono po kraju całym, żeby zjazd był liczny; wszystkim zaś miastom i miasteczkom polecono, jak to odezwa zaznaczyła, odbyć tylko nabożeństwo i zdjąć na ten dzień żałobę. Cała Polska z natężeniem miała zwrócone oczy na Kowno i oczekiwała z niepokojem 12 sierpnia. Prócz tej odezwy ukazało się: „wezwanie Polaków wyznania mojżeszowego do nabożnego obchodu rocznicy Unii Litwy z Polską“, w którem nieznany autor woła: „dziś, gdy z przebudzeniem się życia narodowego, na całym obszarze Polski obchodzimy świetniejsze epoki z naszej przeszłości, na jakich nam nie zbywa, przez dziękczynne nabożeństwa i objawy powszechnej radości, i my Polacy-żydzi, mający dać drugi przykład bratniego połączenia się, udział w tem przyjąć powinniśmy“. Wezwanie postanawiało, że rocznicę tę żydzi obchodzić mają solennem nabożeństwem w synagogach, zamknięciem sklepów, rzęsistem wieczór oświeceniem mieszkań, i zdjęciem żałoby. „Jak owa Unia, kończy swe wezwanie — była świadectwem zlania się dwóch narodów, oby jej obchód doroczny stał się nową rękojmią trwałości naszego z rodakami połączenia i dalszej wspólnej pracy naukowej“ [1]).

[1]) Odezwę tę, dotąd nigdzie niedrukowaną, pomieszczamy w całości w zbiorze dokumentów pod Nr. 4.

Wszystkie te przygotowania, te odezwy, to oczekiwanie ogólne wiadomem było rządowi, i nie mogło być inaczej, gdyż nikt się z tem nie krył. Pomimo tego jednak, Suchozanet nie przedsiębrał żadnych środków zapobiegawczych; śmiesznie groźny Sezostrys drzemał snem dzieci i starców zgrzybiałych. Całem jego wysileniem było to, że po awanturach na ulicy Miodowej rozłożył znów obozowiska na ulicach i przekonany był, że to zapobiegnie wszystkiemu. Gdy wyżej przytoczone odezwy poczęły obiegać, gdy coraz głośniej mówiono o wielkiej manifestacyi, gdy nakoniec w d. 11 sierpnia ukazały się poprzylepiane na rogach ulic ogłoszenia, wzywające na nabożeństwo jutrzejsze do kościoła, oraz do oświetlenia wieczorem domów, Suchozanet wydał obwieszczenie, w którem oświadczał, „że w dniu jutrzejszym, żadne inne nabożeństwo, jak tylko przez kościół na ten dzień przepisane, ścierpianem nie będzie; tłumne zaś zgromadzenia się w celu zrobienia demonstracyi, jako naruszające spokojność publiczną, ulegną zatrzymaniu przez wojsko przy wyjściu z kościołów, dla postąpienia z niemi według całej surowości nadanej mi władzy. Podobnież zabrania się zamykania sklepów pod najsurowszą i osobistą odpowiedzialnością handlujących, jakoteż illuminacya wieczorna, za którą odpowiadać będą nietylko właściciele domów, ale i lokatorzy, których mieszkania uilluminowane zostaną“.

Odezwę tę, o której zapewne sam był przekonany, że żadnego skutku mieć ona nie będzie, Suchozanet tak zakończył: „uprzedzam o tem wszystkich mieszkańców miasta Warszawy, ostrzegając, że wszelkie zgubne następstwa, jakieby z tego powodu wynikły spadną na nieposłusznych i gwałcących spokojność publiczną“. Sprawa cała tym bardziej się komplikowała, groźba rozruchów stawała się tem niebezpieczniejszą, że współcześnie zapowiadano także przez plakaty, iż miasto będzie obchodziło uroczyście dzień 15 sierpnia, jako dzień imienin Napoleona, cesarza Francuzów. Mimo to wszystko Suchozanet był spokojny, liczył bardzo wiele na groźną postawę wojska, wzywał ducho-

wieństwo, by nie odprawiało nabożeństw, na co, jak pisał do cesarza, „ono zdaje się zgadzać“. Prócz tego uwiadomił jenerał-gubernatora Wileńskiego, Nazimowa, o przedsiębranych przez siebie środkach.

Gdy nakoniec niespokojnie przez wszystkich oczekiwany dzień 12 sierpnia zajaśniał, wojsko w Warszawie skonsygnowano w znacznych siłach na głównych placach; przed Zamkiem, na placu Saskim i Krasińskim zatoczono działa, co jednak nie przeszkadzało, że miasto przybrało cechę uroczystą, świąteczną. Od rana zdzierać poczęto ogłoszenia namiestnika, tak że w końcu straż przy nich musiano postawić; w kościołach uderzono we dzwony i tłumy ciągnęły do świątyń. Wszystkie sklepy były zamknięte; kobiety zrzuciły żałobę i wystąpiły w strojach kolorowych, przeważnie w barwach narodowych, w kokardach i szarfach. Mężczyźni jak mogli tak się ubierali, byle jaskrawo. Nabożeństwa odbywały się we wszystkich kościołach, ze szczególną jednak uroczystością u św. Jana, Wizytek i u św. Krzyża. Niemniej modlono się w synagogach i w kirsze luterskiej, a wszędzie brzmiały rozgłośne hymny patryotyczne. Policya odmykała sklepy gwałtem, ale zwykle, jak tylko odeszła, znowu je zamykano. Cukiernię Contiègo w hotelu Europejskim sam oberpolicmajster Rozwadowski otwierał. Po południu wszystkie ogrody były zapełnione publicznością; w Alejach Belwederskich utworzyło się przepyszne *corso* z błyszczących pojazdów, w których konie ustrojone były we wstęgi o barwach narodowych, a kobiety, piękne Warszawianki, ubrane przeważnie biało z amarantowemi szarfami, nadawały całości wygląd malowniczy, świetny i wesoły. Ruch był ogromny; wieczorem całe miasto zajaśniało illuminacyą wspaniałą; zwłaszcza odznaczała się tem dzielnica staromiejska. Pojawiło się też mnóstwo transparentów i napisów, odpowiednich do tej chwili. Osób stosunkowo aresztowano nie wiele, (podobno zaledwie trzydzieści), i dzień przeszedł spokojnie. To też Suchozanet spieszył zaraz nazajutrz telegrafować do Petersburga, gdzie

niepokój był nie mały [1]), że w dniu wczorajszym, dzięki groźnej obecności wojsk, porządek w mieście nie był zakłócony, choć wzburzenie było bardzo znaczne. Kobiety były w sukniach kolorowych, sklepy zamknięte; wieczorem była illuminacya wewnątrz mieszkań. Słowem tego rodzaju objawy, którym nie można zapobiedz ani ich powstrzymać, czy to przez policyą, czy siłą oręża. Aresztowano osób 30".

Tak się odbył obchód pamiątkowy unii w Warszawie. Powoli poczęły nadchodzić wieści z prowincyi, gdzie tu i owdzie manifestacya ta przybrała charakter gwałtowniejszy i groźniejszy. W Piotrkowie naczelnik wojenny, jenerał Wagner, na skutek wieści o przygotowującej się manifestacyi, już w przeddzień zabronił po godz. 9 wieczór wychodzić na ulice bez latarki zapalonej, co według niego miało być najlepszym środkiem dla zapobieżenia rozruchom. Na nabożeństwie nazajutrz, odbytem u fary, znajdowało się bardzo wielu chłopów, dzięki zabiegom obywateli wiejskich. Odśpiewano „Te Deum" przy biciu we wszystkie dzwony. Kobiety ukazały się jasno ubrane, i wszyscy nieśli gałązki zielone. Po południu odbyły się nieszpory uroczyste w kościele Dominikańskim, poczem znaczny tłum ruszył do ogrodu za miastem, przy stacyi kolei. Tu choć dzień był jeszcze jasny, dla wyszydzenia rozkazu wczorajszego, pozapalano latarki białe i czerwone, na których błyszczał napis: „na pamiątkę uroczystości narodowej w d. 12 sierpnia 1861 r." Wielu niosło zwyczajne, a nawet powozowe latarnie. Wśród śmiechu i żartów, tłum liczący do 1.000 osób, wyszedł z ogrodu, chcąc przejść w pochodzie procesyonalnym przez całe miasto, ale w rynku zagrodziło im drogę wojsko pod dowództwem samego Wagnera. Gdy ten rozkazywał, by otoczono zbiegowisko i zamykano sklepy, tłum rozproszył się po uliczkach sąsiednich

[1]) Cesarz d. 12 sierpnia pisał: „oby Bóg dał, by przedsięwzięte przez pana środki zapobiegły oczekiwanym nieporządkom".

i na tem się manifestacya skończyła. Całą noc silne patrole przebiegały miasto.

W Kaliszu, gdzie wzburzenie było niejako stanem normalnym, gdzie kocie muzyki były na porządku dziennym [1]), manifestacya 12 sierpnia musiała przybrać charakter bardziej niż gdzieindziej ostry i wyzywający. Jak wszędzie, tak i tutaj, kobiety postroiły się jaskrawo, sklepy pozamykano. Na nabożeństwie u fary, gdy śpiewano „Te Deum“, grupa młodych ludzi podniosła w górę obraz, na którym wymalowany był Polak i Litwin, obaj w strojach narodowych, ściskający się za ręce. Nad wieczorem zebrano się nadzwyczaj licznie w prześlicznym parku miejscowym, gdzie wśród zabawy odśpiewano przy akompaniamencie muzyki: „Jeszcze Polska nie zginęła“ i potem stary „mazur Chłopickiego“. W entuzyazmie, jaki te pieśni w obecnych rozbudziły, płakano głośno, rzucano się sobie w ramiona. Wielu krzyczało: „niech żyje Polska! niech żyje Litwa! niech trwają zgoda, jedność i braterstwo!“ Zapalono ognie bengalskie, które temu rozgorączkowanemu zebraniu nadały wygląd bardzo malowniczy. Jakkolwiek przez cały dzień wojsko się nie pokazywało i w niczem nie przeszkadzało Kaliszanom, teraz jednak zjawił się w parku jenerał Woronow w towarzystwie adjutanta i prosił, by się rozchodzono. „Nie rozejdziemy się“, odpowiadano mu, a ktoś zaproponował w końcu, by pójść do kościoła. Ruszono szeregami przez aleję Józefiny do fary, śpiewając: „Boże, coś Polskę“. W kościele odśpiewano cały repertuar pieśni patryotycznych. Gdy noc zapadła, miasto zajaśniało przepyszną illuminacyą [2]).

W Łodzi, mieście na wskróś fabrycznem, żydowsko-niemieckiem, obchód miał także cechę niezmiernie hałaś-

[1]) Dnia 9 sierpnia wyprawiono kocią muzykę sędziemu apelacyjnemu, Potrzebowskiemu za to, że w sprawie modlińskiej domagał się, by aresztowani odpowiadali z więzienia, a nie z wolnej nogi.

[2]) W jednym z rękopismów, skreślonym współcześnie w Kaliszu, znajdujemy wiadomość, że, kiedy Woronow zjawił się w ogrodzie i zachęcał do rozejścia się, odezwały się pojedyncze głosy:

liwą. W przeddzień Niemcy oświadczyli, że przyjmą udział w obchodzie; jakoż nazajutrz sklepy pozamykano i wszystkie fabryki stanęły. Kościół katolicki przybrano w kwiaty, drzewa, festony z zieleni; w prezbiteryum umieszczono herb Korony i Litwy. Gdy nabożeństwo się skończyło, wyruszyła procesya na cmentarz z chorągwiami, między któremi jaśniała jedna z orłem i pogonią. Do tej procesyi przyłączyło się 1500 strzelców kurkowych, śpiewających „Boże, coś Polskę“ po niemiecku. Żydzi także szli za procesyą. Po drodze wstąpiono do kirchy luterskiej, a potem do bóżnicy. Przez cały dzień brzmiały pieśni patryotyczne, w ogrodzie spacerowym muzyka grała mazurka Dąbrowskiego, a miasto błyszczało w blasku illuminacyi.

W Płocku, na skutek energicznego wystąpienia satrapy miejscowego Rożnowa, manifestacya d. 12 sierpnia prawie, że nie przyszła do skutku. Wezwał on administratora, by zabronił duchowieństwu odprawiania nabożeństwa, a gdy pomimo to inaczej się stało, otoczył wojskiem wszystkie trzy kościoły, zabraniając wpuszczania i wypuszczania z nich kogokolwiek. Przyszło do tego, że administrator Myśliński musiał się udać do Rożnowa, prosząc o wypuszczenie zebranych, których wreszcie sam wyprowadził. Wszystko to oburzyło mieszkańców, ale manifestacya nie odbyła się wcale, a przynajmniej nie miała tej cechy hałaśliwej i rewolucyjnej jak gdzieindziej.

W Mławie na nabożeństwo w kościele parafialnym szlachta zjechała się bardzo licznie. Znany nam już pułkownik Runowski, chwycił się tego samego środka co i poprzednio; otoczył cmentarz i kościół do koła wojskiem, a wychodzącym oświadczył, że ponieważ zabronione jest zgromadzanie się, więc wszystkich aresztuje. Jakoż przy-

„Jeszcze Polska nie zginęła panie Jenerale“ i wnet wszyscy chórem krzyknęli: „nie zginęła“ i „niech żyje Polska!“ czapki sypnęły się w górę, a między niemi ukazała się także czapka zacnego Woronowa. Wtenczas lud porwał go na ręce i podniósł w górę, również i adjutanta jego. Adjutant, otyły Moskal, śmiał się serdecznie, tak mu się podobało, że go na rękach noszono, a Woronow... on płakał“.

trzymali żołnierze trzech mężczyzn, opuszczających nabożeństwo. Wywołało to wśród zebranych na cmentarzu ogromną wrzawę; rozpoczęto pertraktacye z kacykiem Runowskim, rezultatem których było, że ten ustąpił na rynek, ale groził, że choć księży, którzy się zjechali na tę uroczystość, wyłapie. Wskutek tego przestraszonych proboszczów przebrano po cywilnemu i zaułkami wyprowadzono z miasta. Manifestacya jednak nie udała się, i oprócz nabożeństwa nic więcej w Mławie nie było.

W Lublinie, którego burzliwy i niekiedy nawet przewyższający Warszawę, charakter ruchu już zaznaczyliśmy, wśród ciągłych nieomal zawichrzeń, jakie tam trwały [1]), należało się spodziewać, że pamiątka unii, która właśnie dla Lublina była jednem z najpiękniejszych wspomnień jego przeszłości, najuroczyściej będzie obchodzona. Jakoż robiono tam odpowiednie przygotowania i ułożono cały program postępowania, który na tem polegał, że po nabożeństwie w kościele OO. Kapucynów miano udać się tłumnie do pomnika, wzniesionego przez Aleksandra I-go na pamiątkę unii, i takowy uwieńczyć kwiatami. Chruszczew, znany nam już wielkorządca Lublina, dowiedziawszy się o tych zamiarach, rozwinął koło pomnika znaczne siły wojskowe i groził, że, jeżeli się doń ktokolwiek zbliży, każe strzelać. Mimo to jednak, po nabożeństwach we wszystkich kościołach, w których rozbrzmiewało stokroć silniej, stokroć namiętniej, że tak powiemy, niż zwykle „Boże, coś Polskę“, ruszono na Krakowskie Przedmieście. Wszystkie kobiety były jasno ubrane, wiele z nich w strojach wiejskich, w gorsetach, spódniczkach, z rozpuszczonemi na plecy kosami. Odznaczała się między niemi niejaka panna

[1]) Podczas uroczystości dworskiej d. 3 sierpnia, gromada chłopców, przeważnie terminatorów biegała po ulicach, i krzycząc: złodziej, łapaj! leciała jak szalona i wywracała lub gasiła palące się kagańce. W d. 8 sierpnia znowu, gdy poczęto tym, którzy domy uilluminowali wybijać szyby, musiało wystąpić na Krakowskie Przedmieście wojsko pod wodzą pułkownika Szelkina i kolbami rozpędzać zbiegowisko.

Henryka Pustowojtów, córka jenerała rosyjskiego, znana nam już autorka „Modlitwy Moskali“, urodzona z Polki, patryotka gorąca, biorąca udział we wszystkich manifestacyach i mająca z czasem odegrać rolę historyczną w dobie powstania zbrojnego [1]). Ubrana w strój krakowianki, z wstążkami trójkolorowemi wplecionemi w warkocze, ufna w siebie i śmiała, dała pierwsza przykład, że pomimo wojska i groźby Chruszczewa, zarzuciła pomnik kwiatami. Chruszczew patrzał na to i do niektórych osób odezwał się: „nie wyzywajcie mnie, proszę was bardzo“. Słowa te, wychodząc z ust człowieka, powszechnie za swą ludzkość lubianego, oddziałały tak, że zaniechano wszelkiego manifesto-

[1]) Właściwie miała imię Anny. Była ona córką Teofila Pustowojtowa, jenerała rosyjskiego i Polki, Kosakowskiej z domu. *(Chruszczow* w swych „Zapiskach“ zwie ją Kosanowską), zamieszkałej w Żytomierzu. Z tego małżeństwa urodziła się dnia 26 lipca 1838 r. historyczna „panna Pustowojtow“, w dobie więc ruchu rewolucyjnego liczyła zaledwie 23 lata. Wychowana w Puławach, stała się z ducha i zwyczajów Polką. W roku 1861 mieszkała z babką swoją Kosakowską w Lublinie, na jednej z głównych ulic, niedaleko Towarzystwa kredytowego ziemskiego, w dużym domu brudno-zielonym, z balkonem. W lecie, wieczorami, na balkonie roiło się od mundurów rosyjskich, przez otwarte okna rozlegał się głos kobiecy obszerny, nieco krzykliwy; śpiewała panna Pustowojtow, jak mówiono wtedy narzeczona oficera rosyjskiego. *(Lisicki,* kwartalnik historyczny z r. 1890). Dowcipniście miejscy zwali ją „pusty Wojtek“ i wogóle nie cieszyła się w Lublinie dobrą opinią. Opowiadano sobie, choć w tem zapewne nie wiele było prawdy, o licznych jej romansach z oficerami i młodzieżą szkolną, która się w niej kochała na zabój. Była to dziewczyna niebrzydka, miała śliczne czarne oczy i włosy bujne. Z nastaniem demonstracyi patryotycznych, panna przywdziała konfederatkę, we wszystkich procesyach żywy brała udział, śpiewała często na chórze w kościele katedralnym lubelskim, choć była prawosławną. Chruszczew napominał ją, mówił, że takie postępowanie jest nieprzyzwoite z tego powodu, że jest Rosyanką i córką jenerała dymisyonowanego. Nie wiele to pomagało, choć i rodzina starała się na nią wpłynąć (jej siostra była za oficerem Nikitinem). Panna nie przestawała się manifestować. Dnia 25 lipca niosła figurę Matki Boskiej wraz z innemi pannami w procesyi, idącej z Lublina na odpust do Garbowa. O jej zachowaniu się podczas demonstracyi w rocznicę unii pomieszczamy w tekście szczegóły.

wania się przed pomnikiem. Cały dzień jednak przepędzono świątecznie, sklepy były zamknięte, a wieczorem miasto zajaśniało illuminacyą, w wielu domach z przepychem urządzoną. W niektórych domach błyszczały transparenty z orłem i pogonią, w innych portrety Kościuszki, a w oknach mieszkania niejakiego Mulickiego, aplikanta sądowego, był umieszczony transparent, przedstawiający pomnik, wzniesiony w Lublinie na pamiątkę unii, obok niego portret Kościuszki i Sobieskiego. Były też portrety księcia Józefa, krzyże złamane, wieńce cierniowe i t. p. W nocy cały pomnik został literalnie zarzucony kwiatami i wieńcami.

W Kielcach usypano na pamiątkę tego dnia kopiec, na górze, zwanej Karczówką, gdzie w romantycznem położeniu wznosił się klasztor Bernardynów; w Białej podlaskiej po nabożeństwie ruszono procesyonalnie do Bazylianów, a potem na cmentarz, gdzie stał krzyż, na pamiątkę poległych wzniesiony. W Grodnie, pomimo zakazu władz miejscowych, nabożeństwo się odbyło, a po południu wyruszono na tłumną przechadzkę do Łososny, gdzie rozpoczęły się tańce. Sprowadzono mnóstwo chłopów i dziewcząt wiejskich; szlachta i szlachcianki z nimi tańczyli. Nad wieczorem w 600 par puszczono się z powrotem do miasta, przy dźwiękach poloneza Kościuszki, przy okrzykach: „niech żyje Polska i Litwa! jeszcze Polska nie zginęła“ i t. d. W Druskienikach, miejscu kąpielowem, urządzeniem demonstracyi zajmował się głównie hr. Wołłowicz i niejaki Ostromęcki, obaj z Królestwa, oraz Staniszewski, dymisyonowany podporucznik wojsk rosyjskich [1]). Zjazd był ogromny tak szlachty jak i ludu; nie bez tego, by ten ostatni nie był zmuszony do wzięcia udziału w sprawie, której nie rozumiał i która go nic nie obchodziła. Po nabożeństwie, na prześlicznych brzegach Niemna rozpoczęła się zabawa. Damy biało ubrane, w girlandach z zieleni, tańczyły z chłopami przy odgłosie dwóch orkiestr, wygrywających melo-

[1]) Staniszewskiemu w r. 1862 zabroniono za to wyjeżdżać z miejsca swego zamieszkania w gubernii Augustowskiej.

dye narodowe. W programie zabawy była i loterya, w której każdy bilet wygrywał. Wśród wzgórzy nadniemeńskich, długo w noc rozlegały się śpiewy patryotyczne.

W Wilnie obchód uroczysty 12 sierpnia był początkiem całego szeregu demonstracyi, ciągnących się przez kilka dni z rzędu, i zakończonych wreszcie krwawem starciem z wojskiem. W dzień rzeczony ksiądz Byszewski odprawił w kościele św. Jana wystawne nabożeństwo. Cały kościół przepełniony był publicznością (obliczano ją na 3.000 głów), przeważnie ze szlachty i urzędników złożoną. Kobiety były biało ubrane i miały na rękawach kokardy trójkolorowe. Odśpiewano „Te Deum“ i „Boże, coś Polskę“. W kilka godzin potem nastąpiła wielka demonstracya uliczna. Około godz. 6-ej po południu kilkutysięczny tłum zgromadził się przed obrazem Matki Boskiej w Ostrej bramie, i tu pod przewodnictwem księdza Saforowicza śpiewano hymny patryotyczne. W tłumie mówiono, że po nabożeństwie ma się odbyć zabawa publiczna, ale gdzie, nie wiedziano. Agitatorzy bowiem trzymali tę wiadomość w tajemnicy, żeby władza nie zapobiegła zabawie. Wprawdzie do Nazimowa doszła wieść, zapewne umyślnie rozpuszczona, że zabawa owa ma się odbyć na Pohulance, jakoż wysłano tam znaczny oddział kozaków. Tymczasem po odśpiewaniu hymnów, dwaj obywatele ziemscy z powiatu Dysneńskiego, głosem donośnym zawołali: „panowie bracia, prosimy do lasku Belmonckiego!“ Ponieważ miejscowość ta leży w zupełnie przeciwnym kierunku niż Pohulanka, uniknięto więc tym sposobem spotkania się z wojskiem. Tłum cały, liczący około 5.000 osób, ruszył procesyonalnie przez miasto do wskazanego miejsca. Zabawa w lasku Belmonckim ma znaczenie pierwszorzędne w historyi demonstracyi wileńskich. Była ona pierwszem na wielką skalę zamanifestowaniem się publicznem; nastąpiło tu nakoniec tak nazwane „zbratanie się stanów“, owo entuzyastyczne uniesienie chwilowe, które wszędzie w tej dobie dziwnej, gorączkowej, bezprzykładnej w dziejach, odbywało się i stanowiło jeden z programów zasadniczych ruchu. Słodkie marzenie, nigdy może

na ziemi niezniszczone, ale niech wolno będzie ludziom cieszyć się choć złudzeniami, jeżeli te złudzenia są piękne i podniosłe.

W lesie Belmonckim tłum rozdzielił się na dwie części, z których większa liczebnie, złożona ze szlachty, ich żon i córek, urzędników, uczniów gimnazyum, rzemieślników, ugrupowała się koło zajazdu; druga umieściła się nieco dalej, w lesie. Wśród zebranych zauważono nawet paru wojskowych, oczywiście Polaków. Zabawa rozpoczęła się od mów, które wygłaszano kolejno przez przedstawicieli różnych stanów z zaimprowizowanej naprędce mównicy. Mowy te tłum witał okrzykami: „niech żyje Polska! niech żyje braterstwo i zgoda! niech żyją rzemieślnicy! szpiegi na szubienicę! Jeden z rzemieślników wygłosił płomienistą mowę o przywróceniu Polski w jej dawnych granicach [1]). Całowano się, ściskano, płakano nad losem tej Polski, którą zaiste! wszyscy gorąco kochali, wszyscy pragnęli dla niej doli jak najlepszej, a jednak samowolnie w przepaść ją strącali. Tańczono, pito, a pod wieczór, gdy już wszyscy byli znużeni, jakiś młody urzędnik ożywił zebranych okrzykiem: „jeszcze poloneza na pohybel Moskwy!“ W drugiej partyi działo się to samo; grzmiały tam hymny patryotyczne i mowy za mowami. Bawiono się w ten sposób do późnego wieczoru.

Najważniejszym jednak, najdonioślejszego znaczenia pomiędzy tymi wszystkimi obchodami, był obchód w Kownie, gdzie miało się w formie plastycznej przypomnieć światu połączenie Litwy z Polską. Każdy, kto tylko mógł, dążył do starej stolicy żmudzkiej, uświęconej tylu drogiemi dla duszy polskiej wspomnieniami, by wziąć udział w wielkiej manifestacyi. Przygotowania zresztą robiono do niej oddawna. Sama uroczystość, według programu ułożonego

[1]) W sferze rzemieślniczej wileńskiej zbratanie się to wywołało silne wrażenie. Klasa ta dziwiła się i budowała niezmiernie, że dumna szlachta litewska zniża się do niej. Jakiś szewc w Belmoncie pytał nawet: „czy i szewcy będą równi panom?“ Pytanie wysoce charakterystyczne.

z góry, miała się odbyć na moście na Niemnie, między Kownem i osadą Aleksotą, leżącą już w Królestwie. Rano d. 12 sierpnia, ludność wszystkich wsi okolicznych w Królestwie, mianowicie: Aleksoty, Godlewa, Poniemunia, Pożajścia i t. d. miała wyruszyć procesyonalnie ku mostowi na Niemnie. Ze strony litewskiej miało się to samo zrobić, tak, by obie procesye spotkały się na moście i tam, połączywszy się, odprawić na rzece nabożeństwo uroczyste. Program ten, który się agitował przez kilka dni z rzędu, wiadomym był oczywiście w całej swej rozciągłości władzom rosyjskim. Gubernator miejscowy, może z obawy przed następstwami manifestacyi, może nie chcąc brać udziału w krwi rozlewie, jaki spodziewano się, że nastąpi, może zresztą przypadkowo, dość, że na kilka dni przedtem opuścił Kowno i wyjechał do Petersburga. Zastępca jego, tak zwany wicegubernator, odwołał się do wielkorządcy wileńskiego Nazimowa, z zapytaniem, co czynić należy w razie, jeżeli manifestacya przyjdzie do skutku? Jenerał-gubernator odpowiedział mu depeszą telegraficzną: „postępuj pan rozumnie, a most rozebrać!“ [1]). Prócz tego w samem mieście załogę wojskową (batalion piechoty i szwadron ułanów) zwiększono przez setnię kozaków dońskich. Mostu jednak wicegubernator, zapewne dla nieprzerywania komunikacyi, zdejmować nie kazał; dopiero w d. 12 sierpnia, kiedy już procesye wystąpiły, polecił kapitanowi inżenieryi, Polakowi, by zajął się tą robotą. Kapitan ten jednak oświadczył, że jest chory; dopiero jakiś porucznik, Moskal, zdołał już w ostatniej chwili usunąć na środku jednę tylko łyżwę.

Takie było położenie rzeczy i niepokój wśród władz rosyjskich niemały, gdy d. 12 sierpnia o godz. $8^1/_2$ rano rozpoczął się ruch niezwykły w mieście. Ranek był chmurny

[1]) *N. Berg* (Zapiski, 331) powiada, że według twierdzeń niektórych osób, pomagających mu w pisaniu jego dzieła, depesza Nazimowa zawierała tylko te słowa: „postępuj pan rozumnie“, o moście zaś nie było wzmianki.

i wietrzny; mimo to ze wszystkich stron dążono do kościoła Augustyanów. Mężczyzni przeważnie postrojeni byli w kontusze, czamarki, różnokolorowe czapki; kobiety jaskrawo z amarantowemi lub granatowemi przepaskami, w wieńcach na głowach. Po krótkim stosunkowo nabożeństwie, bo już koło godz. 9-ej wyrusza nakoniec procesya. Na czele z krzyżem postępuje wysokiego wzrostu mężczyzna, z czarną, długą brodą, ubrany w mundur oficera rosyjskiego [1]); za nim posuwa się, miotany rozgłośnie przez wiatr, las chorągwi różnobarwnych i feretrony, niesiony przez panny w bieli z wieńcami. Za tym orszakiem postępuje trzech księży Augustyanów, a za nimi tłum ogromny, śpiewający „Boże, coś Polskę". Świadkowie naoczni opowiadają, że widok ten, ten śpiew przez wiatr porywany i niesiony gdzieś tam pod chmurne niebo żmudzkie, jęk wszystkich dzwonów kościelnych, robił wrażenie imponujące. Procesya, posuwając się wolno, napotyka na ulicach licznie rozstawioną policyą, na placu Nowego miasta pół szwadronu ułanów, rozwiniętych długim frontem, na ulicy ku Niemnowi pluton *(zwod)* kozaków pod wodzą setnika Popowa, który otrzymał był od dowódcy dywizyi, jenerała Burharda, rozkaz: „nie dozwalać na połączenie się dwóch procesyi, jeśli to okaże się możliwem, ale nie uciekać się do siły" *(nie dopuskat, jesli mozno, sojedinenia, no nie upotreblat nasilstwiennych mier).*

Podczas gdy się to dzieje w Kownie, gdy procesya zbliża się ku mostowi, do którego drogę zagradza jej Popow z kozakami, z drugiej strony Niemna, w Augustowskiem, wyrusza ku rzece procesya, jak ją zwano, polska, z Poniemunia. Dziewczęta, ubrane biało w wieńce i kwiaty, niosą ołtarze i figury. Łączą się z procesyą z Godlewa wstępują na górę Aleksoty, która cała okrywa się ludem. Wiatr przynosi z Kowna odgłos dzwonów i śpiew, ale śro-

[1]) Zdaje się, że był to ten sam kapitan inżenieryi K**, który nie chciał mostu rozebrać. (Zobacz: „Polskaja mołodzież Zapadnago kraja" i t. d. Russkij Wiestnik, T. LXXX, 278).

dek mostu rozebrany, a na nim kozacy i żołnierze. Wkrótce spostrzegają postępującą ku rzece procesyą kowieńską, i jedyną w swoim rodzaju scenę, jaka się tam teraz rozgrywać poczęła. Kiedy bowiem ta ostatnia procesya zbliżyła się do kozaków, setnik Popow rozwinął pluton lewem ramieniem naprzód i stanął frontem do procesyi, opierając swe skrzydła o domy po obu stronach ulicy. Przejście było niemożliwe; naciskających biją kozacy batami, tratują końmi, a ten i ów z tłumu broni się kijem i nie oszczędza napastników. Wobec tego cały orszak klęka na ulicy i śpiewa „Boże, coś Polskę“. Dziewczęta niosące obrazy usiłują przerwać łańcuch kozaków; krwawe starcie wisiało na włosku. Obie strony były rozdrażnione; w kozakach widać było silny nastrój gorączki nerwowej, wzbudzającej w nich trwogę zabobonną w obliczu tych chorągwi, obrazów, świętości i tego śpiewu, grzmiącego potężnie. Na szczęście zjawił się policmajster kowieński, który jako przedstawiciel władzy cywilnej, dla uniknięcia rozlewu krwi, rozkazał Popowi „sformować pluton po obu stronach ulicy przed samym mostem i Polaków przepuścić“ [1]). Tym sposobem kozacy stanowili teraz nie przeszkodę dla procesyi, ale owszem byli pewnego rodzaju dekoracyą dla całej tej uroczystości. Administracya kowieńska tłomaczyła się później, że „z dwóch ostateczności wybrała mniej zgubną w swych następstwach; to jest albo niemożność przeszkodzenia obchodowi pomimo ofiar tak w zabitych jak i utopionych, albo też spełnienia go bez ofiar.“ Admini-

[1]) W starciu pierwotnem kilku kozaków zostało przez śmielszych członków procesyi kijami pobitych. „Mimo to, pisze w swym raporcie Popow, mimo osobistych obraz, jakich doznałem od Polaków młodych, mimo nakoniec niezadowolenia wśród kozaków, nie uznających w takim wypadku potrzeby oszczędzania buntowników, i uważających swe położenie za ubliżające dla siebie, jeżeli przynajmniej batów *(nagajek)* nie użyją za obrazy doznane, kozacy zdążyli wykonać polecenie, nikogo nie obrazili, podczas gdy tłum silnie się czegoś oburzał na kozaków, którzy wypełnili tylko obowiązek służby“. Czytelnik wybaczy konstrukcyą tego zdania, będącego przekładem dosłownym oryginału kozackiego.

stracya wybrała z tych dwóch alternatyw ostatnią, i dla tego kozakom rozkazano usunąć się i przez swą obecność uświetnić niejako sam obchód. Kiedy wskutek tego procesya ruszyła ku mostowi, kozacy poczęli powoli zdejmować czapki i żegnać się, przypatrując się zresztą w milczeniu całemu pochodowi.

Kiedy nakoniec ten stanął na brzegu, procesya polska już tam się znajdowała i zaśpiewała „Boże, coś Polskę“. Tym samym hymnem odpowiadają Litwini, „grzmi powietrze od tych połączonych odgłosów, pisze naoczny świadek, drży ziemia, wtórują im łkania serdeczne, kropią łzy rzęsiste oba nadbrzeża Niemna i spływają do wód jego.“ Chorągwie po obu stronach na znak powitania pochylają się, księża krzyżem błogosławią lud, który pada na kolana. Dziewczęta dostają się na ostatnie deski mostu i nawzajem zarzucają się kwiatami; „Litwa zarzuca bukietami i wieńcami Polskę, Polska nawzajem Litwę, a Niemen wieńce i bukiety unosi i mięsza je ze sobą i łączy tak, jak serca Polski i Litwy, połączone zdawna, biją w tej chwili ku sobie“. Nakoniec od strony Królestwa znaleziono dwie łodzie, na których rozbierano most, a które z obawy przed procesyą kowieńską kazano odprowadzić na brzeg przeciwny; znaleźli się i przewoźnicy, którzy przepłynęli na tych łodziach na stronę litewską, i przewieźli najprzód księdza jednego i dwie dziewczyny z ołtarzykami i chorągwiami. Uskuteczniwszy to kilkakrotnie, wzięli się do odsuniętej na bok łyżwy i w krótkim czasie komunikacyą przywrócili przy ogłuszających krzykach i aplauzach zgromadzonych. Lud łączy się ze sobą, pada na kolana, choć pod tak wielkim ciężarem łyżwy zanurzają się i woda most zalewa. Obie połączone teraz procesye ruszyły przez Aleksotę, Godlewo do Piątku, gdzie wśród boru znajdował się niedawno wzniesiony kościół. Naprzeciw postępującym wyszła procesya z Weywer, i razem już przez pola i lasy ruszyły do rzeczonego kościoła w Piątku. Tu powitał je dziewięćdziesięcioletni starzec, dziedzic dóbr Fredra, nazwiskiem Godlewski, niegdyś poseł na sejm za Księstwa

Warszawskiego i Królestwa konstytucyjnego. Stał on w kontuszu, siwy, zgarbiony, wsparty na kiju i witał głosem drżącym idących. W Piątku, proboszcz parafii Godlewskiej odprawił nabożeństwo z odpowiedniemi dwoma kazaniami. Po nabożeństwie ugoszczono zebranych wśród okrzyków, toastów, haseł braterstwa i wieczystej dwóch narodów unii [1]). Pod wieczór puszczono się z powrotem, przyczem procesye polskie odprowadziły do Kowna procesyą litewską.

Wrażenie tej manifestacyi olbrzymiej było ogromne. Po całym kraju rozbiegły się tysiączne opisy obchodu, ustrojone we wszystkie kwiaty retoryczne i przesadę, tak ulubioną w tej epoce. W epizodach pojedynczych widziano jakoby znamiona symboliczne, przepowiednie przyszłości ten most rozerwany przez Moskali, a potem tak „cudownym", jak mówiono, sposobem naprawiony w uroczystej chwili, gdy dwie procesye wyciągnęły ku sobie dłonie, był niejako obrazem symbolicznym starej unii Jagiellońskiej, gwałtem przez Rosyą zerwanej, a teraz w dobie obudzenia się ducha narodowego na nowo w d. 12 sierpnia się wiążącej. Dla dusz zatopionych w mistycyzmie niezdrowym, dla dusz rozgoryczonych tylu bólami, rozmarzonych przez chorą poezyą polską, wszystko to stanowiło pociechę niewysłowioną, budziło słodkie nadzieje i przekonanie, że w całej obecnej działalności polskiej jest palec Boży, jest wola Boża. Rozchwytywano więc chciwie gazety zakordonowe, opisujące manifestacyą kowieńską, czytano je z za-

[1]) W dwutomowym rękopiśmie, jaki posiadamy w naszych zbiorach, kreślonym w latach 1861 i 62, i zawierającym mnóstwo szczegółów do tej epoki, znajdujemy następującą, wysoce charakterystyczną anegdotę, o zdarzeniu, jakie się przytrafiło w czasie tego nabożeństwa w Piątku. „Żandarm stał i obserwował wszystko w milczeniu, opowiada rękopism — ale kilkanaście dam umyśliło zrobić mu pamiątkę; ruszają tedy ku niemu. Żandarm zdejmuje czapkę i odsłania zakłopotaną fizyognomią. Jedna z dam przystąpiwszy doń przypina mu do klapy munduru gałązkę mirtu z kokardą trójkolorową (symbol zaślubin Korony z Litwą). Biedak nie wiedział co ma robić z tym prezentem, i uproszono go (żandarma oczywiście) wreszcie, żeby zachował na pamiątkę tego uroczystego obchodu".

pałem, podniecano się wzajemnie do wytrwania na raz obranej drodze. Rozbiegło się tysiące litografii, przedstawiających połączenie się obu procesyi na moście kowieńskim, kupowano je łakomie, podsycano najróżnorodniejszymi sposobami tę straszną, palącą gorączkę, która miała niestety! przywieść naród do zguby [1]).

Niemniej silne wrażenie wywarły wypadki kowieńskie na władze rosyjskie na Litwie. Nazimow wpadł w gniew i zarządził śledztwo surowe dla wynalezienia winnych. Śledztwo to ostatecznie, jak wszystkie śledztwa urzędowe tej doby, do niczego nie doprowadziło. Wezwani do wytłomaczenia się ze swej obecności na procesyi, marszałek gubernialny kowieński Dowgird, i powiatowy Żyliński, z dumą przyznali się do udziału w obchodzie. Żyliński wołał przed komisyą: „tak, brałem udział w procesyi, która się odbyła w Kownie w d. 31 lipca (12 sierpnia) w rocznicę unii Litwy z Polską, od samego początku do końca“.

---

[1]) Ponieważ nic się w tej chwili bez hymnów nabożnych nie odbywało, więc pojawił się także taki „hymn na rocznicę unii Litwy z Koroną“, odlitografowany w ogromnej ilości egzemplarzy i śpiewany na nutę „z dymem pożarów“. Zaczyna on się tak:

„O Panie! Panie, w naszej krainie
Całego ludu wznosi się głos,
I pieśń błagalna do Ciebie płynie
O szczęście Polski, jej byt i los“.

Strofki końcowe brzmią jak następuje:

„Tyś świętą unią Litwy z Koroną,
Którą dziś czwarty uświęca wiek,
Niepokalaną, nienaruszoną,
Sam w sercach naszych, o Panie! strzegł.
Ojcze, wysłuchaj jęku boleści,
Błagamy, karę w swą łaskę zmień,
Niech grom Twój wrogom naszym obwieści,
Że zmartwychwstania nadszedł nam dzień.
Uświęć Jagiełłów wielkie przymierze,
Złącz nas znów w jeden potężny lud,
Niech świat zdumiony przykład z nas bierze,
Jak krwią i łzami zdobywać cud!...“

Obu za to usunięto z posad marszałkowskich, a Dowgird nawet siedzieć musiał jakiś czas na odwachu w Wilnie [1]).

Cokolwiekbądź, manifestacya olbrzymia, jedyna w swoim rodzaju, ogarniająca sobą całą dawną Polskę, odbyła się pomimo oporu władz rosyjskich, które zresztą nigdzie prawie stanowczo nie wystąpiły i po większej części były tylko niemymi widzami scen, rozgrywających się przed ich oczami. Świadczyło to o niesłychanem, powszechnem wzburzeniu umysłów i o sile, jaką posiadają agitatorzy, którzy też z dumą mogli później wołać, że „nie było ani jednej parafii w całej ziemi polskiej, w którejby nie obchodzono tego wielkiego dnia". Z drugiej strony dla Rosyi, dla rządu rosyjskiego, gdyby on chciał był zastanowić się nad wypadkami, których teatrem stała się nagle cała dawna Rzeczpospolita, manifestacye 12 sierpnia rzucały nagłe i jaskrawe światło na cele ruchu polskiego. Już teraz widocznem było, że ruch ten dąży do odzyskania granic historycznych

[1]) Ciekawem jest bardzo tłomaczenie niektórych osób, pociąganych do śledztwa. Jako charakterystykę czasu i usposobienia umysłowego chwili przytoczymy je tu z oryginału urzędowego. Proboszcz kościoła Augustyańskiego w Kownie zeznał, że „w dniu 31 lipca (12 sierpnia) według praw kościelnych i obrządków dyecezyi Telszewskiej, żadnej procesyi być nie powinno. Ale według obyczajów narodu rzymsko-katolickiego często się zdarzało i codzień się zdarza, że w niektórych kościołach parafialnych liczne kompanie ludu udają się na uroczystości kościelne i kościół tego rodzaju procesyi nie potępia, owszem bardzo często księża przewodniczą ludowi. Co się zaś tyczy wzmiankowanego dnia (31 lipca), to w parafii Godlewskiej odbywała się uroczystość konsekracyi nowo wzniesionego kościoła i czternastu obrazów, na co zebrały się tam wszystkie parafie okoliczne; ludność kowieńska chciała także brać udział w rzeczonem nabożeństwie. Naród więc zaczął prosić trzech, znajdujących się w kościele, księży, ażeby poprowadzili tam procesyą, czemu kapłani nie mogli się opierać". Trzej księża Augustyanie, którzy brali udział w procesyi, potwierdzili to tłomaczenie i dodali, że „o innym celu procesyi, prócz konsekracyi kościoła i stacyi męki Pańskiej, oni nie wiedzą". Czy kto z pośrodka ludu bił kozaków, oni nie widzieli, ale słyszeli płacz i krzyk w tłumie, wskutek bicia ludu przez kozaków. Marszałek Dowgird tłomaczył się, że wprawdzie na procesyi był, ale przez Niemen się nie przeprawiał.

z przed r. 1772, że się niczego nie myśli zrzekać, że nie uznaje innej Polski, tylko Polskę taką, jaką dzieje wytworzyły. Wobec tego nie mogło być mowy o jakimkolwiek kompromisie, o załagodzeniu jątrzącej się rany polskiej jakim balsamem z takich lub innych koncesyi; choćby nie wiem co dano w Warszawie, to naród nie będzie z tego zadowolony, dopóki to samo nie będzie danem w Wilnie, dopóki wreszcie nie odzyska swej niepodległości politycznej, boć to wyłącznie i jedynie było celem ruchu obecnego.

Od chwili udania się manifestacyi 12 sierpnia, pojętej i wykonanej w rozmiarach kolosalnych, już teraz nie było prawie dnia i nie było miejsca, gdzieby nie brzmiały pieśni, nie tworzyły się zbiegowiska, nie dawano tysiącznych oznak wzburzenia ogólnego. Zbliżał się zresztą dzień 15 sierpnia, imieniny Napoleona, które pewna część agitatorów chciała obchodzić uroczyście i demonstracyjnie, licząc na to, że przez to zyskają sobie sympatyą cesarza Francuzów. Przeciw temu powstali wszyscy inni, wszyscy umiarkowańsi i rozumniejsi. Za co, pytali, mamy demonstrować się na cześć Napoleona? czyż nie zachowuje on się wobec naszego ruchu chłodno, a nawet nieprzyjaźnie? czyż nie jest w najserdeczniejszych z Rosyą stosunkach?

Zarzuty te były do pewnego stopnia słuszne. Postawa gabinetu francuskiego względem ruchu polskiego nie odpowiadała w żadnym razie tym tradycyom, jakie wszelkie nasze powstania żywiły ku Francyi, ku tej Francyi, która zdawała się być sprzymierzeńcem naturalnym wszystkich ludów uciśnionych i nieszczęśliwych, która nakoniec niedawno krwią swoją oswobodziła Włochy. Względem Polski atoli, zaraz od samego początku wypadków warszawskich, cesarz Napoleon zachował się zimno. Ruch ten wprawiał go w widoczny kłopot. Z jednej bowiem strony nie mógł on odmówić sympatyi, a nawet poparcia budzącej się do życia Polsce; nakazywały mu to tradycye napoleońskie, może nawet pewne zobowiązania, jakie w dobie swej młodości, gdy jako wygnaniec tułał się po Europie, zaciągnął

względem niektórych członków emigracyi polskiej; wreszcie ruch ten odpowiadał w zupełności tej idei narodowej, której urzeczywistnienie postawił jako cel swego życia i swego panowania. Przekonany był przytem, że nie ma w Europie sprawy, którąby zdolna była więcej rozentuzyazmować Francuzów; niepopieranie jej więc znaczyłoby tyle co stawanie przeciw opinii kraju, rzecz zawsze we Francyi niebezpieczna, a tem niebezpieczniejsza dla takiego człowieka jak Bonaparte, który nigdy nie był mocno usadowiony na swym tronie Cesara nowożytnego.

Z drugiej strony okazanie, jeżeli już nie poparcia, to współczucia dla Polski, narażało jego dobre, z takim trudem zawiązane stosunki z Rosyą, która wobec postawy nieprzyjaznej Anglii, wobec zawsze zdradzieckich Prus, wobec Austryi z ciężkością trawiącej swój gniew za Magentę i Solferino, była mu bardzo potrzebną, jeżeli nie chciał być zupełnie osamotnionym w Europie.

Tymczasem te dobre stosunki z Rosyą, lada chwila, właśnie z powodu wypadków polskich mogły być całkiem zerwane. Jeszcze w ostatnich dniach grudnia 1860 r. ambasador rosyjski w Paryżu, hrabia Kisielew, otrzymał był z Petersburga depeszę telegraficzną, pełną wyrzutów i niezadowolenia z postawy, jaką rząd francuski przyjął względem rzeczonych wypadków. Polecano przytem Kisielewowi, ażeby zażądał od gabinetu tujleryjskiego kategorycznych objaśnień: „co znaczy, że w Paryżu przy tajemnem poparciu księcia Napoleona i pod jego niejako opieką zgromadziło się mnóstwo wychodźców polskich, którzy, marząc o odbudowaniu Polski, wysyłają do rosyjskiej Polski i Litwy odezwy podburzające, oraz emisarjuszów, obiecujących pieniądze, broń i najgorętsze życzenia Francyi, jakoby oddawna Polsce przyjacielskiej i jednej z nią będącej wiary?“ [1]) Wskutek tej depeszy, Kisielew poprosił o au-

[1]) „Dniewnik grafa Kisielewa“ pod d. 19 (31) grudnia 1860 r., cytowany u *Tatiszczewa*: „Russkaja dipłomatia w polskom woprosie“ („Russkij Wiestnik“ z r. 1888).

dyencyą cesarza Napoleona i osobiście przedstawił mu skargi dworu petersburskiego, oraz „intrygi tajemnicze“ w Polsce brata cesarskiego. „Doszło do wiadomości gabinetu imperatorskiego petersburskiego, mówił poseł, że w Paryżu istnieje komitet polski, i że komitet ten znajduje się pod opieką osoby, której imienia nie ośmieliłbym się wymienić, gdyby mój najdostojniejszy monarcha, polegając zupełnie na serdeczności stosunku, jaki między nim i waszą cesarską mością zachodzi, nie nakazał mi mówić z tobą Najjaśniejszy Panie szczerze i bez żadnych obsłonek. Zalecił on przedstawić ci, że pałacowi Palais-Royal (mieszkanie księcia Napoleona) przypisują udział w agitacyi polskiej. Niech otwartość słów tych będzie dowodem, że mój monarcha pragnie żyć z W. C. M. w najlepszej zgodzie. Wyjaśnienia szczere bardzo często usuwają powody nieporozumień.

Napoleon wobec tych skarg zachował się nader uprzedzająco i starał się wszelkiemi siłami zadość uczynić żądaniom rosyjskim. Z rozkazu jego książe Napoleon musiał się osobiście udać do Kisielewa i złożyć mu swe usprawiedliwienia. Tak stały rzeczy w Paryżu; w ogóle przybrały one formę bardzo nieprzyjemną dla Napoleona i agitacya, objawiająca się w Warszawie, stawiała go w położeniu arcykłopotliwem. Zrazu pocieszano się tem na dworze Tujleryjskim, że manifestacye warszawskie mają tylko znaczenie chwilowe, że są wynikiem nieporozumień, które prędko się załatwią i spokój upragniony zapanuje w Polsce. Tak starała się rzeczy przedstawić pewna grupa dworaków cesarskich; ale Napoleon sam, umysł pomimo wszystkiego, co o nim historya powiedzieć może, dość bystry i przenikliwy, widział, iż rzeczy tak łatwo nie pójdą, że kwestya polska nie dziś to jutro wypłynie na wierzch i zamąci Europę od dna do powierzchni, że nakoniec jego samego wyrzuci z kolei, na którą od pokoju paryskiego wstąpił i która wydawała mu się jedynie dobrą i zbawienną. Pod tym względem nie mylił się. Ta burza, która zerwała się w Warszawie, nie tylko się nie uspakajała, ale

owszem budziła w świecie i w Francuzach wszystkie dawne wspomnienia, wszystkie sympatye i zapowiadała, że wcześniej czy później wstrząśnie przyjacielskim stosunkiem ze „wspaniałomyślnym carem“, stosunkiem tak mozolnie i tak zręcznie zawiązanym. Gazety francuskie nie przestawały objawiać najgorętszych sympatyi dla nieszczęsnej Polski, tak krwawo deptanej i tak tyrańsko rządzonej, a książę Napoleon, który niedawno usprawiedliwiał się przed Kisielewem, dolał oliwy do ognia. W d. 19 marca 1861 wystąpił on z mową w senacie, w której podniósł kwestyą polską i między innemi powiedział: „bądźcie przekonani, że cesarz zrobi coś dla Polski. Co? i jakiemi drogami! nie wiem i powiedzieć wam nie mogę... nie mam pod ręką i nie znam zawartości teki księcia Metternicha, ale pewny jestem, że cesarz coś zrobi dla Polski“. Słowa te, wypowiedziane przez brata cesarskiego, zrobiły nadzwyczajne wrażenie nietylko u nas, ale i w całej Europie. Nikt nie przypuszczał i wiary dać temu nie chciał, żeby książę Napoleon słowa te wyrzekł sam z siebie, na własną odpowiedzialność i bez poprzedniego porozumienia się z cesarzem.

Wszelako ten ostatni głośno i w sposób dobitny potępił i zganił tę mowę; zapewniał przez trzecią osobę (księżnę Matyldę) Kisielewa, że Polacy są narodem szaleńców, że są niepoprawni, podżegacze lekkomyślni, że marzenia ich nigdy się nie ziszczą, że on nie dozwoli, by z ich powodu pokój w Europie był zakłócony [1]). Gdy to wszystko jednak nie zdołało uspokoić gabinetu petersburskiego, który podejrzywał, że bez wiedzy i woli cesarza książę Napoleon mowy swej wygłosić by się nie ośmielił, cesarz postanowił innego chwycić się środka, by „serdeczne porozumienie“ z Rosyą utrzymać.

Dnia 22 kwietnia, dość wczesnym rankiem zjawił się w ambasadzie rosyjskiej fruncuski minister spraw zagranicznych, pan Touvenel, i domagał się, by natychmiast

[1]) Loc. cit. pod dniem 27 kwietnia 1861 r.

mógł się zobaczyć z Kisielewem. Ten nie był jeszcze ubrany i w pół negliżu przyjął dygnitarza francuskiego. Pan Touvenel zaczął od usprawiedliwień, że w tak niezwykłej godzinie nachodzi ambasadora, ale przyjeżdża wprost od cesarza i na jego rozkaz w tym celu, żeby pokazać panu posłowi artykuł, przygotowany do gazety urzędowej francuskiej „Monitora“, i zapytać, czy nie będzie miał czego przeciw niemu. To rzekłszy, odczytał wzmiankowany komunikat, którego Kisielew wysłuchawszy, rzekł, że „z uwagi na otoczenie, w jakiem się znajduje, przyznać musi, że w artykule dość dobitnie wyrażone są dobre chęci cesarza Napoleona dla monarchy rosyjskiego, i sądzi, że w ten sposób komunikat ten zrozumianym będzie w Rosyi“. Touvenel na to oświadczył, że niepodobna jest surowiej wyrażać się o wypadkach warszawskich ze względu na odwieczne sympatye Francyi do Polski i wspomnienia o braterstwie broni. Na tem rozmowa się skończyła, i nazajutrz, dnia 23 kwietnia, w rzeczy samej artykuł ten ukazał się w „Monitorze“.

Szło w nim głównie o to, by wylać nieco zimnej wody na rozgorączkowane głowy polskie. W zasadniczych swych wywodach komunikat francuski, który silne na kraj i w wysokim stopniu ujemne wywarł wrażenie, opierał się na znanym nam cyrkularzu księcia Gorczakowa, ministra rosyjskiego spraw zagranicznych, z dnia 20 marca. Rozpisywał się on, podobnie jak wzmiankowany okólnik, obszernie o dobrodziejstwach, jakie rząd rosyjski zlał na Polskę, o jego najlepszych chęciach, o ustępstwach wreszcie, zapewniających Polsce możność rozwoju na podstawach narodowych. Ostrzegał wreszcie opinią publiczną, by nie żywiła złudzeń, „jakoby rząd cesarski dodawał zachęty nadziejom, których zadowolnić nie jest w stanie. Wspaniałomyślne zamiary cara są najpewniejszą rękojmią jego chęci urzeczywistnienia reform, jakich wymaga położenie Polski, i pragnąć należy, by mu nie przeszkodziły w tych zamiarach drażniące manifestacye“. Było to jasne i wyra-

żne; mówiło głośno, że Francya nie ma wcale chęci mięszać się do spraw polskich, że reformy nadane Królestwu są w zupełności odpowiadające położeniu Polski, i że Polacy źle zrobią, jeżeli ich nie przyjmą i nie przestaną wyzywać Rosyi.

Łatwo pojąć, jak przykre wrażenie wywołały te słowa na rewolucyonistów polskich i wogóle na kraj cały. Dla stronnictwa umiarkowanego były one jednym więcej silnym argumentem, że trzeba raz położyć koniec zaburzeniom, które do niczego doprowadzić nie mogą, chyba tylko do następstw jak najgorszych; dla rewolucyonistów zaś, dla Czerwieńców, stanowiły one kamień obrazy i rodziły zdanie, coraz uparciej teraz głoszone, że Polska sama sobie da radę, że nie potrzebuje na nikogo liczyć, że obejdzie się bez pomocy obcej. Ale były to niejako zapowiedzie na przyszłość jeszcze bardzo daleką; w tej chwili wszelako myśl manifestacyi w dniu 15 sierpnia, myśl powstała w jednym z tych kół, które jak bakterye niezdrowe roiły się i żyły w ciele polskiem, musiała wywołać w większości rewolucyonistów opór i niezadowolenie. Opór ten, objawiając się w licznych odezwach, odradzających obchodzenie imienin Napoleona [1]), do niczego jednak nie doprowadził; napróżno wołano, że Napoleon III. „ani słowem ani czynem nie doniósł, że pamięta, co Bóg i świat cały wiedzą, że jest naszym dłużnikiem“. Wszelkie słowa chłodniejsze na nic się nie zdały; nikt nie miał siły do powstrzymania garści szaleńców od awantur; wszak każdy, już dla tego, że był Polakiem i kochał po swojemu ojczyznę, miał prawo robić to, co w jego umyśle chorym wydawało się być dobrem tej ojczyzny. Zapowiadana więc od kilku dni manifestacya musiała przyjść do skutku i w rzeczy samej przyszła.

Suchozanet już od czterech dni wiedział o niej, ale zajęty gotującym się obchodem rocznicy unii Litwy z Pol-

[1]) Jedną z takich odezw pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod Nrem 5.

ską nie przedsiębrał żadnych środków zapobiegawczych [1]). Manifestacya więc mogła się odbyć swobodnie; mogła nawet przybrać rozmiary ogromne i groźne ze względu, że było to święto Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny, i jak zwykle cała Warszawa wyległa na ulice i na swe spacery ulubione. Dzięki jednak zabiegom stronnictw przeciwnych, które nawet poprzylepiały odezwy, wzywające tylko do modłów zwyczajnych, jako w dzień świąteczny, manifestacya zapowiadana odbyła się cicho i nieznacznie.

Garść osób, mająca niby przedstawiać wszelkie stany, udała się do konsula francuskiego, p. Segur du Peyron, z wynurzeniem swych uczuć sympatyi dla Napoleona, „monarchy, który Rosyą i Austryą upokorzył, który wziął w rękę sztandar wolności włoskiej, który dał tyle dowodów przychylności dla nas“. Konsul wysłuchał tego z pewnem zakłopotaniem, które chciał pokryć wyrazem radości i wzruszenia, i podziękował deputatom, jak się sami nazwali. Tych jednak samozwańczych reprezentantów Polski, przemawiających zuchwale w jej imieniu, przy wyjściu z konsulatu, mieszczącego się w pałacu Zamoyskiego na Nowym Świecie, spotkał brzydki wypadek. Przeciwnicy ich bowiem zaczaili się na powracających i oblali ich cuchnącą zawartością naczyń nocnych. Taki miała smutny epilog ta manifestacya niefortunna, o której zresztą mało kto wiedział, tak dalece, że nawet Suchozanet zapewniał cesarza, że „żadnej demonstracyi nie było“, i że „fizyognomia miasta jest zadawalniającą“ [2]).

Jak dalece się mylił i jak na pozorach się opierał, świadczy odezwa „duchowieństwa stolicy do braci i kolegów w całej Polsce“, która właśnie ukazała się w dniu 15

[1]) Do cesarza pisał dnia 11 sierpnia: „na dzień 15 sierpnia, dzień Napoleona, są także wezwania. Przeciw dniowi 15-go sierpnia nic jeszcze nie przedsiębiorę“.

[2]) Depesza z dnia 16 sierpnia: „wczoraj w mieście pomimo znacznego tłumu w kościołach z powodu święta, oprócz pieśni zwykłych, żadnych nieporządków, jak również wieczorem illuminacyi lub jakiejkolwiek demonstracyi nie było. Na cmentarzu Powązkowskim,

sierpnia i w licznych odbitkach rozbiegła się po kraju. Odezwa ta, spłodzona zapewne w rewolucyjnej kuźni księdza Mikoszewskiego, cała przepełniona jest tymi frazesami bombastycznymi, tym patosem górnolotnym, jaki tak obficie napotykamy we wszystkich pismach tych czasów. „Przyjdźcie do nas, woła, przypatrzcie się nam w Warszawie; to już nie płocha zalotnica, ona spoważniała pod koroną cierniową, bo została królową cierpienia, bo w swem łonie skupiła bóle i łzy całej Polski. Ona dziś prawdziwem sercem narodu. Świat cały wstrząsnął się na popełnione w niej zbrodnie z oburzenia i pogardy. Nieprzyjaciele i oszczerce naszego narodu oniemieli, i mimo chęci, mimo woli schylają czoła przed majestatem naszego cierpienia; lud nasz ożywiony jednem uczuciem, zdaje się, że w grobie śpiewa pieśń zmartwychwstania. Na czole spokój, nadludzka rezygnacya, łza w oku, na ustach modlitwa, a w duszy odwaga lwa zranionego; przeszedł on ciężkie, bolesne próby, jednak nie upadł na duchu. Bezbronny a bez bojaźni spogląda na te wymierzone działa, na snujące się hordy. Ruszmy choć półsłówkiem, iż ojczyzna potrzebuje ofiar, a tysiące z otwartą piersią biedz będą po palmy męczeńskie. Z takim ludem miło żyć, miło umierać". Wśród tych patetycznych, do przesytu w tej dobie powtarzanych frazesów, odezwa wzywa duchowieństwo polskie do działalności rewolucyjnej na wielką skalę. „Spotęgujmy nasze siły i podwójmy naszą pracę, woła, bo wielka a stanowcza chwila nadchodzi, a biada temu, kto z założonemi rękami nie pracuje w winnicy, bo nieskosztuje smacznych jej owoców. Taki zostanie obcym wśród swoich, cudzoziemcem wśród zmartwychwstałej ojczyzny, sumienie karać go nie ustanie, a potomność na jego grobie wykona klątwę pasożytowi, który zjadł owoce cudzej krwi i pracy. Co

jak zwykle w dni świąteczne, zebrała sie znaczna ilość ludzi, odśpiewali hymny nad zabitymi i spokojnie się rozeszli. W ogólności cichość i porządek; fizyognomia miasta zadawalniająca". N. Berg także utrzymuje, że manifestacya nie przyszła do skutku, co świadczy, jak sfery rządowe nie miały o niej żadnej wiadomości.

czynić macie, to wam wasze serca i rozum wskaże. Ogrom pracy niech was nie zraża; niepowodzenie niech nie sprowadza z raz wytkniętej drogi. Przy miłości, choćbyście napotkali tam ciernie i głogi, patrzcie na cel a idźcie odważnie, nie zapytując jak daleko do mety. Niech was nie usypia słodki głos dwugłowego ptaka i śpiewający śpiew nadziei, aby nas do snu ukołysać a później pić krew naszą i szarpać wnętrzności naszej matki. W imię Boga i wolności podnosimy krzyż zbawienia, choćbyśmy stanąć mieli na Golgocie! bo lepiej stokroć umrzeć, aniżeli patrzeć na znieważenie świętości, na upodlenie synów pełnej niegdyś sławy dziedziny. W imię Boga, w imię wolności, w imię krwi niewinnie przelanej, zaklinamy was, abyście się przejęli ważnością chwili obecnej a nie ustawali w pracy; jednocząc stany, bądźcie pośrednikami między ludem a jego starszymi braćmi w ważnej dziś sprawie dla kraju, uwłaszczeniu. Mniemamy, że to wam z łatwością przyjdzie, gdyż szlachta nasza zawsze jest gotową dowieść, że jest szlachtą, że czuje wielkie posłannictwo, jakie ma w narodzie. Posyłamy wam bracia te wyrazy nie dla nauki, ale aby wam objaśnić nasze myśli, a wzajem was prosimy, wspierajmy się i działajmy". Wreszcie odezwa się kończy następującemi wiadomościami: „donosimy wam, bracia, że rząd domagał się u arcybiskupa, aby zakazał po kościołach duchowieństwu śpiewów narodowych. Arcypasterz zawezwał na konferencyą duchowieństwo i zaraz odpowiedziano przysłanemu, że nie można pozbawić ludu tej jedynej pociechy. Solnicki [1]) oświadczył, że rząd ma ufność w pomocy duchowieństwa, bo nie chce się mięszać w sprawy kościoła. Odpowiedziano mu, ze rząd zawsze się mięszał, wyliczono fakta i ostatecznie wyrzeczono, że rząd może postąpić, jak mu się podoba. Potem Wielopolski ogłosił wbrew woli i myśli duchowieństwa, jakoby władza duchowna w myśl rządu postępować pragnęła i że rząd

[1]) Solnicki był dyrektorem wydziału wyznań w Komisyi rządowej wyznań i oświecenia publicznego.

będzie ją popierał. Fałsz odkryty, bo duchowieństwo czynem zaprotestowało i protestować nie przestanie, a piśmiennie i jawnie przeciwko temu arcypasterz wystąpił. W lipcu, gdy rząd, widząc swoją niemożność, zaprzestał zabraniać śpiewów, dla pokazania, jak lud warszawski jest powolnym głosowi swoich wybranych, przez tydzień cały wstrzymano się od śpiewów, potem na nowo rozpoczęto z dawną gorliwością".

Odezwa ta najwyraźniej świadczyła, jak dalece dążności rewolucyjne brały górę i jak się czuły na siłach. Szło już teraz nie o inteligencyą, nie o wciągnięcie jej do ruchu, gdyż wciągniętą ona była do niego oddawna, ale o lud, o chłopa. Uderzono więc w niższe duchowieństwo, jako bezpośrednio stykające się z tym chłopem, i pomimo wszystkiego, mające nań zawsze jeszcze znaczny wpływ. Dowodziło to zarazem, że pomimo „zadawalniającej fizyognomii miasta", jak się pocieszał Suchozanet, pod tym pozornym i chwilowym spokojem wszystko wrzało. Wulkan gotował się do wybuchu strasznego. I nie były to już manifestacye uliczne, ale robota poważna, organizacyjna, sięgająca do podstaw narodowego bytu. Wszyscy to zresztą widzieli, kto tylko umiał patrzeć, komu brak zmysłu obserwacyjnego, brak rozumu nie zaciemniał wzroku. Znamy już Sezostrysa moskiewskiego, i wiemy, że patrzeć i sądzić rzeczy nie umiał. Mylił on się na każdym kroku, mylił we wszystkiem, bo nawet pozornego spokoju nie było ani w Warszawie, ani w kraju, i nie mogło być przy powszechnem wzburzeniu umysłów, przy modzie robienia manifestacyi tylko dla tego, by je robić, przy głupocie zdumiewającej i braku wszelkiego taktu ze strony naczelników wojennych. W Kaliszu, jenerał Woronow wezwał do siebie dnia 13 sierpnia dwunastu obywateli przedniejszych, i zażądał od nich, aby w imieniu miasta przeprosili, obrażony mocno kocią muzyką, pułk piechoty nizowski. Odmówili mu jak najkategoryczniej, co było przecież do przewidzenia i tylko jenerał rosyjski, przemieniony w kacyka samowładnego, mógł tego nie przewidzieć i na-

razić się na kompromitującą dla władzy odmowę. Woronow rozgniewany począł grozić; mówił, że on potrafi się pomścić, że na Kalisz nałożone zostaną ogromne podatki, że przyjdzie tu znaczna ilość wojska, które rozkwaterowane po domach potrafi mieszkańcom do żywego dokuczyć. Jakoż odtąd Wronow czyhał tylko na sposobność, by pokazać Kaliszanom swą przewagę, i gdy dnia 15-go sierpnia zebrała się większa ilość osób nad wieczorem na cmentarzu miejskim i poczęła śpiewać pieśni nabożne, rozwinął znaczne siły wojenne, gęstymi patrolami przebiegał miasto, a zebranych na cmentarzu rozpędził przez kozaków batami.

Naczelnik żandarmeryi we Włocławku, Puszkarew, „gbur i pijak“, jak go nazywają relacye współczesne, wysłał kilku żandarmów w okolice Brześcia Kujawskiego, dla przyaresztowania proboszcza parafii Czamanin, ks. Piekarskiego. Ponieważ wysłani dowiedzieli się, że ks. Piekarski bawi w Brześciu, puścili się więc tam za nim. Z powodu uroczystości św. Jacka (dnia 18-go sierpnia) odbywało się właśnie nabożeństwo w kościele i ks. Piekarski miał kazanie. Ledwie je skończył, gdy żandarmi go schwycili i wywieźli. Gwałt ten wywołał ogromne oburzenie śród ludu zebranego w kościele. Rozległ się płacz kobiet, jęk, wszystko co żyło wybiegło na ulicę, krzycząc: „nie damy księdza!“ Tumult przybrał rozmiary tak poważne, że wyprowadzono wojsko, pod zasłoną którego księdza wywieziono. Czyż dla uniknienia tego nie lepiej było poczekać i później księdza aresztować?

Z drugiej strony przydarzały się niemniej opłakane wypadki, świadczące, jak dalece pod wpływem namiętności politycznych serca ludzkie dziczeją. W Tarnogórze, nędznem miasteczku w powiecie Krasnostawskim [1]), padło podejrzenie na miejscowego nauczyciela szkółki elementarnej

[1]) Niektóre relacye utrzymują, że stało się to w Turobinie, ale że mówią współcześnie o rzece Wieprzu, a Turobin nie leży nad Wieprzem, idziemy więc za raportem urzędowym, który miejsce akcyi oznacza w Tarnogórze.

Olędzkiego, że jest szpiegiem. W sam dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej, dnia 15 sierpnia, zebrał się znaczny tłum mieszkańców przed domem nieszczęśliwego nauczyciela, wyprawił mu kocią muzykę, w której wziął udział nawet przedstawiciel władzy, burmistrz Majewski i kasyer Jeziorkowski, poczem wdarto się do mieszkania, wyłamano drzwi i okna, i znalazłszy Olędzkiego, ukrywającego się na strychu, zrzucono go stamtąd. Nie poprzestając na tem, w rozbestwieniu niepojętem, przywiązano biedną ofiarę do drabiny i tak obnoszono po mieście, od czasu do czasu wśród śmiechu dzikiego rzucając wraz z drabiną na ziemię. Wreszcie włożono mu na głowę czapkę, napełnioną ekskrementami ludzkimi, i przy pomocy kwiatów słonecznika obryzgiwano mu twarz moczem. Nakoniec postanowiono to pastwienie się barbarzyńskie, może nad człowiekiem niewinnym, ukoronować utopieniem Olędzkiego w Wieprzu. Już go tam ciągniono, gdy miejscowy naczelnik wojenny wysłał ułanów pułku charkowskiego, którzy zbiegowisko rozpędzili i ofiarę sprawiedliwości ludowej, porzuconą na tratwie w pobliżu młyna, ocalili [1]).

Udział burmistrza w straszliwych scenach Tarnogórskich jest dowodem, jak dalece już w tej dobie administracya rządowa zarażona była ideami rewolucyjnemi.

---

[1]) Według relacyi polskich, napastnicy, wdarłszy się do domu Olędzkiego, zabili tam starą kucharkę jego. Wiadomość ta nie potwierdza się w raportach urzędowych, któreby z pewnością faktu takiego nie ukryły. Sprawa Tarnogórska nabyła wielkiego rozgłosu i już za namiestnictwa Lüdersa winni podlegli surowej karze. Burmistrz Majewski i kasyer Jeziorkowski, za wzięcie udziału w kociej muzyce, dostali dymisyą i osadzeni zostali na trzy miesiące w twierdzy w Zamościu; siedmiu mieszczan młodszych zesłano „w sołdaty“ do wojsk korpusu syberyjskiego, trzech ukarano aresztem dwutygodniowym na odwachu. a trzech nieletnich oddano rodzicom dla wymierzenia kary. *(N. J. Pawliszczew:* „Siedmicy polskago miateża“ I., 65). Relacye polskie utrzymują, że zesłano do wojska 22 osoby, co stanowczo nie zgadza się z raportem urzędowym, jaki mamy przed sobą. Nauczyciel Olędzki został przetranzlokowany do innego miasta i otrzymał znaczne wsparcie rządowe.

Wkrótce takie fakta miały się stawać coraz częstszymi i coraz jaskrawszymi. W tymże mniej więcej czasie (w sierpniu), burmistrz miasteczka Firleja w Lubelskiem, nazwiskiem Jezior, w przystępie jakiegoś uniesienia osobliwszego, w obecności kilku osób, zerwał ze ściany w kancelaryi swego urzędu portret cesarza i podeptał go nogami. Tego samego dnia kazał on zdjąć z domu, w którym się mieścił magistrat, herb państwa i rzucić go w jezioro. Fakta takie, jakkolwiek można je przypisać uniesieniu chwilowemu i bezmyślnemu, świadczą jednak wymownie o tej gorączce straszliwej, jaka ogarniała społeczeństwo polskie [1]).

W Dubience postanowiono obchodzić pamiątkę, zaszczytnej dla oręża polskiego bitwy, stoczonej przez Kościuszkę w roku 1792. Jakkolwiek rocznica ta przypadała dnia 17-go lipca i już minęła, nie kłopotano się tem wiele i uroczystość naznaczono na dzień 16 sierpnia. Już w końcu lipca obiegała po kraju odezwa litografowana, zachęcająca do wzięcia udziału w tym obchodzie. „Tą odezwą zapraszamy wszystkich braci naszych, pisał nieznany autor, z bliższych i najdalszych stron ziemi polskiej, aby przybyć na dzień 16-go sierpnia r. b. na pola Dubienki raczyli i rzuceniem, każdy ze swej strony, garści ziemi dopomogli nam do wzniesienia kopca, który o pamięci i wdzięczności serc naszych świadczyć będzie“. Jakoż zjazd był ogromny; obliczano go na 4.000 osób, przeważnie szlachty z Podlasia, Hrubieszowskiego i Wołynia; przybyła także znaczna ilość studentów z Akademii medycznej w Warszawie, z których inicyatywy, jak się zdaje, obchód ów powstał. Wszyscy przywozili ze sobą trochę ziemi z okolicy, w której mieszkali. Przybywających witały trwożne wieści o znacznem nagromadzeniu się wojska tak w samej Dubience, jak i okolicy. Mówiono, że rząd sprowadził kilka pułków piechoty, armaty, kozaków. Okazało się, że wieści te są przesadzone, że w miasteczku ledwie znajdują się

[1]) Sprawa ta wydała się dopiero w kwietniu 1862 r. wskutek denuncyi mieszczanina z Firleja, nazwiskiem Dembickiego.

dwie setnie kozaków; zresztą, jakiekolwiek by były siły, manifestacya przyjść musiała do skutku, i nie na to się tu zjechano, żeby się cofać przed groźbą napadu moskiewskiego. W rzeczy samej, dnia 16 sierpnia, po nabożeństwie odprawionem w kościółku miejscowym, ruszono procesyonalnie z proboszczem na czele na pole bitwy, gdzie w odległości ćwierci mili, na wzgórzu piaszczystem, na którem, według tradycyi, stać miała baterya dział polskich, przygotowano miejsce na kopiec i wzniesiono krzyż z napisem, błędnym co do daty: „na pamiątkę poległych dnia 16 sierpnia 1792 r.“. Na czele procesyi, wijącej się wieńcem różnobarwnym śród melancholijnej płaszczyzny, niósł szlachcic z sąsiedztwa, były wojskowy polski, Wydźga, wielki sztandar trójkolorowy, na środku którego, na tle purpurowem, wyszyte były symbole owoczesne: krzyż strzaskany, palma, korona cierniowa, oraz Matka Boska Częstochowska i orzeł biały. Kiedy zbliżano się do owego wzgórza, omywanego cichemi wodami Bugu, spostrzeżono gromadkę ludzi z muzyką, oraz kozaków wyciągniętych frontem szerokim. Wzbudziło to trwogę powszechną, zwłaszcza, że według pogłoski, drugi taki oddział miał się zasadzić w lesie, nieopodal się ciągnącym. Kiedy jednak spostrzeżono, że kozacy zachowują się cicho i spokojnie, nabrano odwagi. Na zbudowanym na polu ołtarzu, tuż przy dość już wysoko usypanym kopcu, rozpoczęło się nabożeństwo. Ksiądz Jukundy, reformat z Chełma, miał gwałtowne, półtorej godziny trwające kazanie, pod niebem ziejącem żarem gorącego dnia sierpniowego. Mówił o carach rosyjskich, o „niezabwiennej Jekaterynie“, jak się z ironią wyrażał, o Mikołaju, a mówił w tonie głębokiej nienawiści i pogardy. Na wszystko to kozacy patrzyli w milczeniu, a ich pułkownik słuchał tego kazania dziwnego. Po ukończeniu tej przydługiej nieco mowy, wzięto się do sypania kopca. Znalazła się jakaś prawdziwa czy sztuczna wnuczka Kościuszki z linii pobocznej, którą z wielkim szacunkiem i czcią witano. Muzyka grała pieśni narodowe, po niwach dubieńskich brzmiał stary mazurek o „nieginącej Polsce“,

i płynął na falach Bugu daleko; kopiec gorliwie sypano. Między akademikami i szlachtą przyszło przytem do żywej sprzeczki. Pierwsi chcieli, żeby muzyka z kolei zagrała marsza Mierosławskiego, przeciw czemu szlachta zaoponowała. Zażegnano to starcie, ale marsz nie był grany. Panna hrabianka Załuska ze swym narzeczonym obchodziła z tacą złotą w ręku i zbierała składkę na kopiec. Sypały się papierki, sztuki złote i srebrne, a według wieści, gdy nadobna kwestarka zbliżyła się do pułkownika kozackiego, ten dał 25 rubli. Po usypaniu kopca, który potem z rozkazu władz został zniszczony, wszyscy rozeszli się lub rozjechali i cicha mieścina nadbużańska wieść zaczęła dalej swój senny żywot wegetacyjny, na chwilę zakłócony przez namiętności polityczne [1]).

W Grodnie co wieczór zbierał się tłum na cmentarzu kościelnym i odśpiewywał całą seryą pieśni jak najsumienniej, aż nakoniec przyszło do katastrofy osobliwszego rodzaju. Zdarzyło się, że d. 10 sierpnia w kościele farnym podczas śpiewania hymnów patryotycznych, niejaki Lebel, urzędnik, spostrzegłszy komisarza policyjnego począł mu grozić palcem. Przy wyjściu z kościoła, Lebel wezwany przez policmajstra, by poszedł do gubernatora, stawił opór; zrobiło się oczywiście zbiegowisko i Lebel nie posłuchawszy policyi udał się do siebie. Sprowadzony siłą, został uwolniony z urzędu, aresztowany i osadzony na odwachu. Tymczasem wieść o uwięzieniu Lebela rozbiegła się po mieście, i agitatorzy postanowili z tego skorzystać i wywołać w Grodnie zaburzenia poważniejsze. Dzięki ich zabiegom, koło godz. 7-ej wieczorem utworzyło się zbiegowisko przed domem gubernatora, złożone przeszło z 300 osób, przeważnie jednak kobiet, które z wrzawą i krzykiem domagały się uwolnienia Lebela, a nawet były takie, co chciały gwałtem dostać się do wnętrza mieszkania. Spro-

[1]) Opis manifestacyi opieramy na relacyach świadków naocznych.

wadzone dwie kompanie piechoty i żandarmi rozpędzili nakoniec zbiegowisko [1]).

W Wilnie, od czasu zabawy d. 12 sierpnia w lasku Belmonckim, wzburzenie umysłów nie ustawało, które umieli zręcznie wyzyskać swoi i obcy agitatorzy. Odwiedzanie tłumne miejsca, na którem został powieszony i pochowany Szymon Konarski, weszło niejako w modę. Chodzono tam, modlono się, śpiewano hymny patryotyczne, i znać było po fizyognomii miasta, że lada zdarzenie może wywołać katastrofę. Są poszlaki, że policmajster wileński, pułkownik Wasiliew, „chciwy krwi jak tygrys, a podły jak lis“ i pułkownik Haller, „wykwintny i wymuskany planista, co z łez i krwi lepi sobie piedestał wyniesienia się w hierarchii urzędowej“, jak go charakteryzują relacye współczesne, chcieli tę katastrofę przyspieszyć, i podobnie jak kamarylla zamkowa w Warszawie w d. 8 kwietnia, rzezią krwawą stłumić ruch rewolucyjny w zarodku. Wpływom tych dwóch ludzi ulegał zupełnie „historyczny idyota“ Nazimow, i dał im się

[1]) Po tej awanturze gubernator grodzieński nakazał wzmocnić policyą w mieście pięćdziesięciu kozakami. Zwierzchnicy wszystkich władz rządowych otrzymali polecenie, ażeby codzień znajdowali się w kościołach podczas nabożeństwa porannego. Polecenie to, jako ciekawy okaz rozporządzeń rosyjskich, przytaczamy tu w całości: „w celu dozorowania, ażeby urzędujący młodzi ludzie zachowywali się przyzwoicie i pobożnie w świątyniach Pańskich, i żeby nie brali udziału w śpiewaniu hymnów podburzających, poleca się niniejszem panom zwierzchnikom wszelkich władz, ażeby codziennie od godz. 7 do 10 rano, znajdowali się na nabożeństwie, uprzedziwszy urzędników, że śpiewanie hymnów podburzających w kościele jest wzbronione, i że każdy urzędnik, który będzie śpiewał, zostanie wydalony ze służby, jako niewykonywujący rozporządzeń rządu. Poleca się przytem pp. zwierzchnikom, żeby w razie zapytania władz policyjnych o nazwisko danego urzędnika, który będzie śpiewał, natychmiast potrzebnych wiadomości udzielali“. Oprócz tego gubernator wydał rozporządzenie do dziekana grodzieńskiego, ażeby nabożeństwo poranne przeniesione zostało z godz. 7 na 9. Dziekan na to odpisał, że „porządków istniejących z dawien dawna w kościele rzymsko-katolickim on nie ma prawa zmieniać“.

kierować we wszystkiem. Cokolwiekbądź, rzeczy miały istotnie wkrótce przybrać rozmiary opłakane.

Już w parę dni po zabawie Belmonckiej, poczęła po Wilnie obiegać pogłoska, której źródła trudno dziś się doszukać, że wielka procesya kowieńsko-augustowska, złączona tak „cudownym sposobem“ na moście niemeńskim, wyruszyła ku Wilnu w pielgrzymce pobożnej do Ostrej bramy, że ma być w stolicy Litwy uroczyście przyjmowaną. Chociaż wieść ta była nieprawdopodobną, chociaż przy bliższem zastanowieniu musiała się wydać fałszywą, przecież uwierzono jej powszechnie. Obliczano mający przybyć tłum gości na dziesięć do 15 tysięcy osób, i poczęto dla nich przygotowywać mieszkania i żywność. Z tej to pogłoski, może umyślnie przez policyą rozpuszczonej, skorzystał Wasiliew, i nakazał swym ajentom, ażeby przebiegali miasto i spisywali mieszkania wolne, chcąc niby przyjęciu przeszkodzić [1]). Wicegubernator Nabokow wyraźnie zabronił urzędnikom, pod utratą posady, brania udziału w zbliżającej się jakoby procesyi. Fakta te wymownie świadczą, że pogłoska ta umyślnie była rozpuszczona przez policyą, dla wywołania zbiegowiska, któremu chciano następnie dać naukę krwawą. Niepodobna bowiem przypuścić, by władza, mając na swe zawołanie cały aparat urzędniczy, telegrafy, tysiące wreszcie sposobów dowiedzenia się o istotnym stanie rzeczy, wierzyła w zbliżanie się owej mniemanej procesyi. Według więc wszelkiego prawdopodobieństwa, chciano wywołać zaburzenia, by je za przykładem Warszawy stłumić krwawo. Ale tak samo jak nad Wisłą, tak i nad Wilią, omylono się niestety! co do rezultatów; i dodajmy, że jeżeli wolno było się jeszcze łudzić w Warszawie, to w Wil-

[1]) O tym fakcie mówią wszystkie, jakie posiadamy, relacye polskie. Znajdują one atoli potwierdzenie w źródłach rosyjskich. *Rajkowskij* w swej pracy: „Polskaja mołodzież zapadnago kraja w miatże 1861—1864“ (Russkij Wiestnik, T. LXXX, 283) powiada co następuje: „według podania, istniejącego w Wilnie, niektórzy urzędnicy policyjni obchodzili nawet domy, wzywając do przygotowania mieszkań i żywności dla ludzi, idących z procesyą kowieńską“.

nie już nie. Cały więc zamysł Wasiliewa i innych był prostą zbrodnią, którą historya z całą surowością napiętnować winna.

Bądź co bądź pogłoska owa nierozumna rozpowszechniła się po całem mieście, uwierzono jej zupełnie i oczekiwano z niepokojem przybycia procesyi. Obliczono, że winna ona stanąć w Wilnie najpóźniej d. 16 sierpnia; jakoż w terminie tym oczekiwanie było powszechne, a ruch w mieście przybrał niezwykłe rozmiary. Kto żyw ciągnął na spotkanie procesyi na rogatki Pohulankowskie, ku miejscowości zwanej Dolna karczma, na drodze kowieńskiej. Nie mogąc się atoli doczekać, wracano spokojnie do domu, zachodząc po drodze na grób Konarskiego. Wielu zapuszczało się naprzeciw mniemanej procesyi na odległość dwóch mil polskich, ale oczywiście żadnych o niej nie przynosili wieści. Te wycieczki powtórzyły się i następnego dnia, aż w niedzielę, d. 18 sierpnia, powszechnie poczęto mówić, że „już dziś procesya bez żadnej wątpliwości przybędzie“. Dzień świąteczny, letni, pogodny, wyprowadził ku rogatce Pohulanki ogromne, większe niż dotąd bywało, tłumy. Zbierano się u Ostrej bramy, odśpiewano tam hymny i nad wieczorem, zwłaszcza, że czas przybycia procesyi oznaczono na godz. 8-mą, wielkie, kilkutysięczne masy ludności[1]) znalazły się na przedmieściu, przy wzmiankowanej rogatce.

Tutaj Wasiliew był już na to przygotowany. Koło rogatki ustawił kompanią piechoty i setnię kozaków; samą rogatkę kazał zamknąć i nikogo z miasta nie wypuszczać. Za miastem zaś, na drodze kowieńskiej, w rezerwie rozwinął jeszcze trzy kompanie piechoty; drugiej zaś setce kozaków rozkazał rozstawić posterunki na wszystkich drogach prowadzących z miasta. Jednem słowem otoczył Wilno dokoła. To wystąpienie tak poważnych sił zbrojnych wywołać tylko musiało większe zbiegowisko; już po południu w alejach Pohulankowskich kozacy batami rozpędzali zbierających się. Po mieście rozlegały się głosy: „już idą! już

[1]) Źródła urzędowe obliczają tłum na 5000 głów.

idą!“ co niby znaczyło, że procesya się zbliża i kto tylko mógł biegł ku rogatce. Ujrzawszy wojsko, w tłumie zrodziło się przekonanie, że procesya kowieńska istotnie znajduje się w pobliżu, i że wojsko na to zostało ustawione, by nie dopuścić jej wejścia do miasta i złączenia się z ludnością. Wielu więc postanowiło przedostać się bądź co bądź za miasto; śmielsi przesuwali się pod szlabanem rogatki, przemykali się bokami. Masa jednak główna stała w niemem milczeniu i nie ruszała się wcale; przybywające wszelako nowe tłumy naciskały z tyłu i popychały przednie szeregi ku rogatce i linii wojska. Wśród zebranych, niejaki Krzyżewicz, obywatel ziemski, począł głośno wołać, że trzeba koniecznie iść naprzeciw „braci kowieńskich“. Ktoś rozpuścił pogłoskę, że procesya znajduje się już w górach Ponarskich, i że tam, otoczona przez wojsko, narażona jest na głód. Wieść ta do tego stopnia znajduje wiarę, że tłum się oburza, łatwo zapalne namiętności wielkiego zbiegowiska biorą górę, rozlegają się krzyki: „naszych braci w Ponarach głodem morzą! naprzód! przełamać! zanieśmy im jadła i napoju!“ Wzmiankowany Krzyżewicz, oraz fabrykant kaloszy gumowych Weltz, nie wiele myśląc, rzucają się na oślep, popierani przez tłum, na piechotę, stojącą rozwiniętym frontem, czołem do miasta. Wówczas Wasiliew, konno, z rewolwerem w ręku, zakomenderował: „*na ruku!*“ (na bagnety!) Zrobiło się straszne zamięszanie. Lud począł rzucać na wojsko kamienie, wyrwane z bruku; inni rozebrali znajdujący się w pobliżu płot, i z kijami uderzali na żołnierzy [1]). Ci ostatni nie szczędzili napastników, kolbami bili, tego i owego pokłuli bagnetami, a kozacy nielitościwie smagali batami. Tłum sparty ku parkanowi, znajdującemu się z jednej strony ulicy, wywrócił go; wielu oczywiście upadło i zamięszanie jeszcze bardziej się wzmogło. Krzyki, płacz, jęki rozlegały się dokoła. Wresz-

[1]) Raporta urzędowe utrzymują, że lud przyniósł ze sobą kamienie w kieszeniach, że kobiety niosły je w fartuchach, że wśród zbiegowiska było bardzo wielu mężczyzn, przebranych za kobiety.

cie poczęto przez pola na przełaj uciekać, przyczem kozacy nie przestali ścigać i bić rozbiegających się. Krzyżewicza i Weltza, ciężko poranionych i potłuczonych kolbami, schwytano i odprawiono do szpitala św. Jakóba. Reszta rannych zdołała uciec, i wszystko to zebrało się znów na ulicy Trockiej i przez Dominikańską, niosąc lub prowadząc pokrwawionych, skierowano się ku mieszkaniu jenerał-gubernatora, prawdopodobnie dla pokazania mu, jak się wojsko z ludem obchodzi. Lecz tu na wązkiej Dominikańskiej zagrodził im drogę nowy oddział żołnierzy i kolbami zmusił do odwrotu przez ulicę Niemiecką ku Ostrej bramie, gdzie wiele osób zatrzymało się i poczęło śpiewać hymny patryotyczne. Inna część dotarła do kościoła św. Jana i odśpiewała „Boże, coś Polskę“; poczem wszyscy się rozeszli i Wilno przybrało swój wygląd dawny, z tą zmianą, że gęste patrole przebiegały całą noc ulice miasta.

Taki był przebieg wypadków wileńkich d. 18 sierpnia. Rozdrażnienie w tłumie było tak wielkie, że, gdy jedna z kompanii piechoty wracała do koszar, rzucili się na nią dwaj bracia Tokajewscy i czeladnik Feliks Soroczyński i chcieli najbliższym żołnierzom wyrwać karabiny. Zbici bezlitośnie kolbami, pokrwawieni straszliwie, zostali przytrzymani, a jeden z Tokajewskich, opierając się rozpaczliwie, wołał: „gdybyśmy mieli broń, dalibyśmy wam dopiero!“ Świadczy to, jak silne namiętności owładnęły masami. Po mieście obiegały najróżnorodniejsze wieści; mówiono, że w starciu przy rogatce zabito ośm osób, a przeszło sto raniono; że między zabitymi znajduje się córka jenerała Abramowicza; że wojsko, za przykładem Warszawy, wiele trupów wrzuciło do Wilii. Trudno dziś dojść prawdy; zdaje się jednak, że nie zabito nikogo, że zato liczba rannych wynosiła do dwudziestu trzech osób, z których kilka później, wskutek wzruszenia, przestrachu, a może i znacznego upływu krwi, miało umrzeć [1]). Agitatorzy, re-

[1]) Relacye polskie pod tym względem są pełne sprzeczności, tak że nic pewnego z nich wyciągnąć się nie da. Pogłoskę o zabi-

wolucyoniści umyślnie rozpuszczali wieści przesadzone, głośno rozpowiadali o zabitych, o rzezi krwawej, o gwałtach strasznych. Z tego też powodu wypadki wileńskie miały bardzo doniosłe znaczenie polityczne. Były one niejako potwierdzeniem, krwią przypieczętowanem, jak mówiono, starej unii Jagiellońskiej dwóch narodów; dowodziły, że Polska nie kończy się na Królestwie Kongresowem, ale że do ziem litewskich ma nie tylko prawo historyczne, ale i prawo narodowe. Prosta awantura uliczna, wywołana przez niezręczność lub złą wolę kacyka Wasiliewa, stała się dla agitacyi faktem bardzo pożądanym, który wyzyskać potrafiono umiejętnie. „Z kim Litwa? pytał Hercen w „Kołokole“ — mogło to być kwestyą do 6/18 sierpnia roku bieżącego. Teraz kwestya rozstrzygnięta“. Rozpoczął się w całym kraju szereg nabożeństw za poległych w Wilnie, ze zwykłemi w takich razach akcesoryami. Po całej Litwie obiegał cyrkularz, wydany jakoby przez biskupa wileńskiego, księdza Krasińskiego, donoszący o „zdradzieckiej rzezi bezbronnych“, i wołający, że „nasza obrona w Bogu“. Nazimow rozgniewany tem, a może przestraszony rozmiarami, jakie przybierają następstwa awantury 18 sierpnia, urzędownie „poprosił“, jak się sam wyraża, biskupa, „ażeby mu przesłał szczegółowe wiadomości względem tego wezwania“. Krasiński odpowiedział na to, jak się zresztą spodziewać należało, że „podobnego wezwania nigdy nie wydawał, nie podpisywał, i że to wezwanie jest fałszywe“. Dla położenia wreszcie końca tym wieściom, Nazimow uciekł się do osobliwszego środka. Wezwał marszałka gubernialnego szlachty, Domeykę, oraz burmistrza (gołowę) miasta Wilna, ażeby go objaśnili: „kto mianowicie, wedle zasięgniętych przez nich wiadomości, z liczby miejscowej albo przyjezdnej szlachty, a także z liczby mieszkańców miasta, rzeczywiście

---

tych umyślnie rozpuszczano w celach agitacyjnych, choć ani jednego nazwiska, prócz owej Abramowiczówny, nie umiano przytoczyć. Liczba ranionych, zdaje się, że nie przenosiła cyfry w tekście wymienionej.

uważa się (sic) za zabitego, lub zaginionego bez wieści, albo nakoniec utopionego w rzece? Domeyko odpowiedział, że „nikt mu nie wskazał, ażeby zginął ktokolwiek ze szlachty w wypadku d. 18 sierpnia“. Burmistrz wileński, Straus, pisał, że „dotychczas nie miał on żadnej wiadomości i nikt doń nie zanosił skargi, i z uczynionych przezeń najstaranniejszych poszukiwań nie okazało się, ażeby w czasie zaszłych w Wilnie 18 sierpnia nieporządków ktokolwiek z mieszkańców miasta został zabity, zginął, lub był utopiony w rzece“. Ogłaszając o tym rezultacie swej ankiety, Nazimow robił słuszną uwagę, że „odprawianie nabożeństw za spokój dusz zabitych, których nie było, będzie tylko naigrawaniem się nad świętym obrządkiem“.

W niczem to jednak nie miało wpłynąć na postępowanie agitatorów. Sposobność była zanadto dobra, doniosłość faktu zanadto wielka, by z niej nie miano korzystać. Twierdzenia biskupa wileńskiego, marszałka i burmistrza uważano za wymuszone; wołano, że przecież nie mogli inaczej odpowiedzieć nie chcąc się narażać, że to zatem nie ma żadnego znaczenia, że rzeź była i straszliwe sceny w Wilnie się rozgrywały [1]). Poczęto teraz powszechnie Nazimowa zwać „Masakrowem“, a nabożeństwa w dalszym ciągu w całym kraju się odbywały [2]).

---

[1]) Jak dalece wierzono temu, świadczy № 5 „Strażnicy“ z d. 2 września. Znajdujemy tam ustęp taki: „o uroczystości 12 sierpnia nie mówiliśmy dotąd, jako o rzeczy wszystkim znanej, jako o rzeczy tak wielkiej i wzniosłej, że obawialiśmy się poniżyć jej niezręcznem dotykając piórem. Powiemy tylko, że prowincye, kto wie czy nie przewyższyły, jeżeliby to być mogło, Warszawy; a ta święta ojczyzna Rejtanów, Kościuszków, Mickiewiczów, Litwa, w całej swej ukazała się chwale. Nie zaspali przecież i Moskale sprawy, i w odwecie krwawych na Wilnie w kilka dni później dopuścili się mordów. Nie mamy o tej ukartowanej i przygotowanej przez wroga rzezi bliższych dotąd szczegółów, i wiemy tylko, że dzikie hordy nie oszczędzały płci i wieku, że bagnet główną grał rolę, i że liczba poległych i rannych do 300 osób dochodzi, pomiędzy któremi podobno 12 braci Izraelitów męczeńską śmiercią dało świadectwo miłości dla kraju“.

[2]) W Krakowie przyszło nawet z tego powodu do licznych awantur. Policya w czasie nabożeństwa gwałtem otwierała sklepy

Wśród takich to okoliczności, wśród rozszalałych fal powszechnego wzburzenia, kończył swe panowanie w Warszawie, Suchozanet. Dawno oczekiwany hrabia Lambert przybył do stolicy polskiej dnia 23 sierpnia, a z nim miała się zacząć najdziwniejsza, najdramatyczniejsza epoka tych wogóle dziwnych i głęboko dramatycznych czasów. Jak wiadomo, pierwotnie, w ostatnich dniach kwietnia, gdy Gorczakow uznał za konieczne usunąć Paniutyna z jenerał-gubernatorstwa warszawskiego, Lambert był przeznaczony na to stanowisko, i chory namiestnik, pisząc o tem do cesarza, wzdychał: „daj Boże, aby Lambert się zgodził, lepszego wyboru nie można pragnąć“ [1]). Jakoż bez zaprzeczenia, wśród licznej, szarej, po większej części bezbarwnej rzeszy różnych jenerałów, błyszczących swymi mundurami na ulicach i salonach petersburskich, Lambert był osobistością wybitną, wypukle występującą na tem tle małych inteligencyi, ale zato olbrzymich pretensyi. Pochodził on z rodziny francuskiej. Ojciec jego, hrabia Karol Lambert, służył niegdyś w gwardyi króla Ludwika XVI, a gdy rewolucya wybuchła, razem z wieloma przedstawicielami szlachty francuskiej emigrował i poszedł szukać karyery aż w Rosyi, gdzie właśnie wtedy panowała Katarzyna. Został tu odrazu majorem w pułku Kinburskim strzelców konnych, zwanych w Rosyi dragonami. Już w początkach swej nowej egzystencyi miał on poznać bliżej kraj, w którym później przyszło jego synowi rządzić. Lambert bił się pod Maciejowicami, a przy szturmie Pragi, ten Francuz, przemieniony nagle na Moskala, obficie maczał ręce w krwi polskiej. Był to typ karyerowicza i rębacza; ożenił się z córką jenerała Diejewa, bił się przeciw rodakom wła-

i pod przewodnictwem dyrektora swego, hofrata Paümana, biła ludzi kolbami po ulicach i mnóstwo osób aresztowała. Kilkadziesiąt kobiet wskutek tego, naśladując damy wileńskie, udało się do feldmarszałka Bamberga, aby uwięzionych wypuścił. Przemawiały głównie panie: Dawidowiczowa i Krynicka. Jakoż tak potrafiły wpłynąć na Bamberga, że ten kilkanaście osób zaraz uwolnił.

[1]) Telegram z d. 30 kwietnia.

snym i nie szczędził ich wcale, co w języku pospolitym nazywa się zdradą najnikczemniejszą, i umarł w późnej starości jako jenerał jazdy, w r. 1843. Pozostawił dwóch synów: Józefa i Karola, Szarlem z francuska powszechnie zwanego.

Szarl był podobnie jak ojciec typem zręcznego karyerowicza, nie nosił już tylko na sobie plamy walczenia z bronią w ręku przeciw własnej ojczyznie. Miał w sobie dużo charakteru francuskiego, połączonego z hamletowskiem marzycielstwem i niestanowczością Słowianina. Śliczny typ, inteligencya niezwykła, lotność umysłu niepospolita, istna ozdoba natury człowieczej, ale wśród życia spokojnego, obfitego, cichego, bez wielkich wstrząśnień i bez wielkich zagadnień. Los, przypadek, który zawsze sobie igraszkę robi z ludzi i rzeczy, z narodów i ich przeznaczeń, kazał Lambertowi, zdolnemu „z kochankami w niebo wzlatać, włosy splatać i rozplatać“, jak mówi poeta, stanąć wśród burzy, i wśród wyjących wichrów i piętrzących się fal sterować nawą polską. Z Polakami znał się od wczesnej młodości; w korpusie paziów, tej szkole jenerałów i dygnitarzy rosyjskich, spotykał się z wielkiemi imionami historycznemi Polski, które tam słać swe dzieci musiały, by uśpić podejrzliwość tyrana [1]). Był doskonałym, namiętnym jeźdźcem, i tak jak ojciec wstąpił do kawaleryi, do gwardyi konnej (kawalergardów). Zbudowany jak Antinous, o twarzy uderzającej czystością rysunku, o wielkich, czarnych oczach, palących i rozmarzonych zarazem, ślicznie wychowany, zręczny, elegancki, umiał z tych darów natury korzystać, i przesuwał się przez życie, przez drogę najeżoną kolcami dworskich łask i nie-

[1]) Opowiadają, że z Janem Tadeuszem księciem Lubomirskim zrobił raz zakład szalony. Kiedy zbudowano pierwszą w Rosyi kolej żelazną z Petersburga do Pawłowska, Lambert uczynił zakład, że się położy na drodze między szynami, a pociąg nad nim przejedzie. Jakoż dokonał swego i wyszedł cało, tylko mu węgle, spadłe z parowozu, nieco kołnierz u surduta opaliły. Objaw to brawury francuskiej w połączeniu ze ślepem poczuciem fatalizmu Słowianina.

łask, bez obrażania sobie stóp. W swej naturze miękkiej miał dużo praktyczności i chłodnego rozsądku. Potrafił zachowywać i utrzymywać wszelkie stosunki i wszelkie znajomości. Z kolegami szkolnymi, z których wielu posunęło się bardzo wysoko, żył zawsze w przyjaźni i serdeczności. Jego postawa, ruchy wykwintne, rycerska konna jazda, zwróciła nań uwagę kobiet, które w Petersburgu, jak w haremach sułtanów wschodnich, stanowią siłę ogromną; a za niemi padły na Lamberta i oczy wszechwładnego cara tak, że wkrótce, po jednej z parad wojskowych, przyszły wielkorządca Polski, został t. z. fligieladjutantem cesarskim, co już było wielką, niezwykłą karyerą. Odtąd szedł coraz wyżej. W r. 1844 udał się na Kaukaz, gdzie w korpusie jenerała Freytaga brał udział w kilku potyczkach, wsłuchał się w świst kul czeczeńskich. Uchodził teraz za żołnierza, który wie, co to wojna. Po powrocie z Kaukazu zostaje jenerał-majorem orszaku cesarskiego, i wreszcie otrzymuje dowództwo pułku gwardyi konnej. Pułk ten w owe czasy stał kwaterą w Międzyrzecu na Podlasiu, w cichem, smutnem miasteczku polskiem, gdzie musiał przebywać także nowy, świetny dowódca kawalergardów, panicz wykwintny, zdobywca serc dam petersburskich. Była to pierwsza jego znajomość z Polską, znajomość zapewne bardzo pobieżna. Wśród melancholijnych niw podlaskich, wśród pejzażu, którego granicą były zawsze sine lasy sosnowe, nie myślał on o Polsce, ani o jej życiu, ani o przeszłości i przyszłości. Czyż mógł zresztą przypuszczać, że kiedyś przeznaczenie odda mu w ręce losy tego kraju?

Po śmierci Mikołaja, pułk, którym dowodził Lambert, został wezwany do Moskwy, dla asystowania przy koronacyi nowego cara. Dowódca przy tej sposobności został jenerał-porucznikiem, a wkrótce potem jenerał-adjutantem i odkomenderowany został do Petersburga. Tu zostaje naczelnikiem osad wojskowych, należy do komisyi, ustanowionej przez cesarza, dla reformy armii, jest zawsze świetnym jenerałem, zwracającym na siebie uwagę powszechną. Wypadkiem nieszczęśliwym, w r. 1860 złamał nogę na

ulicy Wielkiej Milionnej przy wywróceniu się powozu, i dla poratowania zdrowia udał się zagranicę, do Paryża, gdzie go ciągnęły dawne wspomnienia rodzinne i piękne oczy podobno. Tam dochodziły go wieści o Polsce, o rozruchach w niej, o rewolucyjnym nastroju umysłów. Wśród otoczenia francuskiego, wśród żywej opinii francuskiej, sympatyzującej z Polską, nie mógł pozostać obojętnym umysł tak wrażliwy, jaki posiadał Lambert, na rozgrywające się przed nim wypadki. Znał on przecież choć trochę Polskę; ponieważ wszyscy się nią zajmowali, więc i on bacznie śledził wypadki. Odczuwał niejako prąd tego wiru szalonego, który porywał nad Wisłą i ludzi i rzeczy i pędził w przyszłość nieznaną, i w duszy przyznawał, że nic i nikt nie będzie w stanie oprzeć się tej burzy straszliwej.

Takie było położenie rzeczy, gdy usunięcie Paniutyna z jenerał-gubernatorstwa warszawskiego wywołało w Petersburgu potrzebę poszukania kogoś na to miejsce. Cesarz rozglądał się wśród swych jenerałów, wahał się w wyborze, gdy jeden z przyjaciół szkolnych Lamberta, zajmujący w owej chwili stanowisko bardzo wysokie, zwrócił uwagę Aleksandra na przebywającego w Paryżu Lamberta. Przedstawił cesarzowi, że Lambert jest człowiekiem w sile wieku męzkiego, że jest rozumny, wykształcony, zręczny, pełen powagi i taktu, że jest wytworny w obejściu, że przedstawia prawdziwy typ szlachcica francuskiego, że jednem słowem posiada cały urok zewnętrzny, tak konieczny w kraju takim jak Polska, kraju starej szlachty i pięknych kobiet. Położył nacisk na to, że Lambert jest z pochodzenia Francuzem, co w Polsce, tak żywo sympatyzującej z Francyą, nie małego może być znaczenia; że zna Polskę, bo w niej mieszkał; że ze swego oddalenia, w Paryżu, bacznie przypatrywał się wypadkom warszawskim; że nareszcie, co najważniejsza, jest katolikiem, co niezaprzeczenie może mieć wielką doniosłość w kraju na wskróś katolickim, ulegającym silnym wpływom duchowieństwa. Mówił, że wyznanie Lamberta może spowodować zbliżenie się jego do kleru polskiego, który już wyra-

żnie nieprzyjazną względem rządu przybierał postawę; że jeżeli nakoniec rząd zamierza w stosunku do Polski wejść na drogę ustępstw, drogę łagodności, to najlepszem narzędziem potemu będzie Lambert, człowiek z natury łagodny, miękki, nie lubiący starć, owszem kochający się w ciszy, w pokoju, w uśmiechniętych i zadowolonych twarzach. Zapewniał, że swem obejściem wytwornem i salonowem, swą zręcznością, wyznaniem, pięknością swej postawy, inteligencyą niezwykłą, potrafi on ująć Polaków, naród przywiązujący wielką wagę do pozorów zewnętrznych, i poprowadzi ich, gdzie będzie chciał.

Te słowa wymowne i, jak się zdawało, zupełnie uzasadnione i racyonalne zrobiły swoje. Do Paryża śpiesznie wysłano depeszę z zapytaniem do Lamberta, czy podejmie się objęcia stanowiska jenerał-gubernatora w Warszawie, przyczem nakazano mu wrócić do Petersburga. Stało się to w połowie kwietnia. Lambert widocznie wahał się, gdyż do 15 maja nie było jeszcze od niego odpowiedzi stanowczej [1]). Tymczasem wypadki biegły; słabość charakteru Gorczakowa, jego brak decyzyi wśród najważniejszych zdarzeń, poczęły budzić niezadowolenie w Petersburgu. Jak wiemy, chciano mu dać urlop zagranicę i całkiem go usunąć z Warszawy. Tego smutnego końca uniknął Gorczakow przez swą chorobę i śmierć. Trzeba było myśleć już nietylko o jenerał-gubernatorze, ale i o nowym namiestniku dla Polski. Właśnie w chwili zgonu starego Gorczakowa i przybycia do Warszawy jego zastępcy tymczasowego, zjawił się (dnia 31-go maja) w stolicy polskiej i Lambert w swym przejeździe z Paryża do Rosyi. Zabawił w naszem mieście pięć dni, odwiedził zwłoki Gorczakowa, stojące w cerkwi Łazienkowskiej, przypatrywał się ludziom i rzeczom ciekawie, o to i owo się przepytywał, pokazywał kilku dygnitarzom wojskowym depeszę cesarską, wzywającą go na stanowisko jenerał-gubernatora, i zdawał się

[1]) Depesza cesarska z dnia 15 (3) maja: „odpowiedzi stanowczej od hr. Lamberta jeszcze niema; oczekują jej w ciągu tygodnia".

szukać zagadki tej gorączki straszliwej, która owładnęła miastem i krajem. Pojawienie się jego wśród dygnitarzy rosyjskich, rządzących Polską, nie pozostało bez wrażenia, które spotęgowała pokazywana im depesza cesarska. Wielu przeczuwając w osobie Lamberta przyszłą gwiazdę na horyzoncie Warszawy, szli już teraz bić mu pokłony, a najniżej się kłaniał „chytry Ormianin“, Bebutow, znany nam już z rozwiązywania Delegacyi prowincyonalnych. Lambert w czasie krótkiego swego, pięciodniowego pobytu, zapewne nie wiele mógł się dowiedzieć o położeniu kraju, jakkolwiek z Suchozanetem dużo o tem rozmawiał i zdaje się, że już wtedy układał sobie plan postępowania [1]). Wyjednawszy nakoniec pozwolenie jechania do Moskwy, gdzie właśnie cesarz bawił, udał się tam na Petersburg dnia 5 czerwca. W Moskwie stanął dnia 11 t. m.

Tymczasem tu, wskutek znanej nam odmowy Tuczkowa w sprawie namiestnictwa w Polsce, zaszły w położeniu rzeczy poważne zmiany. Szło teraz o to, komu powierzyć, niezmiernie w tej chwili trudne i śliskie, stanowisko wielkorządcy wzburzonej do dna Polski. Cesarz, zdaje się, zwrócił znów oczy na Lamberta, który według jednych nie chciał wcale namiestnictwa, według drugich zaś starał się i zabiegał o to usilnie przez stosunki i licznych swych przyjaciół. Mniemać wszelako należy, że to drugie twierdzenie jest prawdopodobniejsze; zawszeć to była karyera, jedno ze stanowisk najwyższych w państwie, ten tron namiestnikowski w Polsce. Było się zdala od olśniewającego blasku dworu, stało się na czele wszystkich, i jak Cezar można było powiedzieć: wolę być pierwszym w Warszawie, jak drugim w Petersburgu. Bądź co bądź rzecz się rozstrzygnęła dość prędko, i już w parę tygodni Lambert był faktycznym namiestnikiem Królestwa,

[1]) Tak sądzić należy z depeszy Suchozaneta do cesarza z dnia 9 czerwca: „Lambert objaśni W. C. Mości osobiście istotne położenie kraju, i przedstawi uznany przez nas za jedynie możliwy sposób postępowania, oraz o osobach, które tu są niezbędnie konieczne“.

jakkolwiek urzędownie nie było o tem ogłoszone [1]), Suchozanet nalegał ciągle, by przyszły namiestnik przybywał, sądząc i słusznie, że w Warszawie w ciągu jednego dnia więcej się dowie o Polsce i położeniu rzeczy, niż przez miesiące w Petersburgu. Cesarz odpowiedział na to, że wkrótce przybędzie. Tymczasem przyjazd ten przewlóczył się i musiał się przewlóczyć. Trzeba było bowiem przyszłego namiestnika podnieść na wyżyny odpowiednie obecnemu jego stanowisku; gdyż oprócz wielkorządztwa miał być głównodowodzącym tak zwaną 1-szą armią, konsystującą w Królestwie, a jako jenerał-adjutant byłby niższy co do stopnia od trzech dowódców korpusów, stojących w Polsce, od jenerałów: Łabyczewa, Liprandiego i Wrangla. Jakoż z końcem lipca nastąpił szereg nominacyi Lamberta na coraz wyższe stopnie. Przez rozkaz cesarski z dnia 1 sierpnia został mianowany zarządzającym sprawami kwatery głównej i orszaku cesarskiego; przez rozkaz z dnia 18 sierpnia otrzymał stopień jenerała jazdy i namiestnictwo Królestwa Polskiego.

Nominacya ta, jej ton i treść świadczy, że po długiej, blizko trzymiesięcznej walce w Petersburgu, gdzie od zamiarów surowych, od chęci zdeptania Polski siłą, przechodzono co chwila do usposobienia łagodnego, do myśli gojenia ran i ustępstw, to drugie wzięło górę. Nie ulega kwestyi, że do takiej decyzyi przyczynił się bardzo pobyt Wielopolskiego (syna) w stolicy nad Newą. Bądź co bądź nominacya Lamberta mówiła, że rząd, w tej dobie

[1]) Że tak było, że w czerwcu już zapadło co do tego postanowienie, świadczy depesza Suchozaneta z dnia 30 czerwca tej treści: „zwłoka w przybyciu hr. Lamberta z powodu studyowania spraw Królestwa w Petersburgu, według mego zdania, jest niewynagrodzoną stratą czasu, tak ze względu na pożytek służby, jak i dla niego samego. Tu (w Warszawie) w ciągu jednego dnia więcej się dowie o położeniu i potrzebach kraju, niż zajmując się niemi przez długi czas w Petersburgu. Obecność jego tutaj ze względu na wybory, pobyt Płatonowa i projekta co do policyi Potapowa, uważam za konieczną, gdyż w obecnej chwili człowiek przeznaczony dla kraju powinien się tu znajdować".

przynajmniej, nie ma zamiaru cofać się z drogi, na którą wszedł za Gorczakowa. „Hrabio Lambercie! pisał cesarz, powołałem cię do sprawowania obowiązków namiestnika mojego w Królestwie Polskiem. Z zupełnem zaufaniem poruczam ci użyć wszelkich środków, jakie za właściwe uznasz, ażeby instytucye nadane Królestwu ukazem moim z dnia 14 (26) marca r. b. przyniosły w wykonaniu pomyślne skutki. W świetle i rozsądku mieszkańców Królestwa Polskiego pokładam mocną ufność, że zrozumieją, iż rękojmią większej nadal samoistności zarządu, pomyślności ogólnej, stać się może tylko rozwój na drodze prawnej nadanych instytucyi, nie zaś zamieszki i wzburzenia ludowe, przeszkadzające spełnieniu moich najlepszych chęci i zamiarów. Powołaj do współudziału w pracy ludzi zdolnych i prawych, ażeby rzeczywiście potrzeby ukochanych moich poddanych dochodziły do mnie za pośrednictwem twojem, jako prawny wyraz ogólnych życzeń, dojrzale rozważonych w kole światłych i ożywionych dobremi chęciami obywateli, a nie w kształcie obłędnych ułudzeń, podniecanych przez nieprzyjaciół wszelkiego porządku. Ustal spokojność w kraju, a ja z mej strony, z radością puszczę w niepamięć dni ubiegłe i odpowiem miłością i zaufaniem na miłość i zaufanie do mnie narodu polskiego“.

Lambert do Warszawy jednak nie przybywał. Cesarz kilkakrotnie naznaczał już dzień jego przyjazdu, potem znów następowała zwłoka, i dnia 12 sierpnia, w chwili, gdy na całym obszarze dawnej rzeczypospolitej odbywała się uroczystość obchodu rocznicy unii lubelskiej, donosił, że: „hr. Lambert zatrzymany został przez ważne sprawy“, i w cztery dni potem pisał, że wyjeżdża do Warszawy dnia 19 sierpnia rano, właściwie jednak wyjechał dopiero w parę dni później. Przez czas swego długiego pobytu w Petersburgu, Lambert okazywał sobą zjawisko ciekawe, ale niestety! bardzo pospolite śród ludzi pod rządem despotycznym wychowanych. Mieszkał wówczas na Mojce, wraz z bratem swoim Józefem, i raz na tydzień przyjmo-

wał swych przyjaciół i znajomych. Ale jeżeli dotąd był dla nich serdeczny, wylany, jeżeli ich przypuszczał do wesołej, towarzyskiej poufałości, to teraz, gdy miał zostać namiestnikiem, przybrał postawę i ton wyższości, otoczył się obłokiem powagi i zimnej etykiety. Na owych zebraniach wieczornych pojawiał się późno, wychodził ze swych pokojów jak panujący, i przyjmował ukłony jako hołd mu należny. Udawał teraz, że z niechęcią bierze namiestnictwo, że ulega tylko woli cesarza i do winszujących mu przyjaciół mówił: „nie winszujcie, zmiłujcie się; w Petersburgu złamałem tylko nogę, a w Warszawie złamać mogę głowę!“ Słowa te obiegły po mieście, powtarzano je sobie, cytowano je później jako smutne proroctwo, które niestety! sprawdzić się miało; ale ludzie, umiejący patrzeć na rzeczy, umysły czyste i niepodległe, ubolewały zapewne w skrytości, że nawet tak piękna i niezwykła natura jak Lamberta uległa zgubnym wpływom ambicyi i karyerowiczowstwa poziomego.

Jedną z przyczyn, przedłużającą na nieszczęście Polski pobyt Lamberta w Petersburgu, było wyszukanie kogoś na stanowisko jenerał-gubernatora warszawskiego, opróżnione przez Paniutyna. W wyborze wahano się długo; nakoniec uwaga cesarza padła na Aleksandra Gerstenzweiga, nie bez wpływu zapewne Suchozaneta, którego Gerstenzweig był ulubieńcem. Rozliczne względy składały się na ten wybór. Gerstenzweig był, podobnie jak Lambert, ambitny, zręczny, chciwy karyery; odznaczał się rozumem, wysokiem wykształceniem i silnym, prawie żelaznym charakterem. Był on o wiele młodszy od Lamberta, i w gruncie rzeczy zdecydowany nieprzyjaciel wszystkiego co polskie. Ta nieprzyjaźń nie pochodziła ztąd, by mu Polska kiedykolwiek jaką szkodę lub krzywdę wyrządziła, nie znał jej, nie przebywał w niej nigdy, ale dla tego, że się urodził z Polki, i że był skuzynowany z Polakami (był szwagrem jenerała Niepokojczyckiego, późniejszego szefa sztabu w wojnie tureckiej. Matka jego była Madalińska, córka generała kościuszkowskiego, sławnego z podniesienia sztandaru

powstania ze swą brygadą i śmiałego pochodu z Mazowsza aż pod Kraków, wśród nieprzyjaciół, otaczających go dokoła. Matka wychowała inne swe dzieci w duchu polskim [1]). Aleksander zaś, przyszły jenerał-gubernator warszawski, oddany za młodu do korpusu paziów, wyniósł tylko z domu wiadomość, że był synem Polki, i chcąc być bardziej katolickim niż sam papież, wzbudził w sobie nienawiść do polskości. Nie umiał po polsku, nie chciał słyszeć o Polsce, i czując, że jego pochodzenie może niekorzystnie wpłynąć na przyszłą karyerę, głośno, przy każdej sposobności objawiał swą nienawiść. Brzydki i pospolity typ karyerowicza rosyjskiego.

Ta jego znana powszechnie nienawiść do Polaków i Polski bodaj czy nie najwięcej wpłynęła na wybór cesarski. Rząd rosyjski w stosunku do nas nigdy nie był szczerym i uczciwym; robiąc ustępstwa, robił je zawsze z niechęcią, i starał się zostawić sobie otworem furtkę, przez którą przy danej sposobności mógłby się wycofać. Posyłając do Warszawy Lamberta, znanego z łagodności i usposobienia miękiego, głosząc publicznie, że jedzie tam dla tego, by „instytucye nadane Królestwu przyniosły w wykonaniu pomyślne skutki“, by „wzbudził miłość i zaufanie narodu polskiego“ do cara, lękano się, aby nowy namiestnik nie zaszedł za daleko na drodze ustępstw, by nie zanadto popuszczał cugli, i dano mu w charakterze nadzorcy, w charakterze Mentora nad nowym Telemakiem

[1]) Jeden z młodszych braci Aleksandra, podpułkownik dymisyonowany, znacznie już później, bo w roku 1875. a zatem w dobie reakcyi, gdy nie było ani bezpiecznem, ani pożytecznem okazywać swe sympatye polskie, głośno w gronie wygnańców polskich utrzymywał, że rodzina jego jest pochodzenia polskiego. Przodkowie jego mieli pierwotnie pochodzić ze Szwecyi, zkąd przenieśli się do Polski i zmienili swe nazwisko na Jęczmionkowskich. On sam uważał się za Polaka, czytał wiele w naszym języku, którym władał doskonale. Aleksander, najstarszy z braci, usunięty wcześnie z pod wpływu matki, był zupełnie innym, i jak każdy odszczepieniec, serdecznie nas nienawidził. (Z ustnych podań).

moskiewskim, surowego i przejętego nienawiścią do Polski, Gerstenzweiga. Wiedziano przytem, że Lambert nie lubi tego ostatniego, że stosunki ich zawsze były chłodne i naprężone, że obadwa podejrzywali się wzajemnie o zamiary ambitne. Był to jeden więcej powód, by właśnie dla tego posłać do Warszawy Aleksandra Daniłowicza, jak zwano w Rosyi przyszłego jenerał-gubernatora warszawskiego. Nakoniec nie wiedziano w Petersburgu, co zrobić z Gerstenzweigiem, ulubieńcem Suchozaneta, który, jako minister wojny, zrobił go jenerałem dyżurnym i swą ręką prawą. Teraz, kiedy Suchozaneta odsuwano od wszelkich stanowisk wpływowych, musiały być usunięte i wszystkie jego kreatury. Nadawała się wyborna sposobność, by Gerstenzweiga oddalić z Petersburga i rzucić na pastwę nowoczesnemu Molochowi-Polsce, pożerającej w swym płomienistym uścisku każdego, kto dotknął się jej łona.

Nominacya Gerstenzweiga zdecydowana była dnia 1 sierpnia, o czem cesarz zaraz doniósł Suchozanetowi. Oprócz jenerał-gubernatorstwa, powierzono mu stanowisko dyrektora głównego w Komisyi rządowej spraw wewnętrznych po usuwającym się Giecewiczu, „z prawem, jak brzmi ukaz, zarządzania częścią cywilną w kraju i przewodniczenia w Radzie administracyjnej, jako też w Radzie stanu Królestwa, w razie nieobecności namiestnika“. Gerstenzweig z wyraźną niechęcią przyjmował tę nominacyą; dla tego rodzaju człowieka było to zamknięcie karyery, jedynie możliwej w samej stolicy caratu. Usunięcie go stąd znaczyło, że inni zdołają go wyprzedzić i w razie potrzeby podstawić mu stołka. Przytem drażniło go niezmiernie stanowisko podrzędne wobec Lamberta, którego szczerze nie cierpiał. Wybierał się do miejsca swego przeznaczenia nowego z ciężkiem sercem, ze złemi przeczuciami, z tajonym gniewem ambicyi obrażonej, z przekonaniem, że karyera jego państwowa skończona. Również niechętnie na tę nominacyą patrzał Lambert. Do jego uszów doszło to i owo, w jakim ostatecznie celu wysyłany jest Gerstenzweig, sama logika zresztą przekonywała go o tem. Jeżeli

bowiem taki człowiek rozumny, zręczny, ostrożny, jak Gerstenzweig, zdecydował się opuścić stolicę caratu, jeżeli przestał marzyć o ogrzewaniu się w blasku słońca padyszachowego, jeżeli nie spróbował nawet podania się do dymisyi, w chwili gdy go nakłaniano do podróży do Warszawy, to zapewne dla tego, że w podróży tej ma cel jakiś, jakieś zamiary podejrzane i zgubne, że liczy może na to, iż wcześniej czy później zdoła namiestnika wysadzić z siodła i samemu siąść na stolec wielkorządcy w Zamku warszawskim. Te podejrzenia znajdowały potwierdzenie w plotkach i insynuacyach, wychodzących z ust dusz poziomych i płaskich, wieszających się przy nowem słońcu, jakiem był teraz Lambert. Sam nawet brat jego, Józef, stanowczo i wielokrotnie mu radził, żeby pod żadnym warunkiem nie zgadzał się na nominacyą Gerstenzweiga.

Wśród takich to warunków, wśród takiego złego posiewu, padającego na urodzajny grunt ambicyi obrażonych obu nowych rządców Polski nieszczęśliwej, posiewów, które w gorącej, przesiąkniętej elektrycznością atmosferze warszawskiej, miały wkrótce wyrosnąć w zielska trujące, wytworzyć sceny najtragiczniejsze, jechał do Warszawy przyszły jej namiestnik, mięki „mój Hamlet“, jak go trafnie nazywał Wielopolski. Stanął on tutaj dnia 23-go sierpnia, o godzinie 11 wieczorem. Jak niegdyś poetycznemu prototypowi jego, melancholijnemu królewiczowi duńskiemu, snuło się w nocy mglistej, na krużgankach zamku Helsingorskiego, widmo ojca, domagające się czynu, do którego ten zdolnym nie był, tak i wśród nocy ponurej życia polskiego tej doby, wśród odgłosu dalekiej jeszcze ale zbliżającej się już szybko burzy, nowy Hamlet moskiewski zrywał się do czynu, łaknął go, uznawał jego potrzebę, a przecież w bezsilnej niemocy się szarpiąc, pchał kraj w przepaść straszliwą.

Dzięki temu usposobieniu swemu, miał Lambert odegrać w starym Zamku warszawskim jeden z najsmutniejszych i najdziwniejszych dramatów. Ale jeżeli uczucie ludzkie użalić się musi nad jego dolą, to o ileż więcej serce

polskie krwawić się winno nad losem własnej ojczyzny. Bo ludzie, rzeczy, ich koleje, smutna lub wesoła dola, wobec losu i kolei kraju są niczem, jak niczem jest życie tworu pojedynczego wobec wielkiego życia wszechprzyrodzenia. A niestety! jeżeli dotąd opowiedziane zdarzenia pokryte są chmurami i kirem żałoby, to i w przyszłości nie ma wśród tego ponurego obrazu ani jednego blasku, ani jednej gwiazdy nadziei!

ROZDZIAŁ XI.

Mentor i Telemak.

Przybycie Lamberta i pierwsze jego kroki. Jego plan działania. Konferencya z Wielopolskim i jego żądania. Porozumiewanie się Lamberta z wybitniejszemi osobistościami. Manifestacye i domagania się cesarza. Nabożeństwo za poległych w Wilnie. Ogłoszenie stanu wojennego na Litwie. Zaburzenia na Nalewkach. Nabożeństwa „za pomyślność Ojczyzny“. Rozbijanie sklepów. Napad na biskupa Marszewskiego w Łęczycy. Reskrypt Wielopolskiego do sądów kryminalnych. Wypadki w Kaliszu. Odpust w Częstochowie i na Łysej Górze. Narada tamże i jej postanowienia. Panna Pustowojtow w Lublinie. Zaburzenia w Żytomierzu. Rozbrojenie Litwy i Rusi. Procesya grodzieńska. Gubernator Szpeyer. Wypadki w Kownie. Adres szlachty do hr. Tyszkiewicza. Projekt Towarzystwa rolniczego na Litwie. Adres szlachty rohaczewskiej. Podróż Nazimowa. Wygnanie z Wilna Syrokomli. Żałoba i odezwy na Litwie. Nabożeństwo w dzień św. Józafata. Niezadowolenie powszechne. Apollo Korzeniowski i jego Koło. Zjazd w Homburgu. Spory w Radzie Administracyjnej. Wybory do Rady Miejskiej. Różne odezwy. Wybory w cyrkule X-tym. Mandat ludu do wyborców. Odezwa z dnia 26 września. Wybory na prowincyi. Pułkownik Petrow w Ostrołęce. Klub „złotej młodzieży“. Ustanowienie „Dziennika Powszechnego“. Zjazd biskupów i ich memoryał. Choroba i śmierć arcybiskupa. Jego pogrzeb. Uczta wyprawiona chłopom. Zjazd w Horodle. Rozkazy namiestnika. Narada w Stepankowicach. Wyruszenie procesyi. Pobyt w Kopyłowie. Pertraktacye z Chruszczewem. Nabożeństwo na polu. Procesya w Uściługu. Obchód rocznicy bitwy Maciejowickiej i Racławickiej. Ogłoszenie stanu wojennego. Postanowienia Rady Administracyjnej. Dzień 15 października. Nabożeństwo. Otoczenie kościołów przez wojsko. Rady wojenne. Wtargnięcie do kościołów. Oburzenie w mieście. Narada w Konsystorzu i jej postanowienie. Uwolnienie więźniów i samobójstwo Gerstenzweiga. Pertraktacye z Lambertem. Zamknięcie kościołów. Usiłowanie zamknięcia kirchy luterskiej. Zamknięcie synagog. Aresztowania. Wyjazd i śmierć Lamberta. Zakończenie.

Dawno oczekiwany, nowy namiestnik Królestwa, hr. Lambert, przybywał do kraju z możliwie dokładną znajomością jego położenia. W Petersburgu wręczono mu wszystkie raporta i wiadomości, jakie od czasu zerwania się burzy rewolucyjnej otrzymywano z Polski. Było ich bardzo wiele i bardzo obszernych, ale częstokroć przedstawiały one rzeczy i ludzi w świetle fałszywem, lecz na to już nie było rady. Lambert przeczytał to wszystko i gotował się do wypełnienia wielkiego zaiste! zadania, jakie mu na jego hamletowskie barki kładziono. Prócz tego odbierał on na własną rękę, bezpośrednio z Warszawy wiadomości o wypadkach tam zachodzących. Znany nam już „obrońca Rosyi przed Europą“, Ilia Arseniew, jadąc do Warszawy i wiedząc, że Lambert, jak wtedy było zamierzone, ma zająć stanowisko jenerał-gubernatora, udał się do niego i doniósł mu o swej misyi. Lambert prosił go, by doń pisał z Warszawy. Jakoż Arseniew wkrótce wysłał taki list, w którym opowiedział swą podróż, obchód rocznicy bitwy w Ostrołęce, którego był świadkiem, oraz ogólne wrażenie, jakie na nim kraj i miasto robiło [1]).

[1]) List ten swój Arseniew tak zakończył: „wszystko, co się tu dzieje przed mojemi oczami, wydaje mi się czemś nadzwyczajnem; w naszej administracyi daje się spostrzegać stan gorączkowy; ściga ona jakieś widma, z któremi usiłuje toczyć walkę. Nieporządków ulicznych dotąd, od czasu mego przybycia jeszcze nie było, jeżeli pominiemy codzienne zbiegowiska ludu po kościołach i cmentarzach, oraz śpiewanie hymnów. Ośmielam się twierdzić, że nie należy zwracać uwagi głównej na Warszawę, ale raczej na Polskę całą, a mianowicie na działalność duchowieństwa, które jest narzędziem podburzającem tłumy do nieporządków i nieurzeczywistnionych nadziei polskich. Stronnictwo klerykalne działa w związku z osobami, stojącemi na czele zamierzonego powstania. Oczywiście, że pod pozorem oswobodzenia Polski klerykały i ich poplecznicy starają się zagarnąć władzę nad ludem i tym sposobem polepszyć swój byt materyalny, mocno zachwiany w ostatnich czasach. Nieporządki uliczne, jak mnie się zdaje, są do pewnego stopnia wystawie-

Lambert więc nie był pozbawiony wiadomości o Polsce, która wrzała, burzyła się, i jak widmo starego Dęboroga, pojawiając się w złocistych salonach Petersburga, zdawała się wołać: „oddaj coś winien!“ Przybywał zatem do Warszawy nowy Hamlet moskiewski z pewną, jakkolwiek może niezupełną świadomością położenia i celów, jakie rząd sobie nakreślał w stosunku do Polski, zaopatrzony w wielką władzę, jaką zresztą od Paskiewicza zawsze posiadali namiestnicy Królestwa. Już na samym wstępie w granice tego Królestwa miał z jednej strony sposobność okazania swego dobrego względem kraju usposobienia, z drugiej doznać przedsmaku tych trudności i tej walki, jaką staczać będzie musiał z rewolucyą i z kacykami, wykonawcami przepisów rządowych. Na kilka dni przedtem, dnia 18 sierpnia, w Ostrołęce aresztowano dwóch księży: Wiszniewskiego i Nowaka, oskarżonych o wygłaszanie kazań podburzających i urządzanie różnych manifestacyi, i wywieziono do Modlina. Przed ich wyjazdem tłum publiczności, przeważnie kobiet, zebrał się przed domem pocztowym dla pożegnania się z aresztowanymi. Postawa zebranych była spokojna i nic nie zapowiadało, by wśród nich zanosiło się na jaką awanturę. Mimo to, niejaki Prianisznikow, oficer artyleryi, jeden z tych satrapów drugorzędnych, którzy już wtedy pokazywali, czem będą w chwili powstania zbrojnego, kazał wojsku ustawionemu przed pocztą rozpędzić siłą zbiegowisko. Żołnierze rzucili się z kolbami, rozegnali wszystkich i kilka osób pokaleczyli. Oburzone tem miasto skorzystało z przejazdu Lamberta przez Ostrołękę

niem na próbę siły moralnej i materyalnej naszej administracyi. Agitatorzy śmieją się po cichu ze strachu, jaki wzbudzają w naszych nerwowych administratorach. Kończąc, jeszcze raz powtarzam: prowincya dla nas, podług mego zdania, jest niebezpieczniejszą niż Warszawa“, „Na ten list, pisze sam Arseniew *(Warszawa w 1861 godu)* otrzymałem od hr. Lamberta następną lakoniczną odpowiedź: *Merci pour vôtre charmante lettre.* Co on znalazł zachwycającego w mym liście, nie mogę do dziś dnia zrozumieć“.

Ten list i ta odpowiedź wybornie malują obu ludzi.

do Warszawy, i zaniosło doń skargę na Prianisznikowa. Lambert delegatów, wysłanych z tą skargą, przyjął bardzo grzecznie i obiecał sprawę rozpatrzyć. Spieszył się wreszcie do Warszawy i nie miał czasu dłużej rozmawiać [1]).

W stolicy polskiej stanął nakoniec dnia 23 sierpnia, w piątek, około godziny 11 wieczorem. Ulice były puste, czemu dziwić się nie należy, gdyż pora była spóźniona, a Warszawa zawsze lubiła wcześnie chodzić do łóżka. Jechał w otwartym powozie, bez orszaku czerkieskiego, do którego przyzwyczaił był miasto Suchozanet. Takie wystąpienie Lamberta wywarło wrażenie dość przyjazne na tych nielicznych przechodniów, którzy byli świadkami wjazdu do stolicy nowego namiestnika. Nawet służba jego była ubraną po cywilnemu i trzymała się zdaleka. Na Zjeździe zauważył Lambert jakiegoś biedaka i obdarzył go szczodrze jałmużną. Przebiegłszy całe miasto, zatrzymał się w Belwederze. W niedzielę uwiadomił cesarza, że objął zarząd kraju i wojska, na co Aleksander odpowiedział mu z duszy zapewne płynącem życzeniem: „oby Bóg dał, żeby twoje objęcie władzy w szczęśliwą przypadło godzinę“ [2]). Niestety! była to jedna z najczarniejszych godzin tak dla Lamberta, jak i dla kraju, którym miał rządzić.

Nazajutrz, 25 sierpnia, Suchozanet żegnał się ze swymi podwładnymi. Zaproszono ich wszystkich przez osobne bilety do pałacu Belwederskiego, przyczem, jak zwykle we wszelkich wystąpieniach publicznych Sezostrysa moskiewskiego, rozegrać się znowu miała wysoce zabawna scena. Zebranie było tłumne; wszyscy liczni dygnitarze rosyjscy, przeważnie wojskowi, po długiem oczekiwaniu ujrzeli nakoniec wychodzącą nikłą, chudą postać Suchozaneta, z twarzą błyszczącą wyrazem radości i szczęścia, co oczywiście uderzało obecnych. Schodzący ze sceny dziejowej

[1]) Z relacyi umyślnie dla nas spisanej.

[2]) Depesza z Charkowa do Warszawy z dnia 14 (26) sierpnia 1861 r.: „Daj Bog, cztoby wstuplenie twoje w uprawlenie było w dobryj czas“.

namiestnik ściskał za ręce obecnych po kolei, dziękował im, niektórych całował i w końcu wygłosił mowę, która samego mówcę rozczuliła do łez, ale w słuchaczach śmiech stłumiony wywołała tym dziwacznym kontrastem, jaki tworzyła nadzwyczajna przed chwilą wesołość ze łzami teraźniejszemi.

W pięć minut potem zjawił się Lambert, nowe wschodzące słońce na horyzoncie Polski, ze swą postawą strojną i chłodną, odbijającą w sposób dodatni od chudej figury Sezostrysa płaczącego. Witał się ze znajomymi, niektórym rękę podawał i kilka osób zaprosił do siebie na herbatę [1]). Tegoż dnia przybył nowy jenerał-gubernator Gerstenzweig.

Przyjęcie władz cywilnych Królestwa naznaczone było na dzień 27 sierpnia w Zamku królewskim. Dzięki zabiegom Chrulewa zebrał się dość znaczny tłum ludu na placu Zygmuntowskim, złożony jednak z klas niższych, z mnóstwa próżniaków płci obojej, włóczących się po bruku wielkiego miasta. Lambert przyjechał otwartym koczem z Belwederu, w towarzystwie jednego tylko adjutanta, bez hałaśliwej eskorty czerkieskiej. Powitano go dość chłodno i milcząco, ale Chrulew, któremu Bóg wie zkąd i dlaczego taka myśl przyszła do głowy, postanowił te pierwsze lody

[1]) Między zaproszonymi znajdował się Chrulew i Arseniew, który tak opowiada o tej herbacie: „... przypuszczaliśmy, że przy oczekującej nas o godzinie 9 herbacie namiestnik poprosi nas, jako starych znajomych, o powiedzenie mu, co się robiło i robi w Warszawie. Lecz niestety! przypuszczenia nasze nie miały się sprawdzić. Hrabia Lambert mówił nam bardzo wiele o Petersburgu, o łaskach, jakie otrzymał, o tem, że nalegał, by jenerał-gubernatorem warszawskim został Gerstenzweig i nakoniec o swym przyjacielu F. M. Weryginie, którego zdołał namówić do zajęcia przy sobie stanowiska. O wypadkach warszawskich słówkiem nawet nie wspomniał i hrabia, żegnając się z nami, uwiadomił nas, że pojutrze odwiedzi Warszawę, i wstąpi najprzód do Zamku. W powrocie z Łazienek (właściwie z Belwederu), Chrulew powiedział mu, że wymyślił dla Lamberta wspaniałe przyjęcie w Zamku. W rzeczy samej urządził on je arcyoryginalnie i zręcznie“ (*Warszawa w 1861 godu*).

przełamać. Po przyjeździe namiestnika wysłał zaraz oficera z rozkazem, by cofnął żandarmów konnych i policyą, otaczającą Zamek, oraz by poprosił zgromadzoną publiczność do wejścia na dziedziniec zamkowy, gdzie jest cień i słońce tak nie pali. Publiczności podobało się to bardzo, i gdy Lambert wyjeżdżał z powrotem z Zamku, powitano go grzmiącymi okrzykami, które on przyjmował z uśmiechem, kłaniając się na wszystkie strony. Zaraz też, za staraniem Arseniewa, ukazał się w pismach zagranicznych obszerny opis „owacyi, jaką zrobiły damy polskie wyższych sfer sympatycznemu hrabiemu, nowemu namiestnikowi, który powołany został, by przy pomocy instytucyi liberalnych zapewnić spokój i szczęście krajowi“.

Relacya ta była bardzo pochlebną ale nieprawdziwą, i Lambert był zanadto rozumnym człowiekiem, by nie wiedział, że owe damy wyższych sfer, wchodzące na zaproszenie oficera w cień, jaki rzucały mury zamkowe i witające namiestnika okrzykami, należały do klas najniższych próżniaczego motłochu, że poza tem przyjęcie jest bardzo zimne i wyczekujące. Zgromadzeni w zamkowej sali przyjęć dygnitarze polscy i arystokraci przypatrywali się ciekawie nowemu wielkorządcy kraju, ale postawy ich nie mówiły wcale, by gotowi byli na przyjazne jego słowa, przyjaznymi odpowiedzieć czyny. Naprożno namiestnik rozwijał cały czar swej wytwornej postawy i słów słodkich. Ponieważ arcybiskup Fijałkowski nie był obecny z powodu słabości, która od niejakiego czasu trzymała go w łóżku i wkrótce do grobu zawieść miała, więc Lambert zwrócił się do Dekerta i rzekł, że „jako katolik prosić będzie arcybiskupa o błogosławieństwo dla rozpoczynającej się pracy około dobra kraju“ [1]). Te słowa przyjazne nie robiły wrażenia,; zauważono przytem, że pan Andrzej Zamoyski przybył do Zamku niezwykle późno i po godzinie naznaczonej.

Zaraz też nazajutrz Lambert udał się osobiście w od-

[1]) Z relacyi współczesnych.

wiedziny do chorego arcybiskupa i tu rozwinął cały czar wymowy i obejścia, by owładnąć tym starcem tak wpływowym. Zapewniał więc o jak najlepszych chęciach cesarza dla Polski, zaręczał, że on sam dołoży wszystkich sił, by kraj mógł się pomyślnie rozwijać, i obejmując oburącz dłoń arcybiskupa, zawołał: „błagam (l'implore) o pomoc ze strony władzy duchownej". Wreszcie widząc, że jego gorące słowa przyjmowane są dość chłodno i z pewnem niedowierzaniem, zrobił uwagę, że jeżeli będzie doznawał ciągłego oporu, to poprosi cesarza o uwolnienie, „a gorzej będzie, gdy kto inny przysłany zostanie". Fijałkowski odrzekł mu na to: „cóż my nieszczęśliwi na to poradzimy, jesteśmy rasą spodloną *(sic)*, odepchniętą od ołtarza i kościoła, w których teraz nie księża, ale lud rządzi [1]).

Mimo to wszystko jednak, sama osobistość nowego namiestnika obudziła tak wśród zebranej w Zamku starszyzny polskiej, jak i w otoczeniu chorego arcybiskupa uczucia sympatyczne. Przywykli do wysokiej, żórawiej figury Gorczakowa, do jego oczek maleńkich i ukośnych, do postawy karykaturalnej Suchozaneta, chwiejącego się na cienkich i dygocących ze starości nogach, z zadowoleniem spoglądali teraz na Lamberta, jaśniejącego całą pełnią piękności męzkiej. W sile wieku, o czole wysokiem, przedłużonem przez łysinę, o oczach zarysowanych prawidłowo, błyszczących, czarnych i żywych, całym wyrazem twarzy zdradzał inteligencyą niezwykłą, umysł bystry i wrażliwy. Rasa, z której pochodził po krwi, nadała jego cerze barwę matową, nosowi rzymski profil, nozdrza ruchliwe i cienkie, usta prześliczne, pokryte ciągle uśmiechem, nieco konwencyonalnym wprawdzie, niemniej przeto świadczącym o duszy dobrej i poczciwej. W postawie swej średnio wysokiej, w ruchach wytwornych i poważnych, w głowie podniesionej wysoko, objawiał może nieco dumy, może nieco zamiarów ambitnych, ale w każdym razie jego figura

[1]) Z relacyi rękopiśmiennej jednego z księży obecnych tej rozmowie.

zręczna i elegancka świadczyła o szlachetności i podniosłości myśli i uczuć. Bądź co bądź był to wielki pan, dobrze wychowany, inteligentny, nerwowy i wrażliwy. W najnieprzyjaźniej usposobionym człowieku Lambert musiał wzbudzić sympatyą [1]).

Nie wzbudził jej jednak w czerwieńcach warszawskich, w tak zwanej partyi ruchu, w szeregach tej młodzieży, której się zdawało, że ona jedna ma monopol patryotyzmu, ona jedna dobrze i trafnie rzeczy widzi i zdolną jest kraj doprowadzić do upragnionej samoistności politycznej. Chcąc zapobiedz wrażeniu przyjaznemu, jakie wywierał Lambert na tych wszystkich, którzy się doń zbliżyli, oraz na lud warszawski swem wzięciem, tak różnem od jego poprzednika, rozpuszczono umyślnie o nim jak najfałszywsze i zawsze uwłaczające mu pogłoski. Mówiono, że jest to tyran w owczą skórę przybrany, że jest pijakiem, który codzień od obiadu wstaje z głową mocno zamroczoną, a „Strażnica“ wystąpiła z takim artykułem [2]).

„Tak zwani namiestnicy, jak meteory, przesuwają się po naszym horyzoncie, a każdy z nich zaraz różnych używa środków na ujarzmienie lub ogłupienie narodu; choć te środki i środeczki oddawna zużyte, dobrze nam znane, tylko uśmiech politowania wywołać mogą. Od paru dni mamy pana Lamberta, byłego koniuszego, który ze stajni w Petersburgu zrobił skok na Zamek warszawski. Widać, że to człowiek nazbyt postępowy i liberalny, gdyż rozpoczął swe obowiązki od zbratania się z narodem, postroiwszy we fraki i sprowadziwszy na pokoje obywateli, jak

[1]) Znana w tej dobie w Warszawie, pani Muchanowa, żona późniejszego prezesa teatrów warszawskich, z pierwszego męża Callergi, kobieta bardzo piękna i inteligentna, skupiająca w swych salonach cały świat literacki i artystyczny stolicy, nazywała Lamberta „najprzebieglejszą kokietką“ (la plus fine coquette). Mówiła o nim, że nikt nie jest w stanie oprzeć się czarowi jego rozmowy, i twierdziła, że gdyby mógł ze wszystkimi w Warszawie rozmówić się osobiście, to podbiłby całe miasto samemi słowami tylko.

[2]) Ner 5 z dnia 2 września 1861 roku.

niemniej zaprosiwszy przez policyą i szpiegów na dziedziniec zamkowy wszystkich łobuzów, jakich tylko można było odgrzebać w Warszawie. Instrukcye posiada także bardzo rozległe, bo aż do puszczenia w niepamięć wszystkich dokonanych nad nami mordów i gwałtów!!“...

Jeżeli atoli stronnictwo rewolucyjne zajmowało stanowisko nieprzejednane i wyraźnie mówiło, że nie chce żadnego z Rosyą kompromisu, to ludzie starsi, chłodniejsi, doświadczeńsi, jednem słowem starszyzna narodu nie oświadczała się ani za tą, ani za tamtą stroną i przyjęła wobec nowego wielkorządcy postawę wyczekującą. Wiedziano wprawdzie, że przyjechał on z obszernemi pełnomocnictwami, z poleceniem rzeczywistego wprowadzenia w wykonanie reform zapowiedzianych, uspokojenia kraju, że osobiście przejęty jest jak najlepszemi dla Polski chęciami, a mimo to, tego trudnego zadania nie myślano mu ułatwić z obawy przed ulicą, przed niezdrową opinią, tworzoną przez młokosów, zagorzalców i kobiety.

Takie było położenie i postawa kraju wobec nowego namiestnika. W sferach rosyjskich za to, w szeregach tych licznych jenerałów i karyerowiczów wszelkiego rodzaju, którzy ustrojeni w błyszczące mundury wieszali się koło Zamku, nadzieje opierane na Lambercie, niemniej były wielkie. Liczono na to, że jako żołnierz prawdziwy odda znowu wszystko, cały rząd kraju w ręce wojska, że ukróci zuchwalstwo Polaków, że wrócą dawne dobre czasy paskiewiczowskie. Ale zaraz, na samym początku nadzieje te zostały zawiedzione. Pierwszym bowiem czynem nowego namiestnika było usunięcie wojsk z ulic i placów, na których stały dotąd obozem, co naturalnie podobać się nie mogło zwolennikom surowych rządów militarnych. Zdarzyło się przytem, że, przybywszy po raz pierwszy do starego Zamku królewskiego, Lambert wysłuchał tu w kaplicy zamkowej mszy katolickiej, co nadzwyczajnie oburzyło kamaryllę wojskową, a archimandryta warszawski głośno się odezwał, że „postępek Lamberta szkodzi spra-

wie i godności rosyjskiej“ [1]). Inni szeptali, że nowy namiestnik „opolaczył się“.

W rzeczy zaś samej tak nie było. Lambert, jak wiemy, był katolikiem i przyjeżdżając do kraju katolickiego z instrukcyami nakazującemi mu poszanowanie dla wszelkich zwyczajów, a nawet przesądów polskich, może tym krokiem chciał zaznaczyć swe przyjazne usposobienie dla tegoż kraju, a może bez żadnej myśli politycznej zadość czynił potrzebie swej duszy. Cokolwiekbądź te wieści różnorodne, dobiegające zapewne do niego i mówiące mu o tem, jakie wrażenie jego przyjazd i pierwsze kroki na nowej scenie wywarły, przekonać go już wtedy musiały, jak ciężkie wziął na siebie zadanie i jak trudnem będzie wykonanie planu, który tam, w Petersburgu, na wspólnej naradzie z osobami najwyżej stojącemi, jak najstaranniej obmyślił [2]).

Jakiż to był ten plan działania? Przedewszystkiem w jego nakreśleniu wzięto za podstawę możliwość porozumienia się ze stronnictwem umiarkowanem w kraju, o którem wiedziano, że istnieje, że jest nawet licznem, tylko pozbawionem odwagi i ducha inicyatywy. Przy pomocy tego stronnictwa postanowiono dokonać wyborów do rad miejskich, powiatowych i gubernialnych, do których to wyborów Lambert, a bodaj że i rząd petersburski, przywiązywał podobnie jak Gorczakow jakieś znaczenie mistyczne, wydawały mu się one pewnego rodzaju panaceum na wszystkie niedole trapiące Polskę. Przytem rozumowano tak: jeżeli przy pomocy stronnictwa umiarkowanego rząd zdoła przeprowadzić wybory, to okaże się, że stronnictwo powyższe ma przewagę w kraju, a zatem sam fakt wyborów dowiedzie, że czerwoni nie mają siły, nie zapuścili w kraju korzeni i wcześniej czy później zejść muszą ze sceny. Wprawdzie będą oni przeszkadzali wyborom; wśród panującego w kraju wzburzenia same wybory będą

[1]) *Arseniew:* Warszawa w 1861 godu.
[2]) *N. Berg:* Zapiski, 335.

powodem nowych nieporządków, przypomną z wielu względów dawne sejmiki polskie, ale na to już niema rady, jak niema rady, by pomiędzy wybranymi nie znalazły się kreatury czerwieńców, które wykonywać będą to, co im spisek robić każe. Na wszystkie te ciemne strony obrazu zamknąć należy oczy i wybory bądź co bądź przeprowadzić i dać tym sposobem możność podniesienia głowy ludziom porządku. Po dokonaniu wyborów zadaniem rządu będzie powoli oczyścić z rewolucyonistów rady i zrobić z nich to, czego rząd pragnie, co zresztą wielkich trudności nie przedstawi. Znamy przecież, mówiono sobie, Polaków i wiemy, czego się po nich spodziewać należy. Jest to plemię niewytrwałe, wrażliwe i systematycznemu naciskowi uledz musi. A choćby nawet przyszło do starcia, to będzie ono mniej kosztowało, niż gdybyśmy chcieli wprowadzić reformy przy pomocy bagnetów [1]).

Taki był plan działania, jaki nakreślił sobie, lub nakreślono Lambertowi. Plan ten ulegał surowej krytyce ze strony kamarylli wojskowej w Warszawie, na czele której stanął Gerstenzweig, nowy jenerał-gubernator, przysłany jakoby dla tego, by Lambert zbytecznie nie popuszczał cugli Polakom i by stanowił zbawienną przeciwwagę miękkiemu Hamletowi petersburskiemu. Opinia taka była powszechną i nazywano teraz surowego Gerstenzweiga: Mentorem, a słodko uśmiechniętego Lamberta: Telemakiem. Gdy więc nowożytny Telemak marzył o stworzeniu z Polski idyllicznej wyspy szczęśliwości, surowy Mentor wołał: „wszystkie te zamiary i plany na nic się nie zdadzą. Czas ustępstw już minął i szaleństwa polskie przekroczyły wszelką miarę. Dla tego też nie należy się umizgać do Polaków, ale wziąć się do nich ostro; dobrać się do gniazda agitatorów, choćby to nie wiem ile kosztować miało, rzucić przez to postrach na wszystkich, pokazać, że rząd ma siłę i umie jej użyć w potrzebie, zrewolucyonizowanych urzędników usunąć, a na ich miejsce posadzić takich, na

[1]) Loc. cit. 336.

których liczyć można. Nadewszystko nie trzeba czasu tracić, ale wziąć się do rzeczy natychmiast i stanowczo".

Ale Telemak niechętnie słuchał tych rad, zwłaszcza, że wiedział doskonale, iż pod pokrywką interesów, jakoby rządowych, wszyscy ci Mentorowie moskiewscy mieli na celu tylko interesa własne, by mogli bezkarnie kraść i rozbijać w Polsce, oddanej im na łaskę. Im się oczywiście w żadnym razie podobać to nie mogło, że wprowadzone przez Suchozaneta rządy militarne miały się teraz skończyć; że Lambert głośno mówił o zniesieniu prawa, przysługującego licznym kacykom-naczelnikom wojennym karania ludzi bez sądu; że teraz sprawy o wszelkiego rodzaju przestępstwa przeciw porządkowi publicznemu podlegać miały sądom cywilnym; że rządzący w Suwałkach satrapa Rudanowski ma być odwołany; że kancelarya namiestnika ma zejść na drugi plan; że nie ona ma przedstawiać namiestnikowi wszelkie sprawy, ale sekretarz stanu. Wprawdzie wykonanie wszystkich tych projektów wiecznie wahający się Hamlet odkładał na później, pod pozorem, że wprzódy musi dokładnie zbadać istotny stan rzeczy[1]), ale już sam zamiar taki nie mógł się podobać różnym Mentorom i jenerałom, już przez to samo mądrym i zdolnym do wszystkiego, że zostali jenerałami.

Oburzenie to tem bardziej wzrastać musiało, gdy spostrzeżono, że Wielopolski, którego znaczenie tak nizko upadło za rządów Suchozaneta, zdawał się teraz odzyskiwać swą przewagę pierwotną. Zaraz po przybyciu Lamberta do Warszawy, margrabia miał z nim konferencyą, na której przedstawił „swemu Hamletowi" zgubne skutki rządów poprzednich, nieład i niezadowolenie powszechne, jakie one wywołały. „Naglącą jest rzeczą, mówił, ożywić umysły, chwytając się środków stanowczych dla przekonania kraju, że nowy sposób rządzenia jest prawdą, że nie jest on drugą edycyą rządów paskiewiczowskich". Przyznawał słuszność Lambertowi, że chce zbadać wprzódy stan rzeczy,

[1]) *Lisicki:* Le marquis. II. 219.

ale sądził, że na to wystarczą trzy tygodnie, i domagał się, by wojska cofnięto z ulic (co zresztą zostało dokonanem już dnia 27 sierpnia) i sprawy bieżące rozpatrywane były we właściwych komisyach. Na przyszłość żądał, by szanowano zasadę autonomii Królestwa i rozdzielono administracyą wojskową od cywilnej; by zniesiono departament do spraw polskich w Radzie państwa w Petersburgu i zarząd jenerał-gubernatora w Warszawie; by Komisyom rządowym nadano tytuł ministeryów i by wtłoczono we właściwe ramy władzę kancelaryi przybocznej namiestnika. Żądał, by uzupełniono prawodawstwo kryminalne, by w miejsce departamentów senatu ustanowiono sąd kasacyjny w Warszawie i sąd najwyższy, mający decydować w sprawach o przestępstwa stanu. Domagał się języka polskiego w administracyi i kolorów narodowych. Przez zniesienie zarządu jenerał-gubernatora Komisya spraw wewnętrznych odzyskiwała swe właściwe stanowisko, a utworzenie sądu najwyższego odbierało z rąk kacyków wojennych sądy w sprawach politycznych. „Wszak — mówił — okólnik ministra spraw zagranicznych, odezwy księcia Gorczakowa, a nawet mowa ministra wojny wspominała o „narodowości polskiej“; dla czegóż więc nie nadać rzeczom i instytucyom charakteru narodowego? Przywróćmy kolory narodowe, nadajmy tytuł ministeryów Komisyom rządowym, nazwijmy Teatr wielki teatrem narodowym. Wszystko to oddziała dodatnio na masy i sprawi, że ludzie rozumni porzucą żałobę. Bądźmy nieubłagani dla agitatorów i podżegaczy, zreorganizujmy policyą, określając ściśle zakres jej działania; a ponieważ kończy się sześciolecie, w czasie którego kraj wolny był od poboru rekruta, więc przystąpmy do spisu wojskowego, a tym sposobem znaczna ilość młodzieży, biorącej dziś udział w manifestacyach, usuniętą od nich zostanie. Na to zaś, by innych powstrzymać od zaburzeń, mamy prawo o zbiegowiskach, o którego ścisłe wykonywanie już ja się postaram. W tym celu jednak potrzebuję koniecznie, bym otrzymał ostatecznie nominacyą na dyrektora sprawiedliwości. Rząd może liczyć na moje

poświęcenie, ale z drugiej strony muszę mieć jego poparcie".

Potem, przechodząc do duchowieństwa, domagał się Wielopolski, ażeby ułatwiono klerowi stosunki z Rzymem, przywracając dawny porządek korespondowania, i proponował zwołanie do stolicy wszystkich biskupów i administratorów dyecezyi i porozumienia się z nimi w sprawie śpiewów i manifestacyi kościelnych. Chciał, by rząd postarał się o poparcie wśród mieszczaństwa, powołując kilka wybitniejszych osobistości do Rady stanu i przyśpieszając równouprawnienie żydów; by zwołano w jak najkrótszym czasie rzeczoną Radę stanu i przystąpiono do wyborów do Rad miejskich i prowincyonalnych. Przypominał, że, gdy wszedł do rządu, przyrzeczono mu, iż wszystkie te ciała zwołane będą w ciągu roku. „Mam, mówił, zobowiązania względem kraju, któremu obiecałem komisye rolnicze, dla przeprowadzenia których byłoby najlepiej przywrócić dawny podział kraju na ośm województw".

Zwracając się następnie do spraw wychowania publicznego, zaznaczył, że przygotowuje reformę edukacyi krajowej, że pragnie, aby była jedna szkoła główna, a w niej wszystkie fakultety uniwersyteckie. Wprawdzie daje się uczuwać brak profesorów, ale można temu zaradzić sprowadzając uczonych polskich z zagranicy; niema biblioteki, ale na to jest środek przez zgromadzenie zbiorów rozprószonych po kraju, oraz odwołanie się do Petersburga, by zwrócono książki, wywiezione kiedyś z Warszawy. Potrzeba założyć szkołę przygotowawczą, gdyż dotychczasowy poziom wykształcenia gimnazyalnego był taki, że młodzież nie jest przygotowaną do słuchania kursów uniwersyteckich. Zaznaczył, że „mieliśmy dawniej Towarzystwo Przyjaciół nauk; ułatwijmy więc zakładanie towarzystw naukowych specyalnych, pozwólmy, by literaci zawiązali towarzystwo wzajemnej pomocy. A nadewszystko usuńmy jak najprędzej złe, zrobione przez ministra wojny". W końcu domagał się, ażeby go uwolniono od cenzurowania gazet i uwia-

domił namiestnika, że ma zamiar przedstawić Radzie administracyjnej projekt założenia dziennika urzędowego [1]).

Wszystkich tych projektów, świadczących niezaprzeczenie o rozumie i patryotyzmie Wielopolskiego, namiestnik wysłuchał z wyrazem dobrych chęci, ale oświadczył, że nie wprzód może im zadość uczynić, aż rozpatrzy się dokładnie w położeniu rzeczy. Rozpatrzenie się to jednak było dość trudne. Na miękką duszę Lamberta oddziaływało mnóstwo ludzi i okoliczności, a głównem źródłem jego informacyi, była owa osławiona stajnia Augiaszowa, kancelarya namiestnika. Łatwo domyśleć się można, jakie stamtąd szły uwiadomienia i w jak odmiennem od Wielopolskiego świetle przedstawiały one wszystko. Margrabiego niecierpliwiło to nadzwyczajnie; z właściwą sobie bystrością umysłu poznał on do gruntu chwiejną duszę „swego Hamleta“, i wiedział, że z takim człowiekiem trzeba kuć żelazo póki gorące, żeby wpływu margrabiego nie zatarły szybko inne wpływy, których tyle było tak różnorodnych i tak przeważnie nam nieprzyjaznych. Dla tego też, już w parę dni po opisanej przez nas konferencyi, przypomniał Lambertowi, że ponieważ nie cofnął dotąd swego podania o dymisyą, więc nie pokaże się na sesyach Rady administracyjnej dopóty, dopóki zadość nie będzie uczynione jego żądaniom, jakie stawiał przy owem podaniu, a mianowicie: cofnięcie okólnika Suchozaneta, oddającego władzę cywilną i sądową w ręce naczelników wojennych, powrót osób wywiezionych do Rosyi, odwołanie nakoniec jenerała Rudanowskiego ze Suwałk, który nie przestawał tamże dopuszczać się gwałtów. Jako warunek wreszcie swej obecności w Radzie stanu, żądał, żeby był mianowany wiceprezesem tej rady, gdyż, jak utrzymywał, insty-

[1]) *Lisicki:* „Aleksander Wielopolski“ I., 231. „Le marquis“ II., 219—221. Powyższe streszczenie projektów Wielopolskiego oparte jest na cytowanych dziełach. Autor spisał je według notatek, skreślonych przez margrabiego zaraz po powrocie ze Zamku. Mają więc one cechę autentyczną.

tucya ta potrzebuje pośrednika między sobą i namiestnikiem [1]).

W ogólności tak w swych projektach poprzednich, jak i w obecnych żądaniach, Wielopolski zdawał się wyrażać myśl, że tylko tym sposobem Lambert zdoła kraj uspokoić. Czy jednak w rzeczy samej tak było? czy przy pomocy mniej lub więcej uległych reform administracyjnych można było kraj uspokoić? Co do tego punktu, dla tych wszystkich, którzy kraj i aspiracye ówczesne narodowe znali, nie mogło być żadnej wątpliwości, że najszersze nawet reformy burzy nie powstrzymają. Kraj chorował na politykę, a Wielopolski leczył go na administracyą, że użyjemy dosadnego wyrażenia jednego z wybitniejszych ludzi tej epoki, Kurtza. To też nic dziwnego, że taki rozumny człowiek jak Lambert, zapoznając się powoli z położeniem rzeczy, począł nabywać przekonania, że tą drogą nie dojdzie się do niczego. Wprawdzie tłomaczył się Wielopolskiemu, że nie miał jeszcze czasu zająć się wszystkiem, że co do usunięcia Rudanowskiego należy zachować pewne względy, przyrzekał, że co będzie mógł, to zrobi w jak najkrótszym czasie. Jakoż, spełniając te swoje przyrzeczenia, usunął Rudanowskiego, asesora Wierzchlejskiego wrócił z Rosyi, kilku księży uwięzionych uwolnił, sprawy rozpoczęte odstąpić kazał sądom cywilnym, przez osobny okólnik zniósł rozporządzenie Suchozaneta z dnia 9 lipca, polecił prowadzić śledztwa komisyom mięszanym, wojskom nakazał spokojne zachowanie się względem mieszkańców, wreszcie zażądał od cesarza w dniu 6 września nominacyi Wielopolskiego na wiceprezesa Rady stanu i dyrektora głównego Komisyi sprawiedliwości. Cesarz depeszą telegraficzną z Liwadyi zgodził się na to [2]).

Ale spełniając życzenia margrabiego, Lambert w innych rzeczach, pod wpływem nowych czynników, jakie na ten umysł miękki, wrażliwy, prawie kobiecy, poczęły te-

---

[1]) Loc. cit. 222.

[2]) Depesze z dnia 25 sierpnia (6 września) 1861 r.

raz oddziaływać, wahał się, owszem nie wiedząc sam jak i kiedy, doszedł do całkiem innych niż pierwotnie zamierzał rezultatów. W poczciwej chęci zapoznania się z położeniem kraju i uspokojenia go rękami samych Polaków, namiestnik szukał informacyi u ludzi, którzy, jak mu się zdawało, najlepiej ten kraj i jego potrzeby znać i najtrafniejsze rady do jego uspokojenia podać mu mogą. Wiedział on, że Wielopolski jest osobistością nadzwyczaj niepopularną, i wobec tego musiał sobie postawić pytanie, czy margrabia istotnie zdoła kiedykolwiek wpłynąć na uspokojenie zrywającej się burzy, czy owszem nie będzie on szkopułem, o który rozbić się muszą wszelkie w tym kierunku próby?

Wątpliwości te, bardzo uzasadnione, podsycali wszyscy Polacy, do których Lambert zdołał się zbliżyć. Zbliżenie to, jak powiedzieliśmy, było wynikiem chęci bezpośredniego zetknięcia się ze społeczeństwem polskiem i tem łatwiejszego zapoznania się z jego potrzebami. I do kogóż się miał w tym celu udać, gdzie szukać informacyi, jak nie u owego „moralnego rządu polskiego“, który niedawno, na wiosnę, przez czterdzieści dni postu, kierował krajem ze salonów Resursy kupieckiej? Powoli otrzymali zaproszenie do Zamku prawie wszyscy członkowie byłej Delegacyi, to mieszczaństwo warszawskie, które rwąc się początkowo do sterowania krajem, jakby wyczerpane swym czterdziestodniowym wysiłkiem, umilkło teraz, siedziało gdzieś cicho i z pewną niechęcią patrzało na to, co się dokoła niego dzieje. Znalazł się więc na pogawędkach wieczornych w Zamku, przy szklance herbaty, i bankier Kronenberg, i kupiec Szlenkier, i doktór Chałubiński i ksiądz Wyszyński. Zjawiali się tam redaktorzy pism, jak Kraszewski, Kenig, Kucz; zjawiali się i inni, mniej wybitni lub mniej głośni. Wszystkich przyjmował bardzo grzecznie, oczarowywał godnością postawy, taktem, słodkiemi słowy, umiejętnością prowadzenia dyskusyi, cierpliwością, z jaką słuchał zdań każdego; wszystkim mówił o potrzebie uspokojenia kraju, o najlepszych dla niego chęciach

swoich. Odwoływał się do patryotyzmu obecnych, błagał o pomoc, rozpatrywał sposoby przeprowadzenia przyszłych wyborów, pytał o radę.

Zwykle pośredniczył w tych schadzkach niejaki Fredro, z rodziny Fredrów rosyjskich, pełniący przy Lambercie obowiązki urzędnika do szczególnych poruczeń, bywalec wielki, trochę hulaka, łatwy do zawierania znajomości, kręcący wszędzie i wszędzie dla swych przymiotów towarzyskich chętnie widziany. Mieszkał stale u Enocha, z którym go jakieś stosunki łączyły. On to zwykle sprowadzał wyżej wymienionych do Lamberta, do Belwederu, późnym wieczorem na pogawędkę. Wszystkim im nowy namiestnik wydawał się człowiekiem szczerym i dobrym. Ale gdy raz na zapytanie jednego z nich, czy przywiózł jakie nowe reformy dla kraju, Lambert odrzekł, że „nieszczęściem nic“ (malheureusement rien) nie przywiózł, że Polacy w Petersburgu mają tylko dwóch przyjaciół, to jest jego brata i cesarza Aleksandra, ostygli oni bardzo [1]).

Odtąd mieszczaństwo warszawskie zachowywało się nader ostrożnie i chłodno. Trzymając się swej polityki tradycyjnej, którą nie bez powodzenia prowadziło w dobie Delegacyi warszawskiej, starało się wpoić przekonanie w Lamberta, że wszelkie demonstracye uliczne nie mają znaczenia, że nie należy do nich zbyt wielkiej przywiązywać wagi, że najlepiej rząd zrobi, gdy zachowa się względem nich obojętnie i zostawi czasowi ostateczne uspokojenie kraju. Co do reform i wyborów niemniej ostrożnie wygłaszali swe zdania. Uważając w ogólności ustępstwa, czynione przez rząd, jako wynik ofiar i zaburzeń krajowych, sądzili w głębi serca, że właśnie trzeba dalej ponosić ofiary i manifestować się, by więcej takich ustępstw wyjednać. A prócz tego budziła się w nich obawa, by reformy administracyjne nie uśpiły kraju i nie spowodowały jego zrzeczenia się za nędzną miskę soczewicy praw nieprzedawnionych do niepodległości politycznej i granic

[1]) Z podań ustnych.

przedrozbiorowych. Z drugiej jednak strony, widząc, jak dalece rewolucyoniści z Mierosławskim na czele owładają wszystkiem, lękali się rewolucyi czerwonej i ostatecznej zaguby kraju. Dla tego też, acz bardzo ostrożnie, ostatecznie przyrzekli Lambertowi przeprowadzenie wyborów, nie zobowiązując się zresztą do niczego więcej. W końcu, rozgadując się niekiedy obszerniej, reprezentanci mieszczaństwa warszawskiego od czasu do czasu rzucili słówko, że jedną z przyczyn przeszkadzających uspokojeniu kraju, jest margrabia [1]).

Taką samą opinią, tylko o wiele wyraźniej i tonem bardziej stanowczym, wygłaszali inni reprezentanci starszyzny narodowej, zapraszani także do Zamku. Skomunikowawszy się z mieszczaństwem warszawskiem, Lambert postanowił także zasięgnąć rady u kilku dygnitarzy polskich, którzy usunęli się już od służby publicznej, oraz u niektórych członków byłego Towarzystwa rolniczego [2]).

---

[1]) *N. Berg:* Zapiski, 338. W książce p. t.: „Historya ruchu narodowego od 1861 do 1864“, wyszłej we Lwowie w r. 1882, napotykamy (I, str. 110) taką wiadomość: „przeciwko polityce wzajemnych ustępstw (Lamberta i mieszczaństwa warszawskiego) rozpoczęli zwolennicy powstania silną agitacyą, i zjawiła się w tym duchu napisana broszura p. t.: „Co powinienem robić z tego ustępstwa?“ *(sic)*. Była ona pióra wróconego z wygnania, znanego pisarza Apollona Korzeniowskiego, który w stronnictwie ruchu zajął rychło wpływowe stanowisko i swoją czynnością nowego mu dodał bodźca“. Broszury tej wcale nie znamy i prócz powyższej wzmianki nigdzie więcej wiadomości o niej spotkać nam się nie zdarzyło.

[2]) *Lisicki:* Le marquis, II, 222, powiada: „że nawet zrobiono mu (Lambertowi), przyjemność, iż zetknął się z czerwonymi, i to takimi, którzy w hierarchii ruchu zajmowali najwyższe stanowiska“. Faktu tego, pomimo najstaranniejszych poszukiwań, sprawdzić nam się nie udało i wogóle wydaje on nam się wątpliwym. W owym czasie, w końcu sierpnia i na początku kwietnia 1861 r. nie było jeszcze żadnej „hierarchii ruchu“ i nie było takich, którzyby w tej hierarchii zajmowali najwyższe stanowiska. Tworzące się pod wpływem Mierosławskiego koła i kółeczka, po krótkiem zwykle życiu umierały bezpłodnie i nie były w stanie ogarnąć ruchu. Najwybitniejsi agitatorowie tej doby, jak Nowakowski, Szachowski, Korzeniowski, nie zajmowali wcale takich stanowisk, by całym ruchem

Wszyscy ci panowie, podobnie jak mieszczaństwo, w konferencyach tych zachowywali się nader ostrożnie. Mówili bardzo wiele o tem, że rząd stracił zuufanie kraju, że naród jest głęboko oburzony, że jeżeli porządek publiczny nie rozpadł się już zupełnie, to dzięki tylko nadzwyczajnym wysileniom ludzi umiarkowanych, których wpływ zresztą z każdym dniem się zmniejsza; że pierwszym krokiem, jaki rząd winien zrobić w celu uspokojenia kraju, jest usunięcie od władzy Wielopolskiego, który przez swą dumę i pychę dyskredytuje tę władzę i czyni ją nienawistną; że przez rozwiązanie Towarzystwa rolniczego rozdrażnił szlachtę; mową swoją obraził duchowieństwo; naród oburzył swą drugą mową po wypadkach 8 kwietnia, młodzież przez zamknięcie szkół popchnął niejako w objęcia rewolucyi. Wszyscy wreszcie twierdzili, że jedynym środkiem uspokojenia kraju jest powierzenie przeprowadzenia reform innym niż Wielopolskiego rękom, rozumie się rękom członków byłego Towarzystwa rolniczego. Fryderyk hr. Skarbek, znany pisarz i były dyrektor główny Komisyi sprawiedliwości, radził, by rogatki i słupy wiorstowe pomalować kolorami narodowymi [1]).

Dla mieszczaństwa, ulegającego bądź co bądź gorączce czerwonej, usunięcie od rządów znienawidzonego magnata było koniecznem z wielu względów. Mięszało się do tego po części usposobienie demokratyczne tego mieszczaństwa, po części to poczucie, że Wielopolski jest jedną z najgłówniejszych przeszkód do urzeczywistnienia ich ideałów społecznych i politycznych. Ale jeżeli te motywy podkopywania wpływów margrabiego można nie usprawiedliwić, ale wytłomaczyć, jeżeli one mają jaką taką cechę dbałości o dobro ogólne, to o intrygach starszyzny szlacheckiej

kierować mogli i nie byli jego reprezentantami. Umiarkowani, jak: Jurgens, Giller, Majewski, także nie mogli się tem poszczycić, by w tym czasie stali na czele ruchu. Z kimże więc miał mówić Lambert? do czego by go to doprowadziło? Z tych względów podanie to uważać musimy za fałszywe.

[1]) Loc. cit. II, 223.

wcale tego powiedzieć nie można. Ta ostatnia miała na celu wyłącznie interesa własne, osławioną historycznie prywatę. Panowie ci sądzili, że, pracując nad obaleniem Wielopolskiego, pracują zarazem nad swem własnem przyjściem do władzy. Rozumowali oni tak: z chwilą gdy Wielopolski upadnie, rząd będzie się musiał odwołać do pomocy pana Andrzeja Zamoyskiego, a ponieważ pan Andrzej, jak to wielokrotnie oświadczył, nie przyjmie ofiarowanej mu władzy, więc przyjdzie na nich kolej, na jednego z nich, który tym sposobem zajmie opróżnione stanowisko. Że rachunek ten, tak w swem założeniu jak i wywodach był błędny, nie potrzebujemy mówić. Zapominali oni, że żaden z nich nie budził w podejrzliwym rządzie rosyjskim tyle zaufania, by rząd ten chciał mu powierzyć władzę, że zatem wynikiem ich działalności podstępnej mógł być, co prawda, upadek Wielopolskiego, ale z upadkiem tym zarazem nastąpiłyby straszne i niszczące rządy nie członków b. Towarzystwa rolniczego, ale czychających chciwie na władzę różnych jenerałów i kacyków, naczelników wojennych. Wobec tego działalność podziemna starszyzny szlacheckiej stanowczo zasługuje na potępienie.

Panowie ci tego nie spostrzegali, albo udawali, że nie spostrzegają. Zachęceni przez Lamberta, pisali memoryały, noty i rady. W memoryałach tych jedni domagali się rozszerzenia autonomii polskiej na t. zw. prowincye zabrane; inni wprowadzenia konstytucyi. „Przedewszystkiem więc należy uznać, pisał w takim memoryale ks. Wyszyński [1]), cały obszar dawnej Polski za prawne pole; na którem jawnie mogłoby się rozwinąć spokojne działanie cywilizacyjnych dążeń ducha polskiego w granicach zakreślonych z dobrą wiarą, z jednej strony wymaganiami bezpieczeństwa państwa rosyjskiego, z drugiej strony zachowanemi zasadami moralności (??) Przywrócenie w dziewięciu guberniach stanu rzeczy, jaki istniał w ciągu pierwszej ćwierci

[1]) „Nota podana 6 września 1861 r. hr. Lambertowi". Pomieszczamy ją w całości w zbiorze dokumentów pod Nrem 6.

bieżącego stulecia pod panowaniem cesarza Pawła I i Aleksandra I, byłoby obiecującym postępem na drodze zupełnego uspokojenia kraju. Co do Królestwa Polskiego, ponieważ jest bardziej jednolite, to należałoby mu wyraźniej przyznać prawa bytu kraju oddzielnej narodowości, a jako rękojmię tego uznania, przedewszystkiem nadać Radom wybranym prawa kontroli nad Zarządem. Postępując z dobrą wiarą drogą wytkniętą wyłożonemi wyżej zasadami, rząd niezawodnie potrafiłby uspokoić Polskę, a to tem pewniej i trwalej, im rozleglejsze zostawioneby było pole dla narodowego działania. Nadto, Rosya i rząd jej, nie pozbawiłyby się na przyszłość możności korzystania z nastręczających się środków do prowadzenia mniej więcej federacyjnego, w przypuszczeniu, że duch narodowy Polski pójdzie wskazanym wyżej torem".

„Pamięć panującego tu ucisku, pisał Aleksander Jackowski, członek Rady stanu i niegdyś członek komitetu Towarzystwa rolniczego [1]), gdy zarząd miejscowy uwolnionym został od poszanowania nawet Statutu organicznego Królestwu Polskiemu nadanego, budzi w każdej okoliczności w mieszkańcach tak straszne wspomnienie, że pod wpływem obawy, aby ów stan rzeczy nie wrócił, cała ludność wpada w stan rozpaczy, z którego wywiązuje się gotowość do ofiar i męczeństwa, jak tego dowiodły niedawne krwawe wypadki. Powtarzać się one nie przestaną, dopóki łaska Monarchy nie uwzględni cierpień narodu, dając mu ustawę zasadniczą z dopuszczeniem reprezentacyi narodowej".

Inni w ten sam mniej więcej sposób i w tymże duchu przemawiali, częstokroć w sposób jasny i wyraźny domagając się usunięcia Wielopolskiego. Ten wiedział o tych, cokolwiekbyśmy powiedzieli, niegodnych zabiegach i intrygach, znał podobno treść podawanych memoryałów i zachowywał się względem całej tej działalności pokątnej z obojętnością pogardliwą. Gdy mu zwracano

[1]) Memoryał Jackowskiego pomieszczamy tamże pod Nr. 7.

uwagę, że starszyzna szlachecka stara się podkopać jego stanowisko, odpowiadał: „niech się tam sobie starają“ [1]). Ta obojętność na zabiegi nieprzyjaciół pochodziła w części z poczucia bezsilności wobec nieuchwytnej, podziemnej intrygi, w części z pogardy olbrzyma dla nizkich dokuczań karłów, w części nakoniec z doskonałej znajomości usposobienia i charakteru „swego Hamleta“. Wiedział on, że Lambert nie łatwo zdecyduje się na krok stanowczy, że wśród wiekuistych wahań nic takiego nie zrobi, coby miało cechę zdecydowaną. A przytem może wiedział i o tem, że Lambert ma zanadto umysł bystry i przenikliwy, by się dał omamić pozorami dbałości o interesa kraju tam, gdzie na dnie leżała tylko prywata. Jakoż Lambert odgadł od razu, co się kryje pod słowami doradców mieszczańskich i szlacheckich, schodzących się do niego na herbatę wieczorną, i w głębi duszy postanowił bądź co bądź trzymać się Wielopolskiego.

Postanowienia tego tem chętniej się chwycił, że uwalniało go ono od zawsze mu wstrętnych kroków stanowczych. Poza tem jednak, wśród tych konferencyi, ciągnących się przez kilka z rzędu tygodni, ulegał on najrozmaitszym wpływom i, podobny do drzewa szarpanego przez różnorodne wichry, nie wiedział, na którą stronę się przechylić i nie przechylał się na żadną. Od cesarza otrzymał był instrukcyą, żeby raz na zawsze skończył z manifestacyami i żeby w tym celu ogłosił w kraju stan wojenny. Teraz cesarz ciągle mu to samo powtarzał, zwłaszcza, że manifestacye ani na chwilę nie ustawały. Właśnie w parę dni po przybyciu Lamberta do Warszawy zdarzyło się dnia 26 sierpnia, że policya przyaresztowała na ulicy czterech mężczyzn, ubranych w stroje zakazane. Zrobiło się zaraz zbiegowisko, które kamieniami poczęło ciskać na policyantów, przyczem zraniono oficera żandarmskiego Bolickiego. Musiano dla przywrócenia porządku wysłać kompanią piechoty. W kilka dni potem, dnia 31 sierpnia,

[1]) *H. Lisicki:* „Aleksander Wielopolski“, I, 234.

odbył się pogrzeb jakiejś, jak mówiono, ofiary, która miała umrzeć wskutek ran poniesionych jeszcze dnia 8 kwietnia. Zbiegło się mnóstwo ludzi (orszak pogrzebowy obliczano na 5.000 głów) i na cmentarzu odśpiewano hymny polityczne. Cesarz, dowiadując się o tem, pisał: „ostatnie twoje depesze świadczą o trwających ciągle zaburzeniach. Znosić ich dłużej nie należy ani w Warszawie, ani na prowincyi i dla tego żądam *(trebuju)*, żebyś w miejscowościach, w których to uznasz za potrzebne, ogłosił stan oblężenia“ [1]). Ale pomimo wyraźnej woli cesarskiej, Lambert zdobyć się na to nie mógł, choć nowe manifestacye powinny go były do tego zmusić.

Z powodu mniemanej rzezi w Wilnie, gdy po całym kraju odbywały się za „pomordowanych“, jak mówiono, nabożeństwa, w Warszawie, w ostatnich dniach sierpnia obiegać poczęła odezwa tej treści: „Bracia rodacy! w chwili gdy rząd moskiewski łaskawemi słówkami przemawiając do kraju naszego, nie przestaje mordować w Wilnie, rabować w Białymstoku i więzić w Warszawie; kiedy ster władzy krajowej oddaje w ręce wojskowe przysłanego jenerała, naród nie zapomina swych praw, ani swej godności, i pierwszą jego myślą jest uczcić krew męczeńską, przelaną przez naszych braci Litwinów za wspólną naszą ojczyznę. Zawiadamiamy was bracia rodacy! 1) że w poniedziałek dnia 2-go września b. r. we wszystkich kościołach w Warszawie, o godzinie 10-tej rano, odbędą się żałobne nabożeństwa za braci naszych Litwinów, pomordowanych przez Moskali w Wilnie dnia 18 sierpnia r. b. 2) że następnie we wtorek, środę, czwartek, piątek i sobotę, o tejże samej godzinie we wszystkich kościołach odbywać się będą nabożeństwa żałobne na pamiątkę dni męczeństwa zaprzedanej w r. 1831 Warszawy, na pamiątkę wzięcia Woli, zarąbanego na ołtarzu jenerała Sowińskiego i wejścia Moskali do stolicy Polski; 3) zaczynając więc od poniedziałku, 1-mo, powiększyć żałobę, aby nikt na sobie nic białego,

[1]) Depesza z Odessy, z dnia 1 września (20 sierpnia).

ani kolorowego nie miał, i tak cały tydzień się zachować; 2-do, wstrzymać się od licznych zebrań, uciech i radości, do których Moskale w rozmaity sposób nas zachęcają; 3-o, nareszcie w sobotę i niedzielę, t. j. dnia 7 i 8, nie znajdować się w żadnym publicznym ogrodzie, ani na placach, w zastępstwie za niedzielne nabożeństwo dnia 8-go września, które Kościół, Matka nasza, nie dozwala żałobnie obchodzić. Uczuciom dobrych Polek i Polaków zalecamy wykonanie obowiązków powyżej wskazanych".

Nabożeństwo powyższe odbyło się w dniu oznaczonym uroczyście; sklepy do godziny 1-szej w południe były zamknięte. Napróżno rząd zaprzeczał publicznie, żeby kogokolwiek zabito w Wilnie [1]), sposobność była zanadto dobra, by ją pominąć miano [2]). O tem wszystkiem Lambert

---

[1]) Dnia 4 września ukazało się w gazetach warszawskich następujące obwieszczenie rządowe: „Od kilku dni rozchodzą się po Warszawie przesadne wieści o starciu, jakie miało miejsce w Wilnie w dniu 6 (18) sierpnia. Wiadomości urzędowe z dnia 9 (21) sierpnia wykazały już bezzasadność tych pogłosek. Otrzymana dziś w Warszawie depesza telegraficzna urzędowa z Wilna uśmierza i znosi wszelką w tym względzie obawę. W rzeczy samej depesza zawiadamia, że z pomiędzy ludności trzy tylko osoby ranione zostały wskutek uderzenia kolbą, kilka zaś innych osób doznało nieznacznych kontuzyi. Nadto, w chwili obecnej, wszystkie te osoby znajdują się przy zupełnem zdrowiu i ani jednego wypadku śmierci nie było. Ze strony wojska raniono lekko trzech kozaków, dwóch żołnierzy z piechoty, trębacza i oficera, kamieniami i drągami".

[2]) W czasie tego nabożeństwa, jakiś człowiek, jak donoszą relacye współczesne, rozdawał po kościołach kartki drukowane, wzywające wprost do powstania. Nie wiemy o jakiej to odezwie jest mowa, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa o tej, jaką napotykamy wydrukowaną w „Wiadomościach z kraju z lat 1861 i 1862" na str. 18, w której jakiś niezbyt uczony w piśmie, zapewne niedawno z ławy szkolnej wypuszczony młokos, woła: „wicher, poprzedzający dziejową burzę, zrywa czapkę złotą z imperatorskiej głowy, car przytrzymuje ją i naciska, patrzy na Litwę, Wołyń, Podole, Ukrainę i Koronę, kipiące pragnieniem boju o wolność, oddycha żądzą morderstw, a nie może wystąpić z groźbą: podaje ręce zdradzie, ale hańba temu, kto uściśnie dłoń kata, krwią naszych braci zbroczoną! Ofiary były, są, będą. Czarny ptak potrzebuje ludzkiego ciała

donosił cesarzowi, który ciągle nalegał, by ogłoszono stan wojenny, zwłaszcza, że do tego radykalnego, jak sądzono w sferach rządowych rosyjskich, środka, uciekł się był już, wskutek ostatnich wypadków wileńskich, tamtejszy jenerał gubernator, Nazimow.

Już zaraz nazajutrz po tych wypadkach, miejscowy oberpolicmajster Wasiliew ogłosił, że jenerał-gubernator zabrania: śpiewania hymnów podżegających tak na ulicy jak i po kościołach i tłumnego zgromadzania się na ulicach; że wszelkie zbiegowiska rozpędzane będą siłą zbrojną „jak to miało miejsce wczoraj“; zalecał kobietom i matkom, by siedziały spokojnie w domach wśród rodziny, dla uniknienia przy użyciu siły zbrojnej niebezpieczeństwa; zabroniono wychodzić po godzinie 9 tej wieczorem z domu, a gdyby kto zmuszony był koniecznością do tego, to winien posiadać latarkę, zatrzymywać się na wezwanie patrolu i dać wszelkie żądane objaśnienia; że na rogatkach urządzono warty wojenne i ktokolwiek chce wyjechać, musi znajdującym się tam urzędnikom okazać paszport. Był to już w rzeczywistości stan wojenny, choć urzędowe jego i wyraźne opublikowanie nastąpiło dopiero w dniu 24 sierpnia. Jako będące w tym stanie ogłoszono miasta:

na pokarm i krwi na napój. Niechaj ucztuje jeszcze, bo to ostatnia dla niego biesiada. Rodacy! jedna mogiła dla pomordowanych ofiar wolności, lub jedna rzeczpospolita wskrzeszona dla wszystkich, to naszem hasłem!“ Przeciw temu nadużywaniu drukowanego słowa wystąpiła „Strażnica“ (Nr. 6): „ukazała się odezwa, czytamy tam, która wyraźnie nosi na sobie piętno niedojrzałości politycznej i która też powszechnie potępioną została. Liczne nawet podniosły się głosy, że odezwa ta miała źródło w gorącej chęci wroga wyzwania nas do przedwczesnej walki; niechże więc ten głos będzie nauką dla autora, a my powiemy mu tylko, że wyrzeczone przez niego słowa, nie poparte natychmiast czynem, są dziecinną przechwałką, a nadto zapytamy go, czy obliczył następstwa podobnego kroku, gdyby patryotyczny a nierozumiejący nasz ludek, rozgrzany niemi, zechciał natychmiast legnąć „w jednej dla wolnych mogile“. Szczęściem, że kraj środki i siły oblicza i krew swą na potrzebne czasy zaoszczędza umie, a na niczem nie poparte frazesa nie zwraca uwagi. Idźmy naprzód jak dotąd w Imię Boże, a dojdziemy do celu“ i t. d.

Wilno, Grodno, Białystok, Bielsk, Brześć Litewski z powiatami, oraz gubernią Kowieńską z wyłączeniem powiatu Nowo-Aleksandrowskiego [1]).

Ogłoszenie stanu wojennego na Litwie, było pewnego rodzaju przykładem i wzorem dla Królestwa. To też gdy Lambert doniósł cesarzowi o nabożeństwach za poległych w Wilnie, ten ostatni pisał, że wszystko to przekonywa go jeszcze bardziej „o potrzebie surowych środków i należy ich chwycić się jednocześnie na Litwie i w Polsce“ [2]), zalecał, żeby „w rocznicę zdobycia Warszawy nie pozwolono na żadne demonstracye, a gdyby takowe mimo wszystkiego się odbyły, to bezwarunkowo ogłosić w Warszawie stan oblężenia. W innych miejscach tak samo postąpić i natychmiast zająć się rozbrojeniem mieszkańców“.

Ale szlachetny i dobrze życzący Polsce Lambert opierał się temu ze wszystkich sił. „Niema teraz powodu do ogłoszenia stanu wojennego, pisał do cesarza dnia 4-go września, gdyż położenie rzeczy nie zmieniło się na gorsze,

[1]) Ogłoszenie to brzmi: „W skutek wynikłych w niektórych miastach nieporządków, naruszających spokojność w świątyniach rzymsko-katolickich, nadwerężających cześć dla świątyń i spokój ogólny, pomimo łagodnego z początku przekazania, a naostatek surowych administracyjnych skarceń, nie ustają dotąd i dotąd śpiewają hymny podburzające w świątyniach i na placach publicznych. Ludzie złych zamiarów wpływają na młodzież i kobiety, ściągają przez nie tłumy niczem nie zajętych ludzi, tak dalece, że władza zmuszona była użyć siły wojskowej. Ten stan nie może trwać dłużej. Dla tego żeby przywrócić spokój i osłonić spokojnych mieszkańców od gwałtów i zniewag, ja, na mocy nadanej mi władzy przez Najwyższy rozkaz, ogłoszony w ukazie Rządzącego senatu z dnia 9 sierpnia, ogłaszam w stanie wojennym miasta: Wilno, Grodno, Białystok, Bielsk i Brześć Litewski z powiatami i gubernią Kowieńską, z wyłączeniem powiatu Nowo-Aleksandrowskiego, uwiadamiając, że cały ciężar wojskowego kwaterunku padnie wyłącznie na tych, którzy biorą udział w nieporządkach. Podpisano: jenerał-adjutant Nazimow“. Rząd gubernialny wileński ze swej strony zawiadamiał, że wszelkie przestępstwa polityczne i kryminalne (gwałt, rozbój, zabójstwo, podpalenie) sądzone będą przez sądy wojenne.

[2]) Depesza z Odessy, z dnia 22 sierpnia (3 września).

choć wojska z ulic cofnięto; a przytem policya publiczna (narużnaja) jeszcze nie jest uorganizowana, tajnej zaś wcale niema i my sami nie obznajomiliśmy się dotąd dobrze ze sprawami. Nic dziwnego *(nie mudreno)*, że będą zaburzenia w dniu zdobycia Warszawy, ale pod tym względem nie widzę żadnego niebezpieczeństwa; ogłoszenie zaś stanu wojennego zaburzeniom nie zapobiegnie, w razie zaś konieczności wojska mamy w pogotowiu. Nie tyle obawiam się nieporządków ulicznych, ile wyborów".

Tymczasem, gdy się to wszystko działo, gdy nowy namiestnik szlachetnie bronił kraju przed stanem oblężenia i rządami kacyków wojskowych, którzy tego tylko pragnęli, warczeli potajemnie na stosunki Lamberta z Polakami, i tworząc w rządzie Frondę nową, skupiali się koło Gerstenzweiga — kraj podawnemu wrzał wszelkiego rodzaju manifestacyami. Wprawdzie dzień 8 września, trzydziestoletnia rocznica poddania się Warszawy Paskiewiczowi, przeminęła spokojnie. Obawiano się w Zamku licznego zbiegowiska na cmentarzu Wolskim, a tymczasem nikt się tam nie zjawił. Przypadająca w wigilią tego dnia uroczystość dworska z powodu rocznicy koronacyi Aleksandra II, nie została zakłócona śpiewami patryotycznymi po kościołach, ale za to w dzielnicy żydowskiej miasta, na Nalewkach rozegrały się innego rodzaju sceny, świadczące, że nawet do najniższych warstw żydowskich nerwowy nastrój czasu przeniknął. W dniu 5 i 6 września przypadały uroczyste święta żydowskie Nowego roku, i z powodu, że niektórzy wolnomyślni żydzi nie zamknęli swych sklepów, rozfanatyzowany tłum zebrał się dnia 6-go, w piątek przed sklepem optyka Pika, na ulicy Miodowej, narobił ogromnej wrzawy, obrzucił okna błotem i kamieniami, poczem przez ulicę Kozią pociągnął na Krakowskie Przedmieście do sklepu księgarza Orgelbranda. Tu to samo się powtórzyło. Policya wcale się nie pokazywała. Nazajutrz takież sceny odbyły się z większą jeszcze wrzawą na Nalewkach przed otwartym sklepem Natansona. Wybito szyby, zniszczono nieco towarów i pomimo napomnień

starszego rabina, którego policya sprowadziła, nie chciano się rozejść, a gdy żandarmerya przyaresztowała kilku krzyczących najbardziej żydziaków, rzucono się na nią, wyswobodzono przytrzymanych i pobito żołnierzy. Wobec tego ściągnięto nieco wojska, które zbiegowisko rozpędziło, kilku wichrzycieli aresztowało, którzy, jak ogłosił Wielopolski, „oddani zostali pod juryzdykcyą Prezesa sądu kryminalnego gubernii Warszawskiej, w celu wyprowadzenia śledztwa na drodze sądowej i wymierzenia kary prawem przepisanej“.

Jakkolwiek te zaburzenia żydowskie nie miały charakteru politycznego, i tak je też uważał Lambert [1]), wszelako świadczyły one wymownie o tym gorączkowym nastroju całego kraju, kiedy aż sfery najniższego żydostwa, najmniej zdolne do zaburzeń publicznych, ośmieliły się dokonywać awantur ulicznych. Wskutek tych wypadków w parę dni potem ukazała się odezwa, drukowana w dwóch językach, polskim i żydowskim, wystawiająca niebezpieczeństwo, jakie tego rodzaju zajścia mogą wywołać dla kraju. Odezwa ta oczywiście wyszła z tych sfer ucywilizowanego żydostwa, które, oddzieliwszy się od tłumu fanatycznego, wcale nie miało ochoty padać ofiarą jego przesądów religijnych. Prócz tego rabin warszawski, znany nam już Ber Majzels, wydał także odezwę z datą 8 września, w której wzywał ojców rodzin i starszych, aby pilnowali młodzieży żydowskiej, żeby nie posuwała się do nadużyć, żeby „nie dopuszczała się szyderstw i napaści względem poważnych osób, głosząc, że to czyni w zamiarze wzmocnienia świętych przepisów religii“, że „przywłaszczenie sobie takiego prawa przez niesforną młodzież może tylko sprowadzić zniewagę ludu izraelskiego i ubliżenie zakonowi Bożemu“.

O wiele ważniejszem od tych awantur żydowskich był inny objaw wzburzenia powszechnego, który teraz ogar-

[1]) Depesza z dnia 27 sierpnia (8 września): „... nieporządki te nie mają ani charakteru politycznego, ani żadnego znaczenia. Niektórych wichrzycieli już aresztowano; dla przytrzymania głównych podżegaczy użyto odpowiednich środków“.

nął Warszawę i kraj cały. Chcemy tu mówić o mnóstwie nabożeństw, odbywanych nieomal codziennie, a czasem i po kilka na dzień w różnych kościołach „za pomyślność ojczyzny“, lub „za wolność, całość i niepodległość ojczyzny“. Była to istna moda, zaraza przenikająca wszędzie, do wszelkich słojów społecznych. Pierwsze tego rodzaju nabożeństwo, o ile wiemy, odbyło się dnia 7 sierpnia w kościele OO. Augustyanów na ulicy Piwnej, zamówione przez „artystów litografij“. Drugie dnia 27 t. m. odprawiło u Bernardynów „zgromadzenie rękawiczników“, a trzecie d. 31 t. m. u św. Jana „zgromadzenie fabrykantów siodlarskich i powozowych“ — ostatnie dnia 31 października u Bernardynów „orszak kawalerów młodych Polaków i dziewic Polek“. Przez cały ten czas, powtarzamy, nie było dnia, żeby gdzieś tego rodzaju nabożeństwa się nie odprawiały. Wszystkie cechy, zgromadzenia rzemieślnicze, rękodzielnicze, przemysłowe, stowarzyszenia, bractwa, terminatorzy, Bóg wie kto wreszcie, literaci, artyści, muzycy, akuszerki, włościanie z okolic Warszawy, dzieci polskie, panny polskie, wdowy z Pragi (sic), druciarze, uczniowie i uczennice, przełożone pensyj i t. d. [1]), wszystko to zamawiało w różnych kościo-

[1]) *N. Berg*, Zapiski, 348, naliczył tego rodzaju nabożeństw od 23 września do 15 października 43, co stanowi zaledwie czwartą część istotnej cyfry. Autor niniejszego miał w ręku bardzo cenny zbiór zaproszeń na te nabożeństwa, należący do p. Adama Mieleszki-Maliszkiewicza, i zawierający od d. 7 sierpnia do 31 października 178 nabożeństw, a wiemy, że i ta cyfra, tak pozornie znaczna, nie przedstawia liczby rzeczywistej. Wypisujemy tu powyżej kolekcyj w porządku chronologicznym wszystkie te nabożeństwa: *Sierpień.* Dnia 7 w kościele OO. Augustyanów, artyści litografij. Dnia 27 u Bernardynów, zgromadzenie rękawiczników. Dnia 31 u św. Jana, zgromadzenie fabrykantów siodlarskich i powozowych. *Wrzesień.* Dnia 2 u Reformatów, zgromadzenie czeladzi stelmachów; d. 3 u Kapucynów, zgromadzenie tokarzy (zaproszenie pisane); d. 5 u Karmelitów na Lesznie, mieszkańcy, młynarze i robotnicy młyna parowego na Lesznie; d. 9 u Dominikanów, zgromadzenie majstrów kapeluszniczych; d. 9 u św. Krzyża, dzieci polskich; d. 10 u Reformatów, zgromadzenie subjektów felczerskich; d. 12 u Paulinów, zgromadzenie giserów; d. 13 u Reformatów, zgromadzenie czeladzi młynar-

łach nabożeństwa, po większej części za pomocą drukowanych lub litografowanych, a rzadziej pisanych kartek. Kartki te zaopatrywano w rozmaite emblemata z herbami Polski, Litwy i Rusi, z wieńcami cierniowymi i palmami.

---

skiej; d. 14 u Reformatów, zgromadzenie piekarzy; d. 16 u Reformatów, zgromadzenie majstrów stelmachów i kołodziei; d. 16 u Pijarów, fabrykanci i subjekci fortepianów; d. 16 u św. Krzyża, fabrykanci obić papierowych; d. 19 u Karmelitów na Krakow. Przedmieściu, zgromadzenie majstrów mydlarskich; d. 19 u Bernardynów, zgromadzenie czeladzi piekarskiej; d. 19 u Reformatów, zgromadzenie majstrów iglarskich i pilnikarskich wraz z czeladnikami; d. 20 u Bernardynów, zgromadzenie druciarzy; d. 20 u Reformatów, zgromadzenie majstrów szczotkarskich wraz z czeladzią; d. 21 u Bernardynów, zgromadzenie majstrów białoskórniczych i czeladzi; d. 21 u Karmelitów na Krak. Przed., zgromadzenie majstrów kuśnierskich i czeladzi; d. 22 w kościele Ewangielicko-Augsburskim; d. 23 u Kapucynów, zgromadzenie majstrów blacharskich wraz z czeladzią; d. 23 u OO. Augustyanów, zgromadzenie gwoździarzy; d. 23 u Kapucynów, zgromadzenie strycharzy; d. 23 u Bernardynów, zgromadzenie majstrów rzeźniczych wyznania ewangelickiego(?!!); d. 24 u Bernardynów, zgromadzenie starszych felczerów; d. 24 u Reformatów, zgromadzenie służących płci żeńskiej; d. 25 u Bernardynów, zgromadzenie utrzymujących dorożki; d. 25 u Reformatów, ogrodnicy miasta i okolicy Warszawy; d. 25 u Augustyanów, zgromadzenie dystrybutorów, oficyalistów, majstrów i robotników fabryk tabacznych; d. 25 w kościele na Pradze, zgromadzenie majstrów i czeladzi szewskiej na Pradze; d. 26 u Reformatów, zgromadzenie niciarzy; d. 26 u Paulinów, zgromadzenie majstrów tkackich i czeladzi tego zgromadzenia; d. 26 u Karmelitów na Krak. Przed., grono bratnie (sic) uczniów kowalskich; d. 26 u Bernardynów, zgromadzenie czeladzi rzeźniczej; d. 27 u Kapucynów, uczniowie ze zgromadzenia kuśnierskiego; d. 27 u Karmelitów na Krak. Przed., towarzystwo kamerdynerów; d. 27 u Bernardynów, zgromadzenie majstrów kotlarskich wraz z czeladzią; d. 28 u Dominikanów, zgromadzenie kunsztu farbiarskiego; d. 28 u Bernardynów, zgromadzenie utrzymujących trunki krajowe (sic); d. 28 w kościele w Mokotowie, włościanie z okolic Warszawy; d. 28 u Kapucynów, oficyaliści prywatni; d. 28 u św. Aleksandra, biedne wdowy (sic); d. 28 u św. Krzyża, zgromadzenie służących parafii św. Krzyża; d. 28 u św. Krzyża, zgromadzenie służących płci żeńskiej; d. 28 u Karmelitów na Lesznie, zgromadzenie woziwodów; d. 28 u św. Jana, zgromadzenie stróżów i wyrobników; d. 28 u Pijarów, zgromadzenie kramarzy warszawskich

Weterani np. b. wojsk polskich, zapraszając „kolegów, braci rodaków wraz z młodem pokoleniem na nabożeństwo za wolność, całość i niepodległość ojczyzny“ (d. 22 października), rozesłali zaproszenie litografowane na wielkim arku-

---

i Węgrów (sic); d. 28 u Reformatów, zgromadzenie piernikarzy wraz z czeladzią; d. 29 u Reformatów, zgromadzenie czeladzi wyrobu machin parowych W-go Troetzera; d. 29 u Kapucynów, kupcy utrzymujący składy szkła; d. 29 u Karmelitów na Lesznie, chłopcy (sic) z fabryk wyrobów platerowanych i galwanizowanych; d. 29 na Pradze, zgromadzenie czeladników bednarskich przedmieścia Pragi; d. 29 w kościele Ewangielicko-Reformowanym; d. 30 u św. Jana, terminatorzy cechu „zdońskiego“ (sic — zaproszenie pisane); d. 30 u Karmelitów na Lesznie, zgromadzenie majstrów i czeladzi polerowniczych i z fabryk nowego srebra; d. 30 u św. Krzyża, zgromadzenie majstrów pończoszniczych wraz z czeladzią; d. 30 u Bernardynów, zgromadzenie majstrów stolarskich; d. 30 u Wizytek, grono stowarzyszonych czeladzi stolarskich; d. 30 u Reformatów, zgromadzenie czeladników krześlarskich; d. 30 u Karmelitów na Krak. Przed., pracownicy przy moście stałym i łyżwowym; d. 30 na Pradze, mieszkańcy Pragi; d. 30 u Augustyanów, zgromadzenie jubilerów i złotników i grawerów; d. 30 u Pijarów, wdowy i sieroty polskie (sic); d. 30 u Reformatów. zgromadzenie piwowarów; d. 30 u Panny Maryi, zgromadzenie formierzy (sic); d. 30 u Paulinów, zgromadzenie dekarzy majstrów wraz z czeladzią. — *Październik*, d. 1 u Kapucynów, panny trudniące się polerowaniem złota; d. 1 u Dominikanów, uczniowie i uczennice szkoły ewangelicko-reformowanej; d. 1 u Augustyanów, bractwo św. Tekli (zaproszenie pisane); d. 1 u Paulinów, zgromadzenie grzebieniarzy wraz z czeladźmi; d. 1 u Reformatów, uczniowie krześlarscy (pisane); d. 1 u Bernardynów, zgromadzenie majstrów tapicerskich; d. 1 u Karmelitów na Krak. Przed., majstrowie cechu stolarskiego; d. 2 u św. Aleksandra, furmani piwowarscy i składników; d. 2 u Kapucynów, uczennice pensyi wyższej (sic); d. 2 u Pijarów, literaci i artyści polscy; d. 2 u Paulinów, zgromadzenie giserów czcionek drukarskich; d. 2 u Reformatów, inżenierowie, budowniczowie, artyści dramatyczni, literaci, malarze i rzeźbiarze; d. 2 u Karmelitów na Lesznie, rzeźbiarze i kamieniarze; d. 2 u Augustyanów, zgromadzenie terminatorów szewskich; d. 2 u Karmelitów na Krak. Przed., braterstwo (sic) uczni mydlarskich; d. 2 u Karmelitów na Lesznie, zgromadzenie brukarzy; d. 3 na Pradze, zgromadzenie kowali i ślusarzy przedmieścia Pragi; d. 3 u Trinitarzy, zgromadzenie przewoźników; d. u Kapucynów, zgromadzenie zegarmistrzów; d. 3 u św. Krzyża, towarzystwo akuszerek polskich (sic);

szu, na którym oprócz ułana, kosyniera i armatury wojennej, znajdował się spis znaczniejszych bitew, stoczonych w 1831 r. Bogu winni duszę „druciarze“ (nazwa dawana w Warszawie góralom słowackim, trudniącym się przewa-

---

d. 3 u Karmelitów na Lesznie, „na intencyą braci naszych w niewoli zostających“; d. 3 u Reformatów, ucznie (sic) stelmachscy i kołodziejscy; d. 4 u św. Aleksandra, sprzedający kiełbaski (sic); d. 4 u św. Krzyża, zgromadzenie posługaczy szpitali warszawskich; d. 4 u Kapucynów, zgromadzenie stróżów i wyrobników; d. 4 u Pijarów, panny polskie trudniące się krawieczyzną (pisane); d. 4 u Karmelitów na Krak. Przed., zgromadzenie sztukatorskie; d. 4 u Reformatów, zgromadzenie parasolników; d. 4 u Karmelitów na Lesznie, towarzystwo uczniów lakiernickich; d. 5 u Panny Maryi, zgromadzenie rybaków; d. 5 u Karmelitów na Krak. Przed., dziewice polskie (sic); d. 5 u Augustyanów, uczniowie szkoły elementarnej; d. 5 u św. Jana, urzędnicy wszelkich władz Królestwa Polskiego w Warszawie; d. 5 w Wilanowie, włościanie wilanowscy; d. 5 u Trinitarzy, fabryka rolnicza przy żegludze parowej; d. 5 u Franciszkanów, obywatele cyrkułu VI.; d. 6 u Reformatów, zgromadzenie komisarzy; d. 6 u Paulinów, utrzymujące magle; d. 6 u Augustyanów, zgromadzenie liczne panien służących oddziału IV.(??); d. 6 u Karmelitów na Lesznie, chłopcy polskie (sic), roznoszące (sic) plakaty; d. 6 u Panny Maryi, przełożone pensyj wyższych i niższych wraz z nauczycielkami i guwernantkami; d. 6 u Kapucynów, ucznie (sic) zgromadzenia rękawiczniczego; d. 7 u Bernardynów, ucznie (sic) zgromadzenia blacharskiego; d. 7 u Karmelitów na Lesznie, współbracia (sic) uczniowie krawieccy; d. 7 u św. Krzyża, krupiarki (sic); d. 7 u Augustyanów, handlujące zieleniarki starego miasta i szerokiego Dunaju; d. 7 u Pijarów, panny polskie; d. 7 u Paulinów, panny służące; d. 7 na Pradze, wdowy z Pragi; d. 7 u Bernardynów, zgromadzenie wydziału mechanicznego drogi żel. Warszaw.-Petersburskiej; d. 7 u Reformatów, cała pracująca ludność w fabryce nowego srebra Henningera; d. 7 u św. Karola Boremeusza, właściciele miejscy ulic przedmieścia Wolskiego; d. 7 u Kapucynów, zgromadzenie perukarskie wraz z subjektami i uczniami; d. 7 u Karmelitów na Krak. Przed., zgromadzenie ciesielskie szarmajstrów (sic); d. 7 w kościele Wolskim, zgromadzenie czeladzi stelmachów i kołodziei; d. 7 u Reformatów, zgromadzenie ogólne pracujących w fabryce nowego srebra; d. 8 u Reformatów, zgromadzenie uczni (sic) nożowniczych i szpadniczych; d. 8 u Bernardynów, jeden z dystylatorów warszawskich; d. 8 u Franciszkanów, zgromadzenie panien starszych z magazynuw (sic) obówia (sic) damskiego (pisane); d. 8 u Augustyanów, zgroma-

żnie drutowaniem garnków potłuczonych), także wystąpili z zaproszeniem litografowanem, na którem był wyrysowany druciarz w swej guni, wsparty na kiju, a obok niego wieńce, palmy i herby polskie. Niektóre z tych zaproszeń, zwła-

---

dzenie służących; d. 8 w Czerniakowie, włościanie wsi Czerniakowa; d. 8 u Pijarów, aptekarze warszawscy; d. 9 u Kapucynów, uczniowie zakładów cukierniczych; d. 9 u Augustyanów, grono dziewcząt traktyerniczych i piwa bawarskiego; d. 9 w synagodze na Nalewkach, młodzież polska(?) wyznania mojżeszowego; d. 9 u św. Krzyża, uczennice pensyj wyższych i niższych; d. 9 u Bernardynów, zgromadzenie fabrykantów ram złoconych i fabrykantów złota malarskiego wraz z subjektami; d. 9 u Pijarów, właściciele domów przy ulicy Rynek Starego Miasta; d. 10 u Augustyanów, grono bratnie uczni (sic) kunsztu szlusarskiego, puskarskiego, ostrogarskiego i cejgszmitów (sic); d. 10 u Reformatów, sprzedający włoszczyznę i owoce za Żelazną Bramą; d. 10 w Raszynie, włościanie z Raszyna; d. 10 u św. Krzyża, zgromadzenie rzemieślników i robotników zakładu gazowego; d. 10 u Bernardynów, uczniowie garbarscy wraz z białoskórniczymi; d. 11 u Kapucynów, uczniowie zgromadzenia kotlarskiego; d 11 u Augustyanów, zgromadzenie utrzymujących kawiarnie; d. 12 u Bernardynów, bratnie grono uczni (sic) piekarskich; d. 12 u Trynitarzy, mieszkańcy m. stoł. Warszawy okolic Nadwiśla; d. 12 u Augustyanów, grono braterskie uczni (sic) piekarskich; d. 13 u Paulinów, grono muślarzy; d. 13 u Sakramentek, służące klasztoru Sakramentek; d. 13 w Synagodze na Pradze, Izraelici z Pragi; d. 13 u Augustyanów, bratnie grono uczni (sic) jubilerskich, złotniczych i grawerskich; d. 13 u Karola Boromeusza, pracownicy z fabryki wyrobów parowych D. Grafa; d. 13 u św. Krzyża, młodzież męska prywatnie w zakładach naukowych i w domu rodzicielskim kształcąca się; d. 14 u św. Krzyża, zgromadzenie św. Rocha przy kościele św. Krzyża w Warszawie; d. 14 u Reformatów, uczniowie szkoły felczerskiej wraz z uczniami razurowemi; d. 14 u Dominikanów, zgromadzenie majstrów szewskich; d. 14 u Karmelitów na Lesznie, zgromadzenie czeladzi lakierniczej; d. 15 u Bernardynów, ogólne zgromadzenie krawców m. stoł. Warszawy; d. 15 u Paulinów, zgromadzenie bractwa Opatrzności Boskiej; d. 15 u Trynitarzy, rzemieślnicy warsztatów żeglugi parowej; d. 15 u Augustyanów i Dominikanów, uczniowie wszystkich kunsztów; d. 15 u Augustyanów, zgromadzenie majstrów szklarskich wraz z czeladzią; d. 16 u Kapucynów, zgromadzenie bronzowników; d. 16 u Bernardynów, grono przyjacielskie cukierników; d. 16 u Karmelitów na Krak. Przed., zgromadzenie mularzy m. stoł. Warszawy; d. 16 u Karmelitów na Krak.

szcza pisane, kłóciły się w sposób haniebny z ortografią i gramatyką, ale cóż ortografia i gramatyka miały do miłości ojczyzny [1])?

Same nabożeństwa odbywały się po większej części bardzo okazale, wśród wszelkich możliwych i zwykłych w tym czasie efektów. Kościoły oświecano wspaniale, obwieszano białymi orłami i pogonią, zdobiono w bukiety i wieńce z trójkolorowych wstążek. Wszędzie zbierano pieniądze „na ołtarz ojczyzny". Na jednem z nabożeństw u Bernardynów, kwestowali żydzi z brodami i żydówka i zebrali kilka tysięcy [2]), co nikogo nie dziwiło, a wszystkich zachwycało. Na nabożeństwie u Karmelitów na Krakowskiem Przedmieściu, sprawionem przez robotników, pracujących przy moście stałym i łyżwowym, między którymi było dużo Włochów, zawieszono przy ołtarzu orła i pogoń, a obok nich chorągiew włoską, „na znak sympatyi dwóch do wolności i jedności dążących narodów". Do synagogi na Nalewkach, d. 9 października, zapraszała „młodzież polska wyznania

Przed., „ażeby Najwyższy dał męztwo Polakom i wejrzał na biedny nasz kraj". d. 17 w Synagodze radomskiej, Polacy wyznania mojżeszowego; d. 17 u św. Krzyża, braterstwo czeladzi mydlarskich; d. 17 u Bernardynów, ucznie (sic) zgromadzenia rzeźnickiego; d. 18 u Karmelitów na Lesznie, zgromadzenie czeladzi garbarskich wraz z pomocnikami; d. 22 u Augustyanów, grono braterskie uczni siodlarskich; d. 22 u Bernardynów, weterani b. wojsk polskich; d. 23 u Dominikanów, zatrudniające się wyrobami koszykarskimi; d. 27 u Bernardynów, zgromadzenie felczerów starszych; d. 25 u Benardynów, ex-wojskowi b. wojsk polskich; d. 25 u Bernardynów, zgromadzenie liczne (sic) obszywaczek; d. 25 u Karmelitów na Krak. Przed., Panny zajmujące się strojami damskimi; d. 27 u Franciszkanów, muzycy artyści; d. 31 u Bernardynów, orszak kawalerów młodych Polaków i dziewic Polek.

[1]) Wszędzie np. spotykamy „uczni" zamiast „uczniów", „konsztu" zamiast „kunsztu", „magazynuw obówia", „chłopcy polskie" i t. p. Jeżeli wierzyć urzędowym doniesieniom, to większość tych zaproszeń drukował niejaki Maciejowski, za co, już za namiestnictwa Lüdersa, skazany został do ciężkich robót na lat dziesięć.

[2]) Kronika wypadków miasta Warszawy od 1860 do 1863 r. (Kalendarz polski na r. 1866, nakład J, Radzimińskiego).

mojżeszowego“, na nabożeństwo za pomyślność ojczyzny. Na zaproszeniach tych wyrysowany był żyd ściskający się z chłopem, obok zaś stał drugi i podawał chłopu pałasz. Znany nam już kaznodzieja Kramsztyk miał mowę, zastosowaną do okoliczności. Synagoga udekorowana była we wstążki kolorów narodowych, a na środku unosiła się tarcza z orłem i pogonią. Najdonioślejszem politycznie, świadczącem jak rząd wisi w powietrzu, było nabożeństwo „urzędników wszelkich władz Królestwa Polskiego“, które się odbyło d. 5 października rano w kościele archikatedralnym św. Jana. Na nabożeństwie tem znajdowało się wielu dygnitarzy, dyrektorów wydziałów, a nadewszystko mnóstwo urzędników policyjnych [1]). Zbiegowisko przytem ludzi wszelkich sfer było ogromne, tak że tłum, nie mogąc się pomieścić w samym kościele, zajął nieomal całą ulicę Św.-Jańską. Na nabożeństwo to, jak mówiono, urzędnicy sprawili trzy nowe chorągwie, które w pobliżu ołtarza stały rozwinięte. Jedna z nich biała z frendzlą amarantową miała na sobie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i napis: „Królowo polska przyczyń się za nami“; na drugiej było oko Opatrzności, a pod niem herb Polski i Litwy, srebrem haftowane. Manifestacya była zanadto rażąca, by nie miano na nią w Zamku zwrócić uwagi. Zarządzono śledztwo, które się ciągnęło długo, i jak wszystkie śledztwa tej epoki nie doprowadziło do niczego [2]).

[1]) *N. J. Pawliszczew:* Siedmicy polskago miateża I., 27.

[2]) *N. Berg*, loc. cit. 349, mówiąc o tych nabożeństwach, robi taką uwagę: „dodać należy, że duchowieństwo przy tem wcale o sobie nie zapominało i ani razu nie odprawiło nabożeństwa za darmo, starając się zawsze wziąść jak najwięcej. Kiedy rozkazano(?) odprawić nabożeństwo fabrykantom fortepianów, ich starszy Stahl zebrał około 150 rubli, przyczem niektórzy majstrowie dawali po 3 ruble, i udał się do Misyonarzy przy kościele św. Krzyża. Zażądali oni za zwykłe nabożeństwo rs. 100, a ze śpiewami na chórze przez seminarzystów rs. 150. Stahlowi wydało się to nieco za drogo, więc udał się do Pijarów, którzy odprawili nabożeństwo za rs. 60 (ze źródeł urzędowych).“ To samo mniej więcej powiada *A. Podwysocki* (Zapiski, 74): „liczba zamówień na te nabożeństwa — czytamy tam —

Oprócz tych nabożeństw, na które, jako niewychodzące poza obręb kościołów, władze rosyjskie patrzyły przez palce, odbywały się także awantury uliczne, będące bijącym w oczy dowodem, jakiego terroryzmu dopuszczają się wszelkiego pokroju rewolucyoniści. Niejaki Wedel, utrzymujący cukiernię na ulicy Miodowej, Niemiec z pochodzenia, wezwany by dał składkę w wysokości 3 rubli na nabożeństwo za pomyślność ojczyzny, zarządzane przez cukierników, odmówił i w dzień tegoż nabożeństwa sklepu swego zamknąć nie chciał. Wskutek tego w dniu 17 września [1]) zebrał się przed sklepem Niemca znaczny tłum, wyprawił mu kocią muzykę, wybił szyby, zniszczył wystawę sklepową i ciężkie mu zadał straty. Nazajutrz taki sam los spotkał innego Niemca, piekarza Bartza, mającego swój sklep na ulicy Marszałkowskiej, oraz rękawicznika Ostrowskiego na Nowym Świecie [2]). Tłum zwłaszcza na Marszałkowskiej był tak liczny, że rozbił doszczętnie wszystko, chleb i bułki i zapasy mąki rozrzucił po ulicy i zmarnował zupełnie. Trwało to parę godzin wśród niesłychanej wrzawy, wśród rozpasania niezwykłego, aż w końcu Lambert, dowiedziawszy się co się dzieje, nakazał jenerałowi Schajdemanowi, do którego zawiadywania należała ulica Marszałkowska, ażeby zbiegowisko rozpędził. Schajdeman, stary jenerał sewastopolski, wyruszył z poważną siłą piechoty, nawet artyleryą i przyszedłszy na miejsce nic nie robił, tylko narzekając, że ma ręce związane rozmaitemi instrukcyami, krzyczał, unosił się, ale rozkazu do rozpędzenia

była tak wielką, że w niektórych kościołach księża przyjmowali je tylko za nader wysoką opłatą, jak to np. bywało w kościele św. Krzyża i u Pijarów, gdzie w końcu Września cena nabożeństw za pomyślność ojczyzny doszła do 100 rubli".

[1]) *N. Berg* loc. cit. 345 powiada, że napad na Wedla odbył się d. 18 września. Współczesne relacye mówią o d. 17 i tej daty się trzymamy, zwłaszcza, że w depeszy Lamberta do cesarza, data 17 września jest oznaczona.

[2]) Powodem napaści na Bartza, według *Podwysockiego* (loc. cit. 75) miało być to, że ganił on surowo postępowanie swego syna, który się ubierał po polsku i brał udział we wszelkich demonstracyach.

zbiegowiska nie dawał. Powiadają, że rozgorączkowanemu jenerałowi jakiś młody człowiek podał wziętą z najbliższej cukierni szklankę wody ze słowami: „napij się pan, to cię uspokoi“. Wojsko, będąc niemym widzem zniszczenia, odeszło tak samo jak przyszło, nic nie zrobiwszy [1]). Nie było dnia, żeby gdzieś na drzewie lub latarni nie zawieszano fotografij osób nieraz najszanowniejszych, ale nielubianych albo przez całe stronnictwa, albo padających ofiarą zemsty prywatnej. Fotografie te, zaopatrzone zwykle w dopisek „szpieg“ zawieszano w ten sposób, że nitka przechodziła koło szyi i cała postać wyglądała jako wisząca na szubienicy [2]).

---

[1]) *N. Berg* loc. cit. 345. Tenże autor cytuje (342) opowiadanie jednego z jenerałów, znajdujących się podówczas w Warszawie, tej treści: „w razie wszelkich tego rodzaju nieporządków wysyłano zwykle na ulicę oficera z kompanią żołnierzy, zawsze tego samego, z rozkazem „zobaczyć co się dzieje i donieść szczegółowo“. Oficer ten za każdą taką wyprawę otrzymywał 3 rs., wskutek czego bardzo akuratnie zjawiał się z kompanią w miejscu, gdzie słychać było o jakiem zaburzeniu. Po większej części gdy wracał zbiegowisko wygwizdywało go. „Cóż! pytali go koledzy — znowu cię wygwizdali?“ — „Wszystko mi jedno, odpowiadał, niech sobie świszczą, a ja moje trzy rubelki złapałem“. Czyż z takiem narzędziem można było co zrobić?

[2]) Dnia 11 września pobito haniebnie na placu Teatralnym, przed gmachem ratusza, w samo południe, osławionego z czasów Paskiewicza, Hieronima Grassa, który z prostego żydka, sprzedającego zapałki, wyniósł się dzięki najnikczemniejszym usługom do godności naczelnika powiatu warszawskiego. Usunięty z tego urzędowania za Gorczakowa bawił jakiś czas w Petersburgu, a teraz powrócił do Warszawy, i prawdopodobnie pod wpływem gróźb bezimiennych ogłosił w gazetach, że jest dobrym Polakiem. Nie pomogło mu to jednak. Ktoś spostrzegł go na placu przed ratuszem i zawołał: „oto szpieg idzie!“ Grass w odpowiedzi na to uderzył mówiącego laską, wszczęła się bójka, grad pocisków i pięści posypał się na nędznika i od niechybnej śmierci ocaliła go policya, uprowadzając do ratusza. *Podwysocki* (Zapiski, 76), opowiadając o tem, dodaje, że policya „nie ośmieliła się przeszkadzać spełnieniu aktu sprawiedliwości patryotycznej, połączyła się tylko skromnie z orszakiem, posuwającym się ku ratuszowi, i od czasu do czasu błagała rozwścieczonych sędziów, by dali pokój biciu, i dopiero w bramie ratusza, przyjąwszy pobitego, zarządziła odwiezienie go do mieszkania“.

Takie było położenie Warszawy nieomal w przeddzień wyborów do rad miejskich i prowincyonalnych; nie lepiej się działo w kraju. W Łęczycy zaszły bardzo ważne i jedyne w swoim rodzaju wypadki, będące dowodem oczywistym, jak pseudo-patryotyczne namiętności owładnąć zdołały wszystkimi umysłami i wszystkiemi sercami. Mówiliśmy już o biskupie kujawsko-kaliskim Marszewskim, że był to człowiek spokojny, cichy, nie rozumiejący dążności polskich jako Kaszuba rodem, wychowany w szkole pruskiej; umysł miał mierny, ale był przyzwyczajony do porządku i karności niemieckiej, stąd wrząca blizko od roku burza budziła w nim niesmak, i o ile to było w jego mocy stawiał opór wszystko i wszystkich porywającemu wichrowi. Adresu nie podpisał, odbywania nabożeństw żałobnych za poległych w swej dyecezyi zakazał, nieposłusznych księży okładał karami i cenzurami kościelnemi, wszelkie odezwy i polecenia rządowe komunikował duchowieństwu swemu i kazał się do nich jak najściślej stosować [1]). To wszystko wywołało tak w kołach świeckich jak i duchownych oburzenie na Marszewskiego. Doszło do tego nawet, że duchowieństwo dekanatu kaliskiego, zebrane w maju w Zagórowie na kongregacye, wystosowało do biskupa odezwę, w której wymówiło mu wprost posłuszeństwo, pisząc: „jeślibyś JW. Pasterz podobne rozporządzenia, przeciwne ustawom Kościoła św., nadal jeszcze zechciał nam przesyłać, jakeś to czynił dotychczas, przyjmować ich nie możemy i nie będziemy“. Ale nie poprzestano na tem, czekano tylko na

[1]) W „Przeglądzie rzeczy polskich“ z d. 10 października 1861 r. w korespondencyi z Warszawy (p. 56), między innymi zarzutami, czynionymi Marszewskiemu jest i ten, że udzielił był pozwolenie Muchanowi na zawarcie małżeństwa z wdową po senatorze Łubieńskim; że pozwolenie to uważane było w swoim czasie „jako nikczemne ustępstwo dla władzy“, — że (kiedy? nie wiemy) zgłosili się doń jacyś ludzie, „wyrażający opinią publiczną“, to on wyjął z kieszeni woreczek i powiedział: „chcecie pieniędzy, to macie“. — „Uważano ten krok biskupa, kończy korespondent, za umyślną obelgę i stąd powstało opłakane rozdrażnienie, które objawiło się w tak niewłaściwy sposób“.

sposobność, by surowo, po rewolucyjnemu ukarać „zdrajcę biskupa“, jak mówiono.

Zdarzyło się, że w d. 3 września biskup, jadąc na odpust do Częstochowy [1]), zatrzymał się był na chwilę w Łęczycy. W towarzystwie paru kanoników zajechał do hotelu, ale nie zdołano jeszcze znieść rzeczy biskupich, gdy przed hotelem poczęło się gromadzić ogromne zbiegowisko, złożone z motłochu miejskiego, w którym przeważali żydzi i wyrostki. Przewodniczyli tłumowi lekarz miejscowy, pewien szlachcic zrujnowany, żyd, znany całemu miastu hultaj, i woźny sądu miejscowego. W jednym nieomal momencie cały rynek zapchany był gęstym tłumem, który rozpoczął wrzaskliwą kocią muzykę. Wśród krzyków: „Marszewski, sługa moskiewski!“ posypał się grad kamieni do okien numeru, w którym biskup stanął. Rozbito na szczątki nie tylko szyby, ale i okna same [2]). Wielu z pomiędzy tłumu wdarło się na dachy i kominy domów sąsiednich i stamtąd bombardowało mieszkanie biskupa. Naprożno proboszcz miejscowy starał się powstrzymać i przyprowadzić do upamiętania zbiegowisko; zakrzyczano go, wygwizdano, zwymyślano i oplwano nawet. Wieczór się robił, napad trwał już dość długo, szał tłumu nie ustawał, i wobec tego trzeba się było na jakiś krok stanowczy zdecydować. Kazano zaprządz konie i woźnica z wielkim trudem zdołał zajechać przed wrota hotelu; tłum kilkakrotnie usiłował zawrócić konie do stajni, ale woźnica stary i rzeźki człowiek pogroził batem, za co obsypany kamieniami poniósł kilka lekkich obrażeń. Z niemałem niebezpieczeństwem, wśród gradu pocisków, zdołano usadzić biskupa w karecie, w której okna w jednej chwili prysły na drobne szczątki. Musiano Marszewskiego położyć na dnie karety i zakryć poduszkami. Nakoniec kareta ruszyła,

[1]) Nie do Warszawy, jak twierdzi *Lisicki* (Le marquis, II., 226).

[2]) *M. Sierno-Sołowiewicz* opowiada (Biskup Marszewskij w Łenczicie — Istoriczeskij Wiestnik z r. 1887), że dla osłonienia biskupa od pocisków kamiennych towarzyszący mu kanonicy zmuszeni byli nakryć go stołem i pościelą, jaka się pod ręką znalazła.

ale zaraz ją zawrócono i skierowano ku ratuszowi miejskiemu, wznoszącemu się na środku rynku i kilkakrotnie, bardzo wolno obwieziono biskupa koło tego budynku, wśród nieustannych pocisków, kociej muzyki i krzyków: „zdrajca, sługa moskiewski!“ Wreszcie pozwolono mu jechać ulicą ku rogatce, ale tu w chwili, gdy konie przeszły już za podniesiony do góry szlaban, ten spuszczono nagle na karetę, tak że cały jej wierzch pogniótł się i potrzaskał. Wydostano się przecież i pędem ruszono naprzód, ale aż do wsi Topoli (oddalonej od Łęczycy o ćwierć mili), towarzyszyło karecie kilkunastu jeźdźców, obsypując ją deszczem szabru szosowego. Dopiero w wymienionej wsi na widok gromady chłopów, zbiegających się z groźną postawą i krzyczących, że jeżeli jeźdźcy nie dadzą pokoju biskupowi, to dziś jeszcze Łęczyca pójdzie z dymem, ci zawrócili, a biedny biskup pojechał do Włocławka, rozchorował się i, kwękając odtąd ciągle, w kilka lat potem umarł.

Oburzający ten z wielu względów napad na starca, na jednego z najwyższych dostojników kościoła polskiego, zrobił tak w sferach rządowych jak i w kraju całym silne bardzo wrażenie. Namiestnik rozkazał przeprowadzić śledztwo, i groził, że jeżeli wszystko to, co mu pierwotnie doniesiono, jest prawdą, to ogłosi w Łęczycy stan wojenny[1]). Zdawało się, że w tym razie nie można się było wahać, zwłaszcza, że w kilka dni potem rozegrała się w Łęczycy nowa, niemniej zuchwała manifestacya. Przechodząca do Zgierza kompania piechoty pułku Niżenowogrodzkiego powitana została kamieniami, a w powstałej z tego powodu awanturze jeden z wichrzycieli zraniony był pałaszem. Nakoniec w dzień uroczystości dworskiej, d. 7 września *Te Deum* śpiewane w kościele przerwane zostało grzmiącem „Boże, coś Polskę“. Wszystko to wyraźnie świadczyło, że Łęczyca jest do gruntu zrewolucyonizowana i stan wojenny konieczny. Ale wahający się ciągle Ham-

[1]) Depesza z d. 9 września (28 sierpnia).

let poprzestał na tem, że wysłał do Łęczycy cały batalion piechoty i kilka dział, z poleceniem przywrócenia porządku. Ponieważ wszystkie te awantury stały się w mieście powiatowem, w obliczu władz administracyjnych i sądowych polskich, które według dosadnego wyrażenia Wielopolskiego „heroicznie wzięły nogi za pas“, więc margrabia, jako Dyrektor Komisyi sprawiedliwości, dał im surowe napomnienie, a trzech urzędników uwolnił ze służby za to, że nie złożyli nawet raportu o wypadku z biskupem Marszewskim. Prócz tego, nie chcąc, by władza wojskowa mięszała się do tego rodzaju spraw, polecił miejscowemu sądowi policyi poprawczej przystąpić natychmiast do śledztwa i winnych ukarać [1]). Prócz tego w odezwie do wszystkich sądów kryminalnych w kraju, d. 16 września wydanej, jeszcze raz odezwał się do zdrowego pojmowania interesów polskich. „Okazuje się, pisał, że nie wszystkie sądy przejęte są ważnością swego powołania w okolicznościach obecnych, gdzie właśnie powinnyby jawnie dowieść, że czuwają nad porządkiem publicznym i bezpieczeństwem mieszkańców, oraz nad winnem poszanowaniem dla władz rządowych. Dla tego dyrektor główny prezydujący widzi potrzebę... wezwać... sądy karne, aby we wszystkich razach, gdy zajdą wydarzające się dzisiaj tak często nieporządki, lub nadużycia, a tembardziej, gdy ze strony władz wojskowych lub administracyjnych sądy o rozwinięcie śledztw w tej mierze wezwane zostaną, mając na celu poszanowanie praw i sumiennie spełniając zaprzysiężone obowiązki, nie ociągały się dla jakichbądź względów lub powodów z dochodzeniem takowych nadużyć, ale owszem z energicznem i odwagą cywilną nacechowanem postępowa-

[1]) Śledztwo to ciągnęło się długo i ukończone dopiero w lipcu 1862 r. nie znalazło wcale winnych, gdyż podejrzani z powodu braku dowodów uwolnieni zostali. Była to woda na młyn kamarylli wojskowej, która ciągle twierdziła, że ona jedna potrafi porządek w kraju utrzymać, czego sądy polskie w żaden sposób zrozumieć nie chciały.

niem zajmowały się śledzeniem wszelkich podobnych wykroczeń i bezstronną wymierzały sprawiedliwość. Tym bowiem tylko sposobem zapewnią powagę prawu i sądownictwu krajowemu".

Ale był to groch na ścianę. Sądy, zarażone gorączką pseudo-patryotyczną, nie umiały wznieść się na wysokość swego zadania, a w kraju zaburzenia dalej trwały. W dniu 7 września, w rocznicę koronacyi cesarskiej, przyszło w Kaliszu do opłakanych wypadków. Ktoś w dniu tym rozpuścił pogłoskę, że kompania złożona z Poznańczyków, idąc na odpust do Częstochowy, przechodzić będzie przez Kalisz. Na jej przyjęcie tłumy wysypały się za miasto, a za nimi pułkownik Zajcew, dowodzący w miejsce usuniętego przez Lamberta, Woronowa, garnizonem miejscowym, wysłał wojsko, które rozpędziło zbiegowisko kolbami. Wieczorem liczne patrole strzegły, by szyb nie wybijano tym, którzy palili illuminacyą, przyczem wśród nocy ciemnej i dżdżystej rozzuchwaleni żołnierze dopuszczali się wszelkiego rodzaju nadużyć. Każdego przechodzącego, choćby najniewinniejszego, bili bezlitośnie, a między innymi ciężko pokrzywdzono niejakiego Krajewskiego, starca siedemdziesięcioletniego. Wiele osób żołnierze obdzierali. Oburzeni do żywego mieszkańcy wysłali nazajutrz deputacyą do Warszawy ze skargą. Deputacyi tej namiestnik nie przyjął, a Wielopolski radził jej spokojność. Mimo to Lambert wysłał na śledztwo do Kalisza jenerała Panluzziego. W kilka dni potem, d. 11 września, także w uroczystość dworską, wojsko powtórzyło sceny poprzednie. Bili kogo napotkali, przyczem kilka szynków zrabowali [1]).

Gdy o wypadkach tych doniesiono cesarzowi, choć w gruncie rzeczy Kalisz nic temu nie był winien, rozkazał zaprowadzić w mieście stan wojenny, winnych sądzić według praw polowych i wyrok natychmiast wykonać [2]). Lambert jednak oparł się temu. „W wypadkach kaliskich,

[1]) Z relacyi współczesnych.
[2]) Depesza z Liwadyi z d. 4 (16) września.

pisał do cesarza, winni są żołnierze pułku Nizowskiego. O potrzebie zmienienia dowódzcy pułku doniosłem jenerał-adjutantowi Milutynowi. Stanu wojennego nie mogę ogłosić, bo byłoby to sprzecznem z memi rozporządzeniami w tej sprawie. Racz N. Panie zmienić rozkaz. Stan wojenny przed wyborami zaszkodzi na zawsze sprawie; unikam ostateczności“ [1]).

Przypadające w tej porze liczne odpusty dawały sposobność do manifestowania się na wielką skalę. Dla rewolucyonistów była to sposobność tem pożądańsza, gdyż na odpusty zbiegał się lud, który dotąd trzymał się zdala, a nawet w większości wypadków nieprzyjaźnie dla objawów patryotyzmu czerwonego. Korzystano więc z odpustów, by przy pomocy nabożeństw i duchowieństwa zrewolucyonizować chłopa. Że się to nie udawało, nie potrzebujemy mówić. Chłop chodził na odpusty, ale wobec manifestacyi politycznych zachowywał zawsze swą postawę obojętną, a nawet nieprzyjazną.

Wielki odpust w Częstochowie, przypadający d. 8-go września w uroczystość Narodzenia N. Maryi Panny, zmienił się w ogromną demonstracyą polityczną. Zbiegowisko pobożnych i niepobożnych było olbrzymie; obliczano ogólną ilość przybyłych na 80.000 ludzi. Klasztor był uilluminowany wspaniale, brzmiały śpiewy i kazania polityczne, orły i pogonie błyszczały na każdym niemal kroku, a „Boże, coś Polskę“, grzmiące z piersi kilkudziesięciu tysięcy ludzi, według świadków naocznych, miało robić imponujące wrażenie. Odbyła się przytem w refektarzu klasztornym „uczta braterska“, na której miało być wielu chłopów [2]). Powracające kompanie z Częstochowy wszędzie po miasteczkach przyjmowano bardzo uroczyście. W Praszce, gdy zbliżała się kompania Poznańczyków, „obywatele Po-

[1]) Depesza Lamberta z d. 4 (16) września.

[2]) W czasie tego odpustu obiegała po Częstochowie, Bóg wie przez kogo rozpuszczona pogłoska, że jedna z kompanii ma wziąć obraz cudowny i rozpocząć wojnę krzyżową przeciw Moskalom.

lacy starozakonni“ objawili życzenie, by pątnicy odwiedzili bóżnicę. Zgodzono się na to i wyruszono z kościoła z krzyżem i chorągwiami do bóżnicy, gdzie powitał wchodzących mową stary jakiś żyd, a szczególna ta uroczystość zakończyła się odśpiewaniem hymnów patryotycznych [1]).

Ale największa tego rodzaju manifestacya, pomyślana na wielką skalę, odbyła się w kilka dni później na odpuście w starym, benedyktyńskim kościele św. Krzyża na Łysej górze w Sandomierskiem. Z powodu uroczystości Podwyższenia św. Krzyża, przypadającej dnia 14 września, z całego niemal kraju, dzięki zabiegom rewolucyonistów, wyruszyły kompanie [2]). W Warszawie urządzono agitacyą

---

[1]) *Podwysocki,* Zapiski, 76, opowiada szczegóły, jak się zdaje, oparte na relacyi ajenta policyjnego, odpustu, który w tymże dniu 8 września, odbył się we wsi Błotnicy (niedaleko Jedlińska w Radomskiem), słynnej z cudownego obrazu Matki Boskiej. Z kazań księży, jak zapewnia relacya, „lud prosty nie był zadowolony, zwłaszcza z tego, że księża mówili mu nie o Królestwie niebieskiem, ale o Królestwie Polskiem. Jeżeli to tak ma być, gadali między sobą chłopi, to co nam po takiem Królestwie, gdzie musimy wiecznie pracować na panów pod batem ekonomów i karbowych“ — „również niezadowoleni byli chłopi z mowy księdza, który zachęcał ich do posłuszeństwa panom, do układania się o czynsze, zalecał trzymać się szlachty i życie za nią nawet nieść; nie wierzyć obietnicom cesarza, gdyż on nie może rozporządzać cudzą własnością“. „W końcu nabożeństwa, mówi dalej Podwysocki, poczęto śpiewać: „Boże, coś Polskę“, ale zaledwie rozległ się śpiew, gdy włościanie jeden za drugim zaczęli opuszczać kościół. Wtedy osoby wykształcone, chcąc nauczyć głupców, schwyciły jednego z włościan i wparły w niego, że to on za pieniądze otrzymane od jakiegoś szpiega rozpuścił pogłoskę, jakoby do Błotnicy szli Moskale, przez co przestraszył włościan tak, że ci uciekli z kościoła. Biedaka przyprowadzono do mieszkania proboszcza miejscowego, rozciągnęli na ziemi i w obecności mnóstwa księży poczęli smagać dopóty, dopóki jeden z księży, w którego parafii mieszkał katowany, nie zaświadczył o nim ze strony jak najlepszej. Wieśniacy stojący w pobliżu plebanii, słysząc krzyki swego towarzysza, uciekli z obawy, by i im się nie dostało. Wiarogodność tego faktu, o którym w polskich relacyach nigdzie wzmianki spotkać nam się nie udało, jest bardzo wątpliwą.

[2]) „Kilka wspomnień ludowych“ (Przegląd rzeczy polskich z d. 15 lipca 1862 r. p. 33.)

między rzemieślnikami, wydrukowano nawet i porozlepiano na rogach ulic odpowiednie odezwy, i w d. 9 września o godzinie 10-ej zrana, z kościoła Karola Boromeusza, przy rozwiniętych chorągwiach i śpiewie „Boże, coś Polskę“ wyruszyła kompania, złożona z 400 blizko osób, przeważnie z młodzieży akademickiej i szkolnej, z rzemieślników, wyrobników i t. p. Do wędrówki tej przywiązywano wielką wagę; nie miała to być w gruncie rzeczy pielgrzymka z celem pobożnym, ale poprostu wyprawa rewolucyjna, w celu podburzenia i zrewolucyonizowania wsi i miasteczek, przez które miano przechodzić. Jakoż tak się działo; po wsiach przyjmowano kompanią chłodno, ale po miastach i miasteczkach z niesłychanym entuzyazmem. W Radomiu na spotkanie Warszawiaków, wśród dnia słotnego i zimnego, wyruszono przy odgłosie dzwonów, z chorągwiami i obrazami. Wśród pieśni „z dymem pożarów“, wstąpiono do miasta, z sześcioletnim chłopcem na czele, który miał na piersiach orła haftowanego srebrem na tarczy amarantowej. Niesiono także koronę cierniową i krzyż złamany.

Wśród takich to efektów, w których ludzie tej epoki nadzwyczajnie byli rozmiłowani, dostano się nakoniec w śliczny poranek jesienny na starą Łysicę, szumiącą poważnie bukami stuletnimi. Zjazd był ogromny, obliczano tłum na 30.000 ludzi; kompanii ogółem było 40, ze wszystkich niemal stron kraju. Księży, wraz z biskupem sandomierskim Juszyńskim, zjechało się około 200. Wszędzie powiewały sztandary z orłami polskimi, czerwieniały kontusze, pasy lite, błyszczały karabele i różnobarwne sukmany chłopa sandomierskiego, który na całą tę maskaradę, rozwijającą się przed nim, patrzał ciekawie, ale chłodno. Kompanią warszawską jeden z księży powitał mową ognistą, pełną tych patetycznych metafor, jakiemi zachwycano się w tej dobie. „Cześć wam Warszawianie rodacy! — wołał mówca — cześć wam kapłanom i cześć mieszkańcom Warszawy, cześć tej krwi rozlanej, cześć i ranom waszym! Ach! my te kamienie, krwią waszą zbroczone, z bruków

kiedyś wyjmiemy i do kościoła wniesiemy! Wdzięczność, wdzięczność wam ukochani bracia! wdzięczność za obudzenie tego ducha narodowego, który prądem nietylko przeszedł ten kawałek Polski naszej, ale nawet Litwę; i tam już ożyli i tam już za ojczyznę we krwi się pławili; tam już, jak u nas w Warszawie, męczenników wzniosły się mogiły; duch ten rozbudzony przeszedł całą ziemię naszą, dosięgnął ostatnich końców granic, które słupami żelaznymi oznaczył Bolesław Chrobry. Czemu Duch ten nietylko nas owionął, ale i tych, którzy niegdyś z nami byli? Czarnomorscy Kozacy, i ci się pytają wędrowca, pytają przechodnia, jak się ma droga matka nasza i jak rychło do życia powstanie? Wdzięczność wam za to; my dziś przed wami czołem uderzamy, a uczuciem naszem, jakby kwiatem, uścielamy wam drogę waszego braterstwa“ itd.[1]).

Ksiądz Zakrzewski z Opatowa miał mowę do chłopów, zachęcając ich do zgody z panami i wypędzenia Moskali. „Nie wierzcie podmowom zaślepionych, głupich włóczęgów, gardźcie podszeptami płatnych zbrodniarzy; w niskich chatach do łez nawykli, wzniosłemi sercami uczujcie się synami tej pięknej ziemi, której tylokrotnie zasłaniališcie mężnie, a której wolność rozkwitnąć musi dla was wszystkich. Zaufajcie więc braciom waszym, nie oddzielajcie się niedorzecznym uporem od związku, który sam Bóg zespala“.

Przyniesiony z Warszawy olbrzymi sztandar z orłem białym zatknięto na szczycie wieży kościelnej. Sam biskup Juszyński celebrował; wielu ze szlachty, ubranych w krakuski i kontusze, jeździło konno i grzmiał ciągle wśród jodeł Bolesławowych stary mazurek Dąbrowskiego: „Jeszcze nie zginęła!“... Wszystko to wywierało nadzwyczajne wrażenie. W czasie sumy tłok w kościele był tak wielki, że kilka osób zaduszono. Na obiedzie w klasztorze było przeszło 400 osób; obiad ten przeszedł wśród nieustannych mów patryotycznych, nawoływań do pamiętania o Litwie

[1]) Ze współczesnego egzemplarza litografowanego.

i Rusi. Po obiedzie wezwano do refektarza przedstawicieli włościan w liczbie 12 sołtysów. Jeden z księży miał do nich mowę zwykłej treści, by żyli w zgodzie z panami, dano im wina i patrzących z podełba chłopów starano się ugościć serdecznie. Ale wszystko to na nic się nie zdało. Nazajutrz bowiem, w niedzielę, rozegrała się w kościele samym scena, która powinna była raz na zawsze wypędzić z głowy rewolucyonistów myśl o zyskaniu na swą stronę chłopa. Gdy ksiądz, wygłosiwszy ognistą mowę, zażądał od obecnych, by przysięgli bić się za ojczyznę do ostatniej kropli krwi i na znak zgody kazał podnieść rękę do góry, wśród martwej ciszy, jaka nagle zapanowała w kościele, rozległ się głos rozkazujący: „niech żaden ręki nie podnosi!“ i chłopi tłumnie poczęli kościół opuszczać. Scena bolesna, nawet straszna dla tych wszystkich, którzy widzieli, że kraj szybkimi krokami dąży do powstania, i że nic go już na tej drodze powstrzymać nie zdoła!

W nocy z 14 na 15 września odbyła się w klasztorze narada, w której wziął udział biskup Juszyński, wszystko duchowieństwo zebrane na Łysej górze, i niektórzy z osób świeckich. Na tej radzie uchwalono nie ustawać w propagandzie „ducha polskiego“, jak mówiono: księża przyrzekli z ambon zachęcać do zgody, jednomyślności, miłości ojczyzny; twierdzono, że duchowieństwo, jeżeli będzie jednomyślnie działać, nie ma powodu obawiać się rządu, gdyż rząd wszystkich księży z kraju nie może wywieść na Sybir. Obywatele znowu przyrzekli rozszerzać organizacyą powstańczą i urządzić pocztę, dla przesyłania zagranicę korespondencyi i wiadomości o tem, co się w Królestwie dzieje, do gazet polskich zagranicznych i do Hercenowskiego „Kołokoła“ [1]).

Przy powrocie kompanii warszawsko-radomskiej zaszły opłakane zdarzenia, świadczące jak dalece pod wpływem namiętności politycznych dziczeli ludzie ówcześni.

---

[1]) Wiadomość o tej naradzie opieramy na podaniach ustnych świadków naocznych i na relacyi *Podwysockiego* (Zapiski, 78).

W jednej z wsi spostrzeżono nad kancelaryą wójta gminy orła dwugłowego, zrzucono go, potrzaskano, a co gorsza chciano samego wójta powiesić. Gdy oświadczono gorliwym patryotom, że wójt jeszcze nie powrócił z odpustu na Łysą Górę, ograniczono się na tem, że mu cały dom zrujnowano, a ruchomości potłuczono. W Bodzentynie na skutek podejrzeń, że właściciel jednego z szynków jest szpiegiem, zniszczono mu cały szynk, samego mocno pobito wraz z żoną, broniącą męża. Ale wszystkie te nadużycia rozszalałego motłochu zgasły wobec następującego zdarzenia. Do kompanii w czasie drogi przyczepił się jakiś wózek, na którym siedział mężczyzna i kobieta, sądząc po ubiorze, z średniej klasy. Zauważyć miano, że nadsłuchiwał on pilnie tego wszystkiego, o czem mówiono, że spisywał nazwy miejscowości, osób i rozmaite szczegóły wędrówki, więc uznano go za szpiega, zrewidowano i w lesie urządzono sąd, w którym wziął udział: kancelista rządu gubernialnego radomskiego, aplikant sądu pokoju, urzędnik emeryt, dependent od adwokata, pisarz więzienny, uczeń gimnazyum i parę jeszcze innych osób. Sąd zadecydował, by każdy z idących w kompanii uderzył raz nieszczęśliwych, i żeby ich potem powiesić. Rozpoczęła się straszna egzekucya, która na przestrzeni $1^1/_2$ mili trwała i skończyło się na tem, że mężczyzna, nazwiskiem Teofil Mańkowski, miał wszystkie kości pogruchotane i przedstawiał jedną bryłę krwawą. W lesie pod wsią Woźnikami chciano ich powiesić, ale zadecydowano, że lepiej będzie utopić w rzece pod Radomiem. Ale że woda tu była płytka, więc porzucono ten zamiar, tylko jakaś stara wiedźma tępym kozikiem urznęła ucho nieszczęśliwemu, „żeby go raz na zawsze naznaczyć“. Naprzeciw kompanii wyruszył z Radomia znaczny tłum, który dalej pastwił się nad nieszczęśliwymi. „Kobiety, opowiada świadek naoczny [1]), drobnemi rączkami i parasolkami, obcasikami od trzewików, mimo to

[1]) „Kilka wspomnień ludowych“ (Przegląd rzeczy polskich loc. cit.)

boleśnie, a drugie (sic) koszturami i pięściami uczciwie nadwerężyły zdrowie towarzyszce szpiega (Agnieszce Klińskiej), która zdołała umknąć z pod razów i niewiadomo, co się z nią potem stało". W Radomiu Mańkowskiego oparto o ścianę domu Borkowskiego i tu każdy z przechodzących pastwił się nad nim, pluł, obrzucał błotem. Na szczęście zjawił się ksiądz miejscowy i biedaka ocalił, uprowadzając go do szpitala, gdzie w kilka dni potem umarł. Straszny obraz zdziczenia powszechnego, okropny przykład zemsty ludowej!

W Lublinie zaszły znowu innego rodzaju wypadki. Powodem ich była, znana nam już ze swego udziału w manifestacyjnym obchodzie unii lubelskiej, panna Pustowojtówna. Naczelnik wojenny Chruszczow zażądał był od babki Kosakowskiej, żeby wyprawiła wnuczkę do matki do Żytomierza, a tym sposobem oddaliła ją z Lublina i usunęła z pod wpływów polskich. Domagał się, by mu Kosakowska takie przyrzeczenie dała na piśmie, w przeciwnym razie groził, że Pustowojtównę z żandarmami wyprawi. Swoją drogą zdał o wszystkiem raport Suchozanetowi. Ten w ostatnim dniu swego panowania, d. 22 sierpnia rozkazał, by pannę żandarmi odwieźli do Moskwy i tam w klasztorze osadzili. Chruszczow, człowiek w ogólności bardzo dobry i szlachetny, rzadki niezmiernie typ wśród kacyków jenerałów, rządzących u nas, wysłał o godzinie 8-ej rano naczelnika komendy żandarmskiej Demblińskiej (Iwangrodzkiej) do Pustowojtówny z tem, żeby ją uwiadomił o rozkazie namiestnika, ale żeby nic nie mówił o osadzeniu w monastyrze. Panna nie oponowała i przyrzekła, że będzie za dwie godziny gotową[1]). Ale już wieść o tem wszystkiem rozeszła się po Lublinie, i koło godziny 9-ej tłumy zgromadziły się przed domem, zamieszkiwanym przez

[1]) Wszystkie szczegóły o wywiezieniu Pustowojtówny czerpiemy z urzędowego raportu Chruszczowa do Lamberta (p. „Otrywok iz dniewnika A. P. Chruszczowa". Istoryczeskij Wiestnik z roku 1881).

pannę. Chruszczow udał się do niej osobiście, prosząc, by przyśpieszyła wyjazd, ale że babka nie chciała samej wnuczki puszczać w drogę z oficerem i zdecydowana była z nią jechać pomimo późnego wieku, więc rzecz się przeciągnęła. W końcu, zaledwie powozy ruszyły, tłum począł rzucać bukiety. Panna nie płakała, ale stojąc w powozie żegnała wszystkich i prosiła, by się zachowano spokojnie, zapewniała, że nic się jej złego stać nie może. Odprowadzono ją do rogatek, pod krzyżem zaśpiewano pieśni patryotyczne, dowódzcę pułku wołogodzkiego Szelkinga powitano gwizdaniem, ale, gdy Chruszczow rozkazał wyprowadzić dwie kompanie wojska, tłum rozszedł się zupełnie.

Tymczasem z pierwszej stacyi pocztowej babka Pustowojtówny, Kosakowska, przysłała prośbę do namiestnika o pozwolenie jej wnuczce powrotu do Lublina. Prośbę tę Chruszczow odesłał do Warszawy z raportem swoim, w którym upraszał namiestnika, by nie zgadzał się na powrót Pustowojtówny do Lublina, ale żeby pozwolił jej mieszkać przy matce w Żytomierzu pod nadzorem policyi. Lambert zgodził się na to i z Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie się z powodu choroby Kosakowskiej zatrzymano, wyruszono do Żytomierza. Przejazd Pustowojtówny przez różne miejscowości był rodzajem pochodu tryumfalnego. Wszędzie ją witano i ukazanie się jej nawet w najspokojniejszych dotąd miejscowościach było niejako hasłem do manifestowania się, do śpiewania hymnów patryotycznych, jak np. w Łucku[1]). Pobyt jej w Żytomierzu dodał także podniety, czychającym na sposobność żywiołom rewolucyjnym, które, jak wszędzie, tak i tutaj, zwłaszcza między młodzieżą, znajdowały się licznie. Wśród trwających nieustannie śpiewów po kościołach przyszło komuś do głowy wznieść potajemnie krzyż na pamiątkę poległych w Warszawie. Kilku śmielszych młodych ludzi

[1]) W miasteczku tem po przejeździe Pustowojtówny pierwszy raz w kościele zaśpiewano „Boże, coś Polskę“.

(L. Jełowicki, Hałajkowski, Żuliński i inni) w nocy dnia 2 października ustawili duży krzyż czarny z białymi brzegami, z koroną cierniową i wieńcem z kwiatów na t. zw. bulwarze pobazyliańskim (obecnie sobornym), naprzeciwko wznoszonego wówczas właśnie soboru schizmatyckiego. Na krzyżu tym był napis: „braciom poległym w Warszawie dnia 27 lutego i 8 kwietnia“. Krzyż stał do rana, gdyż policya, spostrzegłszy go, wydobyła z ziemi, rozebrała na części i zaniosła do gmachu policyjnego, gdzie później został spalony. Wieść o tem rozbiegła się po mieście, agitatorzy nie próżnowali i koło godziny 4-ej po południu zdołali zebrać dość znaczny tłum na miejscu, gdzie stał krzyż. Tu poklękano i zaśpiewano: „Boże, coś Polskę“. Wśród zebranych miało być wielu prawosławnych z pomiędzy prostego ludu, co podobno bardzo przeraziło władze[1]). Współcześnie zebrano znaczną ilość kobiet (500, jak opiewa jedna z relacyi polskich), które wyruszyły do domu gubernatora, kniazia Druckiego-Sokolnickiego, z żądaniem zwrotu krzyża. Na czele tej osobliwszej deputacyi stały panie: Grozina, żona znanego poety Grozy, Pietkiewiczowa, żona literata, piszącego pod pseudomimem Adama Pługa, pani Sławkowa, Bohomolcowa, krawcowa Okęczycowa i wiele innych. Drucki-Sokolnicki deputacyi nie przyjął, wyprowadził wojsko, i bębniąc, grożąc, że będzie strzelał, tłum do rozejścia się zmusił. Wskutek tej awantury w Żytomierzu ogłoszono dnia 4 października stan wojenny, a przewodniczki deputacyi: Pietkiewiczową posłano do klasztoru do Owrucza, pani Bohomolcowej i Sławkowej kazano jechać do siebie na wieś.

W ogóle wprowadzono w t. zw. guberniach południowo-zachodnich, podobnie jak na Litwie, stan wojenny na skutek wyraźnej woli cesarskiej. Przystąpiono przytem do rozbrojenia powszechnego obu tych prowincyi, co miano uskutecznić w ciągu miesiąca. Zostawiono broń tylko schiz-

[1]) Szczegóły te z wiarogodnych ustnych relacyi i współczesnych pism.

matykom lub lutrom; marszałkowie szlachty i chłopi mogli mieć po jednej dubeltówce. W samym Kijowie zabroniono studentom uniwersytetu chodzić w „różnych ubiorach nieprzyzwoitych“, jak rozkaz określa strój polski, i z grubemi pałkami. Wybory szlachty w guberniach: wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej wstrzymano, dopóki stan wojenny nie będzie zniesiony.

Mimo to wszystko stan wojenny nie przyniósł tych owoców, na jakie liczono. Wzburzenie powszechne umysłów trwało dalej i nie przestawano się manifestować. W Grodnie postanowiono w dzień Wniebowzięcia N. Maryi Panny, według starego stylu 15 (27) sierpnia, wyruszyć procesyonalnie do Różanego Stoku (na lewym brzegu Niemna), gdzie miały przybyć procesye z Królestwa. Z powodu jednak stanu wojennego, na zapytanie proboszcza grodzieńskiego, ks. Majewskiego, tak władza cywilna, jak i duchowna odpowiedziały, że „wszelkie niezwykłe procesye przez rozkaz Najwyższy zabronione“ [1]). Mimo to postanowiono nie ustąpić. W dzień uroczystości kościół zapełnił się tłumami, i zaraz też przed kościołem na placu zebrały się wojska pod komendą jenerała dywizyi Holdhoera i zamknęły wszystkie wyloty ulic, tak że cały plac był otoczony. W tejże chwili zjawił się przed księdzem Majewskim policmajster Żmijew i rzekł, że gubernator go wzywa, na co ksiądz odparł: „teraz, gdy się zaczęło nabożeństwo, iść nie mogę; moje oddalenie się uważanoby za ucieczkę; zresztą w tak krytycznej chwili nie mogę zgromadzonego ludu zostawić w kościele. Gotów jestem iść za panem, jeżeli mię pan przyaresztujesz i tym sposobem zdejmiesz ze mnie odpowiedzialność moralną za mój krok.“ Ale Żmijew nie chciał tego: „na to nie mam rozkazu, mówił, a przytem zabiliby mnie, gdybym tu coś podobnego zrobił“. Ksiądz więc zaczął nabożeństwo i po mszy wy-

[1]) *Ks. Majewskij.* Grodnienskaja procesia („Ruskaja Starina“ z maja 1891 r.)

głosił taką mowę: „Pasterz nasz uwiadamia mnie telegrafem, że wszelkie niezwykłe procesye są wolą najwyższą zabronione. Każdy z was wie i rozumie, że decyzyi władz wyższych lekceważyć nie można i że wszyscy są obowiązani szanować jej rozkazy. Z drugiej jednak strony, ja, sługa Boży, nie mam prawa uwalniać was od danego Bogu ślubu. Niech każdy zatem postąpi w tej trudnej sprawie według sumienia i własnego rozumu. Przypuszczając jednak, że pozostaniecie przy zamiarze wykonania ślubu, obowiązany jestem przypomnieć wam, że jakiekolwiek napotkacie przeszkody w urzeczywistnieniu tego zamiaru, w żadnym razie nie powinniście uciekać się do gwałtu, pamiętając, że nie może gwałtem otwierać sobie drogi ten, który idzie po niej kierowany duchem chrześcijańskim". Po tej naprawdę juzuickiej przemowie, przy odgłosie śpiewów nabożnych wyruszono z kościoła na plac, otoczony ciągle dokoła wojskiem. Na środku zatrzymano się, wszyscy padli na kolana. Na widok tych modłów jenerał Holdhoer i żołnierze zdjęli hełmy. Po litanii najzapaleńsi stanęli na czele z krzyżem i ruszyli naprzód. Ale Holdhoer wstrzymał ich słowami: „wybaczcie, panowie, ale procesye wzbronione są wolą najwyższą." „A my, odrzekli mu na to, w imię Tego, który jest przybity na krzyżu, chcemy wypełnić ślub, zrobiony przez nas Bogu". Holdhoer okazał wielki spokój i przytomność, zbliżył się, przeżegnał i rzekł: „I ja w niego wierzę tak, jak i wy, ale każdy obowiązany jest spełnić swoją powinność". Wówczas ks. Majewski, chcąc tej scenie położyć koniec, dał znak ręką, że chce mówić i odezwał się w te słowa: „W chęci spełnienia ślubu, t. j. pójścia procesyą do miejsca świętego, napotkaliśmy przeszkodę, niezależną zupełnie od nas. Wobec tego uważam ślub wasz za wypełniony przed Bogiem. Dla uzupełnienia go, wzywam was teraz do świątyni i pomodlimy się przed ołtarzem Najświętszej Panny". Słowa te zrobiły swoje, wszyscy spokojnie zawrócili do kościoła i manifestacya na tem się skończyła. Powiadają, że guber-

nator Szpeyer przez cały ten czas biegał niespokojnie po placu i pił wodę, szklankę po szklance [1]).

Z gubernatorem tym, w parę tygodni potem, zaszły inne, niemniej charakterystyczne wypadki. Był to żyd przechrzczony, niegdyś dyrektor gimnazyum w Moskwie, człowiek zręczny, lecz chciwy, łapownik, mało dbający o kraj i jego administracyą, ale za to bardzo wiele o swoją kieszeń. Z tego powodu był powszechnie nielubiany. Właśnie teraz d. 1 września za jakieś krzyczące nadużycie złodziejskie, a może i za ową procesyą, dostał dymisyą. Gdy miał wyjeżdżać z miasta, zebrał się znaczny tłum (wśród którego główną rolę mieli odgrywać urzędnicy miejscowej izby skarbowej) obok karczmy Pohulanki, leżącej na trakcie do Wilna, z zamiarem wyprawienia przejeżdżającemu kociej muzyki. Ktoś jednak uprzedził Szpeyera o niespodziance, jaka go oczekuje, i sprawnik grodzieński Magnus, wsadziwszy upadłą wielkość pod fartuch swej bryczki, wywiózł go inną drogą, okrążając miasto; powóz zaś gubernatorski, w którym siedział służący, ruszył na Pohulankę, gdzie go zatrzymano i poczęto wygrywać koncert wrzaskliwy. Wkrótce jednak, gdy się przekonano, że Szpeyera niema, powóz i służbę puszczono swobodnie. Wśród tego wszystkiego nagle ukazała się od strony miasta kompania piechoty pod wodzą znanego nam już jenerała Holdhoera; ale ten, zamiast rozpędzić zbiegowisko, wszedł z niem w pertraktacye, które na tem się skończyły, że jenerała schwycono i przy okrzykach hura! obnoszono na rękach dokoła [2]).

W Kownie, w lecie 1861 roku, jadącego karetą pocztową z Warszawy, jenerała Zabołockiego, tego samego, który dnia 27-go lutego kazał strzelać na Krakowskiem Przedmieściu, powitano za miastem kamieniami, błotem i wszelkiego rodzaju wymyślaniami, przyczem ktoś strzelił.

[1]) Ks. Majewski, w kilka dni potem przyaresztowany, wysłany został na Syberyą, do Tobolska.

[2]) Ze źródeł rękopiśmiennych.

Gdyby nie woźnica, który zaciąwszy konie pognał pędem, Bóg wie do czegoby doszło, gdyż licznie zgromadzony tłum był nadzwyczajnie wzburzony. Miasto owe zresztą, zdaje się, miało przywilej wymyślania najniesmaczniejszych demonstracyi. Przypominamy owacyą sprawioną przez damy kowieńskie żydowi Landemu; teraz wpadły one na pomysł równie niefortunny. Dnia 11 września wyprawiły nabożeństwo w kościele PP. Bernardynek za cierpiących i uwięzionych, przyczem umówiły się nie puszczać do kościoła żadnego mężczyzny. Dwie panny stały we drzwiach i parasolkami zagradzały drogę!!... Władze rosyjskie w tem mieście dopuszczały się także rozmaitych nadużyć. Policmajster Wasiliew wpadł na koncept utworzenia straży z ludzi „dobrze myślących,“ i oczywiście tych dobrze myślących znaleść mógł tylko wśród ostatniego motłochu, pijaków i złodziei. Gdy w ostatnich dniach września przybył nowy garnizon do Kowna, to rozstawiono go na kwaterach tylko po domach polskich. Żołnierze byli gburowaci i na pół dzicy. U niejakiego Milewskiego, ubogiego mularza, wstawiono do izby sześciu żołnierzy, którzy ciężarną żonę gospodarza kolbami potłukli [1]).

Ale obok tych zaburzeń, nieraz z charakterem śmiesznym, były i inne o wiele poważniejsze i donioślejsze. Jeszcze w kwietniu 1861 r. Jan hr. Tyszkiewicz usunięty został przez rząd ze stanowiska marszałka powiatowego wileńskiego i otrzymał rozkaz wyjechania z Wilna i udania się do siebie na wieś. Wkrótce potem usunięto także marszałków: białostockiego, Sakowicza; brzeskiego, Gażycza; poniewierskiego, Rymkiewicza. Wszyscy ci panowie brali bardzo czynny udział w agitacyach, nabożeństwach i manifestacyach. W końcu czerwca zjechała się szlachta powiatu wileńskiego, w liczbie 66 osób, do Wilna dla wyboru nowego marszałka na miejsce hr. Tyszkiewicza, którego zastępował tymczasem sędzia powiatowy, kniaź Zagiel. Przed wyborami, Nazimow dnia 20 czerwca wezwał do siebie

[1]) Z relacyi współczesnych.

szlachtę, i przedstawiwszy jej powody, dla których Tyszkiewicz został usunięty, prosił, „żeby wybór kandydata padł na osobę w zupełności odpowiadającą wszelkim warunkom koniecznym dla stanowiska marszałka szlachty.“ Wysłuchano tego w milczeniu i wybrano Aleksandra Wańkowicza, poczem na wniosek niejakiego Karola Wagnera, sybiraka, szlachta podpisała poprzednio już przygotowany adres do Tyszkiewicza, w którym to adresie dała wyraz zupełnej aprobaty jego postępowania. Adresu tego na 66 zebranych nie podpisała jednak trzecia blizko część (dwudziestu), co było wskazówką, że gdyby rząd umiał się był wziąć do rzeczy i miał rozumnych ludzi na czele, to byłby mógł stworzyć w kraju poważne stronnictwo ludzi porządku. Po wyborach kilku szlachty z Wańkowiczem na czele udało się do majątku Tyszkiewicza, żeby mu uroczyście adres wręczyć.

Wieść o tym kroku szlachty sprawiła w mieście i kraju silne wrażenie. Nazimow napisał odezwę do zebranych, w której nazwał ich postąpienie nieprzyzwoitością (nieprliczie); że widnieje w niem „jednomyślność z burzycielami porządku publicznego, plamiąca ich stanowisko, obrażająca ich godność i w oczach rządu poniżająca szlachtę.“ Prócz tego skasowano wybór Wańkowicza; Bolesława Jeleńskiego za to, że adres głośno odczytał, a Euzebiusza Hryniewieckiego za to, że brał udział w jego redakcyi, wysłano do Petrozawodzka w gubernii Ołonieckiej; Wagnera skazano na wygnanie do Jarosławia, ale z powodu, że był to starzec schorowany, blizko ośmdziesięcioletni, zostawiono go w kraju pod nadzorem policyi.

Nazimow w ten sposób tłumiąc ruch, z drugiej brakiem rozumu i konsekwencyi, a może wskutek właściwej sobie „perfidyi greckiej,“ przyczyniał się bardzo wiele do wzrostu powszechnego niezadowolenia w kraju. Oddawna już wśród szlachty litewskiej agitowała się myśl założenia Towarzystwa rolniczego. Że w zamiarze tym tkwiła chęć naśladowania Królestwa, odegrania może takiej samej roli, jaką w Warszawie odgrywało tamtejsze Towarzystwo rol-

nicze, wątpić nie należy. Z tem wszystkiem, jakkolwiek wobec powszechnego rozdrażnienia tego rodzaju stowarzyszenie mogło rządowi sprawić pewne kłopoty, to jednakże kłopotów tych uniknąćby można przez ścisły nadzór nad czynnościami towarzystwa. Te zresztą ciemne, że tak powiemy, strony projektu gasły wobec dodatnich. Towarzystwo rolnicze litewskie miało bowiem być w ścisłym związku z projektowanem także Towarzystwem kredytowem, które według wzorów koronnych chciano założyć na Litwie. To ostatnie wobec reformy włościańskiej, nieustalenia hipotek majątkowych, zawieszenia nakoniec pożyczek rządowych, było nieomal koniecznem, i wszelki rząd uczciwy, istotnie dbały o dobro kraju, nietylko żeby zezwolił na założenie takiej instytucyi, ale owszem dopomagałby i zachęcał. Ale ponieważ rząd rosyjski nie dba i nigdy nie dbał o dobro zabranych ziem polskich, owszem zawsze i wszędzie stawiał tamy ich rozwojowi, więc zezwolenie na założenie obu wzmiankowanych towarzystw było bardzo problematyczne. Przygotowaną ustawę Towarzystwa rolniczego minister spraw wewnętrznych odrzucił w r. 1862 z tej uwagi, że „w czasach teraźniejszych każde stowarzyszenie może przybrać cele polityczne.“ Podobny los spotkał projektowane Towarzystwo kredytowe. Ustawy napisanej przy współudziale członków Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie (Antoniego Wrotnowskiego i Aleksandra Kłobukowskiego, którzy umyślnie w tym celu w lecie 1861 r. zjechali byli do Wilna), ogłoszonej nawet w osobnej broszurze, rząd nie potwierdził i zezwolenia na jej wprowadzenie w życie odmówił.

W tej chwili jednak o tem jeszcze nie wiedziano i agitacya w tym celu była bardzo żywa wśród szlachty. Na zjazdach, jakie z tego powodu zwoływano, pojawiała się także inna myśl, myśl napisania adresu do cesarza, co, zwłaszcza w Mińszczyznie i Mohilewszczyznie znajdowało powszechną aprobatę. W tej ostatniej prowincyi myśl ta w tym czasie weszła w wykonanie. Ponieważ właśnie w październiku 1861 r. odbywały się elekcye powiatowe, więc na

nich każdy powiat zredagował adres, „żądania,“ jak je nazywano, które miano podpisać na wyborach gubernialnych w styczniu 1862 r. Wieść o tem doszła do rządu, mianowicie o adresie powiatu rohaczewskiego. Adres ten zredagowano po nabożeństwie w kościele dnia 22 października w mieszkaniu marszałka powiatowego, podpułkownika Bohusza. W adresie tym szlachta, „zachowawszy w pamięci prawa i przywileje, z jakich korzystała za panowania najjaśniejszych poprzedników Waszej cesarskiej mości i za panowania królów polskich,“ domagała się: przywrócenia języka polskiego tak w szkołach, jak i w sądownictwie; przywrócenia publicznego i głośnego sądownictwa; przyłączenia powiatu rohaczewskiego oraz całej gubernii do gubernii litewskich; przyłączonia okręgu naukowego mohilewskiego do okręgu wileńskiego; przywrócenia na dawnych przywilejach uniwersytetu wileńskiego; dania zupełnej swobody wszystkim wyznaniom chrześcijańskim, dozwalając im budować kościoły, modlić się gdzie zechcą i jak zechcą, a przy połączeniu ślubem małżeńskim różnego wyznania osób dozwolić rodzicom chrzcić dzieci w jakiej zechcą religii“ [1]).

Rząd, dowiedziawszy się o tym adresie, marszałka Bohusza przyaresztować polecił, wysłał go do Petersburga z żandarmami i tam uwięził w fortecy. Śledztwo, jakie z tego powodu przeprowadzono, wzbudziło tylko podejrzenie, że i inne powiaty gubernii Mohilewskiej takie adresy przygotowały, ale „autentyczności tych wieści prawie nie udowodniono,“ jak się wyraża współczesne urzędowe doniesienie.

Wśród tego wszystkiego, wśród niespokojnego usposobienia umysłów, Nazimow przez swe postępowanie dolewał, jak mówią, oliwy do ognia. Tłumiąc jedną ręką wszelki objaw patryotyzmu polskiego, drugą, jak mityczna

[1]) Adres ten, jakkolwiek współcześnie był opublikowany w pismach zagranicznych polskich, jednakże mało znany i trudny dziś do odszukania, pomieszczamy w zbiorze dokumentów na końcu tego tomu pod Nrem 8.

puszka Pandory, siał ziarna burz i wichrów. W lecie 1861 roku wybrał on się na wycieczkę do gubernii Grodzieńskiej pod pozorem wytępienia ruchu religijno-patryotycznego, oraz dla obznajomienia, jak mówił, włościan z zasadami ukazu dnia 2 marca. W tym celu wcześnie wysłano rozkazy, ażeby chłopi, poddani prywatni, gromadzili się i oczekiwali na przybycie jenerał-gubernatora po stacyach pocztowych. Przejazd jego był rodzajem dżumy przynoszącej wszędzie zarazę i siejącej klęski. Już na pierwszej stacyi od Wilna, w Jedlinie, Nazimow mówił do chłopów: „iż powinni być wdzięczni wszyscy włościanie cesarzowi za udarowanie ich wolnością, której nie mieli za panowania królów polskich; że Litwa zawsze była krajem rosyjskim i tylko czasowie Polska go posiadała; dziś, gdy ten kraj na nowo powrócony Rosyi, włościanie powinni Bogu dziękować i za cesarza się modlić, że im dał rząd tak opiekuńczy i troskliwy o ich byt doczesny, który (oczywiście rząd) o tem jeszcze przemyśliwa, by i ziemią obywatelską mógł ich na zawsze uposażyć, jeśli na to zasłużą przez posłuszeństwo rządowi“ [1]). Gdzieindziej wołał, że „cesarz oswobodził was, choć wielu waszych panów tego nie chciało; że cesarz nie wstaje i nie kładzie się spać, żeby o was nie pomyślał“; „pocierpcie jeszcze trochę do czasu zupełnego wyzwolenia się od właścicieli, od jarzma polskiego, pod którem cztery wieki jęczycie“. W tym tonie reprezentant rządu monarchicznego, stróż porządku publicznego przemawiał na każdej stacyi od Wilna do Grodna, i jeżeli chłop litewsko-ruski po tych mowach nie zerwał się do rzezi szlachty, to zawdzięczać należy tylko jego naturze ociężałej, temperamentowi chłodnemu, duszy zgnębionej i pozbawionej wszelkiej inicyatywy. Prócz tego wszędzie, gdzie się pojawił, Nazimow zostawiał po sobie płacz i smutek. Wydalał ze służby urzędników polskich, księży i obywateli sadzał do więzienia, wyganiał na Syberyą, krzyczał, wymyślał, istny typ satrapy wschodniego.

[1]) „Przegląd rzeczy polskich“ z dnia 10-go października 1861 roku, p. 65.

Takie postępowanie, tego rodzaju wycieczka, zamiast kraj uspakajać, wzburzała go tylko jeszcze bardziej. I jakby obie strony przyczyniać się chciały wszelkiemi siłami do wzrostu gorączki powszechnej, inny człowiek, Polak, stojący na świeczniku chwały narodowej, w podobnejże wycieczce, na krótko przed Nazimowem odbytej, podniecał umysły talentem swego gieniuszu poetyckiego. Mówimy tu o znanym poecie Władysławie Syrokomli, który zwiedzając ważniejsze miasta i prowincye kraju, wszędzie witany owacyjnie, wszędzie wygłaszał mowy i improwizacye wierszowane, które budziły entuzyazm powszechny, gdyż, uderzając w nutę podniesionych uczuć patryotycznych, znajdowały oddźwięk w sercach polskich tak długo dręczonych. W Kownie przyjęty ucztą braterską, na przemówienie Dyonizego Skarżyńskiego, odpowiedział toastem zaczynającym się od słów: „w Kownie, gdzie Adam pieśń wieszczą wylewał“... Improwizacyą tę przyjęto oklaskami, poetę noszono nieomal na rękach. Obecny na uczcie w Kownie, szef sztabu wojsk kwaterujących w gubernii Kowieńskiej, pułkownik J. Sawicki, przeniesiony został za to w głąb Rosyi. Samego zaś poetę z rozkazu Nazimowa uwięziono, gdzie obchodzono się z nim z wszelkimi względami, wreszcie wypuszczono pod warunkiem oddalenia się z Wilna i zamieszkania w Borejkowszczyznie, gdzie napisał pełną nieporównanego humoru elegią p. t.: „Owidyusz na Polesiu“ [1]).

---

[1]) Poeta tak opisuje swe położenie:

„Ja, co żadnej Julii nie zaszedłem drogę,
Ja, co Owidyuszem nazwać się nie mogę;
Skazany wyższą wolą, w niemałym kłopocie
Siedzę w Borejkowszczyznie, jak on w pińskiem błocie.
Wychodzę do ogrodu, a tu żyd się kłania,
Polak mojżeszowego, chcę mówić, wyznania;
Za czterdzieści srebrników, co mi dał do dłoni,
Arenduje owoce gruszy i jabłoni.
I jako mąż przezorny przygląda się bacznie,
Czy właściciel ogrodu gruszek kraść nie zacznie“.

Klasy zamożniejsze, szlachta polska nosiła powszechnie żałobę. W Wilnie, Grodnia, Mińsku młodzież szkolna pod tym względem rozwinęła terroryzm prawdziwy, zmuszając kobiety, nawet Rosyanki, napaściami ulicznemi, oblewaniem sukien kwasem siarczanym, do przywdziania żałoby. W Wilnie bogata obywatelka ze Święciańskiego, pani Matylda Buczyńska, rozdawała między uboższych wsparcia pieniężne, zachęcając ich w zamian do noszenia żałoby. „Żałoba to wielka, uroczysta, święta — wołał w tonie patetycznym nieznany autor, jaką właściwie od lat już sześćdziesięciu naród nasz nosić byłby powinien, nie jest wymysłem kilku lub kilkunastu jednostek, ale jest ona strasznym *(sic)* Bożej woli objawem, jest mimowolnym wyrazem przebudzonego ducha narodowego, dowodem pojętej nędzy niewolnictwa, poczutych mąk i hańby uznanych (?) obowiązków". Odezw w tym stylu bombastycznym było mnóstwo; czytano je wszędzie chciwie, po najoddaleńszych dworkach, po kątach zapadłych i drzemiących dotąd snem nieprzespanym. Najgłośniejszą jednak, najbardziej czytaną była odezwa „syna ojczyzny do swej braci litewskiej". W odezwie tej „syn ojczyzny" wyraźnie i otwarcie zapowiadał powstanie zbrojne. „Bracia rodacy, wołał, wy, coście tyle wycierpieli od knuta carskiego i kazamat, wiedzcie, że godzina naszej swobody już wybiła; trzeba tylko, byśmy zjednoczeni byli ze sobą. Bądźmy więc zgodni jak Węgry, żeby tak samo jak oni pokonać wroga bez broni, bez wojska, jednomyślnością naszych dążności". Nie zapomniano i o ludzie. W gubernii Grodzieńskiej i na Białorusi bardzo rozpowszechnioną była litografowana „Hutorka dwóch susiedow" (Rozmowa dwóch sąsiadów), oraz drukowana „Mużickaja prawda". Rozrzucano ją wszędzie, do czego dopomagała bardzo wiele szlachta, duchowieństwo i tak zwani „mirowi pośrednicy", to jest urzędnicy do spraw włościańskich, przeważnie z Polaków złożeni. Ale wszystko to wcale nie oddziaływało na lud. Przygnębiony wiekową niedolą, obcy językiem, a jak na Rusi i religią szlachcie polskiej, na Ukrainie pełen wspomnień haj-

damaczyzny, patrzał na rozwijający się przed nim obraz rozbudzonych uczuć patryotycznych polskich, jeżeli nie wrogo, to obojętnie.

Chcąc obudzić w tym ludzie dawne wspomnienia unii, w sferach rewolucyjnych postanowiono obchodzić uroczyście, z całym przyborem efektów manifestacyjnych, dzień św. Józafata Koncewicza (28-go września), zabitego w Smoleńsku przez schizmatyków. Obchód ten głównie miał się odbywać na Rusi, dawnem siedlisku unii. Myśl niepozbawiona głębszego znaczenia, ale w tych czasach, gdy tysiące nabożeństw uczyniło z tego rodzaju pamiątek rzecz nieomal codzienną i powszednią, obchód taki musiał minąć bez poważniejszego wrażenia. Dla przygotowania niejako umysłów do tej nowej manifestacyi, rozrzucono po całem Podlasiu, Chełmszczyznie i Białorusi broszurę p. t. „Polska i Kościół unicki“, oraz drugą p. t. „Żywot i męczeństwo błogosławionego Józafata, arcybiskupa połockiego“, wydrukowaną w Paryżu z datą 8 września 1861 r. W tej ostatniej książeczce nieznany autor, opisując śmierć Józafata, ciągle porównywa okoliczności jej towarzyszące z wypadkami warszawskimi. „Moskale (pisze np.), napadli na Józafata, męczyli go, połamali krzyże, jak to i teraz robią w Warszawie, i zamordowali arcybiskupa za wiarę świętą i ojczyznę.... jak zamęczyli tylu ludzi w Warszawie i Wilnie za wiarę świętą i ojczyznę“. Oprócz tych broszur rozrzucono mnóstwo litografowanych obrazków, źle narysowanych, ale uderzających prostą wyobraźnię ludu strasznymi szczegółami morderstwa, dokonanego na arcybiskupie połockim. Pod obrazkiem tym był napis: „Święty Józafat, zarąbany przez Moskali“ [1]). Wreszcie, w ogromnej

[1]) *N. Berg:* Zapiski. 321, opowiada, że z obrazkiem tym biegali po ulicach chłopcy i publicznie go sprzedawali, zaczepiając nawet Rosyan słowami: „może pan pułkownik pozwoli świętego Józafata zarąbanego przez Moskali“, — przyczem autor dodaje tę uwagę charakterystyczną: „i wielu (Rosyan) kupowało, nie zastanawiając się nad tem, że tym sposobem dopomagają propagandzie powstańczej“.

ilości rozpowszechniono odezwę drukowaną, opowiadającą męczeństwo Józafata, i zapraszającą na nabożeństwo dla uczczenia męczennika, kanonizowanego przez Rzym; że obchód tej pamiątki ma na celu dodanie odwagi braciom z za Buga, o wiele niż my nieszczęśliwszym, gdyż zabrano im wiarę, oddano na pastwę popom, którzy zdradzają przed rządem tajemnicę spowiedzi i nie pozwalają im odwiedzać kościołów. Samo nabożeństwo odbyło się w Warszawie dnia 28 września, w cerkwi Bazyliańskiej na Miodowej ulicy, oraz po wszystkich kościołach katolickich, zakończone jak zwykle hymnami patryotycznymi. Sklepy cały dzień były zamknięte [1]).

Te ciągłe nabożeństwa, obchody, zamykanie sklepów, warsztatów, biur prywatnych, powodując zastój w interesach, poczynają w tej porze budzić niechęć w licznej, wpływowej i bardzo drażliwej o swą kieszeń burżoazyi warszawskiej. Próżniactwo w klasie wyrobniczej i rzemieślniczej wzrosło do niesłychanych rozmiarów, gdyż pierwszą była, jak mówiono, ojczyzna, a potem dopiero praca na chleb. W skutek tego zapanowała powszechna w tej warstwie nędza. Ale nikt nie śmiał publicznie zaprotestować przeciw tej bachanalii politycznej, bo straszliwy terroryzm ulicy, wyrostków wszelkiego rodzaju, zamykał każdemu usta. Przyszło do tego, że terminator u szewca, dostawszy w ciągu dnia pocięglem od majstra, wieczorem zgromadzał bandę takich jak sam urwiszów i wyprawiał pryncypałowi swemu kocią muzykę. Był to chleb powszedni, nikogo to już nie dziwiło, ani nie oburzało, przynajmniej głośno, gdyż w cichości, w głębi duszy wielu z tego stanu rzeczy, z terroryzmu, z rządów „studentokracyi“, było nadzwyczajnie niezadowolonych.

Niemniejsze niezadowolenie było i w kołach czerwonych, choć z całkiem innych powodów. Zauważono tam

---

[1]) O nabożeństwach w ten dzień na prowincyi, zwłaszcza na Podlasiu i Białorusi, nie mamy żadnych szczegółów i doszukać się ich nigdzie nie mogliśmy.

dobrze stosunki Lamberta z byłą Delegacyą warszawską, z członkami zniesionego Towarzystwa rolniczego; wiedziano o ich memoryałach, spostrzegano ich kwaśne miny, gdy jaką nową urządzano manifestacyą. Wszystko to w oczach czerwieńców świadczyło, że „biała zaraza“ rozszerza się coraz bardziej i grozi wyrzuceniem czerwonych z siodła. Poczęto się także boczyć na Majewskiego, o którego zabiegach i stosunkach z białymi wiedziano [1]). Przybyły niedawno z Wołynia, Apollo Korzeniowski, pisarz utalentowany, trochę poeta, głowa zapalona i zdolna, zrazu był w ścisłej przyjaźni z Majewskim i bezwzględnym wielbicielem tego człowieka, w gruncie rzeczy umiarkowanego, a popychanego ciągle przez wypadki, przez zbieg szczególnych okoliczności na ultraczerwoną pochyłość. Powoli jednak Korzeniowski, zauważywszy, że Majewski bywa u białych, bierze udział w ich naradach, przeniknąwszy grunt tego umysłu chwiejnego, zaczął się od niego odsuwać, a natomiast wszedł w zażyłe stosunki z tą grupą młodzieży, która wywoływała i przewodniczyła dotąd wszystkim manifestacyom i rozruchom ulicznym. Korzeniowski, jakkolwiek już nie pierwszej młodości, jakkolwiek gruntownie i po literacku wykształcony, znalazł jednak punkt zetknięcia się z tą młodzieżą niedojrzałą, nic nie umiejącą, źle wychowaną i przesiąkniętą ideami wywrotu. Tym punktem zetknięcia była miłość ojczyzny, tej biednej, nieszczęśliwej ojczyzny polskiej, którą, przekonani byli, że oni jedni tylko naprawdę kochają i oni jedni uwolnić ją zdołają od najazdu obcego. Korzeniowski, przejąwszy się na Rusi miłością pseudoludową, sentymentalnem współczuciem dla „kmiotków“, tak zwanem chłopomaństwem, chodził po Warszawie w świtce chłopskiej, wściekłej czapie i butach wysokich, zwracając na siebie uwagę powszechną, wywierając przez swą inteligencyą, wykształcenie, talent pisarski, wymowę, niemały wpływ na kupiącą się koło niego młodzież. W gronie tej młodzieży znajdował się znany nam

[1]) Z ustnych podań.

już Szachowski, uczeń szkoły sztuk pięknych, najczerwieńszy z czerwonych, zwany w kołach rewolucyjnych, z powodu swych krwiożerczych przekonań, Maratem; dalej, znajdował się Szaniawski, szlachcic z rodu, potomek konfederata barskiego, co mu jednak nie przeszkadzało głosić, że dopóty nie będzie dobrze, dopóki szlachta do cna wytępioną nie zostanie; był Sikorski, Cielecki, nakoniec bracia Jan i Leon Frankowscy, ludzie z bezprzykładnem poświęceniem, idealną ofiarnością, fanatycy spisku, gotowi rzucić się w przepaść, mur głową przebić, byle ich kto przekonał, że tą drogą, takim czynem ojczyznę się zbawi. Typy podniosłe, godne uwielbienia, możliwe tylko w Polsce, niestety! zaślepione przez źle zrozumianą miłość kraju!

Obok tych osobistości wybitniejszych grupowała się inna młodzież tego samego pokroju, nieuznająca nad sobą żadnej władzy, nie słuchająca nikogo, zgrzytająca zębami na białych, których uważano za wrogów bardziej może niebezpiecznych niż Moskale i Niemcy, bo prowadzących, jak mówili, kraj do nowej Targowicy. Dla przeszkodzenia więc tej Targowicy, dla zerwania „konszachtów“ z Lambertem, oni to urządzali te wszystkie manifestacye, nabożeństwa, które jak potok zerwany zalały kraj cały w tej porze i jak potok zerwany unosiły w morze przeznaczeń los Polski i jej przyszłość. Uważali oni reformy jako sprzedaż ojczyzny za miskę soczewicy i przez manifestacye chcieli położyć koniec wszelkim próbom uspokojenia kraju.

Do tych to zapaleńców, do tych nieprzejednanych niczem rewolucyonistów, doszła wieść, że stronnictwo umiarkowanych, biali, zamożne mieszczaństwo warszawskie i szlachta, myśli o organizacyi, o zjechaniu się do Warszawy, o jakimś sejmie walnym, na którym mają być rozpatrywane kwestye będące na dobie, a mianowicie: jak należy przyjąć reformy? jak urządzić wybory? jak nakoniec postąpić z czerwonymi i ich manifestacyami nieustannemi? Wieści te, w części prawdziwe, w części przesadzone, nie tyle zatrwożyły ile rozgniewały czerwonych.

Poczuli oni potrzebę jakiejś organizacyi między sobą, jakiejś spójni między luzem chodzącymi rewolucyonistami, jakiegoś programu działania, by go przeciwstawić działaniu białych. Mierosławski, który zawsze dotąd był wcieloną głową stronnictwa ruchu i we wszystkich wypadkach ważniejszych dawał mu wskazówki, uwiadomiony został o agitacyi białych w kraju przez Majewskiego [1]). Ten ostatni donosił mu, że mają być wybrani z każdego województwa mężowie zaufania, którzy będą rządzili krajem, jak to zresztą opiewał akt konfederacyi spisany w Żytnie. Radził Mierosławskiemu, by przeciw temu nie oponował, by owszem starał się zlać w jedno oba stronnictwa dla wspólnego dobra kraju. Ale tego rodzaju rady, taka fuzya dwóch stronnictw, nie mogły się podobać i nie podobały się „aniołowi rewolucyi". Z chwilą, gdyby na czele ruchu w kraju stanęli ludzie, pochodzący z wyborów, Mierosławski musiałby koniecznie zejść na plan drugi, przestałby być „urodzonym dyktatorem Polski". Odpowiadał więc Majewskiemu, że organizacya białych nie będzie zdolną do niczego, nie wierzył w jej moc rodzajną, w jej szczere, patryotyczne, polskie uczucia. „Cóż z tego będzie, pytał, gdy wybiorą kilkunastu brzuchaczy *(sic)?* Nic innego tylko nowa zdrada, nowa Targowica, safandulstwo, szlafmycowe kiwanie łbami" [2]).

Dla przeszkodzenia więc temu, postanowił zwołać zjazd czerwieńców i postawić go naprzeciw zapowiadanego zjazdu białych w Warszawie. Zjazd czerwonych oczywiście miał się odbyć zagranicą, bo „zmartwychwstały wódz" nie mógł i nie chciał narażać swej drogocennej osoby na niepryjemności, gdyby przyjechał do któregokolwiek z trzech zaborów. Dla niezwrócenia uwagi policyi zdecydował, że należy się zjechać w jakiem miejscu kąpielowem. Ponieważ w owych czasach w Homburgu (w W. Ks. Hesskiem) był dom gry i mnóstwo awanturników i graczów z całego

[1]) Z ustnych podań.
[2]) Z listu własnoręcznego Mierosławskiego.

świata zbiegało się do tego miasteczka, więc Mierosławski uznał, że w takiem miejscu najlepiej i najbezpieczniej będzie zjechać się i odbyć naradę walną [1]). Zapraszał on na nią koniecznie Majewskiego, ale ten nie miał wcale ochoty tam jechać, gdyż najprzód zawsze był tego przekonania, że emigracya nie może i nie powinna kierować krajem, że zatem i Mierosławski nie może stać na czele ruchu. Przyjazd zaś do Homburga oddawałby niejako dyktaturę w ręce Mierosławskiego. Przytem, kto wie, jakie ambitne plany roiły się po młodej, zdolnej i bystrej głowie Majewskiego? Są ślady, że w gruncie rzeczy marzył on o objęciu kierownictwa ruchu i dla tego to może należał i do białych i do czerwonych, co nie wzbudzało ku niemu ufności ani w tych, ani w tamtych, tak że uważano go za człowieka dwulicowego, za siedzącego na dwóch stołkach i nigdzie mu bardzo nie dowierzano. Wytłumaczywszy się więc przed Mierosławskim, że dla powodów rodzinnych jechać nie może, namówił znanych nam z aktu konfederacyi w Żytnie: Józefa Kołaczkowskiego, Włodzimierza Trepkę i Siemieńskiego [2]), żeby do Homburga pojechali, zobaczyli co się tam dziać będzie i przedstawili Mierosławskiemu, że należy, by emigracya zrzekła się swych pretensyi do rządzenia krajem. Wysyłając jednak trzech powyżej wymienionych szlachciców, wysłał także, bez ich wiedzy, znanego nam czerwieńca, należącego do grupy Korzeniowskiego, zapalonego agitatora i demagoga Szaniawskiego z listem do Kurzyny, który stale był przy Mierosławskim, w charakterze jego sekretarza. W liście tym Majewski, opisując białe usposobienie Kołaczkowskiego, Trepki i Sie-

---

[1]) Według jednej z relacyi piśmiennych, jakie posiadamy w naszych zbiorach o tym zjeździe, to miał on się pierwotnie odbyć we Frankfurcie nad Menem, ale ruleta Homburska tak wabiła delegatów, że wszyscy przybyli do Frankfurtu przenieśli się powoli do poblizkiego Homburga.

[2]) *N. Berg:* loc. cit. 340, utrzymuje, że nie Trepka ale Stanisław Karski pojechał, czemu przeczą nasze bardzo staranne poszukiwania.

mieńskiego, zaklinał Kurzynę, by do fuzyi tych dwóch stronnictw za nic w świecie nie dopuścił.

Zjazd odbył się w początkach września [1]). Podobnie jak Majewski tak i Mierosławski nie przybył, tylko wysłał Kurzynę. Na tego ostatniego musiano czekać, a tymczasem bawiono się wesoło, grano i hulano w Homburgu, do czego miejscowość ta tysiączne nastręczała młodym i żądnym życia ludziom sposobności. Wśród tych zabaw Szaniawski wygadał się, że ma list od Majewskiego do Kurzyny, i naciskany list ten oddał deputatom, którzy go przeczytali. Nakoniec zjawił się oczekiwany Kurzyna i delegaci, wyrywając się z Homburga, wpadali na kilka godzin do Frankfurtu, i tu, w mieszkaniu Siemieńskiego, objaśnili Kurzynę o tem co się dzieje w kraju, że tworzy się organizacya bardzo poważna, bo z wyborów powstała, przeważnie szlachecko-mieszczańska, że jak tylko rozszerzy się ona na całą Polskę przedrozbiorową, to natychmiast zacznie czynić przygotowania do powstania. Wreszcie stanowczo żądali, by inicyatywa działania była w ręku kraju, ale nie emigracyi. Kurzyna wysłuchał tego, spierał się, dowodził, że powstanie długo przygotowywane i oczekiwane zmarnuje się i spali wszystkie swe siły w gorączce oczekiwania, i „jak dziewica przejrzała, doczekawszy się energicznego aktu miłości, wyda płód słaby, niedołężny i poroniony“ [2]); o abdykacyi wychodźtwa z kierownictwa krajem nie chciał nawet mówić. Popierał to całą swą wymową, licznymi bardzo argumentami, ale przekonać nikogo z obecnych nie mógł. Rozstano się z wzajemnem niezadowoleniem i podrażnieniem, i zjazd Homburski właściwie do niczego nie doprowadził i nic nie zrobił. Pozostano przy swych

[1]) *N. Berg:* loc. cit., oznacza nawet datę, 10 lub 11 września, co jest błędem. Zjeżdżano się powoli, i jak zaraz zobaczymy, wśród zabaw i gry w ruletę, właściwe narady się wlokły i odbywały tylko dorywczo. Ścisłej więc daty oznaczyć niepodobna.

[2]) Własne wyrażenie Kurzyny. Opis powyższy opieramy na relacyi rękopiśmiennej tego zjazdu, jaką posiadamy w naszych zbiorach.

przekonaniach i w głębi duszy każde ze stronnictw postanowiło działać osobno i na własną rękę [1]).

Ten rozdział ostateczny dwóch stronnictw najwyraźniej objawił się w Warszawie, gdzie wobec zbliżających się wyborów do rad miejskich i prowincyonalnych zarysowały się dwa, wręcz przeciwne sobie prądy. Kiedy bowiem biali, zamożne mieszczaństwo warszawskie i szlachta z panem Andrzejem na czele, byli za tem, żeby reformy przyjąć z dobrą wolą, wyzyskać je, wyborów dokonać, gdyż „będą one najlepszym orężem w walce o zdobycie nowych ustępstw“, to czerwoni ani słuchać o tem nie chcieli. Rząd wiedział

[1]) *N. Berg:* loc. cit. 343, powiada, że współcześnie z naradami czerwonych w Homburgu odbył się wielki zjazd szlachty w Warszawie, i na pierwszem posiedzeniu, bardzo burzliwem, wybrano delegacyą z następujących osób: Edwarda Jurgensa, Leopolda Kronenberga, Aleksandra Kurtza, Adama Golca, Tadeusza Eydziatowicza i Karola Majewskiego. Podanie to, jak sam powiada w przypisku, opiera Berg na zeznaniach K. Majewskiego, poczynionych w cytadeli, a według wszelkiego prawdopodobieństwa na relacyi *M. P. Ustimowicza* (Zagowory i pokuszenie, p. 82), z tą zmianą, że w miejsce podanego przez tego ostatniego Kołaczkowskiego mieści Eydziatowicza oraz Władysława hr. Zamoyskiego (syna p. Andrzeja). Wszelako Ustimowicz w tym względzie jest mało wiarogodny. Pisarz ten bowiem w każdem, choćby najniewinniejszem i chwilowem tylko zebraniu się pewnej grupy ludzi, widzi zaraz spiski i komitety powstańcze, ściśle uorganizowane. Dzięki też temu natworzył delegacyi i komitetów takie mnóstwo, że, sądząc według niego, przypuścić by należało, że spisek trwał już od roku 1856, i komitety z zakresem powstańczym, rządzące całym krajem, w tej dobie ciągle istniały. Że we wrześniu zjechało się do Warszawy dużo szlachty, że się ta zgromadzała i naradzała, to wątpliwości nie ma, ale żeby już wtedy miała powstać t. zw. później „Dyrekcya białych“, temu kategorycznie zaprzeczyć musimy na podstawie jak najutentyczniejszych relacyi. Dyrekcya ta, w tym mniej więcej składzie, jaki podaje Berg, powstała dopiero w grudniu 1861 r., o czem, we właściwem miejscu bliższe podamy szczegóły. We wrześniu jednak jeszcze nie istniała, choć jakeśmy to już zaznaczyli, gdzie należy, myśl ta agitowała się od wiosny, od chwili zawiązania się konfederacyi w Żytnie. W tej chwili atoli myśl ta nie przybrała jeszcze kształtów ciała uorganizowanego, jak to utrzymuje Berg, a za nim bezimienny autor „Historyi ruchu narodowego“. T. III.

o tem ostatecznem rozejściu się stronnictw, o ich niechęci ku sobie i walce, jaką ze sobą toczyć zaczynały. Już dnia 12 września donosił Lambert cesarzowi, że „manifestacye ustają, gdyż większość im nie sprzyja“; a w kilka dni potem, dnia 16-go t. m., pisał: „wzburzenie w Warszawie nabiera cech walki między stronnictwem skrajnem i umiarkowanem“. Cesarz z właściwą swemu charakterowi perfidyą grecką, radził, żeby z walki tej skorzystać, czyli poprostu obie partye podżegając przeciw sobie tak osłabić, by same przez się upadły.

Takie było ogólne położenie kraju w pierwszych tygodniach rządów Lamberta. Wśród najróżnorodniejszych wpływów, działających na niego, nie mógł on się zdobyć na krok stanowczy, na przybranie postawy decydującej. Przybyły współcześnie z nim z Petersburga Płatonow, w charakterze komisarza cesarskiego dla ostatecznego uorganizowania policyi warszawskiej, z którą sobie jakoś rady dać nie umiano, przekształcano ją ciągle i mimo wszystko było z niej narzędzie bardzo nieudolne, krzywo patrzał na stosunki przyjazne namiestnika z mieszczaństwem i szlachtą polską. Popierany przez Gerstenzweiga, skupił koło siebie warczącą koteryą jenerałów, wzdychających do tych dobrych, dawnych czasów, kiedy to oni w Polsce byli wszystkiem. Oczywiście koterya ta, wprawna we wszelkiego rodzaju intrygi, pośrednio oddziaływała na Lamberta, domagała się rządów surowych, w czem popierana była do pewnego stopnia przez cesarza, który nie przestawał nalegać na namiestnika, by stan wojenny w Polsce ogłosił.

W skutek tego wszystkiego, wśród tych wahań i braku decyzyi stanowczej, rzeczy szły po dawnemu, to jest jak najgorzej. W Radzie administracyjnej przejście najważniejszych projektów i praw zależnem było od wypadku [1]). Nie załatwiano wcale spraw, ale odsyłano je do komisyi rządowych, „dla poznania ich opinii“. Dzięki temu wszystko

[1]) *Lisicki:* „Le marquis“, II, 224.

się wlokło leniwie i ospale, kiedy trzeba było działać szybko i stanowczo, kiedy w powietrzu wisiała burza, a pod nogami ziemia drżała. A przytem Wielopolski, główny autor wszelkich projektów, które dla „poznania opinii“ przesyłano do Komisyi, miał wszędzie mnóstwo nieprzyjaciół, którzy znajdowali w tem pewną satysfakcyą, że odrzucając jego projekta, poddając je krytyce surowej, choć w ten sposób dokuczyć mu mogli. W Komisyi spraw wewnętrznych jego projekt oczynszowania starano się przerobić tak, by przyniósł głównie szkodę wielkim właścicielom, a zatem i margrabiemu, jakkolwiek Komisya, chcąc zmienić projekt Wielopolskiego, miała nieco słuszności. Patrzano na ten projekt podejrzliwie, bo w praktyce teraz okazało się, że zniesienie pańszczyzny i okup prawny, zaprowadzony przez Wielopolskiego, był sporządzony z wyraźną szkodą dla chłopa a korzyścią dla właścicieli ziemskich. Okup ten był tak wysoki, że rozlegały się już między ludem narzekania, choć zrazu chłopi wszędzie zrzekali się chętnie pańszczyzny. A przytem wiedziano, że Wielopolski jest przeciwnikiem uwłaszczenia, które w oczach klasy urzędniczej polskiej, demokratycznie usposobionej, było jedynem wyjściem z zawiłych i wstrętnych stosunków włościańskich, i sądząc po wysokości zadekretowanego okupu prawnego, nie widzieli w nim dbałości o dobro ludu, ale dbałość o osobiste interesa margrabiego, gdyż okup przynosił mu krociowe korzyści.

Niemniej niechętnie patrzyła Komisya spraw wewnętrznych na projekt emancypacyi żydów. Tutaj wszedł w grę pogląd jej dyrektora głównego, który ze stanowiska rosyjskiego sądząc rzeczy, nie widział nic dobrego dla rządu, jeżeli żydzi przez emancypacyą zbliżą się i zasymilują z żywiołem miejscowym. W Radzie administracyjnej, gdy przyszedł pod rozbiór projekt organizacyi wydziału wyznań religijnych, członkowie rosyjscy Rady zaoponowali przeciw zlaniu dwóch obrządków katolickiego i unickiego w jednej radzie duchownej i uparli się, by utrzymano dotychczasowy stan rzeczy. W kwestyi uniwersytetu war-

szawskiego, który miał nosić nazwę Szkoły Głównej, odżyła dawna myśl Muchanowa, ażeby rozrzucić po kraju pojedyncze jego wydziały i w protokóle zaznaczyli, że „istnienie Szkoły Głównej w niczem nie przesądza urządzenia kilku Szkół Głównych“ [1]). Wielopolski, przewidując konieczność ogłoszenia wcześniej czy później stanu wojennego, chciał, by przez prawo ściśle określone oznaczone były granice władzy wojskowej, oraz jej stosunek do władz cywilnych. Była to myśl prawdziwie patryotyczna; wszak margrabia doskonale wiedział, co to są jenerałowie rosyjscy przemienieni w kacyków wszechwładnych i dla tego samowolę ich chciał ograniczyć przez odnośne prawo. W tym celu projekt odpowiedni przedłożył Radzie administracyjnej, ale na to Lambert odrzekł: „jako głównodowodzący wojskami konsystującemi w Królestwie, mam prawo ogłoszenia stanu wojennego, ilekroć uznam to za potrzebne; zresztą stan wojenny, zaprowadzony przez księcia Paskiewicza, nigdy nie był zniesiony, nowe więc prawo co do tego jest całkiem niepotrzebne“ [2]). W przeddzień nieomal wyborów namiestnik przyszedł do przekonania, że ogłoszenie stanu wojennego jest nieuniknionem. Cesarz ciągle nań o to nalegał. „Z Litwy, pisał mu dnia 15-go września, od chwili zaprowadzenia stanu wojennego, nadchodzą wiadomości zadawalniające, co mnie jeszcze bardziej utwierdza w przekonaniu, że zastósowanie tego środka w Królestwie jest koniecznem“. „Nie przeczę, odpowiadał Lambert, że ogłoszenie stanu wojennego jest koniecznem, ale wybór chwili odpowiedniej racz mi zostawić Najjaśniejszy panie. Agitatorzy chcą nas wyprowadzić z cierpliwości“. „Cieszę się bardzo, pisał na to cesarz, żeś się sam przekonał o konieczności stanu wojennego. Agitatorzy zbyt już długo przywykli liczyć na naszą cierpliwość, której źródło widzą w naszej słabości i braku decyzyi.

[1]) Loc. cit.
[2]) Loc. cit.

Jeszcze raz ci powtarzam, czas już położyć temu koniec“ [1]).

Ale Lambert nie mógł się zdobyć na krok tak stanowczy, jakim było ogłoszenie stanu wojennego, tem bardziej, że teraz znajdował usprawiedliwienie swego wahania w zbliżających się wyborach, na które bardzo źle mogłoby wpłynąć takie postąpienie rządu i prawdopodobnie by im przeszkodzili. Wszelako, nie ogłaszając stanu wojennego, Lambert miał go ciągle na myśli i powoli się doń przygotowywał. W połowie września zwierzył się przed Wielopolskim, że chciałby przywrócić dawną i z praw cesarstwa już wykreśloną karę oddawania do wojsk za przestępstwa stanu. Wielopolskiemu oczywiście nie mogło się to podobać. „Dla czego nie zarządzisz panie hrabio branki do wojska?“ spytał. „Nie! to zrobiłoby złe wrażenie“ [2]). Lękając się więc złego wrażenia z kroku zupełnie legalnego, uciekać się chciał do kroków nielegalnych i tak dalece złych, że je usunięto nawet z praw rosyjskich. Mimo to myśli swej nie porzucił i w przeddzień wyborów zażądał co do tego pozwolenia od cesarza. „Proszę o udzielenie mi władzy, pisał, w razie ogłoszenia stanu wojennego, oddawać ludzi podejrzanych, biorących udział w nieporządkach, do wojska, na rachunek poboru przyszłego, w razie zaś niezdatności wysyłać ich na mieszkanie do gubernij oddalonych“ [3]). Cesarz zgodził się natychmiast na udzielenie tej władzy dyskrecyonalnej namiestnikowi, który teraz bez sądów, bez śledztwa, na proste swoje widzimisię, mógł oddawać ludzi do wojska, lub zsyłać ich na Sybir.

Wśród tych niepowodzeń jedna tylko rzecz udała się w tym czasie margrabiemu, to jest wyjednanie u Lamberta pozwolenia na założenie dziennika urzędowego. W dniu 11 września wniósł Wielopolski projekt do Rady administracyjnej, ażeby ustanowioną w r. 1837 „Gazetę Rządową“,

[1]) Depesze: z Liwadyi z d. 3 (15) września, z Warszawy z d. 5 (17) września i z Liwadyi z tejże daty.

[2]) *Lisicki*, Le marquis, II., 224.

[3]) Depesza z d. 9 (21) września, o godz. 1 w nocy.

organ przez nikogo nie czytany i zawierający tylko ogłoszenia rządowe, zreformować, a mianowicie: przywrócić jej dawny, z r. 1823 tytuł „Dziennika powszechnego“, i rozszerzyć przez pomieszczanie w niej rozpraw literackich i naukowych. Rada administracyjna zgodziła się na to, ale szło teraz o zyskanie zezwolenia cesarskiego. Lambert tegoż dnia zatelegrafował do cesarza i pisał, że „przyśpieszenie tej reformy uważa za konieczne“ [1]). Gdy cesarz się zgodził, w dniu 13 września ogłoszono po wszystkich gazetach odnośny dekret Rady administracyjnej, mocą którego przyszły „Dziennik powszechny, pismo urzędowe, polityczne i naukowe“, miało podlegać wyłącznie cenzurze komitetu przy Komisyi Wyznań i Oświecenia ustanowionego; że ukazy mają być w niem pomieszczane w języku polskim i rosyjskim, inne zaś artykuły tylko w języku polskim; że redakcyą ma się trudnić osoba wyznaczona przez Dyrektora tejże Komisyi; wszelkie postanowienia rządowe mają być najprzód w Dzienniku drukowane, a inne gazety mogą je powtórzyć dopiero w 24 godziny potem; że coroczny zasiłek ze skarbu ma wynosić rs. 1.502, że prenumerata ustanawia się na rs. 2 kwartalnie.

Wielopolski do wydawnictwa tego przywiązywał w ogólności wielką wagę; jeszcze za Gorczakowa, wstępując do rządu, stawiał między swemi żądaniami konieczność założenia dziennika oficyalnego. Czem zaś chciał mieć ten dziennik, świadczy jego komunikat, jaki zaraz po dekrecie Rady administracyjnej rozesłał do wszystkich gazet war-

[1]) Depesza Lamberta z d. 11 września (30 sierpnia). Brzmi ona jak następuje: „Rada (administracyjna) na przedstawienie Wielopolskiego uznała za pożyteczne przekształcić gazetę urzędową Królestwa Polskiego, ażeby przez nią oddziaływać na uspokojenie umysłów, redakcyą ulepszyć, przyczem część nieurzędową drukować tylko po polsku, bez tekstu rosyjskiego. Przyśpieszenie tej reformy uważam za konieczne, ale nie może ona nastąpić bez zezwolenia Najwyższego. Czy raczysz się Najjaśniejszy Panie zgodzić?“ — Telegramu ze zgodą cesarza w zbiorze, tylokrotnie przez nas cytowanym, nie ma, ale skądinąd wiemy, że zgoda na tę reformę nastąpiła nieomal zaraz.

szawskich. Według tego więc artykułu przyszły „Dziennik powszechny“ miał zająć takie stanowisko, jakie w innych krajach zajmuje rządowa i pół-urzędowa prasa, że miał połączyć charakter francuskiego „Monitora“ z charakterem gazety „Pays“, „Constitutionel“ i innych organów inspirowanych. Sądził, że pismo rządowe, polityczne i naukowe wpłynie korzystnie „na ciężkie dzisiejsze stosunki prasowe, które ten tylko zrozumieć może, kto się ich dotknął;“ wyraził przy tem nadzieję, że władza pozwoli innym organom kontrolować kierunek „Dziennika“, rozświecać położenie rzeczy, a „nawet prostować tam, gdzie przekonania organów prywatnych z przekonaniami „Dziennika powszechnego“ zgadzać się nie będą. Mniemał, że stąd powinna się wyrodzić większa niż dotąd swoboda w wyrażeniach, że polemika taka nie będzie osobistą ani próżną, ale rozświecającą kwestye kraj obchodzące; że polemika taka możliwą jest tylko w warunkach swobody, że wszelkie ścieśnienie czyni ją niepodobną. W przeciwnym bowie razie „Dziennik“ pozostaćby musiał sam jeden i sam jeden by przemawiał. „O ile nas jednak, pisał w końcu, doświadczenie osobiste, historya dziennikarstwa a nawet pewna znajomość ludzkiej natury nauczyły, głos bez odpowiedzi to kazanie na stepie, myśl nie wywalczona pozostanie zawsze jałową, a gdy minie chwila ciekawości, „Dziennik“ nawet przy staraniach redakcyi, może pozostać z tym samym wpływem, co dzisiejsza „Gazeta Rządowa“. Do pism tego rodzaju nader właściwie zastosować można te słowa Larochfoucaulda: „où la critique n'est pas pernuse, la louange est sans dignité“; siła ich właśnie i wpływ leży w możności owej krytyki, której warunki skreśliliśmy wyżej. Ponieważ przypuszczamy, że te myśli spowodowały założenie „Dziennika“, dla tego zwróciliśmy uwagę na ów fakt, który tak stosowany może być ważny; pojmowany zaś inaczej, byłby bez żadnego znacznenia“ [1]).

[1]) Jak się w ogóle na tę sprawę, a w szczególności na dziennikarstwo warszawskie, zapatrywał Wielopolski, świadczy broszura,

Jakkolwiek w komunikacie tym wyraźnie wypowiedziana była gorąca chęć Wielopolskiego nadania prasie warszawskiej większej swobody słowa, chęć, z którą kilka-

---

wyszła wprawdzie z druku nieco później p. t. „Ruch polski z 1861 r. Rzut oka na rozwój polityczny i społeczny w Król. Pol. od r. 1831 do naszych czasów. Wydanie drugie, Lipsk 1863 r.“. W broszurze tej, jak mówią powszechnie, napisanej przez Miniszewskiego pod wpływem margrabiego, znajdujemy ustęp taki na str. 43: „utrzymane ścieśnienia prasy, przy dotychczasowym stanie dziennikarstwa warszawskiego, było koniecznem. Dla czego? Bo dziennik wskutek ograniczonej liczby przywilejów stał się własnością prywatną, a więc ulegającą pewnym względom ekonomicznym. Wszelka własność, wszelkie gospodarstwo wymaga nakładów i zapewnia pewne korzyści. Liczba prenumeratorów stała się warunkiem bytu dzienników istniejących. Przy wyzwoleniu prasy gospodarz tego papierowego folwarku starać się musi o popularność, bo stąd jego prenumeratorzy i intrata. Gdyby odezwał się w interesie porządku i dobra społecznego, nie zawsze trafi do przekonania masom wzburzonym. Przy zachowaniu zaś dawnych ograniczeń prasy, dziennikarz rządowi posługiwać nie mógł bezwarunkowo, bo społeczność prenumerująca dzienniki była z rządem w rozdwojeniu. Więc dziennikarstwo zachowało dwójznaczne milczenie w tych ważnych chwilach, kiedy trzeba było rozsądkowi dać panowanie nad opinią publiczną. Ale był inny sposób do otwarcia pola odzywaniu się rozsądku. Oto trzeba było wydać konsensa na nowe dzienniki, a wymagać, aby w redakcyach stanęły korporacye reprezentujące prawdziwą inteligencyą, a nie samą tylko własność spekulanta. Bez naruszenia idei własności można było interes przedsiębiorstwa materyalnego postawić na drugim lub trzecim planie. To nie ulega wątpliwości, że w czasach wielkich poruszeń ludu spekulacya kapitalisty w swobodnem dziennikarstwie najgorsze wywiera wpływy na społeczność, potakując ciżbie. Dostojne dziennikarstwo istnieć może wtedy tylko poświęceniami obywateli, bo wielkie idee organizacyjne nie mogą wtedy być popularnemi. Trzeba było nietylko zwolnień, ale nowej organizacyi dla wyzwolonej z ciasnych szranek prasy. Rząd w rokowaniach z komitetami nic się nie dowiedział o stanie umysłów w kraju, a rokowaniem swojem ośmielał masy, które ostatecznie miał przecież zamiar wprowadzić na grunt legalny. Otóż, otwierając pole dziennikarstwu zorganizowanemu, byłby dowiadywał się dokładniej o duchu społeczności, bez ośmielenia mas do nieustających gminoruchów. W pierwszych zaraz dniach marca trzeba było użyć tego środka i założyć swój organ, który założono już w porze dość spóźnionej“.

krotnie się już odzywał, wszelako była to złudna nadzieja i nieznajomość rządu rosyjskiego. Przekonać się miał wkrótce, że „Dziennik“ we wszelkich kwestyach „pozostał sam jeden i sam jeden przemawiał“, bo innym cenzura nie pozwalała się odzywać. Ale, mówiąc szczerze, w tem upartem staraniu się margrabiego o utworzenie organu urzędowego mniej szło o interesa krajowe, jak zadośćuczynienie własnej żyłce dziennikarskiej, jaką miał w sobie Wielopolski. Tak jak zawsze, ilekroć się zdarzyła potemu sposobność, chętnie stawał przed kratkami sądowemi, by odegrać rolę adwokata, tak jak zawsze rad był wygłaszać mowy, w gruncie rzeczy zgryźliwe i komuś „dające się we znaki“, tak samo lubiał polemizować, spierać się, walczyć na pióra, jak tego dał dowody w swej zjadliwej kłótni z Olrychem Szanieckim o majorat i z literatami warszawskimi o zapis Świdzińskiego. Już wtedy w polemice tej wyraził żal, że nie posiada własnego dziennika, więc teraz, gdy miał władzę, uparcie zabiegał o to, by posiąść taki dziennik, mieć możność do walczenia, do zadawania razów nielubianym osobom na prawo i lewo. Mylił się tylko w tem, że to co jest dozwolonem osobie prywatnej, nie jest takiem dla męża stanu, dla człowieka stojącego u władzy i wkrótce sam się miał przekonać, jak śmiesznym się staje minister, rozpisujący się z powagą i namaszczeniem o grze takiej lub innej aktorki. W ogólności więc założenie „Dziennika powszechnego“ nie miało nic wspólnego z interesami kraju i szkodę mogło tylko tym interesom uczynić. Ponieważ sam Wielopolski nie mógł się podpisywać na „Dzienniku“, więc trzeba było kogoś z literatów postawić na czele pisma. Ale teraz pokazały się dopiero trudności takie same, jakie we wszystkich swych krokach, na każdem polu swego działania napotykał margrabia. Żaden z ówczesnych wybitniejszych, a dla Wielopolskiego możliwych dziennikarzy i literatów warszawskich, redakcyi organu urzędowego podjąć się nie chciał. Choć pensya była, jak na owe czasy, dość wysoka, bo wynosząca 12.000 złp. nikt się na nią nie złakomił. Proponowano redakcyą osobistościom, zajmują-

cym pewne urzędowe stanowiska, jak Kazimierzowi Kaszewskiemu, ale odmówił [1]); proponowano Lewestamowi, i nawet ten, choć go Polska nic nie obchodziła, a dla grosza wiele rzeczy gotów był zrobić, podjąć się redakcyi nie chciał. Wobec tego musiał Wielopolski brać to co się nadarzyło i powierzył redakcyą Fr. M. Sobieszczańskiemu, człowiekowi dobremu, ale umysłowo miernemu i nie mającemu ani odrobiny nawet talentu dziennikarskiego. Wyborny znawca archeologii i starożytności, zwłaszcza warszawskich, szperacz sumienny i zamiłowany w przedmiocie, nie cieszył się zbyt dobrą opinią przez to, że był cenzorem i człowiekiem nader usłużnym dla rządu. Objęcie redakcyi „Dziennika“ miało go do reszty dobić w opinii; gazecie nie przyniósł on żadnej korzyści, gdyż jak powiadamy, nie posiadał ani talentu, ani temperamentu, ani rutyny dziennikarskiej. Wniósł on tam tylko sumienność i pracowitość, dwa przymioty zapewne bardzo szacowne, ale mające drugorzędne znaczenie w rzemiośle dziennikarskiem. Do pomocy dodano mu Józefa Aleksandra Miniszewskiego, pisarza z dużą zdolnością, który niemałą sobie sławę zyskał swemi powieściami, wydawanemi pod pseudonimem Cześnikiewicza, ale człowieka o charakterze lichym

[1]) Wielopolski szukając redaktora zasięgnął rady Sobieszczańskiego i ten mu wskazał Kaszewskiego, do którego wysłano najprzód drukarza Józefa Ungra, który miał drukować u siebie „Dziennik“, a z Kaszewskim żył w przyjaźni. Kaszewski jednak odmówił, utrzymując, że nie czuje się na siłach do prowadzenia redakcyi. W parę dni później w tej samej kwestyi zgłosił się Przystański, urzędnik Komisyi oświecenia i nauczyciel szkolny, a gdy i to nie skutkowało, zjawił się w imieniu margrabiego Józef Korzeniowski. Ofiarowano Kaszewskiemu 12.000 złp. i mieszkanie, byle tylko dał swój podpis, czuwał nad układem i czystością języka. Korzeniowski przytem groził, że margrabia odmową może się obrazić i dać Kaszewskiemu uczuć to dotkliwie. Ten jednak stale odmawiał i prosił Korzeniowskiego, by odmowę jego upozorował brakiem rutyny redaktorskiej i zdolności dziennikarskich, i prosił, by wrazie potrzeby bronił go, co w rzeczy samej Korzeniowski zrobił. Wtedy dopiero za poradą tego ostatniego powołano Sobieszczańskiego, który, jak się zdaje, robił pewne zabiegi o to stanowisko.

i mającego opinią bardzo zaszarganą. Niegdyś należał on do t. z. „cyganeryi literackiej“, siedział jakiś czas, koło r. 1848, w cytadeli, był zagranicą, gospodarzył na wsi, a w r. 1858 objął wraz z Aleksandrem Niewiarowskim redakcyą „Gazety codziennej“, której używali obaj na to, by wyzyskiwać wszelkim sposobem ludzi [1]). Dzięki temu uchodził za człowieka bez zasad i bez moralności, gotowego wszystko zrobić i każdemu się sprzedać. W początkach manifestacyi, Miniszewski przywdział sukmanę chłopską i uchodził za mocno czerwonego i demagoga. Wezwany teraz do redakcyi „Dziennika“ stał się nagle bardzo umiarkowanym, bardzo chłodnym i trzeźwym, ubrał się we frak i cylinder; człowiek z talentem bez zaprzeczenia, ale charakteru żadnego. Wielopolski doskonale zapewne wiedział o tem; czuł że ani Sobieszczański, ani Miniszewski nie przynoszą zaszczytu nowemu pismu, ale gdy nikt inny podjąć się redakcyi nie chciał, zmuszony był do nich się uciec. Smutna konieczność, świadcząca jak dalece margrabia był w kraju odosobniony.

Dziennik począł wychodzić od 1-go października w wielkim formacie, jakiego dotąd żadne pismo polskie nie miało. W numerze pierwszym margrabia powrócił do raz już podniesionej kwestyi, to jest do wykładu powodów powstania „Dziennika“. Widocznie powody te nie musiały być zbyt jasne, kiedy tak często starał się je usprawiedliwiać. „Jeżeli kiedy, pisał, to zaprawdę w obecnych czasach reformy i przekształcenia tylu stosunków niezbędną jest rzeczą, aby Rząd posiadał właściwy potemu i swój własny organ, w którymby mógł prowadzić ciągle i w sposób siebie godny obronę sprawy swojej, będącej zarazem sprawą kraju i porządku, a przytem w miarę potrzeby prostować i zbijać

[1]) W piśmie „Demokrata polski“ z d. 28 października 1858 r. czytamy o obu tych panach co następuje: „mając na swe rozporządzenie szpalty gazety, która zaczęła obudzać uwagę publiczności, Niewiarowski i Miniszewski nadali jej charakter pamfletu i kartelu, i przyszło w końcu do tego, że napadali na ludzi i magazyny i jak piraci greccy żądali okupu, a w razie przeciwnym grozili artykułem.

mylne a często fałszywe wiadomości, po pismach zagranicznych co do kraju naszego od niejakiego czasu uporczywie, a poniekąd systematycznie rozgłaszane". Dalej mówi, że dziennik taki przez podanie sposobności swobodnego a umiarkowanego, na prawdzie opartego rozbioru działań publicznych, może wpłynąć na „uzacnienie" dziennikarstwa krajowego; przyczynić się może do wyprowadzenia na jasność sił umysłowych, po kraju rozrzuconych, a „sprawie porządku przyjaznych", przez nadsyłanie artykułów; tym bowiem sposobem władza poznawałaby te siły i zdolności.

W ogólności sam Wielopolski pisał dużo do „Dziennika", swym stylem ciężkim i częstokroć zawiłym, dając tym sposobem folgę swej nieszczęśliwej żyłce dziennikarskiej. Zwłaszcza zabierał głos chętnie w sprawach teatru, domagał się w nim reformy, gdyż dotąd sceny „wszystko obracają na zewnętrzną wystawność"; narzekał, że dają tylko liche komedye tłomaczone, a natomiast nie wystawiają dramatów historycznych i tragedyi, zapominając, że za Muchanowa cenzura na to nie pozwalała. W skutek tego, pisał dalej, teatr zamiast podniesienia i uzacnienia ludu „pozostawia w umysłach próżnię opłakaną, w której wzrósł chwast obłędów i uprzedzeń". Uważał więc reformę teatru niemal za tyle ważną, ile reformę szkół, zaznaczał jednak, że siły, jakie wówczas reprezentowały teatr warszawski, nie są w stanie podołać tej reformie.

Nie poprzestał jednak na tem. Ten przepełniony pychą umysł sądził, że się na wszystkiem zna. Gdy skutkiem jego woli wystawiono w teatrze „Horacyuszów" Kornela, w przekładzie Osińskiego, napisał do „Dziennika" o tem przedstawieniu sprawozdanie, tym właściwym sobie stylem patetycznym i ciężkim. „Imię wielkiego tragika, wołał, polszczyzna lepszych czasów, wspaniały tok wiersza, odrazu temu wystawieniu pewną wysokość nadały". Narzekał na przesadę w grze: „zdawało się, jakoby aktorowie w tej krótko odegranej scenie usiłowali ściągnąć trzydziestoletnią zaległość wyższych dramatycznych natchnień". Pociesza się

tem, choć to nie było prawdą, że w teatrze coraz więcej osób bywa, że „oczyszczona atmosfera w świątyni sztuki dramatycznej stać się może lekarstwem na hipokondryczne dzisiejsze usposobienie“.

Jakkolwiek artykuły te nie były przez Wielopolskiego podpisane, wiedziano jednak dobrze, że one są jego pióra, i poczęto szydzić z męża stanu i ministra, zajmującego się z powagą i namaszczeniem grą aktorek i aktorów teatralnych. Na dobitkę, Miniszewski rozpoczął w odcinku, „Dziennika“ drukować swe „Listy“, kreślone piórem ciętem ale zjadliwem i nie oszczędzającem żadnej słabostki ludzi ówczesnych. W pierwszym z tych listów, mówiąc o odwadze cywilnej, zaznaczał, że cnoty tej niema u nas wcale, że wyrobić się nie mogła, bo „obywatele, zamknięci w sferach kółka rodzinnego, rozrosnąć się mogli sercami tylko“; że brak jest w kraju umysłów wyższych, że tchórzostwo jest powszechnem, że jest ono cechą dusz małych i lenistwa, pozbawionego wszelkiej ambicyi męzkiej. Jeżeli tak dalej będzie, to burza może wysadzić z fundamentów budowę społeczną.

Wszystko to czytano chciwie, szydzono z Wielopolskiego, odgrywającego rolę recenzenta teatralnego, oburzano się na Miniszewskiego, który w żadnym razie ani przez swój charakter, ani przez swą przeszłość nie miał prawa tak przemawiać. W ogólności „Dziennik“ zamiast wywierania dodatniego, jak to marzył Wielopolski, wpływu, owszem stał się jedną z podniet niepokoju w umysłach i sercach.

Wśród takich to działań, wśród rozwiewających się złudzeń, zbliżał się termin wyborów do Rad miejskich i prowincyonalnych. Dla Warszawy naznaczone one były na dzień 23 września. Podczas kiedy stronnictwo białych, a właściwie mieszczaństwo warszawskie zdecydowane było bądź co bądź przeprowadzić wybory, czerwieńcy rozdrażnieni „umizgami Targowicy do Moskali“, jak mówili, postanowili wszelkiemi siłami przeszkodzić temu. W kółku Korzeniowskiego wrzało jak w garnku; namiętności poli-

tyczne dochodziły do swej pełni. Szachowski, ów domorosły maleńki Maracik polski, odgrażał się, że w ostateczności kijami rozegna wyborców, że choćby mu przyszło jutro jechać na Sybir, zgnić w cytadeli, to nie zezwoli na to, by przeciwnicy i zaprzańcy tryumfowali. Zapowiadał, że napadnie na biura wyborcze i rozpędzi je na cztery wiatry.

Wieść o tych pogróżkach ultraczerwieńców rozbiegła się po mieście i w sferach umiarkowanych, wśród mieszczaństwa warszawskiego wywołała pewne obawy. Wszak czoło tego mieszczaństwa stanowili byli członkowie Delegacyi, a ci doskonale pamiętali zamach Nowakowskiego na Resursę kupiecką i wiedzieli, do czego zdolni są czerwieńcy. Naradzano się więc co robić, starano się wpłynąć na młodzież czerwoną, trafiono nawet do redakcyi „Strażnicy“, chcąc przez nią oddziałać na rozgorączkowane umysły. „Strażnica“ dzięki temu przechyliła się na stronę umiarkowanych. Zrazu, na parę tygodni przed wyborami, dość chłodno tę rzecz traktowała. „Kwestya wyborów do Rad gubernialnych, powiatowych i miejskich, pisała, porusza obecnie umysły, czy odrzucić to nieszczere i ułudne ustępstwo, czy też je przyjąć jako grunt administracyjny, na którym cnota obywateli może co dnia stawać do walki z nadużyciami najezdniczego rządu? Ludzie dobrej woli, pragnący pomyślności kraju, radzą zająć się wyborami i w ręce zacnych obywateli złożyć mandaty. Ciężkie zadanie wybranych, ale dla miłości ojczyzny do każdej ofiary powinniśmy być gotowi“ [1]).

To chłodne swoje stanowisko, uważające przyjęcie mandatu za ciężką ofiarę dla ojczyzny, powoli, pod wpływem umiarkowanych, „Strażnica“ zmieniła na gorące popieranie wyborów. Nieomal w ich przeddzień (nr. 7 z soboty d. 21 września, a wybory naznaczone były na poniedziałek d. 23 września), wystąpiła z artykułem, w którym między innemi powiedziano: „...musimy koniecznie przystąpić do zbliżających się wyborów do Rad miejskich,

[1]) Nr. 5 z d. 2 września.

powiatowych i gubernialnych, aby wprowadzić do nich zacnych, kraj miłujących, którzyby sprawę narodową mieli na oku, w przeciwnym bowiem razie rząd najezdniczy przeprowadzi swych kandydatów, którzy, zasłonięci mandatami, paraliżowaliby dążności kraju"; powiada, że „kraj tego wymaga, przyszłość nakazuje", że „uczucie nie jest polityką a namiętność może nas zgubić"; że „skandal i rozerwanie stałoby się pociechą dla nieprzyjaciela, a dla nas wstydem i hańbą, gdyby nawet tak wielkie jak dziś podniesienie ducha narodowego zjednoczyć nas nie potrafiło". Kończy wezwaniem: „kto wierny syn ojczyzny, ten niech do zgody w dziele tak ważnem dla przyszłej kraju organizacyi rękę przyłoży". Numer ten odbito w bardzo wielkiej ilości egzemplarzy i rozrzucono po całej Warszawie i kraju[1]), licząc na to i słusznie, że uwagi wygłaszane przez pismo tajemne, a zatem otoczone urokiem niepospolitym, największy wpływ wywrą na umysły sfer rzemieślniczych i kupieckich Warszawy, które najliczniejszy kontyngens wyborców miały dostarczyć. „Gazeta Warszawska", zawsze chętnie czytana przez szlachtę, starała się także wykazywać korzyści wyniknąć mogące z wyborów i zachęcała do wzięcia w nich udziału. Prócz tego ukazała się odezwa litografowana, napisana bardzo dobrze, piórem wytrawnem i zdolnem, dodatnio odróżniająca się od tego potopu lichych i bombastycznych elukubracyi, jakie w tej porze się pojawiały. „W chwili tak ważnej jak dzisiejsza, mówi odezwa, to, na co większość się zgodziła, staje się prawem dla wszystkich. Kto się lekkomyślnie z niego wyłamuje, kraj w przepaść popycha"; że „wybory do Rad nie są reformą dotyczącą naszego bytu politycznego, ale tylko ulepszeniem administracyjnem, z którego korzystać, które spotrzebować powinniśmy. One nas nie uśpią, ale dodadzą

[1]) Dzięki temu jest on też do dziś dnia najpospolitszy. Podczas kiedy numera 1, 6 i inne są prawdziwą rzadkością bibliograficzną, nr. 7 napotkać można w każdym nieomal zbiorze druków z tej epoki. Numer ten zresztą w całości przedrukował Giller (Historya powstania II., 110).

sił do działania i życia“; że „protestacye przeciw tym rozporządzeniom podniosłyby je do znaczenia reform, którego one nie mają, a w oczach świata dałyby nam pozór ludzi nie umiejących korzystać z położenia i politycznie niedojrzałych“; że „kraj przedewszystkiem wymaga organizacyi, poznania się, zbliżenia i wspólnej, jednolitej, choć w różnych kierunkach pracy. Rady w swym zakresie nie dają możności szerokiego działania, ale ważnemi się staną, jeźli do nich wybierzemy ludzi silnej woli, żelaznej pracy i kraj nad wszystko miłujących“.

Nie poprzestano jednak na odezwach, ale wydawano i rozpowszechniano broszury [1]), oraz rozpoczęto czynną agitacyą w klasach rzemieślniczych w imię porządku. Postanowiono nawet w razie napaści na biura wyborcze, siłą dać odpór. W tym celu za staraniem znanego już nam Marcina Borelowskiego, który jak wiemy zajmował się przed paru miesiącami drukowaniem i rozsyłaniem „odezwy mieszkańców Warszawy“, mającego później zasłynąć jako dowódzca oddziału powstańczego pod pseudonimem Lelewela, zdołano zgromadzić przeszło tysiąc rzemieślników, którzy, zająwszy posterunki przy biurach wyborczych, mieli siłę siłą odeprzeć [2]). Starano się także drogą perswazyi oddziaływać na młodzież czerwoną, ale to nie na wiele się przydało. Młodzież ta przekonać się nie dała. Wyćwiczeni

---

[1]) Ukazała się np. broszura litografowana p. t. „Co mam z tym fantem robić, co go trzymam w ręku?“ (według *Pawliszczewa*, Siedmicy I., 77, miał ją odlitografować Fleck, za co za czasów Lüdersa wysłany został do gubernii Tomskiej). Zachęcała ona do przyjęcia reform i wzięcia udziału w wyborach do Rad miejskich i prowincyonalnych. Druga broszura p. t. „Tak lub nie“, także przemawiała za uczestnictwem w tych wyborach. Z powodu, że w broszurze tej jest mowa, iż przyczyną ucisku w Polsce są Prusacy nie rząd rosyjski, oraz że autor wyraźnie zapowiedział, że mu „wszystko jedno czy go wieniec męczeński od wrogów, czy kocia od rodaków spotka muzyka“, przypisywano ją powszechnie Wielopolskiemu, co jest jednak bardzo wątpliwem. Miały być jeszcze innne pisma przygodne w sprawie wyborów, ale tych nie znamy.

[2]) *A. Giller*, Historya powstania narodu polskiego II., 113.

w szkole Mierosławskiego, napojeni najskrajniejszemi teoryami, uważali rozum i rachunek za rzecz zbyteczną i pamiętali tylko o tem zdaniu swego mistrza, że kto inaczej jak oni myśli jest zdrajcą i dlatego w żadne z nim rozprawy wdawać się nie należy. Naśladując we wszystkiem „jenerała Ludwika“, byli oni, podobnie jak ich prototyp, niesłychanie zarozumiali i w tej zarozumiałości sądzili, że do wszystkiego są zdolni, że bez nauki i doświadczenia mogą być ministrami, wodzami, zbawcami narodu. Strasznem to nieszczęściem dla kraju byli ci „politycy bez wąsów“, jaki ich zwie jeden ze współczesnych, tem straszniejszem, że środka prawie na nich nie było. Nie dając się przekonać, nie słuchając uwag umiarkowanych, na odezwy poczęli odpowiadać odezwami, na agitacyą także agitacyą. W odezwach tych odrzucali oni wybory, odrzucali wszelki rozwój systematyczny sił narodowych, a w ciągłej agitacyi jedyne zbawienie ojczyzny upatrywali. W rzędzie tych odezw, jedna, zaczynająca się od słów: „narodzie, baczność!“ wzbudziła powszechne rozweselenie w Warszawie z powodu swego stylu bombastycznego, niefortunnie naśladowanego z Mierosławskiego, i nazwana „odezwą o czartowskich powidłach“, gdyż tego rodzaju wyrażenie w niej się mieściło. Autorem tej śmiesznej elukubracyi był niejaki Ignacy Kwiatkowski [1]), o którym zresztą nic więcej nie wiemy. Przemawia on do „dęborywnych rzemieślników“, do „starosławnych i utajonych w swej nędzy chłopów“, do „dwudziestomilionowej nędzy“, nagania dotychczasową jedność, potępia usiłowania Delegacyi i nazywa zdrajcą, „co w wilczy dół“ stara się wprowadzić, każdego, kto domaga się cichej pracy organicznej, i tak kończy: „narodzie miej węch dobry, abyś dusze mógł węszyć. Pamiętaj, że wąż nie pod nogą, ale w zanadrzu szkodliwy, że pan w Polsce, to wrzód w ciele. Jednego tylko znaj pana, Tego co światem rządzi wiekuiście. Nie daj radzić pod batem, bo to moskiewskie byłyby rady. Żadnych łask od katów nie przyjmuj. Idź,

[1]) *N. Berg*, Zapiski, 344.

gdzie cię gna wicher Boży! idź, aż na zegarze wieczności wybije godzina, w której powstaniesz jakoby mąż wielki, obejrzysz się dokoła, porwiesz żelazo, kamień, kół i jednym zamachem, na wiek wieków pamiętnym, z szarańczy, co twe ziemie obżera, zrobisz powidła, które czarci na swe piekielne biesiady zabiorą".

Śmieszna to odezwa, powtarzamy, rozweseliła Warszawę, i najwięcej się może przyczyniła do tego, że zamiary czerwieńców rozbicia wyborów nie przyszły do skutku. Już teraz nikt z rozsądniejszych ludzi nie mógł iść za głosem stronnictwa, które tak nierozumnie i dziecinnie przemawiało. Poza tem zresztą Warszawa przedstawiała w przeddzień wyborów obraz niezmiernie ożywiony. Była to niedziela, dzień piękny, ciepły, jesienny, i kto mógł tylko wyszedł na ulicę, gdzie tłoczyły się tłumy ludu, wyborców i niewyborców, rozprawiano, spierano, gapiono się i włóczono z kąta w kąt. Co chwila ogólną uwagę zwracał na siebie brudny i oberwany chłopiec z paczką odezw pod pachą, z garnkiem klajstru i pędzlem w ręku. Wszyscy biegli za nim, na róg ulicy, gdzie naklejona nowa odezwa odczytywaną była głośno, wywoływała spory, najróżnorodniejsze zdania dopóty, dopóki ktoś ze stronnictwa przeciwnego odezwy tej nie zerwał i dopóki na jej miejsce nie zjawiła się nowa, w duchu całkiem przeciwnym tamtej skreślona. Stronnictwo najczerwieńszych, kółko Korzeniowskiego spostrzegło, że jest całkiem pobitem; nikt z nim nie chciał już teraz nawet gadać; za to nie przestawano wieść pertraktacyi ze stronnictwem nieco umiarkowańszem, rozsądniejszem, z Majewskim, Godlewskim i innymi, którzy także nie chcieli wyborów, choć nie mieli zamiaru w oporze swoim posuwać się do ostateczności. Wreszcie zgadzali się oni na wybory, na przyjęcie tym sposobem reform, a co zatem idzie, „paktowanie z najazdem", ale pod warunkiem, że przy wyborach zredagowane będą dwa adresy, dwie petycye raczej, jedna do Rady stanu z żądaniem równouprawnienia żydów, druga do namiestnika, domagająca się dla Królestwa reprezentacyi narodowej. Mieszczaństwo

biali, zgadzali się na to, ale nawzajem domagali się, by odtąd wszelkie manifestacye, nabożeństwa, śpiewy, ustały, jako nieprowadzące już do niczego, a mogące tylko rząd rozdrażnić. Dobrze, odpowiadano im, przestaniemy manifestacyi i nabożeństw z tym wyjątkiem, że odbędziemy jeszcze tylko jedno, d. 15 października, w dzień śmierci Kościuszki, gdyż należy się oddać cześć bohaterowi narodowemu [1]).

Stanął więc pakt, w którego trwałość żadna strona nie wierzyła, i który zawierano z zamiarem niedotrzymania go wcale. Wieść o zamiarze pisania adresów doszła do rządu i wywołała tam wielkie zaniepokojenie [2]). Niemniej niepokojono się bardzo samymi wyborami. Ożywienie panujące w mieście, tłumy snujące się po niem, chaos i wrzawa powszechna, dawała słuszny powód do tego niepokoju, choć rząd do niczego się nie mięszał i niczemu nie przeszkadzał [3]). Szlachetny i pragnący bądź co bądź uspokojenia kraju Lambert sądził, że raz wprowadzone w życie ciała, z wyborów pochodzące, przyczynią się do tego uspokojenia; więc postanowił nie przeszkadzać w niczem wyborom i nie mięszać się do nich, żeby nie powiedziano, iż pod presyą rządową zostały one dokonane. Dzięki temu lud warszawski mógł się włóczyć po ulicach i wypowiadać swobodnie swe zdania, mogli je również głosić tak czerwoni jak i biali.

Nadszedł nakoniec dzień 23 września, oznaczony na wybory [4]). Poprzednio już przygotowano listy wyborcze,

[1]) Z relacyi współczesnych.

[2]) Depesza Lamberta z d. 8 (20) września.

[3]) W zbiorze depesz, wydrukowanych w „Russkiej Starinie“ (z r. 1883) brak zupełny depesz z doby wyborów. Ostatni przed wyborami telegram jest z dnia 21 września, a zaraz następny jest dopiero z d. 9 października. Jest więc przerwa, obejmująca przeciąg czasu przeszło dwutygodniowy, z którego żadnej depeszy nie pomieszczono. Co jest powodem tego braku, nie wiemy.

[4]) *N. Berg*, Zapiski, 345, oznacza pierwsze wybory na dzień 19 września i za nim poszli wszyscy piszący o tych wypadkach. Jest to jednak pomyłka; przekonać się o tem łatwo można z ogłoszeń po dziennikach współczesnych.

głównie za staraniem, znanego nam z czasów Delegacyi warszawskiej, kupca Józefa Kwiatkowskiego, które to listy wydrukowano i rozesłano wyborcom bardzo szybko, w ciągu jednej nocy [1]). Pierwsze wybory miały się odbyć w cyrkule policyjnym 2-im, w salach ratusza miejskiego, i w cyrkule 10-ym, w salach Akademii medycznej, w b. pałacu Staszica na Krakowskiem Przedmieściu. Rzemieślnicy zgromadzeni przez Borelowskiego stanęli na swych miejscach, a prócz tego wydelegowano do ratusza ks. Steckiego, a do pałacu Staszica księdza Wyszyńskiego, żeby wrazie napadu czerwonych starali się na nich wpłynąć przewagą swej popularności. Ks. Stecki przez cały dzień prawie chodził przed ratuszem i błagał wszystkich idących tamże, by nie dopuszczali się nieporządków. W cyrkule 2-im przewodniczącym w wyborach naznaczony został prezydent miasta Andrault, komisarzem rządowym członek senatu Łącki; w cyrkule 10-ym przewodniczącym był radny magistratu Jeska, a komisarzem rządowym jenerał margrabia Paulucci. Przed samymi wyborami czerwieńcy odprawili uroczyste nabożeństwo w kościele św. Krzyża „za pomyślność i jedność doli Kongresówki z krajami dawniej do Polski należącymi, a przez Moskwę zabranymi“. Odbywszy to nabożeństwo wylegli na plac Kopernika pod wodzą Korzeniowskiego, Szachowskiego i innych. Tu już zgromadził się tłum kilkutysięczny tak wyborców jak i wszelkiej gawiedzi, tłoczącej się wszędzie tam, gdzie jej rozprożniaczony umysł może znaleść jaką rozrywkę. Czerwieńcy przybyli tutaj z drukowaną nową odezwą, noszącą szumny tytuł: „mandat ludu do wyborców“. Ten „mandat“, zredagowany przez Apolla Korzeniowskiego, nazywał ustawę wyborczą „szyderską odpowiedzią na adres podany w miesiącu lutym“, „zamachem na jedność i zgodę w ruchu narodowym“, „oszukań-

[1]) Były to małe kartki z szarego papieru, na których wydrukowano imię i nazwisko kandydata na członka Rady miejskiej z oznaczeniem cyrkułu właściwego. W zbiorach dokumentów współczesnych bardzo często spotkać się można z temi kartkami.

stwem administracyjnem“, „nicością“, „sidłem, w które ułowione Królestwo Polskie rozbrat bierze z rodzonemi ziemiami swojemi Litwą i Rusią, dla których i tych nawet sideł nie raczy rząd rosyjski zastawiać“; odwoływał się do wyborców, że „nie shańbią Polski, nie wyrzekną się Litwy i Rusi“. „Wierzymy wam zacni mężowie, brzmi dalej mandat, szanujemy was, ale wierząc i szanując, nie chcemy nielicznego grona waszego zostawiać bez poparcia. Głos ludu potęgą swoją was popiera, możemy więc śmiało powiedzieć: wola narodu nam prawa dyktuje, tylko więc siła bagnetów wykonać to prawo przeszkodzić nam może“. Domagał się więc, by następne desiderata przedstawiono rządowi: „1) że ustawa wyborcza nie odpowiada żądaniom, ani zadawalnia pragnień narodu polskiego; 2) że ustawa wyborcza najlepsza nawet, ale tycząca się tylko Królestwa kongresowego, obraża bratnie i narodowe uczucia dla Litwy i Rusi; 3) że Królestwo tylko w połączeniu z Litwą i Rusią w całej swej politycznej i administracyjnej doli może wyczekiwać od Boga przeznaczonych im losów; 4) że, dopóki na Litwie i Rusi nie ustaną prześladowania, dopóty Królestwo kongresowe cierpieć i w cierpieniu niespokojnie drgać musi; 5) że wypowiedzenie woli narodu jasne, zrozumiałe i szczere zależy tylko od powołania wszystkich jego żywiołów do wydania tego głosu“. Wreszcie mandat odzywa się do wyborców w tonie wysoko podniesionego patosu: „zaklinamy was, wydajcie głos nasz ze swych męskich piersi; a jeśliby, czego Boże nie dopuść, zginąć za ten głos było potrzeba, to przed wami wszystkie nasze piersi stać będą i usta nasze wołać nie przestaną aż do skonu: Polska, Litwa, Ruś i cała ojczyzna!“ [1]).

Mandat ten rozrzucono pomiędzy lud, który oczywiście bezmyślny, jak wszelki tłum, nie wiedział co robić i wahał się wobec tego przystępować do wyborów. Większość w obawie o dobro kraju, w szczerej intencyi pa-

[1]) Mandat ten w całości czytać można w *Gillera* „Historyi powstania nar. pol.“ II., 113.

tryotycznej, stawiała sobie pytanie: kto wie, może mandat ten ma racyą? może wybory będą prostą zdradą kraju? Poczęto więc domagać się, by ukazał się pan Andrzej Zamoyski, który, jako mieszkający w cyrkule 10-m, znajdował się w sali Akademii między wyborcami. Żądano, by dał objaśnienia. Pan Andrzej wyszedł w towarzystwie ks. Wyszyńskiego i zapytał czerwonych: czego chcą? Korzeniowski podał mu drukowany „mandat“, domagając się, by postawione w nim desiderata były wykonane. Ale pan Andrzej mandatu tego przyjąć nie chciał i tonem chłodnym odrzekł, że teraz nie może żadnych i od nikogo mandatów przyjmować, że wszystko, co należy, zostało zrobione i rozpatrzone ze wszech stron, że nikomu nie wolno teraz ani zmienić kierunku, ani odwołać wyborów.

Słowa te nadzwyczajnie nie podobały się czerwieńcom. Szachowski rozgorączkowany wskoczył na jakieś krzesło, stojące w pobliżu posągu Kopernika, i głosem grzmiącym począł pośpiesznie odczytywać „mandat“. Wśród tego czytania z pośrodka tłumu odzywały się głosy: „dobrze mówi, doskonale mówi, ma racyą, dzielnie mówi!“ Ale gdy skończył, miał zaraz się mały Maracik polski przekonać, jak zmienne są opinie tego ludu, w którego imieniu on niby przemawiał. Wystąpił bowiem teraz na krzesło pan Andrzej, ze swą wysoką, szczupłą, arystokratyczną i chłodną figurą, i począł mówić za wyborami. Walka dwóch młodych ludzi, mało komu znanych, z popularną osobistością pana Andrzeja, była nierówną. Jego wszyscy znali, wiedzieli kto on jest, a dla rzemieślnika i mieszczanina warszawskiego zawsze wielki urok ma tytuł, imię historyczne i majątek. To też gdy pan Andrzej, kończąc swą mowę, zawołał: „kto chce prawa i porządku, szanować prawo i porządek powinien“, przyczem, zwracając się do Szachowskiego, wskazał na tłum słuchający mówcy z zapałem i rzekł: „oto jest lud, który ze mną staje do wyborów; pokaż mi pan swój lud, który wyborów nie chce“, rozległy się oklaski, głosy aprobaty, okrzyki: „niech żyje hrabia Andrzej! wiwat Andrzej Zamoyski! my tylko pana

słuchać będziemy!“ Wielu w uniesieniu, łatwo ogarniającem duszę polską, ilekroć idzie o ojczyznę, rzucili się ku panu Andrzejowi i poczęli go całować po rękach i nogach.

Zwycięstwo więc ze strony partyi mieszczańsko-białej było zupełne i niezaprzeczone. Szachowski zmięszany wsunął w rękę Zamoyskiemu swój nieszczęśliwy mandat i rzekłszy: „lud wykonał swój obowiązek“, odszedł. Wybory rozpoczęły się bez żadnej przeszkody i wybrano nieomal jednomyślnie (na 835 wyborców, 821 głosów) na członka Rady p. Andrzeja hr. Zamoyskiego, oraz jenerała Jakóba Lewińskiego (741 głosów), na ich zastępców: Telesfora Szpadkowskiego, mularza (708 głosów) i pastora luterskiego Ludwika Otto; w cyrkule 2-gim ks. Józefa Wyszyńskiego i Stanisława Hiszpańskiego, na ich zastępców Dra Adama Helbicha i Jana Grabowskiego. Nie obeszło się jednak bez tego, by czerwoni nie starali się zakłócić porządku. W cyrkule 10-tym znalazło się np. dwanaście kartek z nazwiskami Mierosławskiego i Wysockiego na radców, na ich zaś zastępców: Garibaldiego i Henryka Dąbrowskiego. To samo działo się w ratuszu, gdzie znalazł się między wybranymi Klapka. Ale w niczem to nie naruszyło sforności i ładu; przy odczytywaniu tych nazwisk rozlegały się tylko wybuchy śmiechu wesołego...

Wieczorem tego samego dnia J. I. Kraszewski wystąpił w „Gazecie Polskiej“ z artykułem silnie piętnującym czerwieńców. „Kilku ludzi, pisał, maluczka garstka, chcąca nazywać się ludem, do czego ani wiek, ani zasługi prawa jej nie dają, usiłowała zakłócić harmonią powszechną, stając z żądaniami przed salą wyborczą w sposób niewłaściwy. Nie wchodzim w treść tych żądań, lecz postawienie ich w tej chwili uważamy za środek użyty do zerwania wyborów, które ogromna większość kraju za potrzebne uznała. Przeciwko środkom takim ludzi, nie umiejących złożyć w ofierze na ołtarzu kraju swych idei i niewczesnego zapału, jak najmocniej się oświadczamy“. „...Wywołać zgiełk, pokryć żądania imieniem ludu, który ma

głęboką wiarę w dobre chęci każdego, jest bardzo łatwo, jak łatwo jest niszczyć i szkodzić; lecz budować i starać się o przyszłość jest trudniej daleko". W dalszym ciągu domagał się, „by nierozważny czyn kilku zagorących ludzi nie przerywał pracy ogółu"; wołał, że nie rozumie „uporu wbrew poczuciom wszystkich, stojącego przy swoich pojęciach, choćby je najdrożej okupywać przyszło"; uczył czerwieńców, że „wszędzie i zawsze ogół stanowi i zdanie jego poszanowanem być musi". W końcu jednak wobec zwycięstwa umiarkowanych pocieszał się, że „kraj, pojmując swe zadanie, dla namiętnych objawów nie poświęci istoty i pójdzie drogą pracy, którą dzisiejszy jego krok pierwszy mu wytyka".

Niestety! łudzono się i łudzono zbyt wcześnie; kraj wkrótce miał „dla namiętnych objawów poświęcić istotę". Zwycięstwo, odniesione teraz, było tylko zwycięstwem chwilowem. Zresztą zobaczono to zaraz, że czerwieńcy, odniósłszy porażkę, nie uważają się wcale za pokonanych. Ponieważ wybory miały trwać dalej po innych cyrkułach, a zwłaszcza na prowincyi do Rad powiatowych i gubernialnych (d. 23 września rozpoczęły się w okręgu Błońskim, w Grodzisku i Radomiu), więc Korzeniowski nie przestawał rozrzucać swego „mandatu", przekonany, że tym sposobem uda mu się choć w jednem miejscu zerwać wybory. Trzeba było temu przeszkodzić. W tym celu, w dniu 26 września, wydrukowano odezwę, będącą niejako odpowiedzią na „mandat", odezwę dźwięczącą źle ukrywaną nutą tryumfu i tonem zapożyczonym ze sławnej cesarskiej odpowiedzi na adres. „Rodacy! woła odezwa, w dniu onegdajszym garstka, złożona z kilkunastu ludzi, chciała sobie przywłaszczyć prawo odzywania się w imieniu ludu, ale opinia ogółu jednomyślnie i surowo przez usta najpoważniejszych swych przedstawicieli i głosem publicznym potępiła to niesumienne postępowanie. Garstka ta zowiąca się ludem, a chcąca stworzyć stronnictwo, okazała jawnie swą bezsilność moralną i liczebną i okryła się tylko śmiesznością. Mamy nadzieję, że po onegdajszej nauce przesta-

nie wypotrzebowywać (sic) imię narodu, i jeżeli zechce występować publicznie ze zdaniem swojem, wystąpi w charakterze pojedynczych obywateli, nie podpierając się uwiedzionymi fałszywą pogłoską tłumami“ [1]).

Ale już wszystkie te odezwy były całkiem niepotrzebne. Wybory wszędzie się odbywały bez żadnych zakłóceń [2]), co świadczyło, że czerwieńcy nie są ani tak

---

[1]) Odezwa ta w całości znajduje się w *Gillera* „Hist. powst. nar. pol.“ II, 116.

[2]) Wybory po większej części w Warszawie padły na członków byłej Delegacyi warszawskiej, albo na t. zw. inteligencyą miejską, co dowodzi, że stronnictwo mieszczańskie umiało koło swych spraw chodzić. W cyrkule III wybrano Dominika Zielińskiego, mechesa, znanego adwokata i żyda Ignacego Natansohna. W cyrkule IV, na ogólną ilość 529 wyborców, Matyas Rosen, znany nam bankier żydowski, otrzymał 393 głosy, Grabowski Józef 390 głosów; zastępcy ich Barciński Antoni, urzędnik żeglugi parowej, ożeniony z siostrą Szopena, 359 głosów, a Szmurło Augustyn, znany pisarz i pedagog, 350 głosów. W cyrkule V wybrano Preisa Aleksandra, urzędnika Towarzystwa Kredytowego Ziem. i Trzetrzewińskiego Augusta, mecenasa, b. członka Delegacyi, o którym mówiono, że pisał już konstytucyą dla przyszłego państwa polskiego. W cyrkule VI wybrany: Siwiński Edward, nauczyciel i literat, późniejszy członek Rządu Narodowego i Siekierski Ludwik, sędzia. Na zastępców Töplitz Henryk, żyd, i Hildt Ludwik, kupiec. W cyrkule VIII wybrano: Dra Chałubińskiego Tytusa i Kaszewskiego Kazimierza, literata. W cyrkule IX: Kronenberg Leopold, bankier i ks. Broniewski, prowincyał OO. Bazylianów. W cyrkule XII: Henryk Muklanowicz i Izrael Gesundheit, żyd; na zastępców: Andrzej Brzeziński, meches, głośny adwokat, oraz Jan Baranowski. Żydzi więc stosunkowo bardzo obficie byli reprezentowani w Radzie miejskiej i w większości wypadków wybrani zostali przez katolików. „Jutrzenka“ bowiem, znane nam już pismo polskie, dla żydów przeznaczone, ostrzegało swych współwyznawców, by przez „patryotyzm religijny“ nie wybierali radców tylko z pomiędzy siebie. „Nie wątpimy wcale, pisała „Jutrzenka“, że przy szczerych życzeniach służenia dobru ogólnemu zdołamy sobie w krótkim czasie przyswoić warunki do służby publicznej potrzebne; ale uczciwość nakazuje nam przyznać, że jak nateraz jesteśmy w niej nowicyuszami. Liczba mogących służyć z pożytkiem krajowi jest między nami mała, bo położenie nasze dotychczasowe nikogo prawie w tym kierunku nie kształciło, i nim

silni, ani tak wpływowi, by nie tylko walka z nimi, lecz i zwycięstwo nie było możliwe. Niestety! wysiliwszy się na chwilę na przeprowadzenie wyborów, nucąc pean swego tryumfu, stronnictwo białych zasnęło prędko na laurach i dozwoliło działać czerwonym, którzy, doznawszy porażki, nie uważali się za pokonanych, i nie myśleli wcale o złożeniu broni. Na prowincyi przy wyborach starali się oni także stawiać pewne przeszkody, ale usiłowania te w ogólności były słabe i bezskuteczne. Prowincya zapatrywała się we wszystkiem na Warszawę, więc skoro tam wybory doszły do skutku, to i tu inaczej być nie mogło. Wszędzie zresztą wybory te, tak samo jak w Warszawie, miały jeden charakter. Padły one na inteligencyą i żydów. W Piotrkowie na 12 radców wybrano trzech żydów, w Lublinie czterech, w Siedlcach pięciu. Nawet do Rad powiatowych tu i owdzie wybierano żydów (w Radomiu: Hersza Rosenblatta).

Jakkolwiek jednak rząd, pragnąc by wybory doszły do skutku, zachowywał się wobec nich neutralnie i w niczem nie przeszkadzał wszelkiego rodzaju agitacyi, zdarzył się przecież wypadek, świadczący jak dalece ograniczeni byli niektórzy naczelnicy wojenni, i jak dzikie instynkta w nich się pleniły. W Ostrołęce, dnia 23 września, gdy się zebrano na wybory, pułkownik Petrow, dowódca bry-

---

służyć potrafim, służby publicznej uczyć nam się potrzeba. Zwracamy dlatego na to uwagę naszych współwyznawców, aby czasem niejasne pojęcie powinności, wynikające z naszego odosobnionego położenia wśród współobywateli, nie chciało się objawić przez pewien patryotyzm religijny, że go tak nazwiemy, to jest, abyśmy przyzwyczajeni sami sobie wystarczać i teraz tylko wybierali z pośród siebie członków różnych Rad, utworzyć się mających. Popełnilibyśmy przez to nietylko błąd wielki, ale nawet grzech wobec kraju, który potrzebuje pracowników wytrawnych, z wymaganiami ogółu dokładnie obeznanych; a nas dotychczas najczęściej troska o utrzymanie tak wyłącznie zajmowała, żeśmy potrzeby kraju tylko ukradkiem śledzić mogli. Szukajmy dlatego członków do rad pomiędzy tymi, których i szczęśliwe położenie obywatelskie i ciągła potrzeba służenia ogółowi do pożytecznego działania dostatecznie wykształciły".

gady artyleryi, konsystującej w tem mieście, odbywał właśnie musztrę z działami. Spostrzegłszy liczny zjazd, otoczył wojskiem salę wyborów, do okien wymierzył dwa działa, postawił przy nich kanonierów z zapalonymi lontami i groził, że będzie strzelał, bo takie liczne zebranie uważa za bunt. Wszystkie bryczki wyborców, których było przeszło 200, rozpędził, jednego z wyborców, żyda, Szmula Kochana, idącego do sali elekcyjnej, żołnierze nie puścili i poturbowali mocno. Wobec tego zgromadzeni przerwali wotowanie, opieczętowano urny z głosami, spisano protokół całego zajścia i wysłano go do Warszawy [1]). Wprawdzie Petrow za to został usunięty, ale zdarzenie ostrołęckie przekonywało wszystkich, że w Polsce dopóty ładu nie będzie, dopóki w niej rządzić będą pułkownicy i jenerałowie rosyjscy. Wypadki powyższe nabrały niemałego rozgłosu i były wodą na młyn czerwonych.

Byli oni niesłychanie rozdrażnieni, a zwłaszcza koło Korzeniowskiego, złożone z zapaleńców, z niedouczonych młokosów, ale gotowych do wszelkiego szaleństwa. Ten gniew, jaki w nich wrzał na myśl, że „Targowica tryumfuje“, że ich śmie nazywać „garścią indywiduów“, wzmagać się musiał wobec tego, co się koło nich działo. Właśnie, w tym mniej więcej czasie rozeszła się po mieście pogłoska, w gruncie rzeczy prawdziwa, ale ogromnie przesadzona, że w Hotelu Europejskim różni bogaci panicze założyli klub „złotej młodzieży“. W klubie tym wobec żałoby powszechnej, powstrzymywania się od wszelkich rozrywek i zabaw, wobec oszczędności, którą poczęto uważać za jedną z cnót i obowiązków patryotycznych, miano grać grubo w karty, wyprawiać pijatyki i hulanki, a nadewszystko szydzić z partyi ruchu i wszystkich objawów patryotycznych. Każdą rzecz tam wyśmiano i wydrwiono. Do klubu tego, oprócz młodszego syna margrabiego, Józefa Wielopolskiego, należał oficer rosyjski Alf Wrześniowski, adjutant Lamberta, Polak, gorący zwo-

[1]) Z relacyi współczesnych.

lennik margrabiego; niejaki Waligórski, szlachcic z Poznańskiego, niby delegat Tellusa w celach ekonomicznych wysłany do Warszawy, a jak dobrze poinformowani sobie szeptali, tajny ajent Kronenberga, który we wszystkich partych miał swych ludzi [1]); Gracyan Czarnocki, plenipotent właścicieli hotelu Europejskiego, Rodryg hr. Potocki, Mańkowski, wnuk jenerała Henryka Dąbrowskiego i wielu innych. Klub ten, zwany inaczej „klubikiem“, w gruncie rzeczy nie miał prawie żadnego znaczenia i wpływu też żadnego wywierać nie mógł; wieści o kartach i hulankach były fałszywe, ale szyderstwa złotej młodzieży z tego, co uważano za świętość, różne koncepta z ludzi i rzeczy, obiegając po mieście, drażniły wielu i szkodziły bardzo samemu margrabiemu. Oburzano się na to powszechnie, że mąż stanu, wysoki urzędnik pozwala, by syn jego w czasach tak gorących wyzywał opinią publiczną, tę opinią, tak nieprzyjazną już ojcu; by grupa paniczów całkiem niepotrzebnie drażniła tłumy i tak już mocno podrażnione [2]).

[1]) To ostatnie przypuszczenie co do Waligórskiego tem większej nabierało cechy prawdy, że należał on do składu redakcyi „Gazety Polskiej“, za co brał 100 rs. pensyi na miesiąc, i jak opowiada współczesna relacya rękopiśmienna, z której tę wiadomość czerpiemy, „nic nie robił. Napisał jeden artykuł o żydach, ale poprawiano go przez trzy dni i jeszcze był głupi“.

[2]) Margrabia wiedział o istnieniu tego „klubiku“ i w milczeniu jego szyderczą działalność aprobował. Bardzo często nawet pytał się jego uczestników: „a cóż tam słychać w waszym klubiku?“ W Zamku także patrzano dobrze na owe zgromadzenie, które istniało aż do końca 1863 r. O tem wszystkiem w mieście wiedziano. Oburzało to czerwonych, że członkowie klubu mieli pewne przywileje, że mogli bez latarek chodzić późno w nocy po mieście, a już największe oburzenie wywarł fakt następujący, którego bohaterem był członek klubu, wspomniany wyżej oficer Alf Wrześniowski. Po wyjeździe Lamberta na Maderę utrzymywał on z nim ciągłą korespondencyą, i kiedy raz z takim listem przyszedł na pocztę, urzędnik odbierający to pismo, niejaki Huzarski, ruszył konceptem i spytał się Wrześniowskiego: „czy Lambert i na Maderze myśli być namiestnikiem?“ Pytanie było dość niemądre, mimo to obraziło Wrze-

Do podrażnienia tego, wzmagającego siły czerwonych, przyczynił teraz bardzo wiele zjazd do Warszawy wszystkich biskupów z całego kraju. Zjazd ten nastąpił na wezwanie Wielopolskiego, przesłane przez okólnik do biskupów i rządców dyecezyi, ażeby przybyli do Warszawy na dzień 20 września. Biskupi tem chętniej zadość uczynili temu wezwaniu, że wzmagająca się ciągle choroba arcybiskupa Fijałkowskiego budziła tak wśród kleru, jak i w kraju niemały niepokój. Wielopolski zaś chciał użyć wpływu najwyższych dostojników kościelnych na niższe duchowieństwo, które w kościołach tolerowało śpiewy patryotyczne, brało udział we wszystkich manifestacyach, a nawet przewodniczyło im wszędzie. Sądził, że w ustnej konferencyi z biskupami zdoła ich przekonać i w imię dobra krajowego zachęcić do takiego kroku, choć rzecz była bardzo wątpliwą. Wszak biskup podlaski, Szymański, raz już odmówił takich usiłowań, choć był wielbicielem margrabiego i doskonale pojmował położenie kraju. Do Juszyńskiego, biskupa sandomierskiego, pisał był w sierpniu Wielopolski, jako Dyrektor Komisyi oświecenia i wyznań religijnych, żeby o każdej procesyi, jaka się ma odbyć, duchowieństwo na parę dni wprzódy uwiadamiało odnośne władze administracyjne. Na to biskup pod d. 23 sierpnia odrzekł, że takiego polecenia podwładnemu sobie duchowieństwu dać nie może, bo nieraz „powód odbycia procesyi wypaść może nagle“, że wreszcie polecenia takie on uważa za ścieśnienie religijne. Tenże biskup w parę tygodni potem wziął udział w wielkiej manifestacyi politycznej podczas odpustu na górze Święto-krzyzkiej.

Wszystko to więc kazało przypuszczać, że próba Wielopolskiego odwołania się do najprostszego poczucia

---

śniowskiego tak, że poszedł na skargę do dyrektora poczty. Huzarski zagrożony dymisyą, nie szczędził oczywiście Wrześniowskiego, tak że oburzenie na niego i na klub dochodziło w kołach czerwonych ogromnych rozmiarów. Z Wrześniowskim spotkamy się jeszcze w tej historyi.

patryotyzmu rozumnego na nic się nie przyda, i kto wie? może nie należało jej robić, nie będąc pewnym skutku. Ale nie trzeba za złe brać Wielopolskiemu, że szukał wszelkich dróg i wszelkich środków, by kraj toczący się w przepaść zatrzymać na fatalnej pochyłości.

Jakoż biskupi powoli poczęli się zjeżdżać do Warszawy. Najprzód, bo dnia 11 września jeszcze, przybył ks. Walenty Baranowski, biskup sufragan lubelski. Gdy wjeżdżał do Warszawy, Bóg wie dlaczego i za co, powitał go przy rogatkach znaczny tłum, który krzyczał „wiwat!“ i odprowadził biskupa aż do hotelu Wileńskiego. Nie obeszło się przytem bez różnych, tak pospolitych w tej dobie teatralnych wystąpień. Kobiety niosły wieńce i bukiety z kwiatów, którymi zasypywały biskupa, a mężczyźni, ustawiwszy się przy koniach, prowadzili je za cugle, i cały ten orszak przedefilował przez Pragę i Warszawę aż na ulicę Tłomacką, gdzie biskup stanął. Robiło to tem większy efekt, że właśnie był to dzień galowy, rocznica koronacyi cesarskiej. W tydzień potem, d. 19 września przybył ks. Wincenty Pieńkowski, biskup lubelski; nazajutrz ks. Józef Juszyński, wspomniany już biskup sandomierski i ks. Józef Twarowski, biskup amyzoneński, sufragan podlaski, wysłany przez Szymańskiego, który sam wcale się nie zjawił, nie chcąc zapewne stawać w opozycyi z jednej strony z margrabią, z drugiej z opinią publiczną. Po nich zjechali do Warszawy: ks. Maciej Majerczak, administrator dyecezyi kielecko-krakowskiej, ks. Tomasz Myśliński, administrator dyecezyi płockiej, i nakoniec ks. Chociński, administrator dyecezyi augustowskiej. Biskup kujawsko-kaliski, Marszewski, chory po niedawnej kociej muzyce w Łęczycy, wcale nie przyjechał.

Przybyli do Warszawy biskupi w liczbie siedmiu odrazu znaleźli się wpośród księży czerwono usposobionych, otaczających chorego arcybiskupa. Ci to księża namówili pozbawionego wszelkiej energii umysłowej starca, ażeby, korzystając ze zjazdu wszystkich rządców dyecezyi w Królestwie, przedstawił im, że nadarza się jedyna spo-

sobność, by uczynić krok wspólny większej wagi i doniosłości. Tym krokiem ma być zredagowanie memoryału, a raczej protestacyi przeciw krzywdom, jakich doznaje kościół polski, i podanie jej Lambertowi. Biskupi w zasadzie zgodzili się na to, i podczas gdy duchowieństwo warszawskie przygotowywało ów memoryał, oni udali się dnia 24 września na konferencyą do Wielopolskiego.

Ten z postawy i słów zebranych odrazu się przekonał, że próba jego nie przyniesie żadnych owoców. Napróżno mówił, że rząd zdecydowany jest użyć wszelkich środków, będących w jego mocy, by zrewolucyonizowane duchowieństwo niższe przyprowadzić do porządku, że lada chwila spodziewać się należy rozporządzenia, zabraniającego kazań rewolucyjnych i nadużyć w ceremoniach kościelnych; że zatem lepiej będzie dla samego nawet duchowieństwa, jeżeli biskupi mocą swej władzy i powagi zapobiegną potrzebie mięszania się władz cywilnych do spraw wewnętrznych kleru; że co do niego, to osobiście pragnąłby nie mięszać się do tych spraw, ale on nie jest tu panem i nie może odpowiadać za czyny władz wojskowych, z któremi duchowieństwo codzień nieomal wchodzi w zatargi [1]). Na to wszystko biskupi odrzekli, że oni nie są w stanie nic zdziałać, że duchowieństwo ich nie słucha, że znikła wszelka karność i obedyencya, że oni sami nic nie zrobią bez interwencyi rządu. Ks. Pieńkowski uskarżał się przytem na stan opuszczenia, w jakiem się znajdują seminarya, na niedostateczną liczbę księży, na terroryzm, wywierany przez młodzież i kobiety, które „popychają duchowieństwo do manifestacyi". Na uwagę Wielopolskiego, że popieranie ruchu rewolucyjnego jest krzywdą dla religii, ks. Baranowski odrzekł z pewnem rozdrażnieniem, że oni „jako księża lepiej wiedzą od pana dyrektora, co jest pożytecznem religii, a jako biskupi nie ubliżają swemu charakterowi, gdy są dobrymi Polakami" [2]).

---

[1]) *Lisicki,* Le marquis II, 225.

[2]) Z relacyi współczesnych.

Konferencya powoli poczęła przybierać cechy wzajemnego podrażnienia i gdy jeden z biskupów (zdaje się ks. Majerczak), zwrócił się do margrabiego ze zwierzeniem, że mają zamiar podać namiestnikowi memoryał o położeniu duchowieństwa, Wielopolski odrzekł, że nie powinni, nie mogą tego robić, że to na nic się nie zda, zwłaszcza, że posiedzenia Rady stanu wkrótce się rozpoczną, a wtedy drogą legalną będą mogli się upominać o prawa swoje. Bardzo słuszna i rozumna ta uwaga nie przypadła wcale do smaku biskupom. Wszak w gruncie rzeczy im nie szło wcale o dobro kościoła, ale o stawianie trudności rządowi, o zadośćuczynienie opinii ulicy, o fakt głośnego protestu. W Radzie stanu, choćby nawet żądania ich przeszły, to stałoby się to cicho, bez wrzawy, bez rozgłosu, którego oni właśnie chcieli. Rozstano się więc z margrabią z podrażnieniem wzajemnem, z postanowieniem zrobienia tego, co on odradzał.

Jakoż nazajutrz, d. 25 września, memoryał był gotowy [1]). Memoryał ten z wielu względów jest bardzo ciekawym dokumentem, zawierającym w zasadzie żądania sprawiedliwe, ale należało sobie zadać wobec własnego sumienia pytanie, czy forma ich była właściwa, a czas odpowiedni potemu. W szesnastu artykułach biskupi domagali się, „aby religii rzymsko-katolickiej przywrócone zostało dawne jej znaczenie, aby artykuły kodeksu o mał-

[1]) Memoryał ten wydrukowany w całości w książce: „Wspomnienie o Zyg. Szczęsnym Felińskim“ p. 10, nosi datę 25 września; tęż datę podają dzienniki współczesne. Nie wiemy zatem, na jakiej zasadzie *Giller* (Hist. pow. nar. pol. I, 267) powstanie materyału naznacza na d. 22 września, a za nim „Wydawnictwo materyałów do historyi powstania“ I, 12. Że ta data jest błędną, dowodzi choćby tylko ta okoliczność, że Majerczak przybył do Warszawy dopiero d. 21 września (przekonywują o tem współczesne gazety warszawskie), a konferencya z Wielopolskim odbyła się d. 24 września i na konferencyi tej, jak zapewnia *Lisicki* (Le marquis II, 225) biskupi zakomunikowali margrabiemu swój zamiar podania memoryału. Stąd wniosek, że memoryał dnia 22 września nie mógł być i nie był gotowy.

żeństwie (Art. 193 i od 195 do 201) i o spowiedzi były uchylone, aby „Komisya rządowa w stosunku swoim do kościoła ograniczoną była do przedmiotów czysto administracyjnych i nie mięszała się do nabożeństw, procesyi, kazań, rytuałów i t. p.“, aby przy Komisyi wyznań był wydział duchowny pod prezydencyą arcybiskupa dla rozstrzygnięcia spraw kościelnych [1]), aby biskupom wolno było odbywać synody, aby katedry biskupie wakujące rychło były obsadzane kandydatami przez kapituły wybieranymi, aby liczba alumnów w seminaryach a zakonników w klasztorach ograniczoną nie była, aby fundusze przy zagranicznych akademiach dla alumnów przywrócone zostały, aby w każdej dyecezyi był dom emerytów dla wysłużonych księży, aby instytut demerytów na Łysej Górze był zreorganizowany, aby władze dyecezyalne w potrzebach duchownych mogły bezpośrednio odnosić się do Stolicy apostolskiej, aby duchowni obecnie aresztowani i wywiezieni powróceni zostali, i aby na przyszłość nikogo z księży nie aresztowano bez wiedzy władzy duchownej i t. p.

Memoryał ten podpisali wszyscy obecni w Warszawie biskupi, a na ich czele położył swe imię chory arcybiskup Fijałkowski. Uradzono, że memoryał podadzą namiestnikowi księża Pieńkowski i Juszyński, jako dwaj pełni biskupi dyecezyalni. Jakoż, nie zwlekając, udali się dwaj wymienieni do namiestnika z tym memoryałem, ale Lambert przyjąć go nie chciał, tłómacząc się, że nie jest upoważnionym do przyjmowania zbiorowych petycyi. Biskupi wrócili nieco rozgniewani, a ponieważ na ten dzień wszy-

---

[1]) Co do tego punktu słuszną uwagę robi *Lisicki* (Le marquis II, 226), że czerwieńcy, admirując tak sam memoryał, jak i odwagę podpisanych, którzy, powiedzmy nawiasem, nie narażali się na żadne niebezpieczeństwo, rzucali kamieniem na Wielopolskiego właśnie z powodu tego „Wydziału duchownego“, twierdząc, że ten zatwardziały Heglianista chciał „Kościół ujarzmić i zrobić go niewolnikiem państwa“.

scy byli zaproszeni do Belwederu do namiestnika na obiad, więc nań wcale nie poszli i zaproszenia odesłali. W parę dni potem memoryał ukazał się w dziennikach zagranicznych, wywołując wszędzie niemałą sensacyą. Przetłómaczony na język łaciński wraz z odpowiedniemi objaśnieniami, znalazł się także wkrótce w Rzymie [1]). Czerwieńcy byli ucieszeni niezmiernie tem wystąpieniem najwyższych dostojników kościelnych, tą wyraźną opozycyą pacyfikacyjnym dążnościom Wielopolskiego i Lamberta; umiarkowani zaś, biali, także pochwalali memoryał, jako protest głośny i publiczny przeciw strasznej przewadze schizmy i krzyczącej nietolerancyi religijnej, jakiej kraj od lat trzydziestu ulegał. Wśród ogólnego wrzenia umysłów, memoryał ten jednem słowem był nowem zarzewiem, nowem podsyceniem ognia.

Położenie spraw duchownych i wogóle postawa kleru odnośnie do rządu pogorszyła się znacznie wskutek choroby arcybiskupa Fijałkowskiego. Przeszło ośmdziesięcioletni ten starzec dogorywał widocznie i już w czasie przybycia Lamberta do Warszawy był tak słaby, że nie mógł przybyć do Zamku dla powitania nowego namiestnika. W połowie września stan chorego tak się pogorszył, że konsystorz warszawski nakazał d. 18 września odbyć we wszystkich kościołach dyecezyi nabożeństwo „dla uproszenia Boga o powrót do zdrowia“ arcybiskupa. Nabożeństwo w katedrze św. Jana odprawiło się z wielką uroczystością; celebrował biskup Baranowski i po skończonej wotywie przemawiał do ludu, wzywając go do wspólnego połączenia modłów o zdrowie arcypasterza. Odtąd rozpoczął się szereg nabożeństw na tę intencyą w całej Polsce, nabożeństw po większej części z charakterem manifestacyjnym [2]), w czem i żydzi brali udział, urządzając po swych

[1]) *Stefan Prawdzicki.* Wspomnienie o Zygmuncie Szczęsnym Felińskim, p. 15.

[2]) Dnia 21 września odprawiło wotywę na tę intencyą w kościele św. Krzyża bractwo św. Rocha; d. 23 września takież nabożeństwo odbyło się w Krakowie; d. 28 t. m. archikonfraternia literacka

synagogach odpowiednie modły [1]). Jakkolwiek Fijałkowski był bardzo chory, jednakże wziął udział w naradach co do znanego nam memoryału i podpisał go pierwszy, ale już d. 24 września uczuł się tak źle, że zażądał spowiednika, przyjmował kapitułę, duchowieństwo warszawskie i prowincyonalne, oraz kler seminaryum. Błogosławił ich i kraj cały. Nazajutrz byli u niego wszyscy biskupi, zebrani w Warszawie. Udzielając im benedykcyi pasterskiej i polecając ich modłom swą duszę, miał wyrzec słowa, które powtórzone rozbiegły się po całej Polsce i nadzwyczajne uwielbienie dla Fijałkowskiego wywołały. „Umierającym proszę i zaklinam was głosem, miał wyrzec, trzymajcie zawsze z narodem; starajcie się, jako pasterze ludu, bronić sprawy wspólnej ojczyzny i nie zapominajcie nigdy, że jesteście Polakami“ [2]). Odtąd przez dziesięć jeszcze dni choroba się wlokła, aż nakoniec d. 5 października w sobotę, o godz. 7-ej rano, arcybiskup wyzionął ducha. Poprzednio z wielką uroczystością, w ornat ubrany, przyjął Najświętsze Sakramenta.

O śmierci jego doniósł tego dnia ks. biskup Juszyński w katedrze ludowi, zgromadzonemu na nabożeństwo za pomyślność ojczyzny, zamówione przez urzędników różnych dykasteryi. Wiadomość ta wywarła wielkie wrażenie. Fijałkowski przez przyjęcie czynnego udziału w ruchu, przez przewodniczenie mu niekiedy, przez wydanie odezwy o zaprowadzeniu żałoby i paru innych, stanął wy-

---

odprawiła nabożeństwo u św. Jana; d. 25 t. m. we Lwowie w kościele Bernardynów i w katedrze; dnia 23 we Włocławku, d. 2 października u Kapucynów w Krakowie.

[1]) Dnia 23 września z zarządzenia rabina okręgu warszawskiego odbyło się nabożeństwo we wszystkich synagogach i domach modlitwy w Warszawie; d. 21 t. m. we Włocławku, przyczem wygłoszono osobną modlitwę *Mi-szeberech* na intencyą rychłego ozdrowienia „kapłana“ Fijałkowsktego; d. 28 t. m. w Radomiu z tąż modlitwą i t. d.

[2]) Słowa te z małymi waryantami powtarzają wszystkie współczesne i późniejsze relacye.

soko w opinii wszystkich gorących patryotów, choć w cichości, znając jego słabość charakteru, zwali go „kozłem ofiarnym rewolucyi“. Dla czerwieńców, dla kółka Korzeniowskiego przytrafiała się nowa sposobność rozruszania usypiających już i znużonych nieustającemi manifestacyami tłumów. W pogrzebie arcybiskupa, prawdziwego, jak mówili, prymasa polskiego, wszyscy muszą wziąć udział, i biali i umiarkowane mieszczaństwo i dygnitarze urzędowi, wszyscy. Będzie więc manifestacya olbrzymia, której nikt oprzeć się nie może i nie zdoła, i zachcianki białych uspokojenia kraju, przyjęcia reform, rozbiją się o entuzyazm powszechny.

A entuzyazm ten dla zmarłego rósł do niebywałych rozmiarów, dzięki działalności prasy jawnej i ukrytej. Wszystkie dzienniki warszawskie przez kilka dni zrzędu zapełnione były szczegółami z życia „znakomitego w kościele Bożym męża“, rozpisywały się o najdrobniejszych szczegółach, podnosiły jego zasługi wysoko, oddawały mu cześć jako najlepszemu i najgodniejszemu z patryotów. „Gazeta Polska“ widziała w tem mistyczny palec Boży, że arcybiskup umarł tego samego dnia, 5 października, w którym objął niegdyś administracyą archidyecezyi warszawskiej; redaktor „Gazety Warszawskiej“ opowiadał z przejęciem się głębokiem, że ostatni raz, kiedy się przed Fijałkowskim stawił, „było nas trzech: jeden katolik, jeden ewangelik, jeden żyd; wszyscy trzej przyszliśmy po radę wspólną w rzeczy doczesnej. Nie naumyślnie zebraliśmy się, ale przypadkowo tak się rzeczy ułożyły; wszyscy trzej wyszliśmy równie zbudowani prostotą i głęboką prawdą słów do nas wyrzeczonych. Każdy z nas jedno złożyłby świadectwo: my za kapłanem i człowiekiem, dwaj drudzy wprawdzie za człowiekiem tylko, ale który w Bogu czerpał siłę i myśl słów swoich, a stał wiarą i wiedział, że wypełnieniem zakonu jest miłość“. Wszystko to czytano z zapałem i gorączka powszechna się wzmagała, podsycana różnorodnemi odezwami tajnemi. Tego samego dnia, w którym umarł Fijałkowski, ukazała się odezwa, druko-

wana na małej kartce, wzywająca do przyodziania się w oznaki żałoby głębokiej, którą miano nosić przez cały tydzień. Jakoż usłuchano natychmiast tego wezwania i ubrano się w grubą żałobę; kobiety na sukniach nosiły białe taśmy, mężczyźni czarne kokardy. Na rogach ulic porozlepiano t. zw. „klapsydry“, z doniesieniem o śmierci, oraz o nabożeństwach żałobnych, jakie się miały odbywać po wszystkich kościołach. Rozrzucono w mnóstwie egzemplarzy litografowany na ćwiartce papieru opis życia zmarłego, w tonie panegirycznym trzymany. Na prowincyą wysłano wezwanie do przybycia na pogrzeb arcybiskupa, „który w obecnej chwili walki z rządem przedstawia w sobie zmarłego prymasa, i w dzisiejszym czasie bezkrólewia zastępuje króla; dlatego też i jego pogrzeb będzie odpowiadał wspaniałością i powagą pogrzebowi królewskiemu [1]).

Kapituła tymczasem zajęła się przygotowaniem programu pogrzebowego, na co Lambert się zgodził, z tym warunkiem, że dano mu podobno słowo, że uroczystość nie będzie wcale miała charakteru manifestacyi politycznej [2]); zastrzegł jednak sobie, że cały ceremoniał będzie przedstawiony jenerał-gubernatorowi do zatwierdzenia. Zaraz też utworzył się specyalny w tym celu komitet, złożony z księży i cywilnych, wśród których wydatną rolę odgrywał znany nam już kupiec Józef Kwiatkowski. Zadanie było niełatwe. Przedewstkiem szło o to, żeby dzień pogrzebu jak najbardziej opóźnić, dla tego, żeby prowincya mogła się zjechać; naznaczono więc na pogrzeb dzień 10 października, to jest szósty od daty śmierci [3]). Następnie szło komitetowi o ustanowienie takiego ceremoniału, żeby rząd i kraj był z niego zadowolony. Rozmaite wnio-

[1]) *N. Berg,* Zapiski 361; cytata z zeznań Awejdy.

[2]) *N. Berg,* loc. cit. *Podwysocki,* Zapiski, 87.

[3]) Ponieważ w tymże dniu 10 października miała się odbyć i odbyła się wielka manifestacya w Horodle na pamiątkę unii Litwy z Polską, więc późniejsi pisarze rosyjscy podejrzywali, że komitet umyślnie

ski podawano, częstokroć tak zabawnie naiwne, że zebrani wybuchali śmiechem. W rezultacie program pogrzebu zredagowano i przedstawiono do zatwierdzenia Gerstenzweigowi. Ten zakomunikował go Lambertowi, a namiestnik poradził się Wielopolskiego, czy program taki przyjąć [1]). Ponieważ w programie tym było, że orszak pogrzebowy, wyruszywszy z pałacu arcybiskupiego na ulicy Miodowej, iść będzie ulicami: Długą, Przejazdem, Rymarską, Placem Bankowym, Senatorską, Wierzbową, Placem Saskim, Krakowskiem Przedmieściem i Świętojańską do katedry św. Jana, więc tego rodzaju kołowanie, widocznie obliczone na to, żeby więcej nadać pochodowi ostentacyi i większe masy ciekawych ściągnąć, nie podobało się margrabiemu. Radził więc namiestnikowi, ażeby tę część programu zmienił, żeby orszak posuwał się najprostszą i najkrótszą drogą (Miodową, Senatorską, Placem Zamkowym i Świętojańską), oraz żeby członkowie komitetu osobistą zagrożeni byli odpowiedzialnością za to wszystko, co nad program ukaże się w czasie pogrzebu.

Rada ta w tem prawdopodobnie miała swe źródło, że do Wielopolskiego musiała dojść wiadomość, iż obok komitetu, że tak powiemy, urzędowego zorganizował się komitet tajny, który naradzał się nad tem, co należy dodać do ceremoniału przedłożonego władzy, ażeby właśnie pogrzeb przybrał cechy wielkiej manifestacyi politycznej [2]). W komitecie tym zasiadali księża: Dziarzkowski, Wyszyński i Stecki, który prócz tego zbierał składki na koszta, ale oczywiście przeważali czerwoni, młodzież zapalona i gorąca, choć byli także i członkowie urzędowego komitetu. Wielopolski, zdaje się, wiedział o tem wszystkiem i dlatego dawał rady tak przeciwne zamiarom agitatorów

ten dzień wybrał. Tymczasem tak nie było. Jednoczesne urządzenie dwóch manifestacyi mogło się stać powodem, że żadna z nich się nie uda, a tego przecież nie chciano. Odbycie obu jednego dnia było przypadkowe i związku ze sobą nie miało.

[1]) *Lisicki*, Le marquis, II., 235.

[2]) *N. Berg*, loc. cit. 362.

i w gruncie rzeczy tak zbawienne. Lambert uznawał ich słuszność, mówił, że pójdzie za tą radą, choć z drugiej strony dawał poznać, że nie widzi znowu nic tak bardzo niebezpiecznego w programie. Niepokoiło go tylko zapowiedziane „castrum doloris“. W obrządku tym widział coś mocno podejrzanego; ale Wielopolski pod tym względem uspokoił go zupełnie, zapewniając go, że są to śpiewy, nucone przez czterech księży na czterech rogach katafalku, że to jest zatem obrządek czysto kościelny, niemający najmniejszej cechy politycznej. Uspokojony więc całkowicie, choć uznawał słuszność rad Wielopolskiego, program ostatecznie zatwierdził.

Program ten zapowiadał się majestatycznie. Miały wziąć udział w pogrzebie wszelkie korporacye i stowarzyszenia, wszystkie szkoły i warstwy ludności, cechy, bractwa, zgromadzenia. Na Placu Bankowym mieli oczekiwać na orszak pogrzebowy rabini, czyli, jak jest powiedziane w programie, „duchowieństwo wyznania mojżeszowego“ i gmina żydowska; na Placu Saskim zaś duchowieństwo luterskie i gmina lutersko-kalwińska. Zrazu przy naradach księża zakładali przeciw temu opozycyą, by duchowni obcych wyznań brali udział w pogrzebie, ale, wobec groźby zrywania jedności narodowej, ustąpili [1]). Wszelkich więc sprężyn, wszelkich środków użyto, by manifestacyi nadać charakter wspaniały, charakter hołdu wszechnarodowego. Program ten ogłoszono zaraz w gazetach i całe miasto gotowało się do nowej, wielkiej manifestacyi. Do pałacu arcybiskupiego na ulicy Miodowej, gdzie drugiego dnia po śmierci wystawione były na widok publiczny zwłoki zmarłego, ciągnęły niezliczone tłumy osób wszelkiego stanu, płci i wieku. Salę główną pierwszego piętra zamieniono w kaplicę, według pomysłu znanego budowniczego i archeologa Bolesława Podczaszyńskiego. Ściany obciągnięto suknem pąsowem, zwieszającem się we wdzięcznych draperyach; trumna była tegoż koloru, złotem oz-

[1]) Relacye współczesne.

dobiona; ciało ubrane w fiolety spoczywało na katafalku pąsowym. Mnóstwo świec jarzących, insygnia biskupie, leżące obok na taborecie, ta purpura majestatyczna dokoła, nieustanne msze, odbywające się przy ciele, nakoniec te niezliczone szeregi ludu, przychodzące odwiedzić zmarłego, nadawały całości wygląd niezwykły i uroczysty. Członkowie Towarzystwa Dobroczynności, oraz młodzież szkolna pilnowała porządku. Ciągnęły więc rzesze niezliczone, a wśród nich nakoniec znalazł się także nadrabin żydowski Majzels, postępujący poważnie w lisiej czapce na głowie i atłasowym żupanie na czele kahału żydowskiego. Przyjęty na schodach przez dwóch kanoników, został wprowadzony do zwłok wśród powszechnego entuzyazmu i silnego wrażenia na najchłodniejsze nawet umysły, jakie ta dziwna, średniowieczna procesya żydowska wywarła. Zjawili się tu także predykanci luterscy i kalwińscy, ze swymi superintendentami: Ludwigiem i Spleszyńskim na czele, zjawił się nawet archimandryta schizmatycki Joanicyusz. W ciągu kilku pierwszych godzin, jeśli wierzyć można doniesieniom dziennikarskim, przeszło 20.000 osób przesunęło się obok katafalka nieboszczyka.

W Zamku o tem wszystkiem wiedziano; uroczysty nastrój miasta kazał przypuszczać, że przygotowuje się nowa wielka manifestacya, że pomimo programu urzędowego odbywać się będą rzeczy całkiem nim nie objęte. Wzbudziło to pewne obawy w Lambercie; musiały do niego dochodzić jakieś wieści groźne, jakieś, tak często powtarzające się w tej dobie pogłoski o blizkiem i nieuniknionem powstaniu, gdyż w nocy, poprzedzającej dzień pogrzebu, prosił cesarza o rozkaz, ażeby policyanci, ustawieni na ulicach dla zachowania porządku, uważani byli za posterunki wojenne. Cesarz chętnie się na to zgodził [1]).

[1]) Depesza Lamberta brzmi: „27 września (9 października) o godz. 1 minut 30 w nocy: jutro pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego. Mogą zajść nieporządki. Upraszam o wydanie rozkazu telegrafem, aby policyantów, ustawionych dla nadzoru nad porządkiem,

Ale policya rządowa, pomimo nadania jej w skutek tego rozkazu groźnego znaczenia, nie wiele mogła zrobić i wpływ jej został zupełnie zatarty. Od samego rana bowiem dnia 10 października, konstable narodowi, wyznaczeni przez tajny komitet pogrzebowy bez wiedzy władzy rządowej, pod naczelnictwem Józefa Kwiatkowskiego, Tomasza Le Bruna, Fiszera, pułkownika b. wojsk polskich, i wielu innych, biegali po wszystkich ulicach i nakazywali kupcom zamykać sklepy. Szewc Hiszpański, należący także do tajnego komitetu pogrzebowego, wydał polecenie rzemieślnikom, aby w dniu tym warsztaty były zamknięte, czeladź i robotnicy rozpuszczeni. Nikt się temu rozkazowi nie opierał, nikt nie śmiałby się opierać, gdyż w przeciwnym razie zmuszono by go siłą. Taki wypadek spotkał kupca Knola, Niemca, którego handel winny na ulicy Ogrodowej konstable narodowi, w skutek oporu właściciela rozkazom władzy tajnej, prawie doszczętnie zniszczyli. Na targu za Żelazną bramą, jakiś bednarz, niechcący usłuchać konstabli, utracił wszystkie swe naczynia, które potłuczono i potrzaskano. Na ulicy Solnej, gdzie wznoszono jakiś budynek, konstable rozrzucili wapno i cegły, a mularzy, opierających się temu, obmazali gliną [1]). W obec tego posłuch był ogólny, i miasto przybrało postać uroczystą i świąteczną. Wszędzie mówiono, że zmarły arcybiskup był istotnym prymasem polskim, a jako taki, ponieważ od lat trzydziestu w Polsce trwa bezkrólewie, jest wiceregiem, królem prawdziwym i pogrzeb jego musi mieć charakter królewski i majestatyczny. Na ulicach, któremi orszak pogrzebowy miał przechodzić, wszystkie prawie balkony i okna okryte zostały kirem żałobnym.

Zjazd w Warszawie był ogromny; w hotelach zabrakło mieszkań. Ze wszystkich stron kraju przybywano pojedynczo i tłumnie, a czerwieńcom szło oczywiście bardzo

uważać za posterunki wojenne, aż do nowego rozkazu (policejskich czinow, postawlennych dla sobliudenia poriadka, sczitat wojennymi czasowymi, wpred do osobago powelenia".

[1]) *N. Berg* loc. cit. 363.

wiele o to, żeby w pogrzebie wzięli udział także chłopi, zwłaszcza z dóbr Skierniewickich, niegdyś własności prymasów polskich. Znaleźli oni pod tym względem żywe poparcie i pomoc czynną w nadzorcy pałacu skierniewickiego, oraz w wikaryuszach miejscowych ks. Magnuskim i Delercie, nakoniec w ziemianinie z tamtych stron Auguście Zawiszy, bracie rodzonym straconego w r. 1833 Artura. Dzięki ich zabiegom, przyczem księża zbierali w kościele Skierniwickim składkę na zakupno biletów na kolej dla uboższych [1]), zdołano zgromadzić znaczną ilość włościan [2]), i udano się z nimi do Warszarwy. Tu, uwiadomieni o tem członkowie tajnego komitetu pogrzebowego, wysłali na przyjęcie przybywających deputacyą, która czekała na nich na dworcu kolei. Chłopów patrzących ciekawie na wszystko, ale trzymających się ostrożnie, powitano bardzo serdecznie, uściskano, ucałowano i poprowadzono na przygotowane już śniadanie w jednym z poblizkich ogródków restauracyjnych. Ponieważ godzina pogrzebu się zbliżała, więc uszykowano się i wyruszono procesyonalnie do pałacu arcybiskupiego na ulicy Miodowej. Postępowano zatem prawie przez całe miasto przy odgłosie hymnu „Boże coś Polskę“, z księdzem niosącym krzyż na czele i z chorągwiami kościelnemi. Na jednej z tych chorągwi wyszyty był św. Stanisław i herb Korony i Litwy. Ta procesya uroczysta, ten tłum chłopów w ich strojach ludowych, robił silne wrażenie na umysłach tych wszystkich, którzy wierzyli, że tylko „lud kmiecy dźwignie Polskę swemi plecy“, i widzieli zbliżającą się już niejako tę godzinę. Wszak ta procesya była oczywistem zaprzeczeniem tego, co mówiono o chłopach i o ich niechęci do ruchu. Niestety! było to złudzenie ta-

[1]) *Pawliszczew*, Siedmicy, I, 49.

[2]) Według relacyi współczesnych miało ich być około tysiąca, choć cyfra ta wydaje nam się nieco przesadzoną. „Gazeta Warszawska“ oblicza ich w przybliżeniu na głów 700, co zdaje się być prawdopodobniejsze. *Giller* swoim zwyczajem z tych 700 ludzi zrobił „kilka tysięcy“ (A. hr. Wielopolski, 82).

kie samo, jak wiele innych złudzeń, o których w tych smutnych dziejach już mówiliśmy.

Oprócz chłopów z Skierniewic, byli i inni z księstwa Łowickiego, ze wsi Bąkowa, Jeziorka, Kompina, byli z Kutna z księdzem na czele, ze Sleszyna i Sannik, byli z Góry Puławskiej (około 20, „lud dzielny i krzepki“, jak się wyraża relacya współczesna); byli z Wilanowa, Mokotowa, Piaseczna i Gołkowa [1]). Chłopi z okolic podmiejskich przyszli pieszo i ustawili się na Krakowskiem Przedmieściu obok kościoła Bernardynów, tworząc długi szpaler; inni stanęli na ulicy Bielańskiej w pobliżu hotelu Niemieckiego.

Pogrzeb miał się odbyć o godz. 3-ej popołudniu, a już o godzinie 1-ej poczęły się szeregować na wyznaczonych im przez program miejscach różne korporacye. Długość całego orszaku przeszło ćwierć mili wynosiła, i początek jego stał na końcu Placu Saskiego, kiedy trumna dopiero z pałacu biskupów wychodziła. Wynoszono ją nakoniec wśród ogłuszającego jęku dzwonów wszystkich kościołów warszawskich, wśród smutnych tonów muzyki, grającej marsza żałobnego, umyślnie napisanego przez Moniuszkę, który sam orkiestrą dyrygował, (drugą orkiestrę, dalej umieszczoną, tworzyli uczniowie i uczennice Instytutu muzycznego pod dyrekcyą Kątskiego), wśród melancholijnego śpiewu duchowieństwa. To ostatnie zebrało się bardzo licznie; oprócz całej kapituły warszawskiej, akademii duchownej, seminaryum i w ogóle wszystkiego duchowieństwa świeckiego, zjechało się jeszcze mnóstwo księży z archidyecezyi i wystąpiły wszystkie zakony, między którymi zwracali na siebie uwagę Bazylianie warszawscy, Kameduli bielańscy, Paulini z Jasnej Góry i Maryanie z Puszczy Korabiewskiej. Wśród zakonów żeńskich widać było szereg dam w stroju żałobnym zwyczajnym, z szeroką szarfą

[1]) *Pawliszczew* (loc. cit. I, 15) powiada, że w tych ostatnich okolicach do zebrania włościan przyczyniła się obywatelka tamtejsza, pani Łabęcka i baron Dangiel, który wszystkim chłopom udającym się na pogrzeb obiecał darować po rublu z czynszów i sam rozdawał obszywki i kapelusze żałobne.

czerwoną z haftem. Były to mało znane miastu panny Kanoniczki. Celebrował biskup sandomierski Juszyński, mając po bokach biskupów: Szymańskiego i Platera. Wystąpiły wszystkie szkoły i zakłady naukowe; dziewczęta były w grubej żałobie. Szkoła realna niosła herb Polski i Litwy; studenci Akademii medyko-chirurgicznej chorągiew z orłem polskim i wstążkami trójkolorowemi. Na Placu Teatralnym oczekiwali skupieni koło znanej poetki Deotymy literaci warszawscy, malarze, rzeźbiarze i artyści dramatyczni. Wystąpiły wszystkie cechy, ustawione w porządku alfabetycznym, najprzód blacharze a na końcu tokarze niosąc 49 chorągwi, poobwijanych krepą, ozdobionych orłami i trójkolorowemi wstęgami. Wszyscy dźwigali w rękach ogromne gromnice. Na ulicy Rymarskiej stało zgromadzenie szmuklerzy i tapicerów żydowskich, w długim szeregu oczekując na zbliżenie się orszaku.

A orszak tymczasem wśród nieustannego jęku dzwonów, płaczu muzyki, posuwał się wolno wyznaczonemi ulicami, posępny i smutny, z mnóstwem sztandarów, które wiatr rozwijając ukazywał orły białe i starą pogoń litewską. Porządek był wzorowy; utrzymywała go młodzież i komitet pogrzebowy, zaopatrzony w żałobne przepaski na lewem ramieniu. W komitecie tym znajdowały się się także deputacye kilku miast i powiatów, reprezentanci: Hrubieszowskiego, Czerskiego, Rawskiego, deputacye z Łodzi, Kutna, Płocka, Kalisza i t. d. Powszechną zwracano uwagę na deputacyą z Poznańskiego w mundurach obywatelskich i na trzech Węgrów, przybranych w strój narodowy, „reprezentujących sąsiedni a zawsze przyjazny nam naród“, jak się wyraża relacya współczesna. Bogatą trumnę pąsową niosło duchowieństwo i świeccy na marach purpurowych. Krzyż arcybiskupi dźwigał jeden z kanoników metropolitalnych. Tuż za trumną na poduszkach czerwonych niesiono wieńce cierniowie, a w jednym z nich mieścił się wielki orzeł biały, i insygnia królewskie, t. j. dwie korony: polską, litewską i berło, na znak, że chowany jest vicerex polski. Wszystko to owinięte było krepą.

Prócz tego widać było jeszcze dwie korony: koronę króla, którą dźwigało dwoje chłopiąt, ubranych w kontusze, i koronę królowej niesioną przez dziewczęta w bieli. Za karawanem, ustrojonym w godła arcybiskupie, płynęła olbrzymia, stutysięczna fala ludu w głębokiem milczeniu.

Powoli do tego konduktu przyłączały się różne korporacye, ustawione w porządku na drodze jego pochodu. Na ulicy Długiej więc złączyła się malownicza grupa górali. „Inteligentne ich, nieraz pełne wyrazu twarze, opowiada świadek naoczny, porządek ścisły, utrzymywany przez starszych, zwracały każdego uwagę. Było ich przeszło stu, młodsi, prawie dzieci, szli przodem“. Około hotelu Niemieckiego, na ulicy Bielańskiej, przyłączyli się chłopi. Jeden z nich dźwigał ową ogromną chorągiew ze św. Stanisławem i orłem białym, a dwaj obywatele prowadzili go pod ręce, dwóch innych chłopów trzymało wstążki od chorągwi. Gdy nakoniec i cechy zmięszały się z orszakiem ze swymi 49 sztandarami, ten las purpury zwijanej i rozwijanej przez wiatr, te orły i pogonie robiły wrażenie imponujące, chwytały za serca nawet najzimniejsze, budziły najgłębiej uśpione uczucia ku tej nieszczęśliwej ojczyznie polskiej, ku zatraconym dniom minionego jej szczęścia.

Na Placu Bankowym oczekiwali na orszak rabini żydowscy, stojąc na estradzie umyślnie wzniesionej, ubrani uroczyście w żupany atłasowe, pasy czarne i wielkie czapki lisie, otoczeni dozorem bóżniczym i tysiącami swych współwyznawców. Przed tem duchowieństwem stała chorągiew z białym orłem u szczytu i pękiem wstążek trójkolorowych, oraz tablice dziesięciorga przykazań z herbami Polski i Litwy. Gdy trzej biskupi eksportujący zrównali się z tym ponurym, średniowiecznym tłumem, pokłonili mu się uroczyście i takiż pokłon odebrali [1]). Potem żydzi przyłączyli się do konduktu i zgodnie z przepisami swej religii, zajęli miejsce zaraz za trumną i razem z całą procesyą

[1]) *A. Giller*. Historya powstania narodu polskiego, I, 244.

weszli do kościoła archikatedralnego. Na Saskim Placu orszak spotkany został przez pastorów luterskich i kalwińskich z ich superintendentami na czele, otoczonych licznem gronem członków kollegiów kościelnych. Zajęli oni miejsce przed zakonami żeńskimi i także odprowadzili zwłoki aż do katedry. W gronie tem znajdował się także pastor z Łodzi, przybyły na pogrzeb z deputacyą z tego miasta. Oprócz pastorów, orszak pogrzebowy powiększony został na Saskim Placu przez konsulów wszystkich mocarstw. Ubrani w mundury paradne, kapiące od złota, ukazali się konsulowie: angielski, francuski, austryacki, belgijski, saski i nawet pruski, co pewną sensacyą sprawiło.

Wśród takich to epizodów, wśród odgłosu bębna na odwachu, który wystąpił i broń prezentował, przeciągnęła procesya przez Plac Saski i Krakowskie Przedmieście ku Placowi Zamkowemu. Pewne wrażenie na obecnych sprawiał widok kilku dygnitarzy rosyjskich, a między nimi zięcia Gorczakowa, Pankratiewa, który szedł z głową odkrytą[1]). Ludność, nie mogąc się pomieścić na ulicach, zajęła wszystkie okna domów, nawet dachy. Gdy procesya przeciągała przez Plac Zygmuntowski, z okien Zamku patrzała na nią ciekawie dygnitarya rosyjska...

Pierwotnie Lambert miał zamiar osobiście wziąć udział w pogrzebie z całym swoim sztabem. Wszak czytał program i sądził, że jeżeli przytrafią się jakie wykroczenia przeciw niemu, to tak mało znaczące, że można będzie na nie uwagi nie zwracać. Ubrał się więc w mundur galowy; na dziedzińcu zamkowym oczekiwało około piętnastu koni, na których Lambert ze sztabem miał wyruszyć wierzchem. Wtem doniesiono mu o zmianie bardzo poważnej programu; zdjął więc błyszczący mundur, włożył ubranie codzienne i siadł przy oknie. Obok niego, u innych okien stanęli uzbrojeni w binokle Gerstenzweig, Kryżanowskij, Potapow, Wielopolski i wielu wyższych dygnitarzy. Cie-

[1]) Die Vorläufer des polnischen Aufstandes, 148.

kawie patrzano na przesuwającą się procesyą i w milczeniu poglądano na siebie...[1])

Tymczasem kondukt przeciągnął wśród nieustannego jęku rozkołysanych dzwonów i żałośliwego śpiewu duchowieństwa i wkroczył na ciasną ulicę Świętojańską. Ponieważ tego olbrzymiego, stutysięcznego tłumu kościół nie byłby wstanie pomieścić, więc cechy i korporacye wszelkiego rodzaju, poprzedzające trumnę, przeszły tylko obok katedry i udały się aż na ulicę Gołębią, gdzie stanąwszy oczekiwały końca ceremonii. Do kościoła weszły jedynie delegacye wszelkich instytucyi, cechów i korporacyi w liczbie po trzech z każdej, cały komitet pogrzebowy, rodzina i naczelnicy władz rządowych.

Dochodziła godzina szósta wieczorem, gdy znaleziono się przed starą, gotycką katedrą warszawską. Drzwi były na rozcież otwarte i wnętrze świątyni gorzało tysiącem ogni. W samym środku, na pomoście stał wyniosły katafalk, suknem pąsowem obciągnięty i złotem ozdobiony[2]). Po ustawieniu trumny na katafalku i odpowiednich ceremoniach, wszedł na ambonę X. Rzewuski i opowiedział życie nieboszczyka. Oczywista rzecz, że w tem opowiadaniu nie mógł pominąć ostatnich czasów, w których dopiero właściwie począł Fijałkowski odgrywać rolę histo-

[1]) *N. Berg,* loc. cit. 364.

[2]) Kościół tak był udekorowany: U góry katafalka były liście dębowe i wieńce z tychże liści uwite. Na przodzie widać było portret zmarłego przez Lessera i Sachettiego (dekoratora teatru) wykonany. Od sklepienia kościoła, ponad katafalkiem, rozpięto z takiegoż sukna pąsowego baldachin w insygnia arcybiskupie przybrany, którego cztery festyny udrapowane przywiązane były pąsowymi sznurami do czterech filarów kościoła. Ze środka baldachinu spuszczał się ponad trumną krzyż metropolitalny srebrny, oświecony lampami. Obok katafalka stały po czterech rogach kandelabry o 40 światłach każdy, strojne w cyprysy i tuje. Wszystkie okna w kościele czarnemi zasłonami zapuszczone zostały, posadzka kobiercami wysłana, podobnież jak i chóry niemi okryte, a ambona osłoniona pąsowem suknem i krepowymi festonami. Tron arcybiskupi żałobą również był pokryty.

ryczną i stał się bożyszczem narodu. Rzewuski, przedstawiając jak wielkie trudności miał zmarły do pokonania, wołał: „czyż mógł arcypasterz zgodzić się na to, aby z Sakramentu spowiedzi trybunał indagacyjny robiono, a to przez rządowy zakaz wydany do duchownych, aby tylko znajomych do konfesyonału przypuszczali? List pasterski wydany o wstrzemięźliwości kilka razy odrzucała i przerabiała władza świecka, wogóle nie jak przewodnika i dygnitarza Kościoła, lecz jak podrzędnego sługę arcybiskupa traktująca. Ostatnie wypadki, w których obrażono religią w jej godłach, nie mało także przyczyniły się do przyspieszenia zgonu nieboszczyka...“

Po nabożeństwie, długo w noc kościół, jaśniejący wciąż łuną światła i blaskiem purpury, był otwarty i tłumy rozkołysane tą olbrzymią manifestacyą, szły oglądać ustrojenie świątyni i katafalka i modlić się za duszę zmarłego.

Tak się skończył ten dzień pamiętny; sam pogrzeb z jego królewską wspaniałością, z czcią i powagą majestatyczną, wywarł wielkie, niezatarte wrażenie. Gazety ówczesne, opisując go, wpadają w zachwyt i uniesienie. „Ten tłumny orszak ludzi wszystkich stanów, pisał J. I. Kraszewski w „Gazecie Polskiej“, wszelkiej wiary, płci i wieku, złączony węzłem jednego, w piersiach tysiąców bijącego uczucia; związany braterstwem nadziemskiem (?), jakby widzeniem przyszłych losów świata; przesuwający się wśród żałobą okrytego miasta, ze śpiewy (sic), które wiara głęboka natchnęła nadzieją niebieską, podnosił duszę ponad boleści ziemi i opromieniał pokojem anielskim“. „W tym wielkim chórze tysiąców piersi nie było jednej nuty fałszywej, nuty nienawiści, wyróżnienia, nierówności; wszyscy stali się maluczkimi, aby całość urosła w potęgę, aby wypowiedzieli sobą, że wiara i miłość są siłą naszą“.

Nazajutrz od samego rana, od godz. 7-ej, rozpoczęło się znowu, celebrowane przez biskupa Szymańskiego, nabożeństwo, trwające do godz. 10-ej, w czasie którego biskup Plater miał mowę i opowiedział szczegółowo o ostatnich chwilach zmarłego, i o tem, jak błogosławił zebranych koło

swego łoża biskupów, i jak ich zaklinał, by trzymali z narodem. Po ukończeniu nabożeństwa, ciało pochowano w grobach pod kościołem. W owe czasy, tuż przy schodach, prowadzących do prezbiteryum, była duża płyta marmurowa, która przykrywała wejście do grobów. Płytę ową podniesiono i po krótkiej mowie X. Białobrzeskiego, trumnę spuszczono do lochu. Wśród tego młodzież kręcąc się po kościele przypominała obecnym, by się licznie zebrali na obchód uroczysty i nabożeństwo żałobne w dzień śmierci Kościuszki, d. 15 października i księcia Józefa d. 19 t. m. W ten sposób sam pogrzeb się skończył, ale nie skończyły się inne objawy i jego konieczne następstwa [1]).

Chłopami, zwiezionymi na pogrzeb z różnych miejscowości kraju, zajęto się bardzo gorliwie. Całemi grupami

---

[1]) Koszta pogrzebu były bardzo znaczne i według wykazu urzędowego, jaki posiadamy w naszych zbiorach, obciążały masę spadkową po zmarłym. Wynosiły one w ogólności rs. 2994 kop. 6. (Ubogim rozdano rs. 150; muzyka w katedrze rs. 100; katafalk i karawan rs. 170 kop. 70; żałobnicy rs. 6; trumna rs. 255; dorożki rs. 19; balsamowanie zwłok rs. 125; zakonnikom za msze w kaplicy pałacowej rs. 120; światło rs. 846 kp. $24^1/_2$ za t. z. klapsydry i bilety wolnego wejścia do katedry rs. 150; tapicer Mergenthaler za baldachin i dekoracyą katedry rs. 1063 kop. $5^1/_2$; sąd za opieczętowanie rs. 25). Arcybiskup zostawił testament, spisany jeszcze w r. 1845, do którego dołączone były trzy kodycyle własnoręczne, ostatni z d. 13 września 1861 r. Uniwersalnymi spadkobiercami ustanowieni byli dwaj Fijałkowscy, jeden brat rodzony zmarłego Józef Kalasanty, właściciel wsi Piaskowice pod Zgierzem w pow. Łęczyckim, oraz synowiec Wiktor Fijałkowski, właściciel dóbr Kossowice w Opatowskiem. Spadek nie był zbyt znaczny. Masa czynna wynosiła wogóle rs. 15.211 kop. $21^1/_2$ (w tem w gotowiznie, w srebrze i złocie było rs. 6.688 kop. 34; w srebrach domowych i klejnotach rs. 1.606 kop. 65); pasywa zaś dochodziły do rs. 9.137 kop. 64, tak że ogółem cały spadek wynosił rs. 6.073 kop. $57^1/_2$, którym się spadkobiercy podzielili. Później, niewiadomo za co, zdaje się jednak, że z powodu pogrzebu arcybiskupa, obaj ci spadkobiercy byli aresztowani i siedzieli przez trzy miesiące w cytadeli. Prócz nich zmarły miał jeszcze blizką krewną Józefę Mansfeldową, zamieszkałą podówczas w Jędrzejowie w Krakowskiem, córkę rodzonego brata Mateusza, ale tej dla niewiadomych powodów nic nie zapisał.

zabierały ich do siebie na noc klasztory Kapucynów, Bernardynów i inne, a prócz tego poumieszczano ich po domach prywatnych, w czem żydzi nie pozostawali w tyle, i ugaszczano ich suto i karmiono ideami tego patryotyzmu gorącego, który wrzał teraz we wszystkich sercach. Chłopi jedli dobrze i słuchali w milczeniu, potakując wszystkiemu, ale nie wygłaszając swego zdania, które dopiero nazajutrz, przez usta jednego z najstarszych z pomiędzy siebie, wypowiedzieli dość szorstko i wyraźnie.

Na drugi dzień bowiem (11 października) po pogrzebie, rewolucyoniści zajęli się wyłącznie chłopami, w których zgodnie ze swą teoryą widzieli jedynych zbawców Polski, byle ich się udało zyskać. Zawieziono ich najprzód na Powązki, na grób poległych i kazano im zarzucić go wieńcami; potem urządzono dla nich dwie uczty, jedną w hotelu Wiedeńskim, drugą w Europejskim. W tym ostatnim zebrało się mnóstwo ludzi wszystkich stanów, ciekawych tego niezwykłego w Polsce widoku, panów ugaszczających chama, surdutów i siermięg zmięszanych razem. Kto mógł, biegł do przepysznej sali hotelu Europejskiego, gdzie przy ogromnym stole, na 200 osób zastawionym, zasiedli wszyscy wspólnie. Każdy chłop miał sobie dodanego jednego z członków albo b. Towarzystwa rolniczego, albo Delegacyi, albo wreszcie z pośrodka młodzieży, która starała się wszelkiemi siłami okazywać swym gościom serdeczność i uczucia braterskie. Było mnóstwo żydów, szlachty, księży i mieszczan warszawskich. Pito głównie miód polski. Przemawiali księża: Stecki i Wyszyński, oraz August Zawisza, Hiszpański i inni. Wszystkie mowy miały za temat tę ojczyznę nieszczęśliwą, tak biedną, rozszarpaną, ujarzmioną; wszystkie starały się obudzić uczucia patryotyczne w chłopach. Ci zrazu siedzieli dość mroczni i nieswoi, ale powoli ich poczciwe dusze polskie, stara krew piastowska, w tej atmosferze powszechnego entuzyazmu, w tej rosnącej fali miłości do kraju, poczęły się rozgrzewać. Jakiś stary kmieć z księstwa Łowickiego powstał i wyrzekł te słowa pamiętne: „teraz panowie

jesteśta z nami w zgodzie, ale jak przyjdzie do czego, to tak jak w rewolucyą, rzucita nas na zeżarcie Moskalowi!“ Lecz te słowa gorzkiej prawdy nikogo nie obraziły; rozrzewnienie doszło do najwyższego stopnia, wszyscy płakali, przysięgali sobie miłość i zgodę, byle ojczyzna była wolną i szczęśliwą! Piękna zaiste godzina, szczytny wylew najserdeczniejszego entuzyazmu, czemuż niestety! tak krótko trwały?...

Tę ucztę pogodzenia się wszystkich stanów na grobie ojczyzny, jak mówiono, zakończył ksiądz Stecki mową, w której przedstawił obecne położenie kraju, zachęcał wszystkich do ufności wzajemnej, ostrzegał, by nie słuchano podszeptów fałszywych, wreszcie podniósł stary toast polski: kochajmy się! Więc rzucono się sobie w ramiona, ściskano się, całowano, uniesienie dochodziło do ostatnich granic. Potem wznoszono różne toasty, na cześć pana Andrzeja Zamoyskiego, księży Wyszyńskiego i Steckiego, za pomyślność „starozakonnych braci naszych“, za wygnańców, za unią Litwy i Rusi z Polską...[1]).

Uczta skończyła się koło godziny 5-tej po południu. Na chłopów oczekiwały już na Placu Saskim trzy omnibusy i kilka dorożek, które miały ich odwieść do kolei. Wychodzącym ze sali rozdawano małe medaliki na pamiątkę zjazdu w Horodle wybite, jakoteż wizerunki zmarłego arcybiskupa. Chłopi siadając na wózki, rozochoceni mocno, w swej rozbujałej fantazyi polskiej, poczęli wołać: „niech żyje Warszawa!“ Jedna ich część jechała na stacyą kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, druga do rogatek Mokotowskich. Na koźle pierwszego omnibusu siedział chłop i trzymał chorągiew z orłem białym. Tysiące ludzi, tłumy ogromne towarzyszyły tej jeździe; zdejmowano kapelusze, rzucano czapki w górę, krzyczano: „niech żyje Polska! niech żyją bracia nasi wieśniacy! Na stacyi kolei niemniejszy tłum oczekiwał. Utworzono szpaler, wśród którego znajdowało się wiele kobiet strojnie ubranych, z bukietami kwiatów,

[1]) Z relacyi współczesnych.

którymi obrzucały chłopów. Ci szli środkiem szpaleru z chorągwiami, trzymani pod ręce przez szlachtę i Warszawiaków. Miejsca w wagonach już były dla nich przygotowane i opłacone. Wśród nieustannych okrzyków: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ wśród potopu kwiatów i wieńców, chłopi siadać poczęli do wagonów. Owego starego mówcę z hotelu Europejskiego, który przepowiadał, że panowie cisną chłopów „na zeżarcie Moskalowi“, zaniesiono na rękach do wagonu i domagano się odeń błogosławieństwa dla Warszawy. Na pierwszym wagonie powiewała zatknięta chorągiew z orłem polskim, na drugim krzyż ciernowy. Gdy pociąg ruszył, lud klęknął i zaśpiewał: „Boże, coś Polskę“. Aż do okopów liczne tłumy stały i żegnały chłopów, a ci powiewali kapeluszami i czapkami, krzycząc: „niech żyje Polska! niech żyje Warszawa! Wszystkie stacye aż do Skierniewic były uilluminowane i napełnione ludem; wszędzie owacyjnie żegnano gości wiejskich. W Skierniewicach kościół był oświecony i po przyjeździe chłopi udali się do niego, skąd po odśpiewaniu paru pieśni rozeszli się do domów.

Tak się skończyła ta wielka manifestacya, różniąca się od dotychczasowych tą wyraźną cechą, że usiłowano wciągnąć do ruchu chłopów, dotąd zdala odeń stojących, a nawet mu niechętnych. Rewolucyoniści z tej manifestacyi cieszyli się nadzwyczajnie; różna młodzież w guście Marata-Szachowskiego, urodzona i wychowana na bruku Warszawy, znająca chłopa ze sceny, lub z „Czytelni niedzielnej“, przekonaną była, że z garścią skierniewieckich i mokotowskich chłopów cały lud polski sobie zyskała, że lud ten odtąd należy do powstania i, byle hasło tylko dano, porwie za starą kosę Racławicką. Starsi, doświadczeńsi, lepiej znający kraj a nadewszystko chłopa, nie mieli pod tym względem złudzeń, ale cieszyli się z tego, że w oczach Europy, o co im bardzo szło, Polska we wszystkich swych warstwach przedstawić się teraz musi jako jednolita masa, jako jeden naród niczem nie rozdzielony. Na teraz to im

wystarczało i byli bardzo zadowoleni z ostatniej manifestacyi.

Ale nie poprzestano na niej. Powracających z Warszawy po pogrzebie biskupów wszędzie po drodze ostentacyjnie witano. Baranowskiego w Markuszewie, Kurowie, Garwolinie tłumy ludu z kwiatami i wieńcami przyjmowały. Pieńkowskiemu gdzieś na drodze, gromada dzieci wręczyła bukiet z kwiatów białych, czerwonych i niebieskich, prosząc, by wymodlił ojczyznę, za którą one kiedyś chcą walczyć. W Lublinie, w dniu przybycia obu biskupów, miasto uilluminowano, a tłum ludu, wśród grzmiących okrzyków, odprowadził ich do mieszkania.

Rozpoczęły się teraz w całym kraju nabożeństwa żałobne za duszę zmarłego arcybiskupa[1]). W Kijowie przyszło przy tej sposobności do brzydkiej awantury. Nabożeństwo naznaczone było na dzień 21 października. Studenci uniwersytetu żywo się tą sprawą zajmowali i rozesłali zaproszenia w trzech językach: polskim, ruskim i ro-

[1]) W Poznaniu odbyło się ono d. 14 października, w kościele św. Wojciecha, przy ogromnym napływie ludności, wśród kiru, którym świątynia była obita, z katafalkiem, na którym stała świeca złamana i niezapalona, koroną cierniową ozdobiona. We wszystkich miasteczkach Księstwa odprawiano także nabożeństwa. W Krakowie administrator dyecezyi wezwał do tego duchowieństwo i polecił, by przez pięć dni, trzy razy dziennie uderzano w dzwony, lud zaś przez rok cały plebani mają w każdą niedzielę i święto wzywać z kazalnic do modlitwy za duszę zmarłego. W Tarnowie odbyło się nabożeństwo d. 11 października, we Lwowie d. 15, gdzie celebrował arcybiskup X. Wierzchlejski. Na katafalku umieszczony był portret nieboszczyka i testament przekazany duchowieństwu polskiemu. W Paryżu d. 24 października w kościele Wniebowzięcia wszyscy Polacy ubrani w grubą żałobę byli obecni na nabożeństwie; d. 8 odbyło się ono w Krasnostawie, 12 w Kaliszu, 16 w Tarnobrzegu, 12 w Lublinie, 11 w Kole, 14 w Koninie, 11 w Białobrzegach, 10 w Brześciu Litewskim, d. 18 w Mińsku Litewskim. Zjazd szlachty był tu ogromny celebrował biskup Wojtkiewicz. Cały kościół był kirem obity i dwie chorągwie czerwone z białymi orłami nad katafalkiem w kształcie krzyża zawieszone. Dnia 18 w Wilnie w kościele Franciszkanów; w Grodnie d. 9 października; d. 29 w Mohilewie, gdzie nabożeństwo,

syjskim. Kościół był przepełniony, strój czarny przeważał. Przy wyjściu z kościoła, spostrzeżono na ganku stojącego dozorcę policyjnego, niejakiego Matkowskiego, oczywiście Polaka, rzucono się nań, przewrócono i zbito nielitościwie. W kilka dni potem (według innych poprzedniego dnia) taki sam los spotkał na najruchliwszej ulicy, na Kreszczatiku, urzędnika dóbr państwowych Rodziewicza, który uchodził w oczach młodzieży za złego Polaka [1]).

Tymczasem gdy się to działo w Kijowie, gdy w Warszawie tak uroczyście chowano interrexa polskiego i uczto-wano z chłopami w hotelu Europejskim, zdala od stolicy, nad Bugiem rozgrywały się inne sceny, niemniej uderzające swą wielkością i oryginalnością. Wieści o tem, co się stało w Horodle, gdzie tego samego dnia, w którym odprawiał się pogrzeb Fijałkowskiego, odbył się dawno zapowiadany zjazd, zrazu głuche i niepewne, w końcu jasne i szczegółowe nadbiegły do Warszawy i wszystkie serca patryotów napełniły radością.

---

jak donosiła „Gazeta Polska“,- zakończyło się „tkliwym śpiewem, który jakby z jednej piersi i z jednego serca pochodził“. Dnia 6 listopada w Rzeczycy (Inflanty polskie). Odbyły się nabożeństwa prócz tego w Rohaczewie, Kopyściu i wielu bardzo wsiach. W Warszawie odbywały się kolejno we wszystkich kościołach, wszędzie wśród kirów, emblematów, pieśni, z wyraźnym charakterem manifestacyjnym. Dnia 7 listopada odprawiono je w Petersburgu; d. 5 listopada w Rzymie w kościele św. Klaudyusza. Śpiewacy z kaplicy Sykstyńskiej, umyślnie przez Papieża przysłani, wykonali treny żałobne.

[1]) Jak dalece już wtedy stosunki między młodzieżą polską i ruską, a zwłaszcza rosyjską, były rozgoryczone, świadczy fakt następujący: Po wypadku z Matkowskim studenci Polacy udali się do uniwersytetu i tu w sali zebrań odczytano głośno list, pisany przez studentów petersburskich, domagający się, by Kijowiacy przyłączyli się do kolegów wszystkich innych wszechnic w sprawie protestu przeciw nowym przepisom uniwersyteckim, jakie rząd wprowadzał. Ale tu wobec Rusinów i Rosyan sprawa ta, właśnie dla tego, że była popierana przez Polaków, nie mogła znaleść sympatyi. Mimo to, jeżeli wierzyć można doniesieniom urzędowym, studenci Polacy, w towarzystwie bardzo nielicznej garstki Rusinów, mieli potłuc

Myśl obchodu rocznicy unii Horodelskiej już od kilku tygodni agitowała się żywo w całym kraju. Powstała ona, jak się zdaje, w głowie Apolla Korzeniowskiego, który, najwykształceńszy może z pośrodka otaczającej go młodzieży, wychowanej w szkole Muchanowa, pierwszy wprowadził manifestacyjne obchody rocznic historycznych. Przytem, jako Rusin z rodu, chciał przez ten obchód obudzić dawne wspomnienia unii Polski z Rusią, jak obchód w Kownie d. 12 sierpnia obudził wspomnienia unii z Litwą [1]). Pragniono zresztą pokazać światu całemu, że Polska w swych starych granicach historycznych zawsze jest tą samą Polską, jaką była przed rozbiorami, że pretensye rosyjskie do Rusi są nieuzasadnione. Do urzeczywistnienia projektu tej manifestacyi przyczynił się także bardzo wiele ksiądz Stefan Laurysiewicz, Rusin z rodu, unita, zamieszkały w tej porze w monastyrze Bazyliańskim w Lublinie [2]). Gorący

ramy i szkło, za którem umieszczone było ogłoszenie o nowych przepisach. Rada pedagogiczna uniwersytetu wobec tego wezwała studentów, ażeby na piśmie oświadczyli, że nie sympatyzują wcale z powyższą demonstracyą. Podpisywanie tej deklaracyi szło bardzo wolno, mimo to w ciągu trzech dni zdołano zebrać 300 podpisów; nie dość na tem, studenci Rusini, a jak się niektórzy już poczynali nazywać „Małoruscy“, wyjednali u władzy pozwolenie na zwołanie zgromadzenia, któreby zastanowiło się nad środkami, mogącymi na przyszłość zapobiedz takim, jak 9 października, demonstracyom. Pierwszą kwestyą, jaka się podniosła na tem zebraniu, była; „czy studenci Polacy mogą brać udział w zgromadzeniu?“ w rezultacie po długich rozprawach zgodzono się, że mogą być obecni, ale głosu żadnego nie mają. Rezultatem tej narady był taki wniosek: „że ponieważ Polacy przykrzą się nie tylko krajowi południowo-ruskiemu, ale i uniwersytetowi, więc studenci ruscy zmuszeni są prosić rząd, ażeby założył dla Polaków osobny uniwersytet“. Jednakże Polacy, prawdopodobnie w poczuciu potrzeby zyskania sobie Rusinów, zwrócili się do nich z propozycyą zgody i przedstawienia warunków, na których ta zgoda mogłaby dojść do skutku. W tym celu wybrano z obu partyi deputowanych, którzy zebrali się w nocy, ale i ta narada do niczego nie doprowadziła, owszem rozdrażnienie wzajemne jeszcze bardziej zaogniła. (Na podstawie relacyi urzędowych).

[1]) Historya ruchu narodowego I, 113.

[2]) Pamiątka dla rodzin Polskich, II, 148.

patryota, pragnął on koniecznie wciągnąć Ruś do ruchu rewolucyjnego, i w tym celu odbył umyślną podróż do Kijowa i na Ukrainę zadnieprską, i zdołał zebrać kilka osób, pewien rodzaj deputacyi, która z nim razem udała się do Warszawy dla porozumienia się z tamtejszemi kołami rewolucyjnemi i określenia stosunku Rusi do przyszłej Polski [1]). Z kim się w Warszawie ci panowie porozumiewali, nie wiadomo; to pewna, że w naradach tych brał udział Korzeniowski, Szachowski, Majewski i inni, i postanowiono, aby odtąd do herbu Polski i Litwy zawsze był dołączany herb Rusi (archanioł Michał), oraz aby „nawiązany węzeł bratni trzech ludów, wskazując nową politykę, różną od dawniejszej, był ujawnionym". I tak powstała myśl zjazdu horodelskiego. Myśl ta znalazła wszędzie oddźwięk, we wszystkich sercach pozyskała aprobatę, tak dobrze wśród mieszczaństwa warszawskiego, jak i śród szlachty. Jurgens podobno gorącym był jej zwolennikiem [2]). Rozpoczęła się więc żywa bardzo i energiczna agitacya w całej dawnej Polsce, prowadzona głównie przez Laurysiewicza i niezmordowanych braci Frankowskich; chciano bowiem, żeby w obchodzie wzięły udział wszystkie części kraju, żeby ze wszystkich jego dzielnic, ze wszystkich ziem i województw byli deputaci. Ktoś zaproponował, żeby

[1]) *Kaź. Gregorowicz* w swym „Poglądzie krytycznym na wypadki 1861—63 r." I, 35, powiada, że w deputacyi tej znajdował się także „potomek w prostej linii dawnego kozaka zaporoskiego, człowiek wielkiego zapału i wykształcenia, który był prawdziwą duszą ożywczą deputacyi, jednocześnie cementem spajającym różnorodne żywioły Rusi. Porozumienie nie było łatwe; nagromadzone w przeszłości materyały do wzajemnego niedowierzania, budziły się pod wpływem rozpraw, dotyczących rzeczy narodowych pierwszorzędnego znaczenia". Kozakiem tym, o ile wiemy, był niejaki Podhaluzin, osobistość niewyraźna, mięszająca się w tej dobie do wszystkiego, który w r. 1863 dowodził niewielkim oddziałem jazdy w Sandomierskiem, pod pseudonimem Huragana. Schwytany, został rozstrzelany w rowie cytadeli warszawskiej w r. 1866.

[2]) „Pamiątka dla rodzin polskich" I, 124, zwie go błędnie Podhamozinem Mitrofanem.

z dzielnic tych, jak niegdyś na krakowski kopiec Kościuszki, każdy przywiózł garść ziemi i żeby z ziemi tej na pamiątkę obchodu usypaną była mogiła. Krążyło zresztą mnóstwo projektów, mówiono o nich głośno i oczy wszystkich zwrócone były na ciche, nadbużne miasteczko, w którem zamierzano odbyć tę wielką manifestacyą wszechpolską.

W końcu września ukazała się nareszcie odezwa, napisana, jak się zdaje, przez Korzeniowskiego [1]), wzywająca do obchodu unii w Horodle nadbużnem d. 10 października. „Niesłychanem w dziejach narodów wydarzeniem, woła odezwa, wzajemne sympatye i idea wolności zastąpiły tu zwycięstwo i podbój. Pominąć fakt podobny bez nadania mu właściwego znaczenia dla chwili obecnej, nie uświęcić powszechnym narodowym obchodem tak drogiej dla nas pamiątki, byłoby zaparciem się wobec Europy, narodów i własnego sumienia, swojej przeszłości i przyszłości zarazem. Wzywamy więc trzy narody połączone, aby tem sercem przyjęły odezwę naszą, jakiem ich przodkowie przyjęli wezwanie na zjazd horodelski i tuszymy, że głos nasz w każdym miłującym ojczyznę i swobody znajdzie przychylne uznanie“. Odezwa, dla nadania obchodowi znaczenia, wzywała przedewszystkiem duchowieństwo unickie i łacińskie, „aby tak ze względu na jedność cierpień i nadziei z narodem, jakoteż dla interesu kościoła, ściśle połączonego z interesem Polski“, przyjęło publiczny i najszerszy udział w obchodzie przez swoich biskupów, deputacye kapituł, zgromadzeń zakonnych i wszelkich korporacyi duchownych ze wszystkich dyecezyi dawnej Polski; domagała się, by towarzystwa naukowe i literackie, uniwersytety, redakcye dzienników polskich i ruskich, towarzystwa i spółki przemysłowe, miasta i korporacye „Polaków Moj-

[1]) *N. Berg,* loc. cit. 349. Odezwę tę wydrukował *Giller,* (Hist. pow. nar. pol. II, 87) oraz broszura „Wiadomości z kraju“ p. 19; wreszcie bardzo często można ją spotkać w zbiorach druków z tej epoki.

żeszowego wyznania“, i wogóle wszelkie ciała społeczne, mające pewną organizacyą, przyjęły przez swych deputatów udział w zjeździe. „Naród nasz, mówi odezwa, w ten tylko sposób reprezentowany, potrafi obchodowi horodelskiemu zapewnić powszechne i narodowe uznanie“. W końcu proklamacyi znajdował się spis księstw, województw i ziem, stanowiących niegdyś ciało Rzeczypospolitej, które miały należeć do obchodu. Żałobę na ten dzień polecono zrzucić.

Nowa ta manifestacya, która ogromem swoim wszystkie dotychczasowe przewyższyć miała, mocno zaniepokoiła Lamberta, ale nie wiedział jak sobie postąpić. Raz chciał ogłosić stan wojenny, o który nieustannie nań cesarz nalegał, to znów myślał, że najlepiej będzie wprost zakazać zjazdu w Horodle. Wielopolski zapytany o radę, najusilniej oparł się ogłoszeniu stanu oblężenia. Stan oblężenia, mówił, nie jest środkiem zapobiegawczym; należy się do niego uciekać wtedy dopiero, gdy tego wymagać będzie bezwarunkowo utrzymanie porządku publicznego. „Bądźmy oszczędni w słowach, zakończył, ale za to szczodrzy w czynach“ [1]). Lambert usłuchał tej rady i postanowił zapobiedz zjazdowi horodelskiemu przez odpowiednie rozporządzenia wojskowe i przez prosty zakaz, choć z góry należało przewidywać, że ani jedno, ani drugie do niczego nie doprowadzi.

W tym celu naczelnik sztabu głównego, wysłał z rozkazu namiestnika d. 26 września, a więc na dwa tygodnie przed zapowiedzianym zjazdem, do jenerała Chruszczowa, znanego nam już naczelnika wojennego w Lublinie, odezwę, w której zaznaczał, że „obiegają tu pogłoski, jakoby w miasteczku Horodle zaczęto budować łuki tryumfalne (triumfalnyja arki)“; że „jeżeli rzeczy w istocie tak się mają, to namiestnik życzy sobie, aby wszelkie tego rodzaju budowle były zburzone do fundamentów“; że namiestnik „poleca panu jenerałowi (waszemu prewoschoditelstwu), ażeby osobiście udał się do Horodła dnia 10 października,

1) *Lisicki*, Le marquis II, 231.

a nawet wcześniej jeżeli pańska obecność okaże się tam potrzebną"; „że bardzo byłoby pożądanem zmuszenie tłumu do rozejścia się samemi słowami i namową (ugowo-rami i uwieszczaniami), ale jeżeli to skutku nie odniesie, to należy uciec się do broni" [1]).

Instrukcya była jasna i wyraźna, ale można się było spodziewać, że Chruszczow, człowiek dobry i łagodny, mając wolność do nieuciekania się do broni, w żadnym razie jej nie użyje. Mimo to wziął się zaraz do wykonania rozkazów. Do Horodła wysłał natychmiast swego szefa sztabu, podpułkownika Witkowskiego, znanego nam z czasów Delegacyi lubelskiej, Polaka, Warszawiaka rodem, który właśnie rozpoczynał swą dziwną rolę historyczną, ażeby kazał rozburzyć owe „łuki tryumfalne", o jakich rozkaz namiestnika mówił. W rzeczy zaś samej nie były to żadne łuki, ale poprostu założono, niewiadomo z czyjej inicyatywy, fundamenta pod mający się wznieść pomnik na pamiątkę unii. Witkowski fundamenta te kazał rozrzucić, Chruszczow zaś zgromadził w Horodle i jego okolicy bardzo znaczne siły wojenne, dochodzące do 1.500 ludzi piechoty, 1.000 koni i 8 dział artyleryi konnej. W samem Horodle stanęło 1.000 ludzi piechoty, 300 koni jazdy i cztery działa artyleryi konnej [2]).

Takiemi były rozporządzenia wojskowe, któremi miano nadzieję zapobiedz nowej manifestacyi. Liczono może na to, że tak znaczne rozwinięcie sił wojennych przestraszy manifestatorów. Z drugiej strony Lambert kazał w d. 1 października, w pierwszym numerze nowego „Dziennika powszechnego", ogłosić co następuje: „doszło do wiadomości rządu, że na d. 28 września (10 października) r. b. zamierzone zostało liczne zebranie ludu do miasteczka Ho-

[1]) *N. Berg*, loc. cit. 352.

[2]) Reszta sił zajęła Hrubieszów (szwadron dragonów, 4 działa oraz 2 kompanie pułku Mohilewskiego piechoty), Dubienkę (30 kozaków), wieś Łużków (szwadron dragonów). Rezerwę utworzyły dwa szwadrony ułanów, których ściągnięto forsownym marszem z Krasnegostawu, oraz setnia kozaków sprowadzona z Chełma.

rodła, położonego w gubernii lubelskiej, powiecie Hrubieszowskim. Gdy powód tegoż zgromadzenia niczem usprawiedliwić się nie da, a sam napływ w to miejsce znacznej ludności może wywołać nieład i zakłócić porządek publiczny, przeto z polecenia J. W. P. O. namiestnika Królestwa, podaje się do powszechnej wiadomości, że wspomnione zgromadzenie zostaje przez rząd wzbronionem, i że w celu zapobieżenia temu przedsięwzięte są odpowiednie środki".

Rzecz prosta, że nie można się było łudzić, by ten zakaz jakikolwiek miał skutek. Zewsząd dochodziły wieści, że rewolucyoniści zamiar swój urzeczywistnią, że ruch w kraju jest wielki, że zjazd będzie olbrzymi. Chruszczow obsadził wszelkie drogi i przesmyki, oraz wybrzeża Bugu, kawaleryą; prócz tego jak w czasie wojennym wysyłał ciągłe patrole i podjazdy we wszelkich kierunkach. Zdarzyło się, że w nocy z d. 3 na 4 października, w okolicach wsi Hrebienne, leżącej wśród bagnisk, jeden z dragonów natknął się na partyą jeźdźców, złożoną z 10 do 12 koni, i zaczepiony przez nich, dał ognia z pistolelu [1]). Co znaczyli owi jeźdźcy niewiadomo; zdaje się, że była to młodzież okoliczna, która zajmowała się przygotowaniami do manifestacyi.

Gdy o tym, bardzo małego zresztą znaczenia wypadku, wieść doszła do Warszawy [2]), wywarła ona silne wrażenie na Lamberta. Począł on się lękać i słusznie, żeby zbytnia gorliwość oficerów z jednej, dzikość żołnierzy z drugiej strony, nie doprowadziła do krwi rozlewu, i nie przerwała nazawsze tak mozolnie nawiązywanych nici uspokojenia kraju drogą łagodności i ustępstw. Wypadek w Hrebiennem świadczył, że wojsko w okolicy Horodła jest silnie podrażnione, uważa się za będące na wojnie i może się

---

[1]) *N. Berg,* loc. cit. 353, podejrzywa, że jeźdźcy owi chcieli dragona utopić w bagniskach i że pistolet jego wystrzelił wypadkiem.

[2]) Chruszczow zdał o nim raport zaraz, d. 5 października.

dopuścić strasznych nadużyć. Dla zapobieżenia temu, w d. 6 października wysłał do Chruszczowa nowy rozkaz, w którym zalecał mu „zwracać baczną uwagę na wojska, zebrane obecnie w okolicy Horodła, oraz na to, że wojska te, tak piechota jak i dragoni, przybyli niedawno z Rosyi, a więc mogą, nierozumiejąc jeszcze naszego stosunku do mieszkańców tutejszych, uciec się do broni, czego należy unikać...“ „jeżeli zaś, pomimo wszelkich środków zapobiegawczych... procesya przyjdzie do skutku, to należy ją rozpędzić przy pomocy jazdy, działając ze skrzydeł i z tyłu, przyczem należy unikać starcia z księżmi i kobietami. Upartych trzeba aresztować i odsyłać do Zamościa, do czasu zdecydowania o ich losie przez namiestnika“ [1]).

Wśród takich warunków i takich przygotowań, zbliżał się dzień 10 października, naznaczony na zjazd. Właściwie miały być dwie procesye: jedna z prowincyi leżących z tej strony Bugu, druga z Rusi zabużnej. Obie miały się zejść w Horodle, tam odprawić nabożeństwo uroczyste i usypać na pamiątkę mogiłę. Ale Chruszczow zapobiegł temu przez to, że rozstawił, jakeśmy rzekli, wzdłuż Bugu, po obu jego stronach, gęste placówki kawaleryjskie i nikogo z jednego brzegu na drugi puszczać nie kazał. Prócz tego polecił ściągnąć na lewy brzeg wszystkie łodzie i promy, tak że komunikacya była przerwana zupełnie. Te przygotowania ze strony rządu, to nagromadzenie wojska, które w łatwo zapalnej wyobraźni tłumu obliczano na 40 tysięcy, nie uszły i nie mogły ujść uwagi manifestatorów; przekonani oni byli, że w Horodle przyjdzie do nowego „krwawego starcia“, ale to wcale ich nie przerażało i bynajmniej nie myśleli się cofać. Osądziwszy raz taki zjazd za rzecz pożyteczną dla ojczyzny, postanowili go dokonać, choćby nie

[1]) *N. Berg,* loc. cit. 354. Niesłuszny zdaniem naszem *Berg* robi zarzut Lambertowi, że dwie zacytowane przez nas instrukcye były sprzeczne między sobą i że Chruszczow poprostu stracił głowę (jestestwienno rasterialsia). Jak w pierwszej tak i w drugiej namiestnik wyraźnie zalecał postępowanie łagodne.

40 ale 100 tysięcy wojska stanęło im na drodze. Był to pewnego rodzaju heroizm i gotowość do ofiar; jedna z tych cech podniosłych, jaka znamionuje ludzi tej epoki. Z drugiej jednak strony, wieść o znacznem nagromadzeniu wojsk, mnóstwo plotek, obiegających po kraju, zakaz rządu, ogłoszony w „Dzienniku powszechnym“, nie pozostały bez skutku. Liczba uczestników w zjeździe zmalała znacznie; jeżeli pierwotnie wybierały się tam dziesiątki tysięcy ludzi, jeżeli sądzono, że na polach Horodła zbierze się do stu tysięcy, to przekonano się, że zebrało się ich zaledwie jakieś kilkanaście [1]).

Ale i ta cyfra była bardzo poważną; to też ciche zwykle, jakby senne okolice nadbużne, wśród ślicznej i ciepłej jesieni ożywiły się w tej chwili niezmiernie. Już na dwa dni przed naznaczonym terminem, na wszystkich traktach, ku Horodłu wiodących, z północy, południa i zachodu ciągnęły nieustannie wozy i bryczki, wiozące ciekawych i takich, którzy przybywali tu z głębokiem przeświadczeniem, że spełniają ofiarę, ale ofiary tej ojczyzna wymaga. „Od Krasnegostawu począwszy, opowiada jeden ze świadków naocznych, jechałem już w towarzystwie kilkudziesięciu wozów i bryczek, których drugie tyle toczyło się jeszcze za nami sznurkiem bez końca“. Na kilka mil wokoło nie było też dworu, karczmy, chaty chłopskiej, gumna, stodoły, gdzieby ze środy na czwartek t. j. z dnia 9 na 10 października nie nocowało nieraz po kilkadziesiąt osób. Były dwory, w których po kilkaset gości się mieściło; gospodarz nie pytał czy to znajomi lub nieznajomi, lecz przyjmował wszystkich z tą szczerą, serdeczną gościnnością polską, z tą gotowością ofiar dla celu szerszego, dla ojczyzny, jaka cechuje ówczesne pokolenie. Hrubieszów,

[1]) Korespondent z Lubelskiego, opisujący zjazd w Horodle w zeszycie listopadowym 1861 r. „Przeglądu rzeczy polskich“, oblicza tłum na 15.000 głów. *N. Berg* loc. cit. 355, powiada, że było pod Horodłem do 10.000 ludzi. Autor broszury „Die Vorläufer des polnischen Aufstandes“ mówi (p. 147) o 15.000. Takąż liczbę podaje rękopiśmienna kronika tych czasów, jaką posiadamy.

Stepankowice, Dubienka, Łużków, Hołubków i mnóstwo innych wsi było przepełnionych. We wzmiankowanych Stepankowicach, wielkiej wsi, leżącej na trakcie z Wołynia do Lublina, oddalonej od Horodła o niespełna trzy mile, parę tysięcy ludzi obozowało przez noc na polach; ktoś, jakiś były wojskowy, porozstawiał pikiety, jak w czasie wojennym, i gęste patrole z młodzieży złożone całą noc przebiegały obozowisko, pilnując niby porządku.

Wszędzie, gdzie znaczniejsza ilość pątników się zebrała, odbywały się narady, i nakoniec największy tego rodzaju sejmik, na którym był i Jurgens i Korzeniowski, wielu czerwieńców warszawskich i kilku ze szlachty zamożniejszej z Poznańskiego i Galicyi [1]), odbył się w Stepankowicach. Tutaj jeszcze raz, pomimo mnóstwa zatrważających wieści, postanowiono manifestacyi dokonać; zadecydowano, że do Horodła mają wyruszyć dwie procesye z duchowieństwem na czele: jedna ze Stepankowic, druga z Hrubieszowa; spotkać się w Kopyłowie i stąd już razem, „majestatyczną masą“, jak się wyrażał Szachowski, naśladując konwencyonistów francuskich, udać się do Horodła. Zgromadzonym Rusinom zabużańskim, gdy się dowiedziano w Stepankowicach w nocy z d. 9 na 10 o zajęciu statków przewozowych przez Chruszczowa, pozostawiono swobodę działania, zalecając im jednak, by koniecznie starali się dostać do Horodła, jeżeli nie tłumnie to pojedynczo. Poprzednio jeszcze wysłano deputacyą do biskupa sufragana Baranowskiego do Zamościa, gdzie mieszkał jako tamtejszy proboszcz, ażeby stanął na czele procesyi, ale odmówił, gdyż właśnie otrzymał był rozkaz udania się do Lublina, dokąd w rzeczy samej pojechał [2]).

---

[1]) Jeżeli wierzyć podaniom współczesnym, to miała być deputacya z Gdańska, Malborga, z Kurlandyi (wezwano podobno jenerała Rüdigera i radcę tajnego Krusensterna, ale oczywiście nie przybyli), ze Smoleńska, Witebska, nawet kozacy dońscy przysłali deputata, prawdopodobnie tego samego Podhaluzina, który był w Warszawie na naradzie w sprawie obchodu unii Horodelskiej.

[2]) *Lisicki* „Le marquis II, 223, powiada, że gdy wrócił do Za-

Tutaj to wreszcie, w Stepankowicach, w przewidywaniu, że do Horodła nazajutrz nie będzie można się dostać, spisano t. z. „protest“, a raczej protokół aktu odnowienia unii horodelskiej. Redakcyą tego dokumentu zajął się Kazimierz Gregorowicz, adwokat z Lublina; literat Brzozowski, Apollo Korzeniowski, Marat-Szachowski, i nakoniec Sikorski, uczeń szkoły realnej. Nie obeszło się przytem bez żywych sporów, zwłaszcza między stronnikami Jurgensa i Korzeniowskiego, który domagał się, by w razie przeszkody ze strony wojska, uderzyć na nie i siłą przełamać. Te szalone wnioski odrzucono, ale co gorsza poczęto podejrzywać Korzeniowskiego, że jest prostym zdrajcą, że został przekupiony przez Moskali, by wywołać pretekst do nowej rzezi krwawej [1]).

Wśród takich to przygotowań i sporów, minęła noc i zajaśniał dzień 10 października, dzień bardzo piękny i słoneczny, koło południa nawet gorący i parny. W Stepankowicach o szarym świcie pobudzono wszystkich i o godz. 6-tej rano udano się do miejscowej cerkiewki unickiej, gdzie odprawioną została msza śpiewana, a X. Fidelis Paszkowski, gwardyan Kapucynów z Lubartowa, wystąpił z kazaniem, które do łez rozczuliło obecnych. Kazanie to zakończył on temi słowy: „bracia moi! idziemy na spotkanie nieprzyjaciół, którzy niewiadomo jak się obejdą z nami. Po kilkakrotnem rozlaniu krwi na ulicach Warszawy, możemy się wszystkiego spodziewać i może niezadługo wielu z nas, a może wszyscy staniemy przed sądem Najwyższego; na wszelki więc wypadek uklęknijcie, mówcie spowiedź powszechną, a ja wam dam śmiertelne rozgrzeszenie“. Jakoż wśród płaczu ogólnego, łkania kobiet, wszyscy padli na kolana, a ksiądz z wyciągniętemi rękami,

mościa, ogromny tłum wyszedł na jego spotkanie i miał wołać: coś zrobił z naszymi mężami, braćmi i synami? dlaczegoś ich opuścił? Prałat miał dostać ataku nerwowego. Wiadomości tej nie spotkaliśmy w żadnem innem źródle z tej epoki i dlatego sprawdzić jej nie mogliśmy.

[1]) Z podań współczesnych.

ze wzrokiem ku niebu podniesionym, dał rozgrzeszenie. Scena, według świadków naocznych, była niezwykle wzruszająca i piękna.

Po odprawionej mszy i z tem błogosławieństwem wyruszono wreszcie w drogę. Większość była przekonaną, że idzie na śmierć, że rozegra się straszna pod Horodłem tragedya, powtórzą się krwawe dni kwietniowe, i cokolwiekbądź, trzeba podziwiać heroizm tych ludzi, którzy postępowali śmiało, przekonani, że czynią to dla ojczyzny, że poświęcić się dla niej w tej chwili jest obowiązkiem. Powszechnie spodziewano się zasadzki, nagłej napaści; mówiono, że wojsko, które uważano za hordę dziką, dopuści się rabunku. W tej obawie zostawiano po drodze u obywateli i poczmistrzów kosztowności i pieniądze. Mimo to nikt się nie wrócił, jakkolwiek tu i owdzie, zwłaszcza śród młodszych i gorętszych, odzywały się głosy, że niepodobna dawać się bezkarnie zabijać, że w razie napaści wojska należy siłę siłą odeprzeć. Inni nie pochwalali tych projektów rozpaczliwych. Napojeni mistycyzmem epoki, bredniami poetycznemi o sile ducha i modlitwy, chcieli by posuwano się poważnie i wolno, w uroczystej procesyi, przed którą wojsko, jak utrzymywali, rozstąpić się musi. Byli i tacy nakoniec, którzy radzili dotrzeć tylko do Kopyłowa, pomodlić się tam i rozjechać.

Wśród tego wszystkiego postępowano ciągle naprzód. Na czele procesyi, która miała charakter kościelny, z chorągwiami i obrazami, szli księża, których znaczna liczba się zjechała. Za stosunkowo niewielką ilością pieszych, ciągnął się cały tabor wszelkiego rodzaju bryczek i powozów. Na wozach drabiniastych mieściła się ludność okolicznych miasteczek, widziano nawet kobiety z niemowlętami u piersi. Włościan tylko prawie wcale nie było. Ponieważ wyruszono ze Stepankowic bardzo wcześnie i nieomal naczczo, więc przez drogę posilano się, zwłaszcza że dwory sąsiednie poprzysyłały na furach całe beczki wódki i piwa, całe stosy chleba i pieczeni huzarskiej. Po drodze przyłączały się liczne gromady i procesya Stepan-

kowicka rosła w liczbę, jak lawina staczająca się z gór alpejskich. Śpiewy patryotyczne, rozumie się samo, brzmiały ciągle i według słów świadka naocznego „powietrze niejako w całej okolicy przepełnione było hymnami narodowymi“.

W Kopyłowie połączono się z procesyą Hrubieszowską. Od Horodła oddzielał zebranych tylko las, za którym wiedziano, że są uszykowane wojska i że mają rozkaz niewpuszczania nikogo do miasteczka. Prócz tego zjawił się śród starszyzny, wśród tych, którzy niejako przewodniczyli, którzy w nocy naradzali się w Stepankowicach, pewien właściciel dóbr ziemskich, uproszony przez jenerała Chruszczowa, ażeby starał się zebranych powstrzymać od manifestacyi. Przez usta posła jenerał zapewniał, że ma rozkaz strzelania, że rozkaz ten wykonać musi i wykona. Poseł starał się wszelkiemi siłami spełnić swą misyą jak należy, ale nie mógł nic zrobić wobec rozgorączkowania powszechnego, wobec przekonania, że to co się robi, to się robi dla ojczyzny. Z pogardą odrzucono propozycyą posła, posądzono go nawet wprost o zdradę, miano mu za złe, że podjął się tego rodzaju misyi, wreszcie paroch unicki Bojarski z Krasnegostawu, zawołał: „pójdziemy na długość bagnetu!“ Co to miało właściwie znaczyć, zapewne sam X. Bojarski nie umiałby powiedzieć, dość, że słowa te niezmiernie się spodobały zebranym, od nich przeniosły się do tłumów i wśród okrzyków entuzyastycznych: „pójdziemy na długość bagnetu“, zrywano się do drogi [1]).

Ale teraz, w obliczu niebezpieczeństwa, trzeba było w tym kilkunastotysięcznym tłumie, w tem wielkiem ruchomem obozowisku, przypominającem ze swego wyglądu wędrówki średniowieczne ludów, zaprowadzić pewien ład i porządek. Na czele więc całej procesyi postawiono chłopa, gospodarza z ordynacyi Zamoyskiej, który niósł krzyż z wizerunkiem Zbawiciela; za nim chorągwie i obrazy rozmaitych bractw i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej,

[1]) Z relacyi współczesnych.

potem posuwało się długim rzędem przeszło 200 księży w komżach i stułach. Za księżmi stanęły kobiety, „aby, jak się wyraża źródło współczesne, piersiami swemi ochronić mężów, braci, synów, znajomych, a nawet i nieznajomych, aby tylko rodaków“ [1]). Za tą tarczą niewieścią uszykowali się „delegaci wszystkich prowincyi dawnej Polski“ i tłum cały. Wszyscy z wozów zeszli i wozy te stanowiły ogon procesyi, zajmujący przeszło ćwierć mili drogi. Koło tych wozów młodzież w sukmanach chłopskich i konfederatkach białych harcowała konno, pilnując śród nich porządku. Między zebranymi obiegały wieści, że na tych wozach i bryczkach, pod sianem i koniczyną mieści się broń i amunicya, co oczywiście było fałszem. Mówiono również, że wśród zgromadzonych znajduje się kilkudziesięciu szpiegów, przebranych w strój narodowy, a wysłanych przez rząd umyślnie w tym celu, by wojsko zaczepić i tym sposobem rzeź wywołać. Nie obyło się też w chwili, gdy przechodzono przez las, dzielący Kopyłow od Horodła, bez łapania i bicia owych szpiegów.

Już w lesie napotkano pierwszą pikietę konną, dragona, który spostrzegłszy zbliżającą się procesyę, zerwał się, zawrócił i pędem pognał ku Horodłu. To samo zrobiła druga i trzecia pikieta, co wszystko nie pozostało bez pewnego wrażenia na idących. Gdy nakoniec wydostano się z lasu, ujrzano na obszernej płaszczyźnie, pagórkowato się wznoszącej, której ramą było Horodło i sine lasy, ustawioną w szyku bojowym piechotę z jazdą po skrzydłach i artyleryą, a na przedzie świetny, błyszczący sztab z Chruszczowem na czele. Słońce jesienne złociło bagnety i hełmy, działa i szable i błyskawice w nich zapalało. Widok ten jednak nie powstrzymał procesyi, posuwała się ona dalej, gdy nagle rozległ się głos donośny: „stać!“ Zatrzymano się więc, a znany nam już ksiądz Bojarski jeszcze raz przemówił do zebranych, że „nie naszą rzeczą jest zemsta, nie naszą w dniu dzisiejszym orężą“, że „z pieśnią, z mo-

[1]) *Kazimierz Gregorowicz:* „Pogląd krytyczny“ i t. d.

dlitwą na ustach, z bezbronnemi, do Boga wzniesionemi ramionami winniśmy naprzód postępować"; zaklinał, że „jeżeli jest pomiędzy wami z bronią ktokolwiek, wskażcie, a sam go w ręce nieprzyjaciela wydam". Mowa ta, wyraz mistycznego usposobienia epoki, była wynikiem tych pogawędek, jakie toczono wśród zebranych, że siłę siłą odeprzeć należy, że na wozach, których nieskończony szereg wlókł się za procesyą, broń się znajduje. Na głos księdza Bojarskiego młodzież zrzekła się swych planów zaczepnych, i wszyscy poporzucali nawet laski, by ruszyć dalej rzeczywiście z gołemi rękami.

Po tym krótkim epizodzie, wśród śpiewu „Kto się w opiekę poda Panu swemu" poczęto iść naprzód. W tejże chwili cała linia wojska się poruszyła i posuwać się zaczęła ku procesyi. Przyszedłszy na strzał armatni, artylerya pędem zatoczyła działa, odprzodkowała je i widać było kanonierów jak stali z lontami zapalonymi. Wojsko zatrzymało się i zdawało się, że lada chwila z tych dział sypną się kartacze, by zdziesiątkować te tłumy, tych księży i te kobiety. Ale widok ten wśród podnieconych do najwyższego stopnia uczuć patryotycznych, wśród entuzyazmu przenikającego wszystkie serca, wśród gotowości do ofiar, nikogo nie powstrzymał. Procesya śpiewając dalej stary psalm Dawidowy, ufna, że może „nie dbać na strzały, któremi sieje przygoda w dzień biały", posuwała się ciągle naprzód. Wówczas jenerał Chruszczow podjechał do idących na czele swego sztabu, złożonego z 14 oficerów, w otoczeniu 20 kozaków, stanął, zdjął czapkę i głosem donośnym zawołał po rosyjsku, że „otrzymał rozkaz od namiestnika, aby nie pozwolić na zbiegowisko w Horodle i jeżeli procesya mimo to będzie tam chciała iść, to zmuszony zostanie uciec się do pomocy siły zbrojnej". Na to z pośrodka zebranych rozległy się słowa: „nie rozumiemy po moskiewsku!" Wówczas jeden z adjutantów Chruszczowa powtórzył przemowę jenerała po polsku, a z głębi procesyi dały się słyszeć krzyki: „na długość bagnetu! na długość bagnetu!" owe niefortunne i pozbawione sensu hasło

dnia [1]). Wreszcie ktoś odpowiedział, że idą się modlić. Chruszczow nic na to nie odrzekł i była chwila strasznej ciszy. Jenerał otoczony błyszczącym sztabem patrzał na tłumy i tłumy patrzały na niego w milczeniu groźnem i niosącem w łonie swem burzę może.

Tymczasem starszyzna, ci, którzy całą tę manifestacyą urządzili, naradzali się gorączkowo co robić. Z miejsca, na którem stano, widziano drugi brzeg Bugu i zgromadzone tam wojska, nie przepuszczające nikogo do Horodła. Wobec tego zadano sobie pytanie, czy wejście do miasteczka jest koniecznem, czy nie lepiej będzie zatrzymać się tutaj, na polu i przed oczami Rusinów zabużańskich odprawić nabożeństwo. „Byliby oni w takim razie niejako obecni zebraniu, nie słysząc wprawdzie wyrazów, ale patrząc na obrzęd, wytykający na przyszłość nową drogę postępowania“ [2]). Rada ta przypadła do smaku wszystkim i dla jej przeprowadzenia wysłano do Chruszczowa deputacyą z księdzem Bojarskim na czele. Ten zbliżywszy się do Chruszczowa zapytał: „czy jenerał dajesz na to słowo honoru, że każesz strzelać, jeżeli zechcemy wejść do Horodła?“ Chruszczow odrzekł potwierdzająco, więc Bojarski zauważył, że „niepodobieństwem jest, aby kilkunastotysięczna masa, z tak daleka na nabożeństwo zgromadzona, bez odbycia takowego się rozeszła; że przecież modlić się nie zabroniono“. Chruszczow na to odparł, że rząd pozwala na procesye kościelne przez Kościół ustanowione, nie mające charakteru politycznego i demonstracyjnego, i że procesya

[1]) Rozmaite są relacye o szczegółach tej rozmowy. Według *Gregorowicza*, nie adjutant przetłomaczył słowa Chruszczowa, ale księża uniccy, którzy przestraszeni mieli wysunąć się naprzód i zawołali: „my rozumiemy po moskiewsku i będziemy służyli za tłomaczy“. Nasze opowiadanie opieramy na *Bergu*, który miał przed sobą raporta urzędowe i na kronice w kalendarzu Radomińskiego, naocznego świadka, uzupełniając je wiarogodnymi szczegółami z innych źródeł (*Gregorowicz, Lisicki*, „Przegląd rzeczy polskich“, *Podwysockij*, kronika rękopiśmienna i relacye ustne).

[2]) *H. Gregorowicz*, loc. cit.

obecna jest właśnie taką i że on do miasta jej nie puści. Bojarski zapytał: „Czy nie możnaby odprawić nabożeństwa na poblizkim wzgórzu?“ i wskazał palcem na wysoką mogiłę, wznoszącą się na polach horodelskich. Chruszczow po krótkim ale widocznym namyśle odpowiedział, że rozkaz przez niego odebrany dotyczy jedynie miasta Horodła, a tem samem pola okoliczne nie obchodzą go wcale, i w rezultacie zgodził się na nabożeństwo.

Ponieważ aparatów stosownych nie było, więc poproszono Chruszczowa, żeby pozwolił sprowadzić je z miasteczka, na co przystał i kapucyn Fidelis z pułkownikiem kozackim udali się bryczką do Horodła. W oczekiwaniu procesya skierowała się ku mogile, a między deputacyą i Chruszczowem zawiązała się tymczasem pogawędka. Jenerał rosyjski kilkakrotnie się dopytywał, czy Polacy z bronią zjechali na manifestacyą, na co mu odpowiedziano, że przybyli tutaj modlić się nie bić i że nikt broni przy sobie nie ma.

Wśród tego wszystkiego kierownicy zajęli się urządzeniem ostatniego aktu wielkiej manifestacyi. Pchnięto gońców do ogona procesyi i do bryczek, które na gościńcu, na blizko milowej przestrzeni zatrzymały się, ustawiono w trzy rzędy, choć mnóstwo ich jeszcze ulokowało się na oziminach i ugorach. Wszyscy więc, którzy dotąd nie wyszli z lasu Kopyłowskiego, teraz tłumnie wylegli i stanęli na pochyłości owego wzgórza czy mogiły, ścierniem pokrytej. Od wschodu, ścianę tego dziwnego i jedynego w swoim rodzaju obrazu stanowiła długa linia wojska, między odstępami której błyszczały działa, rozrzucone po dwa. Ze wzgórza widać było błękitną wstęgę Bugu, poza którym czerniały wojska, miasteczko Uściług i tłumy zebranej tam ludności. Na tym to czworoboku wyniosłym, od brzegu lasu ku środkowi góry stanęło około 4.000 wszelkiego rodzaju bryczek i powozów. Przywieziony z Horodła ołtarz postawiono na samym szczycie wzgórza, między gościńcem, prowadzącym ze Stepankowic a wojskiem. Tłumy ludności otoczyły całe wzgórze, które obstawiono wetknię-

temi w ziemię chorągwiami, których było 54. W chwili, gdy ksiądz Anicet, kapucyn z Lublina, przystępował ze Mszą św. do zaimprowizowanego ołtarza, wszystkie te chorągwie pochyliły się, bijąc niby pokłon, a w rzeczy samej dla tego, by odpiąć chorągwie kościelne, a na ich miejsce przymocować sztandary z herbami wszystkich ziem i województw dawnej Rzeczypospolitej. Sztandary te kobiety poprzynosiły poukrywane pod spódnicami [1]). Wiatr powiał i rozwinął te pyszne, jedwabiste purpury, a w szeleście ich, zdawało się obecnym, że słyszą chrzęst skrzydeł unoszących się orłów i tentent cwałującej pogoni!... Widok był wspaniały i nigdy nie zapomniany dla tych, co nań patrzyli. Te sztandary, to niebo błękitne, ta cicha jesień polska, lasy żółkniejące, te tłumy ludu i to wojsko nakoniec, przybyłe tutaj na to chyba, by dodać blasku całej uroczystości, miało w sobie tyle poezyi, że najtwardsze, najchłodniejsze serca przejęte były wzruszeniem; najsuchsze, dawno już wypłakane oczy, zrosiły się łzami i żalem za tą utraconą tak wielką niegdyś, a dziś tak nędzną polską ojczyzną...

Msza była cicha, a towarzyszył jej potężny, grzmiący z dziesiątków tysięcy piersi śpiew „Boże coś Polskę". Gdy sędziwy, z siwą brodą ojciec Anicet podniósł w górę Hostyą, rozległ się donośny głos księdza Laurysiewicza: „klękać, bo podniesienie!" Wszyscy uklękli, nawet żydzi, których tu zjechało się dużo z Warszawy, Lublina, Lwowa, oraz reprezentanci kahałów z sąsiednich miasteczek. Gdy się Msza skończyła, na kazalnicę, naprędce zbudowaną, poszedł znany nam już Bazylianin, ksiądz Laurysiewicz, i wygłosił mowę palącą, przepełnioną temi uczuciami patryotycznemi, tym uroczystym patosem chwili, jaki spotykamy we wszystkich aktach, słowach i czynach tej epoki. Wyjaśniwszy obecnym znaczenie tej olbrzymiej manifestacyi i pamiątki historycznej, którą tu obchodzono, zapowiedział wyraźnie blizkość powstania zbrojnego. „Módlmy się —

[1]) *Lisicki,* Le marquis II, 234.

wołał, prośmy Boga o przebaczenie win naszych i ojców naszych, a nadejdzie czas, że dojrzali, wzmocnieni na duchu, z orężem w ręku praw naszych poszukiwać będziem, ale wtedy... o! wtedy bracia, powstanie Polska jak jeden mąż, nikogo w zastępach naszych brakować nie będzie, za łaską Boga dojdziemy do celu wspólnych życzeń naszych, pobijem wroga, odbierzem co nasze, złączym rozdarte części wspólnej matki naszej, i Polska zakwitnie, i sława jej rozniesie się po świecie szeroko, jak sława synów, co ją z upadku dźwignęli!“

Najważniejszym jednak ustępem mowy, było zaznaczenie stosunku Rusi do Polski. Manifestacya ta bowiem głównie dla tego była zrobiona, żeby zadokumentować niejako unią i jedność Rusi z Polską; nie mógł więc tej kwestyi mówca pominąć, sam Rusin z rodu. „Pamiętaj Polsko, wołał, żeś ty nie podbiła, nie zawojowała Rusi; pamiętaj o tem, że Ruś twa siostra, dobrowolnie się sama w objęcia twoje rzuciła. O Polsko! nie odpychaj twej siostry od siebie. Przez naszych to ojców winę, przez ich brak rozumu politycznego, spodlała, znikczemniała Ruś bratnia, wyciągnąwszy z niej wszystko co szlachetniejsze, zostawiono lud biedny w ciemnocie, wystawiono go na wpływ i podszepty sąsiedniej Moskwy... I zmalał i upadł lud nieszczęśliwy i nie miał już w końcu siły oprzeć się potężnej sąsiada przemocy; i Polski macierzy już zasłonić nie mógł, i sam padł biedny schyzmą przygnieciony!“ „Ależ dzisiaj bracia, naprawcie błędy ojców; naprawcie je, naprawcie, póki czas naprawiać! Nie odpychaj Korono tych ramion, które stęskniona siostra do ciebie wyciąga, nie odpychaj serca, z którem do ciebie płynie! Pamiętaj narodzie, ty wielki narodzie, że nigdy Polska szczęśliwą nie będzie, że nigdy się Polska nie dobije wolności, bez czynnej i szczerej pomocy Rusi. Pamiętaj kraju zabużny, ty Ruś kochana, ty matko moja, pamiętaj sobie, że tylko w Polsce szczęśliwą być możesz, że tylko Polska twą matką prawą!“ „A ty czajko kozacza, Ukraino moja! wspomnij o! biedna, na szczęśliwą dolę, jakąś miała, gdyś z Polską złączoną

była, pókiś się macierzy trzymała. A potem wróg powaśniwszy was pomiędzy sobą, rozdarte, pojedyncze, zdusił każdą z osobna laokonowym uściskiem, i skrępowane cisnął pod plugawe stopy swoje, i odurzone jedną przeciw drugiej podszczuwa. Żal serce ściska na widok obałamuconych braci, pod wrażym sztandarem stojących, którzy na skinienie wspólnego ciemiężcy gotowi splamić swe dzidy Kainowym czynem! O! przypłyń, przypłyń czajko z wód Dniepru, tul się pod sztandar orła białego; prowadź ty wodą, gdy on lądem wiedzie, prowadźcie naród do dawnej sławy!“

Wreszcie przemówił do żydów, zachęcając ich do sumiennego wytrwania na obranej raz drodze, przypomniał im przywileje i łaski, jakiemi Polska niegdyś ich obsypała i wołał: „kochani bracia Izraelici: jam na was krzyknął: „zegnijcie kolana!“ i wy usłuchaliście mnie. Wybaczcie uniesieniu, w jakiem to uczyniłem.“ Nakoniec wpadając w entuzyazm, zwrócił się do orłów, bielejących na sztandarach i zawołał: „o! ptaku czysty, ty orlę białe! Orle, coś niegdyś korony rozdawał, a dziś własnej nie masz! unieś się lotem nad ludem twoim, załoskotaj skrzydłami po dawnemu, zakrakaj na cztery świata strony, powiedz światu, że żyjesz! Zwołaj twe dzieci pod twój sztandar jeden, zwołaj tułaczów, twych dawnych obrońców i wskaż im drogę!“...

Wrażenie tej mowy, wypowiedzianej głosem silnym, tych słów gorących, targających za najskrytsze struny duszy polskiej, było potężne. Wielu płakało rzewnemi łzami, jęki i szlochania rozlegały się dokoła [1]). W końcu, wśród ciszy grobowej zwinięto sztandary. Teraz postanowiono na tem miejscu na pamiątkę obchodu wznieść krzyż, a dół pod niego rękami wykopać. Pokazało się, że w całem tem zgromadzeniu nie było siekiery dla urąbania drzewa z sąsiedniego lasu. Znalazł się wreszcie chłop prosty (Poleszuk

[1]) *N. Berg,* loc. cit. 357, utrzymuje, że po kazaniu księdza Laurysiewicza przemawiał jeszcze adwokat Gregorowicz i obywatel z Częstochowy Edward Stawecki. Podanie to jest bardzo wątpliwem. Niema o niem bowiem we wszystkich nam znanych relacyach żadnej wzmianki.

podobno) z siekierą, ściął młody dąb i ramię poprzeczne w braku gwoździ wicią drewnianą związał, i w ten sposób zaimprowizował pomnik pod Horodłem. Krzyż ten poświęcili księża wraz ze sztandarami [1]).

Tymczasem Chruszczow, przypatrujący się temu wszystkiemu przez lunetę w milczeniu, dwukrotnie przysyłał adjutantów, prosząc o rozejście się, gdyż wojsko stojąc od świtu było mocno znużone. Nie bardzo zważano na to i zajęto się teraz na ołtarzu, pod świeżo wkopanym krzyżem, zbieraniem podpisów pod przygotowany w Stepankowicach protest. W proteście tym czytamy, że gdy zebrani na polach Horodła, „otoczeni siłą zbrojną,“ do miasta tego dostać się nie mogli, „na pograniczu tego sławnego zjednoczeniem się trzech ludów miasta, odnawiają akt Horodelski w całej swej rozciągłości; protestują przeciw pogwałceniu naszych swobód i niewolniczej formie rządu; protestują przeciw samowolnym rozbiorom Polski i żądają powrócenia jej niepodległości.“ Kończą zaś temi słowy: „Akt niniejszy, gdy nie może w obecnem położeniu rzeczy być przesłany gdzie należy, jako zdziałany w kraju rządzonym despotycznie i pozbawionym narodowej reprezentacyi, ma być zamieszczonym we wszystkich pismach zagranicznych, dla obznajmienia z nim zaborczych rządów i dla wiadomości mocarstw, których obchodzą jęki ujarzmionego ludu“ [2]). Akt ten gorączkowo podpisywano na miejscu, a i później jeszcze młodzież po dworach i karczmach zatrzymywała przejeżdżających i zmuszała do podpisów na białych arkuszach papieru, które miano dołączać do oryginalnego protestu [3]). Około godziny trzeciej popołudniu cała uroczystość

[1]) Według relacyi w „Przeglądzie rzeczy polskich,“ po tym akcie miano te sztandary złożyć w ręce reprezentantów ziem polskich dla przechowania. Wiadomość ta jednak w innych źródłach nie znajduje potwierdzenia.

[2]) Protest ten czytać można w całości w broszurze: „Wiadomości z kraju,“ 25; w *Gillera* „Historyi powstania narodu polskiego,“ II, 89, i „Wydawnictwie materyałów do historyi powstania,“ I, 16.

[3]) *K. Gregorowicz,* loc. cit. I, 44, przytacza całkiem inny akt, sporządzony jakoby w Stepankowicach i podpisany na polach Ho-

się skończyła i olbrzymia ta fala ludu ruszyła w drogę powrotną [1]).

---

rodła. Protest, któryśmy w tekscie podali, uważa on za podrobiony; twierdzi, że pod Horodłem nie podpisywano protestu, ale akt odnowionej unii Polski z Litwą i Rusią. Nieznany autor (Limanowski?) „Historyi powstania narodu polskiego," I, 115, uważa oba akta, tak akt zacytowany przez Gregorowicza, jak i protest, za autentyczne, sądzi tylko, że ten drugi był wcześniej przygotowany w Warszawie. Nam się nie zdaje, by to było możliwem. Nikt w Warszawie nie mógł przewidzieć, jak się manifestacya odbędzie, a zatem nie mógł w proteście zaznaczać, że do Horodła się nie dostano i na jego polach wskutek tego podpisano protest.

Akt, o którym mówi Gregorowicz, brzmi: „my, niżej podpisani delegaci ziem i powiatów Polski, w tym jej składzie, jaki miała do podziałów, zebrawszy się w Horodle dnia 10 października 1861 roku w 448 rocznicę unii Litwy z Polską, oświadczamy aktem niniejszym i stwierdzamy go własnoręcznymi podpisami, że unia, jednocząca wszystkie ziemie Polski, wznawia się teraz na zasadach zupełnego równouprawnienia wszelkich narodowości i wyznań, łącząc się do wspólnej pracy celem wydźwignięcia ojczyzny z dzisiejszego jej upadku, aż do odzyskania zupełnej niepodległości. Prawa nasze polecamy sumieniu narodów i rozumowi rządów konstytucyjnych."

Berg, loc. cit. 357, poplątał rzeczy jeszcze bardziej. Powiada on, że w Horodle podpisano akt zacytowany przez Gregorowicza, a w Uściługu protest przez nas w tekscie przytoczony, co jest widocznym błędem, choćby ze względu na treść tego ostatniego aktu. O proteście uściluskim patrz szczegóły niżej. W ogólności trudno dziś dojść, jak się w istocie rzeczy mają z tymi aktami, gdyż oryginałów z podpisami, zbieranymi w Horodle, pomimo usilnych naszych poszukiwań odnaleźć nam się nie udało. Berg wprawdzie utrzymuje, że trzy egzemplarze protestu, z ośmiu tysiącami podpisów na każdym, odesłano do Paryża, Londynu i Genui; my jednak na ślad ich nie natrafiliśmy. Może są w Rapperswylu, ale tam dopytać się nie mogliśmy, stąd wnioskujemy, że prawdopodobnie już one nie istnieją.

[1]) Na pamiątkę zjazdu horodelskiego wybity został medal, przedstawiający z jednej strony Jadwigę, podającą krzyż Jagielle, który w lewej ręce trzyma miecz. Pod spodem napis: „2 Paźdź. 1413 r. w Horodle"; zaś w otoku: „połączenie Rusi i Litwy z Koroną za Jadwigi i Jagiełły." Na stronie odwrotnej: u góry Matka Boska z dzieciątkiem Jezus w chmurach, a pod nią Archanioł Michał, trzymający dwie tarcze z orłem i pogonią. Niżej napis: „10. Paźdź. 1851 w Horodle," a w otoku: „na pamiątkę pierwszej unii braterstwa, równości

Gdy się to wszystko działo na polach horodelskich, z tamtej strony Bugu, na Wołyniu odbywały się niemniej interesujące i niemniej oryginalne sceny. Zebrano się tam w znacznej stosunkowo, jakkolwiek o wiele mniejszej liczbie, w Uściługu, skąd wedle pierwotnego planu miała wyruszyć uroczysta procesya, przeprawić się na promach przez Bug, dostać się do Horodła i tu połączyć się z Koroniarzami. Ale już na parę dni przedtem rozeszła się wieść, że rozstawione wzdłuż brzegów Bugu pikiety nikogo do Królestwa nie puszczają. Do samego Uściługa ściągnięto pułk Olwiopolski huzarów, pewną ilość kozaków, powołano nawet urlopników z dóbr skarbowych. Mimo to wszystko do Uściługa zjechało się około 2000 osób, przeważnie szlachty wołyńskiej, podolskiej i ukraińskiej. Wszyscy przybrani byli w kontusze i różne emblemata tej epoki. Ulice cichego zwykle żydowskiego miasteczka zawrzały życiem niezwykłem, przepełnione były bryczkami i powozami.

Wieczorem, w wigilią dnia przeznaczonego na uroczystość, uwiadomiono zebranych o programie na dzień jutrzejszy. Miało się więc o godzinie ósmej rano odbyć nabożeństwo w kaplicy na cmentarzu i stamtąd procesyonalnie miano wyruszyć nad Bug, gdzie wraz z przybyłą z Królestwa procesyą, stojąc po obu brzegach rzeki, zamierzano uczynić ów „duchowy akt pojednania,“ jak mówiono wtedy. Jakoż nazajutrz po odprawieniu nabożeństwa w owej kapliczce cmentarnej, wśród śpiewu „Boże coś Polskę,“ wyruszono z krzyżem i chorągwiami kościelnemi ku promowi na rzece. Droga tam prowadziła wąwozem, w którym ujrzano uszykowanych huzarów, a oficer żandarmski w sposób grzeczny ale stanowczy uwiadomił idących, że ma rozkaz nieprzepuszczania ich za Bug, prosił więc, by się wrócono, gdyż w przeciwnym razie będzie zmuszony uciec się do siły. Po chwilowem wahaniu się i rzadkich zresztą protestach, procesya zawróciła z prote-

praw i swobód Litwy i Rusi z Polską.“ Medal ten można widzieć w dziele *Czapskiego*, II, Nr. 3844, oraz tablica XIX, Nr. 26.

stem do Uściługu, odprawiono znów nabożeństwo w owej kaplicy na cmentarzu, zrobiono składkę na szpital miejscowy i spisano wreszcie akt, w którym oświadczono, że „od rozbioru kraju podziśdzień uczucie jedności i powszechnego braterstwa łączy nas (Rusinów) ze wszystkimi braćmi z nad Wisły, Warty, Niemna i Dźwiny w jednej, nieśmiertelnej ojczyznie naszej, Polsce“ [1]).

Powracających z pod Horodła deputatów i niedeputatów województw dawnej Rzeczypospolitej postanowiono za staraniem Gregorowicza uroczyście ugościć w Lublinie, przyczem miano się z nimi ostatecznie naradzić o dalszych planach działania. W tym celu wyprawiono im w salach resursy miejscowej wspaniałą biesiadę, na której był obok biskupa sufragana Baranowskiego także rabin żydowski. Rozbrzmiała sala mowami, pełnemi uniesień patryotycznych, wśród których drżała ciągle jedna zwrotka, leżąca w tej dobie wszystkim na sercu: „zyskać sobie chłopów i organizować się.“ Powoli, pod wpływem tych mów, tej atmosfery, jaka od kilku dni otaczała obecnych na uczcie, jaka rozpalała serca i głowy wszystkich, pod wpływem wina wreszcie, rzucono się sobie w objęcia, całowano się, a wielu wskakiwało na stoły i po nich, po talerzach i szkłach chodziło jak po podłodze. Na biesiadzie tej zbierano dalej pod protestem podpisy [2]).

Tak więc olbrzymia manifestacya horodelska odbyła się, wprawdzie ze zmienionym nieco programem, niemniej przeto wspaniale i głośno. Surowe rozporządzenia Lamberta, nagromadzenie wojsk i dział, groźna niby postawa rządu

---

[1]) Akt ten, jakkolwiek współcześnie w pismach zagranicznych polskich był ogłoszony, wszelako jako mniej znany podajemy w całości w zbiorze dokumentów pod Nr. 9.

[2]) „Wspomnienia z pamięci. Notaty do lat 1860 i 1861“ (rękopism). Gdy Chruszczow dowiedział się o tej biesiadzie, zapytał prezydenta, co ona znaczyła; ten odrzekł, że to było nabożeństwo żałobne za Fijałkowskiego, które w rzeczy samej w tymże dniu odbyło się bardzo uroczyście w katedrze lubelskiej. Tłomaczenie to z niedowierzaniem, wszelako zostało przyjętem.

wcale nie przestraszyła manifestatorów; co chcieli to i zrobili, a wojska zebrane na polach Horodła, owe bataliony piechoty, szwadrony jazdy i baterye dział, zeszły się tutaj na to tylko, by dodać samej uroczystości więcej blasku. Fakt ten z jednej strony świadczył o nadzwyczajnej śmiałości stronnictwa rewolucyjnego w kraju, o wielkim entuzyazmie, ogarniającym naród, który tego rodzaju wystąpienia uważał za czyn patryotyczny, z drugiej o niezwykłej niedołężności władz rządowych. Wogóle władze te nie zdawały sobie dobrze sprawy z doniosłości demonstracyi horodelskiej; nie zwróciły uwagi na to, że była ona głośnem zadokumentowaniem pretensyi polskich do ziem ruskich, że miała na celu wciągnięcie drzemiącej i z lekka tylko po kilku większych miastach manifestującej się Rusi, do ruchu rewolucyjnego. Lambert tak dalece miał fałszywe i niedokładne wieści o tem co się stało w Horodle, że telegrafując do cesarza w trzy dni później, donosił, iż „z mocy wydanych rozporządzeń, zbiegowisko w mieście Horodle nie przyszło do skutku“ [1]). Jużcić w samym Horodle nic nie było, gdyż Chruszczow do miasta procesyi nie dopuścił, ale czyż o to tylko szło, by jej do Horodła nie dopuścić? czyż olbrzymia procesya, nabożeństwo pod gołem niebem, sztandary, mowy palące jak płomień, protesta podpisywane przez tysiące, niczem nie były? czyż akt ten, straszliwej gorączki, ogarniającej organizm polski, nie podsycił jej jeszcze bardziej, nie dolał oliwy do ognia?

Jakoż w rzeczy samej tak było i miano się o tem zaraz przekonać. Wypadki, których sceną stała się teraz Warszawa, w swym przebiegu niczem nie różniły się od wszystkich dotychczasowych manifestacyi, ale w skutkach swych, w katastrofie końcowej i w zmianach, jakie wywołały w całym kraju i jego losach, przedstawiają one obraz zupełnie oryginalny i bardzo tragiczny. Zapowiadany od kilku tygodni uroczysty obchód daty śmierci Kościuszki i ks. Józefa Poniatowskiego, odbycie się jednoczesne dwóch

[1]) Depesza z dnia 1/13 października o godz. 2 m. 15 popołudniu.

na wielką skalę pomyślanych manifestacyi, jaką był pogrzeb arcybiskupa i zjazd horodelski, cały kraj brzmiący pieśniami i nabożeństwami, zapowiadania głośne blizkiego powstania, wszystko to wymownie dowodziło, że ruch dobiega swego apogeum. Do Warszawy, do chorego Lamberta, z każdą godziną nieomal przychodziły nowe wieści o tej wzmagającej się fali ruchu; z raportów przekonywał się on powoli, że manifestacya w Horodle, wbrew pierwotnemu jego twierdzeniu, w rzeczy samej „przyszła do skutku.“ O zamierzonym obchodzie śmierci Kościuszki otrzymywał on zewsząd raporta, że ma się odbyć w całym kraju, i pierwsze objawy tego obchodu już się okazywały, przez manifestacye na polach Maciejowic, Szczekocin i Racławic.

Przez nieszczęśliwy dla rewolucyonistów zbieg okoliczności, data obchodu unii Horodelskiej przypadła tego samego dnia, w którym rozegrała się katastrofa Maciejowicka, mimo to postanowili oni i na polach ostatniej walki Kościuszkowskiej odbyć manifestacyą. Zjazd był ogromny; samych księży miało przybyć około pięćdziesięciu. Wszystka szlachta z okolic bliższych i dalszych stawiła się konno, jak na wojnę, otoczona służbą dworską. Tych jeźdźców improwizowanych obliczano na dwustu [1]). Przybyło też z parafii okolicznych mnóstwo kompanii z krzyżami i chorągwiami. Po odbytem nabożeństwie, na które właściciel Maciejowic, Stanisław hrabia Zamoyski, przywiózł gromadę żydów na furze czterokonnej i wprowadził ich do kościoła, usypano wielką mogiłę na polach wsi Krempe, gdzie właśnie główna bitwa była stoczoną. Potem w pałacu odbyła się uczta, na której znajdował się jakiś stary bardzo kmieć, który jakoby miał być świadkiem naocznym bitwy. Posadzono go na pierwszem miejscu, ugoszczono i wygłaszano mnóstwo mów przepełnionych patetycznemi wyrażeniami i uniesieniami.

Jeżeli obchód bitwy Maciejowickiej miał za sobą jakąkolwiek racyą, gdyż rocznica klęski przypadała dnia 10

[1]) *Pawliszczew,* Siedmicy, I, 9 i 60.

października, to obchód potyczki Racławickiej, która odbyła się d. 4 kwietnia, tem tylko usprawiedliwiony być może, iż korzystano z każdej okazyi, byle się manifestować. Zeszło się tu kilka tysięcy ludzi. Kompanie z chorągwiami, z księżmi na czele wyruszyły ze wszystkich okolicznych miasteczek, z Miechowa, Skalbmierza, Proszowic, Słomnik, Działoszyc i t. d. Żydzi także wszędzie przyłączyli się do tych kompanii ze swymi rabinami i nawet chorągwie kościelne nieśli. Miejscowe władze wojskowe w niczem nie przeszkadzały tej manifestacyi, która objęła i poruszyła znaczną stosunkowo przestrzeń kraju. W Działoszycach, gdy kompania wśród śpiewów patryotycznych, z krzyżami, chorągwiami, na których orły białe były wymalowane, niesionemi przez żydów, przechodziła przez miasteczko, wojsko musztrujące się wtedy, na rozkaz swego komendanta broń sprezentowało. W Racławicach nabożeństwo odprawił proboszcz z Wiślicy, ksiądz Strądałło, przyczem wygłosił mowę, którą tak rozentuzyazmował obecnych, że mu komżę w kawałki podarto na pamiątkę [1]). Potem wyruszono tłumnie pod wieś Janowiczki, gdzie odbył się słynny atak kosynierów na działa Denisowa i tam usypano wysoką mogiłę. Ktoś wyszukał w Racławicach potomka jakoby Bartosza Głowackiego, biednego chłopa, który się niedawno spalił, i zarządzono dla niego składkę. Zebrano kilkaset złotych i wręczono biedakowi, który zapewne nie pojmował dlaczego i za co spada nań taka szczodrobliwość. Zresztą udział chłopów w obchodzie był bardzo mały.

O wszystkiem tem przychodziły wiadomości do Warszawy i coraz większy niepokój budziły w sferach rządzących. Niepokój ten wzrósł do nadzwyczajnego stopnia wskutek uparcie powtarzających się w tej porze pogłosek, że w Petersburgu wybuchło powstanie. Mówiono, że w Rosyi istnieje nader rozgałęzione sprzysiężenie, że lud obległ pałac Zimowy, że zaprowadzono rząd rewolucyjny tymcza-

[1]) Z relacyi świadków naocznych.

sowy, że linia telegraficzna między Petersburgiem i Warszawą zerwana, że od czterech dni dzienniki nie przychodzą, że Lambert odebrał odezwę rządu tymczasowego petersburskiego, że Hercen przerwał wydawnictwo „Kołokoła“ i jedzie do Rosyi, że pismo tajemne „Wielikorus“ radzi oddać Polsce Wołyń, Litwę, Podole i Ukrainę, że wyszła broszura „precz z Romanowymi,“ że podano adres o konstytucyą i t. p. Jakkolwiek sama sprzeczność tych pogłosek świadczyła o ich fałszywości, i jedno w nich tylko było prawdą, że właśnie w tej porze poczęło wychodzić w Moskwie tajne pismo rewolucyjne „Wielikorus“ [1]), wszelako uporczywe ich powtarzanie się zrobiło pewne wrażenie na Lambercie. Przestraszył się niemi tak dalece, że aż telegrafował o tem do Petersburga. „Obiegają tu, pisał, przerażające wieści o Petersburgu. Stan umysłów jest bardzo zły“ [2]), co świadczy, jak dalece był zdenerwowany, i jak stracił trzeźwość poglądu na rzeczy i ludzi i spokój konieczny.

Niepokój ten podniecało zachowanie się większej części dygnitarzy rosyjskich, owej nieznośnej kamarylli jenerałów i niejenerałów, wieszających się koło namiestnika i kręcących się ciągle po Zamku. Niektórzy z nich chodzili z minami przygnębionemi i twierdzili, że nikt i nic nie jest w stanie położyć zapory rozwijającej się rewolucyi, i widocznie w obawie zwycięztwa tej rewolucyi, żony ich przybrały się w żałobę, a dzieci ukazywały się na uli-

[1]) W pierwszym numerze tego pisma wyraźnie zapowiadana jest rewolucya: „jeżeli rzeczy pójdą teraźniejszym torem, to wypada oczekiwać wielkiego zamięszania. Rząd nie jest w siłach cokolwiek zrozumieć, głupi i szorstki prowadzi Rosyą ku Puhaczewszyznie. Wypada ludziom wykształconym wziąć kierownictwo spraw z rąk nieudolnego rządu, aby naród wyratować z jarzma; jeżeli społeczeństwo tego nie uczyni, to ulegnie samo terroryzmowi, dlatego, że rząd przy swej nieumiejętności rozumnego prowadzenia spraw narodowych jest w konieczności utrzymania systematu ucisku.“ Kończy słowami: „myśmy nie Polacy ani też chłopi, do nas strzelać nie można!“

[2]) Depesza z dnia 30 września (12 października).

cach ustrojone w czamarki i konfederatki [1]). Inni znowu, jak Chrulew i Potapow, nosili się chmurnie i ciągle prawili, że czas już wielki przerwać wszelkie ceremonie z Polakami i rozwiązać ręce władzom wojskowym; że tylko rządy militarne mogą przywrócić ład i porządek i spokój upragniony. Cesarz ze swej strony nieustannie domagał się ogłoszenia stanu wojennego. Nadzwyczajnie był niezadowolony z manifestacyjnego pogrzebu arcybiskupa, pisał, że „jeżeli wybory w Warszawie zostały już ukończone, to natychmiast należy ogłosić stan wojenny“ [2]).

Pod wpływem tego wszystkiego, sam Lambert począł przyznawać, że ogłoszenie tego stanu jest nieuniknionem [3]); mimo to wahał się jeszcze. Ale gdy d. 13 października po mieście poczęło obiegać tysiące wezwań drukowanych i pisanych do obchodu rocznicy zgonu Kościuszki [4]), zdecydował się nakoniec na ogłoszenie owego stanu wojennego. Tegoż samego dnia, 13 października, oznajmił o tem Wielopolskiemu, utrzymując, że czyni to na mocy rozkazów otrzymanych z Petersburga [5]). Zawiadamiając o tem Radę

---

[1]) „Posledniaja polskaja smuta“ (Russkaja Starina z 1874 r. p. 712).

[2]) Depesza z Liwadyi z d. 19 września (1 października).

[3]) Depesza Lamberta do cesarza z d. 30 września (12 października).

[4]) Między temi wezwaniami było jedno, litografowane dość starannie, mające na pierwszej stronicy u góry portret Kościuszki i Głowackiego, opisujące jego życie i kończące się temi słowy: „takiego to człowieka, przyjaciela ludu wiejskiego i obrońcę ojczyzny dziś obchodzimy rocznicę śmierci. Módlmy się za jego duszę i prośmy Boga, aby chłop polski, jak za jego czasów, kochał ojczyznę swoją i bił się ochotnie za jej wolność, a połączony braterską miłością z duchowieństwem, ze szlachtą, z mieszczanami i rodakami żydami, będzie prawdziwym obywatelem polskim, kiedy ani nasienia na naszej świętej ziemi nie znajdzie moskala, co się krwią naszą i łzami tak długo wypasa.“

[5]) *Lisicki* w obu swych życiorysach Wielopolskiego, mówiąc o tem oświadczeniu Lamberta, dodaje w przypisku: „w Petersburgu utrzymywano później, że namiestnik na własną rękę się porządził“— „że nie żądał rozkazów.“ Być może, iż ludzie nie bardzo świadomi rzeczy tak utrzymywali w Petersburgu później, ale że się mylili, to

administracyjną, zapytał, czy Radę stanu, oraz Rady miejskie, powiatowe i gubernialne odroczyć należy? Na to Wielopolski odrzekł, że ponieważ kodeks wojenny cesarstwa nie jest w Królestwie ani obowiązujący, ani znany, więc aby ocenić, czy rzeczone ciała mogą pozostać nadal, należy wprzódy wiedzieć osnowę ogłoszenia stanu wojennego [1]).

Co na tę słuszną uwagę Wielopolskiego odrzekł namiestnik, nie wiemy, dość, że wieczorem tegoż dnia wezwał dyrektora swej kancelaryi, Kazaczkowskiego, i polecił mu, ażeby przygotował wszystko, co należy, by nazajutrz mógł być opublikowany stan wojenny, ażeby odnośne przepisy wydrukowano w takiej ilości egzemplarzy, ile jest domów w Warszawie, i żeby do każdego domu jeden egzemplarz był posłany. Kazaczkowski zabrał się zaraz do roboty, o tyle ułatwionej, że cały program stanu oblężenia był gotowy jeszcze od marca i teraz trzeba go było tylko wydrukować, co też dokonano z małemi zmianami. Nazajutrz od rana wszystkie rogi ulic zaopatrzone były w wielkie arkusze, donoszące o poważnej zmianie, jaka zaszła w zarządzie Królestwa; prócz tego wszyscy właściciele domów otrzymali po jednym egzemplarzu ogłoszenia za pokwitowaniem, co w tym celu było uczynione, ażeby nikt nieświadomością nowych przepisów nie mógł się tłomaczyć [2]). Lambert ze swej strony tegoż dnia, 14 października, doniósł o wszystkiem cesarzowi. „Wobec nowych podburzających zapowiedzi z powodu pamiątki po Kościuszce, mającej się jutro obchodzić, uznałem za konieczne bezwłocznie ogłosić całe Królestwo w stanie wojennym. W mieście wojska zajmują miejsca swoje tej jeszcze nocy.“ Cesarz w zupełności pochwalał ten krok namiestnika. „Oby Bóg dał (daj Boh) —

---

nie ulega wątpliwości. W tekscie kilkakrotnie przytoczyliśmy telegraficzne nalegania cesarza, żeby położyć koniec zaburzeniom przez ogłoszenie stanu wojennego, oraz że Lambert opierał się temu dopóki mógł, co najwymowniej świadczy, że nie „porządził się na własną rękę.“

[1]) *Lisicki,* Le marquis II, 236. Aleksander Wielopolski I, 255.

[2]) *N. Berg*, loc. cit. 366.

pisał — żeby ogłoszenie w całem Królestwie stanu wojennego wydało ten skutek, jakiego ja oddawna oczekuję“ [1]).

Stan wojenny zapowiadał, że wszyscy mieszkańcy za przestępstwa zdrady stanu, rokoszu i wzniecenie powstania, za nieposłuszeństwo władzom wojskowym i policyjnym, ukrywanie broni, mowy publiczne podżegające, układanie i rozszerzanie odezw i wszelkiego rodzaju pism podburzających, gwałty, zabójstwa, rozboje, rabunki i podpalania, o ile te mają charakter polityczny, podlegać mają sądowi wojennemu, który karać ich będzie podług praw polowych. Ustanawiał naczelników wojennych, którym wszelkie władze ulegać mają; zabraniał zgromadzeń i schadzek na ulicach i placach, demonstracyi politycznych, nabożeństw kościelnych za przestępców politycznych lub zabitych i ranionych „w czasie rokoszu,“ obchodu pamiątek historycznych, śpiewania w kościołach i gdziekolwiekbądź pieśni podburzających i hymnów zakazanych. Naczelnikom wojennym rozporządzenie nadawało wielką władzę, dozwalał im dokonywania rewizyi, aresztowania, wydalania cudzoziemców, zamykania sklepów, kawiarni, szynków, zabraniania zgromadzeń nawet prywatnych i t. d.

Obok proklamacyi namiestnika, ogłaszającej stan wojenny w Królestwie, ukazało się także obwieszczenie jenerał-gubernatora warszawskiego, Gerstenzweiga, zabraniające zbierania się na ulicach i placach więcej jak trzem osobom, nakazujące, aby bramy i drzwi domów były zamykane o godzinie dziewiątej wieczorem, aby w razie zamięszania lub alarmu nikt z domu nie wychodził, aby nie noszono strojów odróżniających, czapek i oznak emblematycznych, lasek z ukrytą bronią lub nalanych ołowiem. Nie wolno było nikomu po godzinie dziewiątej wieczorem chodzić bez zapalonej latarki; na pogrzebach mogli się znajdować tylko najbliżsi krewni; obie resursy, wszystkie szynki i sale dla zabaw zamknięto; handle win, cukiernie, restau-

[1]) Depesze z d. 2/14 października. Cesarz przytem pytał się o zdrowie Lamberta i wygłosił życzenie: „oby ci Bóg sił dodał“ (da podkrepit tiebia Hospod).

racye, kawiarnie, piwiarnie i t. p. winny być otwierane najwcześniej o godzinie szóstej rano, a zamykane o dziewiątej wieczorem. Nakazano przytem, aby w ciągu 48 godzin wszelka broń palna i sieczna była złożona w policyi.

Ze swej strony oberpolicmajster warszawski, Piłsudzki, polecał zamknięcie ogrodów publicznych (Saski, Krasiński, Botaniczny i Belwederski); nakazywał, ażeby dorożkarze na każde wezwanie policyi się zatrzymywali, choćby kogo wieźli; ażeby właściciele domów meldowali w ciągu 24 godzin policyi o każdym nowo przybyłym; ażeby osobę ściganą przez policyę wydawali w ręce władzy, żeby donosili natychmiast, gdyby w ich domach zbierali się ludzie „źle myślący.“ Rozkazywał policyi, ażeby w ciągu dwóch dni nadesłała mu listy imienne studentów i uczniów; aby do wszystkich kościołów przeznaczona była służba policyjna, która miała pilnować, by nie śpiewano hymnów zakazanych i t. d.[1]).

Ogłoszenie stanu wojennego wywarło na Warszawę silne wrażenie, zwłaszcza, że na placach znowu pojawiły się obozy wojskowe, nadając miastu ten osobliwszy wygląd, jaki w ostatnich czasach parokrotnie już przybierało. Mieszkańcy tłumnie snuli się po ulicach, czytali porozwieszane plakaty, tu i owdzie szydzili, i wogóle powszechne było przekonanie, że nowe przepisy w rzeczywistości nie będą i nie mogą być ściśle wykonane. W kołach rewolucyjnych, wśród młodzieży czerwonej, wśród umysłów rozegzaltowanych do najwyższego stopnia, nie sądzono, by stan wojenny mógł wpłynąć na zmianę dotychczasowego postępowania. Zresztą nabożeństwo za Kościuszkę i tak miało być już ostatniem. Postanowiono więc nie zważać na groźby rządowe i nabożeństwo to koniecznie odprawić. Odezwy więc w dalszym ciągu rozsyłano, a kupców ustnie i piśmiennie wzywano, żeby nazajutrz sklepy bezwarunkowo zamknęli.

[1]) Wszystkie te ogłoszenia można czytać w ówczesnych dziennikach warszawskich, oraz w broszurze „Wiadomości z kraju“ p. 159 i następne.

Wieść o tem doszła do policyi i do szeregu obwieszczeń, które owego dnia spadły na Warszawę, przybyło jeszcze jedno oberpolicmajstra Piłsudzkiego, zabraniające jak najsurowiej zamykania sklepów, i grożące, że „jeżeli ktokolwiek do takowych poduszczeń zastosuje się i sklep lub handel swój zamknie bez usprawiedliwiających powodów, ulegnie karze pieniężnej w ilości rs. sto, oprócz tego egzekucyą wojskową do mieszkania zesłaną mieć będzie.“

Zresztą dzień ów w mieście przeszedł spokojnie i w ciszy, ale cisza ta dla tych, którzy znali tajemne wichry, przebiegające serca i umysły, była owym złowrogim spokojem natury, skupiającej swe siły do strasznej burzy. Katastrofa się zbliżała, a groźna postawa rządu, w którego siłę i energię nie wierzono, nikogo nie przerażała. Ale jeżeli na ulicach zdawał się panować zupełny i niczem niezakłócony spokój, to w Zamku, w samym rządzie, spokoju takiego nie było. Wielopolski, odczytawszy d. 14 października ogłoszenia o stanie wojennym, uczuł jak teraz chwiejnem jest jego stanowisko, jak to, o co od pół roku walczył, to jest zaprowadzenie legalności w rządzie, rozpaść się musi w rękach maleńkich carzyków, naczelników wojennych; udał się do namiestnika i oświadczył mu, że ogłoszenie praw wyjątkowych nastąpiło bez jego udziału, że przeto jeżeli obecność jego ma stać rządowi na zawadzie, gotów jest usunąć się, wszelako chętnie pozostanie, jeżeli projekta do praw o oczynszowaniu, wychowaniu i żydach pójdą dalej swym torem i Radzie stanu będą przedłożone. Ale Lambert, jak wszyscy ludzie słabi, wybuchnął teraz gniewem. Począł wyrzucać Wielopolskiemu, że nikt inny tylko on przyczynił się do tego, że rząd w kraju jest znienawidzonym, że on spowodował, iż szlachta nie chce rządu popierać, gdyż oburzył ją przez rozwiązanie Towarzystwa rolniczego; że duchowieństwo zraził przez swą mowę z dnia 2 kwietnia, a młodzież przez zamknięcie szkół [1]). „Usuwając się teraz, mówił Lambert, uniesiesz pan z sobą sympatyą

[1]) Z relacyi współczesnych.

żydów i chłopów i zostawisz rząd bez żadnej w kraju podpory“ [1]). Nie mogło być więc mowy o dymisyi i Lambert chciał, by Wielopolski został w rządzie, prosił tylko, aby „Dziennik powszechny“ nie pomieszczał nic takiego, coby powagę władzy osłabić mogło. Margrabia przyrzekł, że wpływać będzie, aby redakcya w wyrażeniach była ostrożną. Na Radzie administracyjnej, która zaraz się zebrała, na wniosek Wielopolskiego postanowiono: Rad powiatowych i gubernialnych teraz nie zwoływać, z powodów zaś wcale się nie tłomaczyć aż dopiero po upływie trzech miesięcy; za to Rady miejskie zostawić, dopóki nie wystąpią nieprzyjaźnie przeciw rządowi i wtedy dopiero je rozwiązać lub odroczyć, a przeciwko winnym na podstawie prawa obowiązującego wystąpić. Co do Rady stanu, z której członkami Wielopolski poprzednio się porozumiał i uzyskał od nich przyrzeczenie, że Warszawy pomimo stanu wojennego nie opuszczą, zadecydowano jej nie odraczać i silnie pracą zajmować [2]).

Takie było położenie rzeczy w pierwszym dniu ogłoszenia stanu wojennego. Namiestnik liczył na to, że będzie on ściśle wykonany, że wszyscy ci jenerałowie i dygnitarze, którzy warczeli po kątach, wezmą się teraz energicznie do tłumienia ruchu. Policya, zorganizowana przez Potapowa, do której wcielono najinteligentniejszych żołnierzy z gwardyi i armii [3]), zdawała się być wybornem narzędziem wykonawczem. Wobec tego Lambert przekonany był, że zapowiedziana na dzień 15 października manifestacya nie przyjdzie do skutku i donosił cesarzowi, że przedsięwzięto wszelkie środki dla jej zapobieżenia [4]). Jakże się jednak mylił! jak boleśnie miał się przekonać, że wszyscy ci ludzie, zdolni do chwilowego czynu gwałtu i brutalności dzikiej,

[1]) *Lisicki*, Le marquis II, 236.

[2]) *Tenże*, Aleksander Wielopolski I, 256.

[3]) *Podwysockij*, Zapiski oczewidca, 88.

[4]) Depesza z d. 3/15 października; wysłana o godz. 2 minut 20 w nocy.

niezdolni są do systematycznego działania i do szanowania prawa.

Nadszedł nakoniec ów dzień 15 października, dzień na zawsze pamiętny w rocznikach naszych nieszczęść. Rano ukazała się nowa proklamacya namiestnika do „mieszkańców Królestwa Polskiego,“ w której tłomaczy się, dlaczego ogłosił stan wojenny. Wymieniwszy główniejsze manifestacye, nieporządki w czasie wyborów, zwraca się do ojców rodzin i wzywa ich, aby „rozciągnęli ścisły dozór nad swemi rodzinami, w szczególności zaś nad nieletniemi dziećmi, mogącemi przez płochość uledz następstwom stanu wojennego, którym przy ukróceniu siłą oręża nieporządków ulicznych, podlegają czasem wszystkie osoby bez różnicy płci i wieku.“ Proklamacya kończy się takim okrzykiem patetycznym: „Polacy! wykonywaniem obowiązków dla waszego monarchy, ufnością błogim jego zamiarom (sic) i uległością ustanowionym przez niego władzom, zbliżcie czas, w którym wolno mi będzie wstawić się do najjaśniejszego pana o zniesienie stanu wojennego i znów przystąpić do rozwinięcia na drodze legalnej najmiłościwiej nadanych Królestwu Polskiemu instytucyi.“

Niestety! słów tych nikt nie usłuchał; tego wezwania, zapowiadającego możliwość zniesienia dokuczliwego stanu wojennego, nikt nawet czytać nie chciał. Miasto przybrało charakter uroczysty i świąteczny, choć był to dzień powszedni (wtorek); sklepy, wbrew rozporządzeniu policyjnemu i zapowiedzianej karze stu rubli, były pozamykane, a gdzie właściciel wahał się, umiano go do tego zmusić. Tłumy ludności, kobiet i mężczyzn czarno ubranych, dążyły do kościołów [1]), zwłaszcza do archikatedry św. Jana

[1]) *N. Berg,* loc. cit. 308, opowiada, że czerwoni wprzódy dla próby „o godz. 9 rano wyprawili do kościoła Świętojańskiego, Bernardyńskiego i Stokrzyskiego gromadę chłopców i kobiet, którym kazali zaśpiewać w danej chwili hymny. Co z tego będzie? Ale młodzi i niedoświadczeni menerzy nie mogli nic zrobić; wcale nie zaśpiewali. Wtedy starsi nie mogli już wytrzymać, weszli do kościołów tłumnie, wciągnęli za sobą włóczącą się po ulicach ludność, wśród

i Bernardynów, gdzie mieli celebrować biskupi, oraz do św. Krzyża, kościoła, który w tej porze był modnym. U św. Jana stał jeszcze katafalk, na którym spoczywały zwłoki arcybiskupa, i pysznie udekorowany, dodawał blasku uroczystości [1]). Tu nabożeństwo rozpoczęło się o godz. 10 rano; celebrował biskup podlaski, znany nam już kapucyn, ks. Benjamin Szymański [2]). U Bernardynów celebrował biskup sufragan łowicki, Plater.

Po nabożeństwie, koło godz. 11, rozpoczęło się śpiewanie hymnów patryotycznych, o czem policya natychmiast dała znać do Zamku, zapytując, co czynić? Zapytanie było w całem znaczeniu tego słowa niewłaściwe i świadczyło, jak dalece narzędzie, na które liczono co do należytego wykonywania przepisów stanu wojennego, było niedołężne i niesprawne. W rozkazie do policyi, wydanym przez oberpolicmajstra Piłsudzkiego w dniu poprzedzającym, w art. 10 wypadek tego rodzaju był przewidziany i dane wskazówki,

---

której znajdowały się wszystkie sfery i około godz. 11 rozległy się w kościołach hymny z należytą uroczystością.“ Podanie to, zaczerpnięte widocznie ze źródeł mętnych, nie jest prawdziwe. Nikt nikogo na próbę nie wysyłał; o gotującej się uroczystości wskutek odezw całe miasto wiedziało i publiczność od samego rana dążyła do kościołów.

[1]) Ozdobiony był czterema obrazami Stachowicza: pierwszy przedstawiał przysięgę na rynku w Krakowie, drugi Waszyngtona obdarzającego Kościuszkę orderem Cyncynata, trzeci oddanie czci Kościuszce przez ułanów polskich w Solurze, czwarty alegoryą, w której ojczyzna przekazuje Kościuszkę nieśmiertelności. Prócz tego katafalk był ozdobiony chorągwiami, krakuską i orężem, a przed katafalkiem stało kolosalne popiersie Kościuszki.

[2]) Uległ on tylko naciskowi rewolucyonistów i osobnej deputacyi, która doń przybyła zapraszając do celebry. Gdy biskup się wahał i mówił, że może być za to uwięziony, szewc Hiszpański, obecny w deputacyi, zawołał: „księże biskupie, ja jestem szewc, więc za to, że buty robię, to mam iść do kozy?“ Znaczyło to, że ty księże za spełnienie obowiązków swego stanu karany być nie możesz. Logika ta oddziałała na biskupa tak, że zgodził się na wzięcie udziału w nabożeństwie manifestacyjnem, choć niektórzy księża, jak Biernacki, kustosz kościoła św. Jana, zwracali mu uwagę, że rząd źle to będzie widział, jak utrzymuje *Pawliszczew* (Siedmicy, I, 29).

jak w takich razach policya ma postępować [1]). Pytanie było zupełnie niepotrzebne i Lambert odrzekł: „wykonać ściśle postanowienie wydane na wypadek zbiegowisk, t. j. kościoły otoczyć wojskiem i gdy nabożeństwo się skończy i lud pocznie wychodzić, aresztować wszystkich mężczyzn dorosłych, nie tykając kobiet i dzieci [2]). Rozkazowi temu zadość uczyniono. Z wojsk stojących na placu Zamkowym, Chrulew, do którego zarządu wojennego zawsze ta część miasta należała, wziął dwie kompanie piechoty i otoczył niemi kościoły św. Jana i Bernardynów. Podobnie postąpiono z kościołem św. Krzyża.

W katedrze właśnie zaczynano śpiewać „Boże coś Polskę,“ gdy rozeszła się wieść, że wojsko obległo kościół dokoła. Gdy zobaczono błyszczące przed drzwiami bagnety, zrazu zapanował popłoch; kto mógł wymykał się i niektórym szczęśliwie się to udało. Biskup Benjamin wydostał się jeden z pierwszych i schronił się do klasztoru OO. Kapucynów przy ulicy Miodowej, skąd natychmiast posłał po konie pocztowe, żeby wyjechać z Warszawy do Janowa, przyczem mówił: „jeżeli mię mają aresztować, to niech mię aresztują w dyecezyi“ [3]). W kościele Bernardynów biskup Plater wymknął się przez zakrystyą do klasztoru, a ztąd boczną bramą na ulicę. Lud pozostały zaś uległ namowom młodzieży i postanowił nie wychodzić. Miano to przekonanie, że wojsko nie ośmieli się wejść do kościoła, że zatem opór ten zmusi władzę do ustępstwa i do oswobodzenia wszystkich. Nawet kobiety i dzieci wychodzić nie chciały.

---

[1]) Artykuł ten brzmi: „do wszystkich kościołów przeznaczyć służbę policyjną, której obowiązkiem jest, w razie śpiewania hymnów zakazanych, dawać znać najbliższemu naczelnikowi wojsk dla przeznaczenia do kościoła siły wojskowej. Wojska wewnątrz kościołów wchodzić nie będą, lecz przy wyjściu z takowych, mężczyzn zatrzymywać a kobiety i dzieci wolno puszczać będą. Przy tem w razie możności znajdować się będzie jeden z policmajstrów, w każdym zaś razie komisarz cyrkułowy obecnym być winien.“

[2]) *N. Berg,* loc. cit. 368.

[3]) Z ustnych podań. Po konie wysłany był ojciec Wilhelm Pasiuta.

Wieść o otoczeniu kościołów przez wojsko oraz o postanowieniu zamkniętego w nich ludu, rozbiegła się błyskawicą po mieście i wywarła niesłychanie potężne wrażenie, któremu uległ i sam Lambert. Rozdrażniony nadzwyczajnie, chory, plujący krwią, lękając się, by ludność nie gromadziła się przed kościołami, by wogóle wybuch jaki w mieście nie nastąpił, chwycił się środka barbarzyńskiego. Jak wszystkie charaktery słabe i temperamenta nerwowe, wpadł z jednej ostateczności w drugą; przed chwilą łagodny i miękki, stał się teraz okrutnym i dzikim. Nakazał rozpuścić po mieście około trzystu kozaków, którzy mieli polecenie rozpędzania wszelkich zbiegowisk. Latali więc oni po ulicach jak szaleni, bili batami każdego, kogo napotkali, nie pytając winien czy nie winien, nie zważając na wiek, płeć, ani stan [1]). Oczywiście kto mógł, chronił się do domów; miasto zaległa posępna, głucha i przygnębiająca cisza.

Tymczasem, gdy się to na ulicach dzieje, gdy tam hula, niby horda barbarzyńców średniowiecznych, na pół

[1]) Że przytem kozactwo dopuszczało się różnych nadużyć i gwałtów, dziwić się temu nie można. Zdzierając konfederatki lub pasy z przechodniów, kradli także zegarki i pieniądze, a kobietom kolczyki, medaliony, brosze. Nie zważali oni na nic. Zdarzyło się, że właśnie na pocztę, która wtedy była na rogu ulicy Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia, przybyły dwa dyliżanse pocztowe z Lublina z pasażerami. Kozacy na wysiadających napadli i batożyć ich poczęli, a wstawiającego się za nimi urzędnika pocztowego Szafrańskiego i służbę niemiłosiernie skatowali. Senatora Fenshawa, pomimo że krzyczał, iż jest jenerałem, porządnie skropili na ulicy Miodowej. Pastora luterskiego Otto'na, niosącego list na pocztę, ten sam los spotkał. Poddanego angielskiego, Jerzego Mitchel, kozacy na ulicy Czystej haniebnie zbili. Oburzony tem Anglik zaniósł skargę do lorda Johna Russel i domagał się koniecznie satysfakcyi. List jego, opisujący w jaskrawych barwach straszne te i jedyne w swoim rodzaju sceny, obiegał wówczas wszystkie gazety. Zawiązała się wskutek tego korespondencya dyplomatyczna i rząd angielski żądał, by ci kozacy, którzy pobili Mitchela, byli ukarani. Przeprowadzone śledztwo, już za Lüdersa, kozaków tych znaleźć nie mogło i sprawa cała na tem się skończyła.

dzikie kozactwo, lud z kościołów nie myśli wcale wychodzić. Czas upływał i dłużył się obu stronom niesłychanie, zwłaszcza, że tak lud, jak i rząd nigdy nie przypuszczał, żeby sprawa taki obrót wzięła. Lud zrazu sądził, że wojsko przyprowadzono na postrach tylko i że po paru godzinach odejdzie ono sobie; rząd mniemał, że lud nie wytrzyma i pocznie wychodzić. Inaczej się jednak stało, lud wciąż pozostawał w kościołach. U św. Jana kobiety poumieszczały się po ławkach, konfesyonałach, rozesłano dla nich kobierce z prezbiteryum i siedziały smutne modląc się i drzemiąc. Najgorszy los był dzieci, które z głodu i pragnienia już koło godziny piątej popołudniu poczęły płakać i omdlewać. Na szczęście potrafiono się porozumieć z mieszkańcami domu popijarskiego, oddzielonego od katedry wąskiem podwórkiem, zwanem cmentarzykiem. Tu wiele osób stało i z okien tego domu poczęto spuszczać oblężonym w koszach chleb, bułki, wędliny i wodę. Kilku rezolutniejszym a może bardziej tchórzliwym i mniej wytrzymałym, przyszło do głowy, że tą samą drogą, którą przybywała żywność, możnaby się wydostać z kościoła. Wyszukali więc drabinę, przystawili ją do okna celi i jakiś młodzieniec drapać się po niej zaczął. Ale wojsko stojące na Kanonii spostrzegło to, zwłaszcza, że drzwi wychodzących z tego podwórka zapomniano zamknąć, wpadło więc na dziedziniec, drabinę wywróciło, przyczem ów drapiący się śmiałek potłukł się haniebnie, a kosze z wodą i żywnością zabrało. Musiano się więc kontentować wodą święconą, ciepłą i niesmaczną, której potrochu udzielano dzieciom i kobietom.

Powoli wśród tego wszystkiego noc zapadła, chłodna, księżycowa. Wojsko, oblegające kościoły, ustawiło broń w kozły i rozłożyło ogniska na ulicach, co przy ciszy powszechnej, zupełnie pustych ulicach i nocy, robiło wstrząsające wrażenie. W kościele św. Jana przed kratą zamkniętą u głównego wejścia, zjawił się oficer i oznajmił zebranym, że kobiety i dzieci mogą swobodnie wracać do

domu; odpowiedziano mu, że jeżeli wszystkich wolno puszczą, to wyjdą, inaczej z miejsca się nie ruszą [1]).

O wszystkiem tem wiedziano w Zamku. Owa scena z koszami bułek, spuszczanymi z domu popijarskiego, owa odmowa wyjścia świadczyła, że lud uparł się i uledz nie myśli. Groźna cisza, panująca w mieście zwykle tak ruchliwem, upajała zebranych w Zamku jenerałów i dygnitarzy jak narkotyk niezdrowy i oszołomiała ich mózgi. Z trwogą przysłuchiwali się oni tej ciszy, przerywanej od czasu do czasu tylko brzękiem szabli, dzwoniącej o bruk uliczny, głuchym stukiem kolb od karabinów lub szeptem żołnierzy.... Co robić? jak wyjść z tego położenia? oto pytanie, które każdemu wiszało się na ustach....

Zebrała się więc w Zamku rada wojenna, na której, oprócz Lamberta, znajdował się Gerstenzweig, Chrulew, Kryżanowskij, Potapow, Rożnow i wielu innych, sama jeneralicya, sama śmietanka rządu warszawskiego. Postanowiono to, co było istotnie w tem położeniu najrozsądniejszego, to jest trzymać się ściśle przepisu, zawartego w artykule 10 rozporządzenia o stanie wojennym, t. j. czekać póki lud nie zacznie wychodzić z kościołów i wtedy aresztować wszystkich mężczyzn. Utrzymywano i słusznie, że wcześniej czy później lud zmuszony głodem i znużeniem wyjść musi [2]). Ale postanowienie to wkrótce pod wpływem

[1]) Kilka wspomnień ludowych („Przegląd rzeczy polskich“ Lipiec, 1862).

[2]) Tak twierdzi *Berg,* loc. cit. 369, dodając, że większość rady wojennej wraz z Gerstenzweigiem była tego zdania. Podanie to jest najprawdopodobniejszem i my za niem poszliśmy. Wszelako Berg, zaznaczając, że było to także zdanie Gerstenzweiga, każe się domyślać, że Lambert był przeciwnego mniemania, co jest jednak wątpliwem. Dnia tego był on tak chorym, że ledwie utrzymać się mógł na nogach *(S. M. Borszczow,* Samobójstwo generała Gerstenzweiga.“ Istoriczeskij Wiestnik tom XXVII, 63), i prawdopodobnie kierował się opinią innych. Cały zresztą przebieg tej sprawy dodziśdnia nie jest jasny; w każdym razie najprawdziwszą wydaje się być relacya Berga i dlatego za nią poszliśmy. Z podań jednak rozmaitych autorów wynika, że były dwie rady wojenne, jedna zaraz z wieczora, druga później nad ranem. O tej ostatniej pomówimy później.

postrachu i pogłosek na niczem nieugruntowanych, miało się zmienić. Po naradzie wojennej, Gerstenzweig koło północy, nadzwyczajnie zmęczony, udał się do siebie, do pałacu Brühlowskiego, i zaraz zjawił się u niego biskup Dekert. Wysłany on został przez księży zgromadzonych około Białobrzeskiego, wybranego administratorem dyecezyi po śmierci arcybiskupa, i domagających się usilnie, ażeby nieść jakąkolwiek pomoc zamkniętej w kościołach ludności[1]). Dekert pojechał do Gerstenzweiga, ale nie został przezeń przyjęty, tylko wysłany adjutant zapytał go: czego sobie życzy? Dekert odrzekł, że przybył z prośbą, aby lud z kościołów wypuszczono i nikogo nie aresztowano. Prośba taka u Gerstenzweiga, człowieka twardego i przeciwnego wszelkim ustępstwom, nie znalazła ucha. Odpowiedział przez adjutanta Dekertowi tonem nieco szyderskim: „niech wychodzą, nikt im nie broni; co zaś do aresztowań, to rzecz ta należy do rządu i nie czas o tem teraz rozprawiać“ [2]). Te surowe słowa, ten ton szyderski i naigrawający się, oburzył nadzwyczajnie księży, którym powtórzył je Dekert. Wśród gorączkowych rozpraw, wśród roznamiętnienia powszechnego, poczęto najróżnorodniejsze, najfantastyczniejsze podawać projekta. Wszystkim na sercu leżało oswobodzenie oblężonych i wszystkie umysły wrzały i głowy się paliły. Noc późna, natężenie nerwów, wyobraźnia uderzona niezwyczajnością wypadków, ekstaza patryotyczna, przyczyniały się do tego, że projekta te istotnie przybierały niekiedy rozmiary fantastyczne. Mówiono więc, że należy co żywo urządzić procesyą nocną z chorągwiami, krzyżami, obrazami, z Najświętszym Sakramentem, z mnóstwem światła i podążyć wprost do kościołów i wyprowadzić stamtąd osaczoną ludność. Garść osób świeckich, różnej młodzieży czerwonej, która znajdowała się na tem posiedzeniu, odbywającem się w konsystorzu przy ulicy Miodowej, przyrzekała swój współudział. Wiedziano, że w mieście jest

---

[1]) Z ustnych podań, bardzo wiarogodnych.

[2]) *N. Berg,* loc. cit. 369.

straszne rozdrażnienie, że zatem nie trzeba będzie zbyt wielkich starań i zabiegów, by zebrać gromadę ludu, straceńców i entuzyastów, którzy pójdą wszędzie, na bagnety i działa nawet [1]).

Wieści o tem, jak zwykle przesadzone, niejasne i mętne, doszły do uszów wojska, biwakującego na ulicach i jego dowódców. Mówiono, że już gdzieś tam zgromadziły się ogromne tłumy ludu i tylko patrzeć, jak rzucą się na wojsko; że duchowieństwo ubrane w stroje uroczyste, w ornaty i kapy, wyruszy na czele niosąc monstrancye, krzyże, relikwie świętych.... Wieści te doszły do Chrulewa, którego wyobraźnia zapalna łatwo tym fantastycznym wieściom uwierzyła; pobiegł więc co żywo do Zamku, około godziny pierwszej w nocy, i uwiadomił o wszystkiem Lamberta.

Łatwo pojąć, jak silne wrażenie na tym chorym, zdenerwowanym Hamlecie moskiewskim wieść ta wywarła. Zwołano na gwałt drugą naradę wojenną, na którą, jak się zdaje, zawezwano także Gerstenzweiga [2]) i znowu po-

[1]) Tenże, loc. cit. 370. O tej procesyi wspomina także raport urzędowy, wydrukowany w kilka dni później w „Dzienniku powszechnym.“ „Z pewnością wiadomem było (czytamy tam), że na rano przygotowywa się wielka manifestacya, a mianowicie procesya duchowieństwa na czele ludu ku otoczonym kościołom.“

[2]) Mówimy „jak się zdaje,“ gdyż Berg o tej radzie wspomina tylko mimochodem, i z jego opowiadania wynika, że jenerał-gubernator na niej nie był. Wszelako obecność jego późniejsza przy wtargnięciu do kościołów, jego udział w akcyi, niezgodnej z przepisami niedawno wydanymi, świadczy przeciwnie. Mamy zresztą dowody jego obecności na tej drugiej naradzie. *Teobald* w swych „Wospominaniach“ IV, 20, powiada, że gdy wieść o zamierzonej procesyi przyszła do Zamku, „zebrała się rada wojenna. Hrabia Lambert chciał postawić przed Zamkiem całą bateryą (dział) i rozpocząć ogień na procesyą, ale Gerstenzweig, Kryżanowskij, Chrulew, Rożnow i inni radzili, ażeby rzeczy nie doprowadzać do takiej ostateczności.“ *P. Martianow* w artykule wydrukowanym w gazecie „Swiet“ z r. 1893 p. t. „Tragiczeskaja konczina gen. A. D. Gerstenzweiga“ powiada, że G. był obecny na radzie, w tem się tylko różni od Teobalda, że jenerał-gubernatorowi przypisuje ów projekt strzelania z dział do procesyi. Opiera on się w tym względzie na relacyi przyjaciela Lamberta, Borszczowa, któremu namiestnik miał oświadczyć, że „na zda-

stawiono pytanie: co robić? Chrulew przedewszystkiem opowiedział to, co słyszał, i w końcu dodał, że „uważa chwilę obecną za bardzo groźną; że powstanie jest możliwe; że oczywiście ludność wojska nie pokona, ale w każdym razie starcie będzie straszne i liczne padną ofiary, może liczniejsze, niż dnia 8 kwietnia; dla rządu wreszcie nie jest rzeczą korzystną walczyć z kupą „popów,“ którzy

---

nie Gerstenzweiga: „trzeba wyprowadzić w czasie demonstracyi wojska,“ Lambert odrzekł ironicznie: „a może postawić przed Zamkiem bateryą i gdy się zbliży procesya kościelna, powitać ją kartaczami.“ W źródłach polskich rękopiśmiennych, jakie posiadamy pod ręką, mianowicie w „Kronice“ owych czasów, uparcie powtarza się opinia, że rada wtargnięcia do kościołów wyszła od Gerstenzweiga. „Sprawcą wszystkich tych nadużyć (wtargnięcia do kościołów) — czytamy tam — jak okazało się później, nie był Lambert, ale Gerstenzweig. Otrzymał on *carte blanche* od cesarza na 48 godzin; utrzymywał, że przez ten czas stłumi rozruchy polskie i taki zrobił z niej użytek.“ Wprawdzie słowa o owej *carte blanche* noszą na sobie cechę prostackiej plotki ulicznej, wszelako powszechność opinii, że Gerstenzweig był głównym powodem naruszenia nietykalności świątyń, opiera się na fakcie prawdziwym. *Giller* (A. Wielopolski, 82 i 84), który aczkolwiek w wielu razach jest echem plotek obiegających po mieście, ale miewa także niekiedy dobre wiadomości, jest tego samego zdania. Utrzymuje on, że z powodu manifestacyi przyszło do kłótni między Lambertem i Gerstenzweigiem, że „ostatni zażądał, aby jemu namiestnik zostawił swobodę działania, ręcząc słowem honoru, że buntowników poskromi, nie popełniwszy żadnego barbarzyństwa.“ O parę stronic dalej mówi: „jenerał Gerstenzweig, jako gubernator wojenny, zażądał od hr. Lamberta szczegółowych rozkazów do wystąpienia przeciw modlącym się w kościołach. Hr. Lambert wahał się, Gerstenzweig nalegał, przyszło powtórnie do sporu pomiędzy nimi, który się tem zakończył, że gubernator dał po raz drugi słowo honoru, że nie popełni żadnego okrucieństwa, jeżeli namiestnik zostawi mu zupełną swobodę działania.“ Z tego wszystkiego, pomijając drobne wątpliwe szczegóły, ten jednak autentyczny można wyprowadzić wniosek, że Gerstenzweig, wbrew twierdzeniu Berga, był obecny na drugiej naradzie, na której zapadła decyzya wtargnięcia do kościołów. Czy ta rada wyszła od Gerstenzweiga, czy od Chrulewa, jak utrzymuje Berg a pośrednio i *Lisicki* (Le marquis, 237, „prawdopodobnie rozkaz wejścia do kościołów nie był dany ani przez Lamberta, ani przez Gerstenzweiga“), dojść dziś na podstawie tych źródeł, jakie posiadamy, niepodobna.

bezwarunkowo staną na czele tłumu“ [1]). Wobec tego według jednych Chrulew, według innych Gerstenzweig miał poradzić, ażeby zmienić osnowę znanego nam już artykułu 10 o stanie wojennym i „posłać do kościołów, otoczonych przez wojsko, oficerów na czele nieuzbrojonych oddziałów żołnierzy, którzy zażądają od zebranych, ażeby wyszli; gdyby zaś lud tego nie posłuchał, wprowadzić oddziały zbrojne i wszystkich aresztować“ [2]). Większość rady wojennej głosowała za tym wnioskiem; Lambert, po pewnem widocznem wahaniu, zgodził się także i upoważnił Chrulewa do wykonania tej decyzyi. Porozumiawszy się w zasadzie, obradowano jeszcze nad drobnymi szczegółami; kazano kobiety i dzieci puścić wolno, mężczyzn tylko zabrać do cytadeli, z których wszystkich młodych przeznaczono do wojska, starszych zaś na zesłanie do Syberyi. Polecono również zredagować odpowiedni opis zaszłych wypadków i opublikować go w „Dzienniku powszechnym“ [3]).

Otrzymawszy pozwolenie do działania i taką instrukcyą, Chrulew zabrał się do dzieła. Właściwie trzy tylko kościoły miały uledz wtargnięciu wojska: Świętojański, Bernardyński i Świętokrzyzki, gdyż z innych, jak np. z kościoła Trynitarzy na Solcu i Reformatów przy ulicy Senatorskiej, ludność, gdy wojsko się pokazało, zdołała zbiedz bocznemi wyjściami [4]). Wiedziano o tem i sądzono, że przyjdzie do aresztowań tylko w trzech wymienionych świątyniach. Chrulew sformował oddziały odpowiednie, kazał im broń złożyć w kozły i zaczął od kościoła Świętokrzyzkiego. Ale jakże się zdziwiono, gdy wyłamawszy furtkę od klasztoru, prowadzącą do kościoła, znaleziono go ciemnym i pustym. Lud bowiem w chwili, gdy wojsko otoczyło kościół, wyszedł sobie najspokojniej, dzięki wskazówkom księdza Łuniewskiego, prefekta klasztornego, przez zakrystyą do ogrodu, a stąd wydostał się w części na ulicę

[1]) *N. Berg,* loc. cit. 390.
[2]) Loc. cit.
[3]) *Teobald.* Wospominania, IV, 20.
[4]) „Kronika,“ rękopism.

Świętokrzyzką, w części ogrodami przylegającymi na Mazowiecką. Dość, że nie zastano nikogo [1]).

Teraz Chrulew nieco z miną kwaśną, że pomimo tylu przygotowań komedyi nie było, ruszył do kościoła Bernardynów. Wysłał tam najprzód od strony klasztoru kapitana sztabu jeneralnego, Tarasenkowa (który już poprzednio kilkakrotnie drogą tą przechodził i starał się przekonać zebranych, ażeby ustąpili), z poleceniem, aby jeszcze raz wezwał ich do wyjścia dobrowolnego. Tarasenkow poszedł, przemówił do ludności drzemiącej po kątach albo nerwowo przechadzającej się po korytarzu przylegającym do kościoła, ale napróżno. Oficer oświadczył, że w razie nieposłuszeństwa wojsko będzie do świątyni wprowadzone i wszyscy mężczyzni przyaresztowani. Odpowiedziano mu krzykami i obelgami, a wielu wołało, że się wziąć nie dadzą, że się bronić będą. Kapitan Tarasenkow spełniwszy swą misyą, cofnął się, a zebrani w obawie rabunku poczęli w zakrystyi na ręce zakonników składać zegarki, pierścionki, klejnoty, wszelkie słowem kosztowności.

Tymczasem Chrulew rozkazał Tarasenkowowi wziąć trzydziestu żołnierzy bez broni i bez czapek i na czele tego oddziału wejść do kościoła zwykłą drogą, to jest od strony klasztoru. Kapitan poszedł, ale zaledwie próg przestąpił, gdy skupieni w tem miejscu mężczyzni, uzbrojeni w ławki, lichtarze, kije, rzucili się na żołnierzy. Ci zaczęli uciekać, choć Tarasenkow usiłował ich powstrzymać, wołając z drugiej strony do ludu, że postępowanie jego jest nierycerskie, gdyż napada na bezbronnych żołnierzy. Chrulew wi-

[1]) Pogłoska, która obiegała wówczas między rosyjskiemi kołami wojskowemi, o której wspomina *Berg* (loc. cit. 371) i *Teobald*, jakoby lud wyszedł przez podziemne przejście, mające istnieć między kościołem i domem Andrzeja hr. Zamoyskiego, jest zupełnie fałszywą. Wprawdzie Berg przytacza opowiadanie jednego z oficerów, który jakoby później z groty istniejącej w ogrodzie Zamoyskiego dostał się do tego przejścia podziemnego i idąc przez nie znalazł parasolkę kobiecą i w końcu wyszedł w zakrystyi kościelnej, ale romantyczna ta opowieść jest od początku do końca kłamstwem. Przejścia takiego nie było i nigdy ono nie istniało.

dząc, że inaczej nic nie poradzi, kazał żołnierzom wziąć do rąk karabiny z bagnetami i po raz wtóry wtargnąć do kościoła [1]). Żołnierze rozdrażnieni mocno, po większej części pijani, z wściekłością uderzyli na lud, bili kolbami, wielu potłókli mocno i poranili i wśród nieustającego oporu, jęku i płaczu kobiet, krzyków i wrzawy wyprowadzili wszystkich mężczyzn na ulicę. Z zakrystyi pokradli przytem klejnoty tam złożone, rozbiegli się po całym klasztorze, odbijali cele zakonników i dopuszczali się wszelkich gwałtów. Nie ulega najmniejszej kwestyi, że w starciu tem krew popłynęła. W miarę wyprowadzania aresztowanych na ulicę, łączono ich w partye po stu ludzi i wiedziono do Zamku, a stąd do cytadeli. Kobietom dozwolono iść do domów.

Chrulew, załatwiwszy się w ten sposób z kościołem Bernardynów, ruszył do św. Jana. Tu połączyli się z nim Gerstenzweig i Potapow, otoczeni adjutantami. Było około godziny trzeciej rano i noc była chłodna, księżycowa. Podobnie jak u Bernardynów i tutaj wysłano parlamentarza do zgromadzonych. Oficer, stanąwszy przed kratą, oddzielającą kruchtę od kościoła i zamkniętą na łańcuch, wezwał zebranych do wyjścia; gdy to nie skutkowało, Chrulew wydelegował sześciu ludzi z liczby aresztowanych u Bernardynów, żeby opowiedzieli, co się tam stało i namówili opornych do uległości. Ale i ta misya dziwna do niczego nie doprowadziła, owszem zdawała się rozdrażniać obecnych. Wielu chciało się uzbrajać i stawiać czynny opór, ale większość osądziła, że w żadnym razie w kościele walki wszczynać nie należy, że naród prowadzi „wojnę ewangieliczną,“ niech więc Moskale robią, co chcą. Oficerowie, stojąc przy kracie, drwić sobie zaczęli i dopytywali się, jak sobie radzono w kościele w niektórych razach. Tu i owdzie między kobietami robił się ruch i na gwałt przebierano

[1]) Raport urzędowy, a za nim relacya *Teobalda* twierdzi, że Tarasenkowowi udało się przekonać lud i że żołnierze, zawsze bezbronni, wyaresztowali po jednemu wszystkich mężczyzn. Zaprzeczają temu wszelkie relacye polskie, zaprzecza i *Berg*. Aresztowań dokonano dopiero za drugiem wkroczeniem żołnierzy już uzbrojonych.

w suknie niewieście jakiegoś bardziej skompromitowanego mężczyznę, czasem męża, brata, a może i kochanka...

Nagle, żołnierze w liczbie dwudziestu, z karabinami w rękach, ale bez czapek, wprowadzeni do kruchty [1]), poczęli toporami odbijać łańcuch od kraty. „Żołnierzom, jak powiada raport urzędowy, stanowczo, bez względu na żadne okoliczności, zakazano użycia broni i dozwolono tylko, w ostatecznym razie, grozić kolbami". Ale ponieważ byli oni po większej części pijani i mocno podrażnieni, należało się spodziewać, że z pozwolenia grożenia kolbami, skorzystają w swój zwykły sposób. Krata nakoniec pękła i błyszczące bagnety ukazały się na progu świątyni.

Widok, jaki uderzył zebranych tu jenerałów, miał w sobie coś uroczyście wspaniałego i groźnego zarazem. Cała, wielka, gotycka świątynia gorzała od światła, które ginęło gdzieś pod sklepieniem ostrołukowem, lub łączyła się z blaskiem miesiąca, przedzierającem się przez okna, na pół przysłonięte kirem, jeszcze od czasu pogrzebu arcybiskupa. Na środku wznosił się olbrzymi katafalk, z baldachinem srebrzystym, a w jego ozdobach odbijało się i przelewało światło tysiąca świec. Lud zebrany klęczał twarzą zwrócony do ołtarza i śpiewał nerwowo, głosem rwącym się co chwila, stary psalm Dawidowy: „Kto się w opiekę poda Panu swemu"... Scena była pełna grozy i powagi; Kościół dyszał blaskiem, świętością i modlitwą.

Któryś z jenerałów, stanąwszy na schodach, prowadzących z pod chóru do naw kościelnych, zawołał po polsku głosem donośnym: „Panowie, wychodźcie! gdyż w przeciwnym razie dany będzie rozkaz aresztowania was!" Na słowa te nikt się nie odezwał. W kościele zaległa cisza grobowa, śpiew nawet się urwał. Zdawało się, że wszyscy utaiwszy dech w piersiach oczekują strasznej katastrofy.

---

[1]) Drzwi główne nie były zamknięte; gdyż poprzednio otworzono je dla wpuszczenia niosących wodę, a żołnierze zamknąć już więcej ich nie dali, i przez nie swobodnie oficerowie dostawali się do kruchty.

Nakoniec na głośną komendę oficera dowodzącego, żołnierze spuścili bagnety jak do ataku i ruszyli ku nawie lewej od wejścia. W kościele rozległ się jęk, płacz i krzyk. Większość przekonana była, że zostanie wykłutą. Tymczasem żołnierze, szturgając opierających się kolbami, pędzili ich przed sobą i pojedynczo lub grupami aresztując, wyprowadzali ich na ulicę, a stąd do Zamku. Gdy już oczyścili tym sposobem nawę lewą, i cały tłum skupił się w środkowej i prawej, nagle przed kratą od prezbiteryum, na schodkach, ukazał się ubrany w komżę i stułę, z krzyżem metalowym w ręku ks. Pyzalski, nauczyciel religii w gimnazyum gubernialnem w Warszawie i podnosząc krzyż do góry począł mówić głosem nerwowym do żołnierzy i do ludu, wzywając go do oporu. Wszyscy zatrzymali się jak skamienieli, zdziwieni nadzwyczajnie tem niespodziewanem wystąpieniem, wszyscy wlepili w mówcę oczy i w kościele zaległo pełne grozy milczenie [1]). Trwało to zresztą krótką chwilę, gdyż jeden z żołnierzy schwycił księdza za kark i pchnął go do grupy już aresztowanych. Ksiądz Pyzalski wyprowadzony, szedł przez całą drogę do Zamku, mówiąc głośno modlitwę i przybywszy na odwach zamkowy, natychmiast zasnął [2]).

Po tej scenie aresztowania dalej trwały. Kobiety i dzieci spędzono do prezbiteryum, mężczyzn zaś wyprowadzano. Niektórzy dali się brać bez najmniejszego oporu, w milczeniu, jakby nieprzytomni lub senni, inni bronili się zawzięcie i kolbami zmuszeni dopiero ulegali. Tu i owdzie przyszło do poważnych nawet starć: żołnierze rozdrażnieni oporem bili już uległych i nieuległych. Coraz więcej wojska przybywało do kościoła, przetrząsali wszystko, zaglądali za ołtarze, za obrazy, za katafalk, pod dywany, do stali, konfesyonałów, zakrystyi; wdarli się na chór, na ambonę, tłukąc i niszcząc wiele drobnych sprzętów.

---

[1]) Z podań ustnych.

[2]) Za to wystąpienie ks. Pyzalski, już za Lüdersa, zesłany został do gubernii Ołonieckiej (*Pawliszczew,* Siedmicy I, 26).

W chwili gdy te sceny straszliwe i niesłychane odbywały się w kościele, ktoś dostał się na dzwonnicę i uderzył w dzwony, jakby na trwogę. Wśród ciszy panującej w mieście, odgłos tego dzwonu rozlegał się żałośnie, rozpływał się na dalekie przestrzenie. Zrazu przy ogólnem zamięszaniu, krzykach, płaczu kobiet, nie zwracano uwagi na jęczący dzwon nieustannie, ale powoli w grupie jenerałów i oficerów odgłos ten wzbudził pewne rozdrażnienie i Gerstenzweig pierwszy zawołał: „a zrzućcież mi tego dzwonnika z dzwonnicy!“ (da snimite mnie etogo zwonara s kołokolni!) Żołnierze rzucili się, ale wnętrze dzwonnicy napełnione było kryjącymi się tutaj. Wywleczono ich wszystkich, sznury od dzwonów poprzecinano i jęk płaczliwy dzwonu ustał [1]).

Nakoniec wyprowadzono już wszystkich mężczyzn. Kobiety zostały w kościele i po krótkim ich przeglądzie, dokonanym przez oficerów, niektórym pozwolono zaraz wracać do domów, dokąd odprowadzali je policyanci, inne zaś zostały aż do rana w kościele. Odbywały się przytem sceny rozdzierające. Wiele kobiet, żon, matek, sióstr a może kochanek z płaczem i krzykiem przeciskało się przez żołnierzy, by poraz ostatni kogoś z aresztowanych ucałować, zwłaszcza, że obiegała śród tłumu pogłoska, że ich rozstrzelają. Pogłoskę tę popierały ironiczne żarty żołnierzy, którzy wprost mówili, że co piątemu będą „jak sobakom“ w łby strzelali. Na ulicy Świętojańskiej wszystkich aresztowanych ustawiono w szeregi. Getstenzweig zapytał: „ilu ich jest?“ — odpowiedziano mu, że od dwóch do trzech tysięcy. Cyfra ta zdawała go się przerażać i zawołał: „co my będziemy z nimi robili?... *quelle terrible histoire!* (co za straszna historya)“ [2]).

Wszystkich aresztowanych popędzono do cytadeli. W długim tym, ćwierć mili przeszło pochodzie, żołnierze szydzili z jeńców, wymyślali im, grozili, a będących na

[1]) *N. Berg:* loc. cit.
[2]) Loc. cit.

końcu bili bezlitośnie kolbami; zwłaszcza największą okazywali nienawiść do studentów i żydów, których kilku wzięto w kościele. Idącym kazali, żeby maszerowali równo, po wojskowemu i nie umiejących tego kułakowali lub obelgami obrzucali. Gdy się zbliżono do cytadeli, żołnierze wskazując na nią mówili do więźniów: „oto wasza Matka Boska“ (wot wasza Boża Matier). Przybyłych do fortecy obliczono natychmiast i pokazało się, że cyfra aresztowanych w obu kościołach wynosi 1.678 [1]). Przeważnie należeli oni do sfery mieszczańsko-rzemieślniczej. Z wybitniejszych w mieście osób nikogo nie było, chyba, że zaliczymy do nich znanego nam już szewca Hiszpańskiego, oraz dwóch aktorów: Królikowskiego i Chęcińskiego. Aresztowano również niejakiego Sadowskiego, podporucznika pułku smoleńskiego piechoty, Polaka, który znalazł się także w kościele i wyjść z niego nie chciał [2]).

Aresztowanie skończyło się około godziny 5-tej rano i Gerstenzweig zaraz, tejże nocy zgłosił się z raportem o wszystkiem do namiestnika. Gdy wymienił cyfrę aresztowanych, Lambert rozpaczliwie załamał ręce i rzekł z ironią: „a cóż, ukarz ich pan wszystkich, oddaj w rekruty lub wyślij na osiedlenie“ [3]). Widocznie był tą sprawą mo-

[1]) Taką cyfrę podaje raport urzędowy, opublikowany w „Dzienniku powszechnym“. *Teobald* mniej więcej tę samą cyfrę daje (1.684). Lambert w depeszy do cesarza z dnia 17 października, powiada, że aresztowano 1.600 osób. Liczba więc od 1,600 do 1.700 jest najwiarogodniejszą. *Berg* nie określa bliżej liczby, jak również źródła polskie. Jeden tylko *Podwysockij* (Zapiski, 90) powiada, że aresztowano w obu kościołach 3.500 mężczyzn.

[2]) Zdegradowany został za to na prostego żołnierza (*Pawliszczew* I, 59).

[3]) *P. Martianow:* „Tragiczeskaja konczina gen. Gerstenzweiga“. („Swiet“ z 1893 r.). *Teobald*, Wospominania, IV, 21, twierdzi, że Lambert miał odrzec: „los ich zdecydowany; młodzi do wojska, starsi na Syberyą“. *Berg* nic o tem nie wspomina, żeby Gerstenzweig tegoż poranku, po aresztowaniach w kościele, był u Lamberta.

cno wzburzony; do cesarza zaraz o wszystkiem telegrafował o godzinie 4 minut 15 rano [1]).

Gdy się dzień zrobił, wieść o tem, co się stało w nocy w kościołach, rozbiegła się piorunem po mieście i wywarła na wszystkich wstrząsające wrażenie. Oburzenie było ogólne; w mieście wrzało jak w kotle. Po ulicach poczęły się gromadzić tłumy, przybierały postawę groźną, zdawało się, że lada chwila wybuch nastąpi. Bóg wie o czem nie mówiono i nie marzono w tych tłumach rozgorączkowanych, roznamiętnionych, wygrażających pięściami. Gdyby się był znalazł wódz, człowiek dość silny, by te tłumy porwać, kto wie, czy wtedy, w ten dzień fatalny krew polska i moskiewska nie była się polała po bruku Warszawy. Ale wodza takiego nie było...

W Zamku, wśród jenerałów popłoch był nie mały. Uważali oni moment ten za arcy niebezpieczny, za najgroźniejszy, jaki był od chwili poczęcia manifestacyi [2]). W Zamku zdwojono posterunki, do cytadeli dano znać, by się miano na pogotowiu, a na miasto puszczono znowu dwie setnie kozaków i tak zwanych czerkiesów, żeby rozpędzali wszelkie zbiegowiska. Powtórzyły się znowu wczorajsze dzikie sceny. Kozacy latali po ulicach i bili batami, kogo tylko napotkali. Tu i owdzie broniono im się, ale ostatecznie koło południa fale powszechnego wzburzenia, groźny pomrok miasta umilkł. Ulice zupełnie opustoszały, obawa nagłego wybuchu znikła. Felczerzy i lekarze, wezwani do Zamku na wypadek potrzeby, rozeszli się do domów. Miękka, słowiańska, niezdecydowana natura polska wzięła górę...

---

[1]) Telegram z dnia 4 (16) października, godzina 4 minut 15 w nocy: „wczoraj trzy kościoły, w których zebrało się (nie mówi co) dla odprawienia nabożeństwa i śpiewali hymny podburzające, były otoczone siłą wojskową; z jednego z nich publiczność wyszła tajnem przejściem (skrytym hodom); w innych uparcie pozostała do późnej nocy. W tej chwili dokonywuje się w nich aresztowanie przemocą wszystkich mężczyzn".

[2]) *N. Berg:* loc. cit. 373, w przypisku.

Ale nie miało się na tem skończyć, niestety! Wśród duchowieństwa, wśród kleru, przesiąkniętego gorącym patryotyzmem chwili, dotkniętego bezpośrednio zniewagą, wyrządzoną kościołom i religii, oburzenie dosięgało swego zenitu. Wybrany przed paru dniami przez kapitułę administratorem dyecezyi ks. Antoni Białobrzeski, wbrew opinii, która domagała się, by na stanowisko to powołano sufragana lubelskiego, Baranowskiego, był już człowiekiem niemłodym, o charakterze miękkim i ulegającym obcym wpływom, przytem, jak każda słabość, upartym. Otoczony księżmi pełnymi energii, jak Dziarzkowski i Sieklucki, lub tak wpływowymi w tej chwili, jak Stecki i Wyszyński, patrzał na wszystko ich oczami. Rankiem, dnia 16-go października, zbiegli się do niego wszyscy, mówili, gorączkowali się, zapalali; umysły były nadzwyczajnie rozgoryczone i podniecone. Oprócz księży, których coraz więcej do mieszkania Białobrzeskiego w pałacu arcybiskupim przybywało, zjawiło się tu także wielu cywilnych, zjawił się Stawiski, znany autor adresu do cesarza, zjawił się i Majewski... Atmosfera oburzenia wzrastała, wszyscy rozprawiali, wszyscy czuli potrzebę zrobienia jakiegoś kroku, ale nikt nie wiedział, co zrobić należy i jak sobie postąpić.

Wśród tego wszystkiego, wśród tego chaosu podnieconych namiętności, rozpalonych głów i rozgoryczonych serc, pojawił się posłaniec od biskupa Dekerta z karteczką do Białobrzeskiego. Dekert niemniej oburzony jak wszyscy, rozdrażniony nocnym pobytem u Gerstenzweiga, który przez adjutanta rozmawiał się z wysokim dygnitarzem kościelnym, traktował go szydersko i lekceważąco, radził administratorowi, żeby polecił spisać protokół z wypadków nocnych i przeprowadził śledztwo w sprawie profanacyi kościołów, a ponieważ, kończył, „w kapitularzu tego zrobić nie można, gdyż policya archikatedrę ciągle otacza, więc należy aktu tego dokonać w konsystorzu“ [1]). Słowa te wśród burzliwego zamętu, stały się drogowskazem, wy-

[1]) Z ustnych relacyi osób wiarogodnych.

raz „profanacya“ osią rozwijających się planów, uchwycono jej się chciwie, domagano się od Białobrzeskiego, by co żywo zwołał do konsystorza kapitułę i nie kapitułę.

Wkrótce zbiegło się w salach konsystorza mnóstwo księży i osób cywilnych, którym księża Wojno, Dziarzkowski i inni, dali znać o zebraniu. Zgromadzenie obliczano na 300 osób, i widocznem było, że tu nie szło o akt protestujący przeciw zniewadze kościołów, gdyż w takim razie ludzie świeccy nie mieli tu co robić, ale o akt polityczny, dla którego ta zniewaga była pretekstem tylko. Z pomiędzy biskupów był obecnym ks. Juszyński, sandomierski, i Majerczak, administrator dyecezyi kielecko-krakowskiej. Rozprawy z początku toczyły się głównie co do tego, czy istotnie kościoły uległy profanacyi. Pomimo rozgorączkowania powszechnego, pomimo oburzenia, pomimo upajającej i niezdrowej atmosfery rewolucyjnej, większość zebranych księży sądziła, że kościoły przez akt napadu nocnego nie uległy profanacyi. Któryś z księży zacytował nawet zdanie teologiczne, że „kościół sam przez się nie ulega zniewadze, tylko w mniemaniu ludu“ (ecclesia in se ipsa non polluitur, sed in existimatione populi). Na to inny ksiądz, profesor akademii, który z czasem miał wybitne zająć stanowisko w hierarchii duchownej, zawołał z ogniem: „a więc trzeba temu mniemaniu ludowemu zadość uczynić i kościoły zamknąć“ (opportet hanc existimationem satisfacere). Wyrazy te stały się blaskiem, rozświecającym ciemności; stały się ognistym słupem Mojżeszowym, przewodniczącym w pustyni. Wszyscy uchwycili się ich gorąco, wołano: „znieważono kościoły, zamknąć je! duchowieństwo może to zrobić, są na to dekreta papiezkie, bulle, teologia!“ Cywilni, różnego pokroju rewolucyoniści i nierewolucyoniści, którzy chcieli dokuczyć Wielopolskiemu, wszyscy wreszcie pragnący, by przepaść między rządzącymi i rządzonymi stawała się coraz szersza i głębsza, gorąco popierali tę myśl dziwną, niczem nieusprawiedliwioną i ze stanowiska teologii nieprawną. Napróżno ks. Topolski, kanonik metropolitalny i sędzia surrogat konsystorza, powstał przeciw temu, napróżno wy-

mownemi słowy wykazywał całą nieprawność takiego kroku, zakrzyczano go, nazwano Moskalem, służką rządowym. Ten sam ksiądz, który pierwszy podał projekt zamknięcia kościołów, odparł zarzuty Topolskiego. „Wprawdzie, mówił on, według kanonów, kościoły nie mogą być zamknięte, ale ze względu na stan umysłów w kraju, rzecz ta winna być koniecznie dokonaną“. Mówił z zapałem i porwał za sobą wszystkich dotąd chwiejących się wobec własnego sumienia, i decyzya zamknięcia kościołów zapadła nieomal jednogłośnie [1]).

Zaraz też, żeby nie tracić czasu i kuć żelazo, póki gorące, wystósowano od Konsystorza jeneralnego odezwę do dziekana foralnego warszawskiego, ażeby „z powodu zaszłej w dniu wczorajszym profanacyi kościołów św. Jana i Bernardynów“, kościoły te natychmiast zapieczętował, protokół tej czynności spisał i takowy przy raporcie konsystorzowi nadesłał. Prócz tego wygotowano t. zw. „kursoryą“, czyli okólnik do wszystkich przełożonych kościołów parafialnych i zakonnych w Warszawie, w którym, donosząc im o opieczętowaniu dwóch kościołów, powiada: „ze słusznej zaś uwagi, aby inne świątynie Pańskie nie uległy tymże wypadkom, JW. ksiądz administrator poleca, że od dnia jutrzejszego wszystkie kościoły parafialne i zakonne, jakoteż kaplice publiczne mają być zamknięte, a to do dalszej jego decyzyi, to jest dopóki nie otrzyma rękojmi, że rzeczone świątynie zabezpieczone zostaną od profanacyi, a lud wierny z zupełnem bezpieczeństwem będzie mógł w nich zasyłać swoje modły do Boga“ [2]). W chwili, gdy ks. Sieklucki, sędzia surrogat konsystorza, odezwę i kursoryą powyższą ekspedyował, zbliżył się do niego ksiądz Zwoliński, proboszcz kościoła na Pradze, i prosił Siekluckiego, by tej kursoryi do niego nie przysyłał. Trzeba przecie, mówił, żeby choć jeden kościół był otwarty, a że

[1]) Cały przebieg narady w konsystorzu opisujemy według relacyi osób wiarogodnych, które były na tem posiedzeniu.

[2]) Obie te odezwy u *Gillera:* „Historya powstania narodu polskiego“. II, 389.

Praga jest za Wisłą i kościół daleko, więc to w niczem ogólnej postawy kleru nie naruszy. Sieklucki zgodził się na to, kursoryi na Pragę nie posłał, i Zwoliński, człowiek niewykształcony, prostackich usposobień, chciwy na grosz, ale nadzwyczaj zręczny, zyskał sobie przez to u rządu bardzo dobrą opinią, która mu z czasem miała posłużyć do zajęcia jednego z najwyższych stanowisk w hierarchii duchownej Królestwa.

Wszystko to odbyło się bardzo szybko i wieść o postanowieniu duchowieństwa błyskawicą rozbiegła się po Warszawie, rozniesiona zresztą przez księży i przez cywilnych, obecnych na radzie. Doszła ona oczywiście i do Zamku, potwierdzona zresztą przez kopią odezwy konsystorza, którą wręczono Lambertowi. Zaraz też przyszła odezwa Białobrzeskiego, jako administratora Archidyecezyi, wystósowana do namiestnika. W odezwie tej, a raczej liście, napisanym nadzwyczaj śmiało, świadczącym, jak dalece umysły były rozgorączkowane, Białobrzeski donosił o postanowieniu swojem, pisał, że „sromota wyrządzona w dniu wczorajszym kościołom nie pozwala mu milczeć“, że „gwałt wyrządzony kościołom w czasie śpiewania po mszy świętej pieśni religijnej aprobowanej *(sic)*, przez otoczenie ich wojskiem, zatrzymanie w nich przez dzień i noc bez pokarmu ludności męzkiej blizko dwutysięcznej, następnie wdarcie się do tychże wśród nocy przez złamanie kraty, wyrąbanie bramy, żołnierzy z bronią, z nakrytemi głowami, bicie kolbami i potrącanie pięściami osób wzbraniających się wyjść z obawy niezasłużonego aresztu, są czynami, których żadnemu regularnemu żołnierzowi, tem bardziej w rządzie zaręczającym szczególną opiekę religii katolickiej i to podczas najzupełniejszego pokoju dopuszczać się nie godzi, są czynami, które raczej do wieków Atyllów, niżeli do naszego należą“. W obec tego administrator postanowił zamknąć wszystkie kościoły w Warszawie i tak kończy: brak pociech i pomocy religii jakie wywoła usposobienie i następstwa wzburzonych do głębi umysłach, nie chcę się domyślać. To wiem tylko, że tylokrotnie

i tak boleśnie zrywane węzły zaufania między rządzonymi a rządem niczem się skuć ani nawiązać nie dadzą".

Pismo to przeraziło Lamberta mocno; wieści donoszone mu z miasta przez usłużnych jenerałów, brzmiące złowrogo i zapowiadające powstanie, dodawały grozy całemu położeniu, chorego i wahającego się Hamleta wprawiały w jeszcze większy stan niepewności. Wezwał on zaraz do Zamku Białobrzeskiego, który stawił się tam o godz. 9-ej rano [1]). Rozmowa była bardzo żywa, niekiedy gwałtowna. Biełobrzeski, jak wszystkie umysły słabe a przytem uparte, powtarzał to, czem go napoili młodzi księża; był zresztą mocno podrażniony. Mówił więc o oburzającej scenie aresztowań w kościele; pomysł tych aresztowań uważał za nader pośpiesznie i bez namysłu dokonany; oświadczył wreszcie, że rozporządzenie o zamknięciu kościołów dotąd nie zostało wykonane, że może być ono cofnięte, jeżeli namiestnik każe natychmiast uwolnić aresztowanych co do jednego, i jeżeli da rękojmią duchowieństwu, że podobne sceny więcej się nie powtórzą. Lambert nadzwyczajnie znużony, bo już trzy z rzędu noce nie spał, nie bardzo rozumiał subtelności teologicznych, któremi go przytem karmiono, nie chciał się spierać, żeby bardziej duchowieństwa nie drażnić, a może też w gruncie rzeczy potępiał w duszy nocną napaść na kościoły, na którą zezwolenie gwałtem mu niejako wydarto, dość że przerwał rozmowę i zakończył ją temi słowy, „że ze swej strony zrobi wszystko co można będzie dla uspokojenia umysłów i ma nadzieję, że duchowieństwo tak samo postąpi" [2]).

[1]) *N. Berg*, loc. cit. 375. *Juliusz Jastrzębczyk:* „Krzyżowy charakter ruchu polskiego" 29, utrzymuje, że z Białobrzeskim pojechali: biskup Juszyński i Majerczak, oraz że Białobrzeski złożył na ręce namiestnika protestacyą, której streszczenie autor przytacza. Bytność biskupów na Zamku owego dnia nie potwierdza się wcale przez inne źródła. Protestacya zaś owa jest odezwą, jaką d. 17 październ. a więc nazajutrz po swej bytności w Zamku, Białobrzeski wystosował do Wielopolskiego, jako Dyrektora Kom. Oświecenia. Administrator więc był sam i żadnej protestacyi Lambertowi nie składał.

[2]) *N. Berg*, loc. cit. 376.

Rozmowa ta, zdaje się, zostawiła na Lambercie takie wrażenie, że jeżeli aresztowanych w nocy w obu kościołach uwolni, to te ostatnie zamknięte nie będą, i spór z duchowieństwem, bardzo niebezpieczny i bardzo drażliwy, sam przez się upadnie. W skutek tego wezwał do siebie natychmiast pułkownika Lewszyna, prezesa komisyi śledczej, i polecił mu, ażeby nie tracąc czasu udał się do cytadeli, i tam, wraz z komendantem tej twierdzy Jermołowem, ma jak najśpieszniej przejrzeć wszystkich aresztowanych i uwolnić tych, którzy się wydadzą mniej niebezpiecznymi lub winnymi, zwracając jednak główną uwagę na lata więźniów. Gdy już Lewszyn odchodził, namiestnik zatrzymał go we drzwiach i dodał: „proszę się nie krępować“ (nie stiesniajties) [1]).

[1]) Loc. cit. *Berg* wiadomość tę miał od samego Lewszyna. Że zresztą taki a nie inny był powód uwolnienia aresztowanych, świadczy odezwa Białobrzeskiego, przesłana nazajutrz do Wielopolskiego, w której administrator mówi o swej bytności u Lamberta i dodaje, że otrzymał zapewnienie, „że podobnego rodzaju nadużycia powstrzymane zostaną i już się więcej nie powtórzą“. Mimo to *Borszczow* w cytowanym już artykule (Samobójstwo generała Gersztenzweiga) utrzymuje, że uwolnienie aresztowanych nastąpiło w skutek rozkazu telegraficznego cesarza. „Hr. Lambert, pisze Borszczow, doniósł natychmiast o wypadku tym (wtargnięcie do kościołów) telegrafem cesarzowi Aleksandrowi Nikołajewiczowi, bawiącemu podówczas w Liwadyi. Otrzymawszy od J. C. Mości odpowiedź, w której cesarz nie ganiąc wcale koniecznych i surowych środków, jakich się chwycono, wypowiedział wszelako życzenie, żeby środki te nie były zbyt ostre; hr. Lambert wezwał do siebie natychmiast jenerała Lewszyna, będącego wówczas oberpolicmajstrem warszawskim, rozkazał mu zrobić przegląd aresztowanych i uwolnić tych, którzy mają mniej niż lat 20, lub więcej niż 40, i o których będzie miał przekonanie, że są niewinni i w kościele wypadkiem tylko się znaleźli“. Relacyą tę potwierdza *Martianow* (Tragiczeskaja konczina) i mówi, że pomimo wszelkich zarzutów, Borszczow uparcie trzymał się swego zdania i uzupełniał je temi słowy: „Lambert uczuł przestrach wobec położenia, w jakiem został postawiony przez rozszerzenie pierwotnego swego rozkazu, i natychmiast zatelegrafował o wszystkiem otwarcie cesarzowi do Liwadyi. Nie spał całą noc oczekując na odpowiedź. W głowie jego rysowały się obrazy tego co się stało i spostrzegł,

Lewszyn, spełniając ten rozkaz, udał się do cytadeli i uwolnił prawie wszystkich. W miarę uwalniania, tłumy aresztowanych, po kilkuset ludzi, wychodząc z cytadeli śpiewały głośno: „jeszcze Polska nie zginęła“, lub krzyczały: „niech żyje Napoleon! wiwat Wiktorya!“, co niby

---

że popełniono czyn niesprawiedliwy. Aresztowanie zamiast samych agitatorów wszystkich mężczyzn, będących w kościołach, wydało mu się anomalią potworną, za którą odpowiedzialność spadała na niego, jako tego, który zgodził się na taki krok stanowczy. Rozmyślając nad tem, jakimby sposobem, nie kompromitując władzy, naprawić zbytek gorliwości swego pomocnika, przyszedł do wniosku, że należy postąpić z aresztowanymi jak można najwzględniej, i otrzymawszy między godz. 7 a 8 rano odpowiedź telegraficzną od cesarza, w której między innemi wypowiedziane było życzenie, żeby przedsięwzięte środki nie były zbyt surowe, natychmiast rozkazał jenerałowi Lewszynowi, który przybył do niego ze zwykłym raportem porannym, udać się do cytadeli i uwolnić tych wszystkich z pomiędzy aresztowanych w nocy w kościołach, którzy nie należą do agitacyi, lub znaleźli się w kościele przypadkiem“. Borszczow utrzymuje przytem, że wszystko to słyszał od samego Lamberta. Wszelako zdaje się, że relacya ta jest kłamliwą. Pominąwszy już jego niewiadomość, że Lewszyn nie był wówczas oberpolicmajstrem warszawskim (był nim Piłsudzki), pominąwszy następnie, że Lambert nie mógł czekać całej nocy na odpowiedź cesarską, gdyż aresztowanie w kościołach skończyło się koło godziny 5-ej rano, a on telegrafował o tem do cesarza o godz. 4 m. 15, to najważniejszą rzeczą jest, że tego rodzaju telegramu nie ma w zbiorze Muchanowa, który wydrukowała „Russkaja Starina“. Wprawdzie, jakeśmy to już zaznaczyli gdzieindziej, nie wszystkie tam znajdują się depesze, które w tych czasach gorących wymieniali namiestnicy warszawscy z cesarzem, i w wypadku, o który nam idzie, uderza ta okoliczność, że od depeszy, o której wyżej mowa, wysłanej d. 16 października o godz. 4 m. 15 rano, niema żadnego telegramu przez cały dzień 16, w którym tyle ważnych rozegrało się wypadków. Następna depesza jest dopiero z d. 17, o godz. 3-ej rano, a więc w 24 godzin po pierwszej. Jest ona bardzo lakoniczna i donosi o uwolnieniu aresztowanych. Z tego wnioskować by można, że wydawcy, dla powodów nam nieznanych, opuścili depesze wysłane i odebrane w ciągu dnia, wśród których mógł się także znajdować telegram, o którym mówi Borszczow. Wszelako wątpić należy, czy taki telegram w rzeczy samej istniał, jeszcze z innych względów. Cesarz Aleksander nie był dobrym człowiekiem i czy to z tradycyi swych rządów, czy przez

znaczyło w ich przekonaniu, że uwolnieni zostali w skutek wpływu lub z obawy władz rosyjskich przed cesarzem Francuzów i królową angielską. Jedną z takich gromad krzyczących spotkał na moście jadący do cytadeli Gerstenzweig, który dotąd nie wiedział o tem, że namiestnik wydał rozkaz uwolnienia aresztowanych [1]). Przybywszy do cytadeli, z liczby 1684 więźniów, zastał tylko dwudziestu, którzy kłaniali się Lewszynowi i prosili, żeby ich także

---

chęć okazania się nieubłaganym, zwłaszcza w stosunku do nas, zawsze stał po stronie rządów surowych. Znamy przecież jego nieustanne nalegania, by ogłoszono stan wojenny i wykonywano jego przepisy bez żadnej względności (bez nikakich posłablenij). Wątpliwą więc jest bardzo rzeczą, by nakazywał łagodne środki w obec tego, że władze warszawskie przepisy stanu wojennego ściśle wykonały. Wreszcie *Teobald* (Wospominania, 30), mówiąc o tem, wprost zaprzecza istnieniu takiej depeszy i robi słuszną uwagę: „gdyby taka depesza istniała, to spór między Gerstenzweigiem a hr. Lambertem nie mógłby powstać, gdyż ostatni pokazałby pierwszemu telegram najwyższy (sic) i tem zamknąłby usta Gerstenzweigowi“. Zdaje się więc, że relacya Berga jest najautentyczniejszą i za nią też w opowiadaniu naszem idziemy.

[1]) *Teobald*, Wospominania IV., 22. Był on świadkiem naocznym tych spotkań Gerstenzweiga z powracającymi z cytadeli więźniami. Miało się to dziać koło godz. 11-ej rano. Teobald (Rotkirch) wysłany został przez Lamberta do cytadeli, żeby zobaczyć ilu Lewszyn uwolnił. „Wyjeżdżając z ulicy Zakroczymskiej, opowiada, na stoku cytadeli spotkałem idący z fortecy tłum ludzi około 500 lub 600 osób, który ze świstem i wrzawą ryczał (sic) „jeszcze Polska nie zginęła“. W tymże czasie zauważyłem Gerstenzweiga, który także jechał do cytadeli, ale zatrzymał się i stojąc w powozie z zadziwieniem patrzał na szalejący tłum“. *Berg* zaś utrzymuje (według opowiadań ówczesnego komendanta placu Bebutowa), że Gerstenzweig do południa o niczem nie wiedział i o godz. 9-ej rano kazał księciu Bebutowowi udać się do cytadeli i zobaczyć czy aresztowani mają dobre pożywienie, sienniki i słomę. Bebutow pojechał i około godz. 10-ej rano spotkał ów tłum 500 osób, idący po moście Konstantynowskim; drugą taką partyą spotkał dalej. Zabawiwszy koło godziny, przez który to czas odbywało się dalej uwalnianie, wrócił do jenerał-gubernatora, ale go już w domu nie zastał. Pojechał on do Zamku. Relacya Teobalda, jako świadka naocznego, wydaje nam się autentyczniejszą.

uwolnił. Zirytowany tem nadzwyczajnie Gerstenzweig, choć Bogiem a prawdą nie było się czego irytować, skłócił się z Lewszynem [1]), i wprost z cytadeli w strasznym paroksyzmie gniewu pojechał do Zamku. Tu bez meldowania się wcale wpadł do gabinetu namiestnika, i rozegrała się tam, w obecności Chrulewa tragiczna scena, w której niemałą rolę zapewne odegrała zawiść wzajemna, scena w szczegółach nieznana. Jak przypuszczają niektórzy, Gerstenzweig miał znieważyć namiestnika, skutkiem czego nastąpiło wyzwanie. Na wniosek jednak Chrulewa, że ze względu na stanowisko obu tych panów, należy unikać skandalu, zgodzono się na tak zwany pojedynek amerykański. Chrulew zawiązał węzełek na chustce i węzełek ten wyciągnął Gerstenzweig [2]).

---

[1]) *Teobald,* loc. cit. tak opowiada tę scenę: „Gerstenzweig w strasznym gniewie napadł na Lewszyna: co to znaczy jenerale? Lewszyn spokojnie, mierząc go wzrokiem od stóp do głów, odrzekł kładąc nacisk na każdym wyrazie: wypełniam rozkaz namiestnika, jenerale! hrabia kazał mi uwolnić tych, których według mego widzenia uznam za niewinnych. Więc uwolniłem niewinnych. — I pan śmiesz mi to mówić z takim cynizmem? to zdrada! (eto izmiena). — Proszę *wasze prewoschoditelstwo* nie podnosić głosu i zastanowić się nad swemi wyrażeniami. Ja za swój krok odpowiem nie przed panem, ale przed namiestnikiem; jemu zdam sprawę i on jest dla mnie jedynym sędzią. — Straszliwie wzburzny Gerstenzweig wybiegł z pawilonu, wskoczył do powozu i krzyknął do woźnicy: do namiestnika“!

[2]) Że w istocie tak było, to nie ulega wątpliwości. Na to wszyscy pisarze polscy i rosyjscy się zgadzają. Tak wreszcie utrzymuje obszerny artykuł, wydrukowany wkrótce potem w gazecie francuskiej „Opinion nationale“, któremu nikt nie zaprzeczył. Cała ta sprawa zresztą ma drugorzędne dla nas znaczenie, jako pośrednio tylko dotycząca naszego przedmiotu. Dla tego nie pomieszczamy szczegółów samej rozmowy Lamberta z Gerstenzweigiem, tem więcej, że autentyczność tych szczegółów jest mocno podejrzana. Chrulew, który był jej świadkiem naocznym, do końca życia zachował tajemnicę. Zapytywany o to mówił: „tajemnica nie do mnie należy i zaniosę ją ze sobą do grobu“ *(Teobald* IV., 33). Pomimo to, w r. 1887 w miesięczniku rosyjskim „Istoriczeskij Wiestnik“ ukazało się opowiadanie wspomnianego już przez nas tylokrotnie Borszczowa, osobistego przyjaciela Lamberta. W opowiadaniu tem Borszczow

Po tej scenie jenerał gubernator, przegrawszy sprawę ze swym Telemakiem, pojechał do siebie do pałacu Brühlowskiego straszliwie wzburzony, przeleżał cały wieczór ubrany i nieruchomy, i nazajutrz d. 17 października o godz. 7-ej rano, stanąwszy przy oknie gabinetu, wychodzącem na ogród pałacowy, strzelił sobie z rewolweru dwa razy w głowę. Pierwsza kula ześlizgnęła się po czaszce, przebiła okno i wypadła do ogrodu, druga utkwiła w głowie. Nieszczęśliwy człowiek, ofiara niezdrowej ambicyi, żył jeszcze przez dni dziewiętnaście [1]).

---

utrzymuje, że był obecny przy całem zajściu między moskiewskim Mentorem i Telemakiem i twierdzi, że Gerstenzweig zarzucał Lambertowi wprost zdradę i nawet podniósł rękę, by go w twarz uderzyć. Relacya ta i sam ton opowiadania budzi poważne podejrzenia, że Borszczow powtarza to tylko, co słyszał od innych, lub co mu może w kilku słowach opowiedział sam Lambert. Ciekawych relacyi Borszczowa odsyłamy do „Istoriczeskiego Wiestnika“ Tom XXIII., 61 i nast. *Teobald* zaprzecza Borszczowowi, by mógł być obecnym przy tem starciu. Wszelako i tu znajdujemy potwierdzenie, że w skutek sporu, nie ulega wątpliwości, bardzo gwałtownego, nastąpiło wyzwanie i pojedynek amerykański. *Giller* (Aleks. Wielopolski, 86) to samo mówi, utrzymuje tylko, zapewne z plotek ulicznych, że Lambert nazwał Gerstenzweiga „podłym“.

[1]) W gazecie „Opinion nationale“, według relacyi, prawdopodobnie pochodzącej ze źródeł polskich, powiedziane jest, że Gerstenzweig strzelił do siebie z tego samego pistoletu, którym jego ojciec się zabił w Siedmiogrodzie w r. 1849; że jedna kula przeszła głowę na wylot, a druga uwięzgła w niej. *Berg* lot. cit. 378, podaje z relacyi urzędowych oraz opowiadań Polenowa, adjutanta Gerstenzweiga, szczegóły następujące: „Gerstenzweig wyjechał z Zamku około godziny 4-ej, nadzwyczajnie wzburzony. O godz. 5-ej zjadł obiad u siebie z dyrektorem swej kancelaryi Czestilinem i jednym ze swych adjutantów, Polenowem. Mówił nie wiele. Wszyscy byli jacyś nieswoi. Zjadłszy obiad, Gerstenzweig położył się w swym gabinecie, (który później był gabinetem Wielopolskiego, Milutyna i Sołowiewa) nie rozbierając się, w mundurze, tak jak stał i zabronił przyjmować kogokolwiek. Tak, prawie nie ruszając się, przeleżał cały ten wieczór. (Wiadomość tę miał Berg od kniazia Bebutowa, który kilka razy podchodził do drzwi gabinetu, otwierał je cicho i widział Gerstenzweiga zawsze w tej samej pozycyi, na sofie, która dotąd (do r. 1873) tam stoi, na lewo od drzwi). Nazajutrz d. 17 października,

Tymczasem, gdy się to działo, gdy te tragiczne sceny rozgrywały się między naczelnikami rządu, w mieście oburzenie głuche rosło coraz bardziej, a sprawa zamknięcia kościołów wikłała się w węzeł nierozwiązany. Wyrazem powszechnego oburzenia było to, że większość członków Rady stanu chciała uciekać z Warszawy wobec stanu oblężenia, wobec gwałtów dokonywanych przez kozaków po ulicach. Pierwsi pod tym względem dali przykład dygnitarze duchowni, którzy pod pozorem, że ich obecność potrzebną jest w dyecezyach, pragnęli jak najprędzej wynieść się z ogniska burz i wichrów wszelakich, jakiem była Warszawa [1]). Że przez to objawili brak podnioślejszego patryotyzmu, że pod płaszczykiem dbałości o religią kryło się tchórzostwo i pragnienie usunięcia się od wszelkich niebezpieczeństw, dowodzić chyba nie potrzeba. Świeccy członkowie tymi samymi względami zapewne, przynajmniej w większości swojej, się kierowali, choć przyrzekli poprzednio Wielopolskiemu, że pomimo rządów wojskowych, stanowisk swych nie opuszczą. Lecz ludzie są zawsze ludźmi i w życiu swojem przedewszystkiem kierują się interesem i dbałością o skórę własną.

---

wstał z pościeli o godz. 7-ej rano, nabił rewolwer i, zbliżywszy się do jednego z okien gabinetu, wystrzelił sobie w czoło dwa razy. Pierwsza kula, ześlizgnąwszy się po czasce, przeszła przez roletę i okno. Drugi wystrzał spowodował jedenaście pęknięć i kula przebiwszy czoło zsunęła się wewnątrz czaszki i zatrzymała się w jej tyle (źródła urzędowe). Pomimo to nieszczęśliwy męczennik nie tylko żył, ale zachował całą przytomność. Doszedłszy znowu do łóżka, stojącego w drugim pokoju, położył się i zadzwonił. (Relacya od jednego z adjutantów Gerstenzweiga, który mówił przytem, że gdy zauważono nadzwyczajne wzburzenie jenerała, ktoś umyślnie zepsuł rewolwer, a przynajmniej starał się go zepsuć). Wystrzałów nikt w domu nie słyszał. Służący, wszedłszy na głos dzwonka, zobaczył jenerała zakrwawionego i pobiegł do adjutanta dyżurnego. Gdy ten wszedł; *imagines-vous*, rzekł Gerstenzweig spokojnie — *deux coups et je ne suis pas encore mort.* (Wyobraź pan sobie, dwa strzały i żyję jeszcze).

[1]) *Lisicki,* Aleksander Wielopolski I., 257.

O wszystkiem tem, jak również o napaści wojska na kościoły, doniósł margrabiemu d. 16 października rano, Tomasz Potocki [1]). Wielopolski odrzekł mu, że na wykonanie stanu oblężenia wpływu żadnego niema, prosił, by członkowie Rady stanu na swych miejscach wytrwali, i w końcu powiedział te piękne słowa: „gdybym mógł, chętnie przyjąłbym na moje plecy nahajki, jakie wam dostać się mogą i mówiłbym do kozaków: bijcie, ale czynszujcie i szkoły organizujcie“.

Ale jeżeli dezercyą Rady stanu można było zażegnać, to ze sprawą kościelną rzeczy miały się o wiele gorzej. Uwolnienie z cytadeli aresztowanych nie wpłynęło w niczem na postawę duchowieństwa, któremu w gruncie rzeczy nie szło wcale o więźniów, ale o postawienie rządu w położenie bez wyjścia. Tegoż więc dnia 16, wieczorem zamknięto i opieczętowano oba sprofanowane kościoły, katedrę o godz. 5-ej, a w godzinę później kościół Bernardynów. Lambert po trzech nocach bezsennie spędzonych, po strasznej scenie z Gerstenzweigiem, rozchorował się ciężko, dostał krwotoku płucnego, nadzwyczajnie był mizerny i rozdrażniony. Wobec opieczętowania dwóch kościołów i groźby zamknięcia wszystkich innych, wezwał Wielopolskiego, żądając od niego rady i pomocy. Ten jednak odmówił swej interwencyi w tę sprawę, najprzód dla tego, że wtargnięcie do kościołów odbyło się bez jego udziału i wiedzy jako Dyrektora Komisyi wyznań i oświecenia, a potem, że wdanie się jego zaogniłoby całą rzecz mocniej. W skutek tego układy toczyły się wyłącznie między Lambertem i Białobrzeskim, za pośrednictwem Solnickiego, dyrektora wydziału wyznań w Komisyi oświecenia, człowieka bardzo zręcznego i bardzo ostrożnego. Namiestnik grożąc z jednej strony Białobrzeskiemu prawem wojennem, z drugiej uwiadamiał go, że aresztowanych kazał uwolnić, prosił, żeby kościołów nie zamykano, dając słowo honoru, że odtąd ani policya, ani wojsko nie będzie wchodziło do ich wnętrza. Do ce-

[1]) *Tenże*, Le marquis II., 237.

sarza donosił dnia 17 rano, że kazał uwolnić aresztowanych, że aresztowanie to wywołało wśród duchowieństwa silne oburzenie i że chce ono kościoły zamknąć [1]).

Propozycye i przyrzeczenia Lamberta zrobiły taki skutek, że Białobrzeski, starsi członkowie kapituły, zwłaszcza ks. Topolski, poczęli się wahać i uważali, że wobec tego nie należy zamykać kościołów. Ale młodsi, gorętsi, pijący pełną czarą napój upojenia powszechnego, za nic na to zgodzić się nie chcieli; twierdzili, że rządowi wierzyć nie można, że on żadnego ze swych przyrzeczeń nigdy nie dotrzymał, nie dotrzyma więc i tego; że kiedy rozesłano już kursoryą do wszystkich proboszczów, to polecenie w niej zawarte wykonać należy, a potem dopiero z rządem traktować; że wreszcie wobec tego, iż decyzya duchowieństwa całemu miastu jest już wiadomą, cofnięcie się będzie uważane za słabość, za ustępstwa przed władzą; że przez to duchowieństwo straci całą swą powagę i wpływ swój cały. Nie dość na tem, domagali się oni, ażeby nie tylko w Warszawie kościoły były zamknięte, ale w całym kraju, a przynajmniej w archidyecezyi, żeby i świątynie innych wyznań były także opieczętowane i nabożeństwo w nich przerwane [2]).

Tym naleganiom, wypowiadanym gwałtownie i z ogniem, przybranym w sukienkę gorliwości religijnej i patryotycznej, ani Białobrzeski, ani starsi i chłodniejsi członkowie kapituły oprzeć się nie śmieli. Nie chcąc jednak wprost odrzucać prośby Lamberta, wynaleźli taki sposób wyjścia z tego położenia, że zażądali, iżby przyrzeczenie namiestnika dane im było na piśmie. Z tem odszedł Solnicki i na tem ukończyły się pertraktacye w d. 16 października, dniu najbu-

[1]) Depesza z d. 5 (17) października o godz. 3-ej rano. Brzmi ona w przekładzie dosłownym jak następuje: „w mieście spokojnie. Z pomiędzy aresztowanych w kościołach 1600 ludzi, większa część uwolniona z powodu starości lub małoletności. Aresztowanie to wywołało w duchowieństwie silne oburzenie; chcą kościoły w Warszawie zamknąć“.

[2]) Ustne relacye od świadków naocznych.

rzliwszym i najgroźniejszym ze wszystkich dni tego strasznego, rzec można roku.

Nazajutrz Lambert, jakkolwiek mógł się uważać za obrażonego, że jego słowu honoru nie wierzą i żądają przyrzeczenia piśmiennego, przyrzeczenie takie dał i Solnicki poniósł je do konsystorza. Ale i teraz stawiano nowe warunki; młodzi księża mówili Białobrzeskiemu, że tego rodzaju przyrzeczenie, o którem nikt nie będzie wiedział, niema żadnego znaczenia, że dla nadania mu siły, dla zasłonięcia wreszcie duchowieństwa przed opinią publiczną, należy domagać się, żeby deklaracya ta ogłoszona była w dziennikach. Tem konieczniejsze się to kapitule wydawało, że Solnicki przyrzeczenie Lamberta jej tylko pokazał, ale z rąk wypuścić go nie chciał [1]). Wobec tego oświadczono mu, że wtedy jedynie gdy deklaracya ta będzie opublikowana, rozporządzenie o zamknięciu kościołów cofniętem zostanie. Z tem wrócił Solnicki do namiestnika, którego zastał nadzwyczajnie wzburzonego, a relacya o przebiegu pertraktacyi z kapitułą nie mogła wpłynąć kojąco na to wzburzenie. Domaganie się kapituły uważał teraz Lambert za prostą szykanę i więcej z nią układać się nie chciał.

Wzburzenie namiestnika w d. 17 października miało źródło w wiadomości, jaką otrzymał około godz. 9-tej rano o samobójstwie Gerstenzweiga. Siedział on jeszcze w swojej sypialni i golił się, gdy jeden z adjutantów wbiegł i doniósł mu o tym wypadku tragicznym. Nieszczęśliwy Telemak moskiewski usłyszawszy to zbladł straszliwie, brzytwa wypadła mu z ręki i pochylił się na krześle, jakby utracił naraz siły [2]), poczem przyszedłszy do siebie, ubrał się i pojechał do pałacu Brühlowskiego odwiedzić samobójcę [3]). Z wycieczki tej wrócił nadzwyczajnie wzburzony

---

[1]) *Lisicki*, Aleksander Wielopolski, I., 258.

[2]) *Oczewidec*, Posledniaja polskaja smuta (Russkaja Starina XI., 720).

[3]) *N. Berg* loc. cit., 379 opowiada o tych odwiedzinach szczegóły następujące: o godz. 9-tej przyjechał Lambert i chcąc z chorym sam na sam się rozmówić, dał znak adjutantowi, żeby wyszedł,

i o godz. wpół do dziesiątej rano wysłał do Liwadyi do cesarza depeszę pełną rozpaczy, zaklinał go „na Boga“, by przeznaczył kogo innego na jego miejsce, bo on jest tak chory, że życie jego jest poważnie zagrożone [1]).

Tymczasem kapituła, oczekując na rezultat misyi Solnickiego przez cały prawie dzień, gdy nie otrzymywała żadnej odpowiedzi, zdecydowała się nakoniec groźbę swą przyprowadzić do skutku. Nakazano natychmiast zamknąć kościoły, czego w całej Warszawie tegoż jeszcze dnia 17 dokonano. Gdy się namiestnik o tem dowiedział polecił Wielopolskiemu, jako Dyrektorowi głównemu Komisyi wyznań i oświecenia, zapytać się na drodze urzędowej kapituły, jakie ma znaczenie jej krok, przyczem rozkazał zagrozić jej odpowiedzialnością, według całej surowości praw wojennych, za wszelkie skutki, jakie z powodu zamknięcia kościołów nastąpić mogą [2]). Wielopolski odezwę taką zaraz wysłał do Białobrzeskiego i w niespełna dwie godziny otrzymał odpowiedź zawierającą półtora arkusza pisma, niemniej śmiałą i zuchwałą jak poprzednie. „Ponieważ, czytamy tam, pełniący obowiązki namiestnika Królestwa, jako też i JW. Dyrektor zażądać raczyli piśmiennego uwiadomienia o skutku, mam zaszczyt niniejszem oświadczyć to, co już pierwej na audyencyi powiedziałem, że rzeczone

---

lecz ten zauważył, że bez rozkazu swego jenerała zrobić tego nie może. „Rozkaż pan“ (prikażite) rzekł Lambert. Gerstenzweig z widoczną niechęcią dał znak...“ Szczegóły te jakkolwiek małego znaczenia są jednak mocno podejrzane co do swej autentyczności. *Teobald* loc. cit. IV, 36, powtarzając je, stawia takie, naszem zdaniem, słuszne pytanie: „pytamy wszystkich wojskowych, czy który z nich ośmieliłby się nie być posłusznym osobistemu rozkazowi naczelnego wodza (głównokomandujuszczago) i odpowiedzieć mu tak zuchwale, jak się tem szczyci adjutant?“

[1]) Depesza z d. 5 (17) października o godz. 9 m. 30 rano „jenerał-adjutant Gerstenzweig zastrzelił się o godz. 7-ej rano; umiera. Choroba moja tak się wzmaga, że nie mam żadnej nadziei. Na Boga (radi Boga) przyślijcie natychmiast kogokolwiek na nasze miejsce. Hrabia Lambert“.

[2]) *N. Berg* loc. cit. 379.

rozporządzenie władzy duchownej co do zamknięcia kościołów w Warszawie cofnę, gdy wysoki rząd da pewną gwarancyą, bo kościół używa tego środka tylko w ostateczności, znaglony zatrważającymi wypadkami. Ja go użyć musiałem widząc profanacyą dwóch świątyń i przewidując, że los ten może spotkać i inne kościoły;“ mówi, że teraz zasięgnął rady kapituły, biskupów i kapłanów światłych i rada ta przyniosła następujący rezultat: „...że gdy kościół metropolitarny, jako matka wszystkich kościołów zbeszczeczony został, słusznie zatem, by inne kościoły, jako córki węzłem wzajemnej miłości połączone, okryły się smutkiem i żałobą; że gdy ze strony ludu rozdrażnionego, zniecierpliwionego, a ostatnimi wypadkami nawet oburzonego, oczekiwać nie można zaprzestania śpiewów patryotyczno-religijnych, a że ze strony rządu również nie posiada kościół żadnego zaręczenia, że się nie powtórzą straszliwe sceny i zniewagi świątyń, ale owszem wydawane są ciągle postanowienia... mocą których modlitwa, duchowieństwo i lud wierny widocznie pod sąd policyi i wojska są oddane, dowodzą o coraz groźniejszych zamiarach rządu, o wielkiem niebezpieczeństwie religii i kościoła; gdy z przepełnionych świątyń Pańskich, z tych miejsc jedynych schronienia, miejsc modlitwy, tak silnie art. 213 K. k. przez monarchę od zniewag zawarowanych, cała ludność męzka zaaresztowaną i uprowadzoną została; dopóki jedna z tych nieszczęśliwych i niewinnych ofiar, również jak i ofiar sromotnie bitych i chwytanych po ulicach, pozostanie w więzieniu, przewidywać nie można uspokojenia umysłów i wpływ duchowieństwa nie odniesie pożądanego skutku“. Z tych więc powodów Białobrzeski sądzi, że kościoły nie mogą być otwarte, że wreszcie wydawszy dopiero wczoraj rozkaz ich zamknięcia, nie może go dziś cofać; „zamknięcie trwać musi przez pewien czas; przez ten czas wysoki rząd będzie mógł wynaleść środki dla obudzenia zaufania u ludu, będzie mógł wszystkich uwięzionych wypuścić i dać zapewnienie, że się nie powtórzą bolesne wypadki dni poprzednich“. W końcu tego pisma, Białobrzeski uwiadamiał Wie-

lopolskiego, że dla przeprowadzenia śledztwa w obu sprofanowanych kościołach wyznaczył od siebie delegatów: ks. Chmielewskiego, Rzewuskiego, Wyszyńskiego i Dorobisa, i prosił, aby władza ze swej strony wyznaczyła urzędników dla attentowania przy śledztwie [1]).

Odezwę tę Wielopolski natychmiast zakomunikował Lambertowi, a współcześnie dochodziły wiadomości, że żydzi zamierzają zamknąć także synagogi, a lutrzy swą kirchę. Jakoż w rzeczy samej tak było. Tegoż dnia 17 października, wieczorem o godz. 6-ej, dzięki żywej agitacyi, jaką rozwinięto, zebrało się w sali nad zakrystyą kirchy luterskiej przy ulicy Królewskiej kollegium kościelne na nadzwyczajną naradę pod przewodnictwem swego prezesa Ksawerego Szlenkera i postanowiło zapytać się konsystorz ewangielicko-augsburski, „czyby nie uznał za stosowne, aby i kościół ewangielicko-augsburski od przyszłej niedzieli, to jest od d. 20 b. m. do dalszej decyzyi był zamkniętym, a tem samem aby zwykłe nabożeństwo zawieszone w nim zostało". Jako powód tej propozycyi Kollegium przytaczało tę okoliczność, że skoro wszystkie kościoły katolickie zostały zamknięte, to obawiać się należy „aby ludność miejscowa, pozbawiona przybytków przeznaczonych na nabożeństwo, nie zebrała się w przyszłą niedzielę w kościele ewang.-augsb. i nie zaintonowała śpiewów, obecnie przez władzę zabronionych, a tem samem aby kościół ewang.-augsb. i osoby zebrane na nabożeństwo nie były narażone

[1]) Odezwę tę czytać można u *Gillera* Historya powst. nar. pol. II, 392, oraz w „Wydawnictwie materyałów do Hist. powstania 1863/4 I, 20. Co się tyczy owego śledztwa, to w kościele Bernardynów znaleziono w rzeczy samej ślady krwi na posadzce, choć już wówczas powątpiewano, czy ta krew istotnie z ran pochodziła. W kaplicy św. Ładysława anioł przy ołtarzu był poobtrącany, pieniądze ze skarbonek i zakrystyi skradzione. U św. Jana ks. Bierniacki zaraz po zabraniu nabożnych został wezwany do sprawdzenia czy czego nie brakuje i zaświadczył, że wszystko jest w całości. *(Pawliszczew*, Siedmicy I, 22 i 26). Zdaje się, że w katedrze nie zrobiono żadnej poważniejszej szkody, prócz tego, że laska marszałkowska na pomniku Małachowskiego była utrącona.

na skutki, zapowiedziane punktem 10 rozporządzenia przez władzę policyjną w dniu wczorajszym wydanego". Proponując jednak swej władzy taki, niczem nie usprawiedliwiony krok, kollegium kościelne ostrzegało konsystorz, że jeżeli się ten zgodzi na żądanie zebranych, to oni sami zarządzą zamknięcie kościoła [1]).

Oczywiście konsystorz się na to nie zgodził i jak najsurowiej zabronił zamykania kirchy, a przytem wśród gminy luterskiej warszawskiej, oraz w samem kollegium było dość stosunkowo liczne stronnictwo nie tyle ludzi trzeźwiejszych, ile Niemców wrogo usposobionych dla Polaków i Polski. Do rzędu ich przedewszystkiem należał superintendent jeneralny Ludwig, Niemiec zabity, należało wielu zamożnych przemysłowców i fabrykantów, którzy narazie, z obawy przed rewolucyonistami, ustąpili i zgodę swą na zamknięcie kirchy dali, ale znalazłszy poparcie w konsystorzu, tem śmielej z opozycyą wystąpili. Dzięki tym wszystkim powodom do zamknięcia kirchy luterskiej nie przyszło.

Za to wśród żydów, gdzie takich przyczyn nie było, synagogi zostały zamknięte. Tegoż dnia, w którym wszystkie powyższe akta się odbywały, wybitniejsi przedstawiciele gminy żydowskiej zebrali się u rabina Mayzelsa i głównie za staraniem rabinów Jastrowa, Kramsztyka i prezesa dozoru bóżniczego Fajnkinda prawie jednomyślnie postanowili zamknąć synagogi, co też w rzeczy samej uskuteczniono. Uradzono, że na wypadek, gdyby władza zażądała wyjaśnienia powodów tego postąpienia, tłomaczyć się w podobny jak u Lutrów sposób, to jest, że wobec zamknięcia kościołów, gmina żydowska obawia się, aby ludność nie uczęszczała do synagog i nie śpiewała tam hymnów patryotycznych, co mogłoby bóżnice narazić na następstwa paragrafu 10 ogłoszenia policyjnego.

Odezwa administratora do Wielopolskiego, usiłowania

[1]) Uchwałę kollegium kościelnego pomieszczamy w całości w zbiorze dokumentów pod nr. 10.

kollegium luterskiego, krok niczem nieuzasadniony żydów, straszne następstwa sceny z Gerstenzweigiem, rozdrażniły Lamberta do najwyższego stopnia i doprowadziły nieomal do szaleństwa. Jak wszyscy ludzie słabego charakteru a współcześnie gorącego i namiętnego temperamentu, ze zbytniej łagodności przeszedł nagle do gwałtów i nadużyć. Rozpuszczono znowu po ulicach gromady kozaków, którzy szaleli i bili każdego; policya aresztowała przechodniów za lada co, za najmniejsze podejrzenie, a oberpolicmajstrowi Piłsudzkiemu nakazano, żeby stosownie do przepisów stanu wojennego nałożył surowe kary pieniężne na kupców i handlarzy, którzy w d. 15 października mieli sklepy zamknięte. Jakoż karę po rs. 100 nałożono na 667 kupców, co ogółem wyniosło rs. 66.700. Suma ta miała być zapłacona w ciągu trzech dni pod rygorem egzekucyi wojskowej. Wprawdzie z tej wielkiej chmury deszcz był mały, gdyż kupcy zapłacili ledwie rs. 6.953 kop. 40, resztę zaś umorzono, ale na razie strachu i lamentu było niemało [1]).

---

[1]) Egzekucyą tych kar powierzono magistratowi, który dokonywał jej za pośrednictwem swych komisarzy administracyjnych. Ci do skazanych rozesłali cyrkularz drukowany tej treści: „Komisarz cyrkułu N. N. Do wielmożnego N. N. Ponieważ WPan pomieszczony jesteś na liście kupców i handlujących, którzy w d. 3 (15) paźdz. r. b. mieli swe sklepy zamknięte, pomimo ogłoszonego zakazu, i od każdego z których, stosownie do rozkazu JW. wojennego jenerał-gubernatora, ściągniętą być ma w ciągu dni trzech kara rs. 100, zatem z rozporządzenia władzy wyższej zawiadamiając o tem WPana, mam honor wezwać go, aby karę takową rs. 100 wniósł do kasy ekonomicznej miasta, która do jej przyjęcia jest już upoważnioną. Uprzedzam zarazem, że niezaspokojenie tej kary w naznaczonych dniach trzech, spowoduje zapowiedziany już przez wyższą władzę rygor egzekucyi wojskowej“. Skazani wystąpili z podaniami do magistratu. Jedni zaprzeczali, jakoby mieli sklepy zamknięte, inni przytaczali okoliczności usprawiedliwiające zamknięcie, jeszcze inni do posiadania sklepów wcale się nie przyznawali i t. p. Takich próśb do d. 18 paźdz. wniesiono 580 a pieniędzy ledwie rs. 4.324 kop. 10. Wobec tego magistrat wystąpił do jenerał-gubernatora, domagając się, aby karę nałożoną na kupców uboższych, jak rękawicznicy, drobni kramarze i t. p. albo umorzył całkiem, albo zmniejszył do rs. 3

Ale nie na tem miało się skończyć rozdrażnienie i ślepy gniew Lamberta. Komisarza cyrkułu X-go, Dzierżanowskiego za to, że nie wiedział o bocznem wyjściu z kościoła Świętokrzyzkiego, oddał pod sąd wojenny, a gdy ten skazał biedaka na rozstrzelanie, Lambert chciał wyrok podpisać, od czego ledwie powstrzymał go Chrulew. W nocy dnia 19 października aresztowano księży Wyszyńskiego i Steckiego, tych samych, którzy niedawno w charakterze doradców bywali w Zamku i memoryały pisali, jakby na potwierdzenie tej starej prawdy, że rządowi rosyjskiemu nigdy u nas wierzyć i ufać nie można; aresztowano szewca Hiszpańskiego [1]), oraz literata Włodzimierza Wolskiego, który przed przybyłą policyą schronił się za ołtarz w kościele św. Krzyża. W nocy d. 21 dokonano mnóstwo aresztowań osób, mniej wybitniejszych [2]), cytadela się znowu przepełniła, popłoch padł na koła agitacyjne, na wszystkich tych którzy cokolwiek zawinili, ale stanu rzeczy w niczem to nie polepszyło.

---

lub 2, nawet do kop. 50 lub 30. Na to w skutek polecenia Suchozaneta z d. 27 paźdz. odpowiedziano, że kary ściągnięte być muszą, uboższym tylko rozłożyć je można na raty. Powoli jednak poczęto od kary uwalniać (uwolniono przedewszystkiem kacapów Slepuszkina i Maszkowa, potem Bekkera fabrykanta broni, Rozmanita winiarza, panią Peyer fabrykantkę gorsetów i t. d.). W rezultacie po licznych zabiegach i liczniejszej jeszcze korespondencyi ściągnięto, jakeśmy to w tekście powiedzieli, zaledwie rs. 6.953 kop. 40, a resztę umorzono. Z tej sumy wypłacano później różnym osobom, które poniosły straty, przez powstanie, rs. 1.410, reszta zaś spoczywała w depozycie magistratu, aż do r. 1871, w którym to czasie z rozporządzenia namiestnika Berga, przelaną została do kasy gubernialnej.

[1]) Hiszpański był aresztowany w kościele św. Jana w nocy d. 15 października i wraz z innymi z cytadeli uwolniony. Przy rewizyi, teraz dokonanej w jego domu, znaleziono ogromny zbiór plakat i odezw rewolucyjnych, oraz adres, jaki mu przesłało trzydziestu obywateli ziemskich ze Stanisławowskiego. Hiszpański już za Lüdersa zesłany został do gubernii Wiackiej *(Pawliszczew.* Siedmicy I., 56).

[2]) Depesza Lamberta z d. 21 października o godz. 2 m. 35 w nocy: „nocy dzisiejszej aresztowano wielu głośnych agitatorów".

Aresztowanie Wyszyńskiego i Steckiego było błędem i tłomaczy się tylko rozdrażnieniem, w jakiem się znajdował Lambert. Aresztowanie to bowiem przerwało akcyą, jaką księża ci rozpoczęli w sprawie otwarcia kościołów. Bawił wówczas w Warszawie ksiądz Konstanty Ireneusz Łubieński, proboszcz rewelski i kanonik honorowy gnieźnieński, człowiek bardzo zręczny, ruchliwy i czynny, należący do rodziny, która w dziejach porozbiorowych naszych nader przeważną odgrywała rolę, typ labusia fracuzkiego z XVIII wieku, elegancki, wykwintny, przytem rozumny, choć nielubiany przez opinią, przez czerwieńców, którzy go wprost nazywali „popem prawosławnym“. Znany on był osobiście Lambertowi, gdyż podobno dawniej w Petersburgu był jego spowiednikiem. Łubieński, widząc, że Wielopolski od sprawy zamknięcia kościołów całkiem się usuwa, postanowił ją w swoje wziąć ręce. Może miał w tem swe prywatne widoki, może sądził, że przez to wysadzi z siodła nielubianego przez rodzinę Łubieńskich margrabiego, dość że znalazł się w Zamku i w te dni gorączki powszechnej, straszliwego nieładu i straszliwszych jeszcze katastrof, zapewniać począł namiestnika, że cała sprawa da się załatwić, że zamknięcie kościołów nie jest zgodne z przepisami kanonicznymi, a zatem łatwo mogą być otwarte, byle rząd nie uciekał się do środków surowych. Tym to może zapewnieniom i tym słowom Łubieńskiego przypisać należy owe pertraktacye pokojowe, jakie przez parę dni z rzędu toczył Lambert z kapitułą. Pertraktacye te, jak wiemy, nie doprowadziły do niczego, nie doprowadziły też do celu i zabiegi Łubieńskiego. Napróżno usiłował on wybitniejsze osobistości z pomiędzy kleru i świeckich zyskać na stronę tej myśli, napróżno biegał, prosił, zaklinał, tłumaczył, nikt go słuchać nawet nie chciał. Wreszcie zdołał przekonać księży Wyszyńskiego i Steckiego, ludzi dobrych, gorąco kochających kraj i jak największego szczęścia pragnących dla tego kraju. Z nimi to nakoniec, w nocy, jak się zdaje d. 18 października, koło godz. 11-ej wieczorem udał się do Białobrzeskiego. Administrator, człowiek stary, był już

w łóżku, mimo to przyjął ich i wysłuchał cierpliwie. Łubieński był tak wymowny, obecność Wyszyńskiego i Steckiego tak znaczącą, że Białobrzeski, jak zwykle bez zdania, pozbawiony swych zwykłych doradców, uległ tym przedstawieniom i zgodził się na otwarcie kościołów. W tym celu posłano zaraz po regensa konsystorza, księdza Cz..., żeby zredagował odnośne rozporządzenie. Ten przybywszy i wysłuchawszy propozycyi, zrobił uwagę, że wszystko to jest słusznem, ale ponieważ kościoły zamknięte zostały po naradzie z kapitułą, i ponieważ odnośną uchwałę podpisali biskupi, więc bez wiedzy kapituły i biskupów otwierać kościołów nie można. Uwaga ta wydała się Białobrzeskiemu uzasadnioną. „A prawda!“ zawołał i odrzucił stanowczo propozycyą Łubieńskiego i dwóch jego towarzyszy. Napróżno ci wysilali się na udowodnienie, że według kanonów kapituła ma tylko głos doradczy, Białobrzeski się uparł i krzywiąc się, jak dziecko rozgrymaszone, wołał na wszelkie uwagi, szepleniąc szkaradnie: „nie *chcę*, nie otworzę!“ [1]).

Mimo to ani Łubieński, ani jego towarzysze Stecki i Wyszyński nie wątpili, że powoli uda im się wpłynąć na Białobrzeskiego, gdy nagle i jak na teraz niewczesne i niczem nieusprawiedliwione aresztowanie obu rzeczonych księży, całej tej akcyi zadało cios stanowczy, i położenie bardzo przykre i najnieznośniejsze dla rządu przedłużyło. Wielki to i uderzający przykład dla tych, w których ręku władza spoczywa, aby nigdy nic nie czynili pod wpływem rozdrażnienia chwilowego i aby każdy ich krok był owocem wszechstronnych i dojrzałych rozmyślań.

Wielopolski nazajutrz po zamknięciu kościołów, dnia 18 października, ogłosił o tem w „Dzienniku powszechnym“ w zwykłym sobie stylu ciężkim, w tonie chłodnym i urzędowym. „Powodem zamknięcia dwóch rzeczonych kościołów, pisał, miały być nadużycia w tychże popełnione, ku sprawdzeniu których rząd duchowieństwu wszelką pozosta-

[1]) Relacye ustne.

wił swobodę. Wszakże władza duchowna zarządziła prócz tego zawieszenie nabożeństw w innych kościołach, którego rząd w niczem usprawiedliwionem nie znajdując, całą odpowiedzialność za wszelkie następstwa składa na tych, którzy to rozporządzenie wydali". Ze swej strony, wobec tego że Rada administracyjna Królestwa nie uznała wyboru kapituły Białobrzeskiego na administratora archidyecezyi, radził Wielopolski, żeby nie wchodząc w kolizyą z przepisami kościelnymi, odwołać się do Rzymu, wyjednać tam rezygnacyą administratora i zamianowanie na jego miejsce wikaryusza apostolskiego [1]).

Lambert tego wszystkiego nie słuchał i myślał już tylko o tem, jakby najprędzej pozbyć się ciężaru władzy, usunąć się z pola tej straszliwej burzy, która go do grobu popychała. Chory był ciężko, pluł krwią, zbladł i zzieleniał. Do tych, którzy przybywając z Petersburga, dziwili się zmianie nadzwyczajnej, zaszłej w nim, mówił: „oto co zrobiły dwa miesiące mego pobytu w Warszawie" *(voila, mon chèr, ce qu'ont faits les deux mois de mon séjour à Varsovie)*, i pokazywał na chustkę od nosa krwią zawalaną [2]). Na swój rozpaczliwy telegram z d. 17 października, błagający „na miłość Boską" cesarza, by przysłał kogo na jego miejsce do Warszawy, otrzymał w dniu następnym uwiadomienie, że prawdopodobnie posłany będzie Lüders [3]). To zapewne pocieszyło go nieco, ale beznadziejny stan zdrowia Gerstenzweiga dodawał coraz więcej udręczeń do udręczonej już i tak mocno jego duszy [4]). Na miejsce wakujące

---

[1]) *Lisicki,* Aleks. Wielopolski I, 259.

[2]) *S. M. Borszczow*, Samoubijstwo Gerstencweiga loc. cit. 63.

[3]) Depesza z d. 6 (18) października: „połagaju posłat w Warszawu gen. adj. Lüdersa".

[4]) Gerstenzweig umarł dopiero d. 5 listopada, zachowując do ostatka przytomność. D. 1 listopada, a więc na cztery dni przed śmiercią, Suchozanet, zastępujący wówczas namiestnika, telegrafował do cesarza z prośbą, by przysłał do Gerstenzweiga kilka słów współczucia, przyczem dodawał: „on (Gerstenzweig) jest zupełnie przytomny (on w połnoj pamiati) i pragnie słowa współczucia od Was". Depesza ta zbija więc jak najzupełniej twierdzenie *Teobalda* (Wospo-

jenerał-gubernatora, Lambert mianował Merchelewicza, sam zaś, jak tylko zjawił się w Warszawie Suchozanet, który do czasu przybycia Lüdersa, miał pełnić obowiązki namiestnika, opuścił co prędzej i w jak największej tajemnicy to straszne dla niego miasto. Wyjechał d. 23 października o godz. 11-ej w nocy koleją warszawsko-wiedeńską za granicę, nie pożegnawszy się z nikim w Warszawie. Był tak ciężko chory, że na stacyi granicznej w Maczkach dostał silnego i nagłego krwotoku i musiał przez sześć godzin spoczywać. Udał się przez Roterdam [1]) na wyspę Maderę, gdzie we własnej willi, ocienionej pysznemi drzewami figowemi, spodziewał się znaleść zdrowie i życie. Nie znalazł go tam niestety! Wśród zwykłych u suchotników zmian w zdrowiu, w chwili gdy zdawało mu się, że stan jego się polepszył, zaślubił tam na Maderze, przybyłą umyślnie do niego margrabinę Lancôme de Brèves, ale wkrótce potem umarł [2]). O Polsce nigdy nie chciał mówić, ani przybywającym doń przyjaciołom z Rosyi wyjaśniać strasznych katastrof, jakie go spotkały w Warszawie.

Tak skończył człowiek, który przed dwoma niespełna miesiącami przybywał do Warszawy na stolec namiestnikowski z obszerną władzą i przejęty jak najlepszemi dla

---

minania IV, 37), jakoby Gerstenzweig pozbawiony był zupełnie przytomności i „żył życiem polipa“ (sic). Chory, ponieważ do czasu przyjazdu żony, nie było nikogo ktoby go mógł doglądać, prosił, by mu przysłano siostry miłosierdzia katolickie; jakoż przybyło ich dwie i do końca życia bawiły przy samobójcy. Żona przebywająca w Szwajcaryi, wezwana telegrafem, przybyła d. 25 paździer. t. j. prawie w tydzień po samobójstwie. Ranny umarł dopiero wtedy, gdy doktorzy z Chałubińskim na czele, postanowili mu kulę wyjąć z głowy. Skonał prawie pod nożem. Ciało wystawione było w pałacu Brühlowskim, ale pokryte suknem czerwonem. Wyprowadzono je d. 8 listopada o godz. 9-ej rano przez most na Pragę do kolei petersburskiej, skąd powieziono je do Rosyi.

[1]) Z Roterdamu d. 19 października telegrafował do Warszawy do Suchozaneta: „zdrowie jednakowe. Wypływam dziś na Maderę. Pisałem wczoraj. (Santé même état. Embarque aujourd'hui pour Maderè. Ecris hièr).

[2]) *S. M. Borszczow,* loc. cit. 68.

kraju chęciami. Obdarzony od natury sympatyczną fizyognomią, niezwykłą inteligencyą, Francuz z rodu, wyznania i przekonań, człowiek ucywilizowany wysoko, zdawało się, że posiadał wszystkie warunki, by zyskać za sobą kraj, uspokoić go i popchnąć na drogę rozwoju legalnego. Niestety! nic z tych zapowiedzi nie spełnił, a za jego rządów ruch rewolucyjny nie tylko nie ustał, ale owszem doszedł do swej pełni, do swego apogeum. Na to, na ten opłakany ze wszech miar rezultat akcyi Lamberta składało się bardzo wiele i bardzo różnorodnych przyczyn, które w ciągu opowieści o rządach jego, przytoczyliśmy poszczególe. Już nieraz mówiliśmy, że ruchu, który rwał naprzód i który za cel ostateczny stawiał sobie niepodległość narodową, ulgami administracyjnemi okiełznać było niemożna. Wobec tego, wszelkie usiłowania na tej drodze czynione, rozbić się koniecznie musiały, rozbił sobie głowę i Lambert. Nieszczęsny Hamlet moskiewski pozbawiony charakteru i tej siły, która fali stawić czoło mogła, ale zwrócić jej w żadnym razie zdolną nie była, przybywając do Warszawy, niósł za sobą zarodki niepowodzenia w osobie Gerstenzweiga. Ten, surowy żołnierz, trawiony ambicyą i wrogo usposobiony dla tego, który zajął jego miejsce na stanowisku namiestnika, dany jako Mentor zbyt miękkiemu Telemakowi, padł ofiarą swej ambicyi niezdrowej i wszystko pożerającego ognia rewolucyi. Ta rewolucya rozegrawszy głośno i publicznie ostatni akt jawnego dramatu, spaliwszy na swem łonie poetyczną i wahającą się postać Hamleta, Lamberta, miała teraz rozlać swój jad trujący po całym organizmie narodowym, nurtować tajemnie po wszystkich jego żyłach i arteryach, niszczyć jego siły i zasoby żywotne, ocalałe po straszniejszych dniach dawnych rozbić i ciosów. Z pola publicznych manifestacyi, głośnych objawów ruchu, teraz pod grozą stanu wojennego ucichłych, przechodzimy do powieści o spiskach tajemniczych, o knowaniach skrytych, zawiązywanych gdzieś w głębi społecznego życia i podkopujących to życie. Spisek jak pasożyt na chorem już ciele polskiem miał do reszty je zgangrenować i stra-

wić, i ta nowa faza w dziejach naszych jest wynikiem mimowolnym i nieprzewidzianym rządów Lamberta. Dla tego też, o ile historyk zachować winien szczerą sympatyą do tej bądź co bądź pięknej postaci, o tyle musi romantycznemu Telemakowi przypisać, że przyczynił się bardzo do nieszczęść opłakanych, jakie spadły na biedną naszą ojczyznę.

ROZDZIAŁ XII.

Spisek.

Jenerał-adjutant Lüders. Suchozanet w Warszawie. Wielopolski podaje się do dymisyi. Jej powody. Intryga Suchozaneta. Rożnow w Płocku. Aresztowania. Walka z Wielopolskim. Sprawa „Dziennika Powszechnego“. Rozkaz cesarski. Otwarcie kursów przygotowawczych. Skład ciała nauczycielskiego. Mowa Wielopolskiego. Jego wyjazd do Petersburga. Odezwa ks. Władysława Czartoryskiego. Szkoła wojskowa w Genui. „Głos z Paryża i Genui“. Rokowania Zamoyskiego z Wysockim. Polityka Francyi. Powstanie „Komitetu miejskiego“. Ignacy Chmieleński, Głowacki i Wereszczyński. Wybory i powstanie „Koła“. Lüders, Kryżanowski i komisye śledcze. Aresztowanie Białobrzeskiego. Korespondencya z Dekertem i kapitułą. Śmierć i pogrzeb Dekerta. Zeznania Białobrzeskiego i wyrok. Otwarcie cerkwi Bazyliańskiej. Okólnik arcybiskupa Wierzchlejskiego. Deputacya i kocia muzyka. Rządy wojskowe. Kruzenstern. Rada administracyjna i sprawa oczynszowania. Podburzanie ludu. Zabójstwo Kleniewskiego. Naczelnicy wojenni. Aresztowani. Odpowiedź konsystorza kaliskiego. Rocznica 29 listopada. Szlachta i powstanie „dyrekcyi białych“. Rada stanu i dyskusye nad projektami. Rzut oka na przebieżony okres. Zakończenie.

Gdy rozpaczliwy telegram Lamberta, napisany w dniu samobójstwa Gerstenzweiga i błagający „na Boga“, by kogo innego na stanowisko namiestnika w Warszawie przysłano, doszedł do rąk cesarza, bawiącego podówczas w Liwadyi, ten natychmiast zajął się wyszukaniem człowieka, któregoby można było posłać do Polski. Rzecz była

nie łatwa; takich, coby chcieli jechać i rządzić w Warszawie, objętej płomieniem rewolucyi, było niewielu; straszny przykład Gerstenzweiga i Lamberta odbierał ochotę każdemu. Wybór więc był trudny. Wtedy ktoś podszepnął cesarzowi, a może sam sobie przypomniał starego jenerała, żyjącego w odosobnieniu zupełnem w pobliżu Odessy, nad morzem Czarnem, nazwiskiem Aleksander Nikołajewicz Lüders. Imię to, przed kilku zaledwie laty było bardzo głośnem, teraz jednak prawie zupełnie zapomnianem. Lüders usunięty od służby czynnej, nie spodziewał się wcale, by go kiedykolwiek do niej znowu powołano. Nieszczęśliwa Polska wyprowadziła jeszcze raz na widownię dziejową tego człowieka, Niemca z rodu, żołdaka z przyzwyczajeń, hulakę, kobieciarza, utracyusza, splamionego brzydkim czynem okradania skarbu publicznego. Odznaczywszy się w kampanii węgierskiej, pogromca Bema przy Szegeswarze i Mülendorfie, gdy wojna krymska wybuchła, został, po usunięcu Gorczakowa, naczelnym wodzem armii w grudniu 1855 r. W kilka miesięcy jednak potem oskarżony o okradanie wojska, oddany pod sąd, uwolniony został od służby we wrześniu 1856 r. i całkiem, co zresztą było rzeczą słuszną, zapomniany.

Takiego to człowieka postanowiono posłać do Warszawy. Cesarz zaraz nazajutrz po wspomnianym telegramie Lamberta, d. 18 października pisał, że ma zamiar następcą jego mianować Lüdersa, i uwiadamiał, że rozkazał mu przybyć do siebie z Odessy. W tym celu wysłano po przyszłego wielkorządcę Polski yacht cesarski. Lüders oczywiście stawił się natychmiast i uwiadomiony o wszystkiem, z wyraźną niechęcią i obawą przyjął swe naznaczenie na tak wysokie i niebezpieczne stanowisko. Zrazu nawet energicznie się opierał, ale uledz musiał przed wolą samowładcy, który osobiście udzielił mu instrukcyi i doniósł o tem Lambertowi już d. 21 października, zapowiadając przybycie nowego dygnitarza najdalej w ciągu tygodnia. Tegoż samego dnia podpisany został reskrypt cesarski, mianujący Lüdersa

„pełniącym obowiązki namiestnika przez czas nieobecności hrabiego Lamberta“.

Tym więc sposobem nominacya Lüdersa miała tylko charakter czasowy. Zdaje się, że cesarz na razie nie przypuszczał, by Lambert zamierzał natychmiast opuścić swe stanowisko; gdy jednak później dowiedział się, że ten chce zaraz wyjechać, więc trzeba było kogoś koniecznie do czasu przybycia Lüdersa osadzić w Warszawie. Wezwał zatem Suchozaneta, bawiącego w Dreźnie, który właśnie w tej porze miał przejeżdżać przez stolicę polską, ażeby się tam zatrzymał i przez te kilka dni rządził. Suchozanet zgodził się, za co cesarz serdecznie mu dziękował i rozkazywał, ażeby działał z bezwzględną surowością, nie pozwalał na żadne nieporządki, winnych sądził według praw polowych i wyroki natychmiast wykonywał[1]). Suchozanet przybył do Warszawy dnia 23 października o godz. 11-ej w nocy, to jest w przeddzień wyjazdu Lamberta.

O tem wszystkiem, o tych gotujących się zmianach nie wiedziano nic w Warszawie, nie wiedział i Wielopolski. W dzień wyjazdu Lamberta, tegoż samego 23 października, w którym przybył Suchozanet, margrabia został wezwany do zamku. „Mój Hamlet“ przyjął go w łóżku, tak osłabiony, że ledwie mógł mówić, pluł ciągle krwią, i oznajmił mu o przyjeździe ministra wojny, który tymczasowo ma objąć namiestnictwo. Wielopolski wobec tego oświadczył, że się podaje do dymisyi, że ani chwili pod Suchozanetem na urzędzie nie pozostanie[2]). Że to było znowu teatralne „udane wyjście“, że Wielopolski nie miał wcale zdecydowanego zamiaru usuwać się od urzędu, zdaje się nie ulegać kwestyi. Niepodobna bowiem przypuszczać, ażeby Lambert go nie uwiadomił, iż objęcie namiestnictwa przez Suchozaneta jest tylko chwilowem, że za kilka dni

[1]) Depesza z dnia 10 (22) października: „Proszu was dejstwowat bez wsiakago poslablenia i niedopuskat ni pod kakim nidom nikakich swojewolij. Winownych sudit po wojennomu położeniu i prigowory priwodit w ispolnienie niemiedla“.

[2]) *Lisicki,* Le marquis II, 229.

rządy znienawidzonego Sezostrysa się skończą i że Lüders wkrótce przybędzie; usuwanie się więc z urzędu było całkiem niepotrzebne. Parę tygodni to nie wieczność i przez tak krótki czas można było znieść panowanie zdziecinniałego starca. Jeżeli jednak Wielopolski, mimo to, stanowczo oświadczył, że podaje się do dymisyi, to miał na celu, podobnie jak pierwszym razem, wyjednanie nowych ustępstw czy dla siebie, czy dla kraju. Liczył, że przez swe postępowanie zmusi rząd do tych ustępstw, choć z drugiej strony można było przypuszczać, iż w Petersburgu zgodzą się na jego dymisyą. Tak potężny umysł, jak Wielopolski, zapewne widział to doskonale, wszelako nie zawahał się i dla osiągnięcia upragnionego celu zrobił nowy krok ryzykowny.

Jakiż jednak był ten cel? czego żądał margrabia? Cel ten i to żądanie wyraźnie wypowiedział w swem podaniu o dymisyą. „Rezultat częstych zmian osób w ciągu ostatnich miesięcy w administracyi zwierzchniej Królestwa — pisze tam Wielopolski — wzbudził we mnie to niewzruszone przekonanie, że dla dobra służby I. C. Mości w naszym kraju, rozdział dwóch władz: cywilnej i wojskowej stał się nieodzownym. Bez takiego rozdziału, władza wojskowa skończy zawsze na wdarciu się w zakres administracyi cywilnej, ze szkodą samorządu Królestwa. Choćby urzędnicy wojskowi posiadali najwybitniejsze przymioty osobiste, wszelako nie posiadając języka, nie znając praw, potrzeb, przebiegu spraw krajowych, nie odpowiedzą nigdy wspaniałomyślnym widokom monarchy“ [1]). Z tych słów jasno ujawnia się cel margrabiego; chciał być całkiem niezależnym od władz wojskowych tak sam, jak wogóle administracya Królestwa. Cel był bardzo zacny i bardzo patryotyczny, i dla jego osiągnięcia warto było coś zaryzykować, rzucić na stół ostatniego atuta. Tego atuta margrabia rzucił i podanie o dymisyą złożył do rąk Lamberta.

[1]) Loc. cit. II, 240.

Ten podanie to przyjął bardzo niechętnie, co jest jednym więcej dowodem, że szczerze życzył krajowi. Wszak sam wydalał się, by umrzeć cicho na oddalonej wyspie oceanu, i jeżeli przekładał Wielopolskiemu, by pozostał na urzędzie, to tylko ze względu na Polskę, która go strawiła, do grobu wpędziła, a której on mimo to, w swej dobrej, szlachetnej duszy może rad był nieba przychylić. Tegoż samego jeszcze dnia, przed wyjazdem, doniósł telegrafem o wszystkiem cesarzowi, dodając te znaczące słowa: „uważam za konieczne zatrzymanie Wielopolskiego w imieniu monarchy“.[1]) Ale depeszy tej nie wysłano zaraz. Suchozanet był już w Warszawie i objął swój urząd, więc zapewne depeszę zatrzymał i posłał ją do Liwadyi dopiero nazajutrz, dnia 24 października o godz. 8-ej rano, to jest kiedy Lambert już dawno wyjechał był ze stolicy polskiej[2]). Nie poprzestał jednak na tym, bądź co bądź nieuczciwym czynie, i do depeszy poprzednika swego dodał te słowa: „nie mam nadziei, żeby proponowane Wielopolskiemu pozostanie na służbie, miało skutek pomyślny[3])“. Ta brzydka intryga i słowa te obliczone były na to, że oburzą despotyczne instynkta cesarza i że dymisya będzie przyjętą, o co głównie szło Suchozanetowi. Był on bowiem nieprzebłaganym wrogiem margrabiego, i bodaj czy nie za cel swych krótkich rządów położył sobie usunięcie tego człowieka znienawidzonego, który mu imponował rozumem, inteligencyą i arystokratycznem obejściem, pełnem dumy nieprzebranej.

Na razie jednak intryga ta, świadcząca jak dalece rząd despotyczny psuje charaktery, nie miała powodzenia. Cesarz rozkazał Suchozanetowi, ażeby wezwał Wielopol-

---

[1]) Depesza z dnia 11 (23): „nachożu nieobchodimym ot imieni gosudaria jego udierżat“.

[2]) W Liwadyi depeszę tę otrzymano d. 12 (24) o godz. 3 min. 15 w nocy.

[3]) Oryginał brzmi: „nie imieju nadieżdy, cztoby wysoczajsze predłożenie Wielopolskomu ostawatsia na służbie, imieło uspiech“.

skiego „do pozostania na służbie“, bo „tym sposobem okaże on prawdziwe poświęcenie dla ojczyzny i dla mnie“ [1]). Rozkaz ten oczywiście nie był przyjemnym Sezostrysowi moskiewskiemu, gdyż był pierwszą przegraną bitwą w walce z margrabią, ale mimo wszystko wykonać go trzeba było. Płatonow wysłany do Wielopolskiego, uwiadomił go o woli monarchy. Margrabia odpowiedział wymijająco i nie mógł inaczej odpowiedzieć, gdyż przedłużenie obecnego stanu rzeczy nie prowadziło do niczego i nie zbliżało go wcale do celu, który sobie założył, to jest rozdzielenie władzy cywilnej od wojskowej. Oświadczył więc Płatonowi, że pragnie napisać do cesarza. Pismo takie zrazu chciał powierzyć pierwszemu kuryerowi, jaki pojedzie z Warszawy do Aleksandra II, później po namyśle zdecydował się wysłać je przez syna swego Zygmunta, który znał dobrze wszystkie zamiary i myśli ojca i brał w nich czynny udział. Projekt ten w najwyższym stopniu nie podobał się Suchozanetowi. Donosząc o nim cesarzowi d. 25 października, pisał, że „powodem podania się do dymisyi jest przekonanie, że ja ze zdwojoną ścisłością wykonywać będę przepisy stanu wojennego, na który on (margrabia) zgodził się w nadziei, że hr. Lambert złagodzi je mocno“; twierdził, że taki wniosek wyprowadził Płatonow z rozmowy z Wielopolskim; dodawał, że uważa za rzecz konieczną uwolnienie margrabiego z urzędów“, a przynajmniej pozostawienie go tylko przy dyrektorstwie sprawiedliwości, gdyż w Komisyi oświecenia i spraw duchownych jest on „stanowczo szkodliwym“ (położitelno wreden); utrzymywał, że takiego samego zdania jest Lambert i Płatonow i obiecywał, że o wszystkiem szczegółowo napisze przez kuryera [2]). Cesarz odbierając takie wiadomości, oddalony od miejsca wypadków, mimo to w gruncie rzeczy zawsze

[1]) Depesza z d. 12 (24): „objawite Wielopolskomu, czto ja żełaju cztob on ostawałsia na służbie, i czto on etim dokażet istinnuju predannost otieczestwu i mnie“.

[2]) Depesza z d. 13 (25) października.

przyjazny margrabiemu, odpowiadał, że sprawę tę zdecyduje po przybyciu owego przyobiecanego kuryera [1]).

Tymczasem w Warszawie walka pomiędzy margrabią i namiestnikiem z każdą niemal chwilą przybierała coraz ostrzejszy charakter. I była to walka z wielu względów szczególna i jedyna w swoim rodzaju. Z jednej bowiem strony stawał magnat polski, przez nikogo, nawet przez własny naród nie popierany, z drugiej jenerał rosyjski, minister wojny, wysoki dygnitarz, wsparty na całej kamarylli wojskowej, której podobały się rządy militarne, która nienawidziła i lękała się Wielopolskiego, ośmielającego się jej dążnościom stawić czoło. Rozpoczął się więc szereg tych drobnych starć, dokuczliwych ukłuć, w których mistrzami są wszyscy dygnitarze rosyjscy, wyćwiczeni w szkole intryg dworskich. Traktowano więc Wielopolskiego wprost jako człowieka podejrzanego i codzień nieomal wystawiony był na różnorodne szykany. Stronnictwo wojskowe poczęło szaleć po dawnemu. Aresztowano mnóstwo osób winnych i niewinnych, a na prowincyi dopuszczano się wszelkiego rodzaju gwałtów i nadużyć, krzyczących o pomstę do nieba. W Płocku jenerał Rożnow, nowy „pasza Janiny“, jak go zwią relacye współczesne, rzucił postrach na miasto swem dzikiem postępowaniem. Otoczywszy się gromadą ludzi, uważanych przez opinię za łotrów i wyrzutków, jak niejaki Mirza Tuchan Baranowski, Tatar z rodu, Kłobuszewski i sławny później oszust w kartach i szuler, Kusociński, wszyscy trzej radcowie gubernialni, rozpoczął rządy istnego kacyka. Ponieważ na placu przed gmachem rządu gubernialnego, miejscem zwykłych przechadzek mieszkańców, kobiety nie pokazywały się, unikając zaczepek nieprzyzwoitych ze strony oficerów rosyjskich, więc Rożnow wezwał do siebie urzędników i zapowiedział im, że jeżeli ich żony, córki i siostry nie będą spacerowały jak zwykle po placu, to starszym da dymisyą, a młodszych

[1]) Depesza z Nikołajewa z d. 13 (25) października „O Wielopolskim rieszu po połuczenii sledujuszczago kuriera“.

rózgami oćwiczyć każe[1]). Nakoniec w nocy z 18 na 19 października aresztowano wszystkich tych, którzy w manifestacyach poprzednich jakikolwiek brali udział. Liczba uwięzionych była znaczna, dochodziła podobno do 50, a nazajutrz rozpoczął się prawdziwy „sądny dzień“ dla Płocka, i tak też w rzeczy samej nazwany został. Rożnow bowiem, nie bawiąc się w żadne śledztwa, protokóły i sądy, kazał poprostu aresztowanych, zwłaszcza młodszych, osmagać rózgami. Obici zostali: Olszewski, syn urzędnika, Dobrowolski urzędnik, Waśniewski cukiernik, Bogusławski kupiec, Chądzyński subjekt i wielu innych. Nie poprzestał jednak na tem, nie żałował rózeg i dla kobiet, które chwytano na ulicy za żałobę i prowadzono do ratusza. Oćwiczono w ów „sądny dzień“ panią Krajewską, pannę Wołowską, pochodzącą z mechesów i znaną w mieście pod nazwą „Małki“; obito nakoniec niejaką Dzierżanowską, kobietę złego prowadzenia[2]). Straszliwy popłoch padł na miasto.

Wieść o tem piorunem rozbiegła się po całym kraju i wywołując oburzenie powszechne, dała zarazem żywe świadectwo do czego są zdolne rządy militarne. Zewsząd słychać było o aresztowaniach, o wysyłaniu młodych ludzi do batalionów orenburskich, o wyrokach śmierci, których wprawdzie nie wykonywano, ale które postrach niemały rzucały. W Sandomierzu jeden z takich kacyków naczelników wojennych, którymi się roi teraz kraj cały, major Gołubow, w czasie pogrzebu niejakiego Dreiseitelna, Bóg wie dla czego, wpuścił na cmentarz tylko księży, ludność zaś kazał wojsku rozpędzić kolbami. Tu i owdzie, idąc za przykładem Warszawy, duchowieństwo, wobec aresztowania osób wychodzących z kościoła, zaczęło te kościoły zamykać. W Łęczycy ksiądz Żukowski zamknął kościół parafialny; w Augustowie dla tejże przyczyny ks. Pożarski zrobił to samo; w Ratowie (w Płockiem) gwardyan Ber-

[1]) Z relacyi współczesnych.
[2]) Relacye rękopiśmienne.

nardynów, ks. Gołandyszkiewicz, także tego rozpaczliwego chwycił się środka [1]). Sporadyczne te wypadki jednak nie znalazły naśladowców w innych miejscowościach kraju, świadczyły wszelako o wzburzeniu powszechnem. Bardzo wielu księży aresztowano, osadzano ich w cytadeli warszawskiej, gdzie o obchodzeniu się z więźniami zwykle nieprawdziwe i przesadzone, ale nadzwyczaj drażniące obiegały pogłoski.

Suchozanet ze swej strony gorliwie zajmował się aresztowaniem tak zwanych przez siebie „kierowników propagandy“ (rukowoditelej propagandy); w sprawie zaś z Wielopolskim dopuścił się nawet gwałtu, ostatniej ucieczki wszystkich wielkorządców rosyjskich. Oświadczenie margrabiego, że pragnie syna wysłać do Petersburga z listem do cesarza, nie podobało się Suchozanetowi, jak w ogóle nie mogło się podobać wszelkie porozumienie bezpośrednie magnata polskiego z imperatorem. Nie mogąc tego zabronić urzędnikowi, zajmującemu tak wysoką godność, postanowił jednak przeszkadzać wszelkiemi siłami, a nadewszystko starać się o to, by jego, namiestnika, raport wprzód doszedł do rąk cesarza i tym sposobem niejako uprzedził wrażenie, jakie list margrabiego na monarchę wywrzeć może. Taki raport wygotował on pospiesznie i wprost oskarżał w nim margrabiego o „bunt“; dokument ten powierzył jenerałowi Potapowowi, polecając mu jechać jak najśpieszniej; w rzeczy samej tenże puścił się do stolicy północnej dnia 28 października. Gdy jednak Zygmunt Wielopolski chciał to samo zrobić, zabronił mu dawać koni na poczcie, kolei żelaznej zapowiedział, żeby przewozić go się nie ważyła, a rogatkom, by go nie śmiały przepuszczać [2]). Do Wielopolskiego posłał „w pełnej gwiaździstości“, jak się wyraził margrabia, jakiegoś jenerała z ofiarą przesłania listu do Petersburga przez kuryera, ale margrabia odrzekł deputatowi, że syn pojedzie, że jako

[1]) *Pawliszczew*, Siedmicy I, 2 i 9.
[2]) *Lisicki*, Aleks. Wielopolski I, 261.

szambelan dworu cesarskiego nie potrzebuje niczyjego pozwolenia, by udać się do cesarza, że nikt nie ma prawa zabraniać mu tego i skończył słowami: „co do mnie, jestem niekiedy zuchwały, ale nigdy szalony“ (je suis quelquefois témeraire, mais jamais etourdi). Wszystko to nadzwyczajnie rozdrażniło Suchozaneta, wychowanego według wzorów mikołajewskich, przywykłego, żeby wszystko się uginało przed wolą pierwszego lepszego jenerała.

Zaszła przytem jeszcze jedna okoliczność, która położenie to zaostrzyła mocniej. Wielopolski przewidując możność opuszczenia urzędu i chcąc niejako przekonać kraj, że pracował i pragnął przeprowadzić najważniejsze tej doby reformy, t. j. oczynszowanie włościan i przekształcenie wychowania publicznego, kazał w dniu 28 października wydrukować w osobnym dodatku do „Dziennika powszechnego“, projekt do ukazu o oczynszowaniu i projekt reformy szkół. Miało to być dla jego następcy drogowskazem przy dalszem przeprowadzaniu tych reform, a dla Wielopolskiego niejako pieśnią łabędzią i usprawiedliwieniem przed krajem i historyą. Publiczność, która dotąd nie zajmowała się wcale „Dziennikiem“, z chciwością rzuciła się na niego, odczytując owe dwa projekta, komentując je i rozprawiając o nich głośno. Fakt ten oburzył nadzwyczajnie namiestnika. Tego rodzaju postępek, oddający pod dyskusyą publiczną projekta do praw, przez władzę wyższą nie zatwierdzone, był przeciwny wszelkim zwyczajom rosyjskim i uważał on go za lekceważenie powagi namiestnika. Rozkazał więc, ażeby odtąd „Dziennik“, podobnie jak wszystkie gazety warszawskie, ulegał cenzurze naczelnika poczty Massona, a zarazem naczelnika policyi, a ów nieszczęsny dodatek z projektami kazał na poczcie skonfiskować, tak, że jest on dziś rzadkością bibliograficzną.

Wielopolski oparł się stanowczo posyłaniu „Dziennika“ do cenzury Massonowi. „Nic z tego nie będzie, mówił, gdyż z mocy rozporządzenia Rady administracyjnej Królestwa, wydanego w imieniu Najjaś. Pana, cenzura

„Dziennika“ należy do dyrektora Komisyi oświecenia“ [1]). Suchozanet w odpowiedzi na to kazał drukarnią „Dziennika“ opieczętować, a Bogu duszę winnego Sobieszczańskiego, jako redaktora, wsadzić na tydzień na odwach „za nieposłuszeństwo“. Odtąd Sobieszczański, unikając mięszania się do walki, w której najniewinniej mógł paść ofiarą, niby od siebie już tylko posyłał dziennik do cenzury Massona. Namiestnik zaś kazał w „Dzienniku“ i we wszystkich pismach warszawskich ogłosić komunikat urzędowy, że projekt o oczynszowaniu włościan, nie będąc jeszcze ani poddany pod wyższy rozbiór, ani zatwierdzony w ustanowionym porządku, uważany być powinien jedynie za wynurzenie myśli osobistych w tym przedmiocie margrabiego Wielopolskiego“. Nie poprzestając jednak na tem, chciał, by takież obwieszczenie rozesłano gubernatorom z poleceniem odczytywania go wszędzie włościanom. Krok ten byłby istotnem głupstwem, gdyż chłopi nie czytali „Dziennika“ i nie wiedząc o co idzie, byliby Bóg wie jakie wnioski wysnuwali, co w czasach powszechnego podniecenia umysłów wcale nie było rzeczą pożądaną. Na szczęście Komisya spraw wewnętrznych, ulegając pozornie woli namiestnika, poleciła gubernatorom, żeby tam tylko odczytywano obwieszczenie, gdzie włościanie projekt przeczytali i gdzieby uważając go za urzędowy, pretensye jakiekolwiek z tego powodu rościć mogli [2]). Ponieważ jednak chłopi, jak się tego spodziewać należało, nigdzie owego projektu nie czytali, więc też i zaprzeczenie namiestnika prawie nigdzie nie było im komunikowane.

Obok tego wszystkiego, Suchozanet kazał Wielopolskiemu powiedzieć, że „uważa jego postępowanie za niezgodne z poleceniami namiestnika, że wstrzymuje się wszelako od uciekania się do środków będących w jego władzy, że jednak o wszystkiem doniesie cesarzowi“ [3]).

---

[1]) *Lisicki*, Le marquis, II, 242.
[2]) *Lisicki*, Aleks. Wielopolski I, 262.
[3]) Depesza Suchozaneta z d. 19 (31) października.

W rzeczy samej skarżył się przed tym ostatnim tonem mocnego podrażnienia. „Margrabia Wielopolski po waryacku (sumazbrodno) trwa w nieposłuszeństwie; wstrzymuję się od kroków stanowczych, ale niebezpiecznem jest znosić dłużej jego postępowanie“. Innym razem wyrzekał, że margrabia wyraźnie lekceważy namiestnika, że od chwili przybycia tego ostatniego do Warszawy nie pokazał mu się ani razu, że bywa tylko tam, gdzie pewny jest, że nie spotka Suchozaneta, że czyni to wszystko dla zyskania popularności u stronnictwa przeciwnego rządowi, że mu się to po części udało; że dalsze jego pozostawanie na urzędzie czyni położenie namiestnika i całego żywiołu rosyjskiego w Warszawie prawie niemożliwem.

Jeżeli jednak Sezostrys moskiewski pod wielu względami nie miał racyi i motywem jego postępowania z margrabią była obrażona pycha, to wszelako jego twierdzenie o odzyskiwaniu przez Wielopolskiego popularności było prawdziwem i uzasadnionem. Jakkolwiek bowiem wszystkie te, powyżej opowiedziane, epizody walki odbywały się po większej części za kulisami, w ukryciu czterech ścian, w niedościgłych dla zwykłego śmiertelnika empirejskich wyżynach wielkich tego świata, były przecież objawy niektóre zbyt głośne i zbyt jawne, by nie miały zwrócić na siebie uwagi ogółu i nie przekonać go, że jakieś starcie głuche toczy się między Wielopolskim i Suchozanetem. Mianowicie awantura z „Dziennikiem“ była powszechnie wiadomą, historya z synem margrabiego również była znaną; zresztą, jak się zdaje, w Zamku nie umiano zachować tajemnicy, a Wielopolski wcale jej nie zachowywał, przyszedłszy w końcu do przekonania, że jego dymisya, mimo wszystko, może nastąpić, że w nowej tej walce zostanie pobity, że zatem lepiej będzie, gdy zejdzie ze stanowiska w nimbie popularności, którą był utracił zupełnie, a którą w tej chwili mógł był odrazu odzyskać [1]). To też

[1]) Że się tak na tę sytuacyą zapatrywano, może służyć za dowód przytoczony przez Lisickiego (Le marquis, II, 245) list, jaki

margrabia nagle we wszystkich prawie sferach, z wyjątkiem oczywiście zacietrzewionych rewolucyonistów, stał się popularnym. Poczęto go wychwalać, jego salony na ulicy Długiej, w gmachu Komisyi sprawiedliwości, zaczęły się napełniać, choć zajęty i zapracowany mocno, nikogo nie przyjmował; unoszono się nad postawą jego wobec rządu, uważano, że godnie reprezentuje kraj, że umie nakazać uszanowanie dla imienia Polaka wobec jenerałów moskiewskich. Fotografie jego rozkupywano w tak wielkiej ilości, że Bayer nie mógł ich nastarczyć. Cieszono się z tego, że nakoniec przełamał opór namiestnika i syna Zygmunta wysłał do Petersburga.

Czy jednak ten syn mógł co zrobić w stolicy nad Newą, w tej stolicy tak zawsze nieprzyjaznej wszystkiemu co polskie, było pytaniem bardzo wątpliwem. Suchozanet bowiem wtedy dopiero przestał przeszkadzać jego wyjazdowi, gdy już Potapow pędził ku stolicy caratu, i gdy był pewny, że jego, Suchozaneta, raport znacznie wyprzedzi list Wielopolskiego. Przytem, powyżej przytoczone telegramy, które namiestnik słał do Petersburga, przedstawiające margrabiego, jako wyraźnie pomiatającego władzą rosyjską, musiały koniecznie źle usposobić cesarza dla dygnitarza polskiego, i Suchozanet przekonany był, że lada chwila nadejdzie rozkaz, uwalniający Wielopolskiego

---

w tym czasie, któryś z „dalekich krewnych“ margrabiego, do niego napisał. „W każdej karyerze publicznej, mówi ów krewny, są chwile, w których można, cofając się we właściwym czasie, wszystko uratować i wszystko odzyskać. Wielcy gieniusze upadli, nie umiejąc uchwycić tej chwili. Taki moment nadszedł dla ciebie. Rzuć władzę a świat wkrótce się dowie z uwielbieniem o powodach twego postanowienia. Cofnięcie się może ci zapewnić piękną kartę w rocznikach twego domu. Podjąłeś władzę w przekonaniu, że możesz uratować nasze społeczeństwo od rozkładu, jaki mu zagrażał. Liczyłeś na siłę, jaką daje władza absolutna, a tej siły wcale nie znalazłeś. Brak ci wszelkich środków do rządzenia, nic ci więc nie pozostaje jak rozwieść się z władzą. Wszystko raczej, niż zostawić imię, któreby nieprzyjaciele wszelkiej wyższości moralnej, wymawiali z radością, a twoi przyjaciele z żalem i smutkiem.

od wszystkich urzędów. Jakież było jego niezadowolenie, a z nim całej kamarylli wojskowej, gdy d. 30 października, nadszedł do Warszawy rozkaz telegraficzny cesarza, ażeby Wielopolski natychmiast (niemiedlenno) stawił się w Petersburgu dla złożenia osobiście swych wyjaśnień [1]). Rozkaz ten tak dalece był dla Suchozaneta niespodziewanym, tak nieprzyjemnie nań oddziałał, że mu się ośmielił sprzeciwić i tego samego dnia telegrafował do cesarza, że jego rozkaz zakomunikuje Wielopolskiemu dopiero nazajutrz, jeżeli otrzyma ponowne jego potwierdzenie po tem, co Potapow powie, który ma stanąć w Petersburgu jutro, d. 31 października. Widocznie Sezostrys liczył na to, że gdy cesarz wysłucha raportu Potapowa, to prawdopodobnie nie będzie już chciał widzieć margrabiego, ale natychmiast udzieli mu tak gorąco pożądaną przez Zamek warszawski dymisyą. Ale i ta nadzieja nie miała się urzeczywistnić na wielkie rozczarowanie i gniew Suchozaneta.

Tego samego bowiem dnia, 31 października, w którym Potapow stanął w Petersburgu z aktem oskarżenia Wielopolskiego, cesarz, przeczytawszy owe pismo, oświadczył, że istotnie margrabia „nie może być dłużej cierpianym w Warszawie,“ i jeszcze raz nakazywał, żeby niezwłocznie przed nim się stawił. W razie gdyby polecenia tego nie posłuchał, miał być przyaresztowany i odesłany do cytadeli [2]). Groźny ten rozkaz sprawił rozczarowanie w Zamku z jednej strony, z drugiej niemałe zakłopotanie. Suchozanet zastanawiał się nad tem, co istotnie zrobić należy; jeżeli Wie-

[1]) Depesza z dnia 18/30 października. Myli się więc Lisicki twierdząc (Alek. Wielopol. I, 262), że rozkaz ten nadszedł d. 1 listopada. Brzmi on jak następuje: „Wielopolskiemu oznajmij pan mój rozkaz udania się do Petersburga, gdzie chcę usłyszeć osobiście jego wyjaśnienia.“

[2]) Dosłownie depesza ta brzmi: „19/31 października. Nr. 22. Potapow przyjechał. List pański i objaśnienia jego przekonały mię w zupełności, że Wielopolski nie może być dłużej cierpianym (dołżeje tierpim) w Warszawie i dlatego oznajmij mu pan mój rozkaz o natychmiastowem wyjeździe tutaj. Gdyby miał śmiałość być nieposłusznym, to aresztować go w cytadeli i donieść. Aleksander.“

lopolski oprze się i nie będzie chciał jechać do Petersburga, co wtedy zrobić? pytał jednego ze swych adjutantów. „Ależ to jest proste, odrzekł mu tenże, pójdę go aresztować i zawiozę do cytadeli.“ „Ba! pan go przyaresztujesz!... łatwo to powiedzieć“...[1]). Niemniejszy był niepokój w Petersburgu co do zachowania się margrabiego. Cesarz, nie odbierając przez dwadzieścia cztery godziny żadnej wiadomości z Warszawy, telegrafował nazajutrz d. 1 listopada: „dziwię się, że mi pan nie odpowiadasz o natychmiastowej wysyłce tutaj Wielopolskiego. Proszę postąpić według mego wczorajszego telegramu.“ Jakoż nie było co zwlekać i należało wyraźny rozkaz cesarski spełnić. Wielopolski uwiadomiony o nim, na razie nie dał żadnej odpowiedzi, a Suchozanet donosił tegoż dnia, 1 listopada, że „raczej zgodzę się na zwłokę, niż na skandal (eskłandru), mogący zwiększyć popularność Wielopolskiego.“ Dowodziło to, że za nic w świecie nie byłby margrabiego aresztował i do cytadeli posyłał. Ale Wielopolski nie myślał się opierać; wezwanie do Petersburga było niejako pierwszym krokiem do zwycięztwa; porozumienie się osobiste z cesarzem było rzeczą bardzo ważną i w skutkach może bardzo doniosłą, by nie miał z niej skorzystać. Jeszcze więc tego samego dnia uwiadomił Suchozaneta, że jak tylko pokończy konieczne przygotowania do podróży dalekiej, jak tylko nabędzie powóz i futro, natychmiast wyjedzie, co najpóźniej nastąpi dnia 4 listopada. Suchozanet uwiadomił o tem natychmiast cesarza[2]).

Wieść o wezwaniu Wielopolskiego do Petersburga szybko rozeszła się po mieście i jako finalny akt blizko dwutygodniowej walki z Suchozanetem zrobiła różnorodne, stosownie do osób i sfery, wrażenie. Opinia, zwracając się

---

[1]) *Lisicki,* Le marquis, II, 244.

[2]) Depesza z dnia 20 października (1 listopada): „Wielopolski w tej chwili doniósł, że wyjeżdża najpóźniej dnia 23 października (4 listopada), a nawet wcześniej, jeżeli przygotowania do podróży będą mogły być prędzej ukończone, co uważam za słuszne, gdyż nie ma ani powozu podróżnego, ani futra.“

teraz ku margrabiemu, widziała w tej podróży zadatek lepszej przyszłości, gdyż sądzono i słusznie, że nie dlatego wzywano go do stolicy caratu, by się tam tłomaczył z zarzutów, uczynionych mu przez Suchozaneta. Takie tłomaczenie byłoby całkiem zbytecznem, gdyby nie myślano o jakichś nowych ulgach dla kraju, gdyż dość byłoby prostym ukazem usunąć z urzędu krnąbrnego dygnitarza. Jeżeli zaś sam cesarz go wzywał, to dlatego, by z nim naradzić się co do potrzebnych dla kraju reform. Opinie te były pociechą dla wszystkich dusz zrozpaczonych, dla wszystkich umysłów, patrzących trzeźwo na rzeczy i widzących, że kraj toczy się po fatalnej pochyłości. Ale były także zdania wręcz przeciwne. Czerwieńcy, rewolucyoniści również cieszyli się z wyjazdu margrabiego, ale cieszyli się dlatego, że uważali wezwanie nad Newę za rodzaj wygnania, czyli sam rząd rosyjski usuwał jedną z największych zapór ich działaniu. Kwestya kompromisu z Rosyą na podstawie uchwał kongresu wiedeńskiego, mówili, owego znienawidzonego kongresu, będącego niczem innem, tylko sankcyą międzynarodową bezprawia rozbioru, wraz z Wielopolskim sama przez się upadła. Widząc zwrot w opinii, ostrzegali „tłum starych dzieci,“ by się nie dał uwodzić pozorom i nie przestał pogardzać Wielopolskim. Ukazujące się właśnie w tej porze nowe pisemko tajemne p. t. „Pobudka,“ w sprawie tej tak się odzywało: „pewna część zbyt niestety! łatwowiernych ludzi zaczęła uniewinniać margrabiego, inni widzieli w nim nowego Wallenroda, przypisywali mu arcyskryte, lecz niemniej patryotyczne zamiary. Wybuchy arystokratycznej dumy w osobistych zajściach z jenerałami wzięto za dowód nienawiści ku Moskwie, poprzednie czyny za zręczne maskowanie się, a wypracowanie i ogłoszenie wbrew woli namiestnika dwóch projektów do praw za wielką przysługę dla kraju. W czasie podróży spotkały go podobno nawet niejakie owacye, przypuszczać więc można, że gdyby margrabia wrócił zwycięzcą z Petersburga wioząc nowy szmat martwych reform, ten tłum starych dzieci przyjąłby go jak zbawcę i reformatora. Lecz opamiętajcie się

niebaczni! postępowanie takie byłoby ciężką krzywdą, wyrządzoną dążeniom, nadziejom i prawom naszym.“ „Znane są zasady Wielopolskiego; naród chce Polski całej, niepodległej, wolnej od wszelkich wpływów i gwarancyi. Margrabia jej nie chce. Naród wierzy nietylko w możność, lecz w konieczność wolnej Polski, margrabia uważa to za efemerę (sic); naród wytrwale dąży do niej przez krew i cierpienie, on zaś choćby i krwią niewinnych dążeniu temu przeszkadza. Między Wielopolskim a narodem niema nic wspólnego, jest on carskim sługą, rozumniejszym zapewne od Suchozanetów, Lüdersów lub Gerstenzweigów, ale zawsze sługą tylko; tamci zgniecioną, wyssaną i okutą, ten kwitnącą, zamożną i oświeconą, a wrzekomo wolną Polskę chce rzucić na pastwę carowi. Naród wzdryga się na tę myśl ohydną.“ „Żadne prawa, żadne projekta lub koncesye nie okupią takich postępków i skrytych zamiarów. Margr. Wielopolski, raz jeszcze powtarzamy, niczem więcej nie jest, jak tylko urzędnikiem, wiernym sługą cara, a dla takich, czy wracają z knutem lub łaskami, naród jedno ma tylko uczucie: chłód, obojętność, jeżeli nie wzgardę. Oznaki sympatyi, okrzyki czci i uniesienia mamy tylko dla ludzi, którzy z narodem, w narodzie i dla narodu żyją, pracują i cierpią“ [1]).

Słowa ciężkie i dotkliwe, tem dotkliwsze, że niezasłużone, ale dosadnie malujące kierunek umysłów w stronnictwie ruchu. Lecz nietylko pisemka potajemne, wydawane przez rewolucyonistów ultraczerwonych potępiały margrabiego, nawet poważny „Czas“ krakowski, żegnając go, pisał, że „teraz odejdzie od władzy, aby żyć w narodzie, który zdeptał, znieważył, niczem nie zdoławszy zmyć krwawego piętna, jakie ciążyć będzie na jego imieniu“ [2]).

---

[1]) „Pobudka“ Nr. 2, z dnia 15 listopada 1861 roku. Ćwiartka litografowana.

[2]) Wielopolski za ten artykuł wystąpił w dniu 2 listopada ze skargą o obrazę czci przeciw Antoniemu Kłobukowskiemu, jako redaktorowi „Czasu,“ oraz przeciw Maurycemu Mannowi, Leonowi Chrzanowskiemu i Aleksandrowi Szukiewiczowi jako współredakto-

Wśród takich to sprzecznych ze sobą i różnorodnych opinii, świadczących o wewnętrznem rozbiciu narodu, Wielopolski wybierał się do stolicy Rosyi, miasta, jak mówi poeta, pełnego „wężowych ślin, pajęczych nici i krwi zepsutej.“ Zostawiał po sobie mnóstwo rozpoczętych prac i nie mógł przewidzieć, czy kiedykolwiek w tym stanie, w jakim się kraj teraz znajdował, będą one urzeczywistnione. Jedną tylko, bardzo doniosłą i bardzo zbawienną zostawił pamiątkę, to jest Szkołę przygotowawczą do przyszłego uniwersytetu polskiego. Szkoła ta była niejako zadatkiem, że w krótkim czasie wejdzie w czyn jedno z najgorętszych pragnień narodowych, uniwersytet, którego kraj potrzebował, a którego od lat trzydziestu był pozbawiony. To też w innych czasach, w czasach trzeźwości i liczenia się z realnością, cała Polska miałaby na ten ważny akt zwrócone oczy; dziś przebrzmiał on cicho i bez żadnego rozgłosu.

Szkoła, albo jak ją zwano urzędownie, kursa przygotowawcze, ustanowiona została z inicyatywy Wielopolskiego, jako dyrektora Komisyi oświecenia, uchwałą Rady administracyjnej Królestwa z dnia 20 września 1861 r. Głównym powodem jej założenia było to, że młodzież, która pokończyła dotychczasowe gimnazya, nie była wcale uzdolnioną do słuchania wykładów w przyszłym uniwersytecie. Kursa te zresztą nie miały być stałe i oznaczono ich trwanie na rok jeden; przyjmować miano do nich tylko takich kandydatów, którzy ukończyli gimnazya filologiczne lub realne, ale przepis ten nie był ściśle stosowany i podobnie jak niegdyś do Akademii medycznej, przyjmowano każdego, kto okazał choćby najmniejsze uzdolnienie, nie oglądając się na patenta, gdyż wiedziano, że w kraju niewiele jest takiej młodzieży, która naprawdę mogła bez przygotowania słuchać wykładów uniwersyteckich. Zapis miał się rozpocząć dnia 10 października, lekcye zaś w pięć dni potem;

rom, ale sądy austryackie nie znalazły w słowach dziennika czynu karygodnego i uwolniły powyżej wymienionych od wszelkiej odpowiedzialności.

z różnych jednak powodów otwarcie przeciągnęło się do dnia 28 t. m., to jest na jakiś tydzień przed wyjazdem Wielopolskiego do Petersburga. Odrazu zapisało się przeszło 300 uczniów, co dowodzi, jak młodzież i kraj spragniony był nauki. Szkołę pomieszczono w dawnym gmachu Instytutu szlacheckiego przy ulicy Wiejskiej, który odpowiednio przerobiono [1]). Niemało trzeba było zażyć trudu, żeby zebrać odpowiednich dla wykładu akademickiego nauczycieli. Wielopolski wzywał uczonych polskich z Galicyi, z księstwa Poznańskiego, z Rosyi i zagranicy, ale nie wszyscy chcieli porzucać posiadane i pewne stanowiska, dla niepewnej i chwiejnej karyery w Warszawie. Dziwna bowiem rzecz, ale w ogromnej większości umysłów panowało głuche jakieś, niepewne przeczucie, że to, co się robi, co buduje Wielopolski i to, co czyni przeciwne mu stronnictwo, ma przed sobą krótkie życie i jutro wątpliwe. Dzięki temu przekonaniu, większość sław polskich odmawiała przyjęcia ofiarowywanych im katedr. Głośny już w tej dobie uczony lwowski, Antoni Małecki, wezwany przez Wielopolskiego, by objął katedrę literatury polskiej z początku na kursach przygotowawczych a później w Szkole głównej, odmówił, podobno za radą Karola Szajnochy, który nie wróżył mu szczęścia w Warszawie, „bo miasto to zwodnicze, niedarmo ma w herbie syrenę“ [2]). Przybywali tylko młodsi, albo tacy, którzy służbę dla ojczyzny stawiali ponad wszystko; ale mówiąc szczerze, takich było niewielu.

Wobec tego niemałą miał trudność margrabia w uzupełnieniu ciała profesorskiego na kursach przygotowawczych i nieraz musiał brać, co się nadarzyło lub co było

[1]) Usunięto naprzykład ukryte okna, umieszczone wzdłuż górnego korytarza, a przeznaczone za rządów Muchanowa do szpiegowania rozmów i działań szlacheckiej młodzieży. (Patrz: *Aleksander Kraushar:* Siedmiolecie Szkoły głównej, 114).

[2]) Zaznaczyć tu jednak należy, że głównym powodem nieprzyjęcia przez Małeckiego ofiarowanego mu w Warszawie stanowiska była obawa, żeby rząd austryacki z braku profesora nie zwinął w uniwersytecie lwowskim katedry literatury polskiej.

pod ręką. Katedrę logiki i psychologii powierzył Kazimierzowi Kaszewskiemu, temu samemu, który nie chciał objąć redakcyi „Dziennika powszechnego,“ a którego i tym razem polecił margrabiemu Józef Korzeniowski. Wybór niekoniecznie był dobry. Kaszewski, znając gruntownie przedmiot, który miał wykładać, pozbawiony był jednak wymowy i tej lotności umysłu, która porywa młodzież za sobą i budzi w niej entuzyazm do nauki. Wykłady literatury polskiej, których nie podjął się Małecki, oddał margrabia, również za radą Korzeniowskiego, Edwardowi Siwińskiemu, młodemu literatowi, którego krytyki i studya literackie zwracały wtedy powszechną na siebie uwagę, a który w czasie powstania zbrojnego miał odegrać pewną rolę historyczną. Był to umysł bardzo zdolny, bardzo lotny, ale brakowało mu rutyny profesorskiej i wykład jego wyglądał raczej na improwizacyą, niż na ściśle naukowe badania. Umiejętności matematyczne objął Pęczarski, człowiek uczony ale zużyty już przez długie nauczycielstwo w gimnazyach. Najlepszym jednak nabytkiem był Kazimierz Plebański, Poznańczyk rodem, który wezwany przez margrabiego chętnie przyjął ofiarowaną mu katedrę historyi. Wykłady jego cieszyły się wielkim rozgłosem i wpływem na umysły młodzieży, przez ton szyderczy, przez surową krytykę i obalanie dotychczasowych powag naukowych i literackich w kraju. Jakkolwiek język wykładów był z wielu względów opłakany, przepełniony niemczyzną i prowincyonalizmami, jednakże wada ta nikła wobec pewności siebie i sarkazmu, z jakim młody profesor traktował nietylko współczesne sobie wielkości, ale i prądy przebiegające społeczeństwo polskie. Czyniąc częste aluzye do wypadków ówczesnych, Plebański gromił warcholstwo uliczne, nawoływał młodzież do pracy, do unikania pragnień wygórowanych, lał zimną wodę na głowy rozgorączkowane. Wszystkie te przyczyny spowodowały, że wykłady jego cieszyły się znacznem powodzeniem i wpływowi Plebańskiego zawdzięczać to należy, że młodzież na kursach przygotowawczych zajęła się pracą, że tradycyą tej pracy prze-

kazała Szkole głównej i sztorcem stanęła w swej całości do powstania zbrojnego.

Taki był skład ciała nauczającego na kursach przygotowawczych, których przełożonym został Augustyn Szmurło, stary, wytrawny pedagog i łacinnik wyborny. Opinia publiczna nominacye te dość dobrze przyjęła, jakkolwiek miano powszechnie za złe Wielopolskiemu, że nie powołał także do wykładów Juliana Bartoszewicza, któremu się katedra ze wszech miar należała, widząc, nie bez pewnej słuszności, w tem pominięciu jednego z uczeńszych ludzi epoki, zemstę za występowanie historyka przeciw margrabiemu w sprawie zapisu Świdzińskiego. Poza tem otwierającą się Szkołą nie zajmowano się wiele; uwaga powszechna zwrócona była w innym kierunku, i wszystko, co z kwestyą niepodległości i wypędzenia z kraju Moskali nie miało związku bezpośredniego i widocznego, nie obchodziło prawie nikogo, a jeżeli obchodziło, to tylko umysły głębsze i dalej patrzące. Opłakane czasy, niepojęte zaślepienie!

Rozpoczęcie wykładów w d. 28 października odbyło się w obecności Wielopolskiego. Pojawienie się wśród młodzieży, zebranej z różnych stron kraju, dyszącej warem rewolucyi, tego człowieka, tak oszkalowanego wtedy, zrobiło wielkie wrażenie. Przybył sam jeden, bez żadnej asystencyi urzędowej, wysłuchał z widocznem zajęciem lekcyi wstępnej Szmurły: „o zadaniu nauk akademickich“, wreszcie powstał i swym głosem niskim, silnym i dźwięcznym, przemówił do zebranych kilka słów gorących i patetycznych, tym językiem jędrnym i ciężkim nieco, jaki znamionuje wszystkie jego mowy. „Jako dawnemu uczniowi tutejszego uniwersytetu, rzekł między innemi, zdawało mi się, że zdrowy duch nauk akademickich nad nami powiewał“. „Od waszego zachowania się zawisło teraz nietylko wasze własne powodzenie, ale także w znacznej części los szkoły Głównej, którego to okazalszego gmachu miejsce to jest tylko przysionkiem, zależy także przyszłość zakładów naukowych w kraju“. „Wobec społeczności naszej spada na was zadanie rehabilitacyi młodzieży szkolnej. Władza edukacyjna

w urządzeniach swych uważa was wszędzie za młodzieńców honoru. Tuszę sobie, że takimi się okażecie, jako przykład dla innych, dla wszystkich. Aby odpowiedzieć tym żądaniom, nie potrzeba z waszej strony żadnego nadzwyczajnego wysilenia, żadnych osobnych zachodów; bądźcie tylko poprostu i sumiennie uczniami, zachowujcie wskazania i ojcowskie rady, jakie z ust szanownego tej szkoły zwierzchnika dopiero co słyszeliście, oddajcie się nauce, a z podziwieniem może sami ujrzycie, że ważne zadanie, jakie spełnić macie, są przy dobrej i szczerej woli do spełnienia łatwe i że wśród pełnienia waszego obowiązku i przez nie właśnie, zachowacie młodzieńczą swobodę umysłu i serca. Żegnam was teraz serdecznie i częściej z wami tutaj widywać się pragnę".

Czy jednak miał zobaczyć jeszcze tę młodzież, której zadatek tak pięknej przyszłości zostawiał, było bardzo wątpliwem i sam zapewne tę wątpliwość w głębi duszy żywił. Czekała go teraz daleka droga do stolicy caratu i przyszłość w tej stolicy bardzo zagadkowa. Wybierał się tam powoli i nakoniec d. 3 listopada puścił się w podróż. Przed wyjazdem Suchozanet naznaczył na jego zastępców w Komisyi sprawiedliwości kasztelana Dembowskiego, a w Komisyi wyznań i oświecenia Romualda Hubego, co było niejako wstępem do zupełnej ze wszystkich urzędów dymisyi margrabiego. Zacietrzewiony Sezostrys starał się wszelkimi sposobami dokuczyć znienawidzonemu magnatowi polskiemu. Nie pozwolił mu zabrać ze sobą urzędnika z Komisyi oświecenia, Maksymiliana Vidala, który był sekretarzem margrabiego, do którego ten ostatni przywykł i bez którego prawie obejść się nie mógł. Redaktorowi „Dziennika powszechnego" Sobieszczańskiemu, namiestnik jak najsurowiej zabronił widzenia się z Wielopolskim dla otrzymania instrukcyi [1]); z wyjeżdżającym margrabią pomieścił w jednym pociągu kolei pułkownika żandarmskiego, z po-

[1]) *Lisicki,* Le marquis II, 243.

leceniem by czuwał nad nim i do samego Petersburga go odwiózł [1]).

Nazajutrz po wyjeździe Wielopolskiego, zjawił się w Warszawie nowy namiestnik Lüders. Przybył on d. 5 listopada, o godz. 2-ej po północy i zajechał do Zamku wśród ulic pustych i głuchych. Towarzyszył mu naczelnik sztabu głównego Kryżanowski i pułkownik Czernicki, których Suchozanet wysłał był, pierwszego do Brześcia, a drugiego do Żytomierza na spotkanie Lüdersa i obznajmienia go ze stanem rzeczy w kraju [2]). Wszelako nowy wielkorządca nie wiele musiał się dowiedzieć od obu tych panów, gdyż nie odrazu objął swój urząd, ale odłożył tę czynność do dnia 8 listopada, tłumacząc się przed cesarzem, że koniecznie musi się zapoznać z osobami i położeniem [3]).

A położenie to gruntownie się zmieniło od chwili ogłoszenia stanu wojennego przez Lamberta, i oczywista rzecz, że na obznajmienie się z niem nie mogły wystarczyć te trzy dni czasu, jakie sobie naznaczył Lüders. Pozornie panował spokój i porządek; wszelkie manifestacye publiczne znikły i na społeczeństwie zdawał się leżeć postrach powszechny i senna cisza. Ale ta cisza ze wszech miar była groźną i może niebezpieczniejszą niż dotychczasowe wystąpienia tłumne. Nikt nie ubierał się teraz w krzyczące stroje, kontusze i konfederatki pochowane zostały głęboko; wieczorami wszyscy z zapalonemi latarkami chodzili. Kościoły były ciągle zamknięte, tylko w różnych porach dnia można było widzieć gromadki nabożnych, klęczące pod drzwiami i modlące się cicho i gorąco.

Tak z pozoru przedstawiało się miasto i zdawało się dla patrzących powierzchownie, że powoli wszystko wraca do porządku, że stugłowa hydra rewolucyi została na zawsze startą i zabitą. Wszelako dla tych, którzy głębiej spoglądali, którzy znali kraj, ta cisza była zwiastunem nowych

---

[1]) *N. Berg*, dalszy ciąg „Zapisek". Rozd. VIII.
[2]) Loc. cit.
[3]) Depesza Lüdersa z dnia 24 października (5 listopada).

nieszczęść, świadczyła, że wewnątrz organizmu narodowego pracują jakieś głuche, straszne siły. W rzeczy samej tak było. Przedewszystkiem z zagranicy, z emigracyi dochodziły bardzo niepokojące wieści i oznaki, mówiące o jej dążnościach i zamiarach. Odbywały się tam, dawnym zwyczajem, dwie akcye, jedna wypływająca z obozu arystokratycznego, że go tak nazwiemy, druga z pomiędzy rojnej rzeszy demokracyi emigracyjnej. W d. 2 września ukazała się w Paryżu maleńka broszura, zatytułowana „Głos z kraju“, napisana niby rzeczywiście w kraju i wystosowana do emigracyi. O ile sądzić można, głos ten wyszedł z koła, otaczającego pana Andrzeja Zamoyskiego i wzywał wychodźtwo, aby się zgrupowało pod sztandarem ks. Władysława Czartoryskiego, młodszego syna zmarłego niedawno ks. Adama. „Boć jeżeli emigracya, pisał nieznany autor, działania swoje zjednoczyć zechce około jakiegoś stanowiska osobistych zasług, niema wątpliwości, że zjednoczenie to nie nastąpi, lub nigdy trwałem być nie może; ileż to bowiem jest w emigracyi zasług osobistych? a wśród największych komuż dać pierwszeństwo? i wieluż to znajdzie się takich, którzy dać przed sobą pierwszeństwo dozwolą?“

Głos ten jednak nie znalazł uznania śród emigracyi, tej kłótliwej, rozdzielonej, niesfornej emigracyi, tych ludzi, którzy, jak mówił o nich poeta, „utraciwszy rozum w mękach długich, plwają na siebie i żrą jedni drugich“. Odezwa, którą w parę tygodni potem wystosował do emigracyi Władysław ks. Czartoryski, niepodobała się powszechnie, oburzyła wielu. W odezwie tej syn zaznaczał, że ojciec umierając, polecił mu „odpowiadać i tłomaczyć czynności kraju, bronić praw narodowych przed opinią i rządami Europy, a oraz zawiązywać i rozwijać z obcemi państwami stosunki, które Polsce dopomódz mogą do jej wydobycia się z niewoli i do jej niepodległego w przyszłości życia i działania“. Syn przejmując tę spuściznę po ojcu, tłomaczył się z powodów swego postanowienia, zastrzegał się wyraźnie przeciw mniemaniu, jakoby on i jego towarzysze chcieli się mieszać do spraw wewnętrznych narodu, gdyż

emigracya „upływem lat i przestrzenią oddzielona od kraju“, nie może znać do tyla jego stanu, potrzeb dzisiejszych i zasobów, aby nim zdolna była sterować, lub choćby tylko stanowczo nań wpływać. Usprawiedliwiał się, że nie kierują nim żadne widoki osobiste, że jest tylko „żołnierzem w szeregu narodowym“, że walczy na stanowisku jemu w obecnej chwili więcej może niż komu innemu przystępnem, że gotów jest z niego ustąpić natychmiast, „skoro tylko innych przedstawicieli poza krajem wyznaczy jawny i ukonstytuowany rząd Polski niepodległej, lub o niepodległość dobijającej się z bronią w ręku“.

Odezwa ta napisana tonem pełnym skromności, nie wywarła tego wrażenia, jakiego po niej się spodziewano. Bądź co bądź, jeżeli już tego rodzaju działanie, jakie prowadził zmarły ks. Adam, a jakie zamierzał nadal prowadzić syn jego Władysław, w tej chwili było koniecznem, o czem wszelako bardzo wątpić można było, to lepiej, że je brał w ręce człowiek, wychowany w tradycyi domu, który zawsze zajmował się wielką polityką i który w świecie dyplomatycznym umiał sobie wyrobić stosunki i poszanowanie powszechne. W kołach demokratycznych i rewolucyjnych, śród mnóstwa młodzieży, która gromadnie emigrowała do Paryża i wieszała się koło Mierosławskiego, młodzieży liczącej godziny nieomal, by „dosiąść owdowiałego siodła“, ta cicha, mrówcza, niegłośna i podziemna niejako praca dyplomatyczna, wydawała się poprostu głupstwem, zabawką, snuciem przędzy Penelopy. Zresztą, mówiono sobie, jeżeli do prowadzenia tego rodzaju działań mógł mieć pewne prawa stary książe Adam, to w żadnym razie praw tych nie posiadał młodszy jego syn Władysław, który niczem się nie odznaczył, którego mało znano i w rozum jego nie bardzo wierzono.

Krzywiono się więc powszechnie na tę odezwę i na uzurpacyą, jak ją nazwano, i nie myślano skromnych słów nowego reprezentanta polskości słuchać. Wreszcie umysły młodzieży w tej chwili czem innem były zajęte, a mianowicie przygotowywaniem się do przyszłego powstania zbroj-

nego, o którem wszyscy mówili i którego wybuch uważano za bardzo bliski. W Paryżu, dzięki staraniom i zabiegom jenerała Wysockiego, rząd pozwolił młodzieży polskiej kształcić się w szkołach wojskowych francuzkich; ale najważniejszą, najgłośniejszą i nie bez poważnego wpływu na przyszłość, była, właśnie w tej porze (w końcu września) założona, szkoła podchorążych polskich w Genui we Włoszech. W skutek tego, że w końcu 1860 r. Garibaldi zamierzał utworzyć legion zagraniczny, a właściwie polski, i dowództwo jego oddał Mierosławskiemu, mnóstwo młodzieży, emigrującej z kraju, pociągnęło do Włoch, by służyć i pierwszy chrzest ognia otrzymać pod wodzem, którego ubóstwiała i którego „zmartwychwstałym“ zwała. Gdy legia ta jednak spełzła na niczem, młodzież ta nagle znalazła się bez zajęcia, bez celu, rzucona na obcą ziemię, zdala od ojczyzny, skąd dochodziły wieści coraz gorętsze, zapowiadające burzę coraz bliższą. Wtedy to Mierosławski powziął myśl założenia we Włoszech szkoły wojskowej, w którejby młódź rzeczona, wałęsająca się i nie wiedząca co ze sobą zrobić, przygotować się mogła na przyszłych oficerów powstania. Myśl tę poparł Garibaldi, pierwsze nawet środki na ten cel z własnej dał szkatuły, a co najważniejsza, postarał się o pozwolenie u rządu włoskiego. Dla tego ostatniego projekt ten ze wszech miar był na rękę. Rosya bowiem dotąd nie uznała królestwa włoskiego i uznać go nie chciała, jako monarchii powstałej z inicyatywy i za przyczynieniem się rewolucyi czerwonej. Rząd więc króla Wiktora Emanuela w założeniu szkoły wojskowej polskiej widział jeden ze środków mogących zmusić Rosyą do tego uznania, a przynajmniej dawał sposobność do targów, w razie gdyby w Petersburgu za rzeczone uznanie w zamian czegoś zażądano. W takich warunkach dni nowo powstającego zakładu były policzone i przyszłości na prawdę nie miał on żadnej, ale o tem wcale w kołach rewolucyjnych polskich nie wiedziano, cieszono się ze szkoły i obiecywano sobie po niej bardzo wiele. Postanowiono ją pomieścić w Genui, gdzie władze miejscowe pod wpływem Ga-

ribaldiego chętnie się na to zgodziły. Garibaldi wynajął dom Bianchiettego, który mu miasto ustąpiło, urządzony odpowiednio, gdyż zwykle municypalność genueńska mieściła tu rezerwowych oficerów swoich, i tym sposobem powstała we Włoszech szkoła podchorążych polskich [1]).

Wieść o tem radośnie została powitana przez młodzież polską zagraniczną i w kraju i przez wszystkich rewolucyonistów, którzy widzieli w tem zapowiedź, że powstanie zbrojne nie jest mrzonką i że wcześniej czy później wybuchnie i wybuchnąć musi. Ale dla postawienia szkoły na nogi trzeba było pieniędzy. Mierosławski podobno dostał ich trochę od księcia Napoleona, od Marcelego ks. Lubomirskiego, bogatego pana polskiego, włóczącego się zagranicą i mieszającego się do wszystkiego; wreszcie posypały się z kraju i emigracyi składki, stosunkowo dość obfite, które pozwoliły odrazu postawić szkołę na stopę przynależną. Prócz tego rząd włoski zobowiązał się dawać na każdego ucznia 2 franki dziennie, niby na rachunek, jak mówiono, sum neapolitańskich, co stanowiło najpoważniejszą podwalinę istnienia szkoły.

Zrazu zapisało się 40 młodych ludzi, powoli jednak poczęli zbiegać się ze wszystkich stron, z kraju i z zagranicy, tak że szkoła w końcu 1861 r. liczyła blizko 120 słuchaczów. Pomiędzy nimi znalazło się bardzo wielu takich „którzy z czasem w powstaniu zbrojnem mieli odegrać mniej więcej wybitną rolę, jak Józef Olesiński, Aleksander Litich, Bolesław Kołyszko, Zygmunt Chmieleński, Lacroix, Rogiński, Wisłouch, wszystko dowódzcy w wojnie, jaką naród jeszcze raz miał stoczyć z najazdem o niepodległość. Szkoła zajmowała kilkanaście pokoi na trzeciem piętrze, umeblowanych odpowiednio. Jej dowódzcą został oczywiście Mierosławski, co mu się słusznie należało, gdyż jego staraniom i zabiegom byt swój zawdzięczała; opiekunem był Garibaldi, który podarował odpowiednią ilość broni do musztry; koni dostarczała ujeżdżalnia miejska. Nauczyciele

[1]) Rękopism p. t. „Szkoła wojskowa polska w Genui i Cuneo“.

niekoniecznie byli dobrani, ale temu zaradzić nie można było, z powodu braku sił odpowiednich. Musztrę piechoty wykładał major Władysław Englert; teoryą piechoty i tyralierki kapitan Karol Brazewicz. Baron Dulfus, Polak, kapitan gwardyi królewskiej włoskiej był kasyerem szkoły i uczył fechtunku na bagnety, Stojowski fechtunku na pałasze. Rogaliński, porucznik ułanów austryackich, wykładał tak teoryą jak i praktykę kawaleryjską. Major Waligórski b. oficer wojsk polskich, uczył matematyki; Kosiński, kapitan artyleryi rosyjskiej, fortyfikacyi polowej. Ze szkołą artyleryi obznajmiał młodzież początkowo jeden z uczniów, Michał Suzin, porucznik artyleryi rosyjskiej, ale z powodu nieznajomości wyrażeń technicznych polskich wykład był męczący i niedokładny. Zastąpił go później Zygmunt Chmieleński, także uczeń szkoły, dawniej porucznik artyleryi rosyjskiej. Ale szorstki w obejściu, przyczem domagał się koniecznie, by mu dano choć jedną armatę, na którejby mógł praktycznie uczyć kolegów, co było prostem niepodobieństwem, więc zniechęcony usunął się sam, a jego miejsce zajął sławny później Maryan Langiewicz, porucznik artyleryi pruskiej, a potem oficer t. z. gidów Garibaldiego. Wykładał słabo i monotonnie, tak że przestano uczęszczać na jego lekcye, wreszcie dla różnych wewnętrznych rozterek, które szkołę od początku jak rak toczyły, usunął się dobrowolnie. Jego katedrę, że ją tak nazwiemy, objął Zygmunt Padlewski, niemniej z czasem rozgłośny. Komendantem był niejaki Fijałkowski, b. pułkownik wojsk hiszpańskich. Musztra odbywała się zrazu na placu t. z. żandarmskim, ale gdy ten okazał się za mały, oddano na użytek szkoły plac za miastem leżący, który z tego względu był niedogodny, że trzeba było doń chodzić bardzo daleko. Młodzież była ubrana jednakowo, w popielate czamarki, takież spodnie z lampasem czerwonym i rogatywki czerwone z białym barankiem. Później ubrano ją w mundury granatowe z rabatami amarantowymi.

Sam Mierosławski wykładał strategią, taktykę i jeografią wojenną. Zwykle miewał lekcyą po męczącej mustrze,

mimo to swą wymową, swymi zwrotami, pełnymi patosu i obrazowości oryentalnej, porywał młodzież, która chciwie go słuchała i połykała nieomal każde słowo. Ale niestety! Mierosławski więcej, niż szkołą, zajęty był różnymi swymi pomysłami i intrygami. Przedewszystkiem począł budować owe osławione później wozy, przeznaczone jakoby do sieczenia nieprzyjaciela, „ostrokoły przenośne“, jak je nazywał, „niezwalczony tabor i fortyfikacyą lotną jak szarża kawaleryi, a wszystko przed sobą łamiącą jak kolumny szturmujące“. Wozy te oczywiście nic nie były warte i na śmieszność tylko z czasem naraziły Mierosławskiego, i zabawka ta nie zasługiwałaby na wspomnienie, gdyby dla niej nie marnował krwawego grosza krajowego i nie zaniedbywał szkoły.

Wszelako zajęcie się budowaniem „ostrokołów przenośnych“ mniejszą w ogólności szkodę by przyniosło, gdyby Mierosławski współcześnie z właściwemi swej naturze nie wystąpił był intrygami. Szkalując wszystkich tych, którzy nie byli wyznawcami jego teoryi, twierdził, że otoczony jest przez szpiegów, że życiu jego ustawicznie zagrażają spiski, tak ze strony nieprzyjaznych mu Polaków, jak i ajentów rosyjskich. Wśród młodzieży uczącej się i zachowującej zawsze swą gorącą wiarę w „anioła rewolucyi“, zasiał przez to ziarna podejrzeń udręczających; z pomiędzy najzapaleńszych wybrał sobie rodzaj gwardyi pretoryańskiej, w liczbie 26, którzy uzbrojeni w rewolwery grozili śmiercią każdemu, ktoby się śmiał odezwać przeciw Mierosławskiemu. Nie dość na tem, w nieustannej obawie zamachu na swe życie, Mierosławski zażądał od młodzieży, by mu dała prawo odpieczętowywania i czytania listów, nadchodzących do niej z kraju lub zagranicy. Żądanie to oburzyło bardzo wielu i rozterka do tego doszła, że znaczna część uczących się chciała rzucić szkołę, co ostatecznie groziło jej zupełnem rozbiciem. Wobec tego Mierosławski podał swój projekt pod głosowanie i taki jeszcze miał śród młodzieży urok, że większość głosów padła za projektem; ale

te burze wewnętrzne świadczyły, że kierownictwo szkoły w złych rękach leży.

Poza tem wszystkiem szkoła przedstawiała się na zewnątrz bardzo dobrze, a jej życie wewnętrzne i koleżeńskie miało na sobie charakter tego entuzyazmu i tej gorącej miłości ojczyzny, jaka cechuje wszystkie objawy tej epoki. Poczucie honoru było wysoko rozwinięte; uważano się za przednią straż przyszłej wojny o niepodległość, za pierwszy hufiec, który ma iść w ogień i pod kule wroga. Nazwisko każdego nowoprzybywającego, oraz jego pochodzenie wywieszane było na tablicy w kordegardzie przez parę tygodni, ażeby każdy je widział i w razie, jeżeli były jakie zarzuty, publicznie je wygłosił [1]). Pomiędzy sobą nowi podchorążowie polscy zachowywali wysoko posunięte koleżeństwo i braterskość; Mierosławski i Garibaldi był ich bożyszczem, jak wszystkiej młodzieży tych czasów [2]). To

[1]) Życie było dość skromne. „Rano o 6-ej, opowiada jeden z uczniów (Józef Wielobycki), dawano herbatę lub kawę i chleb biały; o godz. 11-ej na drugie śniadanie makaron gotowany lub zupę; o godz. 4-ej obiad, składający się z 2-ch dań i półkwarty wina czerwonego. Kiepsko było z kolacyą, bo w cale jej nie dawano".

[2]) Jak daleko sięgał ten entuzyazm, świadczy następujące zdarzenie, które stylem nieco naiwnym, ale noszącem na sobie znamiona prawdy, opisał powyżej zacytowany uczeń szkoły. „W tych czasach, pisze on, zawitał Garibaldi do Genui; z niezmiernym entuzyazmem przyjął go naród; wystrzały armatnie w porcie zdradziły jego *incognito*. Jenerał Mierosławski wpadł zdyszany do szkoły; zagrzmiało po korytarzach: „stawać!" W pięć minut sformowaliśmy się; Sikorski, obywatel ziemski z Poznańskiego a uczeń szkoły, pochwycił za sztandar; Mierosławski z instruktorem na czele: „krok podwójny, marsz!" Czwórkami do prawego ruszyliśmy gdyby huragan; tych stu kilkunastu przedarło się jednakże przez całą procesyą włoską, złożoną ze wszystkich cechów na czele; dotarliśmy do studentów uniwersytetu, przebiliśmy sią przez nich i złączyliśmy się z Garibaldczykami, w których Genua obfitowała. Było ich kilkuset w czerwonych koszulach i czapkach. Zapchało się. Przodownicy nasi zmniejszyli krok, my dreptaliśmy w miejscu. Wysłano silniejszych na skrzydła. Od początku szedłem w pierwszej czwórce; bom wtedy miał krzepę nielada. „Naprzód, marsz!" przejmujący, gromki głos Mierosławskiego dał się słyszeć. Sunęliśmy; Niezadowolenie między

ubóstwienie, to przejęcie się ich ideami wyrazili oni w pisemku p. t. „Głos z Paryża i Genui“, które wydali w Listopadzie pod pseudonimem „Beniaminów“. Publikacya ta, pełna bombastycznych zwrotów i retoryki nadętej, co do której ci Beniamini naśladowali ślepo swego mistrza, odznaczała się nadzwyczaj ostrym i bezwzględnym sądem, oraz nieoględnem pomiataniem wszystkich ludzi, którzy nie należeli do obozu Mierosławskiego. Zwłaszcza sąd o ostatnich wypadkach warszawskich był bardzo surowy; nie oszczędzano nawet szkalowań i nie cofano się przed fałszem byle zohydzić swych przeciwników. O owej, tak w Warszawie czczonej Delegacyi, o owych czterdziestu dniach „polskich czasów“, które tak miłem i słodkiem zostały wspomnieniem w sercach tych, którzy na nie patrzyli, genueńscy „Beniaminkowie“ tak się odzywali: „zostawiła Delegacya ślady swego istnienia, wzniosła dla siebie *monumentum aere perennius,* uiluminowała miasto nazajutrz po pogrzebie pięciu zamordowanych przez carskich zbirów, ofiar, uiluminowała je w cześć imienia ciemiężcy“. Te szkalowania, w zasadzie fałszywe, ale zgodne ze sposobem pisania Mierosławskiego, były niczem jeszcze wobec drugiego zeszytu „Głosu“, który ukazał się w grudniu 1861 r. I tutaj stylem, pełnym napuszystości, gwałcąc nieraz gramatykę, młodzi „Beniaminkowie“ zapowiadali narodowi zagładę,

---

Garibaldczykami było widoczne. Kolumna nasza coraz bliżej dochodziła do ich sztandaru; tu i owdzie usiłowano nas powstrzymać i nie puszczać na front; napróżno! gdyby świder kolumna nasza dotarła do celu. Obok mnie często się wywracali Włosi, z czego byłem bardzo kontent. Pierwsza szkoła wojskowa polska powitała Garibaldiego, stojącego na ganku mieszkania, przez niego zajmowanego. Okrzyki: „niech żyje Garibaldi! niech żyją Włochy!“ rozległy się grzmiąco. Powitał nas bardzo uprzejmie, do swoich zaś rzekł: „czego chcecie? bądźcie zawsze gotowi i uzbrojeni; jeżeli powołam was, pójdźcie za mną“. Kilku naszych wraz z sztabem zostało zaproszonych przez Garibaldiego. Odwiedził on nas w koszarach, był na mustrze, zachwycony dobrą naszą znajomością regulaminu. Spożył wspólnie obiad i w nocy odpłynął, przeprowadzony tylko przez kilkunastu ze szkoły wojskowej polskiej“.

jeżeli nie posłucha ich rozkazów. „Wiosna, wołał niedouczony autor, musi zastać nas powstańcami“. „Być na wiosnę, albo nie być wcale“. „Narodzie! powstań na wiosnę, albo przepadniesz!“ Te frazesa, ten ton dyktatorski gołowąsych młokosów, nakazujących narodowi taką a nie inną drogę postępowania, wywołał we wszystkich umysłach poważniejszych i doświadczeńszych w kraju i na emigracyi żywe oburzenie. „Dziennik Poznański“, dając wyraz temu oburzeniu, napisał o „Głosie“, „organie, jak go nazwał, wielkiego Kurzyny [1]), wielkiego Mierosławskiego i zuchów, których z kraju wypędził potrosze strach, potrosze niepojęcie swych obowiązków“. „Lepiej iść na Sybir, pisał „Dziennik“, i hartować się dla przyszłości, niż zbijać genueńskie bruki i dawać ze siebie śmieszne Włochom widowisko pod kierownictwem szarlatana“.

Takie było w ogólnych zarysach położenie zagranicą, wśród emigracyi polskiej. Mówiło ono głośno i wyraźnie o gotującem się i blizkiem powstaniu, mówiło, że impuls do tego dawała głównie emigracya, że tam się przygotowywały nieszczęścia, które wkrótce spaść miały na kraj, jak plagi egipskie. To przekonanie mieli wszyscy ludzie, umiejący patrzeć na rzeczy, miał je i pan Andrzej Zamoyski. Wybuch powstania uważał on, wraz z grupą otaczających go Klemensowczyków, za klęskę straszliwą, za błąd, więcej niż za błąd, bo za zbrodnię, za ruinę pracy cichej, prowadzonej z takim mozołem przez lat trzydzieści. Sądząc, że stłumiwszy zamysły powstania wśród emigracyi, stłumi je przez to samo i w kraju, powziął on myśl, a może uległ naleganiom swego otoczenia, żeby porozumieć się z najwybitniejszemi osobistościami stronnictwa rewolucyjnego na wychodźctwie i zjednać ich dla swego, że tak powiemy, programu. Ponieważ mówić o zaniedbaniu robót powstańczych z Mierosławskim było to samo co przemawiać do głuchych, oraz z uwagi, że „wrodzony dyktator“ przez swe

[1]) Kurzyna zaprotestował później publicznie, że „Głos z Paryża i Genui“ nie jest jego organem.

postępowanie w Szkole genueńskiej coraz bardziej odstręczał od siebie młodzież, i zdawało się, że powoli traci swój wpływ na nią, więc postanowiono udać się do jenerała Józefa Wysockiego, który o tyle zyskiwał na znaczeniu pośród młodzieży, o ile upadał w jej mniemaniu Mierosławski. W tym celu późnią jesienią 1861 r., wysłał pan Andrzej do Paryża pewnego właściciela dóbr ziemskich w Radomskiem (zdaje się Stanisława Karskiego), z zupełnem pełnomocnictwem swojem do przeprowadzenia odnośnych rokowań z Wysockim. Poseł miał temu ostatniemu przedstawić rzeczywiste położenie kraju i domagać się, aby projekt powstania był zaniechany, a młodzież zajęła się nauką. Jeżeliby Wysocki się zgodził (a nie wątpiono po jego zacności i gorącej miłości dla kraju, że się zgodzi), miał dać deklaracyą piśmienną, zapewniającą pod słowem honoru, że swego wpływu użyje na zapobieżenie powstaniu i zwrócenie młodzieży do pracy, głównie zaś do szkoły podchorążych w Genui, jako najbardziej odpowiedniej ówczesnemu usposobieniu wojowniczemu tej młodzieży. Pełnomocnik pana Andrzeja w zamian za to winien oświadczyć w jego imieniu, że gotów jest podpisać zobowiązanie wypłacania na ręce Wysockiego corocznie po milionie franków na utrzymanie szkoły, i nawet zaraz złożyć z góry za pierwszy kwartał sumę 250.000 franków, w którą został przez pana Andrzeja zaopatrzony [1]).

Z taką drażliwą misyą umocowany Zamoyskiego udał się do Paryża i tam, za radą ludzi świadomych rzeczy, porozumiał się najprzód z Elżanowskim, redaktorem „Przeglądu rzeczy polskich“, człowiekiem rozumnym, fanatycznie przywiązanym do kraju i mającym duży wpływ na Wysockiego. Elżanowski uległ argumentom posła, uznał je za bardzo poważnie i wraz z nim udał się do Wysockiego. Ale ten ani słuchać nawet nie chciał o „przeszkodzeniu“, jak się wyraził, powstaniu. Odpowiadał na wszelkie dowodzenia z uporem fanatyka zaślepionego swą ideą, że powsta-

[1]) *Stanisław Z.* Porozbiorowe aspiracye polityczne itd. (wyd. 2), 293.

nie musi wybuchnąć i wybuchnie, bez względu na to czy Andrzej Zamoyski i stronnictwo konserwatyzmu zgodzi się lub nie, gdyż „młodzież polska nie umie pozwolić, aby kompromis, przez Wielopolskiego przeprowadzony, przyszedł do skutku, że więc ona pojednaniu narodu polskiego z Rosyą musi stawić przeszkodę we krwi, którą wyleje“ [1]). Na uwagę, że powstanie zbrojne nie ma żadnych szans powodzenia, że wcześniej czy później uledz musi przed potęgą militarną Rosyi, Wysocki odrzekł, że obawy te są płonne, gdyż wedle wskazówek, jakie otrzymuje od księcia Napoleona, Francya bezwarunkowo wda się w sprawę polską i potężną armią pośle na pomoc powstańcom. Dodawał, że właściciele ziemscy zamiast przeszkadzać robotom powstańczym, jeżeli szczerze kraj kochają, powinni im owszem dopomagać wszelkiemi siłami, stanąć nawet na ich czele, a fundusze, przeznaczone przez Zamoyskiego na utrzymanie młodzieży, oddać na zakupno broni.

Wobec takiej postawy kierownika młodzieży na emigracyi, człowieka skądinąd najzacniejszego i gotowego do wszelkich poświęceń dla Polski, wszelkie rokowania były niemożliwe i poseł wrócił z niczem. Że rezultat ten był bardzo gorzkim i bardzo bolesnym dla pana Andrzeja, wątpić nie należy. Wiedział on dobrze przez rodzinne swoje stosunki, że liczenie na Francyą, w tej chwili przynajmniej, jest prostem złudzeniem, gdyż Francya odosobniona w Europie, otoczona ze wszystkich stron przez nieprzyjaciół, do rzędu których nawet Włochy, niedawno jej krwią oswobodzone, należały, starała się wszelkiemi siłami o dobre stosunki, a nawet o przymierze z Rosyą. Nie mogła więc sprzyjać dążnościom polskim, a objawem tego jej usposobienia był, znany nam już, kwietniowy artykuł w „Monitorze“. W tej porze rzeczy tak samo stały jak w kwietniu, a w kilka tygodni po rokowaniach z Wysockim, na nalegania Kisielewa, posła rosyjskiego w Paryżu, policya tajemny i ścisły rozciągnęła nadzór nad emigra-

[1]) Loc. cit.

cyą polską, i zabroniła Mierosławskiemu wydawania pisma p. t. „Przegląd polski“, które chciał założyć [1]). W takiem położeniu nadzieje Wysockiego były strasznem w swych skutkach złudzeniem, i pan Zamoyski, oraz jego otoczenie, widząc to, podwójnie boleć musieli.

Wszelako może to było błędem z jego strony, że udawał się do emigracyi o zrobienie tego na obczyźnie, co właściwie w kraju zrobić należało. Nikt przecież nie mógł wątpić, że jeżeli kraj nie będzie chciał powstać, to go do tego nie zmusi ani Wysocki, ani Mierosławski, ani brząkająca szabelkami po bruku genueńskim młodzież polska. Jeżeli więc gdzie przeciwdziałać należało, rozwinąć całą energią dla stłumienia zgubnego w swych następstwach ruchu, to w samej Polsce, zwłaszcza w Królestwie kongresowem. Tu było główne zarzewie, tu tlić się już poczęły iskry, które wkrótce niestety! wybuchnąć miały wielkim i wszystko pożerającym płomieniem.

Do rozdmuchania tych iskier przyczynił się bardzo wiele stan oblężenia, zaprowadzony przez Lamberta. Przy niemożności publicznego i głośnego manifestowania się, odbywania wielkich procesyi, agitacya naturalnym porządkiem rzeczy musiała się zwrócić na wewnątrz, kryć się i działać potajemnie. Pod wpływem emigracyi i Mierosławskiego, którego wysłańcy i zwolennicy zawiązywali nieustanne komitety, umierające na drugi dzień po swem powstaniu, przy rozszerzającej się coraz bardziej organizacyi dziesiętnej, wobec obawy nakoniec, by pod naciskiem rządów militarnych agitacya całkiem nie ustała, musiała zrodzić się myśl utworzenia jakiegoś ciała zwierzchniego, któreby owładnęło siecią organizacyi i kierowało nią ku wytkniętemu celowi. „Strażnica“ już w połowie października, zapewne pod wpływem tej myśli, nie przestawała nawoływać, by „nie błąkano się, nie próbowano, nie macano“, ale że należy „iść pewnemi drogami, iść z wiedzą rezultatu“. „Jesteśmy, mó-

[1]) *S. Tatiszczew*, Russkaja diplomatia w polskom woprosie („Russ. Wiestnik z r. 1888, XI, 32).

wiła, bezbronni i bezsilni, ale są sposoby, które na pewno nigdy na klęski nie narażają, do siły doprowadzają. Sposoby te podaje nam dobrze pojęta agitacya, która opanowywa w kraju wszystko i wszystkimi kanałami podkopuje fundamenta złego zarządu“ [1]).

Była to więc myśl, która powoli, z czasem wejść miała na szeroką skalę w wykonanie, ażeby przecisnąć się z organizacyą rewolucyjną do wszystkich organów rządowych, owładnąć nimi i przez to sparaliżować zupełnie rząd najezdniczy. Myśl ta nie była jeszcze całkowicie wykształcona, ale tkwiła w zarodku w wielu głowach i olśniewała je przez to samo, że miała pewną wielkość w sobie, że uderzała olbrzymiością przedsięwzięcia i olbrzymiością skutków. To jednak ludzi ówczesnych nie przerażało. Wychowani w ciężkiej szkole rządów rosyjskich, skowani w swej energii kajdanami ucisku, teraz, gdy te kajdany się nieco rozluźniły „czuli w sobie siłę podwójną, siłę porywania się na wszystko, dokonywania wszystkiego, do czego podniecała ich jeszcze ognista, zapalna, pełna niewyczerpanego entuzyazmu miłość do ojczyzny“.

Ale chcąc tak wielkiego zadania dokonać, trzeba było, żeby cała organizacya, dotąd luźna, niekierowana przez nikogo, rozwijająca się wprawdzie bardzo szybko, ale raczej przez instynkt, przez ciekawość tajemności, przez wrodzoną niejako od lat czterdziestu dążność do spisków, niż w skutek programu ściśle obmyślanego i mającego cel jasno wytknięty, otóż żeby cała organizacya szła sfornie i karnie i z wielkim posłuchem. Chcąc taką jednolitość, taką sforność tysiącom ogniw tej organizacyi nadać, trzeba było, by na jej czele stanęło jedno lub kilka ciał nią zwierzchnie kierujących. Myśl ta parokrotnie już powstawała w głowach tych licznych przodowników agitacyi, których mieliśmy sposobność dotąd poznać, jak Godlewski, Frankowscy, Marat-Szachowski, Korzeniowski i inni, ale mimo usiłowań nie udało im się dotąd jej urzeczywistnić.

[1]) *Strażnica* nr. 10, z d. 15 października 1861 r.

Teraz gdy rządy wojskowe groziły stłumieniem zupełnem agitacyi, gdy rzuciły postrach na organizacyą, trzeba było wobec niebezpieczeństwa rozprzęgnięcia się wszystkiego coś na to poradzić i poradzić szybko.

Rewolucyonistów warszawskich podniecała do czynu jeszcze ta okoliczność, że wiedzieli oni o krzątaniu się szlachty, białych, jak ich nazywano, w celu utworzenia ciała z wyborów, mężów zaufania wojewódzkich, którzy mieli kierować krajem. Na myśl o tem, że biali mogą owładnąć Polską i doprowadzić ją do kompromisu z najazdem, oburzenie czerwonych przybierało ogromne rozmiary. Poczęły się więc między nimi narady, schadzki, projekta, ale wszystko rozbijało się o niemoc poczęcia. Mówić, gniewać się, wygadywać na białych, tworzyć manifestacye i awantury uliczne, umieli oni doskonale, ale gdy przyszło skupić się, zgodzić na jedno, wycieńczeni w jałowym samogwałcie politycznym, uczuwali w sobie brak siły rodzajnej i tej, ubóstwionej przez siebie, kochanki rewolucyi, zapłodnić nie mogli.

Ale był wówczas w Warszawie człowiek, który łączył w swym charakterze wielką energią, bezwzględność w działaniu i umiejętność wpływania na innych, przymiot we wszystkich spiskach pierwszorzędnego znaczenia. Człowiekiem tym był Ignacy Chmieleński [1]), rodzony brat wspomnianego już przez nas Zygmunta. Niski, szczupły, prawie chudy, jakby strawiony przez tlejący w nim ogień namiętności, o ponurem wejrzeniu, oczach zawsze chorych, niewymowny ale przez swe milczenie posępne onieśmielający wielu, szyderski i zjadliwy w słowach, mrukliwy i szorstki, zawsze chmurny, był wśród młodzieży gadatliwej i krzykliwej tej doby niezwykłem i wyjątkowem zjawiskiem. Syn niezamożnego dzierżawcy wsi Barcząca pod Mińskiem mazowieckim, bawił jakiś czas na uniwersytecie kijowskim,

[1]) Nie Chmieliński, jak go nazywają niektórzy. Mamy przed sobą jego, oraz brata Zygmunta, podpisy własnoręczne, mamy kopią zdjętą z nagrobka ich ojca na cmentarzu w Mińsku mazowieckim i wszędzie czytamy: Chmieleński.

na wydziale filologiczno-historycznym, ale z natury dziki nieco i nieokrzesany uczyć się bardzo nie chciał. Wówczas matka oddała go na praktykę gospodarską do dóbr Krzyszyńskich, należących do Krasińskich, gdzie dobrodusznych oficyalistów wiejskich zrażał już wtedy swymi radykalnymi poglądami na stosunki społeczne, swym brakiem wiary religijnej i szyderstwem. Później trzymał dzierżawą jakąś wioskę koło Warki, i z niej często dojeżdżał do Warszawy, zawiązując stosunki z młodzieżą, słuchając wszystkiego pilnie, patrząc się na wszystko jeszcze pilniej, milcząc ponuro i szydząc niekiedy z ludzi i rzeczy. Wyznawca teoryi Mierosławskiego, nie był jednakże człowiekiem, któryby mógł służyć za ślepe narzędzie komu innemu. Pożerała go ambicya i gorączka czynu na własną rękę; typ warchoła najgorszego gatunku, gotowego wszystko oplwać, wszędzie wnieść rozkład i zawsze chętnie chodzącego pojedynkiem, działającego osobno, poza plecami innych. Miał on swe pojęcia i swe idee, któremi z nikim się nie dzielił i nie radził się nikogo w swych postanowieniach, a co raz postanowił, to wykonać musiał. W jego twarzy chudej i żółtej, w oczach zielonych i małych, malowała się dusza namiętna i twarda, natura zacięta i niekarna. W wychowaniu Muchanowa, w uniwersytecie kijowskim, tem gnieździe rewolucyi, w tym rozsadniku najradykalniejszych przekonań i najgwałtowniejszych charakterów, urobiła się dusza Chmieleńskiego, z przyrodzenia już swego dzika i szorstka, i na dziejach tej doby położył on swoje znamię ciężkie i krwawe.

Taki to człowiek, wśród ogólnej niemocy, postanowił działać na własną rękę. Koło niego, jak zwykle koło ludzi silniejszego charakteru, wieszało się kilku innych niemniej gorąco usposobionych. Znany nam już Bolesław Dehnel, który uwolniony z cytadeli znalazł się znowu wśród wiru rewolucyi, a mając żyłkę do pisania, brał czynny udział w redakcyi „Strażnicy“ i zapewne z pod jego to pióra wyszedł wyżej zacytowany artykuł o potrzebie „dobrze pojętej agitacyi“, nie przestawał namawiać Chmieleńskiego, by tam, gdzie nikt nie ośmiela się wziąść władzy w rękę,

on ją uchwycił. Obok Dehnela znalazł się inny jeszcze człowiek to samo mówiący, niejaki Głowacki (Anastazy?), wychowaniec uniwersytetu kijowskiego, przesiąknięty na wskróś rewolucyjną atmosferą tej szkoły, która wydała najczerwieńszych, najskrajniejszych agitatorów tej doby, chłopoman, radykał z przekonań, ale cichy, małomówny, skromny, gotowy do wszelkich poświęceń, zdecydowany na wszystko. Kulawy, szczupły, jakby chorowity, miał jednak wiele odwagi gardzącej wszelkiemi niebezpieczeństwami; niezdolny do inicyatywy, ale bezwzględny wykonawca czyjegoś rozkazu, jeżeli ten rozkaz uznał za dobry i pożyteczny.

Do tej grupy ludzi, czujących gwałtowną potrzebę owładnięcia ruchem, trawionych ambicyą kierowania wszystkiem, należał jeszcze Julian Wereszczyński, niegdyś członek Kapituły i prawie wszelkich efemerycznych komitetów, wyrosłych na bruku warszawskim, niepospolicie zdolny, młodziutki chłopiec, jeden z tych umysłów lotnych, głów prawie gienialnych, jakiemi los obdarza Polskę obficie na to tylko, by się marnowały, by ginęły bez śladu i bez pamięci, ofiary okropnego, wszystko niszczącego położenia kraju. Liczył on w tej porze zaledwie 21 lat wieku i był drobnym, podrzędnym urzędnikiem w Banku polskim, gdzie dostał się jako kancelista po ukończeniu w 14 roku życia gimnazyum radomskiego. Gorący patryota, głowa otwarta ale nieco marzycielska, znajdował w Chmieleńskim tę energią czynu, której jemu brakowało, i otóż ci trzej ludzie, Chmieleński, Wereszczyński i Głowacki, zawiązali komitet [1]), który wziął sobie za zadanie owładnięcie ruchem i organizacyą tworzącą się ciągle i wzrastającą olbrzymio [2]). Kiedy

[1]) *M. P. Ustimowicz*, Zagowory i pokuszenia, 83.

[2]) *A. Giller*, Historya powstania I, 68, powiada, że inicyatywę do zawiązania Komitetu dał „pewien obywatel, przybyły z Wołynia". Mogło to być w rzeczy samej i zapewne było, że jakiś obywatel wołyński zachęcał do takiego postanowienia, ale nie można powiedzieć, jakoby inicyatywa w tej sprawie wyłącznie należała do jednej osoby. Potrzebę utworzenia jakiegoś ciała, któreby owładnęło

się to stało, trudno ściśle określić; powstawanie tego rodzaju ciał, jak poczęcie wszelkiego organizmu, kryje się w mroku tajemniczości; to pewna, że w drugiej połowie października 1861 r. komitet już istniał. W dniu 25 t. m. Dehnel pisał o tem w „Strażnicy“, w formie wprawdzie bardzo niejasnej dla niewtajemniczonych, ale doskonale zrozumiałej dla tych, którzy wiedzieli o co idzie. Pisał on, że gwałty zohydzają rząd najezdniczy i „dają narodowi możność wytworzenia czynników i form własnej organizacyi i przeprowadzenia budowy fundamentów do gmachu przyszłej niepodległości“ [1]). W kilka dni potem powrócił jeszcze raz do tego przedmiotu i wołał: „poraz drugi w tych czarnych dniach prześladowania oznajmiamy, że rozwijanie się sprawy wolności i niepodległości Polski nie zostało przerwane, że owszem z panującego ucisku sprawa ta skorzysta“ [2]).

W ten sposób powstały komitet przybrał nazwę „miejskiego“, gdyż, zdaje się, pierwotnie Chmieleński i jego towarzysze zamierzali tylko owładnąć i stanąć na czele organizacyi warszawskiej, i w programie ich leżało, ażeby każda prowincya i każde miasto wytwarzało u siebie takie zwierzchnie komitety, kierujące organizacyą danej miejscowości [3]). Nie myśleli jeszcze o tem, może wydało im się to prostem niepodobieństwem, by w tej chwili mogli zapanować nad organizacyą całego kraju, a Wereszczyński,

---

ruchem i organizacyą, zawiązującą się samorzutnie i bez żadnej kontroli, odczuwali w tej dobie wszyscy, którzy maczali, że tak powiemy, ręce w tych robotach. O taki zwierzchni kierunek nagabywany był nieustannie Karol Majewski, ale zajęty właśnie w tym czasie organizacyą stronnictwa białych, o innej myśleć nie chciał i nie uważał ją za potrzebną. Podanie więc Gillera, jakkolwiek w zasadzie może być prawdziwem, w tem jest jednak błędnem, że przywiązuje zbyt wielką wagę do zachęcań jakiegoś „obywatela z Wołynia“ wtedy, gdy rzecz ta leżała niejako w powietrzu i wcześniej czy później wytworzyć się musiała, bez niczyjej osobistej inicyatywy.

[1]) *Strażnica* nr. 11.

[2]) Idem. nr. 12 z d. 3 listopada 1861.

[3]) Z podań ustnych.

który dalej i lepiej widział, sądził, że nawet objąć zwierzchnictwo wyłączne organizacyi warszawskiej nie będzie rzeczą tak łatwą. Wszak patrzał on od kilku lat na to, jak na bruku Warszawy, w jej atmosferze gorącej unosiły się pyłki rodzajne, zalążki spisku, jak z nich rodziły się tysiączne komitety, koła, ciała różnych nazw, wszystkie z pretensyami do rządzenia krajem i umierające w kilka godzin nieraz po swych narodzinach, ginące bez wieści w chaotycznym zamęcie ruchu. Przewidywał więc, że i nowy „Komitet miejski“ skona bezpłodnie i bezgłośnie, jeżeli się nie oprze na podstawach silniejszych. Widział on, że tworząca się dyrekcya białych ma zamiar oprzeć się na wyborach, na mężach zaufania, powziął więc myśl wprowadzenia do nowego komitetu także pierwiastku wyborczego [1]). To nie przedstawiało zbyt wielkiej trudności, zwłaszcza że zakres komitetu ograniczał się na Warszawie; dość więc było zgromadzić dziesiętników i setników organizacyi i polecić im wybranie ze swego łona członków do komitetu, któryby jako zwierzchnia i naczelna władza kierował i rządził całą organizacyą miejską. Potrzeba takiej władzy dawno się już czuć dawała; wszyscy domagali się jej instynktownie niejako; rzecz więc nie była trudną i tym sposobem komitet prawnie i legalnie owładałby organizacyą miejską.

W tym celu, pewnego dnia, Wereszczyński zdołał zgromadzić u siebie, w swem mieszkaniu kawalerskiem na ulicy Świętokrzyzkiej, znaczną ilość setników i dziesiętników organizacyi, oraz wybitniejsze osobistości ostatniego ruchu. Znalazł się tam więc, znany nam już dobrze, Franciszek Godlewski, Apollo Korzeniowski, ksiądz Mikoszewski, wikaryusz przy kościele św. Aleksandra, ksiądz o niespokojnym i burzliwym charakterze, znalazło się i wielu innych, jak, głośny później szef sztabu u Jeziorańskiego, Tomasz Winnicki, jak sam Antoni Jeziorański, przyszły jenerał powstania, a teraz setnik w organizacyi rewolucyjnej;

[1]) Idem.

Witold Marczewski, inżenier na drodze żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, w parę lat potem głębokimi rysami zaznaczający się w dziejach tego niesłychanego spisku; Ksawery Norwid, brat poety Cypryana, urzędnik Towarzystwa Kred. Ziem., niedawno schwytany w czasie oblężenia kościoła św. Jana; wreszcie Karol Majewski. Znalazł się on tu także, dzięki swemu charakterowi niezdecydowanemu, który mu pozwalał zajmować się organizacyą białych i należeć do organizacyi czerwonych. Było wielu innych mniej znanych i mniej głośnych, wielu dziesiętników i setników, był oczywiście i cały nowy Komitet miejski, który już zdołał w niższych sferach organizacyi, między zapalną i gorącą młodzieżą rzemieślniczą wyrobić sobie pewne wpływy. Zebranie było bardzo burzliwe, wreszcie zgodzono się na istnienie Komitetu, jako władzy naczelnej, ale obok niej, a raczej nad nią postanowiono utworzyć jeszcze inne ciało, t. z. „Koło“, które ma powstać z wyborów, mieć władzę kontrolującą nad Komitetem, a w razie potrzeby zmieniać i mianować nowych jego członków. Właściwie więc nie Komitet miejski, ale Koło miało być zwierzchnią władzą organizacyi.

Wszystko to niepodobało się nadzwyczajnie Chmieleńskiemu, ale zwyczajem swoim mruknął coś pod nosem i umilkł chmurny, z uśmiechem zgryźliwym na twarzy, spoglądając dokoła z ukosa swemi choremi oczami; Wereszczyński przewidywał, że tego rodzaju organizacya dwóch władz wywołać musi kolizye i starcia, ale odzywał się nieśmiało wobec starszych od siebie, więc uchwała zapadła i przystąpiono do wyborów. Każdy z obecnych miał napisać odpowiednią ilość nazwisk na kartkach (zdaje się pięć) a Norwid i Godlewski obliczyli głosy [1]). Kogo wybrano wtedy, nie wiemy,

[1]) *A. Jeziorański*, Pamiętniki I, 55, mówi o tem zebraniu, ale zwyczajem swoim tak poplątał daty i wypadki, że przeniósł je na dzień 6 czerwca 1861 r. Jest to oczywistym błędem, choć sama treść relacyi jego jest autentyczną w głównych zarysach. W naszem opowiadaniu opieramy się po większej części na podaniach ustnych, bardzo zresztą wiarogodnych.

co zresztą jest mniejszego znaczenia, gdyż koło nie stanowiło nigdy ściśle ograniczonego i zamkniętego ciała i miało formy bardzo luźne. Wybrani opuszczali go, inni wcale i przez nikogo nie wybierani na ich miejsce wchodzili, należał kto chciał, każdy krzyczał i każdy rządzić zamierzał, jednem słowem powtarzało się to co we wszystkich dotychczasowych ciałach konspiracyjnych. Jeden tylko Komitet miejski, złożony z trzech zaledwie osób, rządzony przez przeważną wolę Chmieleńskiego, wiedział czego chciał i do czego dążył, i w tym chaosie stanowił istny środek i oś wszystkiego. Dzięki temu było już ciało konspiracyjne, była organizacya, był jednem słowem spisek, który zakrojony na wielką skalę miał powoli ogarnąć Polskę, jej siły skupić, pochłonąć w siebie, wyssać z niej wszystko i napoić organizm cały jadem zatrutym.

Tymczasem, gdy on się rodził gdzieś w głębiach oszalałych zaiste! i niedoświadczonych umysłów, nowy namiestnik Lüders objął swe urządowanie d. 8 listopada, i zaraz zaznaczył je surowością postępowania. Tegoż samego bowiem dnia, w nocy z 8 na 9 listopada rozkazał przyaresztować i osadzić w cytadeli głównych sprawców zamknięcia synagog żydowskich: Kramsztyka, Jastrowa, Mayzelsa, oraz prezesa dozoru bożniczego Feinkinda [1]). Rzuciło to pewien popłoch, choć z drugiej strony sama osoba nowego namiestnika budziła pełną niepokoju ciekawość, jak to zwykle bywa w kraju rządzonym despotycznie, gdzie wszystko zależy nie od prawa, ale od osób. Nie można powiedzieć, żeby Lüders ujemnie oddziałał na żywą wyobraźnię mas bezmyślnych przez swą postawę marsową i pełną męzkiej piękności, swój wąs duży i siwy, jak również przez to, że jeździł po mieście sam, bez otoczenia gromadą kozaków, jak to czynił Suchozanet, którego każde pojawienie się na

[1]) Mayzelsa, jako poddanego austryackiego w lutym 1862 r., wydalono zagranicę Królestwa z zabronieniem powrotu; Kramsztyka skazano na rok więzienia w kazamatach Bobrujska, a potem na osiedlenie w Rosyi; Feinkinda uwolniono i oddano tylko pod dozór policyi (patrz *Pawliszczew*, Siedmicy I, 52).

ulicach napełniało je rwącym wszystko trzaskiem i hukiem gromady jeźdźców, pędzących na złamanie karku. Lüders nie tylko że jeździł bez żadnego orszaku, ale owszem bardzo często ukazywał się pieszo na ulicach, zwłaszcza wczesnym rankiem, wstępował do sklepów, przypatrywał się wszystkiemu ciekawie i sam był ciekawie oglądany. W początkach odbywał liczne przeglądy wojsk, przed które wybiegał pędem, konno i witał je zuchowato, co wszystko musiało się podobać ludowi polskiemu, mającemu w sobie ducha wojskowego i lubiącemu postacie rycerskie i dzielne. Oddziaływało to także na wojsko. Namiestnik w pierwszym, jaki wydał, rozkazie dziennym polecał, ażeby muzyka wojskowa każdego popołudnia grywała przed Zamkiem, co spowodowało, że w kołach rosyjskich przestano zwać teraz siedlisko wielkorządcy „nieprzystępną Gaetą".

Miasto jednak na zewnątrz zachowało swój dawny, posępny wygląd z zamkniętymi kościołami, z czarną żałobą kobiet, obozowiskami żołnierskiemi na placach miejskich, z brakiem wszelkich rozrywek publicznych, które wynagradzano sobie obfitem spacerowaniem po ulicach z latarkami, jakie wieczorem, a jak teraz, w listopadzie, już o godz. 4-ej popołudniu noszono. Nastrój umysłów w ogólności był smutny i poważny, a aresztowania, ciągle się powtarzające, siały popłoch między tych wszystkich, którzy w czemkolwiek czuli się winnymi przeciw rządowi. Wzięto się przedewszystkiem do członków dawnej Delegacyi; aresztowano Jakóba Piotrowskiego, oskarżonego, że zbierał składki na pogrzeb poległych i skazano go w końcu na 3 miesiące więzienia w Modlinie [1]); aresztowano wszystkich członków komitetu ustanowionego dla urządzenia pogrzebu arcybiskupa Fijałkowskiego; aresztowano fotografa Bayera, głównie za to, że rozprzestrzeniał fotografie poległych, oraz fotografią Anglika Mitchela w tej postaci, w ja-

[1]) Matyas Rosen, oraz redaktorzy pism: Kraszewski, Kenig i Kucz otrzymali surowe napomnienie, żeby na przyszłość zachowywali się ostrożniej.

kiej wyszedł z rąk kozackich na ulicy Czystej; aresztowano pastora luterskiego Leopolda Otto, kupca Szlenkera, dawniej jeszcze Hiszpańskiego i wielu innych. Lüders, gdy mu ktoś zwrócił uwagę, że naprawdę niema za co karać Kramsztyka i dwóch ostatnich, odezwał się z pojęciem prawdziwego jenerała rosyjskiego, że „szewc, kupiec i żyd nie powinni się mieszać po polityki“ [1]). Na ulicach już nie pojawiali się chłopcy sprzedający zakazane pisma i druki, gdyż zaraz ich chwytano. Na miasto i na prowincyą, gdzie także dokonano bardzo wielu aresztowań, padł popłoch ogromny; nikt nie był pewny jutra. Słusznie też do pewnego stopnia wobec tych aresztowań zaznaczała „Pobudka“, że wszelka lojalność względem rządu „jest zbrodnią w oczach zbirów“. „Buntownikami są ci, mówiła, co zbyt łatwowiernie wierzyli carskiemu słowu, chcieli przyjąć na seryo nadane instytucye, a występując legalnie występowali jawnie; buntownikami jest młodzież, która nieraz niestety! przyczyniła się do utrzymania stanu umówionej legalności“ [2]). Był to wyrzut skierowany przeciw tym wszystkim, którzy za czasów Delegacyi warszawskiej używali do spokoju i porządku i „najgorliwszych patryotów oddawali w ręce policyi“, jak się zgryźliwie cytowane pismo wyrażało. „O zgrozo! (kończyło ono z szyderstwem) w Warszawie stronnicy porządku i legalności dostają się do kozy!“ Z tego taki wniosek należało wyprowadzić, że z rządem rosyjskim nie trzeba się wdawać w żadne legalności, ale spiskować i walczyć przeciw niemu na każdym kroku.

Dla sądzenia aresztowanych i przeprowadzania śledztwa ustanowiono nadzwyczajną komisyą śledczą w cytadeli, prezesem której mianowano, głośnego ze swych czynów w Płocku, satrapę Rożnowa. Ale że koń uderzeniem kopyta złamał mu rękę właśnie w tym czasie, więc miejsce Rożnowa zajął, znany nam już naczelnik kancelaryi namiestnika, radca tajny Kazaczkowski. Jenerał-

[1]) Die Vorläufer des pol. Aufstandes, 159.
[2]) *Pobudka* nr. 3, z d. 1 grudnia 1861 r.

gubernatorstwo warszawskie po Gerstenzweigu objął Kryżanowski [1]), człowiek jak najgorszych instynktów, należący z przekonań do stronnictwa niemiecko-rosyjskiego ultrareakcyonistów, wierzący tylko w pięść i surowe rządy wojskowe. Rozwinął on gwałtowny terroryzm w kraju, chwytał winnych i niewinnych i osadzał ich w cytadeli, gdzie tajne sądy rozpoczęły prawdziwe swe saturnalia. Dopomagał mu w tym względzie oberpolicmajster Piłsudzki, który oburzał się na to, że „ludzie chodzą sobie po ulicach Warszawy, jakby stan wojenny wcale nie istniał“ [2]), a podwładnej sobie służbie policyjnej wyznaczał nagrody, jeżeli więcej osób przyaresztowała na mieście, zwłaszcza wieczorem za nieposiadanie zapalonej, lub za zgaszoną przez wiatr latarkę.

Kryżanowski do czasu swego przybycia do Warszawy, polecił sądom wojennym, ażeby wyroków swoich nie wykonywały, ale czekały z tem aż do jego zatwierdzenia. Wiele więc osób siedziało dalej w ponurych celach cytadeli, oczekując na to zatwierdzenie, z którem Kryżanowski się nie śpieszył wcale, akta śledcze kazał przeglądać powtórnie, przesyłać je do różnych komisyi, protokóły po raz drugi spisywać, jeszcze raz sprawę sądzić, aż wypadł w końcu wyrok nowy, o wiele surowszy od pierwszego, o co głównie chodziło jenerał-gubernatorowi. Zresztą same sądy wojenne w wyrokowaniu swojem kierowały się nie stopniem winy oskarżonego, ale jego stanowiskiem społecznem. Głównie zajmowało je owe braterstwo żydów z Polakami, które w ostatnich wypadkach tak ostentacyjnie manifestowano wszędzie i zawsze, gdzie tylko znalazła się potemu sposobność. Sędziowie, podejrzewając wszędzie spiski, ściśle określone stowarzyszenia, przekonani byli, że owe braterstwo jest wynikiem jakiegoś kompromisu między

[1]) Pierwotnie Lüders pragnął, by mu dano na jenerał-gubernatora, dawnego jego szefa sztabu, jenerała Niepokojczyckiego, Polaka, jednego z najlepszych administratorów wojskowych, ale ten odmówił.

[2]) Die Vorläufer, loc. cit.

przedstawicielami różnych wyznań w kraju, jakiegoś spisku tajnego, mającego cele sięgające daleko, i że muszą się gdzieś znajdować odpowiednie dokumenta piśmienne takiej konspiracyi. Nie przypuszczali oni wcale, nie wierzyli temu, żeby braterstwo z żydami było wynikiem czystej idei, która zrodziła się, dojrzała i wydała owoce bez żadnych spisków i propagandy tajnej. Aresztowanym, zwłaszcza tym osobistościom, które w tem braterstwie zademonstrowały się najwyraźniej, jak np. rabinowi Mayzelsowi, pastorowi Otto, Szlenkerowi, polecali pisać obszerne referaty w kwestyach, które z właściwem śledztwem nie były w żadnym związku. Mayzels więc musiał odpowiadać na pytanie: „dla czego żydzi, prześladowani przez fanatyzm religijny Polaków, nie uciekli się do pomocy rządu?“; Otto miał rozwiązać zadanie: „jakich protestanci spodziewali się korzyści z braterstwa z katolicką większością kraju?“; Szlenker dostał temat: „kiedy to braterstwo powstało i kto najbardziej w tej sprawie był czynnym?“ W ogóle kwestya ta mocno leżała na sercu sędziom rosyjskim; każdy papier, każdy świstek, dotyczący tego przedmiotu, poddawany był jak najściślejszemu śledztwu [1]), i gdy nie mogli wykryć istotnego spisku, bo go tu nie było, wpadali w zdumienie i gniew niepohamowany.

---

[1]) Loc. cit. 162. Autor przytacza takie zdarzenie. Tłumacz przy sądzie wojennym, osławiony Jakób Tugendhold, żyd i cenzor, składając temuż sądowi raport szczegółowy o papierach hebrajskich, zabranych u rabina Mayzelsa, zwrócił uwagę na próżną kopertę, na której pieczęć miała we środku wyobrażenie krzyża. Krzyż, pisał tłumacz, wskazuje, że wysyłającym list był ksiądz katolicki, a o czemże mógłby pisać duchowny katolicki do swego żydowskiego kolegi, jak nie o braterstwie wyznań? Mayzels, wezwany przed komisyą śledczą, musiał się tłomaczyć skąd, od kogo i co zawierał ten list? Niestety! nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć tej okoliczności, ale na szczęście, przyglądając się bliżej kopercie i pieczęci, przekonał się, że nie przedstawia ona krzyża, ale kotwicę i że list pisał do niego jakiś kupiec. Takie to drobne i śmieszne sprawy zajmowały nieraz po całych dniach komisyą śledczą, świadcząc o nizkim jej poziomie umysłowym i o wyraźnej dążności dręczenia więźniów.

Najważniejszą jednak w tej chwili i najgłośniejszą była sprawa księdza Białobrzeskiego, administratora archidyecezyi warszawskiej. Kościoły były wciąż zamknięte, a choć w niektórych odbywały się ciche nabożeństwa [1]), wszelako na zewnątrz, dla nieświadomego rzeczy przedstawiały się one jako całkiem puste i głuche. Sprawa ta w ogóle drażniła mocno rząd, a choć Suchozanet w czasie swej krótkiej, parutygodniowej władzy sądził, że „zamknięcie kościołów nie przedstawia dla rządu żadnego niebezpieczeństwa, gdyż nie znalazło sympatyi u ludu i depopularyzuje duchowieństwo“ [2]), w szelako w sferach, umiejących lepiej patrzeć na rzeczy, inaczej sądzono. Fakt bowiem zamknięcia kościołów, rozgłoszony przez dzienniki, wywarł wielkie wrażenie na Europę; wiedziano tam, że duchowieństwo polskie uciekło się do tego środka w skutek najścia na kościoły wojska; wszędzie surowo ganiono gwałt i przedstawiano rząd rosyjski jako dziki, pastwiący się bezlitośnie nad Polakami. Zwłaszcza dzienniki katolickie powtarzały nieustannie swe żale i wzywały świat ucywilizowany do nowej krucyaty przeciw barbarzyńskiej i schizmatyckiej Moskwie.

Dla tego też z Petersburga ciągle nalegano na Suchozaneta, by drażniącą tę sprawę załatwił; by Białobrzeskiego, jako niezatwierdzonego przez rząd na stanowisku administratora archidyecezyi, ze stanowiska tego usunął i nowy wybór zarządził. Suchozanet swoim zwyczajem zwlekał i pocieszał się tem, że „zamknięcie kościołów nie znalazło w ludności współczucia“. Rząd zaś, usuwając Białobrzeskiego, zaprzeczając legalności jego wyborów, zaprzeczał tem samem legalności zamknięcia kościołów; nie będąc

[1]) Nabożeństwa za pomyślność ojczyzny odbyły się np. dnia 18 paźdz. u Karmelitów na Lesznie, d. 22 u Augustyanów i Bernardynów, d. 23 u Dominikanów, d. 25 znów u Bernardynów, tegoż dnia u Karmelitów na Krak. Przed., d. 27 u Franciszkanów i t. d. Zwykle dostawano się do kościoła bocznemi drzwiami, główne wejście było zamknięte.

[2]) Depesza nr. 291 z d. 1 listopada (20 paździer).

bowiem administratorem, Białobrzeski nie miał prawa nakazywania takiego kroku. Komisya Wyznań i Oświecenia publicznego w tym względzie powoływała się na artykuł 12 konkordatu z r. 1847, gdzie najwyraźniej było powiedziane, że „nominacye na wyższe posady mogą mieć dopiero miejsce za wspólnem porozumieniem się cesarza rosyjskiego i papieża". Białobrzeski więc, ściśle mowiąc, nie był administratorem legalnym, i ta okoliczność była dla rządu punktem wyjścia, którego oburącz uchwycić się postanowił. Cesarz więc domagał się nieustannie, by Białobrzeski został aresztowany, osadzony w cytadeli i oddany pod sąd polowy, i gdy z tem zrazu tak Suchozanet jak i Lüders zwlekał, depeszą z dnia 12 listopada, przez zwykłe swe „trebuju" nakazał aresztowanie prałata, przyczem dodawał: „mam nadzieję, że wybór na jego miejsce dokonany zostanie z należytą ostrożnością" [1]).

W skutek tego rozkazu, tej jeszcze nocy, według barbarzyńskiego obyczaju rosyjskiego, przyaresztowano Białobrzeskiego. Policyanci i żandarmi, zebrani w znacznej liczbie, wpadli o godz. 2-ej w nocy do mieszkania siedemdziesięcioletniego starca, wywlekli go z łóżka i, przetrząsnąwszy wszystko zawieźli do cytadeli. Wieść o tem nazajutrz dość przykre na miasto wywarła wrażenie, ale popłoch był tak wielki, że nikt nie tylko nie myślał o urządzeniu z tego powodu nowej manifestacyi, ale nawet mówiono sobie o nowym tym gwałcie pocichu i na ucho, w obawie, by liczni sąsiedzi policyjni nie pociągnęli za zbyt śmiałe wyrażenia do odpowiedzialności. Przytem Lüders nazajutrz, pod pozorem przeglądu wojsk, rozwinął na placu Ujazdowskim znaczne siły i prawie przez cały dzień przeprowadzał je po ulicach, pewny, że taka gotowość wojenna zamknie usta wszystkim.

---

[1]) Depesza z d. 12 listop. (31 paździer.). Brzmi ona tak w oryginale: „sożaleju wiesma, czto cerkwi jeszczo nie odkryty. Trebuju, cztoby Białobrzeskij był arestowan i predan sudu. Nadiejus czto wybor na jego miesto budiet zdielan z dołżnoju ostorożnostiu".

Jakoż milczano, a tymczasem rząd rozpoczął znowu pertraktacye z duchowieństwem o wybór nowego administratora. Na kilka dni przedtem Rada administracyjna Królestwa, opierając się na wspomnianym art. 12 konkordatu, nie potwierdziła elekcyi Białobrzeskiego, a tem samem unieważniła go zupełnie. W dniu zaś aresztowania tego ostatniego Komisya wyznań uwiadomiła o tem Dekerta, jako sufragana i dziekana kapituły warszawskiej i poleciła mu zarządzić nowe wybory. Dekert właśnie wtedy zapadł na ciężką chorobę, która go w kilka dni później do grobu zawieść miała, rozdrażniony mocno i w przewidywaniu bliskiej śmierci nie widzący zapewne powodu oszczędzania rządu, zaraz nazajutrz po aresztowaniu Białobrzeskiego, a więc d. 13 listopada, odpisał Komisyi wyznań, że „pomimo niezatwierdzenia przez Radę administracyjną wikaryusza kapitularnego, tenże władzy przelanej na niego przez kapitułę nie utraca, a kapituła, przelawszy raz odziedziczoną po śmierci ś. p. arcybiskupa władzę na osobę swojego wikaryusza, już jej w myśl prawa nie posiada do uczynienia nowego wyboru, dopóki wybrany władzy sobie udzielonej nie zrzecze się i takowej w ręce kapituły nie zrezygnuje“... „że do rezygnacyi kapituła ani go zmusić, ani też bez jego dyspozycyi kościołów otworzyć nie może. Gdy zaś ksiądz prałat Białobrzeski, prawnie obrany wikaryusz kapitularny, uwięziony został dzisiejszej nocy w cytadeli warszawskiej, kapituła, nie tracąc swego reprezentanta, ma związane ręce do wszelkiego działania“. Domaga się w końcu, by Białobrzeski został uwolniony; zastrzega się, że „rezygnacya jego, gdyby ją chciał uczynić w cytadeli, nie byłaby ważną“, i prosi rząd o przesłanie prośby kapituły do Rzymu, o naznaczenie wikaryusza apostolskiego [1]). Do odpowiedzi tej, skreślonej tonem szorstkim, dołączona była wzmiankowana prośba do papieża. Uprzedzając w niej Ojca św. o uwięzieniu kanonika Białobrzeskiego, Dekert przedstawia, że

[1]) Odezwę Komisyi wyznań i odpowiedź Dekerta opublikował „Czas“ krakowski w numerze z d. 19 listopada 1861 r.

kapituła, nie mogąc go ani skłonić do zrzeczenia się powierzonej mu władzy, ani przyjąć tego zrzeczenia, jeżeli uczynionem będzie w więzieniu, ani wreszcie przystąpić do nowego wyboru, prosi więc papieża, aby raczył wpłynąć na uwolnienie prałata, albo sam zamianował wikaryusza na administratora archidyecezyi. Komisya Wyznań pod d. 16 listopada jeszcze raz uwiadomiła Dekerta, że rząd nie uznaje wyboru Białobrzeskiego, że administrator nie może być mianowany bez zatwierdzenia rządu, że nakoniec pismo biskupa sufragana do Stolicy Apostolskiej przesłanem nie będzie.

Gdy więc rokowania piśmienne do niczego nie doprowadziły, poczęto prywatnie oddziaływać na pojedynczych członków kapituły, tak przykrą była dla rządu sytuacya obecna i gorąco pragnął jak najprędzej koniec jej położyć. W tym celu biegał i namawiał nowy dyrektor Komisyi wyznań i oświecenia, Romuald Hube, dopomagał mu zaś gorliwie znany nam już ksiądz Konstanty Łubieński, proboszcz z Rewla. Gdy jednak resztki nieuwięzionej kapituły ciągle i statecznie opierały się żądaniu przystąpienia do nowych wyborów, nie wiedziano, czy Łubieński, czy też sam Hube wyszukał gdzieś jakiś przepis kościelny, że „gdy biskup lub jego zastępca porwany został *per barbaros* i nie wiadomo gdzie się znajduje, kapituła ma prawo obrać innego na jego miejsce“ [1]). Kapituła, otrzymawszy taki dokument nie omieszkała z niego skorzystać w sposób ośmieszający władzę. Zapytała tedy „prześwietną Komisyę Wyznań“, jakim sposobem rząd nabył przekonania, że administrator został porwany przez owych *barbaros*, i jak rozumieć ową nieświadomość pobytu ks. Białobrzeskiego, o którym wszyscy wiedzą, że siedzi w cytadeli, i ostatecznie jeszcze raz zapewniała, że do nowego wyboru nie przystąpi, dopóki ks. Białobrzeski sam, dobrowolnie nie zrzecze się swego urzędu i to nie w więzieniu. Ponieważ w onych czasach nic się nie mogło ukryć przed wiadomością ogółu, więc i owi *barba-*

[1]) *Lisicki*, Aleks. Wielopolski I, 298.

ros stali się źródłem tysiąca śmiesznych konceptów i łatwych zresztą dowcipów, co w każdym razie miało ten skutek, że chwiało jeszcze bardziej i tak już mocno zachwianą powagą rządu.

Niemniej doszło do wiadomości powszechnej, w jaki sposób Dekert przyjął wysłańca namiestnika, wysokiego urzędnika, jak się zdaje znanego nam już Solnickiego, który przyszedł do sufragana z poleceniem przekonania go jeszcze raz o potrzebie wyboru nowego administratora. Było to d. 17 listopada, to jest na parę dni zaledwie przed śmiercią Dekerta. Gdy się Solnicki pokazał i gdy mówić począł, ośmdziesięcioletni starzec, chory, wychudzony jak widmo, zerwał się na łóżku i potrząsając ręką, z iskrzącymi niezwykłym blaskiem oczami, nazwał rządzących „barbarzyńcami", pytał, co uczynili w tym nieszczęśliwym kraju? że zdeptali religią, znieważyli świątynie, uwięzili kapłanów, zmusili chrześcijan do krycia się z modłami swemi, jak za czasów rozpasanego pogaństwa, i że potem wszystkiem śmią tu jeszcze przychodzić do niego z jakimiś układami! Wołał, by go pozostawiono, by mu dano skonać spokojnie! Słowa te silne, wypowiadziane głosem drżącym, zrobiły na pośle tak silne wrażenie, że zabrał się i uciekł jak najprędzej [1]). Scena ta zresztą tak oddziałała na samego Dekerta, że konał już widocznie i d. 19 listopada o godz. 1-ej po północy przeniósł się do wieczności.

Śmierć ta wzbudziła obawę w policyi, że pogrzeb zmarłego da sposobność do nowych manifestacyj. W skutek tego wydano, z wiedzą oczywiście Lüdersa, rozkaz, ażeby na pogrzebie oprócz rodziny i duchowieństwa, znajdowali się ci tylko, którzy otrzymają odpowiednie bilety. Wydawano je w biurze jenerał-gubernatora, ober-policmajstra i w Komisyi spraw wewnętrznych, a wydawano bardzo ostrożnie i tylko takim osobom, które w niczem nie były podejrzane

[1]) Rękopism współczesny. Pogłoska, jakoby tej nocy chciano aresztować Dekerta, ale ten, gdy do niego weszła policya, zerwał się z łóżka i padł jak martwy na podłogę, jest nieprawdziwą.

i które usprawiedliwiły powód swej obecności na pogrzebie. Każdy otrzymujący bilet musiał podać swe nazwisko, zajęcie i mieszkanie. Przytem liczbę tych pozwoleń ograniczono do 2.000. Rozporządzenie to, nie bardzo taktowne, oburzyło wielu, a „Strażnica“ wołała: „kondukt, uzbrojony listem żelaznym policyi, to szczyt tryumfu nieprzyjaciela, to poniżenie cieniów szanownego biskupa, poniżenie świetnej przeszłości naszej. Wróg i w tym smutnym pochodzie, chce swoją korzyść upatrzyć. Czyż do szeregu biletnych, nie przyłączy się chociażby przypadkiem jaki bezbiletowy? A wtedy czyż nie ponowią się sceny bata i bagneta?..“ W końcu wzywała, by „żaden Polak policyjnem biletem rąk nie plamił. Hańba temu, kto, zaopatrzywszy się w tę poniżającą bartę bezpieczeństwa, pójdzie za pogrzebowym orszakiem“. Zalecała wreszcie, aby każdy w chwili pogrzebu we własnym domu błagał na kolanach Boga o spokój duszy zmarłego biskupa.

Odezwa ta, oddrukowana w osobnych odbitkach i rozrzucona po mieście, zrobiła swoje. Gdy dnia 22 listopada, o godz. 1-ej po południu orszak pogrzebowy wyruszył z domu na ulicy Chłodnej, obok kościoła św. Karola Boromeusza, to oprócz sióstr miłosierdzia, idących na czele sierot i starców przez Towarzystwo dobroczynności utrzymywanych, oprócz Instytutu głuchoniemych, zakonów męskich i żeńskich, oprócz duchowieństwa nakoniec, zebrało się zaledwie paręset osób [1]). Tak więc smutno chowano w ponury dzień listopadowy jednego z najzacniejszych kakłanów polskich, gorącego choć nieopatrznego patryotę. Żal z powodu jego śmierci był powszechny; wielu się zdawało, że uniósł on ze sobą do grobu ostatnią nić, wiążącą teraźniejszość z przeszłością, z nigdy niezapomnianymi dniami sejmu czteroletniego i tych chwil uroczystych, gdy

[1]) Lüders w depeszy do cesarza z d. 23 (11) listopada donosi, że pogrzeb odbył się w zupełnym porządku, przy napływie więcej niż 2.000 ludzi. Wiadomość ta jest mylną; prawdopodobnie Lüders przypuszczał, że całe 2.000 biletów rozprzedano i na tem przypuszczeniu oparł swą relacyą.

powoływano mieszczaństwo do życia publi znego, gdy późniejszego sufragana warszawskiego trzymał cały naród do chrztu w osobie marszałka sejmu. Wszystko to minęło jak sen słodki i uroczy, a ostatni świadek tego snu kładł się do grobu, wśród najbardziej ponurych okoliczności, wśród nieba chmurnego i brzemiennego piorunami.

Tymczasem, gdy się to działo, gdy duchowieństwo warszawskie straciło ostatniego swego dygnitarza, Białobrzeski jęczał w cytadeli. Zostawiony sam sobie, usunięty z pod wpływu tej garści energicznych księży, którzy nim dotąd rządzili i kierowali, okazał się człowiekiem słabym i bez charakteru, jakim był całe życie. Zrazu trzymał się w swych zeznaniach pewnej taktyki, widocznie obmyślanej z góry, gdyż prawdopodobnie przypuszczał, że wcześniej czy później będzie aresztowanym. Stawiony przed komisyą śledczą dopiero czwartego dnia po swem aresztowaniu, t. j. d. 16 listopada, miał sobie zadanych ośm pytań, z których najważniejsze były: na jakiej zasadzie zamknął kościoły Świętojański i Bernardyński? oraz dla czego to samo zrobił z resztą kościołów? Na pytania te Białobrzeski odpowiedział, że „zamknął dwa powyższe kościoły między innemi dla tego, że nie miał lepszego sposobu dla położenia tamy śpiewaniu hymnów zakazanych, do czego oba rzeczone kościoły jak najlepiej się nadawały. Zamykając więc je, uczynił zadość woli rządu, który zabronił śpiewania hymnów patryotycznych“. W odpowiedzi tej nie było ani słówka o najściu wojska na kościoły, o oblężeniu zamkniętego w nich ludu, o gwałtownem wreszcie aresztowaniu tego ludu, co, jak wszystkim było wiadomem, stanowiło główny powód opieczętowania kościołów. Odpowiedź więc była wymijająca i niegodna ze wszech miar człowieka, który odważył się na krok tak ryzykowny, a konsenkwencyi jego uląkł się małodusznie. Na drugie pytanie odrzekł mniej więcej to samo, co w swym liście do Lamberta był zamieścił, a mianowicie, że „kościół katedralny z mocy praw kanonicznych jest matką wszystkich kościołów, które są jego córkami, dla tego więc duchowieństwo zawyrokowało,

że skoro matka cierpi, to i córki winny uledz takiemuż samemu losowi". Po tem pierwszem śledztwie, Białobrzeski, silnie zapewne wstrząśnięty swem aresztowaniem i więzieniem, zasłabł tak, że musiano na kilka dni inkwizycyą przerwać [1]).

Jakoż w kilka dni potem, gdy więzień przyszedł nieco do siebie, Komisya d. 21 listopada przedstawiła mu ustawy soboru trydenckiego, na które on w pierwszem swem zeznaniu się powoływał i domagała się, żeby wskazał taki przepis, na mocy którego zarządzający kościołem może go zamknąć. Białobrzeski natychmiast odszukał odnośny paragraf, w którym powiedziane było, że biskup ma obowiązek starać się o zbawienie dusz, powierzonych jego pieczy, że zatem powinien uciekać się do wszelkich środków, które mu mogą dopomódz do tego celu, używać wszelkich sposobów ku zwiększeniu chwały Bożej, usuwać wszystko, co jest przeciwnem czci Bożej, zwłaszcza w kościołach, jako miejscach świętych, przeznaczonych dla Jego chwały. Gdy zaś biskup nie zdoła tego osiągnąć ani prośbą, namową, nauką lub wyrzutami, to pozostaje mu jedyny środek, zamknąć ludowi przystęp do miejsca świętego. Oczywiście Komisya, jak to zresztą było do przewidzenia, nie uznała tych powodów za prawdziwe i uzasadnione, a przytem zbicie twierdzeń Białobrzeskiego było bardzo łatwem w obec jego odezw i wezwań, rozesłanych do duchowieństwa, do Komisyi wyznań i do namiestnika. W pismach tych były wyłożone całkiem inne powody opieczętowania kościołów; wreszcie Komisya, przy pomocy zapewne usłużnych księży, znalazła między ustawami kościoła katolickiego i taki przepis, który zabraniał zamykania kościołów dla powodów, przytoczonych przez Białobrzeskiego i miano nawet odszukać prawo, dozwalające aresztowania ludu w obrębie świątyni [2]).

Obrona więc była słaba i w podstawach swoich kłam-

[1]) *N. Berg*, Zapiski, roz. VIII.
[2]) Loc. cit.

liwa. W końcu Białobrzeski widząc, że sprawa jego bardzo źle stoi, napisał w d. 2 grudnia kompromitujące go w najwyższym stopniu zeznanie, świadczące o opłakanej jego słabości charakteru. Zeznaniem tem dowiódł on, że nie dorósł do położenia chwili, że swój krok stanowczy i śmiały spełnił nie z własnej inicyatywy, ale pod wpływem otoczenia. „Jak przez całe życie moje, (pisze w tym dokumencie, smutnym objawie dekadencyi charakterów ludzkich) zwłaszcza przy sprawowaniu obowiązków, jakie powierzane mi były, starałem się, aby wyższej władzy najmniejszym wyrazem nie ubliżyć, ale za ścisły osądziłem obowiązek w wyrazach malujących stan rzeczy zdarzenia zaszłe przedstawić wysokiemu rządowi, aby go nie wprowadzić w błąd, nie nasuwać mylnego zdania o wypadku a następnie i sądu o nim; odstępując zaś od treści składanych doniesień nadużywałbym położonego w sobie zaufania i zdradzał tych, którzy mi zaufali“. Po tym ustępie, skreślonym nieudolnie i w tonie nieprzyzwoitej pokory, przystępuje nakoniec do rzeczy i powiada: „wstrzymanie czasowo nabożeństwa w kościołach, nieuległych jawnemu sprofanowaniu, nie żadne inne spowodowały przyczyny, jak tylko zaprzysiężona gorliwość moja względem ścisłego wykonania powinności w rządzeniu kościołem i wiernym ludem, jaką na mnie wkładały prawa Boga i ustawy kościoła“. „Ja zostawszy przełożonym, zająć się byłem obowiązany środkami niedopuszczania ludziom grzeszyć, nie tylko dla uchronienia ich od kary, ale i siebie samego, skoro za ich grzechy i moją duszę czekała surowa przed Bogiem odpowiedzialność. Ludzie, śpiewający pieśni nienabożne, jeszcze w miejscu świętem, nie tylko nie chwalili Boga, ale go obrażali, dawali zgorszenie drugim, przeszkadzali im w nabożeństwie, nie szanowali, owszem znieważali miejsce święte, gdzie są złożone Najśw. Sakramenta, nie dozwalali jak przynależy odprawiać Najśw. Ofiary Mszy św., nareszcie sprzeciwiali się woli rządu; jednym więc czynem wiele ciężkich popełniali grzechów, czemu przeszkodzić moim było obowiązkiem, aby ich ratować i siebie. Inne łagodniejsze środki,

jako to: nauki, rady, upomnienia, strofowania już wyczerpnięte zostały przez św. p. arcybiskupa, któremu dalej prowadzić to dzieło śmierć przeszkodziła. Cóż mnie pozostawało czynić dalej? Oto przed tak niebacznymi na moje i swoje zbawienie ludźmi zamknąć na czas przybytki pańskie i dać mu sposobność zwrócenia uwagi na niewłaściwość postępowania i poprzestania grzeszyć przynajmniej w kościołach. Staję więc, według rozkazu prawa Bożego, w zgromadzeniu kapłanów mądrych, szukam w nich wsparcia, pomocy i rady, którzy ten środek jednomyślnie podają za najwłaściwszy i do wstrzymania dalszej obrazy Pana Boga najskuteczniejszy, a żadnych złych skutków za sobą niepociągający; zwłaszcza, że sam rząd do tego otworzył drogę i podał sposobność, gdy się albowiem przekonał, że zakazy, groźby i kary nie skutkują, do groźniejszych i surowszych udał się środków. Gdybym więc ja opuścił ręce i w przeszkodzeniu grzeszyć niebacznemu ludowi, zaniedbał iść za radą drugich kapłanów i swoją powinnością, zaciągnąłbym na swoją duszę odpowiedzialność... Środka surowszego, jakiego rząd użył do uspokojenia ludu, nie uważałem i nie miałem za zły, skoro sam w przeszkodzeniu obrażania Boga w kościele, również chwyciłem się surowszego". „Wyrażając w raporcie żądanie uwolnienia wszystkich aresztowanych z kościołów, nie miałem nigdy zamiaru uwolnienia od odpowiedzialności tych, którzy z powodu wykroczeń innych, gdzieindziej popełnionych, na odpowiedzialność zasłużyli; lecz chciałem wyrazić porządek postępowania w podobnego rodzaju sprawach, jaki postanowienie Grzegorza papieża wskazuje, bo tym sposobem bezpieczeństwo i swoboda kościoła ściśle zachowanąby została, a winny bez tumultu, krzyków i zgorszenia od zasłużonej skądinąd nie uwolniłby się odpowiedzialności i kary".

Wyjaśniwszy zatem sposób i, jak sądził zapewne, dostatecznie powody swego zachowania się w sprawie zamknięcia kościołów, taką prośbą kończy: „te są więc przyczyny, które za uniewinnieniem mojem do wysokiego sądu wnoszę, a które jeżeli jeszcze są niedostatecznemi, błagam,

by litość i miłosierdzie dostojnych i miłosiernych sędziów zastąpić i uzupełnić raczyła. Czcigodni sędziowie! raczcie mieć wzgląd na moją starość i osłabione już siły, wzgląd na moje chęci wypełniania wiernie obowiązków moich, co do zachowania od zguby powierzonych mojej pieczy dusz ludzkich i uchronienie siebie samego od odpowiedzialności przed Najwyższym sędzią, Bogiem! Raczcie łaskawie wspomnieć na zasadę prawa, że lepiej jest zostawić winnego bez ukarania, niźli niewinnego potępić. Przyjmijcie mnie pod swoją opiekę i obronę, a wdzięczność dla was zachowam do zgonu, Bóg zaś, który najskrytsze tajniki serc ludzkich przenika i w najpóźniejszych pokoleniach waszych błogosławieństwa swego hojnie udzielać będzie. Raczcie mnie obronić, a w każdej swojej potrzebie u Boga znajdziecie obronę. W końcu oświadczam, iż wszystkie moje zeznania i usprawiedliwienia czyniłem swobodnie i bez żadnego od kogo bądź przymusu".

Jednakże ta poniżająca prośba starca, który właśnie dla tego powinien był mniej dbać o życie, nie została wysłuchaną. Sąd wojenny zaraz nazajutrz po napisaniu ostatniego zeznania, d. 3 grudnia, skazał Białobrzeskiego, na podstawie artykułów kodeksu wojennego, na pozbawienie godności duchownej, orderu św. Anny kl. II i rozstrzelanie. Wyrok bez zaprzeczenia był bardzo surowy, to też Lüders, do którego, jako do namiestnika należało jego potwierdzedzenie, zwlekał ze swym podpisem. Cesarz d. 17 grudnia, a więc w dwa tygodnie po zapadłym wyroku, pytał się Lüdersa drogą telegraficzną, jakie powziął w tej sprawie postanowienie? [1]), na co namiestnik odrzekł, że sprawa ta ostatecznie rozstrzygniętą zostanie d. 19 grudnia, że jednak myśli karę śmierci, ze względu na wiek i chorobę skazanego, zamienić na pozbawienie stanu duchownego i wszelkich praw i zesłanie na Syberyą. Zaraz nazajutrz otrzymał rozkaz telegraficzny, ażeby wyroku nie wykonywać,

[1]) Depesza z d. 17 (5) grudnia: „telegrafirujtie, cziem ny rieszili dieło Białobrzeskago?"

a akta sprawy przesłać do Petersburga, co d. 19 grudnia uskuteczniono.

Wszystko to jednak w niczem nie zmieniło naprężonej mocno sytuacyi między rządem a klerem. Kościoły wciąż pozostawały zamknięte, udało się tylko Hubemu wymódz na biskupie unickim, że kazał cerkiew Bazyliańską w Warszawie otworzyć. Proboszcz tej parafii ks. Bazyli Kalinowski, oraz ks. Broniewski, zagrożeni przez Lüdersa konfiskatą majątku bazyliańskiego Supraśla, ustąpili i zrobili podanie d. 11 grudnia do biskupa Bełzkiego, Jana Taraszkiewicza, administratora dyecezyi chełmskiej, z zapytaniem: czy mają otworzyć rzeczoną cerkiew? Na to ks. Taraszkiewicz dał im odpowiedź d. 13 grudnia, opublikowaną zaraz we wszystkich dziennikach, w której pisał: „że bardzo źle, że księża Bazylianie warszawscy, jako należący do dyecezyi Chełmskiej, zgodzili się w tej mierze (t. j. zamknęli cerkiew) bez żadnego odniesienia się do nas i że kościół rzeczony odemknąć niezwłocznie mogą i powinni, czuwając zawsze, aby w nim nie śpiewano pieśni zakazanych.“ Tegoż samego dnia cerkiew otwartą została przy licznej asystencyi policyi; ale mimo tego, że odtąd nabożeństwo codzień się tam odbywało, nikt z ludności do cerkwi nie uczęszczał.

Otwarto również przy asystencyi policyi synagogę żydowską hasydów na ulicy Franciszkańskiej. Synagoga żydów reformowanych, tak zwanych przez motłoch: niemieckich, przy ulicy Daniłowiczowskiej, pozostawała wciąż zamkniętą.

Niemniej opublikował rząd najprzód w „Dzienniku powszechnym“ a potem i we wszystkich gazetach warszawskich cyrkularz ks. Wierzchlejskiego, arcybiskupa lwowskiego. Cyrkularz ten wywołał wielkie oburzenie z tego powodu, że wzywał duchowieństwo, aby nie dozwalało śpiewania po kościołach hymnów i pieśni patryotycznych. Arcybiskup Wierzchlejski oddawna już był źle uważany przez rewolucyonistów i przez zacietrzewionych pseudopatryotów, stąd, że jeszcze w r. 1860 zakazywał śpiewania

w kościołach hymnu Ujejskiego „Z dymem pożarów“, oraz że zakaz ten powtórzył d. 14 marca 1861 r., rozciągając go i do innych pieśni. Przypominając teraz pod d. 18 listopada podwładnemu sobie duchowieństwu swój zakaz, zabraniał jak najsurowiej „niezwykłych procesyi, uroczystego stawiania krzyżów, ozdobionych pewnemi politycznemi godłami lub napisami, przyczem w zwyczaju jest odśpiewywać pewne pieśni nowe, wątpliwego nabożeństwa, treści bardziej politycznej aniżeli religijnej.“ „Wiemy wprawdzie, pisał dalej, jak trudne i niebezpieczne jest w obecnym czasie stanowisko duchowieństwa, wiemy dobrze, iż wielki ruch umysłów falami swemi rzuca pianę aż na stopnie ołtarza, znamy nakoniec, jak ogromną siłę parcia na duchowieństwo wywierają dzienniki, lubiące się mienić tłumaczami opinii publicznej“; ale duchowieństwo ma inne zadania; „wyście powołani, wołał, do walki o wiarę a nie do kłótni politycznych, które światem miotają. Powierzona wam jest opieka nad zbawieniem wiernych, a nie załatwianie spraw świeckich. Postawieni jesteście na wysokiem miejscu, gdzie was dosięgnąć nie mogą burze tego świata, chyba, że sami zstąpicie na poziom.“

Przypomnienie to było bardzo właściwem i bardzo na czasie, gdyż jeżeli kiedy to teraz duchowieństwo polskie „zstąpiło na poziom.“ Ale najlepsze, najzdrowsze rady nie mogły mieć przystępu do głów oszalałych przez namiętności polityczne, do serc rozbolałych cierpieniem ojczyzny i widzących jej zbawienie tylko w rewolucyi. Napróżno arcybiskup Wierzchlejski napominał w swym okólniku kaznodziejów, „aby się zupełnie wstrzymywali od mięszania przedmiotów politycznych i od wzmianek tegoż rodzaju, chociażby nawet płaszczykiem religii pokrytych, i aby się zajmowali jedynie głoszeniem słów zbawienia,“ i napróżno zakazywał pieśni, napróżno słuszną robił uwagę, że „największa część ludu, nawet wyznania rzymsko-katolickiego, mały bierze udział w modłach, w których widzi górującą cechę polityczną, a skłonną do podejrzeń, może się łatwo od was odstręczyć,“ — wszystko to wrażenia

nie robiło, najoczywistsze powody dla zaślepionych nie były widzialnymi. Wielu przytem obraziło się ustępem, w którym arcybiskup przypominał, „że wysoki cesarsko-królewski rząd zakazał pod karą wielu tego rodzaju pieśni treści politycznej, któremu to zakazowi wszyscy wierni poddani Naj. Pana obowiązani są posłuszeństwo, a tembardziej księża, których świętem jest powołaniem wzywać nieustannie do posłuszeństwa dla władzy świeckiej, zwłaszcza jeżeli ta nie nakazuje nic przeciwnego ani prawu Boskiemu ani kościelnemu“.

Okólnik ten, powtarzamy, wywarł jak najgorsze wrażenie i oburzano się nań powszechnie. Wśród czerwieńców lwowskich, wśród zapaleńców wszelkiego rodzaju, których nigdzie niestety! w owe czasy nie brakowało, wrzało jak w garnku, a wreszcie to udzieliło się najspokojniejszym i najpoważniejszym skądinąd ludziom. Znalazło się zaraz kilka osób, które udały się do arcybiskupa z prośbą, by odezwę powyższą wstrzymał; lecz na wszystkie przedstawienia i zaklęcia otrzymywali jedną ciągle odpowiedź, że „w państwie katolickiem kościół powinien uczyć lud posłuszeństwa władzy świeckiej, a gdy ta władza zakazała te lub owe pieśni, te lub owe obrzędy, nie może ich władza kościelna pozwolić“.

Gdy się wieść o tem rozeszła, zebrała się w d. 30 listopada znacznie liczniejsza deputacya, z sześćdziesięciu obywateli złożona, przeważnie z osławionych później „tromtadratów“, która, przybywszy do konsystorza, w obecności członków kapituły jeszcze raz usiłowała nakłonić Wierzchlejskiego do odwołania cyrkularza, tłomacząc swoje pojawienie się „gorliwością o niepodległość kościoła“, „chęcią ratowania zagrożonej arcypasterza popularności“, i domagała się „wyjaśnień względem niepokojących o mniemanem ulęgnięciu jego reakcyjnym podszeptom wieści“. Wierzchlejski zrazu był mocno zmięszany tem tłumnem najściem i jąkając się, z widocznem wahaniem mówił, że pieśni „Boże, coś Polskę“ nie zakazywał, „gdyż ona nic przeciwnego wierze w sobie nie zawiera, ale że też równie

nie może tej pieśni do śpiewania w kościołach aprobować, najprzód już dla tego, że nie należy ona do tych, które oddawna są u nas w używaniu, lecz dopiero przed laty czterdziestu przez poetę Felińskiego do innych zupełnie okoliczności ułożona, w tym kraju (w Galicyi) aż po czasy najnowsze nigdy śpiewaną nie była, że przytem śpiewają ją dziś nie z pierwotnym, ale ze zmienionym tekstem, a mianowicie z dorobieniem nowych strof i zwrotek, i że nadto pozwolić jej nie może, jako zakazanej od rządu, ponieważ uczucia narodowości, które i on jako Polak podziela, winno powstrzymywane być w granicach obowiązków". Po tej, dość długiej dyzertacyi o pieśniach, Wierzchlejski, odzyskując zwykły sobie spokój, zauważył ironicznie, że „dzisiejszy prąd pobożności zadziwia go bardzo, gdyż dawniej nic podobnego w kraju nie widział". Odpowiedziano mu na to z niemniejszą ironią, że „jako naczelnik kościoła winien w tem upatrywać palec Boży i nie przeszkadzać prądowi tak zbawiennemu". Na to żywo odparł arcybiskup, że „Polski wyśpiewać sobie nie można". Słowa te, jakkolwiek mieszczące w sobie wiele prawdy i właśnie dla tego dotkliwe, stały się kamieniem obrazy dla wszystkich i wytworzyły Wierzchlejskiemu jak najgorszą opinią, miano zdrajcy, Moskala i zaprzańca. Posypały się teraz odezwy i listy bezimienne, wiersze, wymyślania i obelgi wszelkiego rodzaju, aż nareszcie oburzenie ogólne znalazło ujście w kociej muzyce, jaką wyprawiono w niedzielę d. 22 stycznia 1862 r. przed pałacem arcybiskupa we Lwowie.

Jeżeli atoli cyrkularz i całe zachowanie się Wierzchlejskiego wywołało takie oburzenie i rozgoryczenie we Lwowie, o ile przykrzej ono oddziałać musiało na Królestwo kongresowe, na Warszawę, gdzie rząd z tryumfem publikował w swym dzienniku tę odezwę, gdzie wreszcie ucisk i gwałty wszelkiego rodzaju, jakich dopuszczali się różni kacykowie moskiewscy, dochodziły swego apogeum. Sam Lüders, nie znając się na administracyi cywilnej, uważając się za wodza przyszłej wojny, o jakiej powszechnie mówiono, a w której Rosya miała nieść pomoc Austryi

przeciw Włochom, zajmował się tylko wojskiem, odbywał szumne i pełne wrzawy przeglądy wojsk i nudził się straszliwie w Warszawie. Nie był on nieprzyjacielem naszym, wszelkie spory narodowe nic go nie obchodziły i nie myślał wcale o patryotyzmie rosyjskim. Dość chłodny w obejściu, zwolennik wielki kobiet i przyjemności życia, nie znajdując ich w Warszawie, pogrążonej w żałobie, unikającej jak zarazy wszystkiego, co mundur nosiło, przykrzył tu sobie bardzo i naprawdę sprawami krajowemi się nie zajmował. Skorzystali z tego ci wszyscy, którzy za rządów Gorczakowa i Lamberta, pod wpływem Wielopolskiego, usunięci zostali na plan drugi, wszyscy ci karyerowicze, te odpadki rosyjskie, które przybiegały do Polski szukać pieniędzy i orderów i którzy koncentrowali się głównie w osławionej kancelaryi przybocznej namiestnika. Znaleźli się tam znowu ludzie z najgorszych czasów, którzy przypominając sobie dane tradycye paskiewiczowskie postanawiali wywrócić to, co przez rok ostatni było zbudowane. Powrócił więc zwyczaj załatwiania najważniejszych spraw w tej kancelaryi, bez udziału i wiedzy Rady administracyjnej, lub też odbywały się pokątne posiedzenia tej rady, złożone z Rosyan i bezbarwnych dygnitarzy polskich, które to posiedzenia obalały nieraz zupełnie to, co było postanowione na sesyach urzędowych [1]). W takim stanie rzeczy o rozwoju reform i ustępstw nie mogło być nawet mowy, przeciwnie widocznem było, że cofano się na każdym kroku, że reakcya bierze górę i pragnie kraj wtłoczyć w dawne kajdany paskiewiczowskie.

Najważniejszym objawem tej reakcyi było mianowanie dyrektorem Komisyi spraw wewnętrznych Aleksandra Iwanowicza Kruzenszterna, którego popierał Suchozanet i zaraz po powrocie do Petersburga, d. 19 listopada, wyjednał jego nominacyą na to najważniejsze w Królestwie ministeryum [2]). Był to wychowaniec kancelaryi namiestnika,

[1]) *Lisicki:* Aleks. Wielopolski I, 283.
[2]) Reskrypt cesarski nosi datę 20 listopada.

w której zajmował różne stanowiska od 1832 roku, syn sławnego żeglarza admirała Jana Kruzensztern, człowiek dość uczony, lubiący zajęcia literackie, korespondujący z Humboldtem, Thiersem, Guizotem, pisujący rozprawy literackie [1]), ale obok tego nielubiący Polaków i Polski i zwolennik rządzenia nią po paskiewiczowsku. Jakoż rozpoczął on od tego, że zdezorganizował i zatruł do reszty całą administracyą kraju. Za czasów Lamberta utworzono z inicyatywy Wielopolskiego Komitet specyalny, złożony z Łęskiego, dyrektora Komisyi skarbu, Giecewicza, dyrektora Komisyi spraw wewnętrznych, Płatonowa i Wielopolskiego [2]), mający się zająć oczyszczeniem, że tak powiemy, administracyi, usunięciem z niej różnych urzędników, którzy prawdziwą zakałę tej administracyi stanowili. Komitet ten przygotował listę nowych radców Rządów gubernialnych i naczelników powiatów, których miano nominować na te posady, po usuniętych poprzednio urzędnikach. Z nominacyami temi jednak na nieszczęście wstrzymano się do czasu ukończenia list wyborczych do Rad powiatowych. Kruzensztern teraz skorzystał z tego, i nie tylko że porzucił plan powyższy, ale owszem począł przyjmować na dawne posady wypędzonych łapowników i złodziei, twierdząc że padli oni ofiarą swej gorliwości i „przywiązania do rządu“. Znów więc administracya kraju zaroiła się indywiduami najgorszej reputacyi, którzy kompromitowali rząd i jaskrawo przypominali upłynione, jak się zdawało, czasy.

Tę zgubną i szkodliwą dla kraju działalność Kruzensztern wniósł także i do Rady administracyjnej Królestwa, w której z urzędu, jako dyrektor Komisyi spraw wewnętrznych zasiadał. Obok niego, wbrew zasadzie autonomii Królestwa, pomieszczono w tej Radzie jenerał-gubernatora

[1]) W r. 1837 wydał w Warszawie: „Précis du système de progrès et de l'êtat de l'instruction publique in Russie“. W rękopiśmie pozostało po nim wiele prac rosyjskich i francuskich, między któremi ma się znajdować memoryał p. t. „Obobrazowanii junosiestwa w carstwie Polskom“.

[2]) *Lisicki:* Aleks. Wielopolski I, 286.

Kryżanowskiego, co usprawiedliwiano stanem wojennym, oraz Massona, dyrektora poczt, tak że teraz, na ogólną liczbę dziesięciu członków Rady, było sześciu Rosyan, jak najgorzej usposobionych dla aspiracyi polskich i reform krajowych. Ci to panowie, gdy przyszła na stół kwestya oczynszowania, postanowili jej użyć jako narzędzia przeciw rewolucyi, zwłóczyć z jej załatwieniem, dawną niezgodę między dworem i chatą rozżarzać. Projekt ułożony za staraniem Wielopolskiego przez Komisye: skarbu i sprawiedliwości, którego opublikowanie w „Dzienniku powszechnym“ taki gniew w Suchozanecie wywołało, teraz Rada administracyjna odrzuciła. Głównie oburzano się na paragraf zapowiadający udzielanie zapomóg majątkom, które wprost przystąpią do skupu czynszów; mówiono, że kraj na takie dobrodziejstwo nie zasługuje [1]). Całe wreszcie prawo o skupie czynszów chciano obalić pod pretekstem jego uciążliwości dla włościan, co, jakkolwiek w części było prawdą, nie usprawiedliwiało jednak usunięcia zupełnego nowych ustaw. Należało je poprawić, a nie obalać. Wreszcie Rada administracyjna, całkiem przestała się zajmować sprawą włościańską, odesławszy projekt Wielopolskiego do Komisyi spraw wewnętrznych, polecając jej wniesienie swoich poprawek.

To było właśnie na rękę Kruzenszternowi, w czem chętną pomoc mu dali urzędnicy polscy, najprzód obrażeni, że sprawa taka bez nich się załatwiała, potem rewolucyjnie usposobieni i radzi z tego, że myśl znienawidzonego magnata mogą wywrócić na nic. Rozpoczęło się więc przerabianie projektu i przerabianie w punktach zasadniczych nader szkodliwie dla kraju. Margrabia chciał, i słusznie, aby umowy dobrowolne zawierane były tylko między stronami, między chłopem i szlachcicem i żeby do tej sprawy nie mieszały się wcale władze administracyjne, w razie zaś sporu, żeby takowy rozstrzygały sądy lub delegacye czynszowe, wychodzące z łona Rad powiatowych.

---

[1]) Loc. cit.

Najwyższą wreszcie instancyą miał stanowić w tych kwestyach osobny wydział Rady stanu. Tym sposobem drażliwa sprawa włościańska załatwiana była przez swoich, rękami polskiemi. To oczywiście nie mogło się podobać Kruzensztern owi i demagogicznym urzędnikom Komisyi spraw wewnętrznych, którzy jakolwiek także nie chcieli, by Moskale mieszali się do kwestyi włościańskiej, ale byli przeciwni jej rozwiązaniu teraz, gdyż, jakeśmy to tylokrotnie już powiedzieli, według ich teoryi, chłop, dziś w ten lub inny sposób obdarzony ziemią, nie będzie chciał pójść do przyszłego powstania, bo to powstanie nic mu już dać nie będzie mogło. Zapominali oni o wielkiej nauce historyi, że masy nigdy albo bardzo rzadko dają się poruszać nadzieją korzyści materyalnych; że tylko zrobić to może wielka idea, odczuta przez te masy w zupełności. Ale dla tych niedouczonych i spaczonych umysłów nauki historyi nie istniały, i dla swych przekonań gotowi byli wszystko poświęcić. Nie chcąc więc, by chłop w tej chwili był tak lub owak zaspokojony, sprzeciwiali się projektowi Wielopolskiego, zwłaszcza, że projekt ten miał swe słabe strony, przynosił on więcej korzyści właścicielowi niż chłopu. Tę słabą stronę podniesiono umiejętnie i proponowano, ażeby nie delagacye czynszowe, nie sądy i Rada stanu, ale władze administracyjne pod kierunkiem Komisyi spraw wewnętrznych decydowały w sporach między chłopem i szlachcicem; żeby ostatnią w tych sporach instancyą stanowił specyalny komitet, złożony z gubernatora, trzech radców gubernialnych i trzech członków Rady gubernialnej, i żeby temu Komitetowi nadać bardzo obszerne atrybucye [1]).

Kruzensztern korzystając ze stanu wojennego, którego utrzymanie o ile miało racyą w miastach i miasteczkach, o tyle na wsiach niczem nie było usprawiedliwione, tamował zawieranie umow o czynsze i okup prawny. Do chłopa dochodziły różne wieści, w powietrzu niejako unosiły się zwiastuny stanowczych zmian. Niechętnie więc przystępo-

[1]) Loc. cit.

wali do umów, nie chcieli robić pańszczyzny, zanosili skargi i denuncyacye na swych dziedziców. We wsi Wieliszewie w gubernii warszawskiej, dzierżawczyni miejscowa musiała uciekać z domu z obawy przed chłopami, którzy się na nią odgrażali, a nawet ją pobili. Z tego powodu władze aresztowały pięciu głównych podżegaczy [1]). Na Mazurach, w Płockiem, Przasnyskiem i Łomżyńskiem, lud, wobec rozbudzonych nadziei, odmówił płacenia podatków, aż ciężkie i niszczące egzekucye wojskowe zmusiły go do tego. W powiecie hrubieszowskim przeszło 185 wsi odmówiło płacenia okupu właścicielom. Wysłano do „buntujących się“, jak to urzędownie nazywano, kozaków i dragonów. Wieś Kryków, po żywieniu przez dwa dni całego plutonu jazdy, uległa, i okup prawny zapłaciła. W Dołohobyczowie i Hołubiu opór był dłuższy, ale i tu chłopi ulegli, a za ich przykładem poszły i inne wsie [2]). Po wsiach znów poczęło się kręcić mnóstwo podejrzanych osobistości, które podmawiały chłopów do otwartego oporu. W okolicach Olkusza uwijał się niejaki Grabowski, zaopatrzony w pasport austryacki, w broszury opisujące wypadki galicyjskie w r. 1846, wszędzie rozpowiadał, że panowie i żydzi wkrótce chłopów rżnąć będą i że należy pomyśleć o sobie. Przy schwytanym znaleziono listę wsi i miasteczek, do których się wybierał w celach swej propagandy. Władze wojskowe pod pozorem stanu wojennego odebrały Grabowskiego sądom krajowym i wraz z aktami śledztwa odesłały do cytadeli [3]). W Gostyńskiem wzburzenie między ludem poczęło przybierać groźniejsze niż gdziebądź indziej rozmiary. We wsi Lisicy, dziedzic Dobrowolski kazał d. 24 Grudnia przytrzymać chłopa, który na czele licznej bandy rzucił się na gorzelanego. W parę godzin potem cała niemal wieś, uzbrojona w kije i kosy, wdarła się na dziedziniec dworski, domagając się wydania aresztowanego. Oczywiście woli ich

[1]) *N. J. Pawliszczew*, Siedmicy I, 3.
[2]) Loc. cit.
[3]) *Lisicki*, Aleks. Wielopolski, loc. cit.

stało się zadość. Nakoniec wielkie i nadzwyczaj przykre wrażenie w kraju i za jego granicami wywarła wiadomość z tegoż Gostyńskiego, że chłop, Cichowicz nazwiskiem, zabił niejakiego Bolesława Kleniewskiego, właściciela wsi Sieraków. Jakkolwiek bliższe śledztwo wykryło, że fakt ten był prostą zbrodnią, że Cichowicz przez zemstę dopuścił się morderstwa za to, że tegoż dnia został z rokazu Kleniewskiego ocwiczony rózgami, że w ogóle wypadek ten nie był wynikiem powszechnego rozdrażnienia ludu, przecież rzucił on popłoch ogólny na szlachtę i wszyscy lękać się poczęli nowej rzezi, nowej „rabacyi“. Nie wchodzono w powody tej zbrodni, mówiono, że nie jeden chłop ale chłopi zabili Kleniewskiego i oskarżano głośno rząd, że podburza lud, by mieć z niego w danej chwili straszne w ręku narzędzie [1]).

W rzeczy zaś samej rząd bezpośrednio ludu nie podburzał, ale patrzał przez palce na nurtowania, których dokazywali po większej części różni demagodzy ze szkoły Mierosławskiego, i w niczem się nie przyczyniał do uspokojenia umysłów, owszem przez powstrzymywanie rozwiązania kwestyi włościańskiej pośrednio dolewał oliwy do ognia, powszechnemu ruchowi nadziei śród mas ludowych nie stawiał żadnej zapory. Rząd warszawski podniecany nieustannie przez gazety niemieckie, które donosiły, że powstanie lada chwila wybuchnie, że w kraju są znaczne składy broni i amunicyi, gdy tych składów nigdzie wykryć nie mógł, a powstanie nie wybuchało, przyszedł do wniosku, że najlepiej będzie to powstanie przyśpieszyć, zgnieść je przemocą odrazu i tym sposobem koniec położyć nieustannym zaburzeniom [2]). Policye tajne, których było kilka, całkiem niezależnych od siebie i nienawidzących się wzajemnie, płatały sobie figle, denuncyowały się, a wszystko to odbi-

[1]) Takie mniemanie przeszło nawet do dzieł drukowanych. *Lisicki* (Aleks. Wielopolski I, 288) powiada: „w okolicach Kutna chłopi zamordowali obywatela Klaniewskiego“, co jest fałszem, gdyż jeden tylko chłop tego dokonał“.

[2]) Loc. cit. I, 284.

jało się na kraju, na niewinnych nieraz osobach. Aresztowania w drugiej połowie listopada doszły do olbrzymich rozmiarów, tak że cytadela okazała się za małą i pomieszczano więźniów na t. z. Pawiaku. Później mówiono, że śród aresztowanych było wielu niewinnych, ale skoro już raz zostali wzięci trudno ich było wypuszczać i narażać przez to powagę i urok władzy; a że ich wysłano do Rosyi, to dla ich dobra, gdyż przez to uchroniono ich od mieszania się w rzeczy samej do spisku. Takimi to nikczemnymi wybiegami niecna policya usiłowała pokryć swe czyny.

Na prowincyi naczelnicy wojenni dopuszczali się mnóstwa krzyczących nadużyć, które uchodziły im bezkarnie, gdyż stan oblężenia nadawał im wielką władzę, a rząd na te nadużycia spoglądał obojętnie. W Opatowie na św. Marcin d. 11 listopada, na odpust doroczny, wojsko stojące na rogatkach, nie wpuszczało nikogo do miasta. Zabraniali oni jeździć na jarmarki, odwiedzać sąsiadów, przyjmować większe towarzystwo, zbierać się na polowania. W Kieleckiem naczelnik wojenny rozesłał cyrkularz do wszystkich wójtów gmin i burmistrzów, żeby natychmiast objawili mieszkańcom, że kto z nich chce obchodzić uroczystość swych imienin, sprawiać chrzciny, wesela, lub w ogóle urządzać zabawy, winien wyjednać wprzódy na to pozwolenie od naczelnika wojennego, a to pod karą odpowiedzialności przed sądem polowym [1]). W Zduńskiej woli, miejscowy kacyk naczelnik, dowiedziawszy się, że w wigilią Bożego Narodzenia odbywa się msza nocna, zwana pasterką, otoczył kościół wojskiem i przeszło 60 osób are-

[1]) Rękopism współczesny. Odezwa ta, wydana przez naczelnika cywilnego powiatu z polecenia naczelnika wojennego, brzmi: „wzywam wójtów gmin i burmistrzów miast o ogłoszenie natychmiast mieszkańcom, aby każdy z nich, pragnący obchodzić uroczystość swoich imienin, sprawiać chrzciny lub inne obchody, wyjednał na to od wspomnianego naczelnika wojennego pozwolenie na kilka dni wcześniej, nie tak jak to zrobił wójt gminy T., który w wigilią swoich imienin prosił o pozwolenie. W przeciwnym bowiem razie, winni do odpowiedzialności pociągnięci zostaną".

sztował [1]). W Warszawie ajenci którejś z tajnych policyi, poczęli w tej porze namawiać lud, ażeby tłumnie zebrał się przed katedrą i żądał jej otwarcia. Pomimo, że płacono i pojono po szynkach motłoch, manifestacya do skutku nie doszła, choć podobno kosztowała skarb około 5.000 rs. [2]).

W ogóle nowi namiestnicy nie szczędzili wcale skarbu Królestwa, którego krwawy grosz trwoniono w sposób oburzający. Skarb ten, dzięki uczciwym rządom Gorczakowa, po jego śmierci znalazł się w stanie kwitnącym i miał znaczne zapasy, które teraz wyczerpano na tego rodzaju manifestacye, na koszta utrzymania więźniów i komisyi śledczych, na pensye naczelników wojennych, na dodatki do pensyi, które dla urzędników kancelaryi namiestnika dosięgały od 250 do 500 rs. miesięcznie [3]). Wynagradzał to sobie rząd tem, że powstrzymał wszelkie wypłaty ze skarbu Królestwa duchowieństwu. Wezwawszy jeszcze raz proboszczów i przełożonych klasztorów, ażeby niezwłocznie otworzyli zamknięte kościoły, gdy otrzymał, jak się spodziewać należało, odpowiedź odmowną, rozkazał przez reskryt z d. 9 grudnia wstrzymać wszelkie wypłaty najprzód członkom kapituły warszawskiej, a d. 27 grudnia i proboszczom [4]). Jakkolwiek był to krok bezprawny, gdyż większość tych funduszów nie była rządową, ale wyłączną własnością duchowieństwa, administrowaną tylko przez skarb, wszelako można go jeszcze usprawiedliwić, ale gdy Lüders kazał wstrzymać także wypłatę procentu w wysokości 50.000 złp. jaki Kanoniczki warszawskie pobierały z magistratu za to, że odstąpiły mu niegdyś grunta i zabudowania Marynilskie, gdy zakazał opłaty komornego za wynajęty lokal na szkołę powiatową w domu, należącym do OO. Karmelitów na Lesznie, gdy powstrzymał pensyą profesorom Akademii duchownej, to już było bezprawnie i gwałt krzyczący [5]).

---

[1]) Relacya rękopiśmienna.
[2]) Rękopism współczesny.
[3]) *Lisicki* Aleks. Wielopolski I, 288.
[4]) *N. J. Pawliszczew*, Siedmicy I, 7.
[5]) Rękopism współczesny.

Aresztowania ciągle trwały i miały tę nieznośną i oburzającą cechę, że stosowano prawo wstecz i karano ludzi za przestępstwa, popełnione przed ogłoszeniem stanu wojennego. W d. 31 października przesłano z Warszawy do wszystkich naczelników wojennych cyrkularz, zabraniający jak najsurowiej przechowywania po kościołach chorągwi rewolucyjnych i innych tego rodzaju emblematów; w razie zaś oporu polecano mężczyzn oddawać do wojska, a kobiety i księży aresztować [1]). Ta liczba aresztowań nieustannych zwróciła na nie uwagę pism zagranicznych, które poczęły w mocno przesadzonych barwach je przedstawiać i wołały, że „cała Polska jest dziś jednem więzieniem“. To zmusiło rząd do ogłoszenia w „Dzienniku Powszechnym“, d. 28 grudnia, że liczba aresztowanych dotąd nie przechodzi cyfry 250 osób, czemu nikt nie wierzył. Jakoż że cyfra ta nie była dokładną, świadczy ta okoliczność, że w kilka dni potem ogłoszono listę imienną aresztowanych, oraz wyroki, jakie na nich zapadły, i lista ta wynosiła tylko 143 nazwiska, co niejako przekonywa, że pierwsza lista była albo za dużą albo za małą, a w każdym razie niedokładną. Nie pomieszczono w niej przytem żadnej wiadomości o losie takich ludzi jak Szlenker, Hiszpański i inni, których całe miasto znało i całe miasto wiedziało o ich uwięzieniu. Ludzie świadomi rzeczy, znacznie wprawdzie później, wykryli

[1]) Do rzędu takich fałszów należy historya z Nepomucenem Kurowskim, znanym pisaniem w zakresie rolnictwa i weterynaryi. Pod nr. 83, ogłoszonej w „Dzien. Pow.“ listy, napisano o nim, że jako poddany pruski został wysłany zagranicę ze wzbronieniem powrotu do Król. Polskiego. Tymczasem miało się pokazać, że tenże Kurowski, aresztowany w Warszawie d. 11 maja 1861 r. a więc na pięć miesięcy przed ogłoszeniem stanu wojennego, w kilka dni potem na Syberyą wysłany został; że d. 5 kwietnia 1862 r. a więc blisko po rocznej podróży, przywieziono go do Tobolska, a stąd do Omska, gdzie na 8 lat ciężkich robót był skazany. Druga podobna historya dotyczy ks. Hilarego Kozierowskiego, bernardyna z Lublina, który według listy miał być wysłany do Rosyi na mieszkanie, a tymczasem miał się znajdować w Orenburgu w więzieniu. (Die Vorläufer des poln. Aufstandes, 165).

prócz tego w tej liście liczne fałsze, które jakkolwiek może nie zawsze były fałszami, wszelako w większości wypadków dowodziły one, że rząd jak zwykle kłamie, i ani w swych postępkach, ani w słowach swoich prawdą się nie kieruje, a tem samem nie może wzbudzać ku sobie żadnego zaufania.

Pod naciskiem tych saturnalii wojennych, kraj zdawał się być zupełnie cichym i spokojnym. Ale jak wiemy był to spokój pozorny tylko. Pomijając to, że wewnątrz organizmu narodowego nurtował już na wielką skalę spisek, ujęty w dobrze obmyślaną organizacyą, na zewnątrz od czasu do czasu ukazywały się objawy, świadczące do jak wielkich rozmiarów dochodziło wzburzenie umysłów. Właśnie teraz, w połowie listopada, do wiadomości ogółu doszło heroiczne, jak mówiono, zachowanie się Konsystorza kaliskiego. Rzecz tak się miała. Naczelnik powiatu kaliskiego, na mocy przepisów stanu wojennego, wezwał dnia 29 października Konsystorz o wydanie polecenia do duchowieństwa, aby nieodprawiało żadnych procesyi, oraz żeby żądało od naczelnika wojennego, za każdym razem osobno, pozwolenia na odpusty. Na to Konsystorz przez odezwę z d. 31 października wyraził najprzód „zdziwienie“, a potem tonem namiętnego podrażnienia odrzekł, że „podobne rozporządzenia nie są zgodne ani z wolnością religijną, ani z powagą władzy“, że „Konsystorz od naczelnika wojennego, jako władzy sobie równej, żadnych rozkazów przyjmować nie może i nie będzie, że „naczelnik wojenny nie może, według swego widzimisię, kościołami rozrządzać, ani odpustów udzielać“, że „on i wszelkie władze w kraju, cywilne i wojskowe mogą tylko zajmować się porządkiem po ulicach i szynkach a nie w kościołach“, że zatem Konsystorz nie może i nie będzie nakazywał duchowieństwu odprawiania procesyi i odpustów. Współcześnie przez cyrkularz do duchowieństwa, konsystorz polecił mu, ażeby procesye, odpusty i t. p. dalej, tak samo jak dotąd, odbywało [1]).

[1]) Obie te odezwy, jakkolwiek w swoim czasie w pismach polskich zagranicznych drukowane, jednakże mało znane i trudne do odszukania, pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod nr. 11.

Zbliżająca się rocznica powstania listopadowego mocno niepokoiła Lüdersa, który obawiał się jakiej wielkiej manifestacyi. W sam dzień 29 listopada donosił z radością cesarzowi, że nie widać wcale, by czyniono jakie w tym celu przygotowania, a nazajutrz pisał: „dzień wczorajszy przeszedł spokojnie, nie próbowano wcale obchodzić go uroczyście“. Ten niepokój z początku, a później te doniesienia przekonywują, że pomimo licznych tajnych policyi, namiestnik jak zwykle był źle poinformowany o tem, co się dzieje w kraju. Od kilku bowiem dni obiegała po całej Warszawie i kraju odezwa drukowana, która polecała „największe narodowe święto“ uczcić w ten sposób, że „zebrani u ogniska domowego w gronie rodziny, przepędzimy tę uroczystość na rozpamiętywaniu wielkiego narodowego aktu“; zalecała, aby „ojcowie rodzin, gospodarze, majstrowie i zwierzchnicy zgromadzili koło siebie czeladkę i podwładnych i wytłomaczyli im znaczenie obecnej pamiątki. Uroczysta cisza powinna zapanować w całem mieście i pokazać wrogom, że umiemy być w danym razie cierpliwi, a zawsze rozważni i wytrwali. Każda nowa ofiara w tej chwili byłaby zbytkiem, a więc grzechem“.

Jakoż zadość się stało tajnej odezwie. W Warszawie ulice w dzień ten opustoszały, wychodził tylko ten kto musiał, lub dla którego wszelkie obchody były obojętnymi. Wieczorem zwłaszcza, miasto zwykle bardzo ruchliwe, przerażało nieświadomych rzeczy nagłą ciszą i pustką. Wiele kobiet w dzień ten pościło, a pieniądze zaoszczędzone obracały na t. zw. „pożytek ojczyzny“. Na prowincyi tu i owdzie odbywały się nabożeństwa, oczywiście potajemnie i bez rozgłosu. W Ks. Poznańskiem dzień ten obchodzono bardzo uroczyście. Wszędzie po kościołach odprawiano modły, a ludność wstrzymała się od pracy. W Krakowie ukazała się odezwa drukowana, zapowiadająca uczczenie rocznicy powstania. „Winniśmy, brzmi ona, podziękować Bogu, że nie usnęliśmy w niewoli, jak tyle innych narodów“, że „mimo wiekowego ucisku i tylu zawodów, płonie coraz jaśniej w duszach naszych święty ogień miłości ojczyzny

i swobody". Zapowiedziano więc nabożeństwo w kościele Maryackim i nakazywano, aby zaraz potem rozejść się do domów, i „w spokoju, ciszy i poważnie zakończyć ma się ten w dniach niewoli obchód rocznicy powstania, które upadło przez nasze i ojców naszych winy". Polecono również na ten dzień zdjąć żałobę narodową.

Na emigracyi, zwłaszcza w Paryżu, doroczny ten obchód przybrał tym razem cechę bardziej uroczystą niż zwykle. Na cmentarzu Montmartre, w szczupłej kapliczce cmentarnej odprawił mszę znany nam już ks. Paweł Kamiński, który niedawno zbiegł z kraju. Było oczywiście kilka mów, odpowiednich okolicznościom. W kościele Assomption, ks. Kajsiewicz miał kazanie przepełnione gorącym patryotyzmem, a w kościele św. Genowefy ks. Rożański. Po południu odbyło się zebranie w Bibliotece polskiej i doroczne zebranie Towarzystwa historycznego, na którem Barzykowski, niegdyś członek Rządu narodowego, późniejszy historyk powstania listopadowego, mówiąc o nowym prezesie towarzystwa, księciu Władysławie Czartoryskim, odezwał się, że „może Bóg da, że książe Władysław skołataną nawę ojczystą do portu zbawienia doprowadzi", co wielu oburzyło. W licznych miejscach zbierano składki na młodzież uczącą się w Genui. W Angers, Polacy wystosowali adres do Franciszka Smolki, prosząc go, „by raczył przyjąć od rodaków na wygnaniu największą wdzięczność i najszczerszy szacunek".

W Londynie odbył się w dniu tym mityng publiczny, na który zebrało się wielu Polaków i jeszcze więcej Anglików, i uchwalono podać petycyą do parlamentu, w której domagano się, aby Anglia powstrzymała wypłatę Rosyi dawnego długu holenderskiego, „dopóki Rosya nie dopełni warunków, poprzysiężonych w traktacie wiedeńskim i Królestwu Polskiemu nie przywróci jego konstytucyi i odrębnej administracyi, a zabranym prowincyom wszystkiego tego, do czego się traktatem zobowiązała".

Tak w ogólności obchodzono wielką bez zaprzeczenia pamiątkę narodową. Ale to co czyniono lub mówiono na

emigracyi, w zaborach pruskim i austryackim, mniejszą miało wagę wobec poważnego zachowania się Warszawy. Zachowanie się to wyraźnie dowodziło jak potężny wpływ miał już tajny Komitet miejski, skoro polecenie jego tak ściśle i bezwarunkowo wykonanem zostało. Fakt ten przekonywał najbardziej nawet zaślepionych, że organizacya rewolucyjna sięgnęła już bardzo głęboko i siecią swoją omotała jeżeli nie cały naród, to przynajmniej jego warstwy miejskie i szlacheckie. Jeżeli atoli mógł on być niewidzialnym dla tajnej policyi, dla namiestnika wreszcie, którego naprawdę niewiele to obchodziło i sądząc rzeczy ze stanowiska żołnierskiego, pewny był, że gwałtem, surowością i rządami wojskowymi stłumi ruch, to nie mógł ten objaw ujść uwagi stronnictwa umiarkowanego, wszystkich tych panów, którzy kupili się koło Zamoyskiego, a którzy zanadto dobrze znali kraj i zanadto dobrze umieli patrzeć, by nie wiedzieli co się dzieje.

A przytem położenie szlachty w ogóle w tej dobie było jak najopłakańsze, nieomal tragiczne. Usposobiona konserwatywnie w ogromnej swej większości, niechętną była gotującej się rewolucyi i na reformy patrzała przyjaźnie, gotowa nieomal do ich popierania całą duszą, byle nie było Wielopolskiego i byle za to kraj na nią krzywo nie patrzał. Przedewszystkiem bowiem drżała z obawy przed tą rozgorączkowaną, namiętną opinią publiczną, przeciw mianu zdrajcy, które tak łatwo można było w tych czasach otrzymać. Dzięki temu brakowi odwagi, stanowiącemu jednę z wad kardynalnych narodowych, nie śmiała się głośno odezwać, oburzała się wewnętrznie, w cichości, w czterech ścianach na ludzi, „którzy nic nie mają do stracenia“, i którzy ojczyznę wiodą do zguby, ale na krok stanowczy, kładący tamę agitacyi, zdobyć się nie mogła. Rząd, z drugiej strony był zanadto nierozumny i zanadto nie ufał wszystkiemu co polskie, by miał się odwołać do pomocy szlachty w uspokojeniu kraju. Wszyscy namiestnicy, owi Suchozaneci i Lüdersy, byli to żołnierze ciasnogłowi, którzy nie rozumieli się wcale na rządzeniu krajem i na polityce;

podniecani instrukcyami różnych dygnitarzy petersburskich, nam nieprzyjaznych, nie wierzyli nikomu, a tem mniej szlachcie, którą uważali zawsze za skłonną do powstań i do rewolucyi. Historya pisana w pewnym kierunku uczyła ich, że w Polsce zawsze tylko szlachta powstawała i dumnie niosła sztandar niepodległości politycznej, szablami swemi, według wyrażenia poety, chciała podeprzeć walące się sklepienie nie katedry św. Piotra, ale starej Republiki szlacheckiej. Dla tego też rząd nie ufał przodującej warstwie narodu, przez palce patrzał na to, że chłop coraz groźniejszą wobec niej przybierał postawę i nie rad był załatwieniu kwestyi włościańskiej, chcąc zostawić jątrzącą się ranę i narzędzie, jak mu się zdawało, gotowe do powstrzymania wszelkich zachcianek szlacheckich.

Tym sposobem ziemiaństwo znajdowało się w tej chwili w położeniu człowieka pozostawionego sobie, otoczonego dokoła wrogami. Nie pierwszy to przykład w historyi takiego położenia, ale kiedyindziej i gdzieindziej znienawidzone stronnictwa lub warstwy narodu umiały zeń wyjść odrazu przez krok stanowczy i energiczny, u nas szlachta polska na energią zdobyć się nie mogła. Zdawałoby się, że krew z niej wytoczona na tysiącznych polach bitew, od śnieżnych szczytów gór hiszpańskich, od piasków pustyń egipskich aż do niw Ostrołęki i szańców Woli, pozbawiła ją wszystkich sił i całej mocy czynu. Ale ta niemoc właściwie pochodziła z innego źródła, ze źródła tej ślepej miłości ojczyzny, z aspiracyj narodowych, które w głębi duszy każdego nie pozwalały na żaden kompromis z Rosyą i kazały dążyć do zupełnej, w granicach historycznych zawartej niepodległości narodowej. To też szlachta, nie łącząc się ani z Wielopolskim, ani z rządem, ani z czerwieńcami warszawskimi i ich tajną organizacyą, wytworzyła nakoniec własny spisek, własną organizacyą, której celem ostatecznym, podobnie jak Komitetu miejskiego, było powstanie zbrojne, walka z Rosyą, krwawy pojedynek z najazdem i schizmą.

Ale jeżeli czerwoni wzięli się do utworzenia swego

komitetu energicznie, jeżeli stworzyli go szybko i jeszcze szybciej i zuchwalej uchwycili dyktaturę nad całą siecią organizacyi, to szlachta zabierała się do tego leniwie i wolno, całe miesiące straciła w mękach porodu, nim wydała nakoniec płód z wielu względów niedonoszony, anemiczny i kulawy. Wspomnieliśmy już we właściwem miejscu, jak w kwietniu jeszcze powstał projekt w Żytnie, utworzenia ciała, pochodzącego z wyborów, któreby rządziło krajem i położyło zarazem koniec tym różnym samozwańczym komitetom, które powstawały w Warszawie z wielkiemi pretensyami, a małą możnością wprowadzenia w czyn tych pretensyi; wspomnieliśmy nakoniec, że myśl ta, dzięki zabiegom Karola Majewskiego, Włodzimierza Trepki i Zygmunta Siemieńskiego agitowała się przez całe lato. Po licznych nieudanych próbach, zjazdach, długich i nudnych naradach, przyszło nakoniec do tego późną jesienią, że każde województwo wybrało t. zw. „mężów zaufania“, na których włożyło obowiązek, stworzenia nakoniec owego ciała zwierzchniego. Wybory te oczywiście nie zawsze i nie wszędzie odbywały się jak należy. Wobec stanu wojennego, wobec zaostrzonej baczności władz wojskowo-policyjnych, nie podobna było urządzać zjazdów wszystkiej szlachty z całego województwa i zwoływać sejmików. Zwykle pewna grupa wybitniejszych obywateli w województwie, częstokroć bardzo szczupła, zjeżdżała się pod różnymi pozorami czy to polowania, czy imienin, wesela lub chrzcin, i dokonywała wyboru. W takich to warunkach, nie odpowiadających wcale ścisłym pojęciom elekcyjności, wybrano mężów zaufania z ośmiu województw, według dawnego podziału Królestwa. Z województwa mazowieckiego wybrany został, znany nam już dobrze autor przyszłej konstytucyi polskiej, adwokat Wojciech Trzetrzewiński, dziedzic dóbr Janowa pod Mińskiem mazowieckim, oraz Hornowski; z kaliskiego: Krzyżtoporski i Włodzimierz Trepka; z płockiego: Dziewanowski; z krakowskiego: Adolf Niemojewski, zamożny szlachcic z okolic Włoszczowy (według innych Masłowicz); z sandomierskiego: Julian Załęski i Stanisław Karski, nie-

dawno jeżdżący z poręki pana Andrzeja Zamoyskiego do Paryża do Wysockiego; z podlaskiego: August Szydłowski; z augustowskiego: Julian Paszkiewicz; z lubelskiego: Julian Horodyński. Z miasta nakoniec Warszawy, stanowiącej osobny niejako okręg wyborczy, wyznaczono Leopolda Kronenberga, Jurgensa i nieuniknionego Karola Majewskiego. Ogółem mężów zaufania było czternastu [1]); po większej części byli to dawni członkowie Towarzystwa rolniczego, dawni wojewódzcy mężowie zaufania tegoż Towarzystwa; niektórych niewybierano wcale, lecz wprost oświadczano, że kiedy już raz obdarzeni zostali zaufaniem współobywateli, to zaufanie to dalej im pozostawiają i uważają ich za swych reprezentantów.

Ci wybrani, czy nie wybrani, ale bądź co bądź poprzednio już obdarzeni zaufaniem współziemian, zjechali się w końcu grudnia do Warszawy, i tutaj, w mieszkaniu p. Rembielińskiego, w pałacu Andrzeja Zamoyskiego na Nowym Świecie, przystąpili do utworzenia ze swego łona owego ciała zwierzchniego, które miało rządzić krajem. Postanowiono, że ciało to ma nosić miano „Dyrekcyi“, że składać się będzie z 5 członków, że będzie jedyną legalną władzą kraju i istotną jego reprezentacyą. Wybór przedewszystkiem, jak się tego spodziewać należało, padł na pana Andrzeja Zamoyskiego, ale ten stanowczo odmówił przyjęcia mandatu. Wszelako zrzekając się udziału bezpośredniego w tajnym, jak mówił, rządzie, dał poznać, że pośrednio gotów jest dopomagać mu swym wpływem, znaczeniem i radami. Pośrednikiem między nim i przyszłą Dyrekcyą, miał być syn, pan Władysław Zamoyski. Majewskiemu nie bardzo się to wszystko podobało. Mówił, że pan Andrzej widocznie chce odgrywać rolę króla konsty-

[1]) To jest o tylu wiemy, gdyż relacya nasza opiera się na dwóch podaniach rękopiśmiennych, częstokroć sprzecznych ze sobą. Że liczba mężów zaufania, przez nas w tekście przytoczona, nie zdaje się być kompletną, świadczy to, że w niektórych województwach znajdujemy po dwóch, a w innych tylko po jednym. Nie ulega zaś wątpliwości, że każde województwo co najmniej dwóch wybrało.

tucyjnego, a Dyrekcya ma być tylko jego ministeryum. Ale słów takich słuchać nawet nie chciano; w tem zebraniu szlacheckim krzywo patrzano na Majewskiego, utajonego czerwieńca, młodzika; i jeżeli go cierpiano, to tylko z musu, tylko dla tego, że miano nadzieję wpływać przez niego na koła rewolucyjne, a nawet owładnąć niemi. Dla tego też zgodzono się na propozycyą p. Andrzeja, z urny wyborczej wykluczono zupełnie jego i syna, i zajęto się nakoniec ostatecznym składem przyszłej Dyrekcyi. Wybór padł na Tytusa Wojciechowskiego i Kurtza z pomiędzy ziemian, a na Kronenberga, Jurgensa i Majewskiego z pomiędzy mieszczan warszawskich. Ta przewaga żywiołu miejskiego tem się tłumaczy, że Kronenberg był bogaty i z tego powodu w żaden sposób pominąć go nie można było, zaś Jurgens i Majewski byli nader wpływowi w sferach miejskich i rewolucyjnych. Zresztą nie mogło być i nie było w wybranych poważnej i zbyt rażącej różnicy w poglądach na sprawę polską. Już na pierwszych posiedzeniach, jakie nowa Dyrekcya odbyła, zgodzono się jednomyślnie na to, że nie może być żadnego kompromisu z Rosyą, że Polska winna być państwem niepodległem w granicach przez historyą wytworzonych, że zatem akcya Wielopolskiego jest zgubną i wszelkiemi siłami w ostatecznych konsenkwencyach sprzeciwiać się jej należy. Za cel więc swego istnienia i swego działania Dyrekcya, podobnie jak Czerwieńcy, stawiała powstanie zbrojne dla wywalczenia niepodległości, i w zasadniczej kwestyi w niczem od tych ostatnich się nie różniła, tylko środki prowadzące do tego celu miały być inne, chłodniejsze i rozumniej obliczone.

Pod tym względem przyjmowano do pewnego stopnia program Jurgensa, a raczej dawny program Millenerów. Postanawiano koncesye przyjmować, korzystać z nich, wyzyskiwać je wszelkimi sposobami, rozszerzać, aby tym sposobem wzmocnić się moralnie i materyalnie w ostatniej chwili powstania. Uchwalono wyzyskać w tym celu rady miejskie, powiatowe i gubernialne, które, sądzono, najpodatniejszem będą potemu narzędziem. Samo powstanie

odkładano na długo, nie tak jak czerwieńcy, którym się zdawało, że już są gotowi i głośno gadali, że na wiosnę „dosiędą owdowiałego siodła“. Jednakże i w Dyrekcyi białych tym razem powstania nie odsuwano w tę nieskończoną, mglistą przyszłość, jak to niegdyś czynili Millenerzy; postanawiano sobie bowiem skorzystać z pierwszych lepszych zawikłań w Europie i chwycić za broń; w ostateczności obliczano, że mniej więcej do r. 1865 wszystko się da przygotować odpowiednio i że wtedy samo powstanie wybuchnie [1]). Na posiedzeniach Dyrekcyi mówiono o tem głośno i wyraźnie, akcentowano w sposób najbardziej stanowczy, że to jest jedynem i wyłącznem zadaniem ruchu obecnego i Dyrekcyi, tego rządu polskiego, za jaki się ona uważała. Zwykle na posiedzeniach Majewskiemu, jako najmłodszemu, dawano głos najprzod. Gdy w łonie Dyrekcyi podniosła się wątpliwość co do celu jej istnienia i zadań, to jest czy ona w rzeczy samej na to się utworzyła i ukonstytuowała, ażeby robić przygotowania do powstania i w końcu samo powstanie wywołać, Majewski wprost stawiał pytanie: więc po cóż istniejemy? po co się tu zbieramy? Odpowiadano mu na to, że dla owładnięcia ruchem, który nie kierowany, albo kierowany rękami szaleńców może zawieść naród nad brzeg przepaści; pytał: a na cóż my mamy owładnąć ruchem, jeżeli nie chcemy z niego wyprowadzać ostatecznej konsekwencyi, to jest powstania? Jeżeli bowiem idzie o stłumienie ruchu, o słodkie używanie nadanych koncesyi, drzemanie na fotelach radców stanu lub rozprawianie w radach prowincyonalnych o funduszach szpitalnych, lub walących się mostach, to dla tak małego, tak marnego celu nie potrzeba tajnych ciał, wielkich przygotowań, spisków, posiedzeń, wyborów, ale dość pójść do Lüdersa i powiedzieć mu, chcemy ci dopomódz szczerze i otwarcie w zgnieceniu ruchu [2]).

Ta logika, nie pozbawiona słuszności, zamykała usta chło-

[1]) Relacye ustne, bardzo wiarogodne.
[2]) Z ustnych podań.

dniejszym, zwłaszcza, że zadość czyniła ich tajnym aspiracyom i pragnieniom. Mówiono więc o powstaniu, jako rzeczy nieuniknionej, koniecznej i tak naturalnej jak to, że co dzień słońce wstaje i co dzień zachodzi, i już tylko przedmiotem debatów i rozpraw było rozpoczęcie przygotowań na wielką skalę do tego aktu finalnego. Przedewszystkiem szło o pieniądze. W tym względzie miano się wziąć do rzeczy tak zręcznie i energicznie, że już w końcu stycznia 1862 r. Dyrekcya posiadała w swej kasie około miliona złotych polskich, a w kilka miesięcy potem przeszło dwa miliony [1]), co zawdzięczała głównie Kronenbergowi, który najprzód sam dał stosunkowo bardzo dużo, a następnie kierował całą tą operacyą finansową, że ją tak nazwiemy. Ta szybkość w zgromadzeniu znacznych stosunkowo funduszów napełniła członków Dyrekcyi słuszną dumą i pewnością siebie; poczęli więc bardzo pogardliwie spoglądać na Komitet miejski, który był biedny, bez grosza, i przekonani byli, że wcześniej czy później, do nich jako bogatych i sytych, sam przyjść będzie musiał i oni wtedy zostaną samowładnymi panami kraju i poprowadzą go tam, gdzie będą chcieli.

Niemniej jednak, podobnie jak Czerwieńcy, Dyrekcya uważała za jedno z zasadniczych przygotowań do przyszłego powstania, zyskanie chłopa na swą stronę, chwycenie w ręce kwestyi włościańskiej. Zasiadający na sesyach Dyrekcyi szlachcice i mieszczanie przekonani byli, że im się to uda zrobić; marzyli o tem, że zdołają rozwiązać węzeł chłopski własnemi rękami. Majewski razu pewnego wołał, że jeżeli rozwiązanie to, zwłaszcza na Litwie, nie pójdzie tak jak iść powinno, jeżeli potoczy się nieodpowiednio do myśli powstańczej, to należy się chwycić środków radykalnych. Cóż łatwiejszego, pytał, jak wywołać gdzieś rzeź chłopską, która nauczy opornych dziedziców rozumu. „Niech na Białorusi, lub gdziekolwiek bądź, chłopi zarżną z pięciu szlachciców, a wtedy zawiła ta kwestya

---

[1]) Materyały rękopiśmienne.

sama się rozwiąże prędko i stanowczo". Słowa te przyjęto chłodno a nawet z oburzeniem, ale Jurgensowi tak się one podobały, że zerwał się, pobiegł do Majewskiego i w uniesieniu entuzyastycznem, uściskał go serdecznie [1]).

W zakresie innych środków, Dyrekcya zamierzała, a przynajmniej zastanawiała się i radziła szeroko nad potrzebą wydawania w Paryżu gazety polskiej i francuskiej, których zadaniem z jednej strony byłoby kierowanie umysłami polskimi, z drugiej wyjaśnienie cudzoziemcom istotnego położenia rzeczy polskich. Chciano w tym celu Kraszewskiego, zaopatrzonego w znaczne fundusze, wysłać do Paryża. W końcu postanowiono poprzeć moralnie i materyalnie szkołę wojskową polską w Genui pod warunkiem, że wyjętą będzie z pod zawiadywania Mierosławskiego. Chciano mieć z niej rozsadnik przyszłych oficerów i wodzów powstania.

Takie to kwestye rozbierane były na posiedzeniach Dyrekcyi, która z początku, z właściwą charakterowi polskiemu energią i fantazyą, wszystko poruszała, wszelkie zagadnienia zaczepiała i pewna była, że je rozwiąże i zadość im uczyni. Większość jednak tych spraw przypada już na rok 1862, na dalsze czasy egzystencyi Dyrekcyi. Teraz z kończącym się rokiem 1861, faktem było, że uorganizowały się dwa ciała, dwa spiski, stojące naprzeciw siebie, poglądające na się z ukosa i gotowe do walki o łup Patrokla, o zbroję nie homerycznego bohatera i nie o jego ciało, ale o ciało święte Polski. W tej walce częstokroć zapominano o celu upartego i pełnego ofiar boju, ale raniono się wzajemnie dla osiągnięcia supremacyi, władzy, chwycenia cugli, które dzierżyły rozhukanego rumaka rewolucyi. Widowisko dla duszy szczerze polskiej przykre, bolesne i udręczające, ale nie ostatnie i nie jedyne niestety! w tej historyi, której obraz ponury roztaczamy przed okiem czytelnika. Ale przypatrzywszy się temu, co się działo w łonie narodu, w głębiach tajemnych spisku, pełzającego skrycie

[1]) Loc. cit.

i w ciemnościach, czas już wielki, byśmy się przenieśli na północ daleką, do stolicy caratu, gdzie rozgrywał się niemniej denerwujący dramat, którego pierwszym bohaterem był Wielopolski. Opowieść o jego zabiegach, usiłowaniach, walkach i sporach, klęskach i zwycięstwach, będzie przedmiotem następnych rozdziałów tej pracy.

Drezno, w rocznicę zdobycia szańców Woli.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ I TOMU III.

DOKUMENTA.

№ 1 (do str. 60).

Okólnik grona obywateli wołyńskich do ogółu obywatelstwa ziem ruskich.

(Z rękopismu współczesnego).

Jakkolwiek jedne narodowe tradycye nas wiążą, a w ostatnich czasach jedno uczucie jak tchnienie Boże nas poruszyło, jednak ażeby dorość do czynu obywatelskiego, brakuje nam jedności opinii i tej wspólności zapatrywania się na wypadki bieżące z rozleglejszego stanowiska narodowego, które jedynie może być rękojmią nieomylności w każdem przedsięwzięciu obywatelskiem.

Potrzeba nam komunikować się, zbliżać, znajomić, udzielać wzajemnie opinie i poglądy na rzeczy, ażeby wszystkie serca jednem uderzyły pragnieniem, wszystkie umysły jednym zapłonęły ogniem. Tylko wówczas myśl wciela się w czyn społeczny i prawdziwie obywatelski.

Dogadzając tej potrzebie, zechciej pan, przyjąwszy obecnie słów kilka, po obywatelsku i bez przesadzenia udzielić sąsiadom swoim i znajomym opinie i życzenia tu zawarte, co tem snadniej przyjdzie, że opinie te są wyrazem wykształconej większości, a bez wątpienia są i pańskiemi.

Wypadki, zaszłe w rozmaitych częściach naszej nieszczęśliwej ojczyzny, wzywają nas do publicznego objawienia naszych uczuć i obywatelskiego, opatrzną myślą kierowanego czynu.

Poznańskie, Galicya, Królestwo Kongresowe wywalczają sobie rozmaitemi drogami uznanie praw narodowych wobec rządów i opinii ludów — ludów Europejskich. W ostatnich czasach i Litwa przyłączyła się do tego ruchu! Przemoc ustępuje przed naciskiem idei,

której przewodniczy miłość i prawda. A więc myśl Boża, której tętno w piersiach czujemy, winna się w czyn zamienić, w czyn, świadczący braciom zachodnim, że się ich nie wypieramy w Europie, żeśmy nie przestali być narodem.

Chwila obecna wymaga po nas dwóch świadectw: żeśmy Polacy, żeśmy wszyscy bracią, bez względu na różnicę stanów i wyznań. Przechowaniu w nas nienaruszenie narodowych tradycyi pomimo ucisku i nieszczęść społecznych przyświadczymy, gdy upomnimy się u rządu o uznanie i przeprowadzenie naszych praw narodowych i zasad z przeszłości płynących w sprawach religii, wychowania publicznego i administracyi krajowej.

Potrzeba, abyśmy się zdobyli na obywatelską odwagę i wypowiedzieli publicznie tak, jak inne części naszej ojczyzny, że zeznajemy, czem jesteśmy, że naszej przeszłości nigdy się nie wyprzemy, ani się jej nie przeniewierzymy, że zmoskalenie nas zapomocą szkół, korpusów, sądownictwa i t. p. jest rzeczą bezużyteczną, że pragniemy szkół polskich i ludowych ruskich, że, posiadając między sobą ludzi wykształconych i chcących pracować dla kraju, możemy mieć swoich urzędników, że Moskali zatem, z ubliżeniem nam do rządzenia nasyłanych, kraj obdzierających i demoralizujących, na urzędach uznawać nie będziemy, że dla ludu ruskiego, dobrowolną unią z nami przed wieki połączonego, jesteśmy rodzoną bracią, więc o równouprawnienie go z nami prosimy; że o poszanowanie jego języka i tradycyi, równie o pozwolenie mu uczyć się, wychowywać, pisać, spraw swoich przed sądem bronić i t. d. w jego rodowitym narzeczu, dopominamy się; że, nakoniec, wynarodowienie mieszkańców ziem ruskich uważamy za gwałt narodowy, gwałt przeciwko prawom opatrzności, któremu z pobudek przyrodzonych, obywatelskich, narodowych i nawet religijnych opierać się będziem usiłowali.

Jak można najprędszego objawienia światu i rządowi naszego samouznania narodowego wymaga w nas dobro kraju, przyszłość nasza i losy przyszłych naszych pokoleń, które inaczej czeka zatracenie historyczne, jeśli dziś jeszcze nie wytoczymy sprawy naszej przed trybunał narodów.

Nie potrzebujemy dziś spiskować, broni ostrzyć i t. p. Nasza tylko wola i jedność będą dostateczne do zwyciężenia nieprzyjaciela i wyjednania u ludów uznania praw naszych.

Baczność tylko na to, ażeby wyznanie wiary naszej przed światem nie było dwuznaczne, lękliwe, blade. Nie potrzebuje się lękać, kto w imię prawdy przemawia, kto występuje w obronie praw swych odwiecznych. Jest trybunał w Europie, który nam krzywdy nie pozwoli uczynić, jest sumienie ludów nieprzekupne, które nam w duchu i w prawdzie poczynającym, błogosławieństwa swego udzieli, a w nieszczęściu do bratniej nam pomocy pobudzi.

Ażeby dowieść ludowi naszemu, tyle lat zaniedbanemu i okolicznościami demoralizowanemu, jak gorąco pragniemy nietylko jego uwolnienia i uwłaszczenia, które z radością witaliśmy, ale jego obywatelstwa, uczyńmy krok publiczny i donośny na korzyść jego oświaty. Człowiek nieoświecony nie potrafi być wolnym, nie potrafi z praw swych obywatelskich korzystać. Otóż na odkupienie grzechów naszej przeszłości, gdy dla ludu często byliśmy przyczyną niedoli, a w ostatnich nawet czasach narzędziem niewoli, zróbmy uchwałę funduszu edukacyjnego, dając przytem w każdej wiosce grunt i dworek na szkółkę wiejską. Uchwalając fundusz, obwarujmy, że tylko na oświatę, na pierwiastkach plemiennych obu ludów opartą, fundusz ten przeznaczamy, a administracyą temi szkołami i funduszami tylko ludziom swobodnym głosowaniem wybranym powierzamy.

W obecnem położeniu rzeczy, gdy uwłaszczenie ludu, do którego energicznie wziąść się musimy, nie może być przeprowadzone tak spiesznie, iżby sympatyą jego dla nas zjednać, krok powyższy jest koniecznym, jako wywiązanie się z obywatelskich naszych względem ludu obowiązków i dla usunięcia resztek niedowierzania i nieufności, przez wrogów posianych i pielęgnowanych i dla przekonania świata, że niemasz niezgody między ludem na Rusi i szlachtą, że jeżeli były przykłady, iż jeden na drugiego się targnął, to tylko wówczas, kiedy był opętany moskiewskimi wpływami.

Uchwały takiej dokonamy aktem publicznym przez wszystkich właścicieli ziemskich trzech gubernii (Podolskiej, Ukraińskiej i Wołyńskiej) podpisanym. A jeżeli przemoc nie da nam tych zamiarów do skutku doprowadzić i błogich owoców się doczekać, lub jeśli, co jest najnieprawdopodobniejszem, krok ten nasz przez lud, przy ubocznych wpływach, źle zostanie zrozumiany; to i wówczas jeszcze będzie nasza wygrana, bo, dopełniając świętego obowiązku obywatelskiego, o wiele się zbliżymy do lepszej przyszłości. Bo gdzie są czyny obywatelskie, tam Bóg i cnota zaczynają panować, a gdzie są prawdziwi obywatele, tam musi być kraj niepodległy.

№ 2 (do str. 113).

Testament polityczny księcia Adama Czartoryskiego.

(Z odpisu współczesnego).

Dnia 14 lipca 1861.

Chcąc wcześnie ubezpieczyć bieg służby publicznej w emigracyi, aby w żadnym razie nie był wstrzymany, postanowiłem spisać niektóre myśli moje w tym względzie i polecam je uwadze mojej

rodziny i mych współpracowników. — Jak powiedziałem w ostatniem mojem do rodaków przemówieniu, kraj teraz sam wziął na siebie ster sprawy. Sam on kieruje swemi usiłowaniami i, na drodze do celu jemu dobrze wiadomego, przyspiesza lub zwalnia kroku wedle zasobu sił wewnętrznych i potrzeby ich czasowego zastosowania. Do emigracyi należy dzisiaj opowiadać i tłómaczyć czynności kraju, bronić praw narodowych przed opinią i Rządami Europy, a oraz zawiązywać i rozwijać te z obcemi państwami stosunki, które Polsce dopomódz mogą i do jej wydobycia się z niewoli i do jej niepodległego w przyszłości życia i działania. Tak pojęte dzisiaj obowiązki emigracyi wchodzą w skład ogólny pracy narodu; i żaden wypadek, żadna okoliczność szczęśliwa lub fatalna nie może od tej służby uwolnić tych, którzy dotąd ją pełnili, dopóki Polska sama do swej niepodległości przywrócona, swych przedstawicieli za krajem nie wyznaczy. — W tych może już ostatnich próbach, przez jakie kraj przechodzi, potrzeba jest, aby każdy zachował się i ważył sumiennie: czy dla Ojczyzny robi wszystko co robić może na swem stanowisku, a w miarę, im pełniejsze będzie i jawniejsze życie Polski, tem bardziej wzrastać powinna w swej dzielności jej służba zagraniczna; tem bardziej nawykać do szyku, ścisłości i zbiorowego porządku. Bez tego koniecznego ładu, bez podziału pracy, oznaczonych stanowisk i poczucia się do najściślejszej solidarności, indywidualna gorliwość, choćby najznaczniejsza, często szkodę tylko przynieśćby mogła.

Z pociechą niewymowną widziałem, że syn mój Władysław, odkąd doszedł lat dojrzałych, oddał się cały służbie publicznej. Stała się ona dla niego celem i wyłącznem zatrudnieniem. Ufam, że na tej drodze pozostanie, że go z niej nie odwiodą inne zajęcia i względy; że kraj będzie w nim miał zawsze pożytecznego sługę. Jego więc wzywam, aby prowadził dalej dzieło, któremu, bez widoków osobistych lub rodzinnych, lat tyle się poświęcałem, a wzywam go tem śmielej, że własną czynnością i stosunkami zdobył on już sobie wśród obcych stanowisko, na którem skutecznie dzisiejszym zagranicznym potrzebom narodu, dzisiejszemu powołaniu emigracyi dopomódz potrafi.

Syna mojego starszego Witolda błagam, aby jak dotąd z nieporównaną zacnością okazywał chęć pomagania młodszemu bratu, tak i nadal tej samej chęci, tej samej szlachetnej ofiarności składał wciąż dowody i zachował dla niego tę miłość troskliwą, z jaką go stale wspierał i podnosił. Znajdzie, tak działając, i szerokie pole służenia Ojczyźnie, i nagrodę w swojem sumieniu. Wiem, że pisząc te słowa, nic więcej nie mówię nadto, co jemu własne jego poczciwe serce dyktuje; ale chciałem zarazem, ażeby wiedział, że taka też była i myśl moja.

Od nikogo przez całe życie moje publiczne, nie doznałem tyle dowodów niezachwianej stałości, ile od mojego siostrzeńca jenerała Zamoyskiego. W licznych przygodach, w długim szeregu starań i zachodów był on mi, niemal zawsze, prawą ręką: nigdy niezłamany i wyżej nad powodzenie i nadzieję kładący obowiązki. Tą samą pomocą będzie on dla mego syna Władysława; a pamięć mej trzydziestoletniej wspólnej z nim pracy, wiązać będzie ich serca i ręce w dalszym trudzie narodowym.

Jeżeli pośród usiłowań rozlicznych, potrafiłem niekiedy oddać sprawie Ojczystej jakąś usługę; jeśli nawet same te starania i samo w nich trwanie, bez względu na ich skutek, pożytkiem było dla kraju: zawdzięczam to głównie poparciu moich przyjaciół i współpracowników. Z tych jedni już zstąpili do grobu, zostawiając po sobie żal nieutulony; inni, choć ich wiek przyciska, resztę sił ochoczo przynoszą Ojczyźnie; inni nakoniec, ostatniej godziny robotnicy, świadczą, że każde pokolenie poczuwa się zarówno do wspólnej powinności. A jak żaden z nich, w złej czy dobrej godzinie, nie odstąpił mnie nigdy i nie odmówił mi swojej światłej, gorliwej i bezinteresownej pomocy: tak, ufam, żaden nie odstąpi też mego syna i nie cofnie się ze swym udziałem, w pracy zacnej i pożytecznej. Dwie myśli towarzyszyły mi na drodze mego żywota; obie równie ważne i prawdziwe; pamiętałem o tem, że „siła rodzi się z jedności“ i że „samotnego ściga nieszczęście“. Pierwszą z nich przekazuje mojej rodzinie i innym współpracownikom; drugą synowi mojemu Władysławowi. W każdej z dzielnic naszej ziemi są ludzie, z któremi łączą mnie drogie związki krwi, przyjaźni i dawnych, a nieprzerwanych stosunków. Nie wolno mi żadnego z nich wymienić; przecież chciałbym, aby wiedzieli, jak głęboko wdzięcznością przejęty byłem za wszystko, co dla mnie, a raczej wraz ze mną dla kraju uczynili. Powielekroć, w różnych odezwach moich, przypominałem rodakom ich naglące obowiązki, potrzeby i niebezpieczeństwa sprawy. Dziś, te potrzeby i te obowiązki prawie powszechnie są rozumiane, a mężowie, których naród, tak sprawiedliwie, czcią swoją otoczył, zapewnić mogą, w każdym razie, konieczną jedność w kraju i wspólnych usiłowań kierunek. Niech wszakże obywatele krajowi, obok swych ważnych a pożytecznych zajęć, nie tracą z pamięci, że część istotna służby narodowej zagranicą pełnić się musi; — że bez wielkiej szkody dla całości opuszczoną być nie może; że jej emigracya dopełnić nie potrafi bez współdziałania kraju.

Z głębokiem uczuciem pokory i rzewnego przejęcia, dziękuję Bogu, że mi dozwolił doczekać chwili, w której przyszłość mojego narodu już z większej niepewności odsłaniać się zaczyna. W długiem mojem życiu przekonałem się, że ilekroć Pan Wszechmocny spuszczał na nas rękę karzącą, to nie dla naszej zaguby, ale dla na-

szej poprawy. Ufajmy przeto Jego miłosierdziu; ufajmy przyczynie Naszej Niebieskiej Królowej; — a w każdem działaniu, raczej o to się troszczmy, co korzyść wiekuistą, niż o to co chwilowo, obiecywać się zdaje.

Bądź wola Twoja Panie Boże Wszechmogący!

Adam Czartoryski.

№ 3 (do str. 148).

Wypadki Mławskie.

(Z odezwy litografowanej).

Dnia 25 lipca 1861 r. podpułkownik pułku Ingermanlandzkiego, stojącego w Mławie, o godzinie pół do dziewiątej wieczorem, w czasie śpiewania pieśni nabożnych za Ojczyznę w tamecznym kościele, przyszedł z uzbrojonymi żołnierzami i otoczywszy kościół, pozamykawszy wszystkie wejścia cmentarza, trzymał modlący się lud w takiem oblężeniu przez noc całą do 7-ej rano. Wychodzącego z kościoła wikarego, księdza Rządcę, kazał aresztować i zaprowadzić do stodoły, gdzie między żołnierzami zostawał do rana, doznając od nich naigrawania i prześladowań. Ksiądz ten dotąd jeszcze nie jest wolny. Kiedy lud zamknięty w kościele śpiewał pieśni i modlił się, żołnierze na cmentarzu w przytomności swoich oficerów wyprawiali najbrudniejsze swawole, plugawili poświęcone figury w sposób najszkaradniejszy. Zdarli krzyż z wizerunkiem Chrystusa i obraz Matki Najświętszej z figury, stojącej na cmentarzu, a połamawszy je, pytali swego pułkownika, co z tem mają zrobić? Ten im odpowiedział: „rzucić w kloakę“ (czy to zrobiono niewiadomo, ale że tak mówił, słyszeli ludzie, koło cmentarza stojący). Oficerowie, pijąc herbatę na cmentarzu i paląc cygara, wchodzili do kościoła, zaczepiali modlące się tam kobiety w najnieprzyzwoitszy i najbardziej znieważający sposób, to słowami, to nawet czynnie. Wypuszczony na drugi dzień naród błąkał się po ulicach prawie w rozpaczy, nie śmiejąc wejść do świątyni, tak niegodnie znieważonej przez wroga. Ks. Hipczyński (sic) proboszcz doniósł o tem naszemu czcigodnemu Arcypasterzowi. Ten z pewnością zrobi wszystko co będzie mógł, lecz czy znajdzie sprawiedliwość u rządu moskiewskiego? Wrogi zaprą się tego postępku, powiedzą, że to nieprawda, sądząc, że Boga i świat cały oszukają słowem wyrzeczonem z rozkazu cara, lub jego wiernych służalców.

Taki to czyn wrogów naszych podajemy do wiadomości wszystkich braci. Jest to jeden dowód więcej świętokradztwa popełnionego przez nich już tyle razy w Warszawie, jest to czyn godny iść w pa-

rze z morderstwem niewinnego i bezbronnego ludu. O! jak podły a zarazem bezsilny jest wróg nasz. Bezsilny, bo aż w zbrodni szuka oręża na nas bezbronnych, mających tylko miłość Ojczyzny w sercach, wiarę i nadzieję w miłosierdzie Boga i pieśń błagalną za Matkę Polskę w ustach. My tą miłością, tą modlitwą zbrojni, nie powinniśmy się lękać wrogów. Z nami Bóg i Matka Jego, Królowa polska. Przeciwko nim szereg zbrodni i gwałtów przez tyle już lat popełnianych, przeciwko nim sprawiedliwość Boska, która karać będzie, jak już i dziś karze zaślepieniem, obrazy wyrządzone sobie i swoim świątyniom.

Ty ludu miejski! wy mieszkańcy miast! waszym całym skarbem i największem dobrem jest religia i Kościół, i proście Boga, aby zniszczył wrogów naszych, aby nie pozwolił odjąć nam tej pociechy, jaką daje modlitwa, aby nie dozwolił znieważać świątyń Pańskich i kapłanów, a lud modlący się mordować, lub skazywać na męki. Módlcie się i kochajcie Boga i Polskę! Silni już jesteśmy, silniejsi będziemy za Boską pomocą, a dzień walki z wrogiem będzie ostatnim dniem naszej niewoli.

Z Warszawy d. 1 sierpnia 1861 r.

№ 4 (do str. 150).

Wezwanie Polaków wyznania Mojżeszowego do nabożnego obchodu rocznicy Unii Litwy z Polską.

(Kopia z druku).

Dnia 12 sierpnia 1569 r. po sto ośmdziesięcioletniem bratniem złączeniu się, między Litwą i Polską w Lublinie nastąpiło ostateczne zlanie. Połączenie to przetrwało cały czas niepodległego życia Polski, i niczem nie zmącone zespoliło w taką niepodzielną całość oba narody, że wszystkie usiłowania ciemiężców naszych, do rozerwania tego węzła dążące, żadnego nie odniosły skutku. Dziś, gdy z przebudzeniem się życia narodowego, na całym obszarze Polski obchodzimy świetniejsze epoki z naszej przeszłości, na jakich nam nie zbywa, przez dziękczynne nabożeństwa i objawy powszechnej radości, i my Polacy-żydzi, mający dać drugi przykład bratniego połączenia się, udział w tem przyjąć powinniśmy. Rocznicę Unii obchodzić będziemy solennie nabożeństwem w d. 12 sierpnia 1861 r. w poniedziałek, o godzinie 9 rano w synagogach: przy ulicy Daniłowiczowskiej i Nalewkach, zamknięciem sklepów i wieczór rzęsistem oświetleniem mieszkań. Żałoba na ten dzień uroczysty zrzuca się.

Jak owa Unia była świadectwem zlania się dwóch narodów, oby jej obchód doroczny stał się nową rękojmią trwałości naszego z rodakami pojednania i dalszej wspólnej pracy narodowej.

№ 5 (do str. 173).

Odezwa z d. 13 sierpnia 1861 r.

(Kopia z druku).

Dzień 12 sierpnia, jako wiecznie pamiętną rocznicę zjednoczenia Polski z Litwą, rocznicę jedynego faktu w historyi, gdzie miłość złączyła dwa ludy w jeden naród; dzień ten, ziomkowie, święcimy. Lecz 15 tego miesiąca jest dniem imienin monarchy, z którego imieniem rodzinnem połączone są wprawdzie wspomnienia naszej chwały i walk naszych, naszych ofiar i cierpień, ale on sam ani słowem, ani czynem nie dowiódł, że pamięta, co Bóg i świat cały wiedzą, że jest naszym dłużnikiem. Zachowajmy dla niego tradycyjne sympatye, lecz dzień jego imienin nie jest świętem narodowem, a wszelkie obchodzenie go uroczyste byłoby tylko niewczesnem pochlebstwem, nieodpowiedniem godności naszego narodu.“

№ 6 (do str. 223).

Nota podana 6 września 1861 r. hr. Lambertowi przez ks. kanonika Józefa Wyszyńskiego p. t. Myśli o uspokojeniu Polski.

(Z rękopismu współczesnego).

Środki uspokojenia zależeć będą od sposobu ocenienia ruchu narodowego w Polsce, w związku z zasadami prawa publicznego, nabywającemi coraz większego znaczenia w Europie i przypuszczalnym kierunkiem rozwoju sił wewnętrznych Rosyi.

Zbadanie objawu ducha publicznego Polaków w Galicyi i w Poznańskiem, objawów zupełnie zgodnych z duchem wypadków zaszłych w prowincyach polskich, należących do Rosyi, dostatecznie dowodzi, że Polacy przedewszystkiem starają się o zyskanie podstawy legalnego bytu, któraby zapewniała wszystkim częściom dawnej Rzplitej środki postępu moralnego i materyalnego w duchu cywilizacyi narodowej.

Dążenie to przecież nie przesądza wcale form, jakie przyszłość zachowuje w swem łonie dla narodu chciwego życia, a tem samem

nie narusza bynajmniej dziś istniejących podziałów terytoryalnych. Dążenie to jedynie daje ludowi zdolnemu i wrażliwemu nadzieję lepszego powodzenia, które chwilowe klęski mogą tylko opóźnić, ale nie osłabić, ani zniechęcić. Mylnieby było przypuszczać, że bierne zachowanie się ludu wiejskiego, lub różnica dyalektu i liturgii, potrafią inaczej wpłynąć na wzmiankowane dążenia, jak to, że podniecą jeszcze i popchną do najrozleglejszego zastosowania zasad przyciągających masy, których bierne nawet zachowanie są jedynie następstwem rozbudzenia się instynktu wolności.

Przyszłe wypadki rzucają niejaki cień, zapowiadający je zdala, dlatego nieroztropnieby było opuszczać z uwagi, jak wielką siłę dośrodkową i odśrodkową nabyć może zasada narodowości, świeżo wprowadzona do europejskiego publicznego prawa.

Byłoby to zaślepieniem nie widzieć, że Rosya wchodzi na nowe koleje historyi, zupełnie różne od przebieżonych w ciągu ubiegłych 150 lat, i że mając na uwadze konieczne stopniowanie przejścia, nie można już przecie bez niebezpieczeństwa trzymać się zasad, które dotąd posługiwały do ukształcenia narodu w duchu rządu wojskowego; zasad mających odtąd kierować działaniem sił indywidualnych, powołanych do współudziału w rozwoju materyalnej pomyślności państwa.

Trudno byłoby zaprzeczać, że Rosya i rząd jej zamiast zużywać swe siły na zniweczenie, a raczej na przyprowadzenie do ostateczności narodowego ruchu Polski, dalekoby więcej odniosły korzyści ze starania kierowania tym ruchem, a przynajmniej nie dopuszczenia mu wyjścia z karbów. Osiągnąć zaś to można nietylko ustępstwami administracyjnemi, a nawet instytucyami reprezentacyjnemi, nadanemi Królestwu Polskiemu, ale nadto i przedewszystkiem, przez udzielenie ustępstw żywiołowi polskiemu w dziewięciu guberniach, nazwanych zachodniemi, pod względem wychowania publicznego, używania języka polskiego w urzędzie i tolerancyi religijnej.

Przedewszystkiem więc należy uznać cały obszar dawnej Polski za prawne pole, na którem jawnie mogłoby się rozwinąć spokojne działanie cywilizacyjnych dążeń ducha polskiego w granicach zakreślonych z dobrą wiarą z jednej strony wymaganiami bezpieczeństwa Państwa Rosyjskiego, z drugiej strony zachowanemi zasadami moralności.

Przywrócenie w dziewięciu guberniach zachodnich stanu rzeczy, jaki istniał w ciągu pierwszej ćwierci bieżącego stulecia pod panowaniem cesarza Pawła I i Aleksandra I, byłoby obiecującem postępem na drodze zupełnego uspokojenia kraju. Co do Królestwa Polskiego, ponieważ jest bardziej jednolite, to należałoby mu wyraźniej przyznać prawa bytu kraju oddzielnej narodowości, a jako

rękojmią tego uznania przedewszystkiem nadać radom wybranym prawa kontroli nad zarządem.

Postępując z dobrą wiarą drogą wytkniętą, wyłożonemi wyżej zasadami, rząd niezawodnie potrafiłby uspokoić Polskę, a to tem pewniej i trwalej, im rozleglejsze zostawioneby było pole dla narodowego działania. Nadto, Rosya i rząd jej nie pozbawiłyby się na przyszłość możności korzystania z nastręczających się środków do prowadzenia mniej więcej federacyjnego, w przypuszczeniu, że duch narodowy Polski pójdzie wskazanym wyżej torem.

№ 7 (do str. 224).

Memoryał Aleksandra Jackowskiego, członka Rady Stanu, złożony namiestnikowi Lambertowi.

(Z współczesnego rękopismu).

Zaszczycony zaufaniem monarchy przez powołanie mnie do zasiadania w Radzie Stanu Królestwa Polskiego, jako Polak i obywatel tego kraju winienem zachować szczerość i otwartość w stosunkach z rządem, dotyczących spraw i położenia kraju.

Obowiązek ten tem sumienniej spełnić mi należy w obecnej chwili względem Waszej Ekscelencyi, bo Monarcha Wam powierzył rozpoznanie rzeczywistych potrzeb i ogólnych życzeń Narodu polskiego — od zaspokojenia których pomyślność ojczyzny mojej zależy.

Ustawa w Radzie Stanu w art. 31 w związku z art. 24 pozbawia mnie możności czynienia przedstawień dotyczących zasad rządu, a położenie kraju według głębokiego mojego przekonania wymaga rozpatrzenia tych zasad i ustalenia ich wedle potrzeb i życzeń narodu; bez tego bowiem wola Monarchy, pragnącego szczęścia tego kraju, spełnioną być nie może.

Nie mogąc więc bez naruszenia ustawy przedstawiać w Radzie swoich uwag, poczytuję za obowiązek sumienia względem Monarchy i kraju uczynić to bezpośrednio Waszej Ekscelencyi, jako swojemu w Radzie Prezesowi.

Rada Stanu Królestwa Polskiego tak jak jest postanowioną, powinna być instytucyą zasad i stróżem legalności; obok tego powołaną ona została do wykazywania potrzeby nowych urządzeń i zmiany dawniejszych, o ile one zasad rządu nie dotyczą. Do składu jej, oprócz urzędników, wprowadzono dygnitarzy duchownych i obywateli, aby interesa i sprawy kraju wszechstronnie rozpatrywane być mogły i ku jego pomyślności załatwiane były.

Aby tak postawiona instytucya rzeczywiście na potrzeby kraju działać mogła i spełniała powołanie, przez Monarchę jej naznaczone, konieczną jest rzeczą, aby stosunek rządu z krajem na stałych i jasnych oparty był zasadach i aby zasady te, wysnute z rzeczywistych potrzeb kraju, były w zgodzie i harmonii z moralnemi jego wymaganiami, bez których uwzględnienia materyalne nawet rozwinięcie nie jest możliwem.

Lecz zasady rządu nie mogą być w sprzeczności z tradycyą historyczną narodu i prawami jemu przyrodzonemi, bo sprzeczność taka wywołuje konieczność rządu, wyłącznie na materyalnej sile opartego, a rząd taki wyklucza wszelką możność zasad, stanowiących moralny jego z narodem stosunek.

Rząd taki może istnieć tak długo, dopóki niszczeniem kraju sam siebie nie osłabi; ale nie mając żadnego moralnego z krajem stosunku, nie może mieć założenia (sic) pomyślności kraju i nie znosi żadnych instytucyi z łona kraju wysnutych, pożytek jego, moralne i materyalne rozwinięcie na celu mających.

Przyrodzonymi i koniecznymi warunkami bytu mieszkańców naszego kraju, jego moralnego i materyalnego rozwinięcia jest narodowość i zupełna autonomia na legalności oparta; kto chce jego rozwoju i szczęścia, ten przedewszystkiem zasady rządu na dwóch tych warunkach oprzeć musi. Rząd, pomijający te warunki, nie może mieć innego punktu oparcia, jak siłę materyalną; a taki rząd wszelkie instytucye krajowi nadane wkrótce w drodze represyi zwinąć będzie zmuszony, i instytucye te, zamiast wpływać na rozwój kraju, narażać tylko będą i zużywać ludzi do nich powołanych.

Rzut oka na stosunki rządu Królestwa Polskiego w ciągu ostatnich lat trzydziestu jest świadectwem prawdy niniejszego poglądu.

Wstąpienie na tron dziś nam panującego Monarchy ożywiło nadzieję doczekania kresu ucisku i niesprawiedliwości.

Naród, pozbawiony wszelkiego organu do bezpośredniego stosunku z Monarchą, powziął myśl odezwania się przez adres, aby rzeczywiste swe potrzeby i gorące życzenia wypowiedzieć.

Wyrazy Najjaśniejszego Pana: „Królestwo Polskie jest nazawsze połączone z wielką familią cesarsko-rosyjską,“ wyrzeczone do zebranych obywateli w czasie pierwszego pobytu w Warszawie, uwzględniające prawa tego kraju i wskazujące wyraźnie na zupełną jego autonomią pod unią osobistą, powstrzymały wykonanie tej myśli narodu.

Cierpliwie wyczekiwał on chwili łaskawego wejrzenia na sprawy kraju i wprowadzenia zmian w zasady rządu, potrzebom i życzeniom ogólnym odpowiednich. Gdy lata ubiegały na bezowocnem wyczekiwaniu, a uczucie potrzeb i życzenie zmian wzmagało się — adres podanym został.

W dalszej kolei czasu wyrazy cesarskie do Księcia Namiestnika w liście z dnia 25 lutego (9 marca) b. r. „poświęcam wszelkie starania moje ważnym reformom, jakich bieg czasu i rozwinięcie potrzeb w państwie mojem wymagają. Poddani moi Królestwa Polskiego są przedmiotem równejże mojej troskliwości. Wszystko, co może zapewnić ich pomyślność, nie znajduje i nie znajdzie mnie obojętnym.“

Nadanie krajowi instytucyi z wyboru i wstęp do postanowienia nadawczego z d. 4/16 marca b. r., w którym powiedziano: „w ciągłej troskliwości o dobro poddanych naszych Królestwa Polskiego, pragnąc rozwinąć i ulepszyć instytucye tego kraju“ — przywrócenie Komisyi rządowej Wyznań religijnych i Oświecenia Publicznego, postanowiona reforma szkół, oraz ustanowienie zakładów naukowych wyższych, których kraj lat trzydzieści był pozbawiony; treść okólnika ks. Gorczakowa, ministra Spraw Zagranicznych Cesarstwa z d. 22 marca (3 kwietnia) b. r. wydanego do rosyjskich ambasad i misyi, z powodu nadanych Królestwu Polskiemu instytucyi i zapowiedzianych reform, a mianowicie wyrazy: „Wolą jest Najjaśniejszego Pana, aby wszystko przez Niego nadane było prawdą“ — odezwa księcia Namiestnika z d. 20 marca (1 kwietnia) b. r., w której mówi: „Polacy, instytucye najłaskawiej nadane Krolestwu Polskiemu przez Najjaśniejszego Pana są rękojmią dla interesów waszego kraju, dla interesów najdroższych sercom waszym, religii i narodowości waszej,“ i w końcu list Najjaśniejszego Pana do Waszej Ekscelencyi, powierzając mu losy tego kraju, napisany. Zgoła wszystkie, dopiero tu powołane, tak ważne i uroczyste dokumenta, wlały w cały naród jak najmocniejsze przekonanie, że łaska Monarchy ogarnęła kraj swą opieką, że zatem skończył się systemat rządu, w zupełnej sprzeczności z istotą bytu narodu i jego potrzebami będący.

Wygląda tedy naród reform, które wytworzyć mają rząd z rodzinnych złożony żywiołów i oparty na jasnem prawie zasadniczem, osłaniającem zupełną autonomią i narodowość tego kraju, bo taki tylko rząd, czyniąc zadosyć moralnym wymaganiom kraju i głównym warunkom istoty jego bytu, wytworzy zaufanie. uspokoi umysły i da możność rozwinięcia dla dobra kraju umysłowych i materyalnych jego zasobów.

Taki tylko rząd da się pogodzić z instytucyami z wyboru pochodzącemi, i przy takim tylko rządzie Rada Stanu, na straży praw stojąca, zaczęłaby dopiero mieć rzeczywistą przyczynę istnienia.

Lecz spodziewana przez naród reforma rządu uległa zwłoce, stąd umysły się niepokoją, a wyznać potrzeba, że w miejsce nadziei rozpacz wstępować w naród zaczęła, odkąd objaśniono sądy krajowe, że w Królestwie nie przestają obowiązywać prawa wojenne, w kraju tym nieznane. Kraj na drodze kryjomej, bo żadna publikacya nie

miała miejsca, dowiedział się także, że każda miejscowość podług uznania władzy może być ogłoszoną w stanie wojennym.

Że boleść kraju jest wielką, wyrozumieć łatwo, bo w rzeczy samej, jeżeli sądy wojenne były swego czasu koniecznością logiczną systematu tępienia narodowości, to po oświadczeniach monarchy, dających zapewnienie rozwoju narodowości polskiej, są zupełną sprzecznością — bo ustawiają dwie narodowości, pod jednem berłem żyjące, w stosunek wyradzający nienawiść, z której mściwość się rodzi; bo Polak zdaje się dla tego tylko być pod sąd wojenny poddanym, aby był przez Rosyan sądzonym, ilekroć poważy się zbyt żywo objawić miłość swej narodowości. W tem położeniu rzeczy, trudno zaiste spodziewać się, aby kraj ufnością otoczył tworzące się instytucye, lub ażeby ludzie do nich powołani pojmowali się właściwymi (sic) w stanowisku, z którego bezpieczeństwa nawet osobistego mieszkańców osłonić nie można; a skoro tak jest, wszelkiemi innemi sprawami napróżno byłoby się zajmować. Istotnym warunkiem rozwoju takich instytucyi jest wiara kraju w trwałość zaprowadzonego porządku rzeczy, lecz tę wiarę dać tylko może jasna ustawa zasadnicza, dająca rękojmię przyszłego rozwoju pomyślności kraju przy udziale przedstawicieli narodu.

Rząd zdawał się uwzględniać tę potrzebę krajową, dopuszczając w ustawie o Radzie Stanu, aby prośby w przedmiotach, załatwienia rządowego wymagających, były do Rady Stanu podawane: ale ograniczając mieszkańców, aby zasad rządu nie ważyli się dyskutować, pozbawił ich tem samem nadziei, aby na tej drodze pogodzenie widoków rządu z potrzebami narodu, kiedykolwiek nastąpić mogło; — tym sposobem instytucye świeżo nadane, nie porzucając ani narodowości, ani autonomii, stanęły na tym punkcie, z którego zarówno do swobody jak i do ucisku droga prowadzi.

Pamięć panującego tu ucisku, gdy zarząd miejscowy zwolnionym został od poszanowania nawet statutu Organicznego Królestwu Polskiemu nadanego, budzi w każdej okoliczności w mieszkańcach tak straszne wspomnienie, że pod wpływem obawy, aby ów stan rzeczy nie wrócił, cała ludność wpada w stan rozpaczy, z którego wywiązuje się gotowość do ofiar i męczeństwa, jak tego dowiodły niedawne krwawe wypadki.

Powtarzać się one nie przestaną, dopóki łaska Monarchy nie uwzględni cierpień narodu, dając mu ustawę zasadniczą z dopuszczeniem reprezentacyi narodowej.

№ 8 (do str. 261).

Adres szlachty powiatu rohaczewskiego.

1861 roku 10 (22) października, szlachta gub. mohilewskiej, pow. rohaczewskiego, zgromadziwszy się na zjeździe powiatowym dla wyborów trzechletnich, poczynając od r. 1861, postanowiła korzystać z praw umieszczonych, w t. IX, rozdziale 108, wydanym w 1857 r., a rozważywszy swoje korzyści i potrzeby, postanowiła:

1. Zanieść do stóp tronu najgłębsze i najpokorniejsze podziękowanie Najjaśniejszemu Panu za łaskawe przyjęcie próśb szlachty o zniesienie prawa poddaństwa.

Ten wielki wypadek obudził w sercach szlachty rohaczewskiego powiatu nadzieję, że to dopiero jutrzenka panowania N. Pana i tych wielkich zmian, którym ono dało tak piękny początek. Szlachta powiatu rohaczewskiego cieszy się błogą nadzieją, że N. Pan, dając osobistą swobodę włościanom, raczy przywołać także szlachtę do życia obywatelskiego. Szlachta powiatu rohaczewskiego, zachowawszy w pamięci prawa i przywileje, z jakich korzystała za panowania Najjaśniejszych poprzedników Waszej Cesarskiej Mości i za panowania królów polskich, dziś postanowiła najpokorniej prosić Waszą Cesarską Mość, o przywrócenie tych praw i przywilejów, zachowanie których uroczyście obiecanem było w traktatach cesarzowej Katarzyny II.

2. Prosić o przywrócenie języka polskiego tak w szkołach, jak i w sądownictwie.

3. O przywrócenie publicznego i głośnego sądownictwa.

4. O przyłączenie powiatu rohaczewskiego, oraz całej gubernii do gubernij litewskich, z któremi ona oddawna była połączoną.

5. O przyłączeniu okręgu naukowego gubernii mohilewskiej do okręgu wileńskiego.

6. O przywróceniu na dawnych przywilejach uniwersytetu wileńskiego.

7. O danie zupełnej swobody wszystkim wyznaniom chrześcijańskim, dozwalając im budować kościoły, modlić się gdzie zechcą i jak zechcą, a przy połączeniu ślubem małżeńskim różnego wyznania osób, dozwolić rodzicom chrzcić dzieci w jakiej zechcą religii.

Wszystkie te wypowiedziane żądania szlachty powiatu rohaczewskiego oparte są na prawach i przywilejach, jakiemi się ona oddawna rządziła na Białej Rusi. Prawa te potwierdzono w traktacie w 1773 r., gdzie cesarzowa Katarzyna II, za siebie i za następców swoich, uroczyście obiecała, zostawić język polski w nowo zdobytych przez nią prowincyach, nie zmieniać praw i ustaw narodowych dla ogólnego dobra Białej-Rusi, wszystkim wyznawcom rzymsko-ka-

tolickiej religii, tak uniatom jak i katolikom, którzy na zasadzie drugiego artykułu tegoż traktatu przeszli pod jej panowanie, zostawić zupełną swobodę wyznania; oprócz tego zabezpieczyć zachowanie na wieczne czasy wszystkich przywilejów, obrządków kościelnych, praw własności każdego szlachcica w kraju, który na mocy wyżej nadmienionego traktatu przeszedł pod panowanie Jej Cesarskiej Mości.

Cesarz Aleksander I, na kongresie wiedeńskim w obliczu całej Europy, uroczyście oznajmił, że wszystkie prowincye oddzielone od Polski złączy w jedno i zaprowadzi w nich rząd narodowy reprezentacyjny.

Przy wstąpieniu na tron Najjaśniejszego Aleksandra II, nadanie praw włościanom obudziło w sercach szlachty nadzieję i życzenie uproszenia dla siebie praw z jakich korzystała dawniej, a których wspomnienie zostaje głęboko wyryte w jej sercach.

Szlachta rohaczewskiego powiatu zasyła prośbę swoją w nadziei, że Najjaśniejszy Pan nie odrzuci jej i powróci prawa i przywileje. Dla nadania zaś swobody osobistej i obywatelskiej wszystkim klasom cesarstwa, pozwoli wybranym deputowanym przedstawić prośby o potrzebach wszystkich poddanych W. C. M. W nadziei tej szlachta powiatu rohaczewskiego, spisawszy w niniejszym akcie swoje chęci, poleca gubernialnemu marszałkowi, przedstawić je Najjaśniejszemu Panu.

№ 9 (do str. 345).

Akt odnowionej unii Horodelskiej, spisany w Uściługu d. 10 października 1861 r.

My obywatele Rusi, zgromadziwszy się w mieście Uściługu nad Bugiem, dla połączenia się z bracią pozostałych części Rzeczypospolitej polskiej w akcie zbiorowego uznania i odnowienia wiekopomnej Unii Horodelskiej, gdy na zawadzie znaleźliśmy przymus rządowy, ograniczamy się najuroczystszem, w imieniu własnem i współobywateli naszych, oświadczeniem, że od rozbioru kraju podziśdzień, uczucie jedności i powszechnego braterstwa łączy nas ze wszystkiemi braćmi z nad Wisły, Warty, Niemna i Dźwiny, w jednej nieśmiertelnej Ojczyznie naszej Polsce.

(Podpisy).

№ 10 (do str 393).

Uchwała o zamknięciu kirchy luterskiej.

Działo się w Warszawie w Sali nad zakrystyą kościoła na nadzwyczajnem posiedzeniu kollegium kościelnego parafii Ewangie-

licko-Augsburskiej warszawskiej dnia 17 października r. 1861 o godz. 6 po połud. Obecni: Szlenker Ksawery Prezes, Najprzewielebniejszy X. Ludwig, Wielebny ks. Otto Leopold, Berensee Jan, Heinrich Adolf, Jende Daniel, S.... L...., Strasburger Edward, J.... L...., Adolph August, Anders Edward, Bakka Stanisław, Gerlach Wilhelm, Haubold Karol, Kloetzer Krystyan, Krause Aleksander, Krause Jan, Lampe August, Lampe Jan, Lentzki Aleksander, Liedtkie Jan, Manitius Herman, Szlenker Karol, Steinmetz Jan.

Dowiedziawszy się, że z rozkazu Administratora Archidyecezyi Warszawskiej, wszystkie kościoły rzymsko-katolickie w Warszawie zostały zamknięte — w obawie, aby ludność miejscowa, pozbawiona Przybytków przeznaczonych na nabożeństwa, nie zebrała się w przyszłą niedzielę w kościele Ewangielicko-Augsburskim i nie zaintonowała śpiewów obecnie przez Władzę zabronionych, a tem samem, aby kościół Ewangielicko-Augsburski i osoby zebrane na nabożeństwo nie były narażone na skutki zapowiedziane punktem 10-tym Rozporządzenia przez Władzę policyjną w dniu wczorajszym wydanego i w Nrze 249 „Gazety Policyjnej Warszawskiej“ ogłoszonego — Kollegium kościelne, nie posiadając żadnego środka zapobieżenia takowym śpiewom, ma zaszczyt niniejszem zapytać się Wysokiego Konsystorza, czyby nie uznał za stosowne, aby i kościół Ewangielicko-Augsburski od przyszłej niedzieli, to jest od d. 20 b. m. do dalszej decyzyi był zamkniętym, a tem samem aby zwykłe nabożeństwa zawieszone w nim zostały.

Kollegium kościelne przed Niedzielą, czyli dniem powyższym, oczekiwać będzie decyzyi Wysokiego Konsystorza, gdyż skoroby takowa nie nadeszła, Kollegium dla wyżej przytoczonych powodów byłoby zmuszonem samo zamknięcie kościoła zarządzić. Powyższy raport Kollegium kościelne do rąk własnych J. W. Prezesa Konsystorza przedstawić uchwaliło.

(Podpisano) Ksawery Szlenker — X. J. Ludwig — X. L. Otto — J. Lampe — K. Kloetzer — W. Gerlach — L. S.. — Liedtkie — August Lampe — Werner — D. Jende — A. Adolph — A. Heinrich — K. Haubold — J. Heinrich — St. Bakka — E. Strasburger — Karol Szlenker — A. Krause — Berensee — A. Krause — A. Lentzki — H. Manitius — L. J....

№ 11 (do str. 473).

Kalisz, d. 31 października 1861 r. — Konsystorz jeneralny kaliski do Wgo naczelnika powiatu Kaliskiego.

„Zdumiała Konsystorz odezwa Wgo naczelnika z d. 29 b. m. i r., żądająca od niego wydania polecenia do duchowieństwa, aby

nie odprawiało żadnych procesyi, nawet przez Kościół św. dozwolonych, oraz aby żądało pozwolenia na odpusty, od p. o. naczelnika wojennego kaliskiego, a to wskutek reskryptu tegoż naczelnika wojennego, — a zdumiała zaś raz dlatego, że podobne rozporządzenia nie są zgodne, ani z wolnością religijną, ani z powagą władzy; drugi raz dlatego, że Konsystorz od naczelnika wojennego, jako władzy sobie równej, żadnych rozkazów przyjmować nie może i nie będzie; lecz je przyjmuje tylko od dyrektora głównego, prezydującego w komisyi rządowej wyznań i oświecenia publicznego, lub od JW. Biskupa. — Nadto Konsystorz wie i oświadcza, że naczelnik wojenny nie może według swego widzimi się kościołami rozrządzać, ani odpustów udzielać; że on i wszelkie władze w kraju cywilne i wojskowe mogą tylko zajmować się porządkiem po ulicach lub szynkach, a nie w kościołach, które, jako domy Bogu poświęcone, są pod wyłącznym dozorem władzy duchownej i wszelkiej nietykalności używają z prawa; że pozwolenie na odpusty udziela tylko Ojciec św., a nie żołnierze, o ich zaś odbywaniu zawiadamiają każdego dzwony kościelne. Nie może więc Konsystorz i nie będzie zakazywał Duchowieństwu swemu żadnych procesyi ani odpustów. O tej decyzyi Konsystorza zechce Wny naczelnik uwiadomić p. o. naczelnika wojennego i prosić go, aby Konsystorz od podobnych odezw uwolnić zechciał raz na zawsze.

(Podpisano) X. J. Lisiecki, oficyał. — X. Modrzejewski, sekretarz.

II.

Kalisz, d. 31 października 1861 r. — Konsystorz jeneralny kaliski do szanownego duchowieństwa oficyałatu Kaliskiego.

W ciągu całego czasu obecnego rozstrojenia w kraju duchowieństwo tutejszego oficyałatu spełniło swe obowiązki, jako stróży wiary, prawych synów ojczyzny i miłośników pokoju w kraju z całą powagą i poświęceniem, które Konsystorz uwielbić musi, i swe zadowolenie publicznie wynurzyć. Obecnie, kiedy przy stanie wojennym w kraju, mogą złej woli ludzie tamować mu dalszy rozwój tych świętych postępków, Konsystorz widzi się zmuszonym przemówić do niego, by je na tej drodze utwierdzić. Poleca więc Konsystorz szan. Duchowieństwu, *sub onere conscientiae*, aby wszelkie obrzędy religijne z dawną powagą, pobożnością i duchem miłości chrześcijańskiej wypełniało; aby lud wierny w smutnych czasach dzisiejszych do pokuty, do pobożności i modłów zachęcało słowem i przykładem; aby zwykłe procesye, potrzeby i odpusty z dotychczasową świetnością odbywało, jak to dotąd praktykowane było w kościołach. Odezwę tę poda X. Dziekan natychmiast do wiadomości duchowieństwa i zastosowania się.

(Podpisy jak wyżej).

SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU III.

Rozdział IX. Sezostrys. Suchozanet, jego przeszłość i charakterystyka. Przyjęcie duchowieństwa i kupców. Jego postępowanie. Choroba i śmierć Joachima Lelewela. Nabożeństwa za niego w kościołach warszawskich. Garliński w ogrodzie Saskim. Nabożeństwo w Wilnie i synagogach warszawskich. Pieśni, obrazki, emblemata. Odezwa Rozwadowskiego. Rozporządzenia szkolne. Organizacya Komisyi oświecenia i prace nad reformą szkół. Sprawa korespondentów i Wacław Szymanowski. Kazimierz Wł. Wójcicki i jego dymisya. „Książka zbiorowa“. Obozowiska uliczne. Tuczkow odmawia przyjęcia namiestnictwa. Przegląd wojsk i Ilia Arseniew. Jego korespondencye. Komitety tajne. Aresztowania i policya. Wypadki w Suwałkach i Rudanowski. Obchód rocznicy bitwy Ostrołęckiej. Pogrzeb topielca w Płocku. Popłoch w Ratowie. Sprawa Mysłowskiego w Lublinie. Ruch w Białymstoku i przyjazd tam Zamoyskiego. Agitacya w Kownie i Wilnie. Straże na Wołyniu. Obawy rzezi chłopskiej na Ukrainie. Uroczystość wianków w Warszawie. Poświęcenie grobu poległych i reskrypt Wielopolskiego. Rozkaz do wojsk z d. 2 lipca i okólnik z d. 9 lipca. Ukaz Radzie stanu. Artykuł „Gazety Polskiej“ i nominacye do Rady stanu. Mowy namiestnika przy otwarciu tejże. Burza przeciw Wielopolskiemu. Cenzura. Sprawa kolorów narodowych. Skarga Wielopolskiego w Radzie administracyjnej. Stan miasta. Zapowiedź manifestacyi. Adres angielski i odpowiedź nań Czartoryskiego. Rozprawy w izbie niższej o Polsce. Manifestacya przed konsulatem angielskim. Kocie muzyki w Radomiu i Kaliszu. Usposobienie ludu. Kometa i emisaryusze. Zakończenie . . Str. 1 do 107.

Rozdział X. Mój Hamlet. Reforma policyi. Śmierć Czartoryskiego. Nabożeństwo żałobne. Scena z arcybiskupem. Oburzenie kamarylli na Wielopolskiego, który podaje się do dymisyi. Zygmunt Wielopolski jedzie do Petersburga. Rozkaz cesarski. Spokój pozorny. Nabożeństwo w kirsze luterskiej. Stanowisko Prus

wobec kwestyi polskiej. Usposobienie miasta. Procesya do Częstochowy. Zjazd w Zamku na imieniny cesarzowej. Manifestacya w kościele. Wybijanie szyb wieczorem. Mniemane zabójstwo Antoniego Polaczka. Awantura w ogrodzie Saskim. Szkółki elementarne. Braterstwo z żydami. Pojawienie się „Jutrzenki“ i „Strażnicy“. Nadużycia i gwałty na prowincyi. Podróż Nazimowa po Grodzieńskiem. Ruch w Galicyi. Wypadki w Mławie i Białymstoku. Obchody unii lubelskiej w d. 12 sierpnia. Odezwa. Zamiary agitatorów. Ogłoszenie Suchozaneta. Obchód unii w Warszawie. Piotrkowie, Kaliszu, Łodzi, Płocku, Mławie, Lublinie, Kielcach, Biały podlaskiej, Grodnie, Druskienikach i Wilnie. Zabawa w lasku Belmonckim. Program obchodu w Kownie. Przygotowania ze strony rosyjskiej. Wystąpienie procesyi. Atak kozaków Popowa. Połączenie się obu procesyi. Nabożeństwo w Piątku. Wrażenie tej manifestacyi i jej następstwa. Dzień 15 sierpnia. Napoleon III i Polska. Nota w „Monitorze“. Nieudanie się manifestacyi. Odezwa duchowieństwa. Woronow w Kaliszu. Wypadki w Tarnogórze. Obchód rocznicy bitwy pod Dubienką. Zaburzenia w Grodnie i Wilnie. Pogłoska o procesyi kowieńskiej. Dzień 18 sierpnia. Atak wojska. Znaczenie wypadków wileńskich. Zaprzeczenie Nazimowa. Hrabia Lambert, jego przeszłość i charakterystyka. Jego przejazd przez Warszawę. Pobyt w Petersburgu i nominacya na namiestnika. Gerstenzweig, jego przeszłość i stosunek do Lamberta. Zakończenie . . . . Str. 108 do 202.

Rozdział XI. Mentor i Telemak. Przybycie Lamberta i pierwsze jego kroki. Jego plan działania. Konferencya z Wielopolskim i jego żądania. Porozumiewanie się Lamberta z wybitniejszemi osobistościami. Manifestacye i domagania się cesarza. Nabożeństwo za poległych w Wilnie. Ogłoszenie stanu wojennego na Litwie. Zaburzenia na Nalewkach. Nabożeństwa „za pomyślność Ojczyzny“. Rozbijanie sklepów. Napad na biskupa Marszewskiego w Łęczycy. Reskrypt Wielopolskiego do sądów kryminalnych. Wypadki w Kaliszu. Odpust w Częstochowie i na Łysej Górze. Narada tamże i jej postanowienia. Panna Pustowojtow w Lublinie. Zaburzenia w Żytomierzu. Rozbrojenie Litwy i Rusi. Procesya grodzieńska. Gubernator Szpeyer. Wypadki w Kownie. Adres szlachty do hr. Tyszkiewicza. Projekt Towarzystwa rolniczego na Litwie. Adres szlachty rohaczewskiej. Podróż Nazimowa. Wygnanie z Wilna Syrokomli. Żałoba i odezwy na Litwie. Nabożeństwo w dzień św. Józafata. Niezadowolenie powszechne. Apollo Korzeniowski i jego Koło. Zjazd w Homburgu. Spory w Radzie Administracyjnej. Wybory do Rady Miejskiej. Różne odezwy. Wybory w cyrkule

X-tym. Mandat ludu do wyborców. Odezwa z dnia 26 września. Wybory na prowincyi. Pułkownik Petrow w Ostrołęce. Klub „złotej młodzieży“. Ustanowienie „Dziennika Powszechnego“. Zjazd biskupów i ich memoryał. Choroba i śmierć arcybiskupa. Jego pogrzeb. Uczta wyprawiona chłopom. Zjazd w Horodle. Rozkazy namiestnika. Narada w Stepankowicach. Wyruszenie procesyi. Pobyt w Kopyłowie. Pertraktacye z Chruszczewem. Nabożeństwo na polu. Procesya w Uściługu. Obchód rocznicy bitwy Maciejowickiej i Racławickiej. Ogłoszenie stanu wojennego. Postanowienia Rady Administracyjnej. Dzień 15 października. Nabożeństwo. Otoczenie kościołów przez wojsko. Rady wojenne. Wtargnięcie do kościołów. Oburzenie w mieście. Narada w Konsystorzu i jej postanowienie. Uwolnienie więźniów i samobójstwo Gerstenzweiga. Pertraktacye z Lambertem. Zamknięcie kościołów. Usiłowanie zamknięcia kirchy luterskiej. Zamknięcie synagog. Aresztowania. Wyjazd i śmierć Lamberta. Zakończenie . . . . . Str. 203 do 401

Rozdział XII. Spisek. Jenerał-adjutant Lüders. Suchozanet w Warszawie. Wielopolski podaje się do dymisyi. Jej powody. Intryga Suchozaneta. Rożnow w Płocku. Aresztowania. Walka z Wielopolskim. Sprawa „Dziennika Powszechnego“. Rozkaz cesarski. Otwarcie kursów przygotowawczych. Skład ciała nauczycielskiego. Mowa Wielopolskiego. Jego wyjazd do Petersburga. Odezwa ks. Władysława Czartoryskiego. Szkoła wojskowa w Genui. „Głos z Paryża i Genui“. Rokowania Zamoyskiego z Wysockim. Polityka Francyi. Powstanie „Komitetu miejskiego“. Ignacy Chmieleński, Głowacki i Wereszczyński. Wybory i powstanie „Koła“. Lüders, Kryżanowski i komisye śledcze. Aresztowanie Białobrzeskiego. Korespondencya z Dekertem i kapitułą. Śmierć i pogrzeb Dekerta. Zeznania Białobrzeskiego i wyrok. Otwarcie cerkwi Bazyliańskiej. Okólnik arcybiskupa Wierzchlejskiego. Deputacya i kocia muzyka. Rządy wojskowe. Kruzenstern. Rada administracyjna i sprawa oczynszowania. Podburzanie ludu. Zabójstwo Kleniewskiego. Naczelnicy wojenni. Aresztowani. Odpowiedź konsystorza kaliskiego. Rocznica 29 listopada. Szlachta i powstanie „dyrekcyi białych“. Rada stanu i dyskusye nad projektami. Rzut oka na przebieżony okres. Zakończenie . . . . . Str. 402 do 484.

Ważniejsze omyłki druku.

Strona 28 w wierszu 11 po wyrazie „strony“ opuszczono „chęć“.
„ 31 w przypisku 2-im, wiersz 7, zamiast „polecen“ winno być „polezen“.
„ 59 w przypisku, wiersz 1 zamiast „dżejatieli“ winno być „diejatieli“.
„ 107 wiersz ostatni, cudzysłów całkiem niepotrzebny.
„ 137 wiersz 12, zam. „Prussakowej“ winno być „Pruszakowej“.
„ 196 wiersz 13, zam. „Łabyczewa“ winno być „Łabyncewa“.
„ 209 wiersz 6, zamiast „l'implore“ winno być j'implore“.
„ 216 wiersz 16, zamiast „komisye“ winno być „komicye“.
„ 218 wiersz 7, zamiast „uległych“ winno być „rozległych“.
„ 220 wiersz 8, po wyrazie „kręcący“ brak zaimka „się“.
„ 221 w przypisku 2 wiersz 6, zamiast „kwietnia“ winno być „września“.
„ 229 w przypisku wiersz 4 zamiast „przekazania“ winno być „przekonania“.
„ 232 w przypisku wiersz 7, zamiast „powyżej“ winno być „z powyższej“.
„ 237 w przypisku wiersz 2, zamiast „radomskiej“ winno być „żydowskiej“.
„ 265 wiersz 7, zam. „Koncewicza“ winno być „Kunewicza“.
„ 278 wiersz 7 od dołu zamiast „pernuse“ winno być „permise“.
„ 286 wiersz 2 od góry, po „miłujących“ brak wyrazu „ludzi“.
„ 301 wiersz 10 od dołu, zam. „Chociński“ winno być „Choiński“.
„ 327 przypisek drugi całkiem jest niepotrzebny, zdanie to należy wziąć w nawias i pomieścić w przypisku pierwszym, po wyrazie „Podhaluzin“.
„ 393 w wierszu 5 po „ten“ brak wyrazu „nie“.

Strona 428 wiersz 10 od dołu, zam. „Olesiński“ winno być „Oksiński“
„ 433 wiersz 1 od dołu, zam. „wrodzony“ winno być „urodzony“.
„ 435 wiersz 3 od góry zamiast „umie“ winno być „może“.
„ 437 wiersz 17 od góry cudzysłów całkiem niepotrzebny, a w wierszu 24 zamiast „tajemności“ winno być „tajemniczości“.
„ 439 wiersz 3 od góry zamiast „Krzyszyńskich“ winno być Knyszyńskich.
„ 450 wiersz 6 od dołu zam. „sąsiedzi“ winno być „szpiedzy“.

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP
III
29587/2